

KOŁO OSHEIM

TRYLOGIA
WOJNA CZERWONEJ KRÓLOWEJ
TOM III

MARK LAWRENCE

PAPIER  WYKSIEŻYC

KOLO
OSHEIM

MARK LAWRENCE

WOJNA CZERWONEJ KRÓLOWEJ

TOM III

KOPLO
OSHEIM

Tłumaczenie
Justyna Szczęśniak

PAPIER  WYKSIEZYC

Słupsk 2019

Tytuł oryginału

The Wheel of Osheim (The Red Queens War)

Redaktor prowadząca

Karolina Żulewska

Redakcja

Joanna Rodkiewicz

Korekta

Joanna Kłós

Skład i łamanie

Anna Szarko

Projekt okładki

Bogna Gawrońska

Opracowanie okładki

Krzysztof Krawiec

Copyright © by Mark Lawrence 2016

Mapa © Andrew Ashton

Copyright © for the Polish edition by Papierowy Książyc 2019

Copyright © for the Polish translation by Justyna Szczęśniak 2019

Wydanie I

Słupsk 2019

ISBN 978-83-65830-43-2

Wydawnictwo Papierowy Książyc

skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12

tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21

e-mail: wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl

PAPIER  WYKSIĄŻYC

www.papierowyksiezyc.pl

Spis treści

Dedykacja

Nota od Autora

Mapa

Prolog

| | | | | | | | | | | | | |
|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|----|
| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | 7 | 8 | 9 | 10 | 11 | 12 | 13 |
| 14 | 15 | 16 | 17 | 18 | 19 | 20 | 21 | 22 | 23 | | | |
| 24 | 25 | 26 | 27 | 28 | 29 | 30 | 31 | 32 | 33 | | | |

Podziękowania

O Autorze

Książkę dedykuję mojemu ojcu, Patrickowi.

NOTA OD AUTORA

Dla tych z was, którzy musieli czekać rok na tę książkę, przygotowałem krótkie streszczenie wydarzeń z dwóch poprzednich tomów. W ten sposób wy możecie odświeżyć pamięć, a ja nie muszę pisać niezręcznych dialogów, w których bohaterowie powtarzają znane już rzeczy, byście wy mogli sobie wszystko przypomnieć.

Wspominam tu tylko o tych faktach, które są ważne w dalszym ciągu historii.

1. Jalan Kendeth, wnuk Czerwonej Królowej, niewiele chce od życia. Pragnie cały, zdrowy i bogaty wrócić do stolicy Czerwonej Marchii. Pragnąłby również potyranizować nieco swych starszych braci, Martusa i Darina.

2. Ostatnio jednak życie nieco się skomplikowało. Jalan wciąż pożąda swej dawnej kochanki Lisy DeVeer, ale ta wyszła za jego najlepszego przyjaciela. W dodatku książę wciąż tkwi po uszy w długach u króla przestępczego świata, krwiożerczego Maeresa Allusa. Ponadto wielkie banki Florencji poszukują go za oszustwa finansowe. Co więcej, zaprzysiął zemstę na Edrisie Deanie, mordercy jego matki i siostry. Siostra była wciąż w łonie matki, gdy nekromancki miecz Edrisa (obecnie w posiadaniu Jalana) uwięził ją w krainie umarłych. Teraz jest gotowa powrócić jako nienarodzona, by służyć Martwemu Królowi. Miała potencjał, by stać się potężną czarownicą, i może stać się niezwykle niebezpieczną nienarodzoną. Nienarodzeni o takiej mocy potrzebują śmierci kogoś z bliskiej rodziny, by powrócić do świata żywych.

3. Jalan podróżował od skutej lodem Północy do spalonych słońcem wzgórz Florencji. Rozpoczął swą wyprawę z dwoma Normanami, Snorrim i Tuttugu z klanu Undorethów. Po drodze ich grupka powiększyła się o północną wiedźmę Karę i Hennana, chłopca z Osheim.

4. Jalan został związany z istotą mroku, Aslaug, a Snorri z istotą światła, Baraqelem. Podczas ich wędrówki więzi zostały zerwane.

5. Jalan wszedł w posiadanie klucza Lokiego, artefaktu, który otwiera wszystkie drzwi. Wiele osób pragnie go zdobyć, w tym Martwy Król, który chce dzięki niemu wydostać się z zaświatów.

6. W tej książce używam określeń piekło i Hel, by opisać ten rejon zaświatów, do którego wyruszyli nasi bohaterowie. Hel to nazwa używana przez Normanów. Piekło to wyrażenie używane przez chrześcijan.

7. Tuttugu po torturach zginął w więzieniu w Umbertide z ręki Edrisa Deana.
8. W poprzednim tomie rozstaliśmy się z Jalanem, Snorrim, Karą i Hennanem w głębinach kopalni soli, w której rezydował mag drzwi Kelem.
9. Aslaug zaciągnęła Kelema do świata ciemności.
10. Snorri przeszedł przez drzwi do Helu, by uratować swą rodzinę. Jalan zapowiedział, że pójdzie z nim, i oddał klucz Lokiego Karze, aby ten nie wpadł w ręce Martwego Króla. Jednak księcia opuściła odwaga i nie podążył za wikingiem. Wykradł klucz z kieszeni Kary, a chwilę później ktoś otworzył drzwi od wewnątrz i wciągnął Jalana do piekła.
11. W szerszej perspektywie: babka Jalana, Alica Kendeth – Czerwona Królowa, od wielu lat toczy sekretną wojnę z Błękitną Damą i jej poplecznikami. Błękitna Dama kieruje Martwym Królem, a nekromanta Edris Dean jest jednym z jej agentów.
12. Czerwonej Królowej doradza starsze rodzeństwo – Milcząca Siostra, która widzi przyszłość, ale nie mówi, i jej kaleki bliźniak Garyus, który rządzi własnym handlowym imperium.
13. Wojna Czerwonej Królowej dotyczy zmiany w rzeczywistości, do której tysiąc lat wcześniej doprowadzili Budowniczy. Owa zmiana umożliwiła czarowanie w naszym świecie krótko przed tym, jak nuklearna wojna przyniosła zagładę poprzedniemu społeczeństwu (nam za jakieś pięćdziesiąt lat).
14. Zmiana Budowniczych oddziałuje coraz mocniej, gdy ludzie używają sztuk magicznych, co z kolei pozwala zaistnieć większej ilości magii w świecie. To błędne koło kruszy rzeczywistość i prowadzi do końca świata.
15. Czerwona Królowa uważa, że da się zapobiec katastrofie albo że powinna chociaż spróbować. Błękitna Dama chce przyspieszyć koniec, wierząc, że wraz z kilkoma wybrańcami zdoła przetrwać i stać się bogami w nowym świecie, czymkolwiek by on był.
16. Doktor Taproot zdawał się dyrektorem cyrku zarządzającym swą własnością, ale Jalan dostrzegł go we wspomnieniach swej babki sprzed sześćdziesięciu lat w roli strażnika jej dziadka. Był wtedy prawie w tym samym wieku co teraz...
17. Koło Osheim to kraina na Północy, gdzie rzeczywistość załamuje się, a każdy koszmar zrodzony w ludzkiej wyobraźni przybiera realny kształt. Wiedza zdobyta przez Karę wskazuje, że w jego sercu znajduje się wielka maszyna, dzieło Budowniczych, tajemnicze silniki skryte w okrągłym podziemnym tunelu o olbrzymiej średnicy. Nie wiadomo, jaką rolę ma ona odegrać w zbliżającej się katastrofie...



PROLOG

W sercu pustyni, pośród wydm większych niż najwyższe minarety, ludzie są maleńcy, mniejsi niż mrówki. Pali tam słońce, szepce wiatr, wszystko jest w ruchu zbyt powolnym dla oka, lecz pewniejszym niż wzrok. Prorok rzekł, iż piasek nie jest ani łaskawy, ani okrutny, ale w piecu Saharu trudno uwierzyć, że nie darzy cię nienawiścią.

Tahnoona bolały plecy, a suchy język drapał o podniebienie. Jechał przygarbiony, kiwając się w rytm kroków swego wielbłąda. Mrużył oczy od blasku, mimo że zakrywał je cienki materiał turbanu. Odepchnął od siebie myśli o niewygodzie. Kręgosłup, pragnienie, odciski od siodła – nic nie miało znaczenia. Liczyło się jedynie to, że karawana idąca śladem Tahnoona polegała na jego oczach. Jeśli Allah, po trzykroć święty, sprawi, że będzie widział wyraźnie, Tahnoon spełni swoją rolę.

Jechał zatem i obserwował zatrzęsienie piasku i jego przeogromną pustkę, milę po spieczonej mili. Za nim karawana wiła się pomiędzy wydmami, gdzie wieczorem zaczęły się gromadzić pierwsze cienie. Na zboczach wzdłuż jej linii jechali pozostali Ha'tari, czujnie patrząc w dal. Czuwali nad słabymi al'Effem z ich zszarganą wiarą. Tylko Ha'tari wciąż dotrzymywali przykazań tak w duchu, jak i w słowach. Na pustyni jedynie tak surowe przestrzeganie przykazań utrzymywało człowieka przy życiu. Inni mogą przejść pustynię i przetrwać, ale wyłącznie ludzie Tahnoona byli w stanie żyć na Saharze, gdzie tylko studnia, która zawsze mogła wyschnąć, dzieliła ich od śmierci. Balansowali na granicy we wszystkim, co robili. Czyści. Wybrańcy Allaha.

Tahnoon skierował wielbłądzicę w górę zbocza. Al'Effem czasem nazywali swoje zwierzęta. Kolejna słabość plemion nieurodzonych na pustyni. W dodatku odpuszczali sobie drugą i czwartą modlitwę każdego dnia, odmawiając Allahowi tego, co Mu się należało.

Zerwał się wiatr, gorący i suchy. Sprawiał, że piasek zasyczał, zsuwając się z rzeźbionego czubka wydmy. Dojechawszy na szczyt pochyłości, Tahnoon spojrzał w dół na kolejną spaloną słońcem pustą dolinę. Potrząsnął głową i powrócił myślami wzdłuż własnych śladów do karawany. Zerknął do tyłu w stronę łuku następnej wydmy, za którą jego podopieczni mozolili się, idąc śladem, który dla nich wyznaczył. Ci konkretni al'Effem byli pod jego opieką

już od dwudziestu dni. Jeszcze dwa i doprowadzi ich do miasta. Jeszcze tylko dwa dni znoszenia szejka i jego rodziny i nie będą już drażnić go dłużej swym dekadencckim, bezbożnym trybem życia. Córki były najgorsze. Szły za wielbładami ojca, odziane nie w długie na dwanaście jardów dżalabije Ha'tari, tylko w dziewięciojardowe okropieństwa, spowijające je tak ciasno, że ich fałdy prawie nie ukrywały ciał pod nimi.

Krzywizna wydmy przyciągnęła wzrok Tahnoona i przez chwilę wyobrażał sobie kobiece biodro. Potrząsnął głową, by pozbyć się tej wizji, i chętnie by splunął, gdyby nie miał tak wyschniętych ust.

– Boże, przebac mi mój grzech.

Jeszcze dwa dni. Dwa długie dni.

Wiatr bez ostrzeżenia przeszedł z zawrodożenia w wycie, prawie zrzucając Tahnoona z siodła. Jego wielbładzica ryknęła z niezadowoleniem, próbując odwrócić głowę od kłującego piasku. Tahnoon nie odwrócił głowy. Zaledwie dwadzieścia jardów przed nim i sześć stóp nad wydumą powietrze zamigotało jak w mirażu, ale nieprzypominającym żadnego z tych, które Tahnoon widział w ciągu czterdziestu suchych lat. Pustka zmarszczyła się niby płynne srebro, a potem rozdarła się, ukazując fragmenty innego miejsca, jakiejś kamiennej świątyni oświetlonej martwym pomarańczowym światłem, które obudziło wszystkie bóle, jakie Ha'tari ignorował do tej pory, i zmieniło je w pulsującą niedolę. Wargi Tahnoona cofnęły się, jakby usta wypełnił mu kwaśny posmak. Z trudem zachował kontrolę nad wielbładzicą, bo zwierzę podzielało jego strach.

– Co? – wyszeptał do siebie, lecz jego głos utonął w skargach wierzchowca.

Przez poszarpane szczeliny w materii świata Tahnoon dostrzegł nagą kobietę z ciałem wykutym z każdego pożądanego, które mógłby poczuć mężczyzna. Każda jego krzywizna była podszyta cieniem i pieszczona tym samym martwym światłem. Pełne kształty niewiasty przytrzymały spojrzenie Tahnoona na dziesięć wolnych uderzeń serca, zanim jego wzrok w końcu powędrował ku jej twarzy i szok zrzucił go z siodła. Nawet gdy Tahnoon uderzył o ziemię, nie wypuścił z ręki bułatu. Demon popatrzył na niego ślepiami czerwonymi jak krew i rozwarł usta, szczerząc kły podobne do zębów tuzina wielkich kobr.

Tahnoon rzucił się do tyłu ku szczytowi wydmy. Jego przerażona wielbładzica zniknęła, słychać było tylko cichnący, głuchy tętent jej kopyt, gdy uciekała. Dotarł do wierzchołka wzniesienia rychło w czas, by zobaczyć, jak pocięta zasłona między nim a świątynią rozdarła się szeroko, jak gdyby jeździec wyciął sobie mieczem przejście w płótnie namiotu. Sukub stał teraz w pełni okazałości, a z rozdartego powietrza przed nim wytoczył się półnagi

mężczyzna. Ciężko upadł w piach, lecz natychmiast skoczył na nogi i sięgnął nad głowę w miejsce, gdzie sukub wymacał drogę, chcąc podążyć przez szczelinę, w którą mężczyzna zanurkował głową naprzód. Gdy demon wyciągnął w jego stronę dłoń, a z jego palców wystrzeliły szpony przypominające igły, mężczyzna dźgnął powietrze nad sobą pięścią zaciśniętą na czymś czarnym. Rozległo się głośne kliknięcie i wszystko zniknęło. Dziura prowadząca do innego świata zniknęła. Demonica ze szkarłatnym wzrokiem i doskonałym biustem zniknęła. Przepadła starożytna świątynia, a martwe światło tego okropnego miejsca znów zostało zapieczętowane za cienką zasłoną, która dzieliła ludzi od koszmarów.

– Kurwa! W dupę jeża! – Mężczyzna zaczął przeskakiwać z jednej bosej stopy na drugą. – Pali! Pali! Pali! – Niewierny, wysoki, bardzo biały, ze złotymi włosami z dalekiej Północy za morzem. – Kurwa. Pali. Kurwa. Pali. – Naciągając but, który musiał wypaść ze szczeliny razem z nim, przewrócił się i przypieklł swe nagie plecy na parzącym piasku, po czym znów skoczył na nogi. – Noż kurwa! Niech to szlag! – Mężczyzna zdołał wciągnąć również drugi but, zanim upadł po raz kolejny i sturlał się po drugim zboczu wydmy, wyrzaskując przekleństwa.

Tahnoon podniósł się powoli i wsunął bułat z powrotem do zakrzywionej pochwy. Krzyki mężczyzny cichły w oddali. Człowiek? Czy demon? Uciekł z piekła, a zatem demon. Ale jego słowa pochodziły z języka starego Imperium, grube od szorstkiego akcentu mieszkańców Północy, łamiącego ludziom język na każdej sylabie.

Ha'tari mrugnął i pod powiekami zarysował mu się zielono-czerwony sukub, wyginający się w jego stronę. Tahnoon mrugnął znowu, raz, drugi, trzeci. Obraz pozostał na miejscu, kuszący i śmiercionośny. Tahnoon z westchnieniem ruszył w dół wydmy za wrzaskliwym niewiernym, przysięgając sobie, że już nigdy nie będzie się przejmował skandalicznym dziewięciojardowym odzieniem al'Effem.



Wszystko, co musiałem zrobić, to przejść przez świątynię i nie dać się zwieść z drogi. Razem nie więcej niż dwieście kroków i mógłbym opuścić piekło przez bramę sędziów i znaleźć się w jakimkolwiek cholernym miejscu, którego bym sobie zażyczył. Wybrałbym oczywiście pałac w Vermillionie.

– Cholera. – Podniosłem się z parzącego piasku. Cholerstwo przykleiło mi się do ust, wypełniało oczy tysiącem zgrzytliwych ziarenek, zdawało się nawet wyciekać mi z uszu, gdy przechyliłem głowę. Przykucnąłem, spluwając i mrużąc oczy w jasnym świetle dnia. Słońce paliło z góry z tak niedorzeczną zawziętością, że prawie czułem, jak skóra wysycha mi w jego promieniach. – Kurde no.

Ona jednak *była* przepiękna. Ta część mojej jaźni, która wiedziała zawczasu, że to pułapka, teraz wynurzyła się spod bardziej pożądlivych dziewięciu dziesiątych mnie i zaczęła krzyczeć: A nie mówiłam?

– Do dupy z tym. – Podniosłem się. Olbrzymia wydma wznosiła się przede mną stromym lukiem, wyższa, niż wydawało się to właściwe, i rozgrzana jak patelnia. – Pieprzona pustynia. Świetnie, po prostu świetnie.

Chociaż w zasadzie po krainie umarłych nawet pustynia nie wydawała się taka zła. Bez wątpienia była zdecydowanie za gorąca, chętna, by przypalić każdy skrawek ciała, który dotknął piasku. I pewnie zabije mnie w ciągu godziny, jeśli nie znajdę wody. Ale jeśli nie liczyć tego wszystkiego, znajdowała się w świecie żywych. Owszem, nie było tu śladu żadnego życia, ale materia tego świata nie została utkana ze złych zamiarów i rozpachy, a ziemia nie wysysała z człowieka życia, radości i nadziei, jak bibuła wchłaniająca atrament.

Zerknąłem w górę na niesamowity błękit nieba. Po prawdzie był to spłowiały błękit, który wyglądał, jakby za długo zostawiono go na słońcu, ale po niezmiennym, matowym pomarańczowym świetle martwego nieba wszystkie kolory były w moich oczach żywe, jaskrawe i intensywne. Przeciągnąłem się.

– Cholera, dobrze jest ujść z życiem!

– Demon. – Głos za moimi plecami.

Obróciłem się wolno, wciąż szeroko rozkładając ramiona i pokazując puste dłonie. Zdażyłem wcisnąć klucz za rozpięty pas, ledwo podtrzymując moje

spodnie.

Jakiś tubylec ubrany w czarną szatę celował we mnie zakrzywionym mieczem. Za nim na zboczu wydmy widoczne były jego ślady. Nie mogłem dostrzec twarzy przez te zasłony, które noszą miejscowi, ale nie wydawał się zadowolony z mojego widoku.

– *As-salamu alaykum* – powiedziałem. Tylko tyle podłapałem z pogańskiego języka podczas roku spędzonego w pustynnym mieście Hamada. To lokalna wersja słowa „witam”.

– Ty. – Tubylec gwałtownie dźgnął powietrze swoim ostrzem. – Z niebo!

Odwrociłem dłonie wnętrzem do góry i wzruszyłem ramionami. Co miałem mu powiedzieć? Poza tym dobre kłamstwo i tak poszłoby na marne, jeśli gość rozumiał język Imperium tak słabo, jak się nim posługiwał.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i jakimś cudem zasłony nie przesłoniły wcale głębi jego nieprzychylności.

– Ha'tari? – zapytałem. W Hamadzie miejscowi polegali na urodzonych na pustych najemnikach, którzy potrafili przeprowadzić ich przez jałowe ziemie. Byłem prawie pewien, że nazywali ich Ha'tari.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko obserwował mnie, trzymając miecz w pogotowiu. W końcu machnął nim w stronę zbocza, z którego zszedł.

– Idzie.

Kiwnąłem głową i zacząłem gramolić się na wydnię po jego śladach, wdzięczny, że nie zdecydował się tu i teraz przebić mnie na wylot i zostawić, bym się wykrwawił. Oczywiście nie potrzebował wcale miecza, by mnie zabić. Gdyby po prostu mnie zostawił, byłby to wyrok śmierci.

Na wydmy piaskowe wspina się o wiele trudniej niż na dwakroć większe od nich wzgórza. Wciągają stopy w piach, kradnąc ci energię przy każdym kroku. Człowiek zaczyna dyszeć, zanim jeszcze wespnie się na własną wysokość. Po dziesięciu krokach byłem spragniony, w połowie drogi zaś wyschnięty na amen i kręciło mi się w głowie. Ze zgiętym karkiem walczyłem z podejściem na zbocze, starając się nie myśleć o słońcu dewastującymi mi plecy.

Swą ucieczkę przed sukubem zawdzięczałem raczej szczęściu niż rozumowi. W każdym razie musiałem zakopać swój rozum bardzo głęboko, skoro w ogóle dałem jej się zwieść. Co prawda była pierwszą rzeczą w krainie zmarłych, która wyglądała na żywą – co więcej, była snem wcielonym, ukształtowanym w obietnicę, której pożądałby każdy mężczyzna. W Lisę DeVeer. Cios poniżej pasa. Mimo to nie mogłem twierdzić, że nie było żadnego ostrzeżenia, a gdy objęła mnie i jej usta rozwarły się szerzej niż pysk hieny, ukazując rząd kłów, byłem tylko na wpół zaskoczony.

Jakimś cudem udało mi się wyrwać, tracąc przy tym koszulę, ale szybko

dopadłaby mnie z powrotem, gdybym nie dostrzegł falujących ścian i nie poznał, że zasłony były tam cienkie, bardzo cienkie. Klucz rozdarł je dla mnie i skoczyłem na drugą stronę. Nie wiedziałem, co będzie tam na mnie czekać, na pewno nic dobrego, ale istniała spora szansa, że będzie miało mniej zębów niż moja nowa przyjaciółka.

Snorri powiedział mi kiedyś, że zasłony były najcieńsze tam, gdzie umierało najwięcej ludzi. Wojny, plagi, masowe egzekucje... wszędzie tam, gdzie dusze były oddzielane od ciał w wielkiej liczbie i musiały przedostać się do zaświatów. A zatem fakt, że wypadłem na wymarłej pustyni, gdzie nie było nikogo, kto mógłby umrzeć oprócz mnie, stanowił pewne zaskoczenie.

Każda część świata ma swój odpowiednik w krainie umarłych. Tam, gdzie ma miejsce katastrofa, bariera między nimi słabnie. Powiadają, że w Dniu Tysiąca Słońc tak wielu ludzi zginęło w tak wielu miejscach w tym samym czasie, że zasłona między życiem a śmiercią podarła się na strzępy i nigdy do końca się nie scalała. Od tamtej pory nekromanci wykorzystywali tę słabość.

– Tam! – Głos tubylca wyrwał mnie z zadumy i odkryłem, że wdrapałem się na szczyt wydmy. Kierując wzrok w kierunku, który wskazywał ostrzem, w dolinie między naszym wzgórzem piasku a następnym dojrzałem pierwszy tuzin wielbłądów z czegoś, co jak liczyłem, mogło się okazać okazałą karawaną.

– Dzięki niech będą Allahowi! – Posłałem poganinowi mój najszerzy uśmiech. W końcu kiedy wejdiesz między wrony...

Kolejni Ha'tari zaczęli się zbierać wokół nas, zanim doszliśmy do karawany, wszyscy w czarnych szatach. Jeden wiódł zbłąkanego wielbłąda. Mój porwacz, a może zbawca, wsadł na owo zwierzę, a jeden z jego ziomeków rzucił mu wodze. Ja musiałem samodzielnie ześlizgnąć się z wydmy.

Zanim dotarliśmy do karawany, ukazała się ona w całej okazałości – co najmniej setka wielbłądów, większość objuczona dobrami. Bele owinięte w materiał piętrzyły się przy garbach zwierząt, po dwa wielkie dzbany zwisały im po bokach, a ich stożkowate dna prawie dotykały piasku. Około dwudziestu wielbłądów miało na grzbietach jeźdźców, odzianych różnorako, w szaty białe, jasnoniebieskie lub w ciemną kratę. Za nimi podążał pieszo jeszcze jakiś tuzin pogan, owiniętych w masy czarnej tkaniny i zapewne zlanych potem. Na końcu tupało kilka mizernych owiec. Ekstrawagancja, biorąc pod uwagę cenę zapewnienia im wody.

Stałem, piekąc się w słońcu, podczas gdy dwóch Ha'tari zatrzymało trzech jeźdźców z karawany. Kolejny zabrał mi nóż i miecz. Po dwóch minutach gestykulowania i gróźb śmierci, a może cywilizowanej rozmowy – w pustynnym języku brzmią one tak samo – cała piątka wróciła do mnie. Jeden

mężczyzna w białej szacie w środku, dwaj kraciaści po jego bokach, a całkiem na skrzydłach Ha'tari.

Trzech nowych miało odsłonięte twarze, spieczone od słońca na ciemny kolor, haczykowane nosy i oczy jak czarne kamienie. Zgadywałem, że byli spowinowaceni, może ojciec i synowie.

– Tahnoon twierdzi, że jesteś demonem i powinniśmy cię stracić w tradycyjny sposób, aby uniknąć nieszczęścia – przemówił ojciec wąskimi, okrutnymi ustami, okolonymi krótką białą brodą.

– Książę Jalan Kendeth z Czerwonej Marchii do twych usług! – Zgiąłem się wpół. Uprzejmość nic nie kosztuje, jest zatem idealnym prezentem, gdy ktoś jest tak skąpy jak ja. – I tak naprawdę jestem aniołem zbawienia. Powinniście mnie zabrać ze sobą. – Wypróbowałem na nim swój uśmiech. Ostatnio nie działał tak, jak trzeba, ale nic więcej nie miałem.

– Książę? – Mężczyzna odpowiedział uśmiechem. – Wybornie. – W jakiś sposób jedno skrzywienie ust odmieniło jego twarz. Czarne surowe oczy zabłyśły i wyglądały prawie życzliwie. Nawet chłopcy po jego bokach przestali piorunować mnie wzrokiem. – Chodź, posilisz się z nami! – Nieznajomy klasnął i warknął coś do starszego syna tak zjadliwym głosem, że byłem skłonny uwierzyć, że właśnie kazał mu się własnoręcznie wypatroszyć. Syn odjechał prędko. – Jestem szejk Malik al'Hameed. Moi chłopcy. Jahmeen. – Wskazał na tego, który został przy nim. – I Mahood. – Kiwnął w stronę drugiego, który odjeżdżał.

– Jestem zaszczycony. – Znow się ukloniłem. – Mój ojciec jest...

– Tahnoon mówi, że spadłeś z nieba i ścigała cię kurwa-demonica. – Szejk wyszczerzył zęby do swego syna. – Kiedy Ha'tari spada z wielbłąda, zawsze winny jest demon albo dżin – tacy dumni ludzie. Bardzo dumni.

Zaśmiałem się wraz z nim, głównie z ulgi. Właśnie chciałem się przyznać, że byłem synem kardynała. Może już miałem udar słoneczny.

Mahood wrócił, prowadząc dla mnie wielbłąda. Nie mogę powiedzieć, że bym darzył sympatią te zwierzęta, ale jeździectwo może być moim jedynym prawdziwym talentem, a poza tym spędziłem wystarczająco dużo czasu, kiwając się na wielbłądzim grzbiecie, by opanować podstawy. Dość zgrabnie wskoczyłem na siodło i dźgnąłem stopą w bok zwierza, ruszając za szejkiem Malikiem. Uznałem, że słowa, które wymruczał do swych synów, były pochwałą moich umiejętności.

– Rozbijemy obóz. – Szejk podniósł rękę, gdy dołączyliśmy do czoła kolumny. Wciągnął powietrze, by wykrzyczeć rozkaz.

– Chryste, nie! – W panice wydarłem się głośniejszym, niż zamierzałem. Ciągnąłem więc dalej, licząc na to, że „Chryste” przejdzie niezauważone.

Kluczem do zmiany czyjegoś zdania jest zrobienie tego, zanim nasz ktoś ogłosi swój plan. – Szejku al'Hameedzie, musimy jechać prędko. Tutaj zdarzy się coś strasznego, i to niebawem! – Skoro zasłony nie przetały się z powodu jakiejś trwającej właśnie rzezi, mogło to oznaczać tylko jedną rzecz. Coś o wiele gorszego dopiero *miało* się wydarzyć, a ściany dzielące życie i śmierć rozsypywały się w oczekiwaniu...

Szejk obrócił się ku mnie. Jego oczy znów przypominały skały, a synowie stężeli, jakbym przerywając mu w pół słowa straszliwie go obraził.

– Panie mój, twój sługa Tahnoon po części miał rację. Nie jestem demonem, ale spadłem z nieba. Coś strasznego zdarzy się tu już niedługo i musimy odjechać jak najdalej od tego miejsca. Przysięgam na mój honor, że mówię prawdę. Być może przysłano mnie tu, bym uratował ciebie, a ty zostałeś tu przysłany, by uratować mnie. Jednak z całą pewnością jeden nie zdoła przetrwać bez pomocy drugiego.

Szejk Malik zmrużył oczy, patrząc na mnie. Słońce, w którego świetle nie dało się ukryć wieku, ujawniło kurze łapki na jego twarzy.

– Ha'tari to prości ludzie, księżę Jaland, przesądni. Moje królestwo leży na północ stąd i sięga aż do wybrzeża. Studiowałem w Mathemie i nie służę nikomu prócz samego kalifa Liby. Nie bierz mnie za głupca.

Strach, który już trzymał mnie za jaja, ścisnął je jeszcze mocniej. Widziałem śmierć we wszystkich jej straszliwych rodzajach i drogo zapłaciłem za ucieczkę aż tutaj. Nie chciałem znaleźć się z powrotem w krainie zmarłych w ciągu następnej godziny, tym razem jako kolejna dusza wydarta z ciała, bezbronna wobec czyhających tam koszmarów.

– Spójrz na mnie, lordzie al'Hameedzie. – Rozłożyłem ramiona i zerknąłem w dół na mój czerwieniejący brzuch. – Jesteśmy w sercu pustyni. Spędziłem tu niecały kwadrans i moja skóra jest poparzona. Za godzinę pokryje się pęcherzami i zacznie się łuszczyć. Nie mam szaty, wielbłąda ani wody. Jak miałbym się tu dostać w takim stanie? Przysięgam, mój panie, na honor mego rodu, jeśli natychmiast nie ruszymy dalej najszybciej, jak się da, wszyscy zginieemy.

Szejk spojrzał na mnie, jakby dopiero teraz zaczął naprawdę mi się przyglądać. Minęła długa minuta ciszy, którą mąciły jedynie nikły syk piasku i prychnanie wielbłądów. Ludzie wokół nas obserwowali całe zajście w napięciu.

– Mahood, znajdź dla księcia jakieś szaty. – Szejk ponownie podniósł rękę i warknął rozkaz. – Jedziemy dalej!

Obiecana ucieczka okazała się o wiele za wolna jak na mój gust. Szejk omówił sprawy z dowódcą Ha'tari i spacerowym krokiem zaczęliśmy się wspinać na wydnię, najwyraźniej pod kątem prostym do ich pierwotnej trasy. Najlepszą

chwila z pierwszej godziny spędzonej na pustyni było napięcie się wody. Rozkosz nie do opisanego. Woda to życie, a na suchych ziemiach zaświetów sam zacząłem czuć się dość martwy. Wlanie do ust tego wspaniałego mokrego życia było jak powtórne narodziny, pewnie równie pełne wysiłku jak pierwsze, biorąc pod uwagę, ilu mężczyzn musiało odrywać mnie od dzbanka z wodą.

Minęła kolejna godzina. Całą siłę woli zużywałem na powstrzymanie się od dźgnięcia zwierza mocno w bok i odjechania galopem. Brałem kiedyś udział w wielbłądzych wyścigach podczas mojego pobytu w Hamadzie. Nie byłem najlepszym jeźdźcą, ale stawiano na mnie niezłe kwoty, jak na cudzoziemca. Jazda na cwałującym wielbłądzie przypomina energiczny seks z nienaturalnie silną i bardzo brzydką kobietą. Teraz w zasadzie nie chciałem niczego więcej, ale pustynia to raczej maraton, nie sprint. Ciężko objuczone wielbłądy zmęczyłyby się po połowie mili, a nawet szybciej, gdyby musiały jeszcze nieść piechurów. Zaś szejk, mimo że podjął decyzję o dalszej jeździe z powodu mojej historii, z pewnością uznał, że prawdopodobieństwo mego szaleństwa było większe niż jakikolwiek zysk, który mogłoby przynieść porzucenie wiezionych dóbr na żer dla wydm.

– Dokąd podążasz, lordzie al'Hameedzie? – Jechałem obok niego pranie na samym czele kolumny. Wyprzedzali nas jedynie dwaj jego starsi synowie. Kolejnych trzech dziedziców szejka jechało gdzieś z tyłu.

– Zmierzaliśmy do Hamady i wciąż się do niej kierujemy, choć nie jedziemy teraz bezpośrednią drogą. Planowałem spędzić ten wieczór w Oazie Palm i Aniołów. Klany zbierają się tam na spotkanie szejków przed wysłaniem naszych delegacji przed oblicze kalifa. Dochodzimy do porozumienia na pustyni, jeszcze przed wjazdem do miasta. Ibn Fayed udziela audiencji swym podwładnym jedynie raz w roku i lepiej przemawiać przed tronem jednym głosem, by nasze prośby dotarły do jego uszu.

– Czy wciąż masz zamiar jechać do oazy?

Szejk charknął flegmą. Miejscowi chyba przejęli ten zwyczaj od wielbłądów.

– Zdarza się, że Allah zsyła nam znaki. Czasami są one zapisane w piasku i trzeba się spieszyć, by je odczytać. Czasami kryją się w gromadzie przelatujących ptaków lub rozbryzgu jagnięcej krwi i trzeba być mądrym, by je zrozumieć. Czasami niewierny spada ci pod nogi na pustyni i trzeba być głupcem, by go nie posłuchać. – Zerknął w moją stronę z ustami zaciśniętymi w wąską linię. – Oaza leży trzy mile na zachód od miejsca, w którym cię znaleźliśmy. Hamada znajduje się dwa dni na południe.

Wiele osób zdecydowałoby się zanieść ostrzeżenie do oazy. Zalała mnie fala ulgi, że Malik al'Hameed nie był jedną z nich, bo zamiast oddalać się od nadchodzącego niebezpieczeństwa, znalazłbym się raptem trzy mile od niego,

starając się przekonać tuzin szejków do opuszczenia oazy.

– A jeśli oni wszyscy zginą?

– Ibn Fayed wciąż usłyszy jeden głos. – Szejk popędził stopą wielbłąda. – Mój.

Po przejechaniu kolejnej mili zdałem sobie sprawę, że choć Hamada leżała dwa dni drogi stąd na południe, my kierowaliśmy się na wschód. Znów podjechałem do szejka, zmuszając jednego z synów do ustąpienia mi miejsca.

– Nie jedziemy jednak do Hamady?

– Tahnoon mówi, że na wschodzie jest rzeka, która poniesie nas w bezpieczne miejsce.

Obróciłem się w siodle i posłałem szejkowi surowe spojrzenie.

– Rzeka?

Wzruszył ramionami.

– Miejsce, gdzie czas płynie inaczej. Świat popękał, przyjacielu. – Podniósł rękę, wskazując słońce. – Ludzie spadają z nieba. Martwi są niespokojni. A na pustyni są pęknięcia, gdzie czas ucieka od ciebie lub biegnie wraz z tobą. – Znów wzruszył ramionami. – Odległość między nami a twoim niebezpieczeństwem, czymkolwiek ono jest, zwiększy się szybciej, jeśli popędzimy w tym kierunku, zamiast pędzić co tchu w jakimkolwiek innym.

Słyszałem wcześniej o podobnych zjawiskach, choć jeszcze nigdy żadnego nie widziałem. Na Wzgórzach Bremmer w Ost-Reichu są bańki wolnoczasu, które potrafią uwięzić człowieka i uwolnić go po tygodniu, roku albo i wieku, do świata, który się postarzał, podczas gdy człowiek ledwie zdążył mrugnąć. Gdzie indziej są miejsca, w których to człowiek próchnieje, a po wyjściu odkrywa, że w chrześcijańskim świecie minął jedynie dzień.

Jechaliśmy dalej i być może znaleźliśmy tę rzekę czasu, ale nie dało się tego po niczym poznać. Nasze stopy nie poruszały się prędzej i nie stawialiśmy kroków długich na siedem jardów. Jedyne, co mogę rzec, to że wieczór minął znacznie szybciej, niż się spodziewałem, i noc spadła na nas jak kamień.

Obróciłem się w siodle chyba ze sto razy. Gdybym to ja był żoną Lota, słup soli stałby w bramie Sodomy. Nie wiedziałem, czego wypatruję: piekielnie czarnych demonów na tle wydm, plagi mięsożernych skarabeuszy... Przypomnieli mi się Czerwoni Wikingowie, którzy całe wieki temu gonili nas aż do Osheim, i prawie spodziewałem się, że ujrzę ich na wydmie ze wzniesionymi toporami. Cokolwiek jednak malowałyby mi w oczach strach, horyzont nadal pozostawał pusty i bez śladu zagrożenia. Widziałem tylko tylną straż Ha'tari, wzmocnioną na życzenie szejka.

Na jego rozkaz jechaliśmy też długo po zapadnięciu zmroku, aż w końcu parskanie zwierząt przekonało go do postoju. Usiadłem i zacząłem sączyć wodę

z bukłaka, podczas gdy ludzie szejka z wyćwiczoną oszczędnością ruchów zaczęli rozstawiać obóz. Zdjęli z grzbietów wielbłądów wielkie namioty i rozstawili je, przywiązując liny do płaskich palików na tyle długich, by dobrze zaczepiły się w piasku. Rozpalili też ogniska z wielbłądzich odchodów zebranych w trakcie podróży. Zapalili lampy i ustawili je pod markizami namiotów. Przy namiocie szejka lampy były srebrne i płonęła w nich ropa. Rozpakowano kociołki, otwarto pojemniki z zapasami, znalazł się nawet mały żelazny piecyk, który ustawiono nad osobnymi olejowymi palnikami. W powietrzu rozszedł się aromat przypraw, bardziej obcy niż wydmy i nieznanne gwiazdy nad nami.

– Zarzynają owce. – Mahood podszedł do mnie od tyłu, sprawiając, że podskoczyłem. – Ojciec prowadził je przez pustynię, by zaimponować szejkowi Kahleedowi i pozostałym na zgromadzeniu. Poślij wcześniej posłańca, powiedziałem mu, niech przyprowadzą nam owce z Hamady. Ale nie, chciał podjąć Kahleeda baraniną z Hameed. Rzekł, że tamten poznałby się na każdym oszustwie. Mięso zaprawione pustynią jest żylaste i twarde, ale ma własny, wyjątkowy smak. – Gdy mówił, obserwował Ha'tari. Patrowali teraz okolicę pieszko, chodząc po zalanych księżycowym światłem wydmach i nawołując się od czasu do czasu miękkiemi, melodyjnymi okrzykami. – Ojciec zechce cię wypytać, skąd przybyłeś i kto zdradził ci wieści o zagładzie, ale to jest rozmowa, która powinna mieć miejsce po posiłku, rozumiesz?

– Rozumiem. – Przynajmniej będę miał trochę czasu, by wymyślić odpowiednie łgarstwa. Gdybym powiedział im prawdę o tym, gdzie byłem i co widziałem... powywracałyby im się żołądki i pożałowałiby, że zjedli posiłek.

Mahood i jeden z pozostałych synów usiedli przy mnie i zaczęli palić, dzieląc pojedynczą, długą fajkę przepięknie wyrzeźbioną z morskiej pianki. Ale sądząc po smrodzie, palili w niej chyba śmieci. Gestem dłoni odmówiłem, gdy wyciągnęli ją w moją stronę. Pół godziny później odprężyłem się i rozłożyłem na plecach, słuchając głosów Ha'tari dobiegających z oddali i wpatrując się w błyszczące gwiazdy. Już po krótkim czasie spędzonym w piekle definicja „dobrego towarzystwa” redukuje się do „niemartwy”. Po raz pierwszy od wieków poczułem się zrelaksowany.

Nieco później tłum wokół garnków przerzedził się i kawalkada ludzi zniosła owoce całej swej pracy do największego namiotu. Rozbrzmiał gong i obaj bracia siedzący koło mnie wstali.

– Jutro zobaczymy Hamadę. Dziś ucztuujemy. – Mahood, smukły i posępny, postukał fajką o piasek. – Miałem dziś zobaczyć w oazie wielu wytęsknionych przyjaciół, księżę Jalande. Mój brat Jahmeen miał dziś wieczór spotkać swą narzeczoną. Choć mam wrażenie, że cieszy go zwłoka, choćby o dzień lub dwa.

Dla twego dobra miejmy nadzieję, że twe ostrzeżenie nie jest czczym wymysłem, inaczej mój ojciec straci twarz. Dla dobra naszych braci na pustyni miejmy nadzieję, że się mylisz. – Po tych słowach odszedł, a ja podążyłem za nim do rozświetlonego namiotu.

Kłapy wejścia zamknęły się za Mahoodem. Odsunąłem je i wszedłem do środka. Wciąż miałem nieco zgięte plecy, gdy na moment oślepiło mnie światło kilkunastu latarni.

Rozesłany na piasku leżał szeroki przepyszny kobierzec utkany z jedwabiu, z wystawnym wzorem z czerwonych i zielonych nici. Był udekorowany mniejszymi dywanami tam, gdzie można by się spodziewać stołu i krzeseł. Rodzina i służba szejka al'Hameeda siedziała wokół dywanu rozłożonego na środku, zastawionego srebrnymi tacami pełnymi jedzenia. Były tam kopce aromatycznego ryżu, żółtego, białego i zielonego, w misach leżały daktyle i oliwki, obok znajdowały się pasy marynowanego, suszonego i słodkiego wielbłądziego mięsa, uwędzone nad otwartym ogniem i oprószone pyłkiem pustynnej róży. Oprócz tego jeszcze tuzin innych półmisek pysznił się kulinarnymi tajemnicami.

– Spocznij, książę, spocznij. – Szejk wskazał mi miejsce.

Ruszyłem w tamtą stronę i wtedy uświadomiłem sobie, że połowa towarzystwa siedzącego przy uczcie była płci żeńskiej. W dodatku kobiety te były piękne i młode, odziane w nieprzyzwoite ilości jedwabiu. Wdzięczne nadgarstki oplatały im ciężkie, godne podziwu, błyszczące złote bransolety, a wymyślne kolczyki opadały z uszu kaskadami płatków na nagie ramiona i w zagłębienia za obojczykami.

– Szejku... Nie wiedziałem, że masz... – Córki? Żony? W swej ignorancji zamknąłem usta i usiadłem, krzyżując nogi, na wskazanym miejscu, starając się nie ocierać łokciami o ciemnowłose zjawiska obok mnie. Każda była tak kusząca jak sukub i mogła stanowić równie śmiertelną pułapkę.

– Nie spostrzegłeś mych sióstr, kiedy szły za nami? – Jeden z młodszych braci, którego imienia nie zapamiętałem, był wyraźnie rozbawiony.

Otworzyłem usta. *To były kobiety?* Pod tymi zwojami mogłyby chować cztery ręce i rogi, a i tak nic bym nie zauważył. Rozważnie nie pozwoliłem jednak żadnemu słowu uciec z opadłej szczęki.

– Zastaniemy się i idziemy pieszo, by zadowolić Ha'tari. – Odezwała się dziewczyna po mojej lewej stronie, wysoka, szczupła, elegancka i pewnie niemająca więcej niż osiemnaście lat. – Łatwo ich zszokować, tych pustynnych mężczyzn. Gdyby udali się na wybrzeże, chyba by oślepli, nie wiedząc, gdzie oczy podziać... biedacy. Nawet Hamada to byłoby dla nich zbyt wiele.

– To jednak nieustraszeni wojownicy – odparła kobieta z prawej strony, być

może w moim wieku. – Bez nich przeprawa przez te jałowe ziemie byłaby prawdziwą męką. Nawet na pustyni czyhają niebezpieczeństwa.

Naprzeciwko nas kolejne dwie siostry wymieniały spostrzeżenia, zerkając w moją stronę. Starsza z nich roześmiała się na całe gardło. Wpatrzyłem się desperacko w jej przyczernione proszkiem antymonowym oczy, walcząc ze sobą, by nie spojrzeć niżej, na jej pełne piersi kołyszące się pod jedwabną gazą wyszywaną cekinami. Słyszałem, że libańscy arystokraci, czy to wszechobecni książęta, rzadziej szejkowie czy pojedynczy panujący kalif, wszyscy strzegli swych kobiet z legendarną żarliwością i byli w stanie pamiętać o wendecie przez wieki za choćby jedno pożądlive spojrzenie. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jakie horrory mogliby zlecić za rozdźwięczenie dziewoi.

Zastanawiałem się, czy szejk uznał mnie za matrymonialną okazję, skoro posadził mnie między swymi córkami.

– Jestem ogromnie wdzięczny, że Ha'tari mnie znaleźli – powiedziałem, wbijając wzrok w posiłek.

– Moje córki: Lila, Mina, Tarelle i Danelle. – Szejk uśmiechnął się pobłaźliwie, wskazując na każdą po kolei.

– Zachwycające. – Wyobraziłem sobie sposoby, w jakie mogłyby mnie pozachwycać.

Jak gdyby czytając mi w myślach, szejk wzniósł swój puchar.

– Nie trzymamy się naszej wiary tak ściśle jak Ha'tari, ale prawa, których wciąż przestrzegamy, są żelazne. Jesteś mile widzianym gościem, książę. Ale jeśli nie zostaniesz zaręczony z jedną z mych córek, nie waż się tknąć jej palcem, chyba że pragniesz się z nim pożegnać.

Poczerwieniałem i uniosłem się honorem.

– Panie! Książę Czerwonej Marchii nigdy by...

– Tknij którąś czymś więcej niż palcem, a podaruję jej twoje jądra pokryte złotem, by je nosiła jak kolczyki. – Uśmiechnął się, jakbyśmy dyskutowali o pogodzie. – Czas na ucztę!

Jedzenie! Przynajmniej było jedzenie. Będę się opychał, aż będę zbyt obżarty, by pozwolić sobie na choćby najmniejszą pożądlivą myśl. I będę się radował tym opychaniem.

W krainie zmarłych był tylko głód. Od pierwszego do ostatniego kroku w tym martwym świetle istniał tylko on.

Szejk zaczął swe pogańskie modlitwy w pustynnym języku. Trwały cholernie długo, a przez cały ten czas burczało mi w brzuchu, a z ust ciekła ślinka na widok rozstawionych przede mną półmisków. Wreszcie reszta grupy dołączyła na wers czy dwa i modły dobiegły końca. Wszystkie głowy zwróciły się oczekująco w stronę wejścia do namiotu.

Dwóch starszych służących wniosło danie główne na srebrnych tacach, kwadratowych na arabeańską modłę. Ze swojego miejsca na podłodze mogłem dostrzec tylko górę jedzenia na półmiskach, bez wątpienia pieczoną baraninę, bo przecież wcześniej miał miejsce ubój. O tak! Mój brzuch warknął jak lew, zarabiając przychylnie kiwnięcia głową ze strony szejka Malika i jego najstarszego syna.

Służący postawił przede mną talerz i ruszył obsługiwać pozostałe osoby. Z talerza gapił się na mnie oskórowany owczy łeb, parujący lekko, a ugotowane gałki oczne wpatrywały się we mnie z rozbawieniem, choć może wrażenie to sprawiała tylko wyszczerzona, pozbawiona warg gęba. Ciemny język leżał skrecony za rzędem zaskakująco równych zębów.

– Ach. – Szczęknąwszy własnymi zębami, zamknąłem usta i spojrzałem w lewo na Tarelle, która właśnie otrzymała własną odciętą owczą głowę.

Obdarzyła mnie słodkim uśmiechem.

– Cudowne, czyż nie, książę Jalanie? Taka uczta na pustyni. Smak domu po tak wielu milach ciężkiej podróży.

Słyszałem, że Libańczycy wściekali się równie mocno, jeśli nie tknęło się ich jedzenia, jak wtedy, jeśli *tknęło się* ich kobiety. Znów skierowałem wzrok na parujący łeb siedzący w kałuży własnych wyciekających soków. Zastanawiałem się, jak daleko byłem od Hamady i ile jardów zdołałbym ujść bez wody.

Sięgnąłem do najbliższej kopy ryżu i zacząłem go piętrzyć na swoim talerzu. Może uda mi się godnie pogrzebać biedne stworzenie i nikt nie zauważy. Niestety, byłem ciekawostką na tej rodzinnej uczcie i większość oczu skierowana była w moją stronę. Nawet tuzin owiec zdawał się być mną zainteresowany.

– Jesteś głodny, mój książę! – Danelle po prawej stronie ocierała się swym kolanem o moje za każdym razem, gdy sięgała po daktyla lub oliwkę.

– Bardzo – odparłem, ponuro zasypując ryżem koszmar na swoim talerzu. Pokrywało go tak mało mięsa, że w zasadzie był wyszczerzoną czaszką. Obecność wyjątkowo okrągłej łyżki pośród moich sztucców sugerowała, że podczas jedzenia powinno się sporo drażnić. Ciekawe, czy zgodnie z etykietą można było używać tej samej łyżki do gałek ocznych i do mózgu...

– Ojciec mówi, że według Ha'tari spadłeś z nieba. – Lila po drugiej stronie uczty.

– I że goniła cię piekielnica! – zachichotała Mina, najmłodsza, uciszona surowym spojrzeniem starszego brata Mahooda.

– Cóż – odparłem. – Ja...

Coś drgnęło pod moją kupą ryżu.

– Tak? – Tarelle u mego boku dotykała mojego kolana swoim, naga pod

cienką jedwabną szatką.

– Z pewnością...

Do diaska! Znowu. Coś wiło się jak wąż pod warstwą błota.

– Ja... szejek mówił, że wasz człowiek spadł z wielbłąda. Mina była drobną, ale niespytykanie powabną istotką, chyba jeszcze nawet nie szesnastoletnią.

– Ha'tari nie należą do nas. My należymy do nich, skoro przyjęli pieniądze ojca. Należymy do nich, dopóki nie doprowadzą nas do Hamady.

– Ale to prawda. – Głos Danelle zabrzmiał uwodzicielsko chrapliwie w moim uchu. – Ha'tari prędzej powiedzą, że księżyc zwiesił się za nisko i strącił ich z wierzchowca, niż przyznają, że spadli z siodła.

Ogólna wesołość. Purpurowy język owcy wychynął ze swego grobowca, skręcając się na posłaniu z wonnego żółtego ryżu. Dziabnąłem widelcem, przyszpilając go do talerza.

Mój nagły ruch przyciągnął uwagę.

– Język to mój ulubiony kąsek – stwierdziła Mina.

– Mózg smakuje niebiańsko – orzekł szejek al'Hameed z głównego miejsca biesiady. – Moje dziewczęta ucierają go z daktylami, pietruszką i pieprzem, po czym wkładają z powrotem do czaszki. – Cmoknął czubki swoich palców.

Gdy dzieci szejka patrzyły na niego, szybko odciąłem język i kilkoma gorączkowymi ruchami rozczłonkowałem go na sześć lub więcej części.

– Umiejętności kucharskie to wspaniała cecha u żony, czyż nie, księżę Jalenie? Nawet jeśli sama nigdy nie będzie musiała gotować, dobrze, by wiedziała dość, aby instruować służących. – Szejek znów skierował swą uwagę na mnie.

– Tak. – Wmieszałem kawałki języka w ryż i dodałem na wierzch kolejną jego porcję. – Bez wątpienia.

Szejek zdawał się zadowolony z mojej odpowiedzi.

– Dajcie biednemu człowiekowi zjeść! Pustynia wzmogła jego apetyt!

Przez kilka minut spożywaliśmy posiłek w ciszy. Każdy podróżnik poświęcił się swojej porcji jedzenia po tygodniach nędznej strawy. Zacząłem pałaszować ryż z obrzeży mojego kurhanu, nie chcąc, by choć kawałek skażonej baraniny znalazł się w pobliżu moich warg. Obok prześliczna Tarelle obróciła głowę swojej owcy, zaczęła wybierać z niej mózg i wkładać do ust, nagle o wiele mniej ponętnych. Łyżka wydawała nieprzyjemne zgrzytliwe odgłosy wewnątrz czaszki.

Wiedziałem, co się stało. W zaświatach klucz Lokiego zaczynał być niewidoczny dla Martwego Króla. Może był to żart boga kłamstw, że jego własność stawała się widzialna wyłącznie wtedy, gdy znajdowała się poza zasięgiem. Jakikolwiek byłby powód, umożliwił nam wędrówkę po krainie

umarłych w mniejszym zagrożeniu ze strony Martwego Króla niż przez ostatni rok w świecie żywych. Oczywiście zagrożenie ze strony wszystkich pozostałych przeklętych stworów znacznie wzrosło, ale to zupełnie inna sprawa. Teraz, gdy klucz znalazł się z powrotem między żywymi, każdy trup mógł zacząć polować na niego dla Martwego Króla.

Byłem prawie pewien, że owce Tarelle i Danelle skierowały na mnie swe obrzmiałe oczy, i nie ośmieliłem się zeskrobać ryżu z własnej owczej czaszki ze strachu, że i ona będzie się na mnie gapić. Dzięki ciągłemu sięganiu po kąski z rozstawionych półmisek zdołałem pochłonąć górę jedzenia, jednocześnie powiększając kopiec na swoim talerzu. Po miesiącach spędzonych w krainie zmarłych trzeba by czegoś więcej niż odcięty owczy łeb, by pozbawić mnie apetytu. Wypiłem również przynajmniej galon płynu ze swego pucharu, nieustannie napełniając go ze stojącego nieopodal dzbanka. Niestety, jedynie wody, ale po pobycie w piekle nabawiłem się pragnienia, które można by ugasić niewielką rzeką, a pustynia tylko je wzmogła.

– To niebezpieczeństwo, które jak twierdzisz, było powodem twego przybycia, by nas ostrzec. – Mahood odsunął od siebie talerz. – Czym ono jest? – Położył obie dłonie na brzuchu. Równie szczupły jak jego ojciec, był jednak od niego wyższy, miał dzioby po ospie i ostre rysy, które z przyjacielskich nagle robiły się złowieszcze przy najlżejszej zmianie wyrazu twarzy

– Złem. – Skorzystałem z okazji, by również odsunąć od siebie naczynie. Niemożność zjedzenia wszystkiego z talerza stanowi komplement wobec szczodrości libańskiego gospodarza. Miałem nadzieję, że mój talerz stanowił po prostu większy komplement, niż się to zazwyczaj zdarzało. – Nie wiem, jaką formę przyjmie. Modlę się tylko, byśmy odjechali na tyle daleko, by nas nie dosięgło.

– A Bóg zesłał niewiernego, by przekazać swe ostrzeżenie?

– Boski znak jest święty bez względu na to, na czym go zapisano. – Za tę złotą myśl musiałem podziękować biskupowi Jamesowi. Wbił mi do głowy te słowa, jeśli nie przekonanie, po tym, jak ozdobiłem ścianę wychodka tym cytatem z Biblii o łączeniu się z kimś w jedno ciało. – I oczywiście nigdy nie należy winić posłańca! To powiedzenie jest stare jak świat! – Odetchnąłem z ulgą, gdy mój talerz zabrano bez słowa komentarza.

– A teraz deser! – Szejk klasnął. – Prawdziwy pustynny rarytas!

Podniosłem wzrok z oczekiwaniem, gdy służący wrócili z mniejszymi kwadratowymi talerzami ułożonymi na wyciągniętych ramionach. Prawie spodziewałem się dostać talerz piasku. Wołałbym dostać talerz piasku.

– To skorpion – powiedziałem.

– Masz bystry wzrok, książę Jalanie. – Mahood posłał mi ponure spojrzenie

znad swego pucharu z wodą.

– Skryształizowany skorpion, książę Jalandar! Spędziłeś czas w Libii i żadnego nie spróbowałeś? – Szejk zdawał się zaskoczony.

– To wielki przysmak. – Tarelle trąciła mnie kolanem.

– Jestem pewien, że mi posmakuje. – Wypchnąłem słowa z za zaciśniętych zębów, które nie chciały się rozdzielić, by dać ujście takim banialukom. Wlepiłem spojrzenie w skorpiona. Potwór był długi na całe dziewięć cali od zakrzywionego ogona, wznoszącego się łukiem nad plecami, do przerośniętej pary szczypiec. Pajęczak był nieco półprzejrzysty, a jego pomarańczowy pancerz połyskiwał od jakiegoś rodzaju słodkiej polewy. Gdyby był jeszcze ciut większy, można by go pomylić z homarem.

– Jedzenie skorpiona to delikatna sztuka, książę Jalandar – powiedział shejk, domagając się naszej uwagi. – Po pierwsze, niech cię nie skusi kolec jadowy. Nie należy go spożywać. Jeśli chodzi o resztę, zwyczajnie się różnią, lecz w mojej ojczyźnie zaczynamy od dolnej części szczypiec, o tak. – Złapał kleszcza za górną część i wsunął nóż między dwie połówki. – Skręcamy lekko, aż pęknie...

Kątem oka dostrzegłem, że skorpion na moim talerzu drgnął lekko w moją stronę na sztywnych odnóżach. Sześć glazurowanych kończyn zaczęło szurać po srebrze, szukając zaczepienia. Trzasnąłem stworzenie swym pucharem, przygważdżając je do talerza, miażdżąc mu pancerz i odnóża. Kawałki poleciały na wszystkie strony, a z pokruszonego ciała zaczął wyciekać mętny syrop.

Wszyscy al'Hameedowie gapili się na mnie w zaskoczeniu z rozdziawionymi ustami.

– Ach... to... – desperacko szukałem w myślach jakiegoś usprawiedliwienia. – Tak to się robi w moim kraju!

Cisza przeciągała się, przechodząc prędko od kłopotliwej do bardzo niezręcznej, gdy nagle shejk Malik z gromkim śmiechem walnął swoją czarą we własnego skorpiona.

– Mało subtelne, ale skuteczne. Podoba mi się! – Dwie córki i jeden syn również poszli w moje ślady. Mahood i Jahmeen patrzyli na mnie zmrużonymi oczyma, gdy zaczęli kawałek po kawałku rozczłonkowywać swój deser w ostentacyjnie tradycyjny sposób.

Spojrzałem w dół na lepki bajzel na moim talerzu pełnym cząstek skorpiona. Ostały się tylko szczypce i kolec jadowy. Wciąż nie miałem ochoty spróbować żadnej z tych części. Naprzeciwko mnie Mina wrzuciła kleisty kawałek połamanego skorpiona w swe śliczne usteczka, cały czas się uśmiechając.

Również podniosłem jeden skrawek o ostrej krawędzi, ociekający dziwną substancją, licząc na jakieś zamieszanie, bym mógł cichaczem go wyrzucić.

Szkoda, że poganie czuli niechęć do psów. Ogar na ucztę zawsze się przydaje jako pochłaniacz niechcianego jedzenia. Z westchnieniem podniosłem kęs do ust...

Gdy nastąpiło zamieszanie, byłem niemal zbyt zamyślony, by z niego skorzystać. W jednej chwili siedzieliśmy w drżącym świetle tuzina olejowych lamp, a w następnej świat na zewnątrz zapłonął jaśniej niż słońce w zenicie na pustyni, oślepiając nas nawet przez ściany namiotu. Widziałem cienie linek, ciemne na tle materiału, i sylwetkę przechodzącego służącego. Intensywność światła narastała od nieprawdopodobnej do niemożliwej i na zewnątrz zaczęły się krzyki. Dotarła do mnie fala gorąca, jakbym wyszedł z cienia na słońce. Ledwo zdążyłem wstać, gdy blask zniknął równie szybko, jak się pojawił. Nagle namiot zdał mi się bardzo ciemny. Wpadłem na Tarelle, nie będąc w stanie rozeznaczyć się w otoczeniu.

W nieładzie wysypaliśmy się z namiotu i ujrzeliśmy słup ognia wznoszący się w oddali. Był tak wielki, że sięgał wysoko, rozpląszczał się o nieboskłon i opadał z powrotem, tworząc mętną chmurę płomieni w kształcie grzyba.

Przez długi czas patrzyliśmy w milczeniu, nie zwracając uwagi na krzyki służących, ściskających rękami twarze, spanikowane zwierzęta i zapach spalenizny podnoszący się z namiotów, które chyba właśnie zaczynały się tlić.

Nawet w tym chaosie miałem czas, by pomyśleć, że wszystko układało się dość dobrze. Nie tylko udało mi się uciec z krainy zmarłych i wrócić do świata żywych, ale w dodatku, teraz już bez najmniejszych wątpliwości, uratowałem życie bogaczowi i jego pięknym córkom. Kto wie, jak wielką dostanę nagrodę, albo jak śliczną!

Odległe dudnienie rozbrzmiało w tle ludzkich krzyków i ryku zwierząt.

– Na Allaha! – Szejk Malik stanął koło mnie. Sięgał mi tylko do ramienia. Siedząc na wielbłądzie, wydawał się wyższy.

Stare Jаланowe szczęście właśnie wróciło. Wszystko układało się nadspodziewanie dobrze.

– To tam, gdzie go znaleźliśmy – odezwał się Mahood. Dudnienie przeszło w huk. Musiałem podnieść głos, kiwając głową i starając się wyglądać ponuro.

– Mądrze uczyniłeś, słuchając mnie, szejku Ma...

Jahmeen wciął mi się w słowo.

– Niemożliwe. To było dwadzieścia mil stąd. Żadnego ognia nie da się dostrzec z takiej...

Wydmy przed nami eksplodowały, najpierw najdalsza, potem następna, kolejna i kolejna, prędko jak dobosz wybijający szybki rytm. Wtedy świat wezbrał wokół nas i zostały tylko latające namioty, piasek i ciemność.



Musiałem stracić przytomność jedynie na chwilę, bo odzyskałem zmysły akurat na czas, by zobaczyć kilkanaście wielbłądów pędzących prosto na mnie, oszalałych ze strachu i przewracających oczami. Skoczyłem na nogi, wypluwając piasek, i dałem nura w bok. Gdybym miał w zanadrzu ułamek sekundy na przemyślenie mojego ruchu, rzuciłbym się w drugą stronę. Jako że tak nie zrobiłem, prawie natychmiast zderzyłem się z kimś wciąż słaniającym się na nogach, gdy powoli cichł huk wybuchu. Oboje poleciliśmy po moim planowanym łuku, ale upadliśmy nieco przed miejscem, do którego doleciałbym, gdybym nie wpadł na przeszkodę. Dałem z siebie wszystko, by wyciągnąć spod siebie mojego wrzeszczącego towarzysza i użyć go jako tarczy, ale skończyłem z dwoma garściami gazy w rękach i kopniakiem zarobionym w tyłek od przebiegającego obok wielbłąda.

Jęcząc i trzymając się za pośladki, przeturlałem się na bok i odkryłem, że odarłem z odzienia i prawdopodobnie zabiłem jedną z córek szejka. Światło księżyca oświetlało całkiem sporo, ale przez potargane włosy nie byłem w stanie stwierdzić, którą z czwórki była moja denatka. Z obu stron zaczęły się do mnie zbliżać postaci, a piasek opadał na ziemię, w miarę jak podchodziły bliżej. Gdzieś ktoś wciąż krzyczał, ale dźwięk dobiegał do mnie stłumiony, jakby głośność wybuchu zredukowała wszystkie inne hałasy do nic nieznaczących szmerów.

Starsi synowie szejka podnieśli mnie, trzymając moje ramiona w żelaznym uścisku, nawet gdy już stałem prosto. Siwowłosa służący, któremu krew buchała z nosa, a lewa część twarzy pokryła się pęcherzami, zakrył martwą córkę swą tuniką. Sam został nagi od pasa w górę, miał zapadniętą klatkę piersiową i zwisającą skórę, jak to starzy ludzie. Synowie wywrzaskiwali pytania i oskarżenia w moją stronę, ale nic nie przebijało się przez dzwonienie w moich uszach.

Piasek opadł z powietrza w ciągu jakiejś minuty i światło księżyca zalało ruiny obozu. Stałem na wpół zamroczony z nożem Jahmeena przytkniętym do gardła, podczas gdy Mahood z wrzaskiem mnie oskarżał, głównie w sprawie

siostry, jakby zniszczenie obozu było niczym w porównaniu z obnażeniem dwóch piersi. Ale niech tam. Co dziwne, wcale się nie bałem. Wybuch w pewnym sensie mnie oderwał, jakbym dryfował poza ciałem jako beztroski obserwator, patrzący zarówno na otoczenie, jak i na furję Mahooda oraz dłoń Jahmeena zacisniętą na rękojeści ostrza przy mojej szyi.

Obóz wyglądał jak po przejściu huraganu, nie ostał się żaden namiot. Ci z nas, którzy byli w środku, gdy rozpało się nocne niebo, w większości wyszli bez szwanku. Ci, którzy znajdowali się wtedy na zewnątrz, mieli oparzenia na odkrytych częściach ciała, które były zwrócone w stronę wybuchu. Patrolowi Ha'tari powiodło się lepiej, choć jeden z wojowników chyba oślepl. Za to reszta ich klanu, która zdjęła zasłony i siedziała wokół swojego modlitewnego słupa, była poparzona równie dotkliwie jak służący.

Wielbłądy pouciekały, ale wielu członków karawany zebrało się u podnóża najbliższej wydmy, gdzie opatrywano rannych, zostawiając mnie z dwoma braćmi i trzema służącymi na bardziej otwartym terenie. Pustynna noc była piekielnie chłodna i trząłem się z zimna. Bracia mogli pomyśleć, że to ze strachu, bo Jahmeen paskudnie wyszczerzył do mnie zęby, ale niektóre kataklizmy są tak straszliwe, że mój zwyczajowy strach po prostu wstaje i bierze nogi za pas. Na chwilę obecną wciąż błąkał się gdzieś po ciemku na pustyni.

Dopiero gdy szejek Malik wrócił z wydm z dwoma Ha'tari, prowadząc sześć wielbłądów, nagle wróciłem do siebie i zacząłem panikować na wspomnienie jego niefrasobliwej gadki o złoceniu jąder każdego mężczyzny, który śmiałby dotknąć jego córek.

– Nigdy jej nie dotknąłem! Przysięgam!

– Kogo nie dotknąłeś? – Szejek zostawił wielbłądy w rękach Ha'tari, podszedł i stanął w środku małego zgromadzenia wokół mnie.

Jahmeen opuścił nóż i obaj bracia obrócili mnie, bym stanął twarzą w stronę ich ojca. Za jego plecami kolumna ognia wciąż buzowała, rozciągając na nocnym niebie żółto-pomarańczowe płomienie upstrzone ciemnością, olbrzymią, mimo że dzielił nas od niej cały dzień marszu.

– To było Słońce Budowniczych. – Szejek machnął ręką w stronę pożogi.

Mój umysł nie ogarniał jeszcze co i dlaczego, ale gdy szejek wyrzekł te słowa, wiedziałem, że miał rację. Noc rozbłysła jaśniej niż dzień. Gdybyśmy rozbili obóz parę mil bliżej, namioty zapaliłyby się, a ludzie, którzy pozostali na zewnątrz, zmieniliby się w słupy ognia. Kto prócz starożytnych miałby taką moc? Spróbowałem wyobrazić sobie Dzień Tysiąca Słońc, gdy Budowniczy wypalili świat do cna i wypuścili na niego śmierć.

– Niewierny zbezczescił Tarelle! – krzyknął Mahood, wskazując na postać

rozciągniętą pod szatami.

– A potem zabił! – Jahmeen machał nożem, jakby chciał zadośćuczynić za fakt, że nie o zabójstwo pieklili się najbardziej.

Twarz szejka zmartwiała. Padł na kolana przy dziewczynie i odchylił nieco szatę, by odsłonić jej głowę. Tarelle wybrała właśnie ten moment, by kichnąć, i otworzyła oczy, spoglądając na ojca nieco mętnym wzrokiem.

– Moje dziecko! – Szejk Malik przyciągnął do siebie córkę, odsłaniając przy tym tak spory fragment jej szyi i ramienia, że Ha'tari dostaliby apopleksji. Utkwił we mnie lodowate spojrzenie.

– Wielbłądy! – Tarelle pociągnęła ojca za ramię. – One... on mnie uratował, ojcze! Książę Jalaan... skoczył przed nie, gdy pędziły w moją stronę, i wyniósł mnie spod ich kopyt.

– To prawda! – skłamałem. – Zasłoniłem ją własnym ciałem, by nie została zmiażdżona. – Z opryskliwą miną strąciłem z siebie ręce braci. – Podeptał mnie wielbłąd, który niemal stratował twoją córkę. – Płonąc oburzeniem, poprawiłem szaty, marząc, by zamiast nich mieć na sobie kawaleryjską koszulę i kurtę. – I doprawdy nie życzę sobie, by przystawiali mi nóż do gardła bracia kobiety, którą chroniłem, narażając własne zdrowie i życie. Bracia, którzy – muszę wspomnieć – obecnie zwęglaliby się w Oazie Palm i Aniołów, gdybym nie został zesłany, by uratować was wszystkich!

– Puście go! – Szejk spiorunował wzrokiem obu synów, choć w zasadzie żaden z nich już mnie nie trzymał. Potem odesłał ich machnięciem ręki. – Idźcie z Tahnoonem i odszukajcie nasze zwierzęta! A wy! – naskoczył na trzech służących, nie bacząc na ich obrażenia. – Doprowadzić mi do porządku ten obóz!

Potem szejk znów zwrócił swą uwagę na mnie i skłonił mi się w pas.

– Przyjmij me tysiąckrotne przeprosiny, książę Jalaan. Jeśli uczynisz mi ten honor i będziesz strzegł mych córek, podczas gdy ja będę ratował nasze towary, stanę się twym dłużnikiem!

– Z miłą chęcią, szejku Maliku. – Odkłoniłem mu się, by skryć uśmiech, który mimo woli wypełził mi na twarz.

Godzinę później znalazłem się przed drugim co do splendoru namiotem szejka, strzegąc wszystkich jego córek, które zgromadziły się w środku, po raz kolejny pozawijane w nedorzeczne jardy materiału. Dziewczęta miały do dyspozycji trzy podstarzałe służące, które się nimi opiekowały i strzegły ich cnoty, ale to trio nie wyszło bez szwanku, gdy Słońce Budowniczych rozbłysło pośród nocy. Dwie służki były poparzone, a trzecia chyba złamała nogę, gdy wybuch wyrzucił nas wszystkich w powietrze. Opatrywano je niedaleko, przed namiotem, w którym leżeli ranni mężczyźni.

Najważniejszą wiadomością o rannych było to, że żaden nie wyglądał na *śmiertelnie* rannego. Piaski są zdumiewająco puste. Martwy Król może i zwrócić oczy w moją stronę, ale bez zwłok zdolnych do pracy stanowił małe zagrożenie.

Parę razy usłyszałem swoje imię, gdy siostry szeptem omawiały całe straszliwe zajście w namiocie za moimi plecami. Tarelle podzieliła się opowieścią o mej odwadze w obliczu pędzących na oślep wielbłądów, a Lila przypomniała pozostałym, że to moje ostrzeżenie uratowało całą karawanę. Gdybym nie musiał tkwić przed namiotem w klanowej szacie cuchnącej wielbłądem i niemożliwie drażniącej moją poparzoną od słońca skórę, poczułbym się całkiem zadowolony z siebie.

Szejk wraz z synami i strażnikami wyruszył między wydmy, by wytropić cenne towary i zwierzęta, do których owe dobra były przywiązane. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, w jaki sposób chcieli odszukać ślady wielbłądów w środku nocy i jak zamierzali trafić z powrotem do obozu, ze zwierzętami lub bez, ale to był wyłącznie problem szejka, nie mój.

Stałem pochylony w stronę, z której wiał wiatr, mrużąc oczy, by nie wpadł mi do nich niesiony przez poddmuchy drobny żwir. Przez cały dzień podróży lekki wiaterek wiał nam w plecy z zachodu, ale teraz skierował się w stronę wybuchu, jakby odpowiadał na wezwanie, i zebrał siły, zmieniając się w coś, co łatwo mogło przejść w burzę piaskową. Ogień na południu zniknął, pozostawiając jedynie ciemność i pytania.

Pół godziny później odpuściłem sobie stanie na warcie i zacząłem siedzieć na warcie, wykopawszy dołek w piachu, by wygodniej mi było spocząć na mym posiniaczonym tyłku.

Obserwowałem, jak mniej poszkodowani służący szejka ratowali pozostałe namioty i stawiali je z powrotem na tyle, na ile było to możliwe. Słuchałem też córek, od czasu do czasu kręcąc złamaną tyczką od namiotu, którą podniosłem jako namiastkę miecza. Zacząłem nawet nucić. Trzeba by czegoś więcej niż Słońce Budowniczych, by zepsuć humor człowiekowi podczas jego pierwszej nocy w świecie żywych po całej wieczności spędzonej w piekle. Zaśpiewałem dwie pierwsze zwrotki *Szarży Żelaznej Lancy*, gdy niewyjaśniony bezruch sprawił, że usiadłem prosto i rozejrzałem się dokoła. Wyteżając wzrok w ciemnościach, zdołałem dostrzec mężczyzn najbliżej mnie, stojących nieruchomo wokół na wpół postawionego namiotu. Dlaczego przestali pracować? Ważniejsze pytanie uderzyło mnie chwilę później. Dlaczego ledwie mogłem ich dojrzeć? Pociemniało – i to bardzo – a wszystko w ciągu zaledwie paru minut. Spojrzałem w górę. Żadnych gwiazd. Ani księżyca. To musiało oznaczać chmury, a te rzadko się zdarzały na Saharze. Na pewno ani razu w ciągu roku, który spędziłem w Hamadzie.

Pierwsza kropla deszczu spadła mi prosto między oczy. Druga uderzyła mnie w prawe oko. Trzecia wycelowała w gardło, gdy otworzyłem usta, by wyrazić swoje niezadowolenie. W ciągu dziesięciu uderzeń serca trzy krople zmieniły się w ulewę, która zmusiła mnie do schronienia się pod markizą namiotu. Smukłe dłonie chwyciły mnie za ramiona i wciągnęły za kłapy wejścia.

– Deszcz! – Tarelle z twarzą ukrytą w cieniu. Światło pojedynczej lampy wyławiało krzywiznę jej kości policzkowej, brew, linię nosa.

– Jak może padać? – spytała Mina, wystraszona, ale też podekscytowana.

– Ja... – Nie wiedziałem. – To na pewno przez Słońce Budowniczych. – Czy ogień mógł sprowadzić deszcz? Tak wielki ogień może zmienić pogodę... Płomienie z pewnością zdołały liznąć sam nieboskłon.

– Słyszałam, że po Dniu Tysiąca Słońc zapanowało sto lat zimy. Zimy z Północy, gdzie woda zmienia się w kamień i spada z nieba w formie płatków – odezwała się Danelle z twarzą na moim ramieniu. Jej głos był niski i posłał dreszcz wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Boję się. – Lila przysunęła się bliżej, gdy deszcz zaczął bębnić w dach namiotu. Wątpiłem, by długo pozostało tu sucho – namioty w Libie mają za zadanie chronić od słońca i wiatru; rzadko muszą zmagać się z wilgocią.

Gdzieś absurdalnie blisko rozległ się grzmot i nagle księżę Jal stał się wypełnieniem czterodziewczęcej kanapki. Huk na moment sparaliżował mnie strachem i zadzwoniło mi w uszach, więc docenienie mojej pozycji zabrało mi chwilę. Z takiej odległości nawet trzydzieści sześć jardów szat nie zdołało kompletnie ukryć uroku sióstr. Zaraz jednak ogarnął mnie nowy strach, próbujący odgonić myśli o wykorzystaniu tej sytuacji.

– Wasz ojciec wypowiedział bardzo dokładne groźby, drogie panie, dotyczące waszej cnoty, więc naprawdę...

– Och, nie musisz się tym przejmować. – Kusząco chrapliwy głos tuż przy moim uchu sprawił, że zadrżałem.

– Ojciec mówi różne rzeczy. – Miękki głos dziewczyny opierającej głowę na mej piersi. – I nikt się nie ruszy, dopóki deszcz nie przestanie padać.

– Nie pamiętam, byśmy kiedykolwiek nie były obserwowane przez ojca, braci lub służących. – Kolejna przycisnęła się miękko do mojego ramienia.

– A my tak potrzebujemy ochrony... – Za mną. Mina? Danelle? Czyjekolwiek to były dłonie, gładziły moje biodra w bardzo nieprzyzwoity sposób.

– Ale szejk...

– Pozłacanie? – Dźwięczny śmiech, gdy czwarta siostra zaczęła spychać mnie na ziemię. – Naprawdę w to uwierzyłeś?

Co najmniej dwie dziewczyny były zajęte odwijaniem szat szybkimi i

zręcznymi ruchami. Pośród cieni rzucanych przez tak wiele ciał niewiele widziałem, ale to, co zobaczyłem, bardzo mi się podobało.

Teraz wszystkie cztery pociągnęły mnie na ziemię w masie zaplątanych gładkich kończyn, długich włosów i wędrujących dłoni.

– Złoto jest takie drogie. – Tarelle wspięła się na mnie, wciąż do połowy zawinięta w szaty.

– To by było niemądre. – Danelle, przyciskająca się do mojego boku, przepysśnie miękka, wyczyniała językiem cuda z moim uchem. – On zawsze używa srebra...

W tym momencie spróbowałem wstać, ale było ich za dużo i sprawy wymknęły mi się z rąk – prosto w ich ręce... I cholera, byłem w piekle dość długo, nadszedł czas na odrobinę raj.

Istnieje w Libie takie powiedzenie: ostatni jard szaty jest najlepszy... A jeśli nie jest, to powinien być!

– Aaaach!

Odkryłem, że tylko parę rzeczy szybciej sprawia, że namiętność mężczyzny mięknie, niż zimna woda. Gdy dach namiotu, osłabiony przez wcześniejsze wypadki, zapadł się bez ostrzeżenia i wylał mi na plecy kilka galonów lodowatej deszczówki, skoczyłem jak rażony piorunem, rozrzucając na boki kobiety z rodu al'Hameeda i bez wątpienia ucząc je całkiem nowego zestawu przekleństw w obcym języku.

Gdy już ściekła ze mnie woda, zdałem sobie sprawę, że dużo więcej już nie kapie na jej miejsce.

– Ciiii! – Podniosłem głos, by uciszyć ostatnie dziewczęce krzyki. Im też nie spodobała się nagła kąpiel. – Przestało padać!

Mężczyzna stojący tuż przy namiocie zagadał coś w pogańskiej mowie. Już dołączali do niego kolejni. Musieli usłyszeć krzyki. Nie potrafiłem stwierdzić, jak długo jeszcze strach przed tym, co robi im szejk, jeśli nagle wtargną do namiotu jego córek, będzie przeważał nad strachem, co robi im szejk, jeśli się dowie, że owych córek nie ochronili.

– Zakryjcie się! – krzyknąłem, przesuając się, by bronić wejścia.

Usłyszałem za sobą złośliwe śmieszki, ale się ruszyły. Pewnie nie oczekiwały, że wyjdą z tego bez szwanku, jeśli wieści o „figlowaniu” dotrą do ich ojca.

Ktoś z zewnątrz chwycił za klapę namiotu. Nawet jej nie zasznurowałem! Ze skomleniem rzuciłem się, by złapać ją od spodu.

– Na rany Chrystusa, szybko! I zgaście lampę!

Te słowa znów wywołały chichoty. Chwyciłem lampę i uprzedziłem wszelkie próby cudzego wtargnięcia do namiotu, wybiegając na zewnątrz. Stojący na czele małego zbiegowiska służący szejka wylądował na plecach w mokrym

piachu.

– Wszystkie są całe! – Wyprostowałem się i machnąłem ręką w stronę namiotu. – Dach zapadł się pod naporem deszczu... wszędzie woda. – Postarałem się gestami pokazać ostatnią część zdania, na wypadek gdyby żaden z nich nie rozumiał języka Imperium. Nie sądzę, by bałwany pojęły, co mówiłem, ponieważ stały, gapiąc się na mnie, jakbym zadał im zagadkę. Celowo zacząłem oddalać się od namiotu, dłonią przywołując trzech mężczyzn, by poszli za mną.

– Patrzcie! Tutaj wszystko lepiej zrozumiecie. – Miałem szczerą nadzieję, że szaty zostały włożone równie szybko, jak zdjęte. Dwóch ludzi szejka już prowadziło jedną z przydzielonych córkom służących, ponaglając ją i nie bacząc na jej obrażenia.

– Co to, o tam? – zapytałem, głównie po to, by rozproszyć uwagę wszystkich zgromadzonych. Kiedy jednak spojrzałem w stronę, którą pokazywałem palcem... coś tam było. – Tam! – Zaczęłem gwałtowniej machać rękoma, światło księżyca zaczęło przebijać się przez chmury rzadniejące na niebie i coś zdawało się wyłaniać z wydmy, na którą przypadkiem wskazałem. Nie wspinać się na nią ani wyłaniać z jej cienia, tylko wygrzebywać z mokrej skorupy piasku.

Inni też już to dostrzegli. Ich zaskoczone głosy rozbrzmiały donośniej. Z poruszonego piachu coś wstało, jakaś postać, niemożliwie chuda i blada jak kość.

– Niech to szlag... – Uciekłem z piekła, a teraz piekło zaczęło mnie ścigać. Wydma wypluła z siebie szkielet. Jego kości łączyły się tylko na podstawie wspomnienia ich wcześniejszego ścisłego układu. Kolejny szkielet zdawał się z trudem wygrzebywać z mokrego piasku obok pierwszego truposza, budując się z fragmentów, które już zdołały wyjść na powierzchnię.

Ze wszystkich stron wokół mnie ludzie zaczęli wołać w trwodze, przeklinać, wzywać Allaha albo po prostu wrzeszczeć. Zaczęli się też wycofywać, a ja wraz z nimi. Jeszcze nie tak dawno na sam podobny widok od razu wziąłbym nogi za pas i wiał w kierunku przeciwnym do stworów przed nami, ale zdążyłem już zobaczyć mój przydział zmarłych, zarówno w piekle, jak i poza nim, więc trzymałem panikę w temperaturze tuż poniżej wrzenia.

– Skąd się wzięły te trupy? Jakie były szanse, że rozbiliśmy obóz akurat w miejscu zgonu paru podróżnych? – Nie wydawało się to uczciwe.

– Więcej niż paru. – Nieśmiały głos za moimi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem cztery owinięte w szaty postaci stojące przed namiotem kobiet. – Tam! – Dziewczyna, która się odezwała, najniższa, a więc zapewne najmłodsza Mina, wskazała na lewo. Piasek na osłoniętym od wiatru zboczku wydmy zaczął się wybrzuszać. Kościste dłonie zaczęły wypęłzać z niego jak upiorne pole

chwastów.

– Kiedyś było tu miasto. – Najwyższa... Danelle? – Pustynia pochłonięła je dwieście lat temu. Piaski zasypały wiele miejsc. – Jej głos brzmiał spokojnie, pewnie z powodu szoku.

Służący szejka zaczęli się teraz cofać w innym kierunku, uciekając od obu niebezpieczeństw. Dwa pierwsze szkielety chyba dostrzegły nas swymi pustymi oczodołami, bo zaczęły miarowym krokiem biec w naszą stronę, bezgłośnie, w śmiertelnym tempie. Spowalniał je jedynie miękki piasek. Teraz moja panika w końcu osiągnęła punkt wrzenia. Zanim zdołałem dać dyla, samotny Ha'tari przebiegł obok mnie od strony obozu. Szejk musiał zostawić tu jednego, by patrolował otaczające nas wydmy.

– Nie mam miecza! – Podniosłem puste dłonie, by uwierzytelnić moją wymówkę i cofnąłem się do czterech córek. Staliśmy razem i patrzyliśmy, jak Ha'tari zatrzymał pierwszy szkielet. Sieknął go w szyję swym zakrzywionym ostrzem. Na szczęście kość strzaskała się od ciosu, ucięta czaszka poleciała w bok, a reszta kości zderzyła się z wojownikiem i rozsypała w bezładną kupę na piasku.

Drugi kościotrup popędził w stronę Ha'tari, a ten przebił go mieczem.

– Idiota! – wrzasnąłem, być może nierozsądnie, bo wojownik działał zgodnie z instynktem i miał perfekcyjnie dopracowane odruchy.

Niestety wetknięcie ostrza w klatkę piersiową szkieletu nie stanowi dla niego takiej niewygody jak za życia, gdy kości porastało jeszcze mięso, a pod żebrami chowało się płuco. Trup nadział się na miecz i wbił kościste palce w twarz przeciwnika. Mężczyzna cofnął się z krzykiem. Jego broń uwięzła między żebrami kościotrupa.

Gdy ostatnie strzępy chmur odpłynęły i scenę zalało światło księżyca, zobaczyłem, że szkielet nie był tak niepołączony, jak mi się wcześniej zdawało. Srebrny blask wyłowił z mroku szarą, mglistą substancję, która spowijała wszystkie kości i łączyła je, choć niematerialnie, jak gdyby cień zmarłego właściciela wciąż trzymał się gnatów i próbował je scalić. Kiedy pierwszy napastnik padł na ziemię i się rozsypał, mgła – czy też dym – splamiła ziemię, a gdy wsiąknęła w piasek, ten zaczął skręcać się i pojawiły się w nim koszmarne oblicza, ich usta otwierały się w bezgłośnym krzyku, zanim straciły kształt i również się rozpadły.

Wojownik H'atari wciąż się cofał, zgięty w pół, obiema rękami trzymając się za twarz. Szkielet obrócił czaszkę w naszą stronę i wznowił bieg, klekocząc uwięzionym między żebrami mieczem.

– Tędy! – Obróciłem się, by też zerwać się do biegu, ale okazało się, że kościotrupy otaczały już obóz ze wszystkich stron, błyskając bielą w świetle

księżycyca. – Do diabła!

Ludzie szejka mieli do obrony jedynie sztylety, a ja nie podwędziłem nawet noża podczas wieczornej uczty.

– Tam! – Danelle złapała mnie za ramię i wskazała na kilka podstawek do lamp, ustawionych między namiotami. Były to słupy z mahoniu, każdy wysoki na sześć stóp i umocowany na płaskiej płytce. Na ich czubkach tkwiły mosiężne lampy.

– To się nie nadaje! – I tak chwyciłem jeden pręt, strącając lampę i unosząc go ze stęknieniem.

Nie było dokąd uciec, więc poczekałem na pierwszego z naszych napastników i zamachnąłem się, gdy się zbliżył. Mahoniowy słup zmiażdżył klatkę piersiową szkieletu, rozbijając ją w podobne do zapalek drzazgi, i połamał jego kręgosłup, aż kręgi poleciały na wszystkie strony. Martwiak rozpadł się na sto części, a duch, który spowijał kości, spłynął wolno ku ich odłamkom w postaci rozpraszającej się szarej mgły.

Impet mojego ciosu obrócił mnie i córki szejka musiały szybko się uchylić, by również nie oberwać. Znalazłem się teraz tyłem do pierwszego wroga i twarzą do kolejnych dwóch, tym razem nie mając czasu na zamach. Dźgnąłem podstawą słupa w mostek szkieletu znajdującego się najbliżej. Z powodu braku mięsa na kościach trup był bardzo lekki, więc cios natychmiast wyhamował jego atak, łamiąc gnaty i odrywając go od ziemi. Kolejny kościotrup dosięgnął mnie chwilę później, lecz zdołałem uderzyć go prętem w szyję niczym pałką i powalić na piasek. Pod moim naciskiem czaszka odpadła od reszty ciała, zanim trup zdołał złapać mnie swymi kościstymi szponami.

Znalazłem się teraz na czworakach pośród szczątków ostatniego przeciwnika, ale kolejne pół tuzina już pędziło w moją stronę. Pierwszy miał do przebycia jeszcze tylko parę jardów. Coraz więcej kościotrupów rzucało się na ludzi szejka, zarówno zdrowych, jak i rannych.

Podniosłem się na kolana z pustymi rękami i spojrzałem prosto w czaszkę szkieletu, który właśnie miał na mnie skoczyć. Nie zdążyłem nawet krzyknąć, gdy zakrzywiony miecz błysnął nad moją głową, rozbijając czaszkę, która prawie walnęła mnie w twarz. Reszta koszmarnego stwora odbiła się ode mnie i rozpadła na części, zostawiając po sobie unoszącą się w powietrzu zimną szarą mgłę. Błyskawicznie skoczyłem na nogi, otrzepując dłonie, gdy duch próbował wpląć we mnie przez skórę.

– Trzymaj! – Tarelle machnęła mieczem, a teraz wciskała mi go w rękę. Ostrze Ha'tari – musiała je wyciągnąć z resztek pierwszego szkieletu, którego powaliłem.

– Kurwa! – Ominąłem łukiem kolejnego napastnika i ściałem głowę szkieletu,

który postępował za nim.

Kolejnych pięć czy sześć szarżowało w zwartej gromadzie. Szybko porównałem sobie w myślach opcje poddania się i wykopania dziury. Żadna nie dawała wiele nadziei. Zanim zdołałem rozważyć inne możliwości, wielki kształt wpadł między nieumarłych, roztrzaskując kruche kości. Ha'tari na wielbłądzie przemknął obok mnie, wymachując bułatem. Za nim pędzili następni.

Już po chwili szejk i jego synowie zeskakiwali z wielbłądów wokół nas, wykrzykując rozkazy i machając mieczami.

– Zostawić namioty! – zawołał szejk Malik. – Tędy! – Wskazał na dolinę wijącą się między wydmami, które trzymały nas jak w kleszczach.

Niedługo potem kolumna kulejących mężczyzn i kobiet podążała za jadącym na wielbłądzie szejkiem. Oślaniali ją jego synowie i uzbrojeni służący, zaś Ha'tari walczyli na tyłach przeciwko kościanym hordom, które wciąż wypluwał mokry piasek.

Po przebyciu połowy mili dotarliśmy do pozostałych jeźdźców szejka, strzegących obładowanych wielbłądów, które wyłapali na otaczającej nas pustyni.

– Nie zatrzymujemy się na noc. – Szejk stanął w strzemionach na swym białym jak duch wielbłądzie, by do nas przemówić. – Nie robimy postojów. Zostawimy każdego, kto nie wytrzyma tempa.

Zerknąłem na Jahmeena, obserwującego ojca z wielkim napięciem.

– Ha'tari poradzą sobie z trupami, prawda? – Nie sądziłem, by mokre szkielety stanowiły dla jeźdźców poważniejsze zagrożenie.

Jahmeen spojrzał na mnie.

– Kiedy kości nie spoczywają w pokoju, to znaczy, że z pustych ziem nadchodzą dżiny.

– Dżiny? – Przypomniałem sobie opowieści o magicznych lampach, wesołkach w jedwabnych pantalonach i spełnianiu trzech życzeń. – Czy one naprawdę są tak straszne jak trupy, które próbują nas zjeść?

– Są gorsze. – Jahmeen uciekł spojrzeniem w bok, nagle wyglądając mniej na gniewnego młodzieńca, a bardziej na przerażonego chłopca. – O wiele gorsze.



– Tak więc jeśli chodzi o te dżiny... – Ujechaliśmy nie więcej niż dwie mile, ale w jakiś sposób między wydrami zapanował dzień, rozpalony od gorąca, oślepiający i tak trudny do zniesienia jak zawsze. Gdy opuściliśmy rzekę czasu, wyglądało to, jakbyśmy zamiast przenieść się szybko do następnego dnia, wpadli z powrotem do poprzedniego, z którego uciekliśmy. W dodatku słońce wstało na zachodzie, jakby ktoś odtworzył od tyłu zachód słońca, który widzieliśmy wiele godzin wcześniej. Panował zdecydowanie niepokojący nastrój, a biorąc pod uwagę moje niedawne doświadczenia, nie rzucałem lekko słowa „niepokojący”! – Opowiedz mi więcej. – Wcale nie chciałem wiedzieć więcej o dżinach, ale jeśli Martwy Król wysłał w pogoń za kluczem kolejnych sługusów, powinienem przynajmniej wiedzieć, przed czym umykam.

– To istoty niewidzialnego, palącego ognia – odparł Mahood z mojej prawej strony.

– Przyciągnie je Słońce Budowniczych. – Jahmeen z lewej. Pilnowali mnie tak przez całą podróż, pewnie żeby powstrzymać mnie od rozmów z ich siostrami.

– Bóg stworzył siłą umysłu trzy rodzaje istot – zawołał do nas z przodu szejk Malik. – Anioły, ludzi i dżiny. Najpotężniejszy z dżinów, Shaytan, sprzeciwił się Allahowi i został strącony w otchłań. – Szejk wstrzymał nieco wielbłąda, by znaleźć się bliżej nas. – Jest wiele dżinów, które tańczą na pustyni, ale te są słabe. W tej części Saharu rezyduje tylko jeden potężny dżin. To jego powinniśmy się lękać.

– Czyli mówisz, że goni nas Szatan? – Obrzuciłem wzrokiem szczyty wydm.

– Nie. – Szejk Malik błysnął białym rzędem zębów. – On żyje w sercu Saharu, gdzie człowiek nie może przetrwać.

Rozluźniłem się w siodle na te słowa.

– To tylko jeden z jego kuzynów. – I szejk ponaglił swego wielbłąda ku Ha'tari jadącym z przodu.

Sponiewierana karawana parła do przodu krętym szlakiem pomiędzy wydrami, w wolnym tempie idących rannych, w różnym stopniu poparzonych od światła Słońca Budowniczych, połamanych od fali uderzeniowej, która dotarła do nas parę minut później, i poszarpanych przez

kości dawno zmarłych ludzi, które wypełzły z piasku.

Zgarbiłem się na moim cuchnącym wierzchowcu, kołysząc się w rytm jego kroków, pocąc w swoich szatach i w myślach pragnąc, by zniknęły wszystkie mile dzielące nas od bezpiecznych murów Hamady. Czułem, że nie zdołamy tam dotrzeć. Być może sama rozmowa o dżinach przypieczętowała nasz los. Można by rzec: o wilku mowa.

Słońce Budowniczych zostawia po sobie niewidzialny ogień, każdy o tym wie. Nawet w Czerwonej Marchii wciąż istniały miejsca skażone cieniem Tysiąca Słońc. Miejsca, gdzie człowiek wchodzi, a jego skóra pokrywa się pęcherzami bez żadnego powodu. Taki człowiek umiera w męczarniach w ciągu kilku dni. Nazwano je Ziemią Obiecanymi. Pewnego dnia znów będą nasze, ale nieprędko.

Po części oczekiwałem, że dżin przybędzie właśnie tak, jak Słońce Budowniczych, tylko niewidzialnie, zmieniając ludzi po kolei w kolumny płomieni spływające wytopionym tłuszczem. W piekle widziałem potworne rzeczy, więc moja wyobraźnia miała teraz spore pole do popisu.

Okazało się, że dżiny spalają ludzi od środka.

Zaczął się od napisów na piasku. Gdy jechaliśmy krętym szlakiem między wydmami, na ich oślepiająco białych zboczach wykwitły niczym blizny łukowate litery pogańskiego pisma. Najpierw dało się je dostrzec tylko wtedy, gdy słońce oświetlało stoki pod kątem na tyle małym, by wypukłe znaki rzucały cień.

Nikt nie był w stanie powiedzieć, jak długo jechaliśmy między zboczami z opisami naszego losu, zanim Tarelle zobaczyła jeden z nich.

– Co tam jest napisane? – Wcale nie miałem ochoty wiedzieć, ale tego rodzaju pytania zadają się same.

– Nie chcesz wiedzieć. – Mahood wyglądał, jakby go mdliło, jakby zjadł o jedną owczą gałkę oczną za dużo.

Albo cała karawana była piśmienna, albo trwoga zaraźliwa, bo w ciągu kilku minut od odkrycia Tarelle każdy podróżnik zdawał się iść lub jechać w osobistej bańce rozpacz. Drżącym głosem szeptało modlitwy, Ha'tari jechali bliżej reszty, a cała pustynia zaciskała się wokół nas, olbrzymia i pusta.

Mahood miał rację, nie chciałem wiedzieć, co znaczyły napisy na wydmach, ale mimo to część mnie boleśnie pragnęła się dowiedzieć. Linie słów, wznoszące się nad gładkimi zboczami, przyciągały wzrok, jednocześnie przerażając i przyprawiając o szaleństwo. Chciałem popędzić wielbłąda w bok i zatrzeć napisy, ale strach trzymał mnie pośród pozostałych. Kiedy zaczynają się kłopoty, nie można się wychylać. Nie zwracaj na siebie uwagi – nie bądź jak

piorunochron.

– Jak daleko jeszcze? – pytałem już parę razy, na początku z irytacją, potem z desperacją. Byliśmy blisko. Dziesięć mil, może piętnaście i wydmy rozstąpią się, ukazując Hamadę, następne miasto w kolejce do utonięcia w piaskach pustyni. – Daleko jeszcze? – spytałem znowu, jakby powtarzanie pytania pozwalało pokonywać mile równie skutecznie co kroki wielbłądów.

Mahood zaczął mnie ignorować, więc odwróciłem się do Jahmeena i odkryłem, że już znajdowałem się w centrum jego uwagi. Trzymał się jakoś sztywno, a niezgrabność, z jaką prowadził wielbłąda, sprawiła, że zamarłem i słowa uwięzły mi w gardle.

Spojrzałem mu w oczy. Obrzucał mnie tym samym nieustępliwym spojrzeniem, którego używał jego ojciec, ale dojrzałem coś jeszcze, błysk płomienia iskrzący w obu źrenicach.

– Co... co jest napisane na piasku? – wydukałem nowe pytanie.

Jahmeen otworzył usta i pomyślałem, że mi odpowie, ale zamiast tego szczęki rozwarły mu się tak szeroko, że zatrzeszczały, i wydał z siebie syk, jak piasek osypujący się z wydmy. Pochylił się naprzód i chwycił mnie za nadgarstek. W jego dłoni zapłonął ogień, który próbował mnie pochłonąć, wedrzeć się do mojego ciała. Mój świat zredukował się do tego płonącego dotyku. Nie było nic więcej: obrazów, dźwięków, oddechu – jedynie ból. Ból i wspomnienia... najgorsze, które miałem... wspomnienia piekła. Gdy cierpiałem i zatrałem się w nich, ile czasu by minęło, zanim dżin opuściłby Jahmeena i wydrążył sobie miejsce w moim ciele, na dobre wypędzając moją własną niedożywną duszę do piekła? W moich wspomnieniach zobaczyłem Snorriego. Stał na początku wyprawy, do której nie chciałem dołączyć, z tym swoim uśmiechem, brawurowym, głupim, odważnym, zaraźliwym uśmiechem... Teraz musiałem tylko mocno trzymać się chwili obecnej. Musiałem zostać tu i teraz, we własnym ciele i z własnym bólem. Musiałem tylko...

Jedna dłoń Snorriego zaciskała się na moim nadgarstku, a druga na ramieniu, ratując mnie przed upadkiem. Spojrzałem w górę i dostrzegłem go na tle martwego nieba, krwawiącego matowym pomarańczowym światłem. Bolała mnie każda część ciała.

– Drzwi ci się wyslizgnęły, co? – Wiking podniósł mnie na nogi. – Nie mogłem sam ich utrzymać, musiałem szybko cię tu przeciągnąć, zanim znowu by się zatrzasnęły.

Połknąłem krzyk czystego przerażenia, zanim zdołał mnie udławić swą próbą wyrwania się na wolność.

– Ach.

Drzwi znajdowały się tuż przede mną, słaby, srebrzysty zarys prostokąta, wydrapany w nijakim, szarym boku olbrzymiego głazu. Znikały na moich oczach. Całe moje życie, moja przyszłość, wszystko, co znałem, leżało po drugiej stronie tych drzwi. Kara i Hennan stali tam, ledwie dwa jardy dalej, pewnie wciąż gapiąc się w zaskoczeniu.

– Daj Karze minutę na zamknięcie drzwi. Potem ruszymy w drogę. – Snorri stanął z boku.

Zdziwienie Kary szybko przerodzi się w gniew, gdy wiedźma odkryje, że zwędziłem jej z kieszeni klucz Lokiego. Artefakt wskoczył mi w dłoń i przykleił się do palców, jak gdyby chciał zostać skradziony.

Rozejrzałem się szybko dokoła. Kraina zmarłych wyglądała zdumiewająco nieciekawie. W bajkach dla dzieci mówią, że Budowniczowie budowali statki, które potrafiły latać i wzbijały się nad chmury i jeszcze wyżej, w czerń rozciągającą się między gwiazdami. Mówią, że najbogatszy z królów opodatkował swoją szlachtę tak, że wszyscy skończyli w przytułkach dla ubogich, i zbudował statek z żaglem na tysiąc akrów, tak wielki i szybki, że poniósł ludzi aż na Marsa, który podobnie jak Księżyc jest osobnym światem. Owi podróżnicy przebyli nieprzeliczone tysiące mil i wrócili z obrazkami miejsca pełnego matowych czerwonych skał i matowego czerwonego pyłu, w którym wiały nieustające suche wiatry... i nikt już nigdy więcej tam nie poleciał. Kraina zmarłych wyglądała bardzo podobnie... tylko trochę mniej czerwono.

Suchość sprawiła, że skóra zaczęła mnie kłuć, jakby nawet powietrze wokół mnie było spragnione. Każda część ciała mnie bolała, jak gdyby była posiniaczona. W półświatle cienie na twarzy Snorriego wydawały się złowieszcze, jakby jego ciało samo było cieniem znajdującej się pod nim kości i mogło zniknąć w każdej chwili, zostawiając nagą czaszkę, spoglądającą na mnie.

– Co to, u diabła, *jest*? – Wskazałem oskarżycielsko ponad jego ramieniem. Zrobiłem coś podobnego zaraz po tym, jak się poznaliśmy, i wtedy nawet nie drgnął. Teraz się obejrzał, zobowiązany zaufaniem. Szybko wyciągnąłem z kieszeni klucz Lokiego i dziabnąłem nim w znikające drzwi. Pojawiła się dziurka, klucz zatonął w niej, przekręciłem go i wyciągnąłem. Szybciej niż w mgnieniu oka. Zamknięte.

– Nic nie widzę. – Snorri wciąż przyglądał się badawczo porozrzucanym po terenie skałom, gdy się odwróciłem. Przydatna rzecz, zaufanie. Schowałem klucz do kieszeni. Dla Kelema był wart sześćdziesięciu czterech tysięcy złotych koron. Dla mnie był wart krótkiego pobytu w zaświatach. Otworzę drzwi z powrotem, gdy będę pewny, że Kara nie czeka już po drugiej ich stronie. Potem

wrócę do domu.

– To mógł być cień. – Obrzuciłem wzrokiem horyzont. Nie wyglądał inspirująco. Niskie wzgórza, poprzecinane głębokimi parowami, dalej niknęły w ponurej mgle. Wielki głaz, koło którego staliśmy, był jednym z wielu leżących na rozległej płaszczyźnie popękanych skał, ciemnych i wyszczerbionych kawałków bazaltu w matowym czerwonym pyłu. – Pić mi się chce.

– Chodźmy. – Snorri oparł rękojeść topora na ramieniu i ruszył w drogę, stąpając z jednej ostrej skały na drugą.

– Dokąd? – Poszedłem za nim, koncentrując się na szukaniu oparcia dla stóp. Przez podeszwy butów wyczuwałem niewygodne krawędzie skał.

– Do rzeki.

– Aha... a skąd wiesz, w którą to stronę? – Z trudem dotrzymywałem mu kroku. – Nie było gorąco ani zimno, jedynie sucho. Wiał wiatr, nie dość silny, by wzbijać pył z ziemi, ale przewiewał przeze mnie na wskroś, nie wokół mnie, tylko przeze mnie, jak ból siedzący głęboko w kościach.

– Jesteśmy w krainie zmarłych, Jal. Wszyscy są zagubieni. Jakikolwiek kierunek, który wybierzesz, będzie dobry. Musisz tylko mieć nadzieję, że właśnie tam chcesz dotrzeć.

Nawet tego nie skomentowałem. Barbarzyńcy byli odporni na logikę. Zamiast tego spojrzałem do tyłu na głaz, w którym mieściły się drzwi, starając się wyryć go sobie w pamięci. Był nieco krzywy z prawej strony, prawie jak litera „r”. Powinienem być w stanie otworzyć drzwi w dowolnym miejscu, ale nie chciałem pokładać zbyt wiele zaufania w tej teorii. Trzeba było maga takiego jak Kelem, by wskazał nam drzwi, a teraz istniała szansa, że on przebywał w zaświatach. Niespecjalnie chciałem prosić go o wskazanie drogi do wyjścia.

Szliśmy dalej, obolałymi stopami przechodząc z kamienia na kamień i mozoląc się w pyłu tam, gdzie skały rozsiane były z rzadka. Oprócz nas nic nie wydawało tu dźwięków. Nic nie rosło. Istniało tylko nieskończone, suche pustkowienie. Spodziewałem się wrzasków, rozszarpanych ciał, tortur i demonów.

– Tak to sobie wyobrażałeś? – Wydłużyłem krok, by znów dogonić Snorriego.

– Tak.

– Ja zawsze myślałem, że w piekle będzie więcej... akcji. Widły, lamentujące dusze, jeziora ognia.

– Völvy mówią, że bogini tworzy osobne piekło dla każdego człowieka.

– Bogini? – Uderzyłem się w palec u nogi o skałę schowaną w pyłu i zatoczyłem się z przekleństwem na ustach.

– Jal, spędziłeś zimę w Trondzie! Niczego się nie nauczyłeś?

– Kurwa mać. – Pokuśtykałem do przodu. Ból w stopie niemal zrobił ze mnie niedojdę. Jakbym wdepnął w kwas, a ten zaczął pożerać mi nogę, kierując się w górę. Jeśli uderzenie się w palec sprawiało w krainie zmarłych tyle cierpienia, przeraziłem się, co będzie, jeśli doznam jakiegoś znacznego obrażenia. – Wiele się nauczyłem. – Tylko nie o tych ich przeklętych sagach. Większość traktowała o tym, jak Thor uderza w różne rzeczy swym młotem. Co prawda były ciekawsze od opowieści serwowanych przez Rzym, ale nie stanowiły żadnego kodeksu do przestrzegania.

Snorri zatrzymał się, a ja, kulejąc, minąłem go o dwa kroki, zanim się spostrzegłem. Gdy się odwróciłem, rozłożył ręce.

– Tutaj króluje Hel. Pilnuje umarłych...

– Nie, czekaj. Tę akurat pamiętam. – Kara mi powiedziała. Hel o sercu z kamienia, od nosa do krocza podzielona na dwie części – lewą z czystego dżetu, a prawą z alabastru. – Obserwuje ludzkie dusze, jej jasne oko widzi tkwiące w nich dobro, ciemne widzi zło, a ona nie dba o żadne... dobrze zapamiętałem? – Podskakiwałem na jednej nodze, masując swój palec.

Snorri wzruszył ramionami.

– Dość dobrze. Ona widzi ludzką odwagę. Nadchodzi Ragnarok. Nie Tysiąc Słońc Budowniczych, lecz prawdziwy koniec, gdy świat pęknie i spłonie, a olbrzymy powstaną. Wtedy będzie się liczyć wyłącznie odwaga.

Popatrzyłem dokoła na skały, pył i nagie wzgórza.

– To gdzie jest moje? Jeśli to jest twoje piekło, to gdzie jest moje? – Nie chciałem go zobaczyć. Ani trochę. Ale mimo to wędrówka po piekle barbarzyńcy wydawała się... niewłaściwa. A może kluczowym elementem mojego osobistego piekła było to, że nikt tu nie uznawał nadrzędności szlachty nad pospółstwem.

– Nie wierzysz w nie – odparł Snorri. – Więc po co Hel miałaby je dla ciebie stworzyć?

– A właśnie że wierzę! – Zapewnianie o moim oddaniu to już u mnie odruch.

– Twój ojciec jest księdzem, tak?

– Kardynałem! Jest kardynałem, nie jakimś cholernym wsiowym klechą.

Snorri wzruszył ramionami, jakby chodziło o zwykłą semantykę.

– Dzieci księży rzadko prawdziwie wierzą. Nie można być prorokiem we własnym kraju.

– Tego rodzaju pogańskie brednie mogą...

– To z Biblii. – Snorri znów się zatrzymał.

– Och. – Ja też się zatrzymałem. Chyba miał rację. Nigdy nie uznawałem religii za użyteczną, chyba że przychodziło do przeklinania lub błagania o łaskę. – Dlaczego stanęliśmy?

Snorri nie odpowiedział, więc spojrzałem tam gdzie on. Powietrze przed nami rozszczepiło się, a przez szczeliny zaczęło prześwitywać niebo, które już wyglądało niemożliwie niebiesko. Było zbyt pełne witalności i życiowej energii, by pojawić się na wyschniętych terenach śmierci. Rozdarcia powiększały się – dostrzegłem zataczający łuk miecz – i nagle wokół trysnął szkarłat, a znikąd wytoczył się mężczyzna. Szczeliny zamknęły się za jego plecami. Powiedziałem mężczyźnie, ale było to bardziej jego wspomnienie, zarysowane bladymi liniami, zajmujące miejsce, w którym powinien się znaleźć. Stał, nie wzbiwszy nawet drobinki pyłu. Zobaczyłem bezkrwistą ranę, która go zabiła, cięcie przez czoło, które przeskoczyło w dół na złamany obojczyk i przez kość weszło głębiej w ciało.

Gdy mężczyzna tak stał, zjawisko powtórzyło się po jego lewej i prawej stronie, a potem jakieś dwadzieścia jardów za nim. Kolejni ludzie zaczęli wpadać tu z pola bitwy, na którym zginęli. Ignorowali nas, stojąc z pochylonymi głowami, paru miało na sobie elementy zbroi, ale żaden nie dzierżył broni. Chciałem zawołać coś do pierwszego, ale on odwrócił się i odszedł. Kierował się mniej więcej tam gdzie my, ale zбочzył nieco w lewo.

– Dusze. – Chciałem to powiedzieć głośno, ale wydałem z siebie jedynie szept.

Snorri wzruszył ramionami.

– Martwi ludzie. – On też powoli zaczął znowu iść. – Pójdziemy za nimi.

Ruszyłem za nim, ale wtedy przestrzeń rozdarła się przede mną. Zobaczyłem świat, mogłem poczuć jego zapach i lekki wiaterek, posmakować powietrza. I nagle zrozumiałem głód w oczach nieboszczyków. Spędziłem na tym pustkowiu niecałą godzinę, a już potrzeba, którą wzbudziło we mnie mignięcie życia, stała się obezwładniająca. W świecie żywych toczyła się bitwa, przy której ta na Przełęczy Aralskiej wydawała się zwykłą sprzeczką. Ludzie siekli się jasną stalą, rozbrzmiewały dzikie okrzyki, ryk zmasowanych oddziałów, wrzaski rannych, jęki umierających. Mimo to rzuciłem się naprzód tak zdesperowany, by znów znaleźć się w świecie żywych, że nawet kilka chwil, zanim ktoś by mnie tam zadźgał, byłoby tego warte.

Zatrzymała mnie dusza. Ta, która wybiła tę dziurę do zaświatów. Wpadłem prosto na nią, gdy przechodziła, rodziła się w krainie śmierci. Prawie nic nie zostało z tego człowieka, tylko mgliste kontury, rycząca furia, strach i ból jego ostatnich sekund. Tyle wystarczyło, by mnie zatrzymać. Duch przebiegł mi po skórze jak oparzenie, wsiąkł w nią, a ja z wrzaskiem rzuciłem się do tyłu, czując, jak zalewały mnie jego wspomnienia, tonąc w jego smutku. Nazywał się Martell. Martell Harris. Wydawało mi się to ważniejsze niż moje własne imię. Próbowałem je wypowiedzieć, jakkolwiek by brzmiało, ale moje usta

zapomniały, jak powinny się ułożyć.

– Jal, wstawaj!

Leżałem na ziemi, wokół wzbijał się pył. Snorri klęczał nade mną, jego ciemne włosy opadały mu wokół twarzy. Traciłem go. Tonałem. Kurzawa stawała się coraz gęstsza. Jestem Martell Harris. Miecz przebił mnie niczym sopel lodu, ale nic mi nie jest, muszę tylko wrócić na pole bitwy. Martell poruszył moimi ramionami, próbując wstać. Jalan przepadł, utonął w pyle.

– Zostań ze mną, Jal! – Poczułem uścisk Snorriego. Nic więcej, tylko ten żelazny uścisk. – Nie pozwól mu się przejąć. Jesteś Jalan. Książę Jalan Kendeth.

Fakt, że Snorri w końcu nazwał mnie poprawnie – z tytułem i w ogóle – wyszarpnął mnie z miękkiego uścisku pyłu.

– Jalan Kendeth! – Uścisk się wzmocnił. Sprawiał mi ból. – Powiedz to! **POWIEDZ!**

– Jalan Kendeth! – Słowa wydarły mi się z gardła gromkim krzykiem.

Znalazłem się twarzą w twarz ze stworem, który był synem szejka Malika Jahmeenem, zanim dżin wypalił go od środka. Wspomnienie tej piekielnej duszy, próbującej wedrzeć się w moje ciało i ukraść je, sprawiło, że wróciłem do chwili obecnej, do walki z dżinem za pomocą wszystkich sztuczek, których nauczyłem się w krainie zmarłych.

Żelazny uścisk na moim nadgarstku trzymał mnie w miejscu. A ten ból! Gdy odzyskałem zmysły, poczułem, że całe ramię płonęło w katuszach białym ogniem. Desperacko pragnąc się uwolnić, zanim dżin prześlizgnie się z Jahmeena, by opętać mnie, walnąłem go z byka prosto w twarz i wyrwałem rękę. Sekundę później bezlitośnie wbiłem obie pięty w boki mojego wielbłąda. Z szarpnięciem i trąbieniem sprzeciwu zwierzę zerwało się do cwału. Podskakiwałem w siodle, używając każdej zdolnej do tego kończyny, by się w nim utrzymać.

Nie obejrzałem się ani razu. Pieprzyć damy w opałach. Zanim wyrwałem się dżinowi, naszło mnie znajome uczucie. Gdy duch ognia próbował się wprowadzić, ja z kolei wypadałem z mojego ciała. Wiedziałem dokładnie, jak wyglądało piekło, a dżin właśnie tam próbował wyeksmitować te części mnie, które nie były mu potrzebne.

Zdołałem przejechać milę tym samym wężozem między wydrami, które nas ogradzały, zanim mój wielbłąd się zatrzymał. Konie przy odpowiedniej zachęcie często będą biegły dalej, nie bacząc na limit swej wytrzymałości, ale wielbłądy mają zgoła inny temperament. Mój zdecydował, że ma już dość, i nagle stanął, używając piachu, by wspomóc hamowanie. Doświadczony jeździec zazwyczaj potrafi rozpoznać znaki ostrzegawcze i się przygotować. Niedoświadczony jeździec, w dodatku śmiertelnie przerażony, też musi

polegać na piachu, by wspomóc swe hamowanie. Polega to na tym, że impet wyrzuca jeźdźca z siodła ponad głową jego wielbłąda. Reszta dzieje się już sama.

Podniosłem się szybko, wypluwając nieco pustyni. Niech no tylko strach przed zbłąźnieniem najdzie mężczyznę, a ten nagle staje się odporny na wszystko, prócz największego bólu. Na krętej drodze między wydrami, którą tu przyjechałem, już zbierała się burza piaskowa. W związku z nią martwiły mnie głównie cztery rzeczy. Po pierwsze, w przeciwieństwie do pyłu, żeby poderwać piach w powietrze, musiało się zerwać nie lada wietrzyisko. Po drugie, nie tak jak typowy zbliżający się burzowy front, ta burza zdawała się ograniczać do doliny między wydrami, nie szerszej niż dwieście jardów. Po trzecie, wiatr prawie nie wiał. I w końcu ten wiatr, który wiał, wiał w stronę burzy, a ta mimo wszystko zbliżała się do mnie w zastraszającym tempie.

– Kurwa. Kurwa. Kurwa. – Rzuciłem się w stronę mojego wielbłąda i zacząłem się gramolić na jego bok. Moja panika udzieliła mu się i przekłety zwierz zaczął biec, kiedy byłem dopiero w połowie wspinaczki na siodło. Leżałem rozciągnięty na garbie przez dwadzieścia jardów, czepiając się desperacko, ale dość trudno się utrzymać na cwałującym wielbłądzie, nawet gdy siedzi się w przeznaczonym do tego miejscu. I niestety czasami desperacja nie stanowi wystarczającego przylepca. Mój wielbłąd i ja rozstaliśmy się. Ja zostałem z garścią jego włosia, śmierdzącym kocem i ponadsiedmiostopowym upadkiem na ziemię.

Front nawałnicy pochłonął mnie, zanim zdołałem odzyskać choćby odrobinę powietrza, które upadek wycisnął mi z płuc. Czułem w nim dzina, bardziej rozproszonego, niż gdy ograniczało go ciało Jahmeena, ale wciąż wyczuwalnego. Drapał mnie w twarz piaskowymi palcami, parzył każdym ziarenkiem piasku niesionym przez wiatr.

Tym razem nie atakował bezpośrednio. Wcześniej starał się mną zawładnąć i wykopać moją duszę do piekła, ale z jakiegoś powodu, może dlatego, że dopiero co stamtąd wróciłem, albo z powodu magii płynącej w żyłach Kendethów, stawiałem mu opór. Teraz dzin zabrał mi wzrok i słuch, a gdy skulony próbowałem wziąć oddech, który nie paliłby moich płuc, i liczyłem na to, że nie zostanę pogrzebany żywcem, zaczął kłuć zakamarki mojego umysłu, szukając wejścia. Znowu przypomniały mi się wydarzenia z zaświatów. Snorri złapał mnie za rękę, próbował mi pomóc pozbyć się tamtej obcej duszy i zachować ciało.

– Nie ma mowy. – Słowa wyszły przez zaciśnięte zęby i wargi. Dzin nie zdoła oszukać mnie ponownie. – Jestem Janan Kendeth i znam twoje sztuki...

Ale piasek już zmienił się w duszący pył i ktoś ciągnął mnie w nim wielką

dłonią, z palcami zaciśniętymi na mojej koszuli.

– Jestem Jan Kendeth! – krzyknąłem, po czym zaniósłem się kaszlem. Pył zmieszany ze śliną wyglądał na moich dłoniach jak krew – dokładnie jak krew.
– ...alan – *khe khe* – Kendeth!

– Zuch chłopak! – Snorri postawił mnie na nogi i z grubsza otrzepał z pyłu. – Jeden ze zmarłych wpadł na ciebie – prawie odebrał ci ciało!

Czułem, że byłem gdzieś indziej, w jakimś piaszczystym miejscu, zajęty czymś ważnym. Było coś, o czym powinienem pamiętać, coś kluczowego... ale wiedza ta umykała mi nawet wtedy, gdy jej szukałem.

– Odebrał mi ciało? To one... tak potrafią? – Więcej rzeżenia. Bolała mnie klatka piersiowa. Wytarłem dłonie w spodnie, które widziały już lepsze dni. – Martwi mogą zabrać komuś ciało?

Snorri wzruszył ramionami.

– Lepiej ich omijać. – Niecierpliwie czekał, aż dojdę do siebie. Chciał już podążyć za duszami, które widzieliśmy.

– Pył i skały. – Jeszcze nie byłem gotowy. Wziąłem chrapliwy oddech. – Czy tylko na tyle stać północnych bazarzy, gdy opowiadają o życiu pozagrobowym?

Znowu to wzruszenie ramion.

– Nie jesteśmy podobni do was, wyznawców Białego Chrystusa, Jan. Nie ma zapowiedzianego rajy, spacerków po zielonych pastwiskach dla błogosławionych czy wiecznych tortur dla potępieńców. Jest tylko Ragnarok. Ostatnia bitwa. Nie ma obietnicy zbawienia ani szczęśliwego finału. Wszystko ma się skończyć krwią i wojną, a ludzie będą mieli ostatnią szansę, by wznieść topory i wykrzyknąć swe wyzwanie, gdy nadejdzie kres czasu. Kapłani mówią nam, że śmierć to jedynie miejsce, w którym się na to czeka.

– Cudownie. – Wyprostowałem plecy. Wyciągnąłem rękę, gdy Snorri próbował wznowić marsz. – Jeśli to miejsce, w którym się czeka, to po co się tak spieszyć?

Snorri zignorował moje pytanie. Zamiast tego wyciągnął pięść i otworzył ją, ukazując mały kopczyk.

– Poza tym to nie pył. To zaschnięta krew. Krew każdego, kto kiedykolwiek żył.

– Pokażę ci strach w garstce popiołu¹. Słowa uciekły mi wraz z oddechem.

Snorri uśmiechnął się, słysząc je.

– Elliot John – powiedziałem. Raz spędziłem cały dzień na zapamiętywaniu cytatów z klasyki literatury, by móc zaimponować pewnej wykształconej kobiecie – takiej ze znaczną fortuną i figurą jak klepsydra pełna seksu. Nie pamiętałem już tych cytatów, ale od czasu do czasu jakiś wyskakiwał z zakamarków pamięci. – Wielki bard z czasów Budowniczych. Napisał też kilka

z tych piosenek, które wy, Wikingowie, tak masakrujecie w swoich piwiarniach! – Zaczęłam się otrzępywać. – Ale to tylko piękne słowna. Pył to pył. Nie dbam o to, skąd się wziął.

Snorri pozwolił, by pył przesypał mu się przez palce i rozwiął na wietrze. Przez chwilę to był tylko pył. Potem to dostrzegłem. Strach. Jakby pył stał się żywą istotą, skręcającą się podczas opadania na ziemię w twarz dziecka, zbyt niewyraźną, by ją poznać, to mógłby być każdy... ja... nagle to ja... twarz się postarzała, zmizerniała, zapadła się, zmieniła w czaszkę, zniknęła. Wszystko, co zostało, to przerażenie, jakbym w sekundę ujrzał całe swoje życie, jak pył na wietrze, które zniknęło równie prędko, równie bez znaczenia.

– Chodźmy. – Musiałem coś zrobić, ruszyć się, by nie myśleć.

Snorri prowadził, kierując się w tę samą stronę, w którą powędrowały dusze, choć teraz nie było już po nich śladu.

Szliśmy całe wieki. Nie istniały dni ani noce. Byłem głodny i spragniony bardziej niż kiedykolwiek, ale nie pogarszało mi się i nie umierałem. Być może takie czynności jak jedzenie, picie i umieranie nie miały tu miejsca, jedynie czekanie i cierpienie. To miejsce wydrażało człowieka. Byłem zbyt wyschnięty, by narzekać. Wokół tylko pył, skały, odległe wzgórza nieprzybliżające się ani odrobinę i plecy Snorriego prące do przodu.

– Ciekawe, co Aslaug pomyślałaby o tym miejscu. – Może i ją by wystraszyło, brak ciemności, martwe światło, które nie grzało i nie rzucało cienia.

– Baraquel byłby najlepszym sprzymierzeńcem, którego moglibyśmy tu zabrać – odparł Snorri.

Wykrzywiłem usta.

– Ten stary zręczliwy prawiczek? Na pewno znalazłby tu mnóstwo tematów do swoich wykładów o moralności.

– Był wojownikiem światła. Lubilem go – powiedział Snorri.

– Mówimy o tym samym irytującym aniele, tak?

– Może nie. – Wiking wzruszył ramionami. – Daliśmy mu głos, ale on powstał z naszej wyobraźni. Może dla ciebie był inny. Ale obaj widzieliśmy go przy drzwiach deformagów. Taki Baraquel mógłby nam się przydać.

Musiałem mu przytaknąć. Wysoki na jardy, ze złotymi skrzydłami i srebrnym mieczem. Baraquel może i był wrzodem na dupie, ale miał serce we właściwym miejscu.

Radowałbym się, gdyby siedział teraz w mojej głowie, gładząc o tym, jakim byłem grzesznikiem, gdyby to oznaczało, że wyskoczyłby z niej i przybrał swą postać w razie kłopotów.

– Być może byłem dla niego nieco niesprawiedliwy...

– Co? – Snorri zatrzymał się i wyciągnął ramię, by i mnie powstrzymać od

dalszego marszu.

Tuż przed nami leżał stary kamień milowy, szary i zwiertzały. Na nim wyryte były rzymskie runy oznaczające szóstkę, a z boku lśniła świeża krew. Rozejrzałem się dokoła. Nic prócz tego zapadłego w pyłe głazu. W oddali za naszymi plecami, między kształtami ogromnych skał rozsianych po równinie, ledwo mogłem odróżnić jeden, który krzywił się nieco w prawo, prawie jak litera „r”.

Snorri przyklęknął, by zbadać krew.

– Świeża.

– Nie powinniście tu być. – Strumyki posoki spływały po twarzy chłopca, który się odezwał, brzdąca niewiele wyższego od kamienia milowego. Przed chwilą go tam nie było. Nie mógł mieć więcej niż sześć, siedem lat. Miał wgniecioną czaszkę, blond włosy z jednej strony były splamione szkarłatem. Krew ciekła prosto w dół po lewej połowie jego twarzy, zalewając oko, dzieląc mu facjatę na wzór samej Hel. ,

– Tylko tędy przechodzimy – powiedział Snorri.

Za naszymi plecami rozległo się warknięcie. Odwróciłem się powoli i zobaczyłem zbliżającego się ogara. Kiedyś widziałem wilka Fenrisa, więc widziałem większe stwory, ale to i tak był ogromny pies, głową sięgał mi do żeber. Miał ten rodzaj oczu, który mówił, jak wielką przyjemność sprawiłoby mu pożarcie cię.

– Nie chcemy żadnych kłopotów. – Sięgnąłem po miecz. Miecz Edrisa Deana. Snorri położył swoją dłoń na mojej, zanim zdołałem dobyć broni.

– Nie bój się, Sędzia cię nie skrzywdzi, on tylko mnie chroni – rzekł chłopiec.

Obróciłem się nieco, żeby mieć oko na nich obu.

– Nie boję się – skłamałem.

– Strach może być użytecznym przyjacielem, ale nigdy nie jest dobrym panem. – Chłopiec patrzył na mnie, krew ściekała w pył. Nie brzmiał jak dziecko. Ciekawe, czy zapamiętał ten cytat z tej samej książki co ja.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał Snorri, klękając, by spojrzeć na chłopca z jego poziomu, choć nie zbliżył się zbyt do niego. – Martwi muszą przekroczyć rzekę.

Ogar okrążył nas, by stanąć przy kamieniu milowym, a malec wyciągnął rękę, by poklepać go po grzbiecie.

– Pozwoliłem sobie tu zostać. Gdy już przekroczy się rzekę, trzeba być silnym. Ja wziąłem tylko to, czego potrzebowałem. – Uśmiechnął się do nas. Całkiem ładny byłby z niego dzieciak... gdyby nie ta krew.

– Słuchaj – powiedziałem. Minałem Snorriego i podszedłem o krok bliżej do chłopca. – Nie powinieneś być tu sa...

Nagle ogar stał się większy od najpotężniejszego Fenrisa i zapłonął ogniem. Płomienie ogarnęły bestię od głowy po pazury, migocząc też w jej ślepiach. Paszcza stwora znalazła się o stopę od mojej twarzy, a gdy ją rozdziawił, by zawyć, spomiędzy kłów buchnęło inferno.

– Nie! – wrzasnąłem i znalazłem się twarzą twarz z dżinem w samym sercu burzy piaskowej. Jakimś cudem ponownie oparłem się jego próbie wyrwania mnie z własnego ciała. Może piekielny ogar, strażnik chłopca, wypłoszył ze mnie dżina? Bez wątpienia wypłoszył ze mnie coś śmierdzącego, i to w mgnieniu oka!

Byłem w stanie dostrzec dżina wyłącznie dlatego, że każde ziarenko piasku, które wiatr ciskał przez jego niewidzialne ciało, rozgrzewało się do czerwoności, ujawniając żarzącą się sylwetkę ducha. Od zawietrznej ciągnął się zaś ślad rozżarzonego piasku, tam gdzie wiatr odwiewał go dalej. Znajdował się przede mną demon w postaci, jaką zawsze sobie wyobrażałem na podstawie przejaskrawionych wyobrażeń duchownych – z rogami, kłami i rozgrzanyimi do białości oczyma.

– Kurwa. – Moim kolejnym odkryciem było stwierdzenie faktu, że trudno uciekać, gdy jest się zagrzebanym w piachu aż po klatkę piersiową. Zaś następne odkrycie okazało się nawet gorsze. W piaskowej zawiei dostrzegłem ciało leżące na wydmie za dżinem. Chwilowa przerwa w podmuchach pozwoliła mi przyjrzeć się lepiej... to byłem ja. Leżałem, patrząc na wszystko niewidzącymi oczyma, z rozwartą szczęką. Co znaczyło, że patrzyłem na wszystko... jako oderwana od ciała dusza wciągana do piekła!

Dżin trwał w miejscu tuż przede mną, ilustrowany rozżarzonym piaskiem, który wiatr przenosił przez jego postać. Stał nieruchomo między mną i moim ciałem, na tyle blisko, że mogłem go dotknąć. Nie musiał mnie nawet pchać, wydma sama była dość chętna, by mnie wessać. Ogłupiały z przerażenia, zacząłem grzebać rękami w piachu, by dobyć miecza, ale piasek mnie pokonał i nic z tego nie wyszło. Złapałem więc klucz zawieszony na szyi, niepewny, czy ten mi pomoże... i czy to w ogóle był klucz, skoro identyczny wisiał na szyi mojego nieruchomego ciała, gdy zdołałem w przerwie między podmuchami spojrzeć na swą postać. Zacisnąłem palce na kluczu tak mocno, jak potrafiłem.

– No, dawaj! Daj mi coś przydatnego!

W odpowiedzi na moje błaganie piasek wokół mnie natychmiast się osypał, odsłaniając klapę dziwacznie wbudowaną w wydme, w której tkwiło już dwie trzecie mnie. Gdy piasek wpadł do środka, wpadłem i ja. Zdołałem wyciągnąć obie ręce i zahaczyć ramionami o krawędź otworu. Zadyndałem nad znajomą, jałową równiną oświetloną martwym światłem.

– No nie!

Wydma pod moimi palcami dawała mało oparcia i wciąż osuwałem się do dziury cal po calu, a zatem złapałem jedyną rzecz znajdującą się w zasięgu ręki. Po części oczekiwałem, że poparzę sobie dłonie, ale pomimo efektu, jaki wywierał na piasek, dżin nie promieniował gorącem, jedynie niewysłowioną wściekłością i nienawiścią.

Dżin wydawał się rozpalony pod palcami mojej duszy, ale nie na tyle gorący, bym był gotów go puścić, zlecieć do piekła i zostawić mu moje ciało w roli zabawki.

– Draniu! – Podciągnąłem się po dżinie, chwytając za rogi, kolce, wałki tłuszczu, co mi wpadło w ręce. Dzięki sile zrodzonej ze strachu zdołałem w dwóch trzecich wypełznąć z zapadni, zanim dżin w ogóle zorientował się w sytuacji. Z zaskoczenia stracił równowagę i choć moja dusza mogła ważyć mniej niż inne, zdołałem powalić ducha ognia na ziemię i przeciągnąć nieco do przodu, gdy ja się wspinałem.

Przez chwilę walczyliśmy w uścisku, starając się zepchnąć drugiego do dziury, w której obaj po części tkwiliśmy. Głównym problemem było to, że dżin był cięższy i silniejszy ode mnie, co zdawało się bardzo niesprawiedliwe, skoro wiatr przez niego przewiewał. W dodatku miał wspomniane już rogi i kolce, a także komplet trójkątnych zębisk, które wyglądały na zdolne do rozdzierania kości.

Okazuje się, że gdy dusza walczy, ostre zadziory i krawędzie są mniej ważne od chęci wygranej zwłaszcza jeśli chodzi o wygranie życia. Panika nie przydaje się może w wielu sytuacjach, ale dobrze ukierunkowane przerażenie stanowi czasem dar z niebios. Dźgnąłem dżina w oko kluczem Lokiego, złapałem za dwa rozciągnięte płatki uszu i przeskoczyłem nad jego głową, zapierając się butem o tył jego szyi i wpychając go głębiej do dziury... gdzie jego cielsko się zaklinowało. Musiałem podskoczyć na nim parę razy, wbijając mu pięty między łopatki, zanim wpadł do środka niczym korek wystrzelony z amfory. Prawie poleciałem za nim, ale dzięki rzuceniu się, drapaniu i sporej dozie paniki zdołałem wyczołgać się na wydnię. Wiatr zaczął cichnąć, a piasek opadał wokół mnie.

Szybko zatrzasnąłem klapę zapadni i zamknąłem kluczem Lokiego. Odkryłem, że natychmiast zniknęła, a ja dźgałem kluczem w piach. Wzruszyłem ramionami i zacząłem ostrożnie badać, czy nic mi nie jest. Ponowne zamieszkanie we własnym ciele okazało się niezwykle proste. Na szczęście, bo już nadchodziły mnie wizje, w których szejk i jego ludzie nadjeżdżali i znajdowali mnie nieprzytomnego, a dusza musiała wlec się z tyłu, gdy ciało przerzucone przez wielbłąda poddawano pogańskim poniżeniom. Albo co gorsza, mogliby nie zauważyć ciała leżącego pod piaskowym całunem i

odjechać, podczas gdy ja patrzyłbym, jak ono wysycha, a jego suche płatki porywa wiatr. Siedziałbym sam i obserwował, jak pustynia połyka moje kości. Dobrze więc, że gdy tylko położyłem duchowy palec na ciele, zostałem natychmiast wessany do środka i ocknąłem się, kaszłąc.

Usiadłem i od razu sięgnąłem po klucz zawieszony na szyi. Trudno orzec, jaka część tego, co widziałem, zdarzyła się naprawdę, a ile z tego było sposobem, w jaki mój umysł zinterpretował walkę z nikczemnym dżinem. Podejrzewałem nawet, że to sam klucz podsunął mi straszne obrazy z powodu pokręconego poczucia humoru Lokiego.

Ha'tari jadący przed karawaną znaleźli mnie jakieś pół godziny później. Siedziałem na rozpalonej wydmie z głową przykrytą śmierdzącym kocem, który ściągnąłem ze swojego wielbłąda. Jeźdźcy odeskortowali mnie z powrotem do szejka Malika, popychając mnie przed sobą jak jakiegoś więźnia, który uciekł z celi.

Szejk popędził wielbłąda w naszą stronę, gdy się zbliżyliśmy. Dwóch osobistych strażników jechało po obu jego stronach. Za nim na czele karawany dostrzegłem Jahmeena zgarbionego w siodle, w którym utrzymywali go jego bracia, jadący po bokach. Zgadywałem, że szejk nie był w najlepszym nastroju.

– Przyjacielu? – Uniosłem rękę i posłałem mu szeroki uśmiech. – Widzę, że nie ścigało was więcej dżinów. Bałem się, że ten, którego odciągnąłem, nie był jedynym wrogiem!

– Odciągnąłeś? – Zdezorientowanie wygładziło nieco twarde spojrzenie szejka.

– Widziałem, jak stwór opętał Jahmeena, więc wypchnąłem go z chłopaka i natychmiast pognałem do przodu, wiedząc, że będzie mnie ścigał z zemsty.

Gdybym został, znalazłby łatwiejszy cel do opętania i użył go przeciwko mnie. – Mądrze pokiwałem głową. Zawsze dobrze mieć kogoś, kto będzie się z tobą zgadzał w podobnej dyskusji, nawet jeśli będziesz to ty sam.

– Wypchnąłeś dzina...

– Jak się trzyma Jahmeen? – Myślę, że zdołałem dość udatnie sfalszować troskę. – Mam nadzieję, że prędko dojdzie do siebie – cóż to musiała być za straszliwa męka.

– Cóż. – Szejk zerknął do tyłu na swego syna, siedzącego nieruchomo na stojącym w miejscu wielbłądzie. – Będziemy się modlić, by prędko ozdrowiał.

Szczerze wątpiłem, że tak się stanie. Z tego, co widziałem i czułem, Jahmeen został wypalony do szczytu. Ciało miał ciepłe, ale w zasadzie już nie żył. Jego dusza znajdowała się w zaświatach, ciesząc się tym, co według jego wiary należało się człowiekowi jego pokroju. A może cierpiała.

– Miejmy nadzieję, że już w ciągu paru dni! – Wciąż się uśmiechałem. Za pół dnia znajdziemy się w Hamadzie, a ja na zawsze pozbędę się towarzystwa szejka, jego wielbłądów i jego synów. Niestety, pozbędę się też towarzystwa jego córek, ale tę cenę byłem gotów zapłacić.

[1](#) T.S. Eliot „Ziemia jałowa”, w tłumaczeniu Czesława Miłosza (przyp. tłumacza).



Hamada jest wspaniałym miastem, które sprawia, że wszystkie inne w Rozbitym Imperium wyglądają jak żebracy, choć nie lubimy o tym wspominać w naszych chrześcijańskich krajach. Da się do niej dojechać wyłącznie od strony pustyni, więc zawsze stanowi miły widok. Nie otaczają jej wysokie mury, piasek tylko by się pod nimi usypywał, tworząc rampy dla wrogów. Zamiast tego miasto wyrasta powoli na terenach, gdzie woda gruntowa związała wydmy trawą zwaną karran. Najpierw widać kopułki z błota, zadziwiająco wybielone przy pomocy wapna, na wpół zakopane. Ich ciemne wnętrza są nieprzeniknione dla oślepionych od słońca oczu. Budynki rosną wraz ze swą rangą, a tereny opadają ku obiecanej wodzie, odsłaniając wieże, minarety i pałacowe gmachy z białego marmuru i jasnego piaskowca.

Widok miasta wyrastającego na pustyni uciszył całe nasze towarzystwo, umilkły nawet rozmowy o Słońcu Budowniczych, niekończące się pytania i wciąż te same rozważania, co to wszystko oznaczało. Jest coś magicznego w widoku Hamady po wieczności spędzonej na Saharze – a proszę mi wierzyć, dwa dni w tym miejscu to cała wieczność. Byłem naprawdę wdzięczny za to rozproszenie uwagi, bo zdążyłem już nierozsądnie wspomnieć, że spora część Gelleth została zrównana z ziemią przez broń Budowniczych, a ja widziałem kraniec strefy destrukcji. Szejk, który najwyraźniej uważał na lekcjach historii bardziej niż ja, napomknął, że ostatnie Słońce Budowniczych wybuchło osiemset lat temu, przez co to, że ktoś mógł być świadkiem obu tych wydarzeń, zdawało się bardzo mało prawdopodobne. Jedyne widok Hamady sprawił, że szejk przestał rozmyślać nad tym tematem i nie doszedł do wniosku, że byłem w jakiś sposób zamieszany w obie eksplozje.

– Z chęcią zsiądę w końcu z tego wielbłąda. – Przerwałem ciszę. Po incydencie z dżinem na własne życzenie odzyskałem swój miecz, który zabrałem Edrisowi Deanowi, i sztylet, który wyniosłem z piekła. W mieście zamienię szaty na bardziej dopasowaną garderobę. A gdy jeszcze znajdę się na koniu, natychmiast znów poczuję się jak dawny Jalań!

Po zachodniej stronie Hamady znajduje się brama, obwarowana z obu stron

pięćdziesięcioma jardami wyodrębnionych murów. Jest to łuk na tyle wysoki, że mogą pod nim przejść słonie, niosące na grzbietach wielkie siedziska zdobione pióropuszcami. Nazywają ją Bramą Pokoju i szejkowie zawsze przez nią wjeżdżają do miasta, więc mimo kuszącej bliskości cywilizacji nasza karawana skręciła i zaczęła objeżdżać miasto, byśmy mogli uczynić wszystko zgodnie z tradycją.

Jechałem blisko czoła kolumny, przezornie trzymając się z dala od Jahmeena. Nie miałem całkowitej pewności, czy dżin nie znajdzie czasem drogi z powrotem do jego ciała, by w ten sposób uciec z zaświatów. Jedynym dobrym aspektem ostatniej mili podróży było to, że podzieliliśmy między siebie cały zapas wody, która jeszcze nam została, a było jej wciąż naprawdę sporo. Ha'tari wlewali ją sobie do gardeł, obmywali dłonie i lali na klatki piersiowe. Ja tylko piłem, aż spuchł mi brzuch i nie dałem rady wcisnąć w siebie ani kropli więcej. Mimo to pragnienie, które męczyło mnie od wejścia do zaświatów, nie zniknęło. Miałem wyschnięte usta, nawet gdy połykałem ostatni haust płynu.

– Co zamierzasz, książę Jalandie? – Szejk dotąd nie spytał mnie ani razu, w jaki sposób znalazłem się na pustyni. Być może uznał, że była to niepojęta wola Boga, którą udowadniała moja sprawdzona przepowiednia. Nie interesowała go moja przeszłość, ale przyszłość już tak. – Czy zostaniesz w Libie? Pojedź ze mną na wybrzeże, a pokażę ci moje ogrody. Na północy hodujemy nie tylko piasek! Może zechcesz zostać?

– Ach. Być może. Najpierw muszę się jednak udać do Mathemy i odszukać starego przyjaciela. – Chciałem jedynie w jednym kawałku wrócić do domu wraz z kluczem. Wątpiłem, by trzy podwójne floreny i garstka drobniaków w mojej kieszeni zdołały zapewnić mi transport. Gdybym zdołał dociągnąć na dobrej woli szejka aż do wybrzeża, byłoby świetnie, ale nie wiedziałem, czy jego życzliwość przetrwałaby podobną podróż. Doświadczenie nauczyło mnie, że obcego prędko obarcza się winą za każde nieszczęście. Ile tygodni na pustyni zajęłoby szejkowi spojrzenie na sprawy w innym świetle, jeśli jego synowi nie zaczęłoby się poprawiać? Jak szybko z kogoś, kto ostrzegł go o niebezpieczeństwie, zmienilibym się w osobę, która to nieszczęście spowodowała?

– Interesy zatrzymają mnie w Hamadzie na miesiąc... – Szejk urwał nagle, gdy zbliżyliśmy się do Bramy Pokoju. Nad sklepionym przejściem przywiązano powykręcane zwłoki, najdziwniejsze, jakie widziałem od dawna. Wokół ciała powiewały strzępki czarnej tkaniny. Pod nimi skóra ofiary była bledsza niż skóra wikinga, jeśli nie liczyć wielu miejsc, gdzie została poszarpana i pociemniała od dawno zakrzepłej krwi. Prawdziwie zaskakujące były połamane kończyny. Zwisły luźno, a pocięte mieczem ciało powinno odsłaniać kości. Zamiast nich pośród roju much połyskiwał metal. Wrona wzbudziła

poruszenie wśród owadów i przez ich czarną chmurę dostrzegłem srebrzystą stal w miejscu stawów.

– To dzieło Mechaników – powiedziałem, osłaniając oczy, by lepiej widzieć, gdy podjechaliśmy bliżej. – Mężczyzna wygląda prawie jak nowoczesny z Umbertide, ale w środku jest...

– Mechaniczny. – Szejk Malik zatrzymał się tuż przed lukiem bramy. Kolumna za nami zaczęła tworzyć zator.

– Przysiągłbym, że to bankier. – Pomyślałem o starym dobrym Marcu Onstantosie Evenalinie z Domu Złota, Derywaty Kupieckie na Południu. Facet nauczył mnie, jak handlować perspektywami. Przez jakiś czas podobało mi się szalone spekulowanie, kierujące rzekami złota przez tuzin największych florenckich banków. Banków, które czasem zdawały się rządzić światem. Ciekawe, czy to mógł być on – jeśli tak, nie za dobrze pozarządzał swoimi perspektywami. – Może nawet ten, którego kiedyś poznałem.

– Trudno to teraz stwierdzić. – Szejk Malik ponaglił swojego wielbłąda.

– To prawda. – Przez głowę bankiera przeszło koło tuzina bełtów do kuszy, zostawiając twarz w strzępach i tworząc pobjowisko ze srebrzystostalowej czaszki. Mimo to wróciłem myślami do Marca, którego po raz ostatni widziałem w towarzystwie nekromanty Edrisa Deana. Marco, jego nieludzki bezruch i projekt ożenku martwego ciała z mechanizmem. Gdy jego zwierzchnik Davario wezwał go po raz pierwszy, myślałem, że chciał mi pokazać dłoń nieboszczyka przyczepioną do mechanicznego żołnierza. Może dowcip polegał na tym, że człowiek, który wprowadził owego żołnierza, sam był trupem owiniętym wokół zmodyfikowanej konstrukcji dzieła Mechaników.

Ha'tari pozostali przy bramie, wyśpiewując modlitwy za nasze dusze albo o nasze uzasadnione potępienie, podczas gdy świta szejka wkroczyła za nim do Hamady. Zostawiliśmy również za sobą zgraję obszarpanych urwisów, która biegła za nami od obrzeży miasta, ale zaledwie parę jardów dalej łobuziaków zastąpiła chmara Hamadian ze wszystkich grup społecznych, od ulicznych sprzedawców po odzianego w jedwabie księcia. Wszyscy zgietkliwie domagali się nowin. Szejk zaczął przemawiać do nich w języku pustyni, szybkim i ostrym jak nóż. Po wyrazie ich twarzy wiedziałem, że byli świadomi, iż wiadomości były złe, ale zaledwie paru zdążyło już pojąć jak bardzo. Nikt ze zgromadzenia w Oazie Palm i Aniołów nigdy już nie przejdzie przez bramę miasta.

Skorzystałem z okazji, by ześlizgnąć się z wielbłąda i wymknąć z tłumu. Nikt nie zwrócił uwagi na moje odejście, wszyscy skupili się na opowieści szejka Malika.

Miasto wydawało się prawie opustoszałe. Zawsze tak było. Nikt nie pragnie wałęsać się po ulicach rozpalonych jak piec, skoro wewnątrz budynków oferują

cień i chłodniejsze temperatury. Minąłem spektakularne budowle postawione za bogactwa dawnych kalifów dla ludności Hamady. Jak na miejsce, które nie miało nic oprócz piasku i wody, Hamada zdołała przez wieki zgromadzić przerażającą ilość złota.

Krocząc po upstrzonym piaskiem bruku z ciemną kałużą własnego cienia wokół stóp, potrafiłem sobie wyobrazić miasto duchów, nawiedzane przez dżiny i czekające na wydmową falę, która je zatopi.

Nagły spadek terenu ukazujący jezioro zawsze stanowił niespodziankę. Przede mną rozciągał się szeroki zalew, który brał zmęczony błękit nieba i nadawał mu lazuruowy, miękki kolor. Na jego drugim brzegu stał pałac kalifa. Wielką centralną kopułę otaczały minarety i skupiska połączonych budynków. Całość była oślepiająco biała i chłodna oraz obudowana galeryjkami.

Okrzyżłem jezioro, minąłem stopnie i filary antycznego amfiteatru, zbudowanego przez Rzymian w dawnych czasach, jeszcze zanim odnalazł ich Chrystus. Wieża Mathemy stała dalej od wody, ale patrzącemu z niej człowiekowi nic nie blokowało widoku. Sięgała nieba, wyższa od wszystkich innych wież w Hamadzie, nawet tej należącej do kalifa. Gdy zbliżałem się do niej, powróciły niewygodne wspomnienia Wieży Oszustów w Umbertide, choć Mathema była o połowę szersza i trzy razy wyższa.

– Witaj. – Jeden z odzianych w czarne szaty studentów odpoczywających w cieniu budowli wstał, by mnie zatrzymać. Pozostali, może tuzin, ledwie podnieśli wzrok znad tabliczek, zajęci skrobaniem swoich obliczeń.

– *Wa-alaykum salaam* – odwzajemniłem pozdrowienie. Można by pomyśleć, że przez ten cały piach, który połknąłem, będę w stanie lepiej posługiwać się pustynnym językiem, ale wcale tak nie było.

Wyglądało na to, że po tej wymianie student wyczerpał cały swój zasób słów z mowy Imperium, a ja z mowy Arabei, bo zapadła między nami niezręczna cisza.

– To coś nowego. – Machnąłem w stronę otwartego wejścia. Kiedyś znajdowały się tam drzwi z czarnego kryształu. Aby je otworzyć, trzeba było rozwiązać łamigłówkę ze zmieniającymi się wzorami, za każdym razem inną. Gdy tu studiowałem, nigdy nie zdołałem tego dokonać w czasie krótszym niż dwie godziny. Raz zajęło mi to dwa dni. Całkowity brak drzwi stanowił nieoczekiwaną, lecz przyjemną zmianę, choć w zasadzie liczyłem na to, że szturchną odrzwia kluczem Lokiego, a draństwo będzie musiało natychmiast się przede mną rozewrzeć.

Student z odległego zakątka Arabei, młodzieniec o wąskich rysach i czarnych włosach ulizanych przy czaszce, zmarszczył brwi, jakby przypomniawszy mu się jakaś wielka tragedia.

– Jorg.

– Jestem tego pewien. – Kiwnąłem głową, udając, że rozumiem. – Teraz pójde na górę i odwiedzę Qalasadiego. – Przepchnąłem się obok niego, wszedłem do środka i poszedłem krótkim korytarzem do schodów wijących się tuż przy zewnętrznej ścianie. Widok równań wyrytych w niej i wznoszących się spiralnie wraz ze schodami na wysokość setek stóp przypomniat mi, jakat torturat byat dla mnie rok spędzony w Hamadzie. Co prawda nie takat jak marsz przez zaatwiaty, ale matematyka w upalny dzieñ, w dodatku gdy ma się kaca, potrafiat niemal dorównat takiemu doatwiadczeniu. Równania atledziat mnie, gdy piatłem się po schodach. Mistrz matematyki potrafi wykalkulowat przyszat, widzat wsród wydrapanych sum i skomplikowanych caat na tabliczkach równie duat, co Milczatca Siostra dostrzega swym atlepym okiem albo co völvy wyszacujat z rzuconych run. Dla matematykw z Liby ludzie sāt tylko zmiennymi, a to, ile naprawdę widzat i jakie majat cele, pozostaje tajemnicat dla wszystkich spoza ich zakonu.

Dotarłem mniej więcej do połowy wieat, na szczycie ktorej mieat się poziom Omega, zanim obficie się pocat, przystanatem, by złapac oddech. Czterech wielkich mistrzów zakonu przydowato na zmianę w ciagu roku i miałem nadzieję, że obecny zarzadca będzie pamietat mnie i moje powiazania z tronem Czerwonej Marchii. Qalasadi byatby najlepszy, bo to wlatnie on zajmowat się moim szkoleniem podczas studiów. Przy odrobinie szczęatcia matematyky zorganizujat mi bezpieczny powrot do domu, może nawet wykalkulujat wolnat od jakiegokolwiek ryzyka trasę.

– Jalan Kendeth. – To nie byat pytanie.

Odwróciłem się i na schodach za sobat ujrzałem Yusufa Malendrę. Jego białe szaty powiewaty, a zęby połyskiwaty czerniat na tle skóry o kolorze mokki. Ostatni raz widziałem go w Umbertide, w kolejce w foyer Domu Złota.

– Mówiat, że w przypadku matematykw nie ma przypadków – powiedziałem, ocierajac czoat. – Czyzbyś wykalkulowat czas i miejsce naszego spotkania? A może to koniec interesów we Florencji przygnat cię z powrotem do Mathemy?

– To drugie, mój ksiatę. – Wygladat na szczerze zadowolonego, że mnie widzi. – Oczywiatcie zdarzajat nam się przypadki, a ten jest wielce fortunny. – Za jego plecami jakis dyszacy student wspinat się po schodach.

Uderzyla mnie naglat mysl, obraz białego ciata odzianego w czern, połamanego i zawieszzonego nad Bramat Pokoju w promieniach pustynnego słońca.

– Marco... to *byat* Marco, prawda?

– Ja...

– Jalan? Jalan Kendeth? Nie wierzę własnym oczom! – Zza ramienia Yusufa wyjrzała twarz, szeroka i ciemna, z ustami rozciągniętymi w tak wielkim uśmiechu, że zęby zdawały się zawieszane na uszach.

– Omar! – Gdy tylko ujrzałem wyszczerzoną gębę Omara Fayed, siódmego syna kalifa, wiedziałem, że moja męka dobiegła końca. Chłopak był jednym z moich najwierniejszych towarzyszy w Vermillionie, zawsze chętnym, by zabalować na mieście. Może z piciem nie szło mu najlepiej, ale zamiłowaniem do hazardu przewyższał nawet mnie. A i kieszenie miał głębsze niż jakikolwiek inny znany mi młodzieniec. – No, powiedz mi jeszcze, że to był przypadek! – odezwałem się wyzywająco do Yusufa.

Matemagik rozłożył ręce.

– Nie wiedziałeś, że księżę Omar wrócił do Hamady i swych studiów w Mathemie?

– Cóż... – Musiałem przyznać, że wiedziałem.

– Mówili, że zginąłeś! – Omar precyzyjnie się obok Yusufa i położył mi dłoń na ramieniu. Był niski, więc musiał sięgnąć nieco w górę. Miła odmiana po długim czasie spędzonym w cieniu Snorriego. – Ten pożar... nigdy nie dałem wiary oświadczeniom. Próbowałem wyliczyć sumy, by potwierdzić swe przypuszczenia, ale cóż, to nie takie proste.

– Cieszę się, że oszczędziłem ci wysiłków – odparłem z równie szerokim uśmiechem. Dobrze było znaleźć się z powrotem wśród znajomych. Z przyjacielem, który troszczył się o mnie na tyle, by próbować odkryć, co mi się przytrafiło. Po... nie wiadomo jak długiej wędrówce po piekle wszystko nagle zaczęło trochę mnie przytłaczać.

– Chodź. – Yusuf oszczędził mi wstydu, zanim zdążyłem rozbeczeć się przed nimi na schodach. Zaprowadził nas parę stopni w dół do drzwi na poziom Lambda i dalej, do małego pokoiku przy głównym korytarzu.

Usiedliśmy wokół wypolerowanego stołu w zagraconym pomieszczeniu pełnym zwojów i opasykanych tomów oprawionych w skórę. Yusuf napełnił trzy maciupkie filiżanki bardzo mocną kawą ze srebrnego dzbana stojącego w okiennej wnęcie.

– Muszę się dostać do domu – powiedziałem, krzywiąc twarz po wychyleniu napitku. Nie było sensu owijać w bawełnę.

– Gdzieś ty się podziewał? – spytał Omar, wciąż z ustami rozciągniętymi w szerokim uśmiechu. – Udałeś się na południe po ucieczce z pożaru? Dlaczego na południe? I czemu udawałeś martwego?

– Tak się składa, że ruszyłem na północ, w pośpiechu, ale głównie chodzi o to, że byłem... w odosobnieniu... przez kilka... hm. Który teraz jest?

– Co proszę? – Zakłopotany Omar zmarszczył brew.

– Trwa dziewięćdziesiąty ósmy rok Interregnum, dziesiąty miesiąc – odparł Yusuf, bacznie mnie obserwując.

– Przez... och... – przyznam, że troszkę się zawstydzilem, mozoląc się z odejmowaniem na oczach mistrza matematyków z Mathemy. – Koło, no kurde, tego! Miesiące, prawie pół roku! – Naprawdę minęło już pół roku? Z jednej strony *naprawdę* zdawało się, że cała ta wyprawa trwała ze dwa żywoty, ale z drugiej, jeśli się weźmie pod uwagę faktyczne wydarzenia, można by je z łatwością zmieścić w jednym tygodniu.

– Kelem! – bez zastanowienia palnąłem jego imię, zanim zdecydowałem, czy to rozważne czy nie. – Opowiedzcie mi o Kelemie i bankowych klanach.

– Kelem nie trzyma już klanów w garści. – Yusuf przesunął dłońmi po blacie stołu, palce mu drgały, jakby musiał powstrzymać je przed zapisywaniem terminów logicznych i zrównywaniem wzorów w oparciu o nowe wiadome. – Kalkulacje wskazują, że utracił swą cielesną formę.

– Co to oznacza? – zapytałem.

– Nie wiesz? – Lewa brew Yusufa okazała swoje niedowierzenie.

Pomyślałem o Aslaug i Baraqlu, przypomniałem sobie, jak córka Lokiego zaatakowała Kelema po tym, jak ją uwolniłem, i jaki ból widać było w jej czarnych oczach, gdy pozwoliłem Karze wepchnąć ją z powrotem w ciemność.

– Budowniczowie przeszli do świata duchowych istot...

– Niektórzy owszem – przytaknął Yusuf. – Ale niewielu. Wykorzystali zmiany, które sprowadzili na świat, gdy obrócili Koło. Uciekli do innych form, gdy własne ciała ich zdradziły. Innych skopowano do machin Budowniczych, a oni wciąż istnieją w nich jako echa dawno zmarłych kobiet i mężczyzn. Budowniczowie, którzy porzucili swoje ciała, przez jakiś czas byli jak bogowie, ale gdy ludzie powrócili na ziemię na zachodzie, ich oczekiwania stały się subtelną pułapką. Duchy Budowniczych zostały zniewolone przez mity, każdą opowieść, która narosła wokół ich istot i umacniała się dzięki nim. Zostały wplecione w materię wierzeń, która zarówno kształtowała je, jak i więziła, aż prawie całkowicie zapomniały o czasach, kiedy były czymś innym niż istotami, za które uważali je ludzie.

– A Kelem? – To jego się obawiałem. – Czy może powrócić? Czy będzie pamiętał... uch, co się stało?

– Minie trochę czasu, zanim się pozbiera. Był zaprzysiężony kamieniowi. Jeśli nie umarł na dobre, z czasem wróci do ziemi. I tak, będzie pamiętał. Ale prędko nie wpadnie z powrotem w sidła wydarzeń. Może nawet nigdy, skoro jest świadomy zagrożenia.

Zagapiłem się na otaczające nas kamienne ściany.

– Muszę...

Yusuf uniósł dłón.

– Zaprzysiężeni kamieniowi działają wolno. Minie trochę czasu, zanim Kelem znów pokaże się na tym świecie. A czas jest tym, czego on nie ma. I nikt inny. Świat pęka, książę Jalandre. Koło Budowniczych obrócone, by zmienić świat, nie przestało się kręcić i jeśli mu na to pozwolimy, zmiany będą coraz większe i będą następować coraz szybciej, aż w końcu wszystko, co znamy, przepadnie. Jesteśmy pokoleniem ślepców zmierzających w stronę urwiska. To nie Kelemem powinieneś się martwić.

– Błękitna Dama... Martwy Król. – Nie chciałem wymawiać ich imion. Dobrze mi szło ignorowanie myśli o nich, odkąd uciekłem z piekła. W sumie, gdyby ten cholerny dzin nie obudził moich wspomnień, może zdołałbym już nigdy więcej nie myśleć o całej tej podróży i o biednym Snorrim. – Czy to tą dwójką powinienem się martwić?

– Otóż to. – Yusuf pokiwał głową.

Omar tylko spojrzał na mnie zdezorientowany z drugiej strony stołu i bezgłośnie spytał: „kto?”

– Cóż. – Odchyliłem się do tyłu na krześle. – To wszystko mnie nie dotyczy. Ja chcę tylko wrócić do domu.

– To wojna, która wiele znaczy dla twojej babki – powiedział miękko Yusuf, ale jego słowa niosły ze sobą niewygodny ciężar.

– Czerwona Królowa ma swoją wojnę i może ją sobie zatrzymać – odparłem. – To nie jest jedna z rzeczy, którą ludzie mojego pokroju mogą sobie zmienić w ten czy inny sposób. Nie chcę brać w tym udziału. Chcę tylko wrócić do domu i... odpocząć.

– Mówisz tak, a mimo to zmieniasz rzeczy w zaskakującym tempie, książę Jalandre. Pokonałeś nieumarłych na północnych ugorach, zrzuciłeś Kelema z jego tronu w kopalni, pognałeś za Martwym Królem do piekła... i masz klucz, prawda?

Posłałem mu gniewne spojrzenie. Wiedział zdecydowanie za dużo.

– Mam *jakiś* klucz, owszem. Ale ty go nie dostaniesz. On należy do mnie. – Będę bronił klucza Lokiego ze wszystkich sił, dopóki nie zdołam wrócić do domu. Potem od razu oddam go babce i zostanę obsypany pochwałami, tytułami i złotem.

Yusuf uśmiechnął się do mnie i wzruszył ramionami.

– Jeśli nie chcesz przyłożyć ręki do kształtowania przyszłości, niech i tak będzie. Zorganizuję ci przewóz do Czerwonej Marchii. Zajmie to parę dni. Odpocznij tutaj. Naciesz się miastem. Jestem pewien, że dobrze je znasz.

Kiedy ktoś zbyt łatwo ci odpuszcza, zawsze rodzi się podejrzenie, że wie więcej niż ty. To drażniąca sprawa, jak poparzenie słoneczne, ale znam

niezawodny sposób, by złagodzić podobne swędzenie.

– Chodźmy się napić!

– Chodźmy wygrać trochę złota. – Omar kiwnął głową w stronę wielkiej biblioteki. Ćwierć mili za nią znajdował się największy tor wyścigowy w Hamadzie, pękający w szwach od Libańczyków wrzeszczących na wielbłądy.

– Najpierw drink – odparłem.

Omar zawsze łatwo ustępował, mimo że dotrzymywał nakazu swej wiary i nie tykał alkoholu.

– Ale nie za duży. – Poklepał się po zaokrąglonej sylwetce, a pod jego szatami brzęknęły pokrzepiająco monety. – Ja stawiam.

– Nie za duży – skłamałem. – Zawsze zamawiaj dużo, jeśli pijesz na cudzy koszt. A poza tym nie miałem najmniejszego zamiaru iść na wyścigi. Przez ostatnie dwa dni miałem wielbłądów powyżej uszu!

W Hamadzie nie można pić, co jest ironiczne, bo to jedyne miejsce w promieniu setek mil suchych jak pieprz wydm, gdzie można znaleźć wodę. Kupno i spożywanie alkoholu w jakiegokolwiek postaci jest zabronione w królestwie Liby. Wielka szkoda, jeśli się weźmie pod uwagę, że to piekielnie gorące miejsce. Jednakże Mathema przyciąga bogatych studentów z całego Rozbitego Imperium i z samego serca kontynentu Afriki, a oni przywożą ze sobą pragnienie nie tylko wody i wiedzy. A zatem da się znaleźć w Hamadzie, jeśli ktoś wie, gdzie szukać, wodopoje różnego rodzaju, na których istnienie imamowie i strażnicy miejscy przykują oko.

– Mathema – syknął Omar przez żelazną kratę broniącą maleńkiego okienka. Ciężkie drzwi, w których tkwiło owo okienko, wbudowano w pobieloną ścianę w wąskiej alejce we wschodniej części miasta. Drewniane wejście samo w sobie było wskazówką. Drewno osiągało na pustyni wysokie ceny. Większość domów w tej dzielnicy miała zasłony z paciorków, grodzące muchom drogę, a właściciele liczyli na to, że groźba publicznego wbicia na pal zniechęci potencjalnych złodziejasków. Chociaż nigdy nie zdołałem pojąć, jak „publiczny” aspekt kary miałby dodać grozy samemu wbiciu na pal.

Podążyliśmy za portierem, chudym mężczyzną o niemożliwym do określenia wieku i skórze koloru hebanu, odzianym jedynie w przepaskę na biodra. Poprowadził nas mrocznym, dusznym korytarzem obok zejścia do piwnicy, gdzie aparat destylacyjny bulgotał gniewnie do siebie, szykując porcję zbożowego bimbru najgorszego sortu. Potem wspięliśmy się na dach po trzech kondygnacjach schodów. Baldachim z wzorzystej tkaniny, rozwieszony na kilkunastu podpórkach, zakrywał cały dach, zapewniając błogosławiony cień.

– Dwie whisky – rzekłem do gościa, gdy razem z Omarem klapnęliśmy na stertę poduszek.

– Nie dla mnie. – Omar pokiwał palcem. – Wodę kokosową z gałką muszkatołową.

– Dwie whisky i to, co on chce. – Odprawiłem kelnera i wyciągnąłem się wygodniej na poduszkach, nie dbając o pochodzenie znajdujących się na nich plam. – Chryste, potrzebuję drinka.

– Co się wydarzyło w operze? – zapytał Omar.

Nie odpowiedziałem. Nie rzekłem ani słowa, nie kiwnąłem też nawet palcem, aż w końcu po pięciu minutach chłopak w białej koszuli przyniósł nasze orzeźwiacze. Podniosłem moją pierwszą „whisky”. Wychyliłem do dna. Sapnąłem i sięgnąłem po następną.

– To. Jest. To. – Drugiego drinka wydudliłem w dwóch łykach. – Jeszcze trzy whisky! – ryknąłem w stronę schodów – chłopak na pewno nie zdążył jeszcze zejść na dół. Wtedy znów się wyciągnąłem. I opowiedziałem Omarowi swoją historię.

– I tak to było. – Słońce zaszło, a chłopiec wrócił, by zapalić tuzin lamp, zanim skupiając się na punktach kulminacyjnych, zdołałem opowiedzieć skróconą wersję historii o podróży, zaczynając od nieszczęsnej wizyty w operze, a kończąc na Bramie Pokoju w Hamadzie. – I żył długo i szczęśliwie. – Chciałem wstać i nagle znalazłem się na czworakach, zdecydowanie bardziej pijany, niż mi się wcześniej wydawało.

– Niesamowite! – Omar wychylał się do przodu, opierając brodę na zaciśniętych dłoniach. Może komplementował mój sposób na ponowne odnalezienie przeze mnie pionu, ale to chyba moje przygody wzbudziły w nim taki podziw. Nie wspomniałem w ogóle o tym, co spotkało mnie w piekle, a części o nienarodzonych i Martwym Królu okroiłem, jak się dało, ale i tak wyszła z tego wspaniała opowieść. Gdyby to był ktoś inny, uznałbym, że próbuje mnie podnieść na duchu, ale Omar zawsze wierzył mi na słowo – okropna i głupia cecha u nałogowego hazardzisty, ale tak właśnie było.

Przez długą i przyjemną chwilę siedziałem, sącząc swojego drinka. Nieprzyjemne wspomnienie wytrąciło mnie z tego snu na jawie. Głośno odstawiłem kubek z whisky.

– No więc co się, do cholery, wydarzyło na pustyni? – Choć mówienie o sobie sprawiało mi nieporównywalną przyjemność, zdałem sobie sprawę, że przez chęć wykręcenia się od udziału w kalkulacjach Yusufa, mających na celu ratowanie świata, zapomniałem zapytać, dlaczego najwyraźniej zaledwie po raz drugi w ciągu ośmiuset lat Słońce Budowniczych wybuchło i dlaczego tak blisko Hamady, że wytrząsnęło miejscowym piasek z bród.

– Mój ojciec zamknął oczy Budowniczych w Hamadzie. Myślę, że mogło im się to nie spodobać. – Omar położył dłoń na swoim kubku i objął palcami jego

krawędź.

– Co? – Nie czułem się pijany, dopóki nie podjąłem próby zrozumienia, co mi właśnie rzekł. – Budowniczkowie obrócili się w proch.

– Mistrz Yusuf dopiero co ci powiedział, że ich echo wciąż istnieje w ich machinach. Kopie ludzi, a przynajmniej były to kopie wiele lat temu... Oni nas obserwują. Ojciec myśli, że traktują nas jak stado, hodują i zaganiają niczym kozy czy owce. Więc odszukał ich oczy i je zamknął.

– I trzeba było tysiąca lat, żeby ktoś to zrobił? – Sięgnąłem po swój kubek i prawie go przewróciłem.

– Matematykom dużo czasu zajęło odnalezienie wszystkich oczu Budowniczych. – Omar wzruszył ramionami. – A jeszcze dłużej zastanawiali się, czy nadszedł czas, by podzielić się tą wiedzą z kalifem.

– Dlaczego teraz?

– Bo z naszych obliczeń wynika, że Budowniczkowie mogli skończyć hodowanie i zaganianie...

Nie chciałem wiedzieć, co było dalej, więc pociągnąłem łyk mojej whisky.

– ...więc teraz może przyjść czas na zarzynanie – dokończył Omar.

– Ale dlaczego, na litość boską? – Tak naprawdę chciałem powiedzieć: *dla czego ja?* Gdyby to się miało stać za sto lat, miałbym to wszystko w dupie.

– Magia niszczy świat. Im częściej się jej używa, tym łatwiej to przychodzi i tym większe stają się pęknięcia. Jeśli nas zabiją, problem zniknie. – Omar patrzył na mnie poważnie ciemnymi oczyma.

– Ale zniszczenie samej Hamady przecież nie... och.

Omar kiwnął głową.

– Wszystkich. Wszędzie. Oni potrafią to zrobić.

Kroki na schodach. Ciemna postać spieszenie podeszła do Omara i nastąpiła szybka wymiana zdań, szeptem. Patrzyłem, próbując się skupić. Wywróciłem kubek, a ten okazał się pusty.

– Kim jest twój przyjaciel?

Omar wstał, a ja za nim. Jego stabilność sprawiła, że pojąłem, jak bardzo się chwiałem.

– Chyba nie idziesz? – Wyścigi dobiegły końca wiele godzin temu.

– Ojciec wezwał nas wszystkich do pałacu. Ta twoja eksplozja zmieniła wiele rzeczy – być może zmieniła teorię w fakt. Wszyscy ją widzieliśmy, a potem poczuliśmy. Mnie zbito z nóg. Może ojciec powie nam, w jaki sposób i dlaczego ocaleliśmy. Miejmy nadzieję, że ma gotowy plan, by zapobiec podobnym wypadkom w przyszłości! – Omar podążył za posłańcem kalifa w stronę schodów, machając ręką. – Dobrze cię widzieć żywego, mój przyjacielu.

Na wpół usiadłem, na wpół padłem z powrotem na poduszki. Mimo że nigdy

nie użył tego przeciwko mnie, zawsze uznawałem fakt, iż ojcem Omara był kalif Liby, podczas gdy mój był jedynie kardynałem, za plamę na jego honorze. Nawet siódmy syn wydaje się poważną sprawą dla człowieka, który jest dziesiąty w kolejce. Mimo to, kiedy kalif wzywa, trzeba iść. Nie mogłem winić za to Omara, chociaż *zostawił mnie*, żebym sam topił swoje smutki. Że już nie wspomnę o tym, że dodał mi nieco smutków gadaniną o dawno zmarłych Budowniczych, czyhających w antycznych machinach i życzących nam źle. Nawet po pijaku nie zamierzałem dać temu wiary, ale z pewnością działało się coś niedobrego.

Spojrzałem w górę na gwiazdy przez szparę w baldachimie.

– A tak w ogóle to która godzina?

– Brakuje godziny do północy.

Uniosłem głowę i rozejrzałem się dokoła. To było pytanie retoryczne. Myślałem, że byłem tu sam.

– Kto to powiedział? – Nie dostrzegałem żadnych ludzkich sylwetek, wyłącznie niskie pagórki poduszek. – Pokaż się. Nie każ mi pić w samotności!

Czarny kształt wysunął się z najdalszego kąta blisko skraju dachu i pięćdziesięciostopowego upadku na ulicę. Na chwilę zamarło mi serce, gdy pomyślałem o Aslaug, ale głos należał do mężczyzny. Zarysowała się smukła, lecz dobrze umięśniona postać, wysoka, ale nie tak jak ja. Miała długie ciemne włosy i twarz spowitą cieniem. Mężczyzna szedł z przesadną ostrożnością upitej osoby, w jednej ręce ściskając ceramiczną piersiówkę. Plasnął, jakby nie miał kości, na poduszki zwolnione przez Omara.

Światło księżyca wyłowiło z mroku nierówny fragment jego postaci, padając przez szczelinę między jedną markizą a drugą. Srebrzysta poświata odmalowała go, od potwornej blizny szpecącej lewy policzek, przez prostą białą koszulę, po rękojęść miecza. Ciemne oko przyjrzało mi się badawczo, błyszcząc w oparzelinie. Drugie ginęło za zasłoną włosów. Mężczyzna uniósł piersiówkę w moją stronę i upił z niej tęgi łyk.

– Teraz nie pijesz sam.

– Cóż, to doskonale. – Golnałem sobie ze swojego cynowego kubka. – Człowiekowi nie służy picie samemu. Zwłaszcza po tym, co przeszedłem. – Naszło mnie na ckliwość, jak to się często zdarza spitym ludziom, gdy brak żywej muzyki i doborowego towarzystwa.

– Jestem bardzo daleko od domu – powiedziałem, nagle czując się tak stęskniony i nieszczęśliwy jak nigdy dotąd.

– Ja też.

– Czerwona Marchia jest tysiąc mil stąd.

– Wyżyny Renaru są jeszcze dalej.

Z jakiegoś powodu znanego wyłącznie pijakom, te słowa mnie rozzłościły.

– Było mi ciężko.

– Nastaly trudne dni.

– Nie tylko dzisiaj. – Znów sobie łyknąłem. – Jestem księciem, wiesz? – Nie byłem do końca pewien, w jaki sposób to miało zapewnić mi czyjekolwiek współczucie.

– Liba pęka w szwach od książąt. Ja też urodziłem się księciem.

– Nigdy oczywiście nie zostanę królem... – trzymałem się swojego wątku.

– Ach – odparł nieznajomy. – Moja droga do dziedziczenia również pozostaje niepewna.

– Mój ojciec... – Tok myśli jakoś mi się wyslizgnał. – Nigdy mnie nie kochał. Oziębły człowiek.

– Mój ma podobną reputację. Nasze sprzeczki bywały... ostre. – Mężczyzna pociągnął z piersiówki. Znów padło na niego światło i mogłem poznać, że był młody. Nawet młodszy ode mnie.

Być może sprawiła to ulga, że byłem cały i zdrowy, pijany i nieścigany przez monstra, ale w jakiś sposób cały żal i niesprawiedliwość mojej sytuacji, na które dotąd nie było czasu, wezbrały we mnie i wykipiały.

– Byłem jeszcze chłopcem... widziałem, jak to zrobił... zabił. Moją matkę i... – Zachłysnąłem się i nie mogłem wydusić z siebie słowa.

– Rodzeństwo? – zapytał.

Kiwnąłem głową i wypilem łyk.

– Ja widziałem zabójstwo mojej matki i brata – powiedział. – Też byłem młody.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy się ze mnie nabijał, przebijając każdą moją deklarację swoją wersją wydarzeń.

– Wciąż mam blizny po tym dniu! – Uniosłem koszulę, by pokazać mu bladą linię w miejscu, gdzie miecz Edrisa Deana przebił mi pierś.

– Ja też. – Podwinął rękawy i poruszył ramionami, by światło księżyca błysnęło w niezliczonych srebrzystych bliznach krzyżujących się na jego skórze.

– Jezu!

– Nie było go tam. – Nieznajomy znów schował się w cieniu. – Tylko ciernie. Tyle wystarczyło.

Wzdrygnąłem się. Ciernie to paskudna sprawa. Mój nowy przyjaciel chyba dał w nie nura głową naprzód. Wzniosłem swój kubek.

– Coś na zapomnienie.

– Znam lepsze sposoby. – Otworzył lewą dłoń, ukazując małe miedziane puzderko. Światło księżyca zamigotało na cierniach wyrzeźbionych wzdłuż jego krawędzi. Może i miał lepsze sposoby niż alkohol, ale i tak pił z piersiówki

i sobie nie żałował.

Patrzyłem zafascynowany na pudełeczko, bo wydawało się znajome... Ale znajome czy nie, nie chciałem go nawet dotknąć. Zawierało coś straszego.

Też piłem, jak mój nowy przyjaciel, choć również znałem lepsze sposoby na pogrzebanie wspomnień. Pozwoliłem surowej whisky spłynąć mi do gardła, ledwo czując jej smak, ledwo czując, jak piekła.

– Pij, by stępić ból, mój bracie! – Jestem życzliwym pijakiem. Dajcie mi wystarczająco dużo czasu, a osiągam punkt, w którym każdy człowiek jest mi bratem. Jeszcze parę kolejek i zadeklaruję wieczną miłość wszystkim bez wyjątku. – Nie sędzę, żebym miał na ciele jakiś nieposiniaczony fragment. – Znów podciągnąłem koszulę, próbując popatrzeć na sińce na żebrach. W ciemności wyglądały mniej imponująco, niż mi się wcześniej zdawało. – Mógłbym ci pokazać ślad po kopycie wielbłąda, ale... – Postanowiłem porzucić ten pomysł.

– Ja też mam parę sińców. – Nieznajomy podwinął swoją koszulę i światło księżycy zalśniło na wyrobionych mięśniach jego brzucha. Tutaj również ciało pokrywał mu wzór blizn po cierniach, ale to jego klatka piersiowa przyciągnęła moją uwagę. Dokładnie w tym samym miejscu, w którym ja miałem cienką linię po mieczu Edrisa Deana, mój kumpel od kieliszka miał własny protokół z przebicia ostrzem. Jego blizna była jednak czarna, a z niej niczym korzenie wyrastały ciemne wąsy szram, rozchodzące się po nagiej piersi. To były jednak stare obrażenia, dawno zagojone. Miał też świeższe – w lepszym świetle błyszczałyby podrażnioną czerwienią. Z boku nad nerką ugryzienie ostrza, inne cięcia, rany kłute, różnorodność urazów.

– Kurwa. Co, do diabła...

– Psy.

– Kurewsko wściekłe psy!

– Owszem.

Przełknąłem słowo „draniu” i zacząłem desperacko szukać w myślach jakiegoś twierdzenia albo opowieści, której ten drań nie zdołałby natychmiast przebić.

– To moje rodzeństwo, o którym wspomniałem, zabite wraz z matką na moich oczach...

Nieznajomy podniósł na mnie wzrok. Znów tylko jedno oko płonęło nad bliznami po oparzeniach, drugie pozostawało skryte.

– Tak?

– Cóż, moja siostra nie jest do końca martwa. Siedzi w piekle, knując, jak tu powrócić i się zemścić.

– Na kim?

– Na mnie, na tobie. – Wzruszyłem ramionami. – Na żywych. Ale chyba głównie na mnie.

– Ach. – Mężczyzna opadł na poduszki. – Tu mnie masz, tego nie przebiję.

– I dobrze. – Znow się napiłem. – Już zaczynałem myśleć, że jesteśmy jedną i tą samą osobą.

Wrócił chłopiec, napełnił mi kubek ze swojego dzbana i przysunął latarnie bliżej, by oświetlić naszą rozmowę. Nieznajomy powiedział do niego coś w pustynnym języku, ale nie byłem w stanie nic zrozumieć. Byłem zbyt pijany. No i znałem tylko pięć słów, których nauczyłem się w czasie roku studiów w Hamadzie.

Gdy światło lamp padło na twarz mojego towarzysza, dopadło mnie nagłe poczucie *déjà vu*. Widziałem go już wcześniej – może nawet nie tak dawno – albo kogoś, kto bardzo go przypominał. Fragmenty układanki zaczęły wypadać z mojego pijackiego zaćmienia.

– Książę, powiadasz? – Co drugi bogacz z Liby był księciem, ale na Północy, skąd obaj najwyraźniej pochodziliśmy, „księżęta” zdarzali się o wiele rzadziej. – Możesz powtórzyć skąd? – Pamiętałem, ale miałem nadzieję, że coś mi się pomyliło.

– Z Renaru.

– Chyba nie... Ancrath?

– Może... kiedyś.

– Chryste Panie! Jesteś nim!

– Z całą pewnością jestem kimś. – Uniósł wysoko piersiówkę i wysączył nieco płynu.

– Jorg Ancrath. – Poznałem go, choć widziałem go tylko raz ponad rok temu w gospodzie w Crath i nie miał jeszcze wtedy tego oparzenia na twarzy.

– Powiedziałbym „do twoich usług”, ale tak nie jest. A ty jesteś księciem Czerwonej Marchii, co? Czyli jednym z miotu Czerwonej Królowej? – Chciał odstawić piersiówkę, ale nie trafił w stół. Był bardziej pijany, niż się wydawało.

– Mam ten zaszczyt – odparłem. Usta mi zdrętwiały i trudno im było układać słowa. – Jestem wynikiem jednego z jej wielu rozplodowych eksperymentów – ale nie była ze mnie zbytnio zadowolona.

– Wszyscy jesteśmy dla kogoś rozczarowaniem. – Znow pociągnął łyk i zapadł się głębiej w poduszki. – Najlepiej jest jednak rozczarowywać swoich wrogów.

– Ci cholerni matemagicy zaaranżowali to spotkanie, wiesz? – Wiedziałem, że Yusuf zbyt łatwo mnie wypuścił.

Jorg niczym nie zdradził się, że usłyszał, co powiedziałem. Ciekawe, czy zaliczył zgon. Długa przerwa w rozmowie przerodziła się w północ, jak to

często bywa, gdy ktoś się bardzo upije. Odległy dźwięk dzwonu wybijającego godzinę poderwał Jorga do odpowiedzi.

– Zmusiłem wielu jasnowidzów do udławienia się ich własnymi przepowiedniami.

– Ale tym razem coś źle dodali. Do niczego ci się nie przydam. To powinna być moja siostra. Miała zostać czarownicą. Stanąc u twego boku. Wynieść cię na tron. – Odkryłem, że miałem mokrą twarz. Nie chciałem myśleć o tych sprawach.

Jorg wymamrotał coś, ale dosłyszałem jedynie imię. Katarzyna.

– Może... nigdy nie dostała imienia. Nie zdołała nawet spojrzeć na ten świat – urwałem. Zacząłem się dławić głupotą, którą wywołuje w człowieku zbyt duża ilość alkoholu. Osuszyłem swój kubek. Za naszymi oczami żyje skryba, który spisuje sprawozdania z wydarzeń, żebyśmy mogli je sobie później dokładnie przejrzeć. Jeśli się długo pije, w pewnym momencie skryba zwija zwój, chowa pióra i bierze wolny wieczór. To, co zostało mi w kubku, wystarczyło, by uznać, że na dziś wystarczy pracy. Jestem przekonany, że wciąż mruczeliśmy do siebie pijacko, król Jorg z Renaru i ja. Sądzę, że padło kilka głośnych i żarliwych deklaracji, zanim padliśmy bez zmysłów. Pewnie stukaliśmy się kubkami na dachu i obwoływaliśmy wszystkich ludzi naszymi braćmi lub wrogami, w zależności od rodzaju pijaństwa, jakie nas naszło, ale tego już nie pamiętam.

Pamiętam za to, że zwierzyłem się dobremu królowi z moich problemów z Maeresem Allusem, a on życzliwie podzielił się ze mną mądrą radą. Świta mi, że rozwiązanie było zarówno eleganckie, jak i sprytne i że przysiągłem je zastosować. Niestety, do rana wszystkie mądre słowa składające się na radę uciekły mi z głowy.

Moim ostatnim wspomnieniem był obraz. Jorg leżał plackiem, martwy dla świata. Gdy spał, wyglądał o wiele młodziej, niżbym sobie kiedykolwiek wyobraził. Naciągnąłem na niego dywan, żeby nie zmarzł podczas tej zimnej pustynnej nocy, a potem z niebezpieczną chwiejnością ruszyłem w stronę schodów. Ciekawe, ile żyć bym ocalił, gdybym wtedy zepchnął go z dachu...

Wiele osób pije, by zapomnieć. Alkohol rozmyje ostatnie godziny nocy, wymaze z głowy pomocną radę i sporadyczny żenujący wypadek, gdy człowiek próbuje doturlać się do domu. Niestety, jeśli wykształciło się talent do wypierania z pamięci dawnych wspomnień, nagromadzonych w czasach przygnębiającej trzeźwości, alkohol często zniszczy wszystkie bariery. Gdy to się stanie, człowiek, zamiast pogрузić się w błogosławionym stanie zapomnienia ludzi głęboko napruty, będzie cierpieł koszmar przeżywania od nowa swych najgorszych chwil. Rzeka whisky poniosła mnie z powrotem do

wspomnień z zaświatów.

– Jezu Chryste! Co to było? – wysapałem między dwoma głębokimi oddechami. Zgiąłem się w pół, kładąc dłonie na udach. Spoglądając do tyłu, widziałem tumany pyłu znaczące naszą pospieszną ucieczkę przed małym chłopcem i jego nedorzecznie wielgachnym psem.

– Przecież *chciałeś* zobaczyć potwory, Jal. – Snorri oparł się o jeden z górujących nad nami głązów, rozsianych po równinie.

– Piekielny ogar... – Wyprostowałem się i pokręciłem głową. – Dobra, dość się już napatrzyłem. Gdzie ta jebana rzeka?

– Chodź. – Snorri znów zaczął maszerować z toporem na ramieniu. Jego ostrza wyłapywały coś krwawego w martwym świetle piekła i odbijały z powrotem.

Uszliśmy w pyle kolejną milę, a może dziesięć. Zacząłem dostrzegać w oddali postaci, dusze mozolące się na równinie, niektóre zbite w grupki, a jeszcze inne po prostu stojące bez ruchu.

– Zbliżamy się. – Snorri machnął toporem w stronę cienia mężczyzny obserwującego wszystko spomiędzy skał jakieś kilkaset jardów od nas. – Trzeba odwagi, by przekroczyć Slid. Wiele dusz się tu zatrzymuje.

– Wygląda na to, że tego tam wstrzymuje coś więcej niż brak odwagi! – Dłonie i stopy duszy były przebite palikami.

Snorri potrząsnął głową, nie zatrzymując się.

– Tutaj umysł sam się krępuje swoimi więzami.

– Więc wszyscy ci ludzie są skazani na wieczną tułaczkę po tym miejscu? Nigdy nie przejdą na drugi brzeg rzeki?

– Ludzie zostawiają za sobą echa samych siebie... – Wiking urwał, jakby próbował przypomnieć sobie słowa. – Echa rozsiane w geometrii śmierci. To zrzucone skóry. Martwi muszą zostawić wszystko, czego nie mogą przenieść, przekraczając rzekę.

– Skąd to wiesz?

– Od Kary. Nie zamierzałem spędzić miesięcy w drodze do śmierci z völwą u boku i nie zadać jej żadnych pytań o to, czego mógłbym się tam spodziewać!

Tę odzywkę zostawiłem bez komentarza. Ja dokładnie tak zrobiłem, ale za to nigdy nie miałem zamiaru się tu znaleźć.

Wdrapaliśmy się z mozołem na niski grzbiet wzniesienia. Za nim teren opadał. Przed nami w dole płynęła rzeka, błyszcząca srebrna wstęga w dolinie wijącej się i niknącej w szarawej oddali, jedyna rzecz w całym tym okropnym miejscu, w której był choćby ślad życia. Natychmiast ruszyłem do przodu, ale grzbiet pagórka przeszedł w kruszące się urwisko nieco wyższe ode mnie. U jego stóp rozrastały się szeroko cierniste gałęzie, czarne i powykręcane.

Podobne można było znaleźć w lesie po pierwszych mrozach.

– Będziemy musieli pójść nao... – urwałem w pół słowa. Coś się poruszyło na skraju cierni. Przesunąłem się, by lepiej widzieć. To chłopiec, którego spotkaliśmy przy kamieniu milowym. Rzucił się między cierniami, umazując je lśniąca posoką. – Hej!

– Zostaw go, Jal. Jest, jak jest. Było tak na długo, zanim tu przyszliśmy, i będzie tak po tym, jak już odejdziemy.

Jeśli odejdziemy!

– Ale...

Snorri ruszył poszukać łatwiejszej ścieżki w dół. Ja jednak nie mogłem odejść. Prawie jakbym ja też zaplątał się w cierniach.

– Hej! Zaczekaj! Nie ruszaj się, to cię wyciągnę. – Rozejrzałem się gwałtownie za jakimś zejściem z urwiska, które nie skończyłoby się upadkiem w plątaninę kolców.

– Nie staram się stąd wydostać. – Chłopiec przestał się szamotać i spojrzał na mnie. Nawet z tej odległości jego twarz była koszmarem, oskórowana przez kolce, z poszarpanym ciałem i odłamanymi cierniami tkwiącymi w niej aż do kości.

– Co... – Cofnąłem się o krok, gdy grunt pod moją stopą zaczął się kruszyć, a piaszczysta ziemia posypała się kaskadą w dół urwiska. – No to co, u diaska, robisz?

– Szukam brata. – Krew ciekła z jego rozciętych warg. – Gdzieś tu jest.

Chłopiec znów rzucił się między ciernie. Kolce były tak długie jak jego palce. Kończyły się małymi haczykami, które wbijały się głęboko w ciało.

– Przestań! Na rany Chrystusa!

Chciałem zejść w miejscu, gdzie urwisko opadało, ale grunt znów wykruszył mi się pod nogami, więc szurając stopami, odsunąłem się do tyłu.

– On by nie przestał, gdyby chodziło o mnie. – Słowa brzmiały urywanie, jakby policzki chłopca były poszarpane. Ledwo go teraz dostrzegałem w masie cierni.

– Przestań... – Snorri położył mi dłoń na ramieniu i odciągnął w połowie mojego protestu. – Nie możesz się w to wikłać. Tutaj wszystko stanowi pułapkę. – I odszedł.

– Ja? Czyżby to miejsce nie złapało cię w swoje szpony, gdy po raz pierwszy dotknąłeś klucza? – Ale to były ty lko słowa, bez żaru. Nie myślałem o Snorrim. Myślałem o mojej siostrze, martwej jeszcze przed narodzeniem. Myślałem o chłopcu i jego bracie, i o tym, co ja bym zrobił, by uratować własne rodzeństwo. Nie aż tyle, powiedziałem sobie. Nie aż tyle.

Ocknąłem się wciąż pijany, a w czaszce waliło mi młotami tyle diabłów, że zajęło mi wieki, zanim sobie uświadomiłem, że znajduję się w więziennej celi. Leżałem w upale, zaciskając mocno oczy z bólu i dla ochrony przed oślepiającym światłem, kłującym przez małe wysokie okienko. Byłem w zbyt żalnym stanie, by cokolwiek zawołać lub zażądać wypuszczenia. W końcu odnalazł mnie Omar. Nie wiem, jak długo czekałem. Na tyle długo, że przepłynął przede mną dzban wody i miejsce stało się nieco bardziej śmierdzące niż na początku.

– Chodź, stary druhu. – Omar pomógł mi stanąć na nogi. Marszczył nos, ale zęby wciąż szczyrzył szeroko. Za jego plecami strażnicy patrzyli na nas z potępieniem. – Dlaczego ci z Północy to sobie robią? Nawet gdyby Bóg tego nie zabraniał, picie to jakaś porażka.

Chwiejnie poszedłem korytarzem do pokoju strażników, krzywiąc się i patrząc na świat przez wąskie szczeliny spod zmrużonych powiek.

– Nigdy więcej tego nie zrobię, więc już o tym nie mówmy. Dobra?

– Czy ty w ogóle pamiętasz, co się z tobą działo zeszłej nocy? – Omar złapał mnie, gdy wytoczyłem się na ulicę. Z sapnięciem wysiłku zdołał utrzymać mnie w pionie.

– Coś z wielbłądem? – W głowie kołatała mi jakaś scysja z czworonogiem we wczesnych godzinach porannych. Czyżby krzywo na mnie spojrział? Z całą pewnością uznałem, że ponosił odpowiedzialność za odcisk kopyta na moim tyłku i wszystkie inne poniżenia, które kiedykolwiek spotkały mnie ze strony jego gatunku. – Jorg! – Przypomniało mi się. – Jebany Jorg Ancrath! Był tam, Omarze! Na dachu. Musisz ostrzec kalifa!

Wiedziałem, że królestwa Końskiego Wybrzeża waśniły się z Libą. Miały miejsce napady z morza i tym podobne, a Ancrathowie sprzymierzyli się z Morrow, przez co Liba stała się ich wrogiem. Nie wiedziałem, jak jeden człowiek mógłby zagrozić kalifowi Liby, zwłaszcza jeśli miał tego ranka takie problemy z głową co ja. Ale mówiliśmy tu o Jorgu z klanu Ancrathów, który obrócił w perzynę lorda Gellethara wraz z jego armią, zamkiem i górą, na której wszyscy siedzieli. Wracaliśmy do Marchii przez Gelleth parę miesięcy po wybuchu, a niebo wciąż wyglądało...

– Chryste! Wybuch. Na pustyni! To był on, prawda?

– Tak. – Omar westchnął do Allaha, prosząc o opiekę. – Spotkał się z moim ojcem i teraz są przyjaciółmi.

Zatrzymałem się na ulicy i pomyślałem o tym przez chwilę.

– Młodo zaczyna budować swoje imperium, czyż nie? – Byłem jednak pod wrażeniem. Babka miała w Libie sprzymierzeńców – sięgała daleko w nadziei na udane małżeństwa – ale jej celem było znalezienie krwi, która zmieszana z

krwią jej synów stworzyłaby godnego dziedzica, kogoś, kto wypełniłby luki w wizjach przyszłości Milczącej Siostry... Czyli moją siostrę. Jorg z Ancrathu miał inne plany i zastanawiałem się, jak dużo czasu minie, zanim pojedzie do Vyene, by przedstawić swą sprawę Zgromadzeniu i zażądać tronu Imperium. – Ciekawe, jak daleko zajdzie...

– Co o nim sądzisz? – Omar wrócił po mnie, syn kalifa czekał na mnie na zakurzonej drodze. Wydawał się dziwnie zainteresowany moją odpowiedzią. Uderzyło mnie, że nigdy nie widziałem go równie wyraźnie jak tego ranka, gdy znosiłem zadany sobie własnoręcznie ból. Miękki, pulchny Omar, kiepski hazardzista, zbyt bogaty, zbyt przyjacielski dla własnego dobra. Lecz gdy tak obserwował mnie ze skupieniem, które oszczędzał na ruletkę, pojąłem, że Mathema widziała innego człowieka – człowieka, który nie tylko dopisze moją odpowiedź do nieziemsko skomplikowanego równania, ale który być może także to równanie rozwiąże. – Czy sprosta własnym ambicjom?

– Co? – Złapałem się za głowę. Nawet nie musiałem udawać. – Jorg? Nie wiem. Nie obchodzi mnie to. Ja chcę tylko wrócić do domu.



Omar i Yusuf odprowadzili mnie do obrzeży Hamady, syn kalifa w czarnych szatach studenta, matematyk w białej szacie mistrzów w szary wzór fraktali. Yusuf uśmiechał się, ukazując błyszczące przyczernione zęby. Wyliczyli mi bezpieczną trasę do wybrzeża. Miałem podróżować z karawaną soli. Powiedzieli, że podróż z szejkiem Malikiem nie skończyłaby się szczęśliwie. Nie dowiedziałem się jednak, czy zguba miała mnie spotkać z rozkazu szejka, z ręki dzina lub trupa, a może z powodu nieprzyzwoitych relacji z pięknymi córkami.

– Podarek, mój przyjacielu! – Omar wskazał głową trzy wielbłądy, które jego służący wiódł za nim.

– Och, ty draniu.

– Jeszcze je polubisz, Jalandie! Wiele głów obróci się za tobą w Vermillionie, gdy wjedziesz do miasta na grzbiecie wielbłąda!

Przewróciłem oczami i machnąłem na służącego, by odprowadził trio do obładowanego stada, skubiącego trawę karran niedaleko za moimi plecami. Wkrótce wszystkie osiemdziesiąt zwierzaków będzie przemierzać wydmy jedynie ze mną i dwunastoma kupcami solnymi, utrzymującymi porządek.

– Przekaz Czerwonej Królowej pozdrowienia od mego ojca – powiedział Omar. – I od mojej matki.

Lubiłem matkę Omara. Była drugą najstarszą z sześciu żon kalifa, wysoką Nubanką z serca kraju, czarną jak heban i apetyczną, że aż leciała ślinka. I zabawną. Poczucie humoru Omar pewnie miał po tacie. Dać komuś trzy wielbłądy po tym, jak człowieka zamknęli w kiciu za napaść na jednego. Złośliwe i wcale nie śmieszne.

Odwróciłem się do Yusufa.

– Więc, mistrzu, może masz dla mnie jakąś wróżbę, coś przydatnego? – Zgodnie z tradycją, gdy jakaś osobistość wyjeżdża z Hamady, musi otrzymać numerologię, mającą za zadanie wskazywać drogę. Większość pochodzi od wylanych studentów, którzy kupczą swym rzemiosłem, gdzie tylko mogą, jako

księgowi, bukmacherzy czy mistycy sprzedający przepowiednie na ulicach. Jednak ksiązę mógł liczyć na audyt swych możliwości i prawdopodobieństw przeprowadzony przez kogoś z samej Mathemy. A skoro znałem Yusufa jeszcze z Umbertide, nie zaszkodziło spróbować wyłudzić czegoś od mistrza.

Uśmiech Yusufa stęzał na moment.

– Oczywiście, mój ksiązę. Obawiam się, że nasze sale kalkulacji są zajęte przez... notabli. Ale mogę zrobić szybkie oszacowanie.

Stałem tam, starając się nie okazywać swego oburzenia, zaś Yusuf wyciągnął spod szaty tabliczkę i zaczął po niej skrobać z zadziwiającą prędkością.

– Jeden, dwa, trzynaście. – Podniósł wzrok.

Zacisnąłem wargi.

– To znaczy?

– Ach. – Yusuf znów zerknął na tabliczkę, jakby w poszukiwaniu inspiracji. – Pierwszy przystanek, druga siostra, trzynaste... coś.

– Dlaczego to nigdy nie jest coś w stylu: „trzeciego dnia wiosny daj piątemu napotkanemu mężczyźnie cztery miedziaki, by uniknąć katastrofy”? Widzisz, proste i użyteczne. Twoja wróżba może znaczyć cokolwiek. Pierwszy przystanek... w drodze do domu? Oaza? Port? A druga siostra? Moja siostra, Milcząca Siostra? Pomóż mi trochę!

– Kalkulacje są oparte na tym, że usłyszałeś, co ci właśnie powiedziałem. Gdybym chciał powiedzieć ci więcej, musiałbym wykonać kolejne obliczenie, wyszłaby inna odpowiedź, kalkulacja miałaby inny cel. Gdybym teraz coś dodał, zrujnowałbym wynik i zmieniłyby się liczby. Poza tym nie znam odpowiedzi, tutaj wkracza magia, a ją trudno sprecyzować. Rozumiesz?

– No to policz jeszcze raz. Zajął ci to raptem chwilę.

Yusuf pokazał mi swój czarny uśmiech.

– Ach, przyjacielu, zdemaskowałeś mnie. Przeliczałem twoje zmienne od naszego pierwszego spotkania we florenckim banku. Być może zwiodłem cię, gdy zasugerowałem, że nie odgrywasz ważnej roli w kształtowaniu przyszłych wydarzeń. Myślałem, że będzie ci łatwiej, jeśli się o tym nie dowiesz.

– Cóż... tak jest lepiej. – Wcale nie byłem tego pewien. Byłem bardziej zadowolony, złościąc się, że nie byłem dość ważnym czynnikiem, niż teraz, gdy wiedziałem, że moje czyny się liczyły. – Uch, no to ja tuż leczę. Allah niech czuwa nad wami i tak dalej... – Uniosłem rękę w geście pożegnania, ale Omar był szybszy i rzucił się do uścisku, który po prawdzie bardziej przypominał przytulanie.

– Powodzenia, przyjacielu.

– Nie potrzebuję go, Omarze! Na dowód mam liczby... jeden, dwa, trzy...

– Trzynaście.

– Jeden, dwa, trzynaście. To mi wystarczy za ochronę. Odwiedź nas w Czerwonej Marchii, gdy już ci się znudzi bilansowanie równań.

– Tak zrobię – odparł Omar, ale z doświadczenia wiedziałem, że kłamanie podczas przytulania wymaga wprawy, a on wprawy nie miał.

Wyplątałem się z jego uścisku i ruszyłem w stronę czoła karawany.

– Nie zapomnij o swoich wielbłądach, Jalandie!

– Jasne. – Z niechęcią zmieniłem kierunek i pomaszerowałem w stronę końca formującej się kolumny. Już napinałem mięśnie, by uniknąć pierwszej salwy wielbłądziej śliny.

Pustynia jest gorąca i nudna. Przykro mi, ale do tego się właśnie sprowadza. Jest też piaszczysta, ale kamienie z zasady są nieciekawymi przedmiotami, więc to, że są rozbite na tycie cząstki, nie poprawia sprawy. Niektórzy powiedzą, że charakter pustyni zmienia się każdego dnia, że wiatr rzeźbi ją nieustannie w wielkich, pustych przestrzeniach nieprzeznaczonych dla człowieka. Będą pierdzielili lirycznie o ziarnistości i odcieniu piasku, majestacie nagiej skały wznoszącej się niebotycznie, oszlifowanej przez niosący piasek wiatr w egzotyczne kształty, mówiące o wodzie i płynności... Ale mi do opisu wystarczą słowa: piaszczysta, gorąca i nudna.

Najważniejszym czynnikiem, gdy już opowie się o wodzie i soli, jest nuda. Niektórzy ludzie kwitną, gdy ich dopadnie, ale ja staram się unikać sytuacji, w których muszę się konfrontować z własną wyobraźnią. Jeśli ktoś nie życzy sobie pogrążenia w nieprzyjemnych wspomnieniach lub rozważania niewygodnych prawd, kluczem jest zajęcie się czymś. To wyjaśnia, dlaczego okres mojej młodości wyglądał tak, a nie inaczej. W każdym razie, gdy wokół panuje cisza pustyni i nie ma się do kogo odezwać, nie licząc wielbłądów i pogan (oba gatunki słabo radzą sobie z językiem Imperium), człowiek staje się bezbronną ofiarą ponurych myśli.

Trzymałem się jakoś, zanim dotarliśmy do wybrzeża, ale ostatni odcinek wędrówki wąskim pasem piachu między bezmiarem morza a niekończącym się rzędem wydm mnie zламаł. Pewnej chłodnej nocy rozbiliśmy obóz przy szkielecie wielkiego oceanicznego statku, który rozbił się tak blisko portu, że była to ironia bardziej gorzka niż morska woda. Przeszedłem się między nagimi, oszronionymi solą rejami, sterczącymi z plaży. Gdy położyłem dłoń na jednej ze starych belek, mógłbym przysiąc, że usłyszałem krzyki tonących żeglarzy.

Tej nocy nie udało mi się zasnąć. Zamiast tego, pod jasną, chłodną rozsypanką gwiazd odwiedziły mnie moje duchy i zaciągnęły z powrotem do piekła.

– Czy tu nie powinno być mostu? – zapytałem, gapiąc się na rwący nurt rzeki Slid. To była pierwsza woda, jaką zobaczyłem w zaświatach. Rzeka była szeroka na przynajmniej trzydzieści jardów, zaś jej drugi brzeg przechodził w plażę czarnego piasku, podchodzącą pod kruszące się czarne klify. Te pięły się ku płonącemu martwym światłem niebu serią schodów. Nad nimi gromadziły się chmury, ciemne niczym dym.

– To na rzece Gjöll jest most, nie na Slid. Nazywają go Gjallarbrú. Ciesz się, że nie musimy go przekroczyć, bo strzeże go Módgud.

– Módgud? – Wcale nie chciałem wiedzieć więcej.

– Olbrzymka. Drugi brzeg tamtej rzeki to spiętrzone trupy. Budują tam Nagelfar, statek z paznokci, którym Loki popłynie na Ragnarok. A za mostem stoją bramy Hel, pilnowane przez przykutego łańcuchem ogara Garma...

– Ale czy nie musimy...

– My już minęliśmy bramy, Jal. Klucz i drzwi zabrały nas prosto do Hel.

– Tylko do niewłaściwego zakątka?

– Musimy przejść przez rzekę.

Ponagliło mnie raczej pragnienie niż brak ostrożności. Szybko przebiegłem ostatnie parę jardów brzegu.

Podszedłem do płycizny.

– Tak. Nie ma mowy. – Koryto rzeki opadało gwałtownie i choć rwąca woda była nienaturalnie czysta, dno i tak szybko ginęło w mroku. Przejście przez taki ciek narobiłoby poważnych trudności w normalnych okolicznościach, lecz gdy ukląknę, by się napić, dostrzegłem prawdziwy problem. Przecząc wszelkiej logice, z prądem płynęły sztylety, włócznie, a nawet miecze, wszystkie srebrzyście czyste i połyskujące ostrzami. Niektóre stanowczo wskazywały kierunek zgodny z biegiem rzeki, ale inne kręciły się, kosząc wodę dookoła siebie.

Snorri stanął przy mnie.

– Nazywają ją Rzeką Mieczy. Nie radziłbym z niej pić.

Wstałem. Nieco dalej od brzegu ostrza wyglądały jak ławica ryb. Długich, ostrych, stalowych ryb.

– No to co zrobimy? – Spojrzałem w górę rzeki, potem w dół. Zerodowane brzegi po obu stronach wspinały się ku nieurodzajnym terenom. Poza nimi nie było nic.

– Popłyniemy. – Snorri wyminął mnie.

– Czeka! – Wyciągnąłem rękę, by zagrozić mu drogę – Co?

– To tylko miecze, Jal.

– Taaaaak. To właśnie chciałem powiedzieć. – Podniosłem wzrok na wikinga.

– Zamierzasz zanurkować w rzece pełnej mieczy?

– A czy nie robimy tego samego w czasie bitwy? – Snorri wszedł do wody. – Ach, zimna!

– No i co, kurwa, że zimna? Że ostra, to mnie martwi. – Nie ruszyłem za nim.

– W przekroczeniu Slid nie chodzi o mosty i sztuczki. To bitwa. Walczysz z rzeką. Odwaga i serce przeprowadzą cię na drugi brzeg, a jeśli nie, i tak trafisz do Walhalli, bo polegiesz w bitwie.

– Odwaga? – Miałem przekichane, jeszcze zanim zacząłem. Chyba że samo wchlupotanie się do wody świadczyło o odwadze... a nie głupocie.

– Albo to, albo zostaniesz tu na zawsze. – Snorri dał kolejny krok do przodu i nagle już płynął, woda za nim wzburzyła się bielą, jego wielkie ramiona wynurzały się i chowały.

– Sram na to. – Wetknąłem stopę do wody. Jej chłód przeniknął przez but, jakby go w ogóle nie było, po czym wspiał się po kościach mojej nogi. – Jezu. – Gwałtownie wyciągnąłem stopę. – Snorri! – Ale on był już daleko, w jednej trzeciej po drugiej stronie, walcząc z wodą.

Skorzystałem z okazji, by zawiesić przyczepiony do rzemyka klucz z powrotem na szyi. Był gorący w mojej dłoni i nie odbijał niczego, nawet nieba. Czy jeśli wezwę Lokiego, prawdziwy Bóg to dostrzeże i utopi mnie za zdradę? Wykręciłem się z dylematu, wzywając jakiegokolwiek bóstwo, które mogło akurat słuchać.

– Pomocy!

Według mnie Bóg musi być bardzo zajęty, skoro ludzie bez przerwy czegoś od Niego chcą, więc pewnie docenia, kiedy modlitwy są krótkie i na temat.

Zatrzymałem się, by podumać nad piekielną niesprawiedliwością, że w Hel nie było żadnego jeziora, w którym bohaterzy by tonęli, a tchórze unosili się na powierzchni. Zamiast tego istniała seria testów, w których mógł poradzić sobie każdy, kto miał krzepę i nic poza tym. Potem bez dalszego zastanawiania się przebiegłem trzy kroki i dałem nura do wody.

Pływanie nigdy nie było moją mocną stroną. Pływanie z mieczem przypasanym do biodra zawsze skutkowało szybszym postępowaniem, lecz niestety w stronę dna zbiornika, w którym akurat przyszło mi tonąć. Rzeka Slid okazała się jednak niezwykle nośna, jeśli chodziło o ostrą stal, i miecz Edrisa Deana, zamiast ciągnąć mnie w dół, utrzymywał mnie na powierzchni.

Tłukłem się szaleńczo. Płuca miałem zbyt sparaliżowane z zimna, by chociaż pomyśleć o wciągnięciu w nie powietrza, które uciekło, gdy wpadłem do wody. Lodowata temperatura ogarniała mnie, sącząc się do krwi i kości, wypełniając mi głowę. Straciłem czucie w kończynach, ale nie martwiłem się zbyt tonięciem, tylko utrzymaniem ciepła. Głęboko w zakamarkach umysłu, w ciemnych miejscach, w których się chowamy, skuliłem się, czekając na śmierć.

Czekałem, aż dosięgnie mnie lód, a jedynym opałem, jaki miałem, były wspomnienia.

Sięgnąłem po najgorętsze wspomnienie, które miałem. Nie oślepiający upał Saharu czy trzaskający uścisk boru Gowfaugh, pożeranego przez płomienie. Rozciągnęła się przede mną Przełęcz Aralska, wciągnęła mnie z powrotem do zalanego krwią wąwozu pełnego walczących zawzięcie ludzi, krzyczących, leżących i rannych, z których uciekał czerwony czas, umierających, szepczących w kakofonii bitwy, przemawiających do ukochanych i utraconych, wołających matki z ostatnimi słowami na posiniałych wargach, paktujących z Diabłem, obiecujących coś Bogu. Widziałem kolejnego mężczyznę ześlizgującego się z mego miecza, pokrytego czernią posoki. Ostrze zdążyło się już stępić, ale jard stali wciąż stanowi śmiertelną broń, nieważne, jaką ma krawędź.

Przełęcz Aralska pomogła mi przebyć jedną trzecią drogi. Odnalazłem skupienie i zdałem sobie sprawę, że ostry ładunek rzeki nie pociął mnie jeszcze, ale wciąż zostało sporo do przepłynięcia, a drugi brzeg szybko się wymykał. W oddali słyszałem ryk, niski, nieustający huk mokrej gardzieli. Długa srebrna włócznia przemknęła przede mną, za blisko. Znow zacząłem płynąć, nieudolnie tłukąc wodę. Tym razem poniosła mnie rzeź w Czarnej Warowni. Pamiętałem ten ohydny dźwięk, gdy wbiłem wikingowi miecz w oko, a on przeszedł z chrupnięciem przez oczodół i do mózgu. W mgnieniu oka zgasł w nim ogień, stał się mięsistą kukielką, której przecięto sznurki. Topór rozrąbał powietrze przed moją twarzą, gdy rzuciłem się do tyłu. W plecy uderzył mnie wielki stół, więc wskoczyłem na niego, obróciłem się, moje nogi też zaczęły się kręcić. Pałasz wbił się w deski, gdzie chwilę wcześniej znajdowała się moja głowa, a ja już spadłem, stałem na nogach, chwiałem się, ciąłem rękę, która trzymała ten miecz.

W końcu szaleństwo w Czarnej Warowni dobiegło końca, a ja dyszałem pośród leżących trupów. Przebyłem dwie trzecie szerokości rzeki w siekającej, płynącej wartko, czystej wodzie. W dole rzeki, w oddali, dolinę dusiła mgła. Ryk wzmagął się, wypełniając świat, drgając głęboko w moich kościach.

Płynąłem w stronę brzegu, teraz już rozpaczliwie. Coś złego czekało na mnie we mgle, a mi kończyły się czas i wola walki. Obezwładniło mnie zimno, a do spalenia miałem już tylko pojedynkę z hrabią Isenem, wysoki, ostry szcęk mieczy, gdy próbował mnie zabić, a ja desperacko parowałem jego ciosy. Za mało. Do brzegu zostało jeszcze dziesięć jardów, a ja zacząłem tonąć. Noga eksplodowała mi ostrym bólem, który poczułem, mimo że kończyłem miałem przemarznątą i zdrętwiałą. Coś mnie trafiło. Woda zamknęła się nade mną. Wynurzyłem się jeszcze raz i zobaczyłem, że zanim Slid docierała do podnoszącej się mgły, cała rzeka zniknęła, jakby ucięta gigantycznym mieczem.

Grzmot był głośniejszy, niż mi się wydawało. Nurt niósł mnie do wodospadu. Znow zniknąłem pod wodą i nic już nie miało znaczenia. Ławica noży pchała mnie w dół, a ja nie miałem powietrza, by krzyknąć.

W jakiś sposób, niemający nic wspólnego z rozumem, miecz znalazł się w mojej dłoni. Piękny rodzaj śmierci przez utonięcie. Ale potem przypomniałem sobie, że to nie był mój miecz, a gorąco płynące mi w żyłach, gdy po raz pierwszy go ująłem, znow je wypełniło. Edris Dean podniósł na mnie ten miecz, chcąc odebrać mi życie, tak jak zabrał je mojej matce i siostrze, ciepłej w łonie. Walczyłem z nim przy zwłokach Tuttugu. Zwłokach przyjaciela, tchórza, który zginął śmiercią bohatera. Przypomniałem sobie, jak się czułem, wbijając ten miecz między żebra Edrisa, pogrążając go w jego ciele, a potem wyciągając, aż stał zazgrzytała o kości. Otworzyłem usta i ryknąłem, nie dbając o rzekę. I już stałem na płyciźnie z ostrzem w ręku, ociekając wodą. Nade mną mgła znad niemającego końca wodospadu wznosiła się kłębiasto, jak chmury wyzywające niebo. Slid spadała ze skalnego ustępu wysokiego na jedynie dziesięć jardów. Miecze wyskakiwały z czystej wody, ściąganej w dół siłą grawitacji i płynącej dalej.

Na drżących nogach dałem krok naprzód, słabując na całym ciele. Jeszcze trzy kroki, jeszcze dwa i wyszedłem na mokry piach. Nie miałem żadnych widocznych obrażeń.

Jakaś postać biegła ku mnie. Snorri. Zwolnił, gdy był już blisko, dysząc ciężko.

– Myślałem... – Podniósł rękę i wziął głęboki oddech. – ...że cię straciłem.

Spojrzałem na miecz w swojej dłoni, na litery wyryte w ostrzu. Woda wciąż kapiała z niego, diamenty przybrały rdzawą barwę w martwym świetle.

– Nie. Jeszcze nie. Nie dziś.

Na brzeg rzeki wspięliśmy się w milczeniu, obaj pogrążeni we wspomnieniach. Gdy woda Slid wysychała na mnie, czułem, że rzeka sprawiła, że się... scaliłem. Pamiętałem bitwę na Przełęczy Aralskiej. Pamiętałem walkę w Czarnej Warowni. Po raz pierwszy Jalan berserk i zwyczajny Jalan spotkali się i doszli do porozumienia. Nie wiedziałem jeszcze, co dokładnie... ale coś się zmieniło.

Piekło po drugiej stronie rzeki okazało się bardziej strome. Pył zastąpiły wzgórza z czarnej skały, na których wszystko było ostre i podróżnik nie miał szansy odpocząć. Wszędzie wokół kamienie przypominały gotującą się zupę, która w sekundę zamarzła, a bąble wybuchły, tworząc miriady krawędzi ostrych jak brzytwy. Palce zaczęły mi krwawić, ledwie dotknąłem ziemi. Nie potrafiłem stwierdzić, jak długo wytrzymają skórzane podeszwy moich butów i co się później stanie z moimi stopami.

Znajdowało się tu więcej dusz, szare gromady przepływały niczym mętna woda po suchych dolinach, mężczyźni, kobiety i dzieci, ze zwieszonymi głowami, w milczeniu, przyciągani jakimś wezwaniem, którego nie byłem w stanie usłyszeć.

Podążyliśmy krętą drogą między czarnymi wzgórzami. Doliny stawały się głębsze, szersze, gęstsze od dusz. Rzeka to już mniej niż wspomnienie, znów wyschłem do cna. Czułem, jak moja skóra umierała, traciła wilgoć i łuszczyła się płatkami.

– Zaczekaj. – Bez żadnego powodu wąwóz po naszej lewej stronie przyciągnął mój wzrok. Górował nad nami, szczyt w zboczu doliny.

– Powinniśmy iść tędy. – Snorri machnął ręką, wskazując wędrujące dusze przed nami. Kolejne już nas mijały. Wiking miał oczy czerwone od popękanych naczynek, niczym człowiek, który zapomniał, jak zapaść w sen. Czułem się gorzej, niż on wyglądał.

– Tam w górze. – Wskazałem palcem. – Coś tam jest.

– Powinniśmy iść tędy – powtórzył Snorri, zwieszając głowę, i znów ruszył za duszami.

– Nie. – Zacząłem wspinać się po głazach, na dłoni miałem już tuzin cieniutkich zacięć w miejscu, którym się podpierałem. – Droga wiedzie w górę.

– Nic nie wyczuwam. – Snorri obrócił się ku mnie, wyczerpany, opływające go dusze wyglądały przy nim jak karły.

– To tutaj. – Wciąż parłem w górę, podpierając się mieczem, by zyskać oparcie, które nie wymagało dotykania skał.

Trudno było się wgramolić do wąwozu. Ręka piekła mnie tak, jakby ktoś polał mi octem każdą ranę. Wspinałem się wąską ścieżyną, wiodącą między stromymi ścianami wąwozu. Snorri podążał parę kroków za mną i kłął.

Oprócz wiatru nic nie mąciło tu ciszy, przynajmniej kiedy Snorri przestał narzekać. Wszechobecna cisza, prawieczna i głęboka. Nasze kroki brzmiały jak świętokradztwo. Jeśli to woda wydrążyła otaczające nas doliny, dawno zniknęła, zanim człowiek postawił tu stopę. W piekle zbudowanym z samotności ten wąwóz wyglądał na najbardziej oddalone i zagubione miejsce, do którego mogliby wejść potępieńcy.

– Nic tu nie ma, Jał, mówiłem...

Wąskie ściany wąwozu rozwarły się tuż przed nami. Weszliśmy do małej kotliny, być może kotła, do którego wpadała kiedyś dawno martwa rzeka. Stało tu pojedyncze drzewo, czarne i powykręcane. Nagie gałęzie odcinały się wyraźnie od oświetlonego martwym blaskiem nieba. Drzewo miało cętkowany pień, chorobliwie białe plamy pokrywały czarną korę od szerokiej podstawy do miejsca, z którego wyrastały najniższe gałęzie.

Gdy zaczęliśmy się zbliżać, okazało się, że drzewo znajdowało się o wiele dalej i było o wiele większe, niż mi się wydawało.

– Pomóż mi się wspiąć. – W wąwozie był stopień wyższy ode mnie. Snorri podsadził mnie. Rozciąłem sobie nogę przez spodnie. Kolejne octowe rany zadane przez popękane bańki skał. Sięgnąłem ku Snorriemu i pomogłem mu wspiąć się na stopień.

Gdy zmniejszyliśmy dystans, dojrzeliliśmy, że drzewo, choć bezlistne, ugięło się od dziwacznych owoców. Podeszliśmy jeszcze bliżej i chory pień zdradził swój sekret. Były do niego przybite ciała. Setki ciał.

Gdyby to drzewo miało rozmiary normalnego drzewa, my wyglądalibyśmy przy nim jak mrówki. To musiał być jakiś potomek Yggdrasila, drzewa światów, które stało w sercu wszystkich rzeczy i od którego zależały wszystkie wymiary. Gałęzie z owocami opadały jak witki wierzby, sięgając prawie do ziemi. Niektóre wisały tak nisko, że mogłem się wyciągnąć i ich dotknąć, ale nie chciałem tego robić. Owoce były ciemne i pomarszczone, niektóre miały średnicę paru stóp, inne nie były większe niż ludzka głowa, wszystkie jednak były groteskowe i wzbudzały niepokój w sposób, którego nie potrafiłem wytłumaczyć.

Docierały już do nas ciche jęki ofiar drzewa. Mężczyźni i kobiety, ludzie młodzi i starzy byli przybici do pnia tak gęsto, że ich kończyny się krzyżowały. Rozciągnięte sylwetki zazębiały się jak splecione palce lub elementy układanki.

Znaleźliśmy drogę w plątaninie grubych, rozłożystych korzeni i podeszliśmy do pnia tak szerokiego jak wieża Mathemy i jeszcze od niej wyższego. Jedna plamka bieli przyciągnęła mój wzrok, bledsza od pozostałych i przyszpilona blisko ziemi.

– Witaj, Marco. – Podeszedłem bliżej, wyciągnąłem miecz z pochwy i spojrzałem w górę na bankiera. Wisiał przybity czarnymi kolcami z żelaza za stopy i dłonie, pośród setek innych. Tuziny głów odwróciły się powoli w moją stronę, jakby ruch wymagał wielkiego wysiłku, ale tylko Marco przemówił.

– Książę Jan Kendeth. – Jego wzrok powędrował wyżej. – I barbarzyńca.

– Cieszę się, że mnie pamiętasz.

– Tylko kilka klątw jest gorszych niż usłyszenie w piekle swojego imienia – odparł.

Zabrał mi wiatr z żagli.

– C-cóż. – Przełknąłem ślinę i postarałem się przemówić bez zajknięcia. – Wolę, żeby ktoś wypowiedział w piekle moje imię, niż żebym musiał przybity do drzewa wisieć w nim na wieczność.

Na to Marco nie miał odpowiedzi.

– Pamiętam cię – rzekł Snorri. – Człowiek z papierami. Kazałeś torturować

Tuttugu. Dlaczego tu wisisz?

– Może tutaj trafiają oprawcy – podsunąłem.

– Dla nich potrzebny byłby cały las – odparł Snorri. – To drzewo by nie wystarczyło.

– A zatem bardziej sprecyzowana zbrodnia... – Zmarszczyłem brwi. To miejsce mnie przerażało. Całe piekło mnie przerażało, ale to miejsce nawet bardziej.

– Gorsza zbrodnia. – Wzrok Snorriego powędrował po ciałach, nagich i poprzebijanych gwoździami, wiszących jak na wieszaku grawitacji.

– Zdejmijcie mnie stąd, to wam zdradzę – powiedział Marco, bankier nawet po śmierci. Ale w jego oczach widziałem desperację.

– Sam się tam wsadziłeś. – Snorri odwrócił się, by obejrzeć owoc wiszący najbliżej niego. Wyciągnął dłoń i go dotknął. – A! – Cofnął rękę, jakby coś go użądliło. Zasuszona łupina zarumieniła się cielistym, różowym kolorem. Patrzyliśmy, a Snorri wciąż pocierał palce. Owoc napęczniał jak klatka piersiowa unosząca się przy głębokim oddechu. Ukazał się jego prawdziwy kształt. Dojrzelśmy kończyny, mocno podkurczone. Plamki cielistego koloru wykwitwały na martwej czerni. Przemiana zajęła chwilę potrzebną, by Snorri wziął oddech, gdy zaś go wypuścił, „owoc” skurczył się z powrotem do ciemnej wyschłej skorupki.

– To... to było...

– Wyglądało jak dziecko – wyszeptałem. Tylko za małe, głowę miało zbyt dużą, kończyny za cienkie, a między paluszkami rozciągała się błona.

– Nienarodzone. – Snorri odwrócił się do Marca. – Takie są owoce tego drzewa? Wasze zbrodnie?

Nie słuchałem, mój wzrok padł na kolejny owoc. Jeden pośród setek, może tysięcy, ale mnie przyciągnął. Nie mogłem odwrócić oczu. Wszystko inne rozmyło się, gdy ruszyłem w jego stronę.

– Jal? – Snorri wołał mnie z oddali.

Wyciągnąłem dłonie i chwyciłem wysuszoną łupinę. Ból nie eksplodował w moich palcach, lecz w żyłach, w szpiku każdej kości, gdy coś zaczęło ze mnie wyciekać. Grube ramiona odciągnęły mnie i padłem na ziemię, patrząc w górę na nienarodzone dziecko, maleńkie, różowe... mokre i kapiące od życia.

– Co ty wyprawiasz? – Snorri postawił mnie na nogi. – Oszalałeś?

– Ja... – Spojrzałem na różową istotę, to niemal-dziecko. Wyciągnąłem miecz Edrisa Deana. Symbole wzdłuż ostrza zapłonęły szkarłatem, jakby krwawiły. – To moja siostra.

Choć przyciągnęła mnie do niej jakaś magia, nasza więź się tu kończyła. Nigdy jej nie spotkałem – nigdy nie urosła – a ja miałem dwóch braci, którzy

nauczyli mnie, że w więzach krwi nie było nic świętego. Gdyby mój starszy brat Martus i przypadkowy nieznajomy wisieli nad przepaścią, a ja miałbym czas, by uratować tylko jednego, tego dnia poznałbym nowego przyjaciela. Zwłaszcza jeśli byłby młody i płci żeńskiej. Wszystko, co łączyło mnie z tym... stworzeniem... to wspomnienie śmierci Matki. Łączył nas jedynie żal, a teraz siostra została wypaczona. To dziecko bez imienia zostało przekształcone w koszmar, który musiał mnie zabić, by uciec do świata żywych i tam pozostać...

Trzymałem swój krwawiący miecz i patrzyłem na poczwarkę przede mną, różową, wstrętą, mokrą i surową. Snorri stanął obok mnie, ale nic nie powiedział. Z gardła wydarł mi się chrapliwy krzyk, krótki i ostry jak zamach mojego miecza. Błysnęła stal. Nienarodzone dziecko spadło z drzewa, a w miejscu, w którym uderzyło o ziemię, leżały tylko pył i małe wysuszone kosteczki.

– Jal. – Snorri położył mi dłoń na ramieniu.

Odtrąciłem ją.

Nad pyłem wznosiło się coś nieuchwytnego i bladego jak duch. Zmieniało się, rosło, przechodziło płynnie od jednego kształtu do drugiego. Wszystkie były nią. Moją siostrą. Śpiące niemowlę, mały brzdąc chwiejnie stawiający pierwsze kroki, śliczna młoda dziewczyna z długimi włosami, wysoka kobieta, szczupła i piękna, przypominająca Matkę, czarne loki wiły się na jej ramionach. Obrazy zmieniały się coraz szybciej – matka trzymająca maleńkie dłonie, kobieta z poważną twarzą i mocą w oczach, staruszka na wysokim tronie. Zniknęła.

Stałem, czując mrowienie w ramionach i na policzkach, oddychałem płytko i gwałtownie, bolało mnie w piersi. Dlaczego mnie bolało? To, co mogłoby się stać, tracimy w każdej sekundzie każdego dnia. Możliwości, plany, które spaliły na panewce, mrzonki – znikają szybciej niż Slid, spadająca kaskadą z klifu. Stałem, patrząc w dół na maleńkie kostki, a one poczerniały i obróciły się w proch. Nie coś, co mogło, a coś, co powinno się stać.

Marco wybuchnął śmiechem. Był to paskudny dźwięk, ściśnięty i pełen bólu, ale śmiech, i to z ust człowieka, który nigdy nie uśmiechnął się na moich oczach w świecie żywych.

– To jeszcze nie koniec, książę. Jeszcze nie koniec – jęknął, próbując się ruszyć, ale był przybity za kończyny. – Na drzewie rośnie to, co zostawią po sobie liczkiny.

– Liczkiny? – Słyszałem o nich, potworach z zaświatów, które Martwy Król stworzył, by mu służyły.

– Jak myślisz, co żyje w dzieciach wyciętych z łona? Co kształtuje ich potencjał i używa mocy? To sprawiedliwa wymiana. – Spojrzał na mnie

martwymi oczyma. Mówił tak beznamiętnie, jakby dyskutował o interesach na giełdzie w Umbertide. – Gdzie w tym zbrodnia? Dziecko, które nie żyje, dostaje życie, a liczkin, który nigdy nie żył, rośnie i wędruje po świecie ludzi, gdzie może zaspokajać swój głód.

Uniosłem wzrok wyżej, na upstrzony ciałami pień, ocieniony niezliczonymi gałęziami podobnymi do wierzbowych witek, na których dyndało skradzione życie. Czy Marco był najgorszym złoczyńcą przyszpilonym do drzewa? Pewnie nie. Powinienem go nienawidzić bardziej zażarcie. Powinienem podbiec i porąbać go na kawałki. Ale to miejsce wypalało ze mnie emocje. Zamiast wściekłości czułem pustkę i smutek. Odwróciłem się, by odejść.

– Czeka! Zdejmij mnie stąd!

– Mam cię zdjąć? – Spojrzałem na niego i gdzieś głęboko we mnie zawrzała gniew. – Z jakiej racji?

– Powiedziałem ci. Dałem ci informację. Jesteś mi coś dłużny. – Marco rzeźił, bo każde słowo musiał wypychać z klatki piersiowej zapadniętej pod ciężarem jego ciała.

– To drzewo nie będzie stało na tyle długo, bym ja zaczął być ci coś dłużny, bankierze. Nawet jeśli miałyby stać dziesięć tysięcy lat, a ty codziennie ratowałeś mi życie.

Zakaszłał, na wargach miał czarną krew.

– Będą na ciebie polować – liczkin i ta część twojej siostry, którą posiadał, śmierć brata otworzyłaby dla nich przejście i wyszliby stąd razem, nienarodzeni, nowe zło na świecie. Twoja śmierć pozwoliłaby im się tam zakotwiczyć.

Myśl, że będę ścigany po piekle przez potwora związanego z duszą mojej siostry, przerażała mnie do nieprzytomności, ale do cholery, nigdy nie dam tego po sobie poznać przed bankierem.

– Jeśli ten... stwór... mnie znajdzie, to z nim skończę. Zimną stalą! – Dla efektu wyciągnąłem miecz – był w końcu zaczarowany, by zabijać martwe kreatury tak skutecznie jak żywe.

– Mogę ci zdradzić, jak ją ocalić. – Marco wytrzymał moje spojrzenie, oczy miał ciemne i błyszczące.

– Moją siostrę? – Ocalenie jej nie było na mojej liście, takimi rzeczami zajmował się Snorri. Chciałem odejść, ale jakoś nie mogłem. – Jak?

– Da się to zrobić, bo uwolniłeś z drzewa warianty jej przyszłości. – Na twarzy Marca malowały się teraz wyraźnie ból i desperacja. – Zdejmiesz mnie stąd? Obiecuj.

– Na mój honor.

– Kiedy spotkasz ich w świecie żywych, twoją siostrę i liczkinę noszącego jej

skórę, każda wystarczająco święta rzecz zdoła ich rozdzielić.

– A moja siostra będzie... żyć?

Marco znów wydał z siebie ten ohydny dźwięk, swój śmiech.

– Umrze. Ale właściwie. Czysto.

– Wystarczająco święta rzecz? – wyburczał stojący obok Snorri.

– Coś ważnego. To wiara wszystkich wyznawców sprawi, że przedmiot zadziała. Ognisko wiary. Nie jakiś kościelny krzyżyk. Nie święcona woda z katedralnej chrzcielnicy. Jakiś prawdziwy symbol...

– Kardynalska pieczęć? – zapytałem.

Marco kiwnął głową, twarz zmarszczyła mu się z bólu i wysiłku.

– Tak. Prawdopodobnie.

Znów się odwróciłem, by odejść.

– Czeka! – Usłyszałem sapanie, gdy Marco próbował sięgnąć ku mnie.

– Czego? – Zerknąłem w tył.

– Uwolnij mnie! Mieliśmy umowę.

– Czy masz na to dokument, Marcu Onstantosie Evenalinie z Domu Złota? Odpowiednie formularze? Podpisy? Świadków? Czy wszystko ma odpowiednie znakowanie?

– Obiecałeś! Na swój honor, książę Jalandre. Na swój honor.

– Ach. – Znów się odwróciłem. – To. – Zacząłem iść. – Jak go znajdziesz, daj mi znać.



W libańskim porcie Al-Aran wsiadłem na statek o nazwie „Santa Maria”, ten sam, który zabrał większość soli przewiezionej na północ z Hamady przez większą część ostatniego miesiąca przez współtowarzyszy mojej podróży. W ładowni znalazło się też miejsce dla moich trzech wielbłądów i przyznam, że odczuwałem niejaką satysfakcję z powodu ich dyskomfortu, po tym jak sam spędziłem nieprzyjemny okres na wielbłądzim garbie.

– Ostrzegam cię, kapitanie, Bóg stworzył te zwierzęta jedynie do trzech rzeczy. Puszczania wiatrów z tylnego końca, puszczania wiatrów z przedniego końca i do plucia. Plują kwasem żołądkowym, więc ostrzeż swoich ludzi i nie pozwól, by ktokolwiek zszedł do ładowni z otwartym ogniem, bo zostaniesz kapitanem wspaniałej kolekcji płonących drzazg. No i wszyscy potoniemy.

Kapitan Malturk parsknął w gęstwinę swych wąsisk i machnął mi na pożegnanie, po czym odwrócił się w stronę masztów i takielunku, by wyrzaskiwać w stronę marynarzy jakieś żeglarskie nonsensy.

Podróże morskie są smętnymi wyprawami, o których lepiej nie wspominać w dobrym towarzystwie, a przez pierwsze cztery dni podróży nie wydarzyło się nic godnego uwagi. Och, były fale, wiał wiatr i podawano posiłki, ale zanim wybrzeże Cag Liar nie pojawiło się na horyzoncie, przeprawa nie różniła się w zasadzie niczym od moich pozostałych wypraw statkiem, jeśli nie liczyć temperatury, języka, w którym przeklinali marynarze, i smaku jedzenia wracającego przetykiem w górę.

Aha, i radzę nigdy nie zabierać wielbłąda na morze. Po prostu nie zabierać. Zwłaszcza trzech drani.

Port French na Cag Liar, najbardziej wysuniętej na południe z Wysp Korsarzy, to pierwszy przystanek dla wielu statków opuszczających wybrzeże Afriki. Są dwa sposoby, by przepłynąć Morze Środka i przeżyć owo doświadczenie. Sposób pierwszy – uzbroić się po zęby. Sposób drugi – uzbroić się w glejt zakupiony od pirackich lordów. Podobne dokumenty można dostać u faktorów w wielu portach, ale statkowi dobrze wróży, jeśli zawinie do Port French lub innego z głównych miast Wysp Korsarzy. Flagi kodowe zmienia się

regularnie i niedobrze jest żeglować z nieaktualnymi. Poza tym dla kupca, kiedy już załatwi bolesną sprawę „opodatkowania”, nie było na świecie wielu miejsc, które oferowałyby tak szeroki wybór towarów i usług jak pirackie porty. Handluje się tu również ludźmi, na zasadzie kupna-sprzedaży, jak i wynajmu. Niewolników wysyła się głównie z zachodu na wschód i niemalże wcale z północy na południe. W Rozbitym Imperium nigdy nie istniało duże zapotrzebowanie na niewolników, bo mamy wieśniaków.

W zasadzie jedno i to samo, ale wieśniacy myślą, że są wolni, więc nie uciekają.

Gdy wpływaliśmy do portu, wspaniale było w końcu zobaczyć dobrze znany mi świat, przylądek gęsto porośnięty sosnami, bukami i dębami, a nie z rzadka rozszanymi palmami północnej Liby. A pory roku! Las pokrywały drobinki rdzawości od pierwszego, chłodnego dotyku jesieni, choć w upalny dzień, taki jak dziś, trudno było sobie wyobrazić, że lato dobiegało już końca. Zamiast płaskich libańskich dachów domy na zboczach nad przystanią obnosiły dumnie dachówki z terakoty, kładzione pod kątem w cichym wyznaniu, że zdarzały się tu deszcze.

– Dwa dni! Dwa dni! – zawołał pierwszy oficer Malturka, baryłkowany mężczyzna o imieniu Bartoli, który zdawał się niezdolny do noszenia koszuli. – Dwa dni! – Grzmiący baryton.

– Ile?

– Dwa d...

– Dobra, łapię. Dzięki. – Pogmerałem palcem w na wpół ogłuszonym uchu i zszedłem po trapie.

Nigdy nie widziałem takich nabrzeży jak w Port French. Wyglądały, jakby zawartość wszystkich burdeli, palarni opium, jaskiń hazardu i krwawych dołów została zwymiotowana na zalaną słońcem przystań i wylewała się na keje, tak że dokerzy musieli przepychać się wśród jaskrawej zbieraniny ludzkiej, by choćby zacumować łódź.

Natychmiast zleciały się do mnie różnokolorowe panny, od ciemnych jak gagat, przez śniadolicę, do poczerwieniałych na słońcu. Z nimi szli mężczyźni, którzy próbowali skierować mnie do przybytków, w których można dać upust wszystkim złym nawykom, pod warunkiem że w zamian zostawi się monetę. Najbardziej bezpośredni, i być może najbardziej uczciwi, byli mali chłopcy, przemyskający tam i z powrotem między nogami dorosłych. Ci próbowali zwinąć mi sakiewkę, jeszcze zanim zdołałem ująć dziesięć kroków.

– Dwa dni! – Bartoli, oparty o reling, obserwował, jak rozchodzili się członkowie jego załogi i pasażerowie. „Santa Maria” odpłynie, gdy zakończy interesy w porcie i wywiesi flagi sygnałowe. Z nami lub bez.

Po piekle, pustyni i morzu Port French wydawał się tak bliski nieba, że w zasadzie nie było między nimi różnicy. Przechadzałem się w tłumie w stanie uniesienia, nie zwracając szczególnej uwagi na żadnych ludzi próbujących mnie do czegokolwiek namówić, nieważne, jak byli uparci. W pewnym momencie przystanąłem, by kopniakiem posłać do morza wyjątkowo irytującego, nieletniego kieszonkowca, po czym w końcu opuściłem teren nabrzeża i zacząłem wspinaczkę po labiryncie uliczek wiodących na szczyt zbocza, gdzie zdawały się tłoczyć najwspanialsze budynki.

Nic tak nie paraliżuje człowieka jak możliwość wyboru. Na widok takiego bankietu, po wieczności spędzonej w dziczy, nie byłem w stanie podjąć decyzji. W końcu wybrałem stolik przed tawerną na stromej brukowanej uliczce w połowie drogi na szczyt wzniesienia. Zamówiłem wino i dostałem je w amforze owiniętej osłonką z rafii, by się czasem nie stłukła. Siedziałem, patrząc na świat i sącząc wino z glinianego kubka.

Ludzie nazywają te wyspy Wyspami Korsarzy i faktycznie piractwo leży u ich podstaw, ale w głębi lądu są miliony akrów suchej ciepłej ziemi, skąd morza nie da się dostrzec nawet ze wzgórz. Tam w dolinach uprawiane są cholernie dobre winogrona. Mimo że opakowanie było ubogie, napitek okazał się przedni.

Moje poplamione podczas podróży szaty i opalenizna z Saharu sprawiały, że wy glądałem bardziej na Araba niż mężczyznę z Czerwonej Marchii. Jedynie moje splewiaste od słońca złote włosy zdradzały prawdę. Z pewnością nikt nie uznałby mnie za księcia, co miało pewne zalety w mieście pełnym rabusiów, złodziei, piratów i alfonsów. Dzięki anonimowości mego pustynnego przyodziewku mogłem przez chwilę odetchnąć. A co mi tam, odetchnąłem przez kilka chwil, potem przez dwie godziny, a potem przez kolejne trzy. Radowałem się otaczającym mnie zgiełkiem życia ciasno upakowanych w mieście ludzi, gdy słońce ześlizgiwało się z nieba.

Rozmyślałem nad powrotem do Vermillionu, mojej doli i przyszłości, ale przede wszystkim nad Yusufem Malendrą i jego kalkulacjami. W sumie dumałem nie tylko o Yusufie i Mathemie, gdzie setka matematyków skrobała na tabliczkach swoje algebry, ale o wszystkich ludziach, którzy widzieli przyszłość, przepowiadali ją albo kłamali na jej temat. Völvy z Północy, magicy z Afriki, Milcząca Siostra ze ślepyim okiem, Błękitna Dama pośród swych lusterek, szukająca odbić jutra. Wszyscy z nich jak pająki tkające sieci. Kim zatem byli ludzie tacy jak ja i Jorg Ancrath? Muchami zaplątanymi mocno w pajęczynę, przygotowanymi, by wiedzący mogli wyssać z nas życiowe soki, by zaspokoić swój apetyt?

Jorg oczywiście był nawet w gorszej sytuacji niż ja. Książątko z bliznami po

cierniach. Wydostał się z plątaniny ostrych gałęzi, ale czy wiedział, że zawisł na większym konarze, z kolcami na tyle długimi, by wypatroszyć człowieka? Czy wiedział, że moja babka szepnęła jego imię Milczącej Siostrze? Że tak wielu knuło, by wynieść go na tron albo zniszczyć? Nie potrafiłem powiedzieć, jak go zapamiętają potomni: jako cesarza czy głupca, ale bez wątpienia stawał się właśnie jednym z nich. A może oboma. Pamiętałem, jak wyglądały jego oczy tamtego wieczoru w Crath, gdy widziałem go po raz pierwszy. Jakby nawet wtedy patrzył ponad światem i widział, co się do niego zbliżało. I nie dbał o to.

Opróżniłem kubek i chciałem znów go napełnić. Z amfory wyciekło ostatnich parę kropli.

– Czas zakończyć tu działalność. – Przykryłem chłopca Ancrathów kocem i zostawiłem na dachu w Hamadzie. Powinienem był wyświadczyć mu przysługę i zrzucić go stamtąd. Ale ja uciekłem, a to zawsze liczyło się najbardziej. Przepowiednia musiałaby wstać naprawdę wcześniej rano, żeby złapać w swe sidła starego Jalana!

– Rollas? – Po uważnej inspekcji wnętrza amfory w poszukiwaniu ukrytego trunku podniosłem wzrok i ujrzałem mężczyznę skręcającego z głównej ulicy do bocznej alejki. Coś w jego kanciastych ramionach i tępym, porośniętym szczecina tyłu głowy przypominało Rollasa, służącego mojego przyjaciela, Barrasa Jona. Wstałem nieco chwiejnie, więc podparłem się ręką o ramię mężczyzny siedzącego przy stoliku obok. – Proszę wybaczyć. – Słowa spływały mi niewyraźnie po odrętwiałych wargach. – Dopiero zszedłem ze statku. – I wytoczyłem się na ulicę. Mężczyzna nie tylko przypominał służącego Barrasa. To *był* on. Podążałem za tyłem tej głowy do pałacu w Vermillionie po tak wielu nocach pijaństwa, że wszędzie bym go poznał. Chyba bardziej z przyzwyczajenia niż z jakiegokolwiek innego powodu również tym razem ruszyłem za mężczyzną.

Stąpałem ostrożnie, żeby nie wdepnąć w nic nieprzyjemnego. Musiałem też wynegocjować przejście obok śmierdzącego żebraka nawet bardziej pijanego ode mnie. Wyszedłem z zaułka na kolejną ulicę wiodącą od doków na zbocze, przekonany, że zgubiłem zwierzynę, ale dostrzegłem gościa z powrotem, akurat gdy wchodził do domu rozpusty. Zawsze poznam takie miejsca. Wyglądają porządniej niż pijackie meliny, bardziej rzucają się w oczy niż jaskinie hazardu, a jeśli interes akurat wolniej się kręci, dziewczęta wyglądają z okien na piętrze. A poza tym ten budynek miał napis „Bórdel” wymalowany wielkimi czerwonymi literami na szyldzie zajmującym całą długość okapu.

Przeszedłem przez ulicę i pozwoliłem, by zaczepił mnie wabik.

– Taki przystojny mężczyzna nie powinien być sam w takie piękne popołudnie. – Wabicielka, urodziwa, ciemnowłosa kobieta po czterdziestce,

ujęła mnie pod rękę i poprowadziła w stronę wejścia do burdelu.

– A ty pewnie zechciałabyś dotrzymać mi towarzystwa. – Uprzejmie rzuciłem jej pożądliwe spojrzenie.

Uśmiechnęła się, profesjonalnie nie krzywiąc się, gdy poczuła mój winny chuch.

– Ach, jestem nieco za stara dla takiego młodego mężczyzny, ale w środku jest wiele pięknych dziewczyn umierających z pragnienia, by cię poznać. Samantha ma naj...

– Czy znasz mężczyznę, który wszedł tu przed chwilą? – Zaparłem się nieco tuż przed drzwiami i mrocznym przedsionkiem, który wypełniała osoba ochroniarza.

Kobieta puściła moje ramię i spojrzała na mnie już bez uśmiechu.

– Jesteśmy bardzo dyskretnym przybytkiem. Nie ujawniamy informacji o gościach.

Wyciągnąłem libańską sztabkę kciukiem i palcem wskazującym i pozwoliłem, by prostokątna moneta złapała popołudniowe promienie słońca. Dzień przed wyjazdem pożyczyłem od Omara dziesięć sztabek, każda zawierała nieco więcej złota niż imperialny dukat.

– Nie widziałam go wcześniej. Zapamiętałabym. Przystojny facet.

– Czego chciał?

Przewróciła oczami.

– Dziwki.

– Przyszedł prosto tutaj. Nie rozglądał się. Nie wahał... Przyszedł do konkretnej dziewczyny?

– To śliczna moneta. Dużo waży? – Wyciągnęła otwartą dłoń.

– Owszem. – Wcisnąłem jej pieniądz. Była to raczej spora zapłata za coś, co pewnie okaże się pomyłką. I w zasadzie nie wiedziałem, dlaczego po prostu nie krzyknąłem czegoś do Rollasa. Rozwahałem odejście, ale Barras był moim przyjacielem, choć zdradzieckim, bo wbił mi nóż w plecy, żeniąc się z tą, o której marzyłem na mroźnej Północy... kiedy wokół nie było innych dziewczyn, które by mnie grzały. A jeśli *faktycznie* widziałem Rollasa, coś bardzo nie grało. Nie przychodził mi do głowy żaden dobry powód, dla którego człowiek zatrudniony przez Jona Starszego do ochrony jego syna miałby pospiesznie wchodzić do burdelu w Port French. – Całą resztę wydam w środku, więc im lepszą historię mi opowiesz, tym mniej się napracuje ta twoja Samantha.

Kobieta przygryzła wargę, rozważając sytuację. Byłby z niej słabiutki pokerzysta. Zerknęła na goryla przy wejściu, na mnie, a w końcu jej wzrok spoczął na libańskiej sztabce w jej dłoni.

– Powiedział, że chce obejrzeć nasze dziewczyny. Chciał wiedzieć, czy

wszystkie były wolne, czy mamy też niewolnice. Pytał, czy mamy jakieś nowe. Białe. Mojego wzrostu, z ciemnymi włosami. Powiedziałam, że nie, ale i tak chciał sprawdzić osobiście.

– Podał jakieś imię?

– Na Wyspach nie zadaje się takich pytań. Łatwo można skończyć z poderżniętym gardłem.

Rozumiałem, co mówiła. Nawet po pijaku wiedziałem, że to nie była czcza gadanina. Ale mimo wszystko, musiałem wiedzieć.

– Podał jakieś imię?

– Lisa?

– DeVeer?

– Nowe dziewczyny dostają tylko jedno imię. Jeśli dobrze pracują, po paru latach mają szansę na kolejne. Ale DeVeer? Nie przyciągnęłoby klientów. DeLicja, może. Na mnie mówili Cztery Sztuczki. Serra Cztery Sztuczki.

Lisa? Branką korsarzy? Musiałem to przemyśleć. Cofnąłem się o krok i prawie wpadłem na człowieka obładowanego workami.

– Pan wybaczy. – W jakiś sposób upadłem tak nisko, że przepraszałem zwykłych robotników – Ja... – Odwróciłem się i zacząłem się oddalać.

– Nie chcesz wykorzystać swojej zaliczki? – zawołała za mną Serra.

– Może później... – Już się nie obracałem, ale kręciło mi się w głowie i wcale nie *wyłącznie* z nadmiaru popołudniowego wina. Lisa DeVeer jako niewolnica w Port French? Jakim cudem?

– Wciąż się zastanawiasz, jaka jest czwarta sztuczka, co? – Serra krzyknęła w stronę moich pleców.

Nie odpowiedziałem, ale po prawdzie, mimo wirujących mi po głowie myśli o Lisie... faktycznie się zastanawiałem.

Słońce już zachodziło, gdy wspiałem się z powrotem na pokład „Santa Marii”. Na nabrzeżu trochę się uspokoiło, ale do prawdziwego spokoju jeszcze dużo brakowało. Istnieje rodzaj ciszy, która zapada, gdy morze błyszczy szkarłatem i wydłużają się cienie. Cienie masztów rozciągały się od zacumowanych statków dalej i dalej po nabrzeżu i ścianach magazynów, zazębając się i stapiając, aż promienie słońca padały jedynie na najwyższe wzniesienie, gdzie piraccy lordowie i damy bawili się w szlachtę.

– Przyszedłeś napić te swoje cholerne zwierzęta? – Bartoli stanął za mną, gdy opierając się o reling, patrzyłem na morze. Kiedyś ryzykownie było mi przeszkadzać podczas zachodu słońca, ale Aslaug nawet już do mnie nie szeptała.

– Na rany Chrystusa, to wielbłądy. Wielbłądy nie piją. Każdy to wie. – Wysunąłem dłoń przed jego twarz, by zablokować odpowiedź. – Korsarze

handlują ludźmi, ale nie organizuję napadów, by ich pozyskać, prawda? – Zadawanie pytań w Port French może się dla Rollasa skończyć poderżniętym gardłem. Ja więc zadam swoje na „Santa Marii”. O wiele bezpieczniej.

– Chcesz kupić? Nie potrafisz się zatroszczyć nawet o wielbłądy!

– Skąd biorą swoich niewolników? – Obstawałem przy swoim pytaniu.

– Jasne, że od łowców niewolników. – Bartoli potarł swą czarną brodę i głośno splunął za burtę. – Korsarze sprzedają jeńców ze statków, ale nie napadają na porty i nie wypuszczają się w głąb lądu. Nawet piraci potrzebują przyjaciół. Nie sra się tam, gdzie się je. To lekcja dla wszystkich... może oprócz twoich jebanych wielbłądów.

– Więc... gdzie można kupić sobie niewolnika?

– Na targu niewolników. – Bartoli posłał mi spojrzenie, którym raczył mnie już od wielu dni. Spojrzenie mówiące: „jesteś idiotą”.

– A gdzie...

– Wybierz se. Jest ich chyba z tuzin. Jeden jest tu blisko, ogólny targ, za magazynem Krzywego Jacka, wielki, z gontami na dachu, tytoniem i wszystkim. Na drugim sprzedają dzieci, tuż za Królewskim Sercem, tawerną na końcu głównej ulicy.

– Tuzin? – Trochę dużo sprawdzania jak na jedno przeczucie i tył czyjejs głowy.

Bartoli zmarszczył czoło i zagapił się na swoje paluchy.

– Trzynaście.

Poczułem, jak przebiegł po mnie dreszcz, jakby nastąpiła koniunkcja planet.

– Trzynaście?

– Trzynaście.

Pierwszy przystanek, druga siostra, trzynasty...

– Gdzie jest ten trzynasty?

– Wysoko, wysoko. Na wzgórzach za domami lordów. – Bartoli machnął grubym ramieniem w stronę miasta. – Nawet nazywają go Trzynastką. Tak żem se przypomniał, że jest trzynaście. Dużo tam nie sprzedają. To bardziej... jakby to nazwać? Szkoła? Szkołą jakościowe babki. Ale nie dla takich jak my. Sprzedają je bogaczom z Maroku i z głębi kraju.

I tak oto następnego ranka przeczucie, tył głowy jakiegoś człowieka, wspomnienie licznych uroków Lisy DeVeer i dwóch przebiegłych matmagików sprawiły, że skacowany z wysiłkiem przemierzałem ulice Port French. Zlałem się potem, mimo że nad wzgórzami Cag Liar rozbudowywały się już zaczątki chmur. Nadchodziła burza. Nie musiałem być żeglarzem ani farmerem, żeby się zorientować.

Yusuf mnie w to wrobił. Byłem tego pewien. Zaplanował trasę mojej podróży

do domu i podzielił się ze mną trzema numerkami, bo wiedział, że o nie poproszę. Postanowiłem we właściwym czasie rozliczyć się z Omarem i jego mistrzem. Jednak póki co maszerowałem dalej, mężnie opierając się różnorodnym tawernom wychodzącym na ulicę, terkotowi ruletek dobiegającemu z niskich poddaszy i wołaniom przedsiębiorczych kobiet z łukowatych okien.

Poprzedniej nocy spałem na „Santa Marii”. Dopadła mnie w końcu fatyga wieczornego picia, więc umościłem się na sporym zwoju liny obok schodków forkasztelu, żeby dać odpocząć oczom. Gdy je otworzyłem, srały na mnie mewy i trwał już bezsensownie jasny poranek. Żeglarze zbyt głośno darli japy, a najbardziej nadgorliwi sprzedawcy rozkładali swe budki na nabrzeżu.

Wmusiłem w siebie obfite śniadanie i zdecydowałem się zrobić właściwą rzecz, czyli pójść i poszukać Lisy. Rozwahałem poszukanie Rollasa – jeśli to był on – ale wiedziałem, że Lisa nie będzie się szwendać nie wiadomo gdzie. Poza tym istniała szansa, że Rollas już zadał zbyt wiele pytań, zarobił cięcie nożem i leżał gdzieś w dokach. Albo, znając Rollasa, to on pociął napastników i teraz musiał uciekać z portu.

Port French przechodzi w rozsiane tu i ówdzie domki kupców i winnice, gdy człowiek wspina się na wzgórza, które zmieniają się w wieś. Jest co całkiem urokliwe miejsce, ale wołałbym je raczej oglądać z siodła. Albo wcale. Na pewno nie z punktu widzenia piechura targanego wiatrem, który nie potrafi się zdecydować, w którą stronę wiać. Zmrużyłem oczy, by nie naleciało mi do nich żwiru i pyłu. Paru miejscowych dało mi wykluczające się wskazówki, więc na ich podstawie wytyczyłem sobie pośrednią ścieżkę. Po niedługim czasie się zgubiłem, podążając suchymi drózkami wijącymi się pomiędzy jeszcze suchszymi wierzchołkami wzgórz. Minąłem jakiegoś głupawego kmiotka, który uraczył mnie kolejnym stekiem kłamstw dotyczących drogi do Trzynastki. Miał tak mocny akcent, że ledwo dało się go odróżnić od pochrząkiwania jego świń. Potem napotykałem już tylko kozy i jednego zdumionego osła.

– Niech to diabli.

Nie widziałem już morza ani miasta, tylko pofałdowane brązowe wzgórza pełne skał i ciernistych krzewów. Jeśli nie liczyć kóz, dziwnej, opalającej się jaszczurki i myszołowa krążącego mi nad głową, pewnie w oczekiwaniu, aż umrę, byłem zupełnie sam.

Wtedy zaczęło padać.

Godzinę później, przemoknięty, pokryty błotem po paru upadkach i zdecydowany porzucić misję i znaleźć z powrotem Port French, wdrapałem się na wzgórze, a stamtąd na szczycie następnego wzniesienia dojrzałem Trzynastkę.

Budowla wyglądała na starą fortecę. Miała wysokie mury z wieżami

obserwacyjnymi w każdym rogu i zwrócona była ku morzu w kolorze szarego łupka. Ze swego wzniesienia mogłem dostrzec różne budynki za murami: baraki, stajnie, kwatery oficerów – jedyne miejsce, które wyglądało nieco przyjaźnie – studnię i trzy osobne dziedzińce do ćwiczeń. Twierdzę od zewnętrznego świata oddzielały budzące grozę, zamknięte bramy z okutego żelazem drewna. Na wieżach czuwali strażnicy, mający u boku dzwony, które czekały na alarm, by się odezwać. Kolejni strażnicy spacerowali po murach, niektórzy opierali się o blanki i palili fajki albo spoglądali na chmury. Budowla zdawała się niedorzecznie chroniona, dopóki nie pojąłem, że nie miała zapobiec ucieczkom niewolników, tylko ich kradzieży. Byli w końcu cennym nabytkiem, a wyspą rządzą kryminaliści.

Widziałem małe grupki kobiet odzianych w liche płótno, które przeganiało z jednego budynku do drugiego. Z tej odległości nie dostrzegałem drzwi do kwater niewolników, ale bez wątplenia były solidne i porządnie zaryglowane.

– Hmmm. – Odgarnąłem mokre włosy z czoła i zadumałem się nad fortem. Deszcz nieco odpuścił, a na wschodzie niebo trochę się przejaśniło.

Nigdy nie uważałem się za bohatera, ale wiedziałem, że kobieta, którą przez krótki czas miałem zamiar poślubić, mogła być więziona i skazana na życie niewolnicy, najpewniej w roli konkubiny w jakimś haremie daleko na południu. Wyciągnąłem klucz Lokiego spod ubłoconych szat. Zalśnił w szarym świetle. Niemalże czułem, jak śmiał się ze mnie, gdy trzymałem go w dłoni.

Przesunąłem wzrok z pochłaniającej czerni klucza na ciemną bryłę twierdzy zwanej Trzynastką, typiącą na mnie złowieszczo z pobliskiego wzgórza. Raz już szturmowałem fort, by ratować przyjaciela. Klucz obrócił mi się w pięści, jakby wyobrażał sobie zamki, które mu się poddadzą.

Nie obciąłem tego robić. Chciałem wrócić na pokład „Santa Marii” i płynąć prosto do domu. Ale byłem księciem Czerwonej Marchii i chodziło o Lisę, Lisę DeVeer, moją Lisę, niech to diabli. Wiedziałem, co musiałem zrobić.

– Ty *draniu!*

– Co? – Cofnąłem się gwałtownie poza zasięg jej pięści.

– Wielbłądy? – wrzasnęła Lisa i poszurała ku mnie, spowalniana przez linę wciąż pętającą jej nogi. – Kupiłeś mnie za trzy wielbłądy? Trzy?

– Cóż... – Nie taką reakcją sobie wyobrażałem, gdy zdejmowałem jej niewolniczy kaptur. Odeszliśmy zaledwie sto jardów od wrót Trzynastki. Ludzie patrzyli na nas z wież i pewnie mieli ze mnie niezły ubaw. – To były *dobre* wielbłądy, Liso!

– Trzy! – Znów się na mnie zamachnęła, więc odskoczyłem do tyłu. Straciła równowagę i bluzgając, runęła w błoto.

Koniec wątpliwości. Z wieży dobiegł mnie śmiech strażników.

– Liso! Aniele! Ja cię *uratowałem!* – Roztropnie nie wspomniałem, że kosztowała mnie tylko dwa wielbłądy. Trzeciego przehandlowałem za pięć srebrnych koron i całkiem stylową skórzaną kurtę z żelaznymi płytkami przyszytymi na piersi i po bokach, ładnie grawerowanymi. Agent już po zawarciu umowy przyznał, że Lisa stanowiła trudny przypadek w kwestii szkolenia w obowiązkach dziewczyny z haremu i prawdopodobnie zostałaby tak wchłostana, że więcej by się nie nadawała do tej roli. – Ocalałem cię.

– Mój *mąż* powinien to zrobić! – wrzasnęła tak, że zadzwoniło mi w uszach.

– Jestem pewien, że Barras... – Ugryzłem się w język i postanowiłem nie wymyślać wymówek dla zdradliwej kanalii. – Ale nie ocalał, tak? Więc powinnaś się cieszyć, że cię znalazłem. – Wyciągnąłem nóż. – A teraz daj spokój z tym biciem, to przetnę ci więzy na nogach.

Lisa opuściła ręce i pozwoliła mi klęknąć i zająć się cięciem liny.

Gdy pękły ostatnie włókna, już jej nie było. Popędziła z powrotem prosto do wrót twierdzy, wywrzaskując krwawe pogroźki i potworne obietnice, obiema dłońmi wykonując przy tym obelżywe gesty. Na szczęście krążenie nie wróciło jeszcze w pełni do jej nóg, więc zdołałem ją złapać, zanim przebyła jedną trzecią drogi. Objąłem ją od tyłu ramionami i obróciłem wraz z sobą w drugą stronę.

– Jezu, kobieto! Zaraz zabiorą cię z powrotem i podrą kwit ze sprzedaży. To nie są mili ludzie. Przez ten twój język obetną ci nos i będziesz musiała pokazywać sztuczki w domach wariatów, żeby zarobić na jedzenie! – Martwiłem się nie tylko o nią, ale i o siebie. Znajdowaliśmy się daleko od miasta, a to były Wyspy Korsarzy. Mogli tu robić, co im się żywnie podobało, bo wszystko i tak uchodziło im na sucho.

Zacząłem odciągać Lisę od twierdzy. Zadanie tylko odrobinę łatwiejsze od ciągnięcia trzech wielbłądów po wzgórzach od samego nabrzeża. Zdołałem ją zawlec do miejsca, w którym przeciąłem jej więzy, gdy uwolniła jedną rękę i wymierzyła mi policzek.

– A! Jezu! – Złapałem się za twarz. – Za co to?

– Mówili, że zginąłeś! – Złościła się, jakby to była moja wina.

– Mówili, że wyszłaś za mąż! – Moja kolej na gniew, i to za więcej niż policzek, choć nie byłem pewien dlaczego. Pewnie z powodu tej całej niesprawiedliwości. Lubilem te swoje wielbłądy. Złapałem ją za ramię i pociągnąłem. – Musimy się stąd wynosić. Jak zobaczą, że cię znam, zażądadają więcej pieniędzy albo mnie zabiją, żeby się pozbyć problemu. – Ruszyłem w drogę, a Lisa za mną, potykając się i szarpiąc. – Ile czasu minie, zanim jakiś strażnik z muru zda raport z wydarzenia komuś ważniejszemu? Nie powinienem był ci zdejmować kaptura, dopóki nie oddaliliśmy się dostatecznie

od... – urwałem, bo Lisa zaczęła szlochać, wciągać wielkie hausty powietrza i drżąc je wydychać, gdy szła. W innych okolicznościach może powiedziałbym, albo chociaż pomyślał, coś protekcyjnego o „słabej płci”, ale szczerze mówiąc, wiedziałem dokładnie, jak się czuła ~ przeżyłem zbyt wiele ucieczek, po których chętnie rozplakałbym się z ulgi, gdyby nie to, że musiałem zachować twarz w towarzystwie, jakie wtedy miałem.

Zerkałem do tyłu na Lisę, gdy sprowadzałem ją ze wzgórz. Jej płócienna sukienka ubłocila się prawie tak mocno jak moje szaty, gdy powaliłem ją na ziemię. Kosmyki włosów sterczały jej pod dziwnymi kątami albo zwisały w brudnych strąkach – fryzura jak spod niewolniczego kaptura, można by rzec – a oczy miała czerwone od zbyt wielu przelanych łez.

W Trzynastce powiedziałem, że szukam najtańszej piękności, jaką mieli na składzie, a Lisa była pośród ośmiu dziewcząt, które przyprowadzono z chaty dyscypliny i ustawiono w rzędzie. Żadna nie wyglądała przyzwoicie, a niektórym trzeba było naprawdę dobrze się przyjrzeć, żeby dostrzec piękno pod warstwą brudu i siniaków. Ale Lisa zaparła mi dech w piersi. Coś w jej oczach, w kształcie warg albo... sam nie wiem. Może to dlatego, że jej usta, oczy, krzywizna szyi znaczyły coś dla mnie, każda część jej ciała przywoływała tyle wspomnień, że trudno było patrzeć na stojącą przede mną dziewczynę bez myśli o naszej przeszłości cisnących się do głowy. To uczucie wcale mi się nie podobało, było bardzo niezręczne, ale zrzuciłem wszystko na karb mojej wędrówki po piekle i zbyt długiego czasu spędzonego w pogańskich okolicach. Dodatkowy powód, by być wdzięcznym za pustynną zasłonę, którą owinąłem głowę. Założyłem ją oczywiście po to, żeby Lisa mnie nie rozpoznała i żeby nie zdradziła się, że przyszedłem tam po nią. W najlepszym wypadku handlarze dziesięciokrotnie zawyżyliby cenę. W najgorszym by mnie zabili.

– Co? – zapytała Lisa, po raz pierwszy zakłopotana. – Mam coś na twarzy? – Sięgnęła do policzka i nieświadomie roztarła na nim więcej brudu.

– Nic. – Odwróciłem wzrok, zdoławszy przy tym potknąć się o kamień. Wyglądała przepięknie. Zdecydowanie zbyt pięknie dla Barrasa Jona.

Dotarliśmy do przedmieść Port French, zanim Lisa zebrała się w sobie na tyle, by zadać pytanie.

– Zabrałeś ze sobą statek, prawda?

– Cóż. Statek z pewnością zabrał tu mnie.

Lisa zadrżała.

– Nigdy już nie chcę żeglować. Chorowałam przez całą drogę do Vyene!

– Ach. Wiesz, jesteśmy na wyspie, więc... – Zwolniłem kroku, by znaleźć się obok niej, przysunąłem się bliżej i objąłem ją ramieniem. – Nie martw się. Znam wiele osób, które nie czują się dobrze na łodzi. Ja jestem świetnym żeglarzem, a

też czułem się trochę słabo podczas mojego pierwszego sztormu, ale momentalnie załapałem, o co chodzi z linami i całą resztą. Nauczyłem tych wikingów paru sztuczek...

– Wikingów? – Podniosła na mnie wzrok i zmarszczyła brwi.

– To długa historia.

– I dlaczego jesteś ubrany jak pastuch z jasełkowej szopki? Czy to jakiś rodzaj przebrania?

– W pewnym sen...

– I dlaczego – odtrąciła moje ramię – jesteś taki ubłocony? – Dźgnęła palcem szczególnie brudny fragment mojej beduińskiej szaty.

Nie miałem serca jej powiedzieć, że to nie było błoto. Wielbłądy są paskudnymi stworzeniami, tydzień na morzu w niczym im nie pomógł, a w dodatku nigdy nie widziałem, by coś dorównywało im w strzelaniu gównem.

Zamiast tłumaczyć się ze swego przydzwiewku, postanowiłem zbić ją z tropu pytaniem.

– Dlaczego byłaś w Vyene? – Nie miałem pojęcia, w jakim celu wybrała się do stolicy Imperium. A w zasadzie byłej stolicy byłego Imperium.

– Barras chciał, żebym poznała jego rodzinę i zamieszkała w jednym z ich zachodnich majątków...

– Barras, czy z nim...

– Z nim wszystko w porządku. – Gniewnie zmarszczyła brew. – Jakieś interesy jego ojca zatrzymały go w Vermillionie, bo Jon Starszy udał się do Vyene jeszcze przed nami. Więc Barras nie popłynął ze mną, jak to było w planie, tylko wyprawił w drogę mnie, moje pokojówki i trochę ładniejszych rzeczy z pokojów z pałacu... Przynajmniej tak myślę, że z nim wszystko w porządku. – Lisa położyła dłoń na moim ramieniu. – Na pewno mnie szuka, Jal. Może coś mu się stało, mówiłeś, że piraci...

– Jestem pewien, że nic mu nie jest. – Chyba odezwałem się dość ostro. Moja chwilowa troska o Barrasa zniknęła, gdy tylko usłyszałem, że nie pożeglował z Lisą. Ciekawe, ilu ludzi wysłał na poszukiwania żony. Licząc Rollasa, pewnie jednego, bo Rollas był człowiekiem o wielu talentach. – Chodź. – Wznowiłem marsz. – Musimy się dostać na nasz statek.

Lisa zakasała swą płócienną sukienkę i pospieszyła za mną.

„Santa Maria” stała tam, gdzie ją zostawiłem. Czekwała na odpływ, więc weszliśmy na pokład bez problemów. Bartoli też stał tam, gdzie go zostawiłem, opierając się o reling i drapiąc po włochatym brzuchu. Wyłudził ode mnie dwie srebrne korony, zanim pozwolił, by moja towarzyszka popłynęła z nami do portu w Marsalii. Zapłaciłem bez oporów, bo nie chciałem wyjść na sknerę w

oczach Lisy.

Zanim odpłynęliśmy, zdołałem jeszcze sprawić Lisie sukienkę po negocjacjach z szelmami z nabrzeża przeprowadzonych z burty okrętu. Po krótkiej wizycie u krawca, który miał warsztat schowany za magazynami, przynieśli sukienkę, która wyglądała wprawdzie jak obszyty worek, ale i tak była lepsza niż prawdziwy worek, w jakim kupiłem Lisę.

Stanąłem na straży przed małą komórką, która służyła mi za kabinę, broniąc honoru Lisy przed w większości niezainteresowanymi żeglarzami, podczas gdy ona zmieniała strój. Po chwili wyszła, skubiąc rękawy, ale bez narzekań. Wyglądała na chorą nawet w mroku panującym pod pokładem.

– Wszystko w porządku?

Oparła dłoń o drzwi, by się nie przewrócić.

– To przez to kołysanie.

– Stoimy jeszcze na kotwicy, statek jest przycumowany do nabrzeża.

Zamiast odpowiedzieć, Lisa zakryła usta i popędziła w górę po schodach.

Kiedy dwie godziny później odpłynęliśmy, korzystając z popołudniowego odpływu, Lisa przewiesiła się nad relingiem i jęczała. Stałem za nią, z radością patrząc, jak Port French niknął w oddali. Może i przesadziłem, twierdząc, że jestem profesjonalnym żeglarzem, ale przy dobrej pogodzie na Morzu Środku nie lecę z nóg i sprawiam całkiem udatne wrażenie, że cieszy mnie cała ta morska sprawa. Z kolei Lisa okazała się żeglarzem, przy którym wyglądałem dobrze nawet w najgorsze dni. Myślałem, że nigdy nie będę miał towarzystwa brudniejszego, głośniejszego i bardziej narzekającego niż trzy wielbłądy, które wcisnął mi Omar, ale Lisa pobiła trio zwierzaków. Najmniejsza fala powodowała, że tak jak wielbłądy wypróżniała się z obu końców. Tylko mój zdecydowany sprzeciw powstrzymał kapitana Malturka przed wsadzeniem jej do zagrody, gdzie wcześniej trzymane były zwierzęta.

Drugiego dnia dowiedziałem się, że to właśnie gwałtowna reakcja Lisy na podróż drogą morską sprawiła, że dziewczyna wydawała się na tyle nieatrakcyjna dla korsarzy, którzy porwali jej statek, że zostawili ją w spokoju podczas długiego powrotu na Wyspy. Jej pokojówki nie miały tyle „szczęścia”. Sprzedano je na innym targu w pierwszym porcie, do którego piraci zawinęli po drodze. Jednak ucieczka Lisy miała swoją cenę. Dziewczyna dotarła do Port French tak bliska śmierci, że handlarz niewolnikami prawie wrzucił ją do zatoki, by nie topić pieniędzy, próbując przywrócić ją do zdrowia. Ponowny pobyt na statku sprawił, że znów gwałtownie jej się pogorszyło, więc spędziła trzydniową podróż skulona w mojej ciasnej kabinie z dwoma wiadrami. Ja trzymałem się pokładu, przez co prawie się nie widzieliśmy, dopóki gdzieś z góry olinowania nie zabrzmiał błogosławiony okrzyk: „Ziemia na horyzoncie!”

który nakłonił Lisę do wyjścia na powietrze.

Bladozielona, stała i się trzęsła, a ja, mężnie znosząc jej odór, wyciągnąłem palec w stronę wciąż niewidocznego wybrzeża, jakbym był w stanie je dostrzec.

– Port w Marsalii! Wynajmiemy miejsce na jednej z tych kog, które żeglują w górę Seleen, i w ciągu najwyżej dwóch dni dotrzemy do Vermillionu!

Dom! Nie mogłem go jeszcze zobaczyć, ale już go czułem, i tym razem, do cholery, już się z niego nie ruszę.



W Marsalii Lisa i ja spędziliśmy dwa dni i jedną noc, dochodząc do siebie incognito. Wynajęliśmy dwa pokoje – pod jej naciskiem – w przyzwoitej gospodzie na Prada Royal, biegnącej wzdłuż różnych pałaców dawnych marsalskich królów. Wydałem kolejną część złota od Omara na przyzwoite odzienie dla nas dwojga. Ja wybrałem wspaniałą kurtkę z wystarczającą ilością brokatu, by wskazywała na wojskowe powiązania, ale nie wyglądała przy tym tandetnie. Do tego dodałem spodnie w neutralnym szarym kolorze i wysokie czarne buty wypucowane na wysoki połysk, tak że dało się w nich przejrzeć. Lisa porzuciła poplamioną sukienkę i zdecydowała się na skromne podróżne ubranie, którego nie musiała się wstydzić, ale które nie przyciągało nadmiernej uwagi.

Wizyta w łaźni, fryzjer i dobry posiłek w jednej z lepszych tawern przy nabrzeżu wystarczyły, byśmy oboje poczuli się znowu jak ludzie. Nasze rozmowy wciąż się rwały lub wybuchały niezręcznie, gdy unikaliśmy tematu jej małżeństwa, wciąż od nowa poruszając kwestie jej niepokoju o Barrasa i problemów, które mógł napotkać, szukając jej. Mimo to widziałem przebłyski dawnej Lisy. Mówiąc o minionych czasach, wywołałem u niej parę uśmiechów i rumieńców, lecz ostrożnie unikałem wzmianek o jej martwym bracie i ojcu.

Koniec końców Lisa była zbyt przerażona, by odbyć kolejną podróż łodzią, nawet po rzece, więc pojechaliliśmy do Vermillionu ekspresowym powozem, trzęsąc się na różnych drogach, biegnących tak jak Seleen na wschód w stronę stolicy. Przez kilka dni siedzieliśmy obok siebie, a naprzeciwko nas jechali stary ksiądz i ciemnowłosy kupiec z jakiegoś dalekiego arabeańskiego portu. W nocy rzuciło nami we śnie, gdy powóz turkotał i zmieniano konie na różnych stacjach po drodze. Gdy Lisa zasnęła z głową na moim ramieniu, z radością odkryłem, że wciąż pachniała tak ładnie, jak pamiętałem. Prawie tak ponętnie, bym był w stanie zapomnieć, jak śmierdziała, gdy chwiejnym krokiem zeszła z „Santa Marii” w Marsalii. Podczas jednej z tych długich nocy, gdy głowa Lisy ześlizgnęła się mojego ramienia na kolana, zdałem sobie sprawę, że choć wszystkie trzy siostry DeVeer wyszły za mąż nieprzyzwoicie prędko po mojej

rzekomej śmierci (Micha za mojego brata Darina, Sharal za morderczego hrabiego Isena, a Lisa za mojego wiarołomnego przyjaciela Barrasa Jona, którego ja bym nigdy nie zawiódł), szczerze żałowałem jedynie utraty Lisy.

Wszystko się ułoży. Dom. Spokój. Bezpieczeństwo. Klucz będzie bezpieczny w pałacu. Martwy Król mógł stanowić zagrożenie dla małych grupek podróżnych w sercu pustyni lub w dzikich górach, ale przecież nie wyśle armii na Czerwoną Marchię i nie zacznie oblegać stolicy Czerwonej Królowej. Jeśli zaś chodzi o chytrzejsze metody, magia Milczącej Siostry z pewnością nie pozwoli, by nekromancja zadziałała w budynkach, w których wiedźma mieszkała wraz z rodzeństwem.

Kolejne mile znikwały pod kołami naszego powozu i gdy za oknem rozciągały się ziemie babki, hipnotyzujące swą znajomą zielonością i kwadratami pól, w mojej głowie przewijały się różne myśli. Rzeczy, które widziałem, ludzie, rozmowy, wszystko rozwijało się jak nić w moim niezmaconym umyśle. Od czasu do czasu podnosiłem zasłonę i wystawiałem głowę przez okno, by nacieszyć się wietrzykiem. Tylko wtedy zapominałem na chwilę o wszystkich troskach. Droga rozciągała się przed nami. Po obu jej stronach biegły równoległe żywopłoty, zbliżając się do siebie coraz bardziej, im dalej się patrzyło, choć nigdy się nie spotykały i ginęły w przyszłości. Tylko gdy tak patrzyłem w przód, zaczynały mnie gonić strachy, smyrgające za powozem. W sercu mojego miasta czekał na mnie Maeres Allus.

Owej pijackiej nocy na dachu w Hamadzie zwierzyłem się z tego problemu Jorgowi Ancrathowi. Dał mi jakąś radę, ten poraniony przez ciernie zabójca, i tam, w rozpalonej ciemności pustyni, brzmiała ona jak rozsądne rozwiązanie. W końcu czyż nie był królem Renaru? Ale był też tylko chłopcem.., A poza tym to, co mi powiedział, zmyła rzeka whisky i pamiętałem jedynie wyraz jego oczu, gdy ze mną rozmawiał, i to, że bez zastrzeżeń uwierzyłem, że miał rację.

Powóz podskakiwał i trząsał się, mile uciekały spod kół, a dom zbliżał się coraz bardziej. Wyprzedziliśmy trzy długie kolumny żołnierzy maszerujących w stronę stolicy. Kilka razy na drodze zrobiło się tak tłoczno, że musieliśmy zjeżdżać na bok i wymijać stojące wozy zaopatrzeniowe, kłócących się woźniców i żołnierzy wykrzykujących rozkazy wzdłuż kolumny. Jakimś cudem pośród tych stuków i brzęków, gorąca, hałasu i oczekiwania... zapadłem w sen.

Przyśnił mi się Jaśko Obrzyn, olbrzymi i szatański, jakby w rzeczywistości nie był dość straszny. Sięgał po mnie ręką, która mu jeszcze została, bladą i obwieszoną makabrycznymi pamiątkami po zleceniach – ustami, które obciął na rozkaz Maeresa Allusa i nosił jak bransolety. Próbowałem uciekać, ale

okazało się, że znów byłem przywiązany do stołu na tyłach budynku, gdzie Allus hodował mak. Wielkie białe paluchy szukały mnie, zbliżały się coraz bardziej i bardziej... a ja cały czas krzyczałem, i gdy tak krzyczałem, ściany i podłoga zniknęły, obracając się w pył na suchym wietrze, odsłaniając niebo oświetlone martwym światłem, kolorem rozpacz. Ręka Obrzyna cofnęła się i wtedy zrozumiałem, że znów byłem w piekle, więc wrzasnąłem do oprawcy, by mnie złapał i wyciągnął, nieważne, co miałby mi zrobić potem, bo chyba najlepszą definicją piekła jest to, że nie ma tak straszego miejsca ani czasu, do którego człowiek nie zechciałby uciec, żeby tylko wydostać się z zaświatów.

– Coś jest nie tak.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Snorri przystanął parę kroków przede mną i spoglądał na pobliskie wzniesienia.

– Wszystko jest nie tak. Bo to piekło! – Słowa tego nie opiszą, ale nawet gdy po prostu idzie się pylistym wąwozem za strumieniem dusz, piekło jest gorsze od wszystkiego, co zdążyło się w życiu poznać. Wszystko tak cię boli, że masz ochotę płakać, pałą pragnienie i głód, przygnębienie przygniata do ziemi, jakby było łańcuchami wokół szyi, a zwykłe stanie w miejscu jest jak oglądanie wszystkiego, co się kiedykolwiek kochało, umierającego żałościwie na twoich oczach.

– Tam! – Snorri wskazał grupę wyszczerbionych skał na pagórku po lewej stronie.

– Skały? – Nie widziałem nic innego.

– Coś. – Snorri zmarszczył brwi. – Coś szybkiego.

Wykończeni ruszyliśmy dalej. W niektórych miejscach ziemia była zryta i spękana. Ze szczelin wysuwały się długie języki ognia, strzelające w górę, a powietrze przesycone siarką kłuło w oczy i płuca. Wąwóz rozszerzył się i przeszedł w pylistą dolinę, usianą głazami. Wiatr wyrzeźbił w nich dziwne kształty, niektóre niepokojąco przypominały twarze. Zacząłem słyszeć szepty, najpierw niezrozumiałe, potem coraz wyraźniejsze, gdy zacząłem się wysilać, by pojąć słowa.

– *Oszust, kłamca, tchórz, cudzołożnik, bluźnierca, złodziej, oszust, kłamca, tchórz, cudzołożnik...*

– Snorri, słyszysz to?

Zatrzymał się i poczekał, aż go dopędzę.

– Tak. – Rozejrzał się, wciąż przestraszony. – Głosy. Nazywają mnie mordercą. Bez chwili przerwy.

– I tyle?

– *...bluźnierca, złodziej, oszust, kłamca, tchórz, cudzołożnik...*

– Nie mówią „oszust” i „złodziej”?

Snorri popatrzył na mnie, marszcząc czoło.

– Tylko „morderca”.

Przyłożyłem dłoń do ucha.

– Ach tak, teraz słyszę wyraźniej. – Ja też dostaję „mordercę”.

– ...*tchórz, cudzołożnik, bluźnierca...*

– Bluźnierca? Ja? Ja? – Rozejrzałem się na wszystkie strony, gromiąc wzrokiem skierowane ku mnie kamienne twarze. Każdy głąz w promieniu pięćdziesięciu jardów miał groteskowe cechy, które wyglądałyby na miejscu w gronie gargulców zdobiących wieżę mojego wujecznego dziadka.

– *Gniew: popełniłeś grzech gniewu...* – Głosy z jakichś dwudziestu ust.

– Do kurwy nędzy, przecież się nie gniewam! – wrzasnąłem w odpowiedzi, niepewny, dlaczego to robiłem, ale porwała mnie fala oskarżeń.

– *Nieczystość: popełniłeś grzech nieczystości...*

– Cóż... tak w zasadzie...

– Ja! – Snorri położył mi rękę na ramieniu.

– *Chciwość: popełniłeś grzech chciwości...*

– Ej, no! Każdy popełnił grzech chciwości! No naprawdę, pokażcie mi człowieka...

– Ja! – Snorri potrząsnął mną i obrócił, by spojrzeć mi w twarz.

– Tak. Co? – Zamrugąłem, patrząc na niego.

– *Nieczystość: popełniłeś grzech...*

– Dobra, już dobra! – wrzasnąłem, by zagłuszyć głosy. – Pożądałem. I to nie raz. Przyznam się do wszystkich siedmiu grzechów, tylko się zamknijcie.

– Ja! – Policzek wystarczył, bym ponownie skupił uwagę na wikingu. – Bogowie nie dbają o te rzeczy. To twoje wyznanie wiary. Nonsens, na który uskarżają się wierni.

Słusznie prawił.

– I co z tego?

– Zaświaty są kształtowane przez oczekiwania, ale nas jest tu dwóch i wyznajemy różne wiary. – Puścił mnie. – Byliśmy w królestwie Hel, w którym rządzi ona wszystkim, co martwe. Ale...

– Ale?

– Myślę, że zabłąkaliśmy się do twojego piekła.

– O Boże.

– ...*nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno...* – Głos biskupa Jamesa, pierwszego po moim ojcu, nigdy nie brzmiał w ten sposób, jakby duchowny chciał oskórować mi twarz.

Zaświaty, w których rządziła Hel, bogini Snorriego o dwoistej naturze, były dość okropnym miejscem, ale czułem, że moje piekło, pełne ognia i siarki,

grzeszników i smażących ich diabłów, będzie jeszcze paskudniejsze.

– Zawróćmy. – Odwróciłem się na pięcie i zacząłem cofać się po własnych śladach. – Jak w ogóle udało nam się tu wylądować? Ty jesteś tym wierzącym.

– ...*niewierzący, niewierzący, spalić niewierzącego...*

– Miałem na myśli, że ty wierzysz mocniej.

– ...*wiarołomca, wiarołomca, na męki z wiarołomcą...*

– Ale moja wiara też płonie jasno ku chwale Jezusa! – Zrobiłem znak krzyża, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, nie machając ręką na odwal jak ojciec, ale niespieszonym, dokładnym gestem na wzór biskupa Jamesa.

– Może to nie przez ciebie, Jal. – Snorri znów położył mi rękę na ramieniu, zatrzymując mnie w miejscu. Zerknąłem na niego, a on kiwnął głową, wskazując coś przed nami.

Coś przemknęło między dwoma większymi głazami leżącymi w dolinie. Mignęło mi przed oczyma coś chudego i bladego – coś złego.

– To jest piekło naszego przeciwnika. Zabrał je ze sobą na polowanie. – Snorri miał już w dłoniach topór.

– Ale nikt nie wie, że tu jesteśmy... – Położyłem rękę na kluczu zawieszonym pod kurtką tuż nad moim sercem. Nagle bardzo mi zaciążył. Był ciężki i zimniejszy niż lód. – Martwy Król?

– Być może. – Snorri wyprostował ręce. Jego niebieskie oczy były prawie czarne w martwym świetle i utkwione w skale, za którą zniknął stwór. – Jeśli w jakiś sposób dowiedział się o naszej obecności, może po prostu chce się zemścić za to, że ukrywaliśmy przed nim klucz.

– Jeśli o to chodzi...

Stwór ukradł nam sposobność do dalszej rozmowy. Wyłonił się z cienia u podstawy głazu i zaczął biec ku nam z przerażającą szybkością. Wybijał się do przodu chudymi jak gnaty nogami, a siła każdego wyrzutu rzucała nim w jedną stronę, by przy następnym kroku zarzucić nim w drugą. Biegł więc szarpiącymi ruchami po polu skał, skręcając między nimi, a za jego plecami kamienne twarze krzyczały w przerażeniu. Przypomniały mi się białe nitki, które widać w mięśniach człowieka rozplatanego mieczem. Nerwy, tak je nazywali moi nauczyciele, wskazując na koszmarne rysunki w jakimś antycznym tomie poświęconym anatomii. Stwór wyglądał jak nerw – biały, cienki i długi. Jego ciało rozgałęziało się na kończyny, które z kolei dzieliły się na trzy palce podobne do korzeni. Nie miał oczu, a jego głowa tworzyła klin na tyle ostry, że mógł zagłębić się w człowieku.

– Liczkin. – Snorri zidentyfikował poczwagę i dał trzy kroki do przodu, czekając na właściwy moment, by zamachnąć się toporem. Ryknął, gdy ostrze rozdarło powietrze, jego mięśnie napięły się, dając mu siłę potrzebną do

uderzenia. Liczkin umknął przed ciosem i wyskoczył w górę, łapiąc Snorriego jedną łapą za szyję, a drugą za brzuch. Uniósł wikinga wysoko, po czym cisnął nim o ziemię z obrzydliwym chrzęstem. W powietrze wokół Snorriego wzniosła się chmura pyłu, więc nie widziałem, jak wylądował, ale przy tylu kamieniach pewnie twardo.

– Do diaska. – W końcu przypomniało mi się, że powinienem wyciągnąć miecz. Zaśpiewał, wyskakując z pochwy. Martwe światło zapłonęło w runach pokrywających ostrze. Ręka mi się trzęsła.

Topór Snorriego uniósł się drżąc pośród kłębow pyłu i liczkin chwycił go, zakręcił nim i rąbnął, zatapiając ostrze mniej więcej w tym miejscu, gdzie sądziłem, że była głowa wikinga. Cios był głuchy i ostateczny. Widziałem jedynie rękojeść topora skierowaną w górę, niepodpieraną niczym, bo liczkin puścił ją i sztywnym krokiem ruszył ku mnie. Wokół pył wciąż unosił się jak dym. Ze stwora promieniował terror, jak ciepło z ogniska.

– O kurwa. – Wsadziłem rękę pod kurtę przy szyi i wyciągnąłem klucz Lokiego. – Patrz, możesz go zabrać, tylko pozwól mi...

Liczkin zaszarżował tak szybko, że pomyślałem, że chyba to ja zamarłem w miejscu. W jednej chwili był na skraju chmury pyłu, a w następnej zaciskał jedną łapę na moim gardle, a drugą na nadgarstku ręki, w której trzymałem miecz. Dotyk stwora był niewyobrażalnie ohydny. Jego białe ciało łączyło się z moim, próbując je spoić. Czuję się, jakby niezliczone korzenie zatapiały się we mnie, wkopując się między żyły, a każdy palił mnie bólem niby kwasem, nie zostawiając miejsca nawet na krzyk.

Nie byłem w stanie się ruszyć, bezużyteczny w uścisku liczkin, gdy jego biała klinowata twarz mnie badała. Mogłem tylko błagać o śmierć, ale słowa nie wychodziły poza szczękę zaciśniętą tak mocno, że myślałem, że zaraz popękają mi zęby, wszystkie naraz.

Liczkin przekrzywił łeb, patrząc na klucz Lokiego, który trzymałem poziomo pomiędzy nami w mojej sztywnej, sparaliżowanej ręce.

Za głową stwora dostrzegłem jakiś wielki dymiący obiekt pędzący w naszą stronę. W ostatniej chwili pojąłem, że to Snorri. Kurz unosił się z niego przy każdym dudniącym kroku. Miał puste dłonie, jakby chciał rozerwać potwora gołymi rękami. Liczkin odwrócił się, szybszy niż myśl, i złapał go za ramiona. Mimo że był taki chudy, liczkin zakorzenił się w ziemi i wyhamował cały impet ataku wikinga, robiąc przy tym tylko jeden gwałtowny krok w tył.

Ja wciąż stałem nieruchomo. Miecz Edrisa Deana wypadł mi z dłoni, którą puścił liczkin, ale jeszcze nie uderzył o ziemię. Śledziłem oczami jego lot i zobaczyłem, że cofając się, liczkin nabił się plecami na czarny klucz Lokiego, który zagłębił się na cał w białe ciało.

Mogłem jedynie go obrócić.

Gdy klucz się obrócił, jego czerń zainfekowała alabastrowego liczkina, rozprzestrzeniając po jego ciele hebanowe smugi, które rozwidlały się i rozgałęziały, plamiły i niszczyły. Dopadła mnie grawitacja i upadłem, wyciągając przy tym klucz, ale nawet uderzając o ziemię i wzbijając chmurę pyłu, widziałem, że liczkin zaczął się rozpadać, jakby tysiąc nitek, tysiąc wąskich białych rurek, teraz szarych i gnijących, odpadało od siebie. Jakby cały organizm otworzył się, rozpostarł i zapadł.

– Vermillion! – Ktoś zabębnił w dach powozu, odezwał się szorstki głos gburą, który akurat powoził. Poderwałem się ze wzdrygnięciem, zlany potem.

– Och, dzięki ci, Chryste! – Dreszcz przebiegł mi po plecach. Spojrzałem na swój nadgarstek, oczekując, że wciąż będzie na nim widać parzący ślad po łapie liczkina. Lisa zamruczała przez sen z głową na moich kolanach i twarzą ukrytą pod włosami. Stary ksiądz, ojciec Agor, nieprzychylnie zwęził blade oczy.

– Czy on powiedział Vermillion? – Podniosłem zasłonę i wyjrzałem na zewnątrz, mrużąc oczy od światła. Powóz skocznie mijał przedmieścia Vermillionu. – Nareszcie!

– Dojechaliśmy? – Lisa zamrugowała. Miała odciski na twarzy tam, gdzie się o mnie opierała, a kosmyki włosów przylepiły jej się do kącika ust.

– Dojechaliśmy! – Wyszczrzyłem zęby tak szeroko, że aż mnie zaboląła szczęka.

Lisa chwyciła mnie za rękę i odwzajemniła uśmiech. I nagle wszystko było dobrze na świecie. Przynajmniej dopóki nie przypomniałem sobie o Maeresie Allusie.

Parę minut później wraz z Lisą wysiedliśmy przed gmachem sądu na placu Ghollotha, zaczęliśmy rozciągać zeszytowane członki i rozglądać się wokół z niedowierzaniem.

Ojciec Agor rzucił monetę bagażowemu, który ściągnął jego rzeczy z dachu powozu i ruszył za księdzem z walizą pod każdą pachą. Nasz milczący przyjaciel kupiec odszedł, a za nim chłopiec z mułem taszczącym jego kufer. Ja i Lisa zostaliśmy sami na zatłoczonej ulicy, a powóz odjechał z klekotem do stajni, która zechciałaby go przyjąć.

Podczas podróży na południe ze Snorrim spędziłem dużo czasu, planując mój powrót do Vermillionu i go wyczekując. Podróżując z Lisą, prawie nie poruszałem tego tematu – być może bałem się, że zapeszę, albo nie do końca wierzyłem, że po wszystkich moich przejściach dom będzie czekał na końcu drogi, by nas przyjąć, jakby nic się nie zmieniło. Ale oto był, ruchliwy, upalny, skupiony na własnych sprawach i wcale nieporuszony naszym przyjazdem. Na

placu Adama zebrało się sporo oddziałów wojska, ich zapasy leżały w stertach przy akademii wojskowej.

– Jał, zabierzesz mnie do domu? – Lisa przestała obserwować ulicę i spojrzała na mnie.

– Lepiej nie. Spotkałem twojego najstarszego brata, a on mnie nie polubił. – Lord Gregori chętnie posiekałby mnie osobiście, gdybym nie zasłonił się swoją pozycją księcia i nie podjudził go do namówienia hrabiego Isena, by ten wykonał za niego robotę.

– Mieszkam teraz w pałacu. – Pochyliła głowę i spuściła wzrok na swoje stopy.

– Och. – Zapomniałem. Miała na myśli pokoje w apartamencie Jona Starszego w skrzydle gościnnym pałacu. Te, które dzieliła z mężem. – Nie mogę. Mam do załatwienia coś bardzo ważnego i muszę to zrobić bezzwłocznie.

Znów podniosła wzrok, zawiedziona.

– Zrozum. – Zamachałem rękoma, jakby naprawdę było coś, na co mogłaby spojrzeć, co wyjaśniłoby całą sprawę. – Nie chcesz mnie tam. Nie przy tym, kiedy spotkasz się z Barrasem. W dodatku między placem a pałacową bramą raczej nie spotka cię nic złego.

Utkwiła we mnie te wielkie oczy i nic nie mówiła.

– *Ja* bym cię poślubił, wiesz? – Słowa wyrwały mi się niespodzianie, ale już padły i nie mogłem ich cofnąć. Zawisły więc między nami, niezręczne i niewygodne.

– Nie jesteś stworzony na męża, Jał. – Przekrzywiła głowę z zaskoczeniem wymalowanym na twarzy.

– Ale mógłbym być! – Może bym mógł. – Byłaś... wyjątkowa... Liso. Było między nami coś dobrego.

Uśmiechnęła się i zapragnąłem jej jeszcze bardziej.

– Nie wspinałeś się tylko na mój balkon, Jał. Nawet w obrębie ziem mojego ojca. – Ujęła moje dłonie. – Kobiety też lubią się zabawić, wiesz? Zwłaszcza kobiety z takich rodzin jak moja, które wiedzą, że będą musiały wyjść za mąż dla interesów ojca, a nie z własnego wyboru.

– Twój ojciec z ochotą wydałby jedną ze swoich córek za księcia!

Lisa ścisnęła moje ręce.

– Nasz brat z ochotą tak uczynił.

– Darin. – Jego imię zostawiło niesmak w moich ustach. Starszy brat. Ten, który nie wytaczał się tuż przed świtem po pijaku z burdeli i nie przegrywał cudzych pieniędzy w jaskiniach hazardu. Ten, który nie tkwił po uszy w długach u kryminalistów z przestępczego świata.

Nagle nie mogłem już dłużej znieść jej uprzejmości.

– Zrozum. Mam tę sprawę do załatwienia. Ona nie może czekać. Naprawdę muszę to zrobić. I... – Przetrzęsnałem wewnętrzną kieszeń kurtki. – Potrzebna mi będzie twoja pomoc. – Wyciągnąłem klucz Lokiego, zawinięty w gruby kawałek aksamitu ściągnięty ciasno sznurkiem. – Przechowaj to dla mnie. Nie otwieraj. Pod żadnym pozorem tego nie dotykaj. I nikomu tego nie pokazuj. – Zacisnąłem jej dłoń na paczuszce. – Jeśli do końca dnia nie wrócę do pałacu, oddaj to Czerwonej Królowej i powiedz, że to prezent ode mnie. Możesz to zrobić? To ważne. – Skinęła głową, a ja puściłem jej rękę. I mimo że ten klucz był bez wątpienia najcenniejszą rzeczą w całym królestwie Czerwonej Marchii, przedmiotem, dla którego walczyłem i krwawiłem, a w dodatku dosłownie przeszedłem piekło, by go zatrzymać, nie czułem nawet ukłucia bólu, zostawiając go Lisie DeVeer. Jedynie spokój.

– Przerażasz mnie, Jal.

– Muszę się spotkać z Maeresem Allusem. Jestem mu winien dużo pieniędzy.

– Z Maeresem Allusem? – Lisa zmarszczyła brwi.

Przypomniałem sobie, że większość osób z mojego otoczenia uważała go za kupca, bogatego, ale nic poza tym, a kto by się przejmował zapamiętywaniem imion kupców.

– To niebezpieczny człowiek.

– A zatem... powinienes mu zapłacić. – Chwyła mnie za rękę. – I bądź ostrożny.

Dawna Lisa zaśmiała się i powiedziała, żebym kazał temu Maeresowi poczekać, a jeśli miałby czelność tknąć mnie palcem, żebym wyciągnął miecz i dał mu nauczkę.

Nowa Lisa o wiele lepiej zaznajomiła się już z kwestią mieczy tnących ciało. Nowa Lisa chciała, żebym przełknął dumę i spłacił dług. Kiedyś istniał Jan, który też optowałby za mieczem, ale tamten Jan miał osiem lat, a ja i on staliśmy się sobie obcy już wiele lat temu.

Najpierw zaszedłem do Gildii Kupieckiej, wielkiej kopuły, do której wchodziło się przez jeden z wielu łukowatych otworów w jej obwodzie. W środku na rozległej mozaikowej podłodze kupcy, którzy osiągnęli pewien poziom bogactwa, zbierali się, by zawierać umowy i wymieniać plotki oliwiące koła ich fachu. Na kilku piętrach wokół całej sali handlowej biegły galerie, a z nich drzwi prowadziły do biur, których okna wychodziły na otaczające kopułę miasto.

Najpierw pożyczyłem pieniądze na parterze pod zastaw rodowego imienia i zostawiłem miecz Edrisa Deana jako dodatkowe zabezpieczenie. Bez względu na to, jakie splamiły go bezceństwa, nikt nie mógł zaprzeczyć, że była to

wysokiej jakości stal, antyczna broń przetopiona ze szczątków skarbów Budowniczych. Żaden kowal w dzisiejszych czasach nie miał umiejętności, by stworzyć broń dorównującą mieczowi wytrzymałością. Nie dopytywałem, czy wieści o moim pobycie w więzieniu za długi w Umbertide dotarły do Vermillionu, ale wydawało się to mało prawdopodobne, bo wyszedłem z Gildii z pięćdziesięcioma złotymi koronami.

Mając do dyspozycji takie fundusze oraz resztki libańskich sztabek od Omara, zakupiłem odzienie odpowiednie dla osoby mojego pokroju, a także łańcuch z krwawego złota, pierścień z rubinem i diamentowy kolczyk. Garderobę trzeba było prędko dopasować do mojej sylwetki, zmieniając wymiary klientów, którzy mieli odebrać owe fatałaszki, ale nie żałowałem grosza i wybaczyłem wszystkie niedoróbki.

Żeby pożyczyć dużo pieniędzy, trzeba się odpowiednio prezentować. Król w łachmanach nie dostanie kredytu bez względu na to, jakie zabezpieczenie pożyczki może zaoferować.

Znów bez grosza przy duszy wspiałem się po schodach na galerię, gdzie pracowali najzamożniejsi lichwiarze Vermillionu. Maeres Allus nigdy nie dostałby pozwolenia, by założyć tu biuro, choć posiadał dostatecznie dużo pieniędzy. Tutaj królowały stare fortuny, kupieckie dynastie o dobrej reputacji i silnych powiązaniach z koroną. Zdecydowałem się odwiedzić Silasa Marna, księcia kupców, o którym wujeczny dziadek Garyus od lat miał dobre mniemanie.

Odźwierni poszli przekazać moją prośbę, a Silas był na tyle dobrze wychowany, że nie kazał mi czekać. Przyjął mnie osobiście w swoim gabinecie do rozmów, wyłożonej marmurem salce z żebrowym sklepieniem. Popiersia wielu dawno zmarłych Marnów obserwowały nas ze swych wnęk.

Starzec tak wiekowy, że dosłownie skrzypiał, zgarbiony pod ciężarem swych aksamitnych szat, podniósł się z krzesła, gdy wszedłem. Dałem mu znak, by się nie kłopotał, a on zrezygnował z wysiłku, zanim jeszcze zdołał się w pełni wyprostować.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć tak bez uprzedzenia. – Zająłem miejsce, które mi wskazał, i usiedliśmy naprzeciwko siebie, oddzieleni szerokim lśniącym blatem z mahoniu.

– Nie śmiałybym odmówić księciu tego królestwa, książę Jalandie. – Silas obserwował mnie mętными brązowymi oczyma, niemal nikiącymi w licznych zmarszczkach. Skórę miał chropowatą, z plamami, które pojawiają się wraz ze starością. Uśmiechnąłem się do niego szeroko, a on odwzajemnił uśmiech, choć nieco bardziej powściągliwie. Na jego małej głowie dominowały wielkie uszy i nos zakrzywiony niczym dziób, choć taki los spotykał chyba wszystkich ludzi,

którzy żyli zbyt długo. – Jak mogę ci pomóc, książę?

Popchnąłem po blacie w jego stronę ważną dokumentację. Zmięty pergamin wyglądał tak samo mizernie jak Silas, równie pognieciony i poplamiony, pismo było ledwie widoczne, a woskowa pieczęć popękana.

– Wygląda, jakby przeszedł piekło. – Silas nie uczynił najmniejszego gestu, by go podnieść. – Co to jest?

– Trzyście czterdziestu udziałów w kopalni soli Crptipa.

– Jestem świadom twoich... niepowodzeń w Umbertide, książę Jalandre. Oskarżono cię o bardzo poważne przestępstwa. Mordercy dzieci łatwiej byłoby uzyskać kredyt niż bankrutowi oskarżonemu o wielokrotne oszustwa finansowe. Jestem oczywiście przekonany, że owe zarzuty są bezpodstawne, ale sam fakt ich istnienia stanowi okropną przeszkodę...

– Nie chcę kredytu. Chcę sprzedać swoje udziały. Kopalnia Crptipa ma wielkie pokłady soli i przylega bezpośrednio do kilku największych rynków i portów Rozbitego Imperium. Znajduje się tam infrastruktura niezbędna do zwiększenia produkcji; teraz, gdy odejście Kelema pozwala na wydobycie w miejscach, które od wieków były niedostępne. Urobek z kopalni sprawi, że zmniejszy się import z zagranicy, a sam będzie generował znaczne zyski z każdej tony. Jako dłużnik mam prawo podejmować działania mające na celu zarobienie kwoty potrzebnej do spłacenia moich zobowiązań.

Silas położył zasuszoną dłoń na akcie sprzedaży.

– Widzę, że nieco krwi twojego wujecznego dziadka jednak płynie w twoich żyłach, książę Jalandre.

Wtedy poczułem ukłucie winy

– Czy z nim wszystko w porządku? Mam na myśli... trzy statki...

Starcze oczy zwęziły się nieprzychylnie, suche usta zacisnęły w wąską linię. Kupiec spoglądał na mnie przez chwilę, po czym przywołał na twarz nikły uśmiech.

– Trzeba by czegoś więcej niż trzy statki, by poważnie zaszkodzić twojemu wujowi. Mimo to – mówię to z największym szacunkiem – niedobrze się stało, że je straciłeś.

– Ile mi za to dasz? – Postukałem w stół.

– Bezpośredni. – Uśmiech Silasa poszerzył się. – Być może sądzisz, że człowiek w moim wieku nie ma już czasu, by owijać w bawełnę.

– Złóż mi ofertę. To miejsce jest warte stu tysięcy.

– Jestem świadom jego wartości. Wiele spekulowano na temat tych kopalni. Trzeba będzie jednak wyjaśnić sprawę legalności twoich roszczeń, przy czym dochodzi ryzyko, że książę Umbertide skonfiskuje twoje aktywa z powodu twego wyjazdu bez zezwolenia. Dam ci dziesięć tysięcy. Uznaj to za przysługę

wobec twojej rodziny.

– Daj mi pięć tysięcy i gwarancję, że będę mógł odkupić udziały za dziesięć tysięcy w ciągu miesiąca.

Staruszek przekrzywił głowę, jakby słuchał rady jakiegoś niewidzialnego doradcy.

– Zgoda.

– I muszę wyjść stąd z gotówką w ciągu godziny.

Ta wiadomość zdołała wynieść białe brwi na dość znaczną wysokość.

– Czy człowiek w ogóle da radę udźwignąć pięć tysięcy w złocie?

– Robiłem to już wcześniej. Następnego dnia bolała ręce.

I tak godzinę później wyszedłem, przyciskając do piersi mały, lecz wyjątkowo ciężki kuferek. Pół tuzina starszych podwładnych musiało rozbiec się po Gildii Kupieckiej, prosząc o przysługi na prawo i lewo, ale Silas zdołał zebrać potrzebne monety, a ja wręczyłem mu mój pakiet kontrolny najbogatszej kopalni soli w Rozbitym Królestwie.

Ruszyłem głównymi ulicami, żałując, że nie przyjąłem oferty Silasa, bym wziął z sobą bagażowego, ale jednocześnie zgadzałem się z własną opinią, że nikt nie powinien rezygnować z okazji, by ponieść sobie tyle złota. Przyciągnąłem parę spojrzeń, ale nikt nie był na tyle głupi, by pomyśleć, że niosłem takie bogactwa niestrzeżone, a nawet gdyby ktoś tak pomyślał, nie byłby na tyle nieostrożny, by podjąć próbę rabunku na szerokiej ulicy w sercu miasta. W każdym razie mój nowy strój miał nożyk schowany w wewnętrznej kieszonce przy rękawie, który mogłem prędko wysunąć, by dźgnąć złodziejskie ręce.

Zanim dotarłem do wielkiej rzeźni, oddalonej o jedną trzecią mili od Gildii Kupieckiej, ręce miałem chyba dwukrotnie dłuższe i ulepione z galarety. Zagapiłem się na oszałamiający gmach. Ostatnio byłem w środku wieki temu. Nieco ponad rok, według kalendarza. Ponad dwa tysiące mil pokonanych na piechotę. Kiedyś była tu ubojnia krów na wołowinę dla pałacu, teraz cięto tu ludzkie mięso. Krwawe Doły były jednym z popularniejszych przybytków Maeresa Allusa.

Mięśniaki przy drzwiach wpuściły mnie bez zbędnych pytań. Bogacze przychodzili tu codziennie, by patrzeć, jak umierali biedni, i obstawiać wyniki walk. Starszy z braci Terrifów, Deckmon, rozpoznał mnie, gdy tylko podniósł wzrok znad stolika pieniędzy. Przytknął palec do skóry pod lewym okiem i lekko pociągnął ją w dół, dając mi znak, że odnotował moje przybycie.

Zwyczajowy tłum krążył wokół czterech wielkich dołów, a przyjmujący zakłady mężczyźni siedzieli na ich skraju ze stawkami wypisanymi kredą nad swoimi budkami. Napawałem się chwilę kolorami, zgiełkiem, widokiem

arystokratów, za którymi biegali lizusi, luźnym kręgiem oczekujących i chodzących tu i tam kupców z winem, handlarzy makiem i kobiet wątpliwych obyczajów.

Odór krwi podszywał wszystko jak podwodny prąd. Nie zauważyłem go przez wszystkie spędzone tu lata, gdy obstawiałem wyniki jatek. Zapach przywołał wspomnienia, nie z Krwawych Dołów, lecz z Przełęczы Aralskiej i Czarnej Warowni. Przez chwilę czułem, jak zalewały mnie lodowate wody rzeki Slid i jak obudził się we mnie krwawy berserk.

Podszedłem do Długiego Willa, szkoleniowca i łowcy talentów, chuderlawego mężczyzny ze strzechą siwych włosów.

– Jest Maeres?

Długi Will kiwnął głową w stronę areny Ochrowej. Ze wszystkich czterech wielkich dołów ten był położony najdalej od głównego wejścia. Przepchnąłem się przez tłum. Pot ze mnie spływał, nie tylko z powodu wysiłku związanego z taszczeniem skarbu. Myśl o Maeresie Allusie mroziła mnie, a nogi zaczynały nieomagać równie mocno, co moje trzęsące się ręce. Ale wraz z tym strachem nieoczekiwanie pojawił się gniew, fala gorąca, która kryła się pod przerażeniem i dotrzymywała mi towarzystwa przez całą długą, kłopotliwą jazdę z Marsalii.

Śliczna dziewczyna przeczesła mi palcami włosy, tłusty sprzedawca wina pchnął w moją stronę cynowy puchar. Zerknąłem znacząco na skrzynkę, którą podtrzymywałem obiema dłońmi.

– Książę Jan? – Ktoś mnie rozpoznał, ale nie był pewny.

– Czy to Jan? – Gruby baron z południa. – Niech mnie diabli, jeśli to prawda.

Służący rozstąpili się przede mną, gdy podszedłem do ciasnego skupiska kolorów na skraju areny Ochrowej. Ponad rok. Tysiące mil. Od lodowych pustkowi do rozpalonej pustyni. Przeszedłem przez piekło... i znów byłem tu, gdzie wszystko się zaczęło. Czternaście miesięcy i już mnie nie poznawali, i to w miejscu, w którym spędziłem tak wiele czasu, wydałem tak wiele pieniędzy i rozlałem tak wiele cudzej krwi.

Wokół mnie ludzie zaczęli szeptać. Nawet jeśli tłum nie był pewien mojego imienia, wszyscy znali człowieka, który kroczył pewnie w stronę centrum wydarzeń. Parę ostatnich rzędów ludzi odsunęło się na boki, ludzi, których znałem z widzenia i z imienia, współników Maeresa, kupców, których miał w kieszeni, pomniejszych lordów zabiegających o pożyczki lub o których względy zabiegano dla takiej czy innej korzyści. Taka była natura interesów. Za to dwadzieścia stóp niżej walczyło dwóch mężczyzn i każdy starał się jak mógł, by gołymi pięściami zatłuc przeciwnika.

Dwóch Slovan o wąskich twarzach odsunęło się, a między nimi stał Maeres

Allus, niski, o oliwkowej skórze, w bezpretensjonalnej tunice – gdy się na niego patrzyło, trudno było zgadnąć, że był właścicielem tego miejsca i wielu innych. Na mój widok nie okazał ani zdziwienia, ani zainteresowania.

– Książę Jalandie, zbyt długo cię nie było. – W dole za jego plecami rozległ się ryk triumfu, ale nikt już nie interesował się walką. Wyobraziłem sobie zwycięskiego awanturnika, jak patrzy w górę, oczekując wiwatujących twarzy, ale widzi jedynie drewnianą barierkę i tył czyjejs głowy.

Jorg Ancrath, geniusz, o którym najwyraźniej krążyło wiele przepowiedni, ten niktzemny, zwycięski młodzian, wokół którego obracały się plany mojej babki, młody król, który rozpałił Słońce Budowniczych w Gelleth i kolejne na progu Hamady... dał mi radę, jak poradzić sobie z Maeresem Allusem. Wypowiedział ją w gorącej, pijackiej ciemności hamadańskiej nocy, a teraz, gdy Allus w końcu stał przede mną, owe zapomniane słowa zaczęły wynurzać się jak bąble z czarnych otchłani mej pamięci.

– Przeszedłem w interesach, Maeresie. Może przeszlibyśmy w jakieś bardziej ustronne miejsce. – Wskazałem oczyma zasłonięte kotarami alkowy, gdzie przeprowadzano wszelkiego rodzaju negocjacje związane z Krwawymi Dołami, od cielesnych do handlowych, choć w zasadzie było to jedno i to samo.

Ciemne oczy Maeresa spoczęły na kufierku, który trzymałem w ramionach.

– Myślę, że zbyt często załatwialiśmy sprawy za zamkniętymi drzwiami, książę Jalandie. Rozliczymy się tutaj.

– Maeresie, doprawdy nie wypada, by...

– Tutaj. – Rozkaz. Chciał mnie upokorzyć przy świadkach.

– Naprawdę nie sędzę...

– Tutaj! – Tym razem warknął. Nie przypominałem sobie, by kiedykolwiek wcześniej podnosił głos. Zerknął przez ramię do dołu. – Słaba walka. Wpuścić niedźwiedzia.

Jeśli wcześniej jacyś ludzie w Krwawych Dołach byli tak zajęci własnymi sprawami, że nie gapili się w moją stronę, wzmianka o niedźwiedziu prędko to zmieniała. Tłum zaczął szemrać i jak jeden mąż wszyscy ruszyli w stronę areny Ochrowej, przyciągnięci błaganiami wojownika o litość i szansą, że zobaczą, jak jej nie dostaje.

Maeres nie odwrócił się, by obejrzeć widowisko. Zamiast tego utkwiał wzrok we mnie. Staliśmy tak, a wokół nas ciżba wyła, domagając się krwi. Głosy widzów klóciły się z wrzaskami mężczyzny, a potem z makabrycznym dźwiękiem niedźwiedzia zabierającego się do posiłku.

– Z jaką sprawą przychodzisz, książę Jalandie? – Maeres przekrzywił głowę, prowokując moją odpowiedź. Dwóch jego zakapiorów stanęło po obu moich bokach, twardzi faceci, którzy przeżyli doły i wspięli się na obecne pozycje.

– Przyszedłem uregulować dług, Maeresie. Pożyczyłem pieniądze w dobrej wierze i dałem słowo, że spłacę dług co do grosza. Mój ojciec jest synem Czerwonej Królowej, a ja nie rozdaję obietnic lekką ręką – rzekłem z brawurą. Skoro już miałem wydać tysiące w złocie, niech chociaż nacieszę się tą chwilą. – Przypomnij mi, ile jestem ci winien.

Maeres wyciągnął rękę, a olbrzymi osobnik w czerni podał mu tabliczkę. Wiedziałem, że to był księgowy Maeresa, choć z tymi palcami jak kiełbasy wyglądałby lepiej, siłując się z trollami, niż pomiatając cyferkami.

– Dług wynosi trzy tysiące i jednaście w złotych koronach. – Gapie głośno wciągnęli oddech, może nawet sam budynek zassał nieco swoje ściany, słysząc tę sumę. Wiele osób miało by trudności z wyobrażeniem sobie tylu pieniędzy, a żaden szlachcic nie był na tyle bogaty, by nie zabolęła go utrata takiej ilości złota.

Trzy tysiące to było o wiele więcej, niż pożyczyłem od Maeresa. Nawet po doliczeniu odsetek za wiele miesięcy. Podejrzywałem, że doliczył mi do rachunku koszt wynajęcia pościgu, który za mną wysłał, czyli Albera Marksa, Jaśka Obrzyna i braci ze Slov, którzy mieli po cichu przywieźć mnie z powrotem do miasta i okrutnie uśmiercić. Chrząkając z wysiłku, podparłem kuferek jedną obolałą ręką, a drugą otworzyłem wieko.

– Niech twój człowiek będzie tak łaskawy i odliczy żadaną kwotę. – Dałem krok do przodu, podtykając Maeresowi skrzynkę niemal pod nos, by blask monet padł mu na twarz.

Zabrało to trochę czasu, ale każda porcja nabierana przypominającymi szufle dłońmi księgowego sprawiała, że mój ładunek stawał się lżejszy. Mężczyzna ważył monety na swojej wadze, liczył na głos, po czym wsypywał błyszczący stosik do skórzanego worka. Szybko posłał po dwa kolejne, gdy pojął, że ten, który miał, okaże się za mały, by pomieścić moją spłatę.

– Tysiąc.

Podczas gdy księgowy nabierał i ważył, ważył i nabierał, Maeres patrzył na mnie, a spojrzenie miał mroczne i nieprzeniknione. Szaleństwo, które widziałem w jego oczach tamtego dnia w magazynie pełnym maku, teraz się ukryło.

– Zawsze cieszy mnie spłata długu, ale powiedz mi, co cię skłoniło do zmiany nastawienia? Człowiek tak chętny do pożyczania teraz tak chętnie oddaje?

– Dwa tysiące. – Księgowy zawiązał drugi worek.

Odwzajemniłem spojrzenie. Czyżby Maeres chciał, bym zdradził jego metody? Prowokował mnie? Ten zabójca z nikczemnymi upodobaniami, mordujący wewnątrz murów Vermillionu, jadający tak blisko pałacu, że cienie królewskich wież mogły ocierać się o jego rezydencję, bogatszy niż niejeden

lord, mający własne prawa i serwujący własną sprawiedliwość?

– Spotkałem króla i spytałem go o radę.

– A on ci poradził, byś mi zapłacił?

Pomyślałem o moim spotkaniu z Jorgiem Ancrathem. Gdy opowiedziałem mu o swoim kłopotcie, najpierw zamilkł, a potem odezwał się tak poważnie, jakby nie wypił tamtej nocy ani kropli.

– Powiedział, bym dał ci to, czego chcesz. – Postawiłem kuferek pomiędzy nami i potarłem dłonie.

– Cóż za mądry król.

– Trzy tysiące. – Księgowy zawiązał ostatni worek, po czym znów pochylił się nad skrzynką, by odliczyć ostatnie jedenaście monet.

– Wydajesz się innym człowiekiem, książę Jalandie. Mam nadzieję, że podróże po pozostałościach naszego niegdyś świetnego Imperium nie pozbawiły cię złudzeń.

– Sześć... siedem... osiem. – Księgowy chował monety do kieszeni swego skózanego fartucha.

– Przeszedłem przez piekło, Maeresie.

– Drogi *potrafią* być niebezpieczne. – Pokiwał głową. – Mimo to jestem pewien, że nasz stary książę powróci, taki radosny młody człowiek, taki pewny swej opinii, taki chętny do wydawania.

– Dziewięć... dziesięć...

– Ja również mam taką nadzieję, lecz póki co książę, na którego patrzysz, będzie musiał spełnić swoją rolę. – Pamiętałem, jak się czułem przywiązany do jego stołu – wyraz jego twarzy, gdy oddał mnie w ręce Jaśka Obrzyna – jak krzyczałem i błagałem. Snorri pomylił to z odwagą.

– Jedenaście. – Księgowy wyprostował plecy. Wyglądało na to, że niechętnie zostawiał kufer, w którym złoto wciąż zakrywało dno. – Dług został uregulowany.

– Wspaniale. – Po uśmiechu Maeresa poznałem, że mimo zrzucenia oków długu wciąż trzymał mnie w garści, może nawet bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Przebiegł mnie dreszcz, zimne wyzwanie nurtu Slid, a czerwona gorączka, która poniosła mnie przez najostrzejszą rzekę w piekle, teraz znów zapłonęła, by wypalić chłód. Przypomniałem sobie słowa chłopca-króla.

– Jorg Ancrath powiedział mi: „Daj mu to, czego chce”. – Postąpiłem krok naprzód i pochyliłem się, by podnieść kuferek.

– Jeszcze jedno, książę Jalandie. – Głos Maeresa zatrzymał mnie w miejscu, gdy zgiąłem przed nim plecy. Zimna dłoń ścisnęła mi serce i wiedziałem, że teraz mogłem wybrać już tylko ścieżkę, którą wskazał mi Jorg.

– Przewidział, że tak powiesz. – Wszystko mi się przypomniało. Ciemność,

gorąco, proroctwo Jorga Ancratha: Gdy dasz mu to, czego chce, zażąda więcej. Powie ci: „Jeszcze jedno” I przypomniałem sobie wyraz jego oczu.

– Powiedział: „Daj mu to, czego chce”. – Wyprostowałem się szybko i zręcznie, nie dotykając skrzynki. – „A potem weź to, czego *ty* chcesz”. – Machnąłem nadgarstkiem, ocierając się wierzchem dłoni o szyję Maeresa. Mały trójkątny nóż, wcześniej schowany w rękawie, a teraz wystający spomiędzy moich palców, podciął mu gardło. Prawie tego nie poczułem.

Złapałem go z tyłu za głowę i przytrzymałem, gdy on tryskał szkarłatem i próbował się odezwać. Zrobiłem to, zanim którykolwiek z jego ludzi zorientował się w całym zajściu.

– Jestem wnukiem Czerwonej Królowej – ryknąłem w ciszy, która zapadła wokół. – Maeres Allus jest martwy. Jego życie należało do mnie. Nie ma tu już czego ochraniać. – Gorąca krew przemoczyła mi koszulę, gdy przyciskałem do siebie Allusa. Uniosłem podbródek, gdy jedną ręką sięgnął ze słabym szarpnięciem ku mojej twarzy. – Nie obchodzi mnie, jak podzielicie jego dobytek, ale jeśli ktoś podniesie rękę na mnie, przysięgam na Boga, że ją straci.

Ludzie cofnęli się w osłupieniu, jakby przemoc, którą oglądali każdego dnia w dołach dwadzieścia stóp poniżej swych nóg, była inna, być może udawana, ale męczyzna w dobrze skrojonej tunice, krwawiący tuż przy nich, był zbyt prawdziwy i sprawiał, że bledli i się wzdrygali.

Strażnicy Allusa też się cofnęli. Ich pracodawca był martwy, jego serce zaraz powinno to pojąć. Nie mieli nic do zyskania, gdyby teraz mnie zaatakowali. Dla nich sprawa się skończyła, gdy podciąłem gardło ich szefowi.

Odepchnąłem od siebie Allusa. Zachwiał się, sikając posoką z rany w szyi, i oparł o drewnianą barierkę. Poszedłem za nim i pchnąłem go mocno obiema rękami w pierś. Poleciał do tyłu głową naprzód i wpadł do dołu. Spojrzałem za nim.

– Czy taki duży niedźwiedź ci pasuje? – krzyknąłem tak głośno, by każdy w tłumie mnie usłyszał, choć Maeres nie był już w stanie.

Odwróciłem się i podniosłem swój kuferek. Widziałem, jak niektórzy fagasi Allusa wymykali się różnymi wyjściami. Księgowy trzymał się za zraniony bok, a trzy worki zniknęły. Gdzieś dalej w ciżbie zaczęły wybuchać bójki. Pół tuzina ochroniarzy braci Terrif zbliżało się do mnie ze wszystkich stron.

– On jest trupem! – ryknąłem do nich. – A ja jestem cholernym księciem tego królestwa. Zamierzacie mnie tknąć? – Minałem pierwszego z nich, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. – Tak myślałem! – Szedłem dalej, a gapie rozstępowali się przede mną.

Tuż przed wyjściem spojrzałem do tyłu. Trwało już kilka krwawych starć, a co bogatsze osobistości uciekały z przybytku.

Posłużyłem się swym królewskim krzykiem, by każdy mnie usłyszał.

– Oddziały mojej babki będą palić mak jeszcze przed zmrokiem. Na kapitanów Allusa wystawione zostaną wyroki śmierci. Do rana chcę zobaczyć głowy Albera Marksa i Jaśka Obrzyna zatknięte na włóczniach, a ci, którzy się do tego przyczynią, będą mogli liczyć na pobłażliwość.

Odwrociłem się i wyszedłem głównymi drzwiami wraz z paroma lordami, którzy wcześniej zastanawiali się, kim byłem, a teraz wybiegali co tchu na ulicę, podczas gdy za ich plecami tłoczyło się wielu kolejnych. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem wymamrotane słowa.

– Czerwony Książę. – Spojrzałem na siebie, gdy wyszedłem na światło dnia, i zobaczyłem, że prawie cały zalany byłem szkarłatną krwią Maeresa Allusa.

Uszedłem dwadzieścia kroków i oparłem się czołem o kamienną podpórę ściany rzeźni, chłodną i zacienioną. Raz po raz widziałem przed oczyma, jak mój nóż podcinał gardło Allusowi. Po trzecim razie zwymiotowałem wszystko, co miałem w żołądku. Wtedy w końcu odszedłem, ocierając usta, słaby i roztrzęsiony.

– Daj mu to, czego chce – powiedział Jorg. – Potem weź to, czego ty chcesz. Człowiek jest najbardziej bezbronny w chwili swojego triumfu, a ty wiesz, że cokolwiek byś zrobił, ten człowiek nigdy nie zostawi cię w spokoju, póki sam żyje.

Odszedłem z kuferkiem ciężącym mi w ramionach. Wciąż byłem tchórzem. Nie starym Janem i nie Janem, który rok temu opuścił Vermillion. Może byłem po trochu oboma – wciąż tchórzem, ale gdy spojrzysz się na swoje dawne życie oczami, które widziały piekło, odkrywa się nowe perspektywy i pojmuję, że człowiek, którego za długo się popycha, w końcu pęka.



Udałem się do pałacu. Trzy razy strażnicy miejscy zatrzymali mnie, zaniepokojeni juchą kapiącą z mojego stroju.

– Jestem księżę Jan. Ktoś próbował mnie obrabować. Więcej nie spróbuje. – Trzy razy mówiłem to samo i odchodziłem.

Widziałem więcej żołnierzy niż strażników. Całe oddziały przemieszczały się prędko, rzucając mi jedynie zaciekawione spojrzenia. W końcu dotarłem do Bramy Errika, przez którą do pałacu wjeżdżali bohaterowie, ale podszedłem do bocznej furty tak jak wtedy, gdy wróciłem z Północy. Podkapitan będący na służbie rozpoznał mnie i przepuścił bez problemów, gdy tylko ustalił, że krew nie należała do mnie.

Po drugiej stronie muru czekał pałac, niezmienny, piekący się w późnym vermilionowym lecie.

– Co się dzieje w mieście? – spytałem podkapitana, gdy przeszedłem za mur.
– Wszędzie są żołnierze. – Podobnie wyglądało, zanim wyruszyliśmy ku granicy ze Scorrone. Wtedy wojna trwała w najlepsze i na ulicach nie było aż tylu wojsk.

– To kampania przeciwko Slov, mój księżę.

– Z jakiego powodu? – Niezbyt interesowała mnie polityka, ale byłem pewien, że Slov nawet nie szczytnęło Czerwonej Marchii za czasów mojego życia. Coś mi świtało, że połowa tamtejszej rodziny królewskiej była honorowymi gośćmi Marchii, zakładnikami zapewniającymi dobre zachowanie obecnego reżimu, ale nie miałem pojęcia, do jakiego stopnia obecni władcy Slov mieliby się przejmować ludźmi, których nie widzieli od dziesięcioleci. – Co zrobili?

Mężczyzna zmarszczył brew, jakby w ten sposób był w stanie wymyślić odpowiedź.

– Są wrogami, sir.

– Z definicji, skoro ich atakujemy. Ale dlaczego są wrogami? – Znowu pojawiła się zmarszczka, ale tym razem przeszła w uśmiech, gdy podkapitan przypomniał sobie ważny fakt, który mu umykał.

– Przez ukrywanie podejrzanej osoby.
– Kogo?
– Nie wiem, księżę Jalandre.
– Możecie odejść, podkapitanie.
– Ale mój księżę. Mamy obowiązek odeskortować...
– Zdołałem tu dotrzeć z afrykańskiej pustyni, podkapitanie. Myślę, że dam radę pokonać ostatnie trzysta jardów we własnym domu bez żadnych nieszczęśliwych wypadków.

Dwieście dziewięćdziesiąt jardów poszło całkiem gładko. Zbliżałem się już do frontowych schodów Rzymskiego Pawilonu, gdy napotkałem przeszkodę.

– Jalandre? Chryste! – Gniewny ryk za moimi plecami. – To *naprawdę* ty! Gdzieś ty się, do cholery, szwendał, ty zbankrutowana mała gnido?

Zatrzymałem się. Mój starszy brat Martus. Człowiek, którego nie musiałem znosić od czasu audiencji w sali tronowej tamtego dnia, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Snorriego. Obróciłem się powoli i znalazłem się w cieniu górującego nade mną Martusa.

– Zabijałem ludzi, bracie. – Spojrzałem mu prosto w oczy.

Przez chwilę przyswajał moje słowa, potem przez kolejną przyswajał szkarłatne plamy na moim ubraniu, przez następną dodawał dwa do dwóch, po czym w końcu gwałtownie się odsunął.

– Dobry Boże...

– A wszystkie moje długi zostały spłacone. – Odwróciłem się od niego i wszedłem do domu.

Trochę minąłem się z prawdą, ale przyprowadzając o ból rąk ciężar złota w kuferku pozwoli mi spłacić różnych winiarzy, krawców i właścicieli sprośnych przybytków, którzy wciąż mieli w rękach moje noty kredytowe. Dobrze będzie pozbyć się tego ciężaru.

Nie powiem, by Rzymski Pawilon wyglądał na mały, bo w porównaniu z miejscami, w których ostatnio kładłem głowę, był olbrzymi, ale wydawał się mniejszy niż w moich wspomnieniach. Gruby Ned i młody Dubler stali na straży przy głównym wejściu. Ned zbladł, gdy się zbliżyłem, i zaczął drzeć tak mocno, że luźne fałdy skóry zatrzęsły mu się wokół starych kości.

– To księżę Jalandre, Nedzie. – Dubler dał starszemu mężczyźnie kuksańca, ciemnymi oczyma dostrzegając więcej niż krzepnąca na mnie krew. Skłonił się i obrzucił mnie baczny spojrzeniem zza kurtyny czarnych loków, które opadły mu na twarz.

Zaszczyciłem ich krótkim skinieniem głowy i minąłem, a Gruby Ned wciąż się na mnie gapił.

Kilkoro służących uciekło z holu wejściowego, wrzeszcząc wniebogłosy, ale

Ballessa twardo stała w miejscu, a na jej twarzy malowały się po równo troska i brak aprobaty.

– Tym razem nie mam żadnych małych wieśniaków na posyłki, którymi trzeba by się zająć, Ballesso. Wystarczy mi czyste ubranie.

Ballessa zmarszczyła brwi na wspomnienie krótkiego pobytu Hennana w pałacu, po czym kiwnęła głową, obróciła swe stateczne ciało i odeszła korytarzem, by nakazać przygotowanie kąpieli i przynieść komplet odpowiednich ubrań z mojej garderoby.

Zmyłem z siebie krew, która zabarwiła wodę na różowo. Resztki Maeresa Allusa wirowały rozcieńczone i splukane, a spod nich wyłonił się Jan Kendeth, czysty i bez zmazy. Z premedytacją zabiłem człowieka, zrobiłem to z zimną krwią, a przynajmniej tak zimną, jak mogła być ludzka krew w podobnym momencie. Zabiłem straszliwego skurwysyna, to prawda, ale nie wydawało się to dobre ani właściwe. W żadnym wypadku nie czułem się bohaterem. Kazałem przynieść więcej wody i znów się umyłem, choć woda jest w stanie zmyć jedynie widoczne plamy.

Ubrania, które przyniosła mi Ballessa, wciąż na mnie pasowały. Spowily mnie, wygodne, znajome i bogate, jak druga skóra, która uzupełniła moje przebranie – stanąłem przed lustrem, a z niego spojrział na mnie zaskoczony książę Jan. Wyglądałem w każdym calu jak ja, ale każdy cal czuł się jak oszust. Każdy krok mojej podróży zabierał mnie dalej od domu, nieważne, w jakim kierunku szedłem, a teraz, stojąc w domu ojca, byłem od niego dalej niż kiedykolwiek.

Już miałem się odwrócić, gdy w ostatnim momencie dojrzałem błysk błękitu, który znów przyciągnął mój wzrok do lustra. Spojrzałem w nie, obserwując za swoją sylwetką pokój, drzwi, okna i cienie. Coś się poruszyło, niemal niedostrzegalnie. Byłem tego pewien. Chciałem natychmiast się odwrócić i sprawdzić, czy nikt za mną nie stoi. Zamiast tego tkwiłem nieruchomo, obserwując odbicie pokoju, szukając niebieskości jak łowca tropiący zwierzynę.

W końcu odwróciłem lustro do ściany, a potem zrobiłem to samo z trzema kolejnymi, które wisiały w moich pokojach. Nie zapomniałem o Błękitnej Damie, miałem jednak nadzieję, że ona zapomni o mnie, choć było to mało prawdopodobne. Ona i Babka wciąż toczyły swoją wojnę, a gdy Czerwona Królowa zmiążdży czarownicę, najgłośniejszy okrzyk radości wydam właśnie ja. Błękitna Dama miała na rękach krew mojego pradziada, i choć była to zbrodnia, o której mógłbym zapomnieć, krwi mojej nienarodzonej siostry i Tuttugu, mojego przyjaciela, nie dało się zmyć. Część mnie, nawet nie taka mała, ta, która wciąż płonęła wspomnieniem odebrania Maeresowi Allusowi jego nikkzemnego żywota, chciała, bym to ja wbił nóż w Błękitną Damę, a

potem go obrócił.

Godzinę później wyszedłem z Rzymskiego Pawilonu czysty i odświeżony, z dawnym szerokim uśmiechem i w moich starych ubraniach. Pewnie mało się różniłem od Jalana, który wymykał się z willi DeVeerów o brzasku tamtego dnia zakończonym wieczorem w operze, który wydarzył się wieki temu.

Wychodząc ze swego starego domu, miałem dziwne przeczucie, że ktoś mnie obserwuje. Nie z adoracją lub ciekawością, jakiej mógłby oczekiwać powracający bohater. Czułem na karku coś jakby pełzanie, jakbym był obiektem uważnego i chłodnego nadzoru. Napełniło mnie to znacznym niepokojem, więc przyspieszyłem kroku i rażno przemierzyłem dziedziniec.

Poszedłem do pałacu. Nie do głównych drzwi siedziby Babki, lecz do skrzydła gościnnego, po schodach do apartamentu Jona Starszego. Strażnicy na parterze poinformowali mnie, że Barras wciąż zajmował te pokoje, pewnie w charakterze kwatery głównej do poszukiwań swej zagubionej żony.

Pukając do drzwi, stwierdziłem, że moje serce waliło głośniejszym niż w Krwawych Dołach, gdy dotarło do mnie, że muszę popełnić morderstwo.

– Dobry wieczór, panie. – Niski odźwierny o nienagannym wyglądzie uklonił mi się. – Czy mogę spytać o pańską godność?

– Jalań? – Głos Lisy rozległ się gdzieś dalej za przedsionkiem do przyjmowania gości. Przybiegła, podtrzymując spódnice na biodrach, by się nie potknąć. Za nią niemal równie szybko spieszył Barras, blady i z podkrążonymi oczami.

– Jalań... – Lisa prawie rzuciła mi się w ramiona. Powstrzymała się w ostatniej chwili, przyciskając dłonie do twarzy, jakbym wciąż był zachlapany posoką jak wtedy, gdy przybyłem do pałacu. – Czy wszystko... – Spojrzała mi w twarz tak badawczo, że pomyślałem, że zmieniłem się bardziej, niż mi się wydawało.

– Jalań! – Barras bez podobnego wahania padł mi w ramiona, nie udając wcale, że to był męski uścisk – Jalań! Dziękuję ci, Jalań! Dziękuję!

– Spokojnie! – Poczekaliśmy, aż nieco rozluźni uścisk, i wyslizgnąłem mu się. – Zła wiadomość jest taka, że jesteś mi teraz dłużny dwa wielbłądy... – Złapałem pełne oburzenia spojrzenie Lisy. – Trzy! Trzy wielbłądy. I to porządne!

– Stary dobry Jalań! – Barras roześmiał się, uderzając mnie w ramię.

– Nie, naprawdę. Ja nie żar...

– Dziękuję ci! – I wrócił do ściskania mnie.

Gdy w końcu się wyplątałem, wyglądało na to, że dobry moment, by upomnieć się o wielbłądy, minął. Barras stał, przeczesując strzechę krótkich brązowych włosów, i w radosnym oszołomieniu patrzył to na mnie, to na Lisę.

– Musimy to uczcić... uczcią!

– Zbyt długo byłem w drodze, by teraz odmówić uczty. – Uniosłem rękę, by

nie dać mu dojść do słowa. – Ale teraz mam pilne spotkanie z naszą monarchinią. – Spojrzałem na Lisę, piękną w swych pudrach i klejnotach, choć w dziczy podobała mi się równie mocno. – Czy masz tę paczuszkę, którą dałem ci na przechowanie?

Barras wyglądał na zaskoczonego i zaczął szybciej przenosić wzrok ze mnie na swą żonę i z powrotem. Lisa kiwnęła głową i wyciągnęła owinięty w aksamit klucz z jakiejś kieszeni, przemyślnie ukrytej w spódnicach sukni. Podała mi go bez cienia wątpliwości, co wiele dla mnie znaczyło. Myślę, że to nie był klucz, który można by po prostu dać komuś, kto nie jest twoim przyjacielem, bez choćby odrobiny żalu.

– Dziękuję. – Naprawdę byłem wdzięczny. – Podgrzewajcie jedzenie, zanim do was dołączę. – Klepnąłem Barrasa po ramieniu. Trudno mi było dalej go nienawidzić. – Przyjdę później, jeśli będę jeszcze w stanie chodzić, gdy Czerwona Królowa ze mną skończy.

– Co zrobiłeś?

Ale ja już wychodziłem.

– Do zobaczenia!

Babka nie udzielała audiencji, gdy dotarłem do wielkich drzwi jej pałacu. Dwóch lordów, Grast i Gren, czekało na schodach wraz z mocarnym ciemnowłosym rycerzem z imponującymi wąsiskami – sir Roger, pomyślałem. Wszyscy trzej posłali mi ponure spojrzenia. Nie sądzę, by mnie po znali, ale waśniłem się ze starszym bratem lorda Grasta, księciem, więc zignorowałem całe trio i wspiałem się po schodach bez słowa.

Przed drzwiami królowej stał ten sam olbrzym z pióropuszem, który pozwolił mi wejść do pałacu po moim powrocie z Północy. A może to był jego kuzyn. Skłonił mi się i rzekł, że dopilnuje, by ma prośba o audiencję dotarła do uszu Babki.

Usiadłem w cieniu jednej z wielkich kolumn portyku i czekałem, patrząc, jak elitarni strażnicy zlewali się potem w swych zbrojach z ognistego brązu na zalanych słońcem schodach. Dziedziniec przed nami był szeroki i pusty, tak pusty jak moja przyszłość. Nie byłem nawet pewien, co przyniesie najbliższy wieczór. Czy naprawdę byłem w stanie oglądać ponowne połączenie się Barrasa i Lisy? Przez chwilę myślałem o odwiedzeniu ojca, ale Ballessa poinformowała mnie, że kardynał leżał w łóżku już od tygodnia. Powiedziała, że chory. Podejrzywałem, że pewnie z przepicia.

Drzwi za moimi plecami trzasnęły. Obróciłem się i zobaczyłem wuja Herteta odpychającego strażnika na bok, choć mężczyzna już zdążył szybko się odsunąć. Lordowie Grast i Gren natychmiast podeszli do wuja, jako do następcy tronu, czy też – jak go powszechnie nazywano – niewątpliwego

następcy tronu, gdy ten gniewnie kroczył w stronę schodów.

– Gdyby to nie była moja matka... – Hertel walnął pięścią w otwartą dłoń. Mogłoby to wyglądać groźnie, gdyby wuj nie był średniej budowy brzuchatym jegomościem po pięćdziesiątce, z siwą czupryną. Byłem pewien, że jego matka wciąż byłaby w stanie przełożyć go przez kolano i złoić mu dupsko, że aż miło. Albo powalić go na ziemię ciosem, po którym pomieszałoby mu się w głowie, a w ustach zostało tylko kilka zębów. – To miasto potrzebuje króla, a nie cholernego namiestnika. W dodatku potrzebuje króla, który w nim zostanie i będzie wypełniał swoje obowiązki wobec mieszkańców, a nie wymknie się na jakąś dziką wyprawę. Nastaly trudne czasy, chłopcy, trudne czasy. Królowa, która zostawia tron pusty w trudnych czasach, w zasadzie abdykuje... – Wuj dostrzegł mnie wygodnie rozpartego w cieniu. – Ty! Jeden z chłopaków Reymonda? – Wyciągnął palec z pierścieniem w moją stronę, jakby oskarżał mnie o bycie synem jego brata.

– Ja...

– Martus? Darin? Do diabła, nie potrafię was rozróżnić. Wszyscy tacy sami, a żaden nie wygląda jak ojciec. – Hertel minął mnie, na flankach mając dwóch lordów. Sir Roger deptał mu po piętach. – No, ale czego Reymond oczekiwał, orząc takie zagraniczne pole? Na pewno nie był jedynym oraczem. – Jego głos niósł się po dziedzińcu, gdy odchodził, cichnąc wraz ze zwiększającym się między nami dystansem. – Taką już mają naturę te induskie dziewczęta...

Prędko skoczyłem na nogi bez świadomego udziału mózgu w podjęciu tej decyzji. Ręka już znalazła rękojęść noża.

Fala gniewnych słów wzbierających w obronie honoru matki nie zdążyła jeszcze popłynąć z mych ust, bo wciąż walczyły ze sobą, by ustawić się w sensownym szyku.

– Książę Jalenie.

Podniosłem wzrok. Nadmiernie wyrośnięty strażnik górował nade mną.

– Królowa teraz cię przyjmie.

Wykrzywiłem się w stronę oddalających się pleców Herteta i jego koleżków – tak, że w sprawiedliwym świecie zapaliliby się jak pochodnie – i otrzepałem odzienie. Czerwonej Królowej nie kazało się czekać.

Czterech strażników zaprowadziło mnie do pustej sali tronowej, ponurej, mimo że światło dnia wpadało przez wysokie okna, tworząc cienie ich krat. Wokół podestu płonęły lampy, a Babka siedziała rozparta na najwyższym krześle w Czerwonej Marchii. Dwie jej doradczynie stały nieco dalej w cieniu, Marth – szeroka i solidna, Willow – cienka jak trzcina i skwaśniała. Ani śladu Milczącej Siostry.

– Zmieniłeś się, Wnuku. – Uwaga Babki potrafiła przykuć człowieka do

podłogi. Czułem, jak jej ciężar osiada na mych barkach. Mimo to zdołałem się zdziwić, że uznała nasze pokrewieństwo. – Chłopiec, który stąd wyjechał, nie powrócił. Gdzie go zgubiłeś?

– W jakiejś przydrożnej gospodzie, Wasza Wysokość. – Prawdziwa odpowiedź brzmiała „w piekle”, ale absolutnie nie chciałem o tym rozmawiać.

– I chciałbyś złożyć jakiś raport, Jalandre? Jestem pewna, że nie poprosiłeś o audiencję u królowej bez dobrej przyczyny. Twoi północni przyjaciele wymknęli się moim żołnierzom. Być może znów ich spotkałeś podczas swojej podróży?

Zerknąłem w lewo i w prawo, wypatrując Milczącej Siostry. Czy Babka już dokładnie wiedziała, co mi się przytrafiło od opuszczenia miasta? Czy moja milcząca cioteczna babka ujawniła me losy w postaci przepowiedni, jeszcze zanim kolejne mijające dni zmieniły się w moją osobistą historię?

– Odnalazłem ich. Odzyskałem klucz. Przywiozłem go z powrotem do Vermillionu.

Czerwona Królowa podniosła się z tronu z zaskakującą szybkością jak na tak starą kobietę. Stojąc na podeście, z kolcami kołnierza rozpościerającymi się jak wachlarz nad jej głową, górowała nade mną. Nawet gdybyśmy stali oko w oko na naszych stopach w pończochach, przewyższałaby mnie, a niewiele osób mogło to o sobie powiedzieć.

– Dobrze się spisałeś, Jalandre. – Jej usta nie były stworzone do uśmiechu, ale pokazała mi zęby w czymś, co nieco go przypominało. Zeszła z podwyższenia i podeszła do mnie w trzech krokach. – W rzeczy samej bardzo dobrze.

Zauważyłem w powietrzu między nami jej dłoń, wyciągniętą i otwartą. Tę samą dłoń widziałem w moich snach o Ameroth, zaciśniętą na rękojeści szkarłatnego miecza.

– Ja... hm... nie mam go teraz. – Cofnąłem się szybko o krok, a nagle po szyi zaczęły mi spływać strugi potu.

– Co? – Nigdy wcześniej nie słyszałem tak krótkiego i zimnego słowa.

– Ja... nie...

– Zostawiłeś go gdzieś? – Uniosła brwi na zaskakującą wysokość. – Nie ma na tyle bezpiecznego miejsca... – Rozejrzała się i machnęła na strażników stojących pod ścianami z dłońmi na rękojeściach mieczy. – Prędko, wy wszyscy. Pójdziecie do Rzymskiego Pawilonu i przyprowadzicie księcia Jalandra z powrotem, gdy już...

– Dałem go wujecznemu dziadkowi Garyusowi – powiedziałem. – Wasza Wysokość.

Babka uniosła ramiona z otwartymi dłońmi ku górze i *wszyscy* ludzie w sali tronowej zamarli, strażnicy w połowie drogi do mnie.

– Co? – Przysięgam, że potrafiłaby zadźgać tym słowem człowieka na śmierć. Zaciśnąłem zęby i zebrałem się na odwagę.

– Dałem go wujecznemu dziadkowi.

– Dlaczego. – Złapała mnie za kurtkę, ściskając dwie garście materiału nieco poniżej moich ramion. – Mi to. – Przyciągnęła mnie bliżej. O wiele za blisko. – Robisz?

Staliśmy teraz oko w oko. Co dziwne – *i niepokojące* – ta sama czerwona fala, która wezbrała we mnie, gdy stałem przed Maeresem Allusem w Krwawych Dołach, zalała mnie znowu, wykrzywiając mi usta w gniewnym grymasie.

– Straciłem jego statki. Przehulałem je. – Mówiłem zbyt głośno. Bez „waszej wysokości”. Bez przeprosin. – Byłem mu to winien.

Od Lisy i Barrasa poszedłem do wschodniej wieży nad Pałacem Pauperów i wspiąłem się po długich schodach. Opowiedziałem staruszkowi o mojej porażce i siedziałem ze spuszczoną głową, oczekując jego osądu. Zamiast się złościć, podciągnął się z trudem na swoich poduszkach.

– Słyszałem, że masz kopalnię soli.

– Mogę wykupić kopalnię Crtipa od Silasa Marna za dziesięć tysięcy koron w zlocie. Nie mam już długów i posiadam dwa tysiące.

– A zatem ktoś, kto da ci jeszcze osiem tysięcy, może dobrze na tym wyjść?

– Tak.

Opuściłem pokój na wieży z notą na osiem tysięcy i umową, że Garyus stanie się właścicielem dwóch trzecich kopalni. Gdy wychodziłem, położyłem w nogach jego łóżka czarną aksamitną paczuszkę.

– To klucz Lokiego, wujeczny dziadku Garyusie. Nie dotykaj go. Jest zrobiony z kłamstw.

Potem wyszedłem, choć wołał, bym wrócił. Zbiegłem po schodach szybciej, niż zrobiłby to rozsądny człowiek, czując coś nowego, a przynajmniej coś, czego nie czułem już od bardzo dawna. Czułem się dobrze.

– Płacę za porażki! – Czerwona Królowa popchnęła mnie, a ja zachwiałem się do tyłu, gdy podeszła bliżej. – Masz zobowiązania wobec tronu! Twoje długi to nie moja sprawa. – Teraz ryczała, była otwarcie wściekła.

Mój własny gniew wyrwał mi się z gardła, zanim zdołałem go okiełznać.

– To ja spłacałem *twoje* długi, Babko! – Przestałem się cofać. – Dałem klucz Garyusowi. Ty zabrałaś mu tron. A *ty*. – Wskazałem bez patrzenia miejsce, w którym stała Milcząca Siostra. Teraz ją wyczuwałem, jakby była igłą w moim ciele. – Ty zabrałaś jego siłę. Ja dałem mu coś, czego żadna z was nie może mu zabrać. Możecie go poprosić o klucz, a on może wam go oddać, bo kocha ten kraj i jego mieszkańców, ale nie możecie same go zabrać. Kiedy się wsadza kalekę do pokoju w wysokiej wieży, przekaz jest dość jasny. Sto siedem stopni

to nie zaproszenie, by człowiek dołączył do świata! Więc ja umieściłem go w jego centrum. – Odetchnąłem i opuściłem ramiona. Gniew wyparował ze mnie szybciej, niż się pojawił.

Czerwona Królowa górowała nade mną, wciągając powietrze, by znów zaryczeć. Ale tego nie zrobiła. Jej rysy zmiękły, chociaż tylko odrobinę.

– Idź – rzekła. – Porozmawiamy o tym innym razem. – Odprawiła mnie machnięciem dłoni, a ja odwróciłem się w stronę drzwi, próbując nie zerwać się do biegu.

Zobaczyłem Milczącą Siostrę w miejscu, które wskazałem wcześniej. Szmaty, skóra i błyszczące oczy. Nie potrafiłem stwierdzić, co myślała o całej sprawie. Pozostawała równie niepojęta jak algebra.



Po powrocie do Rzymskiego Pawilonu zastałem tam Martusa w paskudnym nastroju. Tylko czekał, żeby się na kogoś rzucić.

– Tu jesteś. Gdzieś ty zniknął? – Wychynał z przedpokoju przylegającego do sali wejściowej.

– Załatwiałem sprawy z...

– Nieważne. Dobrze, że pozbyłeś się tych zakrwawionych ubrań. Masz szczęście, że nie pomylili cię z ghulem i nie postrzelili.

– Z ghulem?

– Tak, z cholernym ghulem. Nie masz pojęcia, co się tu dzieje? Gdzieś ty się, u diabła, podziewał? Pod jakimś kamieniem?

– Cóż, przez jakiś czas. Ale ostatnio w Marsalii, na Wyspach Korsarzy, na pustyni w Libie i w piekle. Więc co się tu dzieje?

– Złe rzeczy. Ot co! Babka wysłała Armię Południa do Slov na jakąś nieprzemyślaną kampanię. Nawet nie dba o Slov – chce dopaść pewną cholerną wiedźmę. Twierdzi, że tamtejsi książęta ją ukrywają. Cała armia! Po jedną babę... A najgorsze, że ja mam rozkaz zostać tutaj.

– Tak, to faktycznie najgorsze. – Zrobiłem ruch, by odejść. Miałem pusty brzuch i naszło mnie nagłe pragnienie, by wrzucić doń coś pysznego.

– Ten cholerny Gregori DeVeer. – Martus wyciągnął rękę i złapał mnie za ramię, udaremniając mi ucieczkę. – Jego armia piechurków już się zbiera, by służyć jako awangarda. Gregori wróci jako cholerny bohater. Już ja to wiem. Przez lata będzie odgrywał całą kampanię przy stole w oficerskiej mesie. Ułoży winogronka w rzędzie: „Slovianie trzymali wzgórze”. Wypchnie do przodu wisienki: „Nasza kolumna piechoty z Czerwonej Marchii zaatakowała od zachodu...”. Do diabła. A ta starucha zostawia mnie tu, żebym niańczył miasto.

– Cóż. Byłoby miło, gdybyś dał radę utrzymać je w jednym kawałku. – Podrapałem się po brzuchu. – Ale czy potrzeba do tego... ilu was jest?

– Dwa tysiące.

– Dwa tysiące! – Straciłem jego rękę z ramienia. – Przed czym niby macie nas chronić? Przecież to Vermillion! Nikt nas nie napadnie.

– Przecież już ci powiedziałem, idioto!

– Nic nie powiedzia... zaraz, przed ghulami?

– Ghulami, szarpłachami, umarlakami. Widujemy je wszystkie w mieście już od paru miesięcy. Strażnicy sobie z nimi radzą, ale ludzie zrobili się nerwowi. Są przerażeni nawet teraz, gdy Armia Południa zbiera się na ulicach.

– Cóż... pewnie lepiej dmuchać na zimne. Będzie mi się lepiej spało w czyimś łóżu, skoro wiem, że ty patrolujesz mury, bracie. – I z tymi słowy odwróciłem się i odszedłem na tyle gwałtownie, by nie zdołała mnie więcej chwycić żadna czepliwa ręka.

Choć bardzo pragnąłem zostawić sprawy państwowe ludziom, którzy naprawdę się liczyli, nie mogłem przestać myśleć o narzekaniach Martusa. Nie płakałem z żalu po straconych szansach na zdobycie chwały, ale martwił mnie fakt, że Babka wyruszała na czele armii na dość samowolną wojnę właśnie wtedy, gdy w Vermillionie zaczęły się pokazywać dowody istnienia niebezpieczeństw, przed którymi od lat nas ostrzegała. Pytania bez odpowiedzi powiodły mnie znów po schodach do pokoju Garyusa. Wątpiłem, by Czerwona Królowa zechciała porozmawiać ze mną otwarcie, zwłaszcza po naszym ostatnim spotkaniu. I szczerze mówiąc, nie znałem nikogo innego w Czerwonej Marchii, kto mógłby mieć zarówno informacje, jak i chęć, by się nimi ze mną podzielić.

Staruszek był tam, gdzie go zostawiłem, zgarbiony nad książką.

– Książki! – Wparowałem do pokoju. – Nikt jeszcze nie umieścił w nich nic ciekawego.

– Jalenie. – Garyus odłożył na bok winny zanudzania przedmiot.

– Wyjaśnij mi tę aferę ze Slov. – Nie było sensu owijać w bawełnę. Chciałem uspokoić myśli, żebym mógł wyjść i się upić w dobrym towarzystwie. – Babka zaczyna wojnę... żeby osiągnąć co? I dlaczego teraz?

Garyus uśmiechnął się krzywo.

– Nie jestem niańką mojej siostry.

– Ale wiesz.

Wzruszył ramionami.

– Trochę wiem.

– W mieście pojawiają się ghule. I inne... stwory. Martwy Król patrzy w naszą stronę. Dlaczego miałyby rwać się do walki z cudzoziemcami setki mil stąd?

– Dlaczego Martwy Król patrzy w naszą stronę? – zapytał Garyus.

Nie chciałem przyznać, że przeze mnie, więc nic nie powiedziałem. Chociaż w zasadzie z opowieści Martusa wynikało, że trupy zaczęły krążyć po mieście już jakiś czas temu, a ja przecież dopiero wróciłem.

– Błękitna Dama kieruje Martwym Królem. – Garyus odpowiedział za mnie.

– Ale dlaczego...

– Alica mówi, że kończy nam się czas, i to prędko. Uważa, że kłopoty w Vermillionie mają rozproszyć jej uwagę i zatrzymać w stolicy. Prawdziwe niebezpieczeństwo nastanie, jeśli nie powstrzymamy Błękitnej Damy. Koło Osheim wciąż się obraca... nie wiadomo, ile czasu nam jeszcze zostało, ale jeśli nikt nie zajmie się Błękitną Damą, a ona będzie dalej popychała Koło, wtedy nasze ostatnie dni przelecą nam przez palce tak szybko, że nawet takie stare grzyby jak ja będą musiały się martwić.

– A więc to naprawdę cała armia, cała wojna, by zabić jedną kobietę?

– Czasami tak właśnie się dzieje...

Do komnat ojca również udałem się, sam nie wiedząc po co. Za pretekst mogłem uznać chęć zdobycia więcej informacji o wojnie jego matki, ale Czerwona Królowa prędzej zwierzyłaby się ze swych planów dworskiemu błaznowi – gdyby takiego miała – niż Reymondowi Kendethowi.

Zapukałem do jego sypialni i otworzyła mi pokojówka. Nie zauważyłem która. Mój wzrok przyciągnęła postać leżąca na łóżku, skulona w mroku. Sylwetkę dało się poznać jedynie dzięki fragmentom oświetlonych przez promyki słońca, które znalazły luki między zasłonami.

Pokojówka wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Stałem, znów czując się jak dziecko i nie znajdując słów. Pokój pachniał skwaśniałym winem, stęchlizną zaniedbania, chorobą i smutkiem.

– Ojcze.

Uniósł głowę. Wyglądał staro. Łysiejący, z poszarzałą skórą, ciałem zapadniętym na kościach i niezdrowym błyskiem w oczach.

– Mój synu.

Kardynał do wszystkich mówił „mój synu”. Przypomniałem sobie setkę przykurzonych kazań – wszystkie chwile, gdy potrzebowałem ojca, a nie księdza, wszystkie chwile po śmierci Matki, gdy potrzebowałem mężczyzny, którego ona w nim widziała, bo choć ich małżeństwo zostało zaaranżowane, Matka nie oddałaby się człowiekowi, do którego nie żywiła szacunku i nie czuła upodobania.

– Mój synu? – powtórzył grubym głosem. Znowu pijany.

Zapomniałem o powodzie, dla którego tu przyszedłem, i odwróciłem się, by odejść.

– Jalenie.

Odwróciłem się z powrotem do ojca.

– A jednak mnie poznałeś.

Uśmiechnął się słabo, wyglądało to trochę jak grymas.

– Tak. Ale zmieniłeś się, chłopcze. Dorosłeś. Przez chwilę myślałem, że to twój brat... ale nie byłem pewien który. Masz w sobie trochę z ich obu.

– Cóż, jeśli zamierzasz tylko mnie obrażać... – Tak naprawdę wiedziałem, że to był komplement, przynajmniej jeśli chodziło o część Darina. A może część Martusa też. Martus przynajmniej był odważny, jeśli nic poza tym.

– My... – Ojciec zakaszlał i chwycił się za pierś. – Byłem okropnym...

– Ojcem?

– Chciałem powiedzieć, że kardynałem. Ale ojcem też. Nie mam żadnego usprawiedliwienia, Jalandre. Zdradziłem w ten sposób twoją matkę. Moja słabość... świat pędzi do przodu tak prędko, a najłatwiejsze ścieżki są... najłatwiejsze. – Opadł na pościel.

– Jesteś pijany. – Choć tak naprawdę nie powinienem używać akurat tego argumentu przeciwko komukolwiek. Nigdy nie rozmawialiśmy w ten sposób. Był bardzo pijany. – Powinieneś się przespać. – Nie chciałem jego ckliwych przeprosin, których nie będzie pamiętał następnego dnia. Nie potrafiłem spojrzeć na niego bez poczucia niesmaku, choć częściowo był to jedynie strach, że patrzyłem w lustro i widziałem siebie jako starego człowieka. Chciałem... chciałem, żeby wszystko potoczyło się inaczej... ujrzałem go teraz z perspektywy śmierci Matki. Snorri zrobił to dla mnie – pokazał mi, że cierpienie męża może powalić nawet najsilniejszego mężczyznę. Żałowałem, że mi to pokazał. Łatwo było nienawidzić Ojca, zrozumienie go tylko mnie smuciło.

– Powinniśmy... spędzić razem trochę czasu, porozmawiać, porobić te... – Kolejny atak kaszlu. – Rzeczy, które powinniśmy robić. Moja matka... cóż, znasz ją, nie była dobra w te klocki. Zawsze powtarzałem sobie, że ja będę lepszym rodzicem. Ale kiedy Nia umarła...

– Jesteś pijany – powtórzyłem, czując, że ściska mnie w gardle. Podszedłem do drzwi i otworzyłem je. Jednak nie potrafiłem po prostu wyjść, słowa nie chciały wyjść ze mną, musiałem je zostawić w tym pokoju. – Kiedy wyzdrowiejesz. Wtedy porozmawiamy. Porządnie się razem upijemy. Jak kardynał z synem.

Dwa dni później Czerwona Królowa wyprowadziła Armię Południa z Vermillionu. Kolumny w sile dziesięciu tysięcy żołnierzy pomaszerowały szerokimi alejami z Piatzo w kierunku Bramy Zwycięstwa. Babka jechała po męsku na ogromnym rdzawym ogierze. Miała gotycki napierśnik z emalią tak szkarłatną, jakby dopiero co zanurzono go we krwi. Widziałem, jak Czerwona Królowa zdobyła swe miano, i nie miałem wątpliwości, że wkrótce przywdzieje bardziej praktyczną zbroję i będzie gotowa unurzać ją w prawdziwej posoce, jeśli będzie trzeba. Nie zwracała uwagi na tłum, utkwiała już wzrok w

nadchodzących dniach. Włosy, przypominające rdzę i żelazo, miała związane pod złotą obręczą korony. Nie widziałem jeszcze straszniejszej kobiety, a spotkałem już w życiu parę herszt-bab.

Za królową jechały resztki naszej niegdyś świetnej kawalerii, zostawiając za sobą tony łańna, po którym musieli potem deptać piechurzy. Zaczynij, jak chcesz kontynuować, tak powiadają.

Stałem między Martusem a Darinem, który wrócił ze swojego miłosnego gniazdka na wsi. Przywiózł Michę z powrotem do Rzymskiego Pawilonu, najwyraźniej wraz z dzieckiem, chociaż widziałem tylko koszyk na srebrnych łańcuchach, wyładowany koronkami. Darin wciąż groził, że przedstawi mnie mojej nowej bratanicy, ale póki co udało mi się uniknąć tego spotkania. Nie mam słabości do dzieci. Mają w zwyczaju mnie obrzygiwać, a jak to im nie wyjdzie, wypróżniają się z drugiej strony.

– Hurra... parada... – Jesienne słońce prażyło, gdy wiwatowaliśmy i machaliśmy z podwyższenia dla rodziny królewskiej. Ciżbie, która obserwowała przemarsz wojsk, rozdano jaskrawe chorągiewki w kolorach Południa, wiele osób powiewało też flagami Czerwonej Marchii, podzielonymi w skos. Pole czerwone na górze symbolizowało krew przelaną za marchię, a pole czarne na dole oznaczało serca naszych wrogów. Martus opłakiwał stan kawalerii i to, że musiał pozostać w mieście. Darin zauważył, że zima w Slov może być paskudna, i wyraził nadzieję, że oddziały będą stosownie wyposażone, by jej sprostać.

– Za miesiąc będą z powrotem, głupku. – Martus spojrzał pogardliwie na nas obu, jakbym i ja miał coś wspólnego z sugestią Darina.

– Doświadczenie uczy, że wojska często zostają zmuszone do utkwienia w miejscu, bez względu na pogodę – powiedział Darin.

– Doświadczenie? A jakie ty masz doświadczenie, braciszku? – Szyderczy grymas Martusa w pełnej krasie.

– Z historii – odparł Darin. – Możesz to znaleźć w książkach.

– Ba. Wszystko, czego uczy nas historia, to to, że nie uczymy się na błędach.

Pozwoliłem, by przerzucali się argumentami bez mojego udziału, i zapatrzyłem się na przechodzących żołnierzy piechoty z włóczyniami na ramionach i z tarczami w rękach.

Weterani czy nie, zaledwie garstka mężczyzn wyglądała na starszych od Martusa, a niektórzy wyglądali na młodszych ode mnie.

Dziesięć tysięcy żołnierzy wydawało się małą siłą, by wyzwąć potężne Slov, ale trzeba przyznać, że armia porządnie wyszkolonych, dobrze wyposażonych zawodowców jak ci z Południowej potrafi przegnać z pola walki pięciokrotnie liczniejsze oddziały wieśniaków z poboru. Biorąc pod uwagę cel Babki, dziesięć

tysięcy powinno wystarczyć na atak, zabezpieczenie wybranej strefy i bezpieczne wycofanie się do obronnych granic, gdy już wojska przyniosą klęskę Błękitnej Damie.

Życzyłem im wiele radości podczas wykonywania misji. Jednak mój priorytet się nie zmienił. Pogoń za wyciecznikiem – z definicji ospały rodzaj pogoni. Chciałem odpocząć w Vermillionie dzięki mej nowo odnalezionej finansowej niezależności, wolny od wiszącej nade mną groźby Maeresa Allusa i tych wszystkich męczących długów.

– Książę Jalandre. – Jeden z elitarnych strażników Babki podszedł do mnie, błyszcząc irytująco. – Namiestnik cię wzywa.

– Namiestnik? – Spojrzałem na Martusa i Darina, którzy przesadnie wzruszyli ramionami, równie ciekawi odpowiedzi co ja.

Strażnik wskazał na Bramę Zwycięstwa i uniósł palec. Na murze bezpośrednio nad bramą znajdował się ozdobny palankin z zasłonami. Dwie czwórki mężczyzn dźwigały go, trzymając za drążki po obu stronach, a całość ochraniali strażnicy. Strażnicy Babki.

– Kto...

Ale posłaniec już odszedł. Zdławiłem ciekawość i pospieszyłem za nim. Przepchnęliśmy się przez tłum do jednej z kilku kondygnacji schodów prowadzących do wnętrza miejskich murów. Po wspięciu się na szczyt podeszliśmy do palankinu i zostałem zagoniony do środka po zdradliwie wąskim fragmencie przejścia niezajmowanym przez lektykę namiestnika. Zbliżyłem się do zasłon i wsunąłem do palankinu, nie czekając na zaproszenie.

Zgiąłem plecy, by nie podrapać głowy o sufit, i wcisnąłem się na siedzenie naprzeciwko namiestnika. Garyus nie mógł spoczywać na siedzisku. Zamiast tego zaległ na rampie z poduszek.

– Co, u diabła? Babka zrobiła z ciebie regenta?

Zmarszczył twarz w uśmiechu.

– Myślisz, że się nie nadaję, Jalandre?

– Nie no, to znaczy, tak, oczywiście...

– Cóż za donośne wotum zaufania! – zachichotał. – Najwyraźniej „ukradła mi tron”, więc odzyskałem go na parę miesięcy.

– Przecież nigdy nie powiedziałem... No dobrze, może i powiedziałem, ale nie miałem na myśli... To znaczy, miałem... – W tej małej skrzynce panował przytłaczający zaduch i pot zaczął opuszczać moje ciało w takim tempie, że wystraszyłem się, że wyschnę i umrę. – To był twój tron.

– Zdrada, Jalandre. Więcej nie przywołuj tych słów na usta. – Garyus znów się uśmiechnął. – To prawda, że choć byliśmy tak złączeni, to ja pierwszy zobaczyłem świat. Ale już dawno temu pogodziłem się z nowym porządkiem

rzeczy. Przyznaję, że bolało mnie to, gdy byłem chłopcem. Mamy wielkie marzenia i trudno z nich zrezygnować. Chciałem, by ojciec był ze mnie dumny, by przestał zwracać uwagę... – Podniósł powykręcane ramię. – Na to. – Mrugnął i opuścił rękę. – Ale moja młodsza siostra jest niezrównaną królową. Historia zapamięta jej imię. Obecnie dokładnie takiego władcy nam potrzeba. Król-kupiec lepiej by się sprawdził w czasach pokoju, ale te nie były nam dane. – Odrobinię odsunął zasłonę palankinu. Pod nami wojskowa дума Czerwonej Marchii szła szereg za szeregiem, błyszcząca i wspaniała, a chorągwie powiewały nad nią na wietrze. – Co prowadzi nas do powodu, dla którego cię tu zaprosiłem. – Sięgnął do koszyka stojącego z boku i coś z niego wygrzebał. Wyciągnął przedmiot, a ten upadł mu na podłogę.

Schyliłem się, by go podnieść.

– Wiadomość? – Ująłem etui na zwój, hebanowe i grawerowane srebrem, a także opatrzone królewskimi pieczęciami.

– Wiadomość. – Garyus pochylił głowę. – Zostałeś mianowany Marszałkiem Vermillionu.

– Do chuja z tym! – Moja kolej na upuszczenie etui, jak gdyby poparzyło mi dłoń. – ...wasza namiestnikowość.

– „Wysokość” to poprawna forma, jeśli namiestnik pochodzi ze szlacheckiego rodu, skoro chcemy rozmawiać formalnie, Jalenie.

– Do chuja z tym, Wasza Wysokość. – Usiadłem, zrobiłem wydech i otarłem pot z czoła. – Słuchaj, wiem, że chciałeś dobrze i tak dalej. To miło, że chciałeś coś dla mnie zrobić w podziękę za klucz, ale naprawdę, co ja wiem o obronie miast? To żołnierska rzecz, muszą być dziesiątki ludzi, którzy lepiej się nadają...

– Myślę, że setki – powiedział Garyus nieco zbyt entuzjastycznie jak na mój gust. – Ale od kiedy to w monarchii chodzi o nagradzanie indywidualnych zdolności? Nepotyzm – oto nasza mantra.

Miał rację. Ciągłość rządów Kendethów opierała się na ostrożnie skonstruowanym kłamstwie, że z natury rządzenie przychodziło nam lepiej niż innym kandydatom, a także na wmawianiu ludziom, że sam Bóg chciał, by tak było.

– To miły gest, ale naprawdę wołałbym nie. – Marszałkowanie brzmiało jak coś, w co trzeba było zainwestować o wiele więcej pracy niż moje maksimum, które wynosiło zero. W planach miałem głównie wino, kobiety i śpiew. A w zasadzie śpiew nie był mi potrzebny. – Wcale się do tego nie nadaję.

Garyus posłał mi krzywy uśmiech i spojrzał na jasny fragment świata na zewnątrz, widoczny między zasłonami.

– Ja się nie nadaję na namiestnika, prawda? Mam rządzić Vermillionem – a w sumie całą Czerwoną Marchią – ale z ukrycia, by nie zdemoralizować wojsk

moim fizycznym wybrakowaniem. Ale oto jestem namiestnikiem z rozkazu twojej Babki. Nawiasem mówiąc, twoja nominacja również pochodzi od niej. Nie jestem tak okrutny, by odseparowywać cię od twoich złych nawyków, Jalande.

– Babka? Mianowała mnie marszałkiem? – Gdy widziałem ją po raz ostatni, była tak blisko nakazu mojej egzekucji, że kat pewnie już ostrzył topór na osetce.

– Tak zrobiła. – Garyus pokiwał swą przyciężką głową. – Dostałbyś mundur, wiesz? I zostałbyś zwierzchnikiem swojego brata Martusa.

– Wchodzę w to!



Mundur, jak się okazało, był przechodnią oznaką urzędu – starą szarfą z żółtego jedwabiu, ze znaczną liczbą plam, które niepokojąco przypominały krew. W ciągu kilku następnych dni zdołałem docenić okrucieństwo babcinej zemsty. Po początkowej radości, gdy poinformowałem Martusa, że był teraz moim podkomendnym, przyszła pora na niekończące się oficjalne obowiązki. Musiałem przeprowadzać inspekcje straży murów, użerać się z inżynierami i słuchać ich męczących opinii o tym, co trzeba naprawić, a co zburzyć, i rozstrzygać spory między strażą miejską a nowo przybyłymi żołnierzami piechoty mojego brata.

Kazałbym im wszystkim iść się powiesić, ale mój asystent kapitan Renprow okazał się bardzo nieustępliwy. Był jednym z tych nisko urodzonych, lecz pełnych zapału ludzi, którzy „wybili się dzięki swoim zaletom”. System potrzebował ich, by działać, lecz należało ich bacznie obserwować. W dodatku ciągle wieści o szarpilachach i ghulach w dzielnicy biedoty działały jak dodatkowy bodziec. Jeśli istnieje jakakolwiek rzecz, która mogłaby mnie zmusić do przepracowania solidnie połowy dnia, to będzie nią przekonanie, że owa praca zwiększy moje własne bezpieczeństwo.

– Renprow, co to są szarpilachy? – Odchyliłem się na krześle, kładąc stopy w wypucowanych butach na mym lśniącym marszałkowskim biurku.

Renprow, niski mężczyzna o ciemnej skórze i z krótkimi ciemnymi włosami, zmarszczył brwi, rzucając mi spojrzenie, które niewygodnie przywodziło mi na myśl Snorriego.

– Nie wiesz? Przekazałem ci tuzin raportów... byłeś obecny na wczorajszym spotkaniu dotyczącym strategii i...

– Oczywiście, że wiem. Chciałem tylko poznać twoje zdanie na ich temat, Renprow. Nie daj się prosić.

– Cóż. – Zacisnął usta. – To pewien rodzaj złośliwego ducha. Ludzie opisują je jako miniaturowe tornada, które porywają szmaty i wzniesają pył. Tornada są pełne ostrzy, które są w stanie oskórować człowieka, a gdy wiatr cichnie, ofiara

jest opętana i biega po mieście w morderczym szale, dopóki ktoś jej nie zabije. – Wydał policzek i popukał w niego dwoma palcami. – To mniej więcej tyle.

– A te incydenty ograniczają się do Vermillionu?

– Mieliśmy raporty ze wszystkich stron, ale wygląda na to, że w mieście mają o wiele większą częstotliwość. Być może dlatego, że populacja jest tu o wiele większa. – Przerwał. – Klan mojego ojca też je zna. Tylko nazywa je śmigłowymi diabłami i tam są prawdziwą rzadkością. – Przodkowie Renprowa wywodzili się z dalekiego południa Liby, przez co znał on zaskakująco wiele ciekawostek.

– A zatem. – Zamaszystym gestem zdjąłem nogi z biurka i rozejrzałem się po pokoju. Plebania marszałka była przestronnym budynkiem, który był niezamieszany od tak długiego czasu, że większość mebli zdecydowała się odejść. – Czy na tym kończymy dzisiejszą pracę? – Słońce minęło swój zenit, a ja miałem w planach wizytę u ognistowłosej, słodkiej dziewczyny o imieniu Lola, Lulu, czy jakoś tak.

Usta Renprowa zadrgały w przelotnym uśmiechu, jak gdybym próbował opowiedzieć dowcip.

– Masz umówioną wizytę u menonitów z apijskich przedmieść. Opierają się pomysłowi przeprowadzenia ekshumacji na ich cmentarzach. Potem...

– Wciąż mamy w ziemi jakieś trupy? – Wstałem tak gwałtownie, że przewróciłem krzesło. – Poślij tam straż, niech się tym zajmą! – Widziałem, co się działo, kiedy martwi zaczęli się wygrzebywać ze swoich dołeków. – Albo lepiej poślij tam żołnierzy Martusa. Chcę, żeby spalili wszystkie ciała. Natychmiast! A jeśli będą musieli naprodukować więcej trupów, żeby osiągnąć cel... to trudno. Tylko niech je też potem spalą. – Zadrżałem na wspomnienie rzeczy, które chciałem pogrzebać w pamięci – na przykład martwych z Vermillionu, którzy nie byli pogrzebani dość głęboko.

Renprow chwycił ciężki rejestr z półki koło drzwi i podniósł do piersi jak tarczę.

– Menonici w najlepszych chwilach zachowują się raczej krnąbrnie. Do tego są liczni. Ich sekta czci przodków do dziewiątego pokolenia wstecz. Lepiej by było spróbować negocjacji.

I w ten sposób miałem stracić popołudnie, tak jak i trzy poprzednie. Uśmiechając się i odgrywając rolę przed wieśniakami, bandą niewdzięczników, która powinna w pośpiechu potykać się o własne nogi, by spełnić me rozkazy. Westchnąłem i wstałem. Lepiej trochę się przymilać do żywych, niż potem zmagać się z martwymi. Żywi może i brzydko pachną i wygłaszają irytujące opinie, ale martwi śmierdzą jeszcze gorzej i uważają, że jesteśmy dla nich jedzeniem.

– W porządku. Ale jak nie będą chcieli słuchać, pošę tam żołnierzy. – Mimo panującego upału zadrzałem, myśląc o zbierających się w gromady trupach, cierpliwych, cichych, oczekujących... aż Martwy Król obudzi w nich głód.

– Jalandie! – Drzwi otworzyły się gwałtownie bez pukania i stanął w nich Darin, blady i poważny.

– Mój drogi bracie. A jaki ty masz plan, by rozjaśnić mój dzień? Może jakieś wybijające ścieki potrzebują mojej uwagi?

– Ojciec nie żyje.

– Och, ty kłamco. – Ojciec wcale nie umarł. Nie mógł zrobić podobnej rzeczy. Zdjąłem pelerynę z wieszaka. Dzień za oknem wydawał się szary i nudny.

– Jalandie. – Darin podszedł do mnie, wyciągając rękę, by położyć mi ją na ramieniu.

– Bzdura. – Odtrąciłem jego ramię. – Muszę iść na spotkanie z menonitami. – W żołądku osiadła mi lodowata gula i zapiekły mnie oczy. To nie miało sensu. Po pierwsze ojciec nie był martwy, a po drugie nawet go nie lubiłem. Minałem Darina, kierując się w stronę drzwi.

– On umarł, Jalandie. – Dłoń Darina opadła mi na ramię, gdy przechodziłem obok niego, więc zatrzymałem się prawie przy drzwiach, zwrócony do brata plecami. Na chwilę przed oczyma miałem inny obraz niż plac przed budynkiem i dachy poza nim. Zobaczyłem młodego ojca, stojącego obok Matki. Schylał się z uśmiechem, wyciągając ręce, by mnie złapać, gdy biegłem w ich stronę.

– Nie. – Z absolutnie niewytłumaczalnego powodu słowo utknęło mi w gardle, usta zadrzały, a oczy wypełniły się łzami.

– Tak. – Darin obrócił mnie i objął. Tylko na chwilę, ale wystarczająco długą, bym zdołał wcisnąć tę głupotę z powrotem tam, skąd przyszła. Darin puścił mnie i z ręką na moich ramionach pokierował mnie na zewnątrz.

Kardynał umarł samotnie w swojej sypialni. Na szerokim łóżu wyglądał na drobnego, zapadnięty i postarzały ponad swoje lata. Jeśli przed śmiercią pił, pokojówki usunęły dowody i oporządziły ciało ojca.

Ojciec podupadł na zdrowiu po wyprawie do Rzymu. Nagana od papieżycy była bez wątpienia rzeczą, którą trzeba było wziąć sobie do serca, a z powrotem do Vermillionu wraz z Reymondem Kendethem i wielkim brzemieniem wstydu przyjechał sługus papieżycy, arcybiskup Larrin, którego jedynym zajęciem było pilnowanie, by ojciec wykonywał za niego jego pracę. Niektórzy ludzie w późniejszym wieku zaczynają prosperować, inni czują, że świat wokół nich się zawęży, i nie widzą celu na drodze przed sobą. Pierwsza przygoda z makiem daje człowiekowi poczucie świetności i wspaniałości, coś, co próbuje odtworzyć, sięgając ponownie po żywicę. Na końcu musi jednak palić, by znów

poczuć się jak człowiek. Dla wielu z nas tak właśnie wygląda życie – parę krótkich lat złotej młodości, gdy wszystko smakuje słodko, każde doświadczenie jest nowe i naładowane znaczeniem. Potem następuje żmudna harówka aż do śmierci, kolejne, kończące się niepowodzeniem próby odtworzenia tego uczucia, które mieliśmy w wieku siedemnastu lat, a świat kładł się nam u stóp.

Pogrzeb odbył się trzy dni później. Ciało ojca przez ten czas pozostawało pod strażą, a najbardziej świętoszkowaci przedstawiciele Kościoła przechodzili rzędem obok niego, by oddać hołd urzędowi, jeśli nie osobie, która go sprawowała. Zebraliśmy się na Czarnym Dziedzińcu, okazałym prostokątnym placu między Pałacem Juliana a basztą marsalską. Na co dzień trenowano tu konie, ale zgodnie z tradycją był on przeznaczony na zgromadzenie się przy trumnie przed powolną procesją na cmentarz lub do kościoła, w zależności od pozycji zmarłego. Dziś pod pochmurnym, wietrznym niebem miała się odbyć kremacja. Rozszczepione polana palisandru i magnolii, wybrane dla zapachu, zostały ułożone w stos wyższy od człowieka na koniu. Trumna ojca leżała na szczycie drewnianej góry, wypolerowana, lśniąca, grawerowana srebrem, z ciężkim srebrnym krzyżem na pokrywie.

Na ceremonię przybył cały pałac. Ojciec był najmłodszym synem Czerwonej Królowej, najwyższym kapłanem w państwie. Przygotowano kilka rzędów siedzisk dla rodziny królewskiej. Palankin Garyusa został ustawiony najwyżej, rząd niżej siedzieliśmy Martus, Darin i ja, a jeszcze niżej posadzono cały rząd naszych kuzynów. Starszy brat ojca, wuj Parrus, nie przyjechał ze swego majątku na wschodzie. Wiadomość nie miała szans do niego dotrzeć, a wuj i tak nie zdołałby na czas powrócić do Vermillionu. Poza tym, skoro Babka atakowała właśnie Slov, najwyższy lord na wschodzie nie powinien porzucić swojego zamku, stojącego przy granicy.

Na mnie czekały pilne raporty – incydenty w zewnętrznej strefie miasta – ale nie mogłem pożałować Ojcu tego, co mu się należało. Po śmierci Matki nigdy nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Powinienem być to naprawić. Człowiek zawsze myśli, że ma czas. Odkłada sprawy na później. A potem nagle zupełnie nie ma już czasu.

– Idzie. – Darin, siedzący z mojej lewej strony, kiwnął głową w stronę dziedzińca. Spod Łuku Adama wysypała się gromada szlachciców, radośnie rozgadana, mimo ponurych czarnych i szarych strojów.

– Babki nie ma zaledwie od dziesięciu dni, a on już się szarogęsi. – Martus, siedzący obok Darina.

Wuj Hertet, najstarszy brat ojca, rzucił mi się w oczy w centrum tego tłumu,

nie z powodu swego wzrostu – który był raczej niski – lecz ze względu na jaskrawą koszulę z żółtego i zielonego jedwabiu, która wystawała ze sporej szpary między połami żałobnej szaty, mocno rozciągniętej, by pomieścić okazały brzuch. Jego świta kroczyła przed nim, ten udawany dwór, który wuj utrzymywał dla wprawy, zanim miał nadejść czas, by mógł objąć tron. Patrząc na niego, wydawało się, że uznał, że jego matka zniknęła na dobre – nie udała się na wojskową kampanię, lecz do grobu.

Synowie Herteta, Johnath i Roland, odłączyli się od grupy, by usiąść w najniższym rzędzie wraz z pozostałymi kuzynami oraz lordami i baronami. Ich ojciec, pocąc się w swej kreacji mimo chłodnego wietrzyku, poczłapał ciężko po drewnianych stopniach do najwyższego rzędu, gdzie wepchnął się obok palankinu Garyusa. Niewątpliwy następca żadnym ukłonem ani gestem nie dał po sobie poznać, że zauważył obecność swego wuja, oprócz tego, że musiał siedzieć ściśnięty obok zasłoniętej lektyki.

– Szybciej no z tym. – Hertet podniósł głos za naszymi plecami. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak przeczesywał ręką wilgotne kosmyki siwych włosów, przyklepując je do czoła. Z obwisłymi policzkami i przekrwionymi oczyma wyglądał na lepszego kandydata pod kosę ponurego żniwiarza niż mój ojciec kiedykolwiek w swoim życiu. – Zawsze musiałem wysiadywać na tych cholernych mszach Reymonda. Niech nie marnuje już więcej naszego czasu.

Arcybiskup na dziedzińcu, widząc machającego Herteta, zaczął czytać na głos ustęp z olbrzymiej Biblii, którą trzymali dla niego otwartą dwaj chórzyci.

– Ten stos to jedna wielka bzdura. – Hertet dalej gderał za moimi plecami. – Mam rano lepsze rzeczy do roboty niż siedzenie i wachanie, jak Reymond się przypieka. Trzeba go było wsadzić do krypty razem z resztą Kendethów.

Nasze rodowe nazwisko dziedziczyliśmy po monarsze, więc wszyscy byliśmy Kendethami, mimo że trzech synów Babki miało trzech różnych ojców. Zawsze byłem dumny z tego nazwiska, choć fakt, że dzieliłem je z Hertetem, trochę spaskudził mi tę dumę, gdy tak siedziałem na swoim miejscu. Miałem nadzieję, że jego poglądy na kremowanie zmarłych nie wyjdą poza pałac. Dostatecznie trudno było przekonać mieszkańców Vermillionu do ekshumowania i palenia swoich zmarłych bez Herteta Kendetha oznajmującego, że to głupota.

Po jakimś czasie łacina i kłamstwa dobiegły końca. Arcybiskup Larrin zamknął wielką Biblię z głuchym dźwiękiem, który poniósł się echem po Czarnym Dziedzińcu, a jego ostateczność przeszła mnie dreszczem. Pieczęć Ojca wisiała na szyi arcybiskupa, łapiąc światło. Pomniejszy ksiądz podał Larrinowi płonąca żagiew, a on zgodnie z planem cisnął ją na podpałkę, spiętrzoną u stóp stosu. Płomienie strzeliły, urosły, trzasnęły, pojęły, jak huczeć,

i zaczęły pożerać polana nad sobą. Na szczęście wiatr wiał z południa i poniósł dym z dala od nas. Szare kłęby popłynęły nad basztą marsalską, ponad pałacowymi murami i dalej nad miastem.

– Ballessa powiedziała coś dziwnego. – Darin utkwiał wzrok w płomieniach i łatwo było sobie wyobrazić, że w ogóle się nie odezwał. – Powiedziała, że przechodziła obok komnat Ojca tego popołudnia, gdy umarł, i że słyszała, jak wołał coś o diable... i jego córce.

– Ojciec nie ma żadnej córki – odezwał się Martus z takim rodzajem stanowczości, która gwarantowała, że jeśli odnalazłaby się jakaś bękarcia córka, prędko popadłaby znów w zapomnienie.

– Córka? – Też zapatrzyłem się w ogień. Ballessa nie popuszczała wodzy fantazji. Ze świecą by szukać kobiety równie twardo stąpającej po ziemi co zarządczyni Rzymskiego Pawilonu. – Po prostu był pijany i wykrzykiwał jakieś bzdury. Był wcięty, kiedy się z nim widziałem parę dni wcześniej.

Darin spojrzał na mnie, marszcząc brwi.

– Ojciec nie pił od tygodni, bracie, od kiedy wrócił z Rzymu. Pokojówki powiedziały mi, że to prawda. Nie da się niczego ukryć przed ludźmi, którzy po tobie sprzątaj.

– Ja... – Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Ojciec powiedział mi to. Żałował, że nie był lepszym ojcem. Teraz ja żałowałem, że nie byłem lepszym synem.

– Julia była z nim na samym końcu – rzekł Darin.

– Przecież umarł samotnie! Tak mi powiedziano! – Spojrzałem na brata, ale on wciąż patrzył na stos.

– Kardynał nie powinien umrzeć sam na sam z kucharką, Jal – parsknął Martus.

– Mimo to była z nim – powiedział Darin. – Osobiście przyniosła mu rosół. Była jego kucharką dłużej, niż którykolwiek z nas był jego synem.

– I co powiedziała Julia?

– Że gasł cicho i myślała, że zasnął. Potem zobaczyła, jaki był blady i nieruchomy, więc uznała, że zmarł. Ale on ją zaskoczył. Na końcu stał się agresywny, szarpał się i próbował wstać, próbował coś rzec, ale nie mógł wydać z siebie dźwięku. – Darin oderwał wzrok od płonącego stosu i spojrzał ponad dymem na błękitne niebo. – Powiedziała, że wydawał się opętany. Jak inny człowiek. Mówiła, że spojrzał na nią i w tym momencie sięgnął po swoją pieczęć leżącą przy łóżku, a gdy jej dotknął, znów opadł na poduszki. Martwy.

Ani ja, ani Martus nie mieliśmy na to odpowiedzi. Staliśmy w milczeniu, słuchając trzasków płomieni. Wiatr postrzępił kłęby dymu i przez chwilę ujrzaliśmy w nich kształty, jeden przechodzący w drugi, niemal chwytającą coś

rękę, prawie twarz, prawie czaszkę... wszystkie obrazy były niepokojące.

Dopiero po półgodzinie trumna z głuchym trzaskiem zapadła się, rozrzucając płonące bierwiona. Wiry iskier wzbiły się ku niebu. Czuliśmy gorąc nawet w wyższych rzędach, barwił nam twarze na czerwono. Arcybiskup dał znak i pałacową flagę opuszczono na znak rozpoczęcia żałoby. Mogliśmy się rozejść.

– Cóż, i po sprawie. – Hertet dźwignął się i tupiąc, zszedł na dziedziniec. Inni podążyli jego śladem. Niektórzy zwlekali. Kuzynka Serah odwróciła się do mnie i moich braci, by przekazać swoje kondolencje z powodu śmierci wuja Reymonda. Rotus uściśnął nam dłonie. Micha DeVeer czekała na Darina na skraju dziedzińca w swej czarnej sukni. Przy niej stała mamka z moją bratanicą, różową i pulchną w żałobnym wdzianku. Barras i Lisa ofiarowali mi miłe słowa, ale te spłynęły po mnie. I w końcu zostali tylko trzech bracia i być może pusty palankin w rzędzie za nami.

– Zamierzam się dziś upić. – Darin wstał. – Nigdy nie widzieliśmy ojca z najlepszej strony. Może nasi synowie nigdy nie zobaczą naszej. Zmówię za niego modlitwę, a potem się napiję.

– Pójdę z tobą. – Martus też się podniósł. – Wzniosę toast, by wuj Hertet się przekreślił, zanim Babka zrezygnuje z tronu. Chryste, już bym wołał, żeby kuzynka Serah dostała koronę, a nie ten stary cap. – Klepnął się dłońmi po ramionach. – Dołącz do nas, Jalandie. Przynajmniej picie dobrze ci idzie. – I zaczął schodzić z podwyższenia.

– Namiestniku. – Darin skłonił się przed palankinem, położył mi dłoń na ramieniu, po czym podążył za Martusem.

– Jak wyglądamy w kwestii obrony? – Zza zasłony dobiegł mnie głos Garyusa.

– Zachodni mur się kruszy. Trzeba podeprzeć fragmenty konstrukcji. Przedmieścia trzeba wypalić i wyburzyć. Ludzie Martusa się nudzą i wszczynają bójkę ze strażnikami. Brakuje nam stu kuszników, a połowa skorpionów czeka w kolejce do naprawy, jeśli chcemy, żeby wystrzeliły więcej niż dwa pociski, zanim się rozpadną. Zapasy zboża są trzy razy mniejsze, niż powinny. Poza tym wszystko gra. Dlaczego pytasz?

– Patrzyłeś na statystyki?

– Owszem, na niektóre.

– Liczba ghuli widzianych w obrębie miasta w ciągu ostatnich czterech dni?

Wybrał akurat coś, na co zwróciłem uwagę, gdy Renprow rzucił mi papiery na biurko.

– Hm, trzy, potem siedem, wczoraj dwanaście i kolejny tuzin tego ranka, zanim wyszedłem po lunchu.

– To zwiadowcy – stwierdził Garyus.

– Co? – Pochyliłem się do przodu i odsunąłem zasłonę. Wyglądał jak potwór w swej mrocznej jamie, chory potwór, blady i zlany potem. – Ghule są padlinożercami, półmartwymi pożeraczami trupów krążącymi przy brzegach rzeki. Ciała spływają wraz z prądem od tygodni. Jakaś armia z Orlanthu sieje spustoszenie w Rhone. – Ciekawe, czy Babka zacznie zatykać rzeki trupami Sloviań, zanim minie miesiąc.

– Pozaznaczałeś na mapie miejsca, gdzie widziano albo pojmano każdego ghula? – zapytał Garyus.

– Cóż, nie, ale nie ma żadnego wzoru. Przy rzece jest ich trochę więcej, ale nic poza tym. Pojawiają się wszędzie. – Spróbowałem to sobie wyobrazić. Coś w obrazie, który widziałem w głowie, zaczęło mnie niepokoić.

– Wszędzie. Nigdy dwa razy w tym samym miejscu? – Garyus wyglądał ponuro.

– Od czasu do czasu. Ale rzadko. Jak już strażnicy je pogonią, nie wracają. To dobrze... prawda?

– Tak właśnie postępują zwiadowcy. Szukają słabych punktów, zbierają informacje, by wykorzystać je potem przy planowaniu.

– Muszę już iść – powiedziałem. – Przyszły jakieś raporty o atakach trupów w zewnętrznych dzielnicach. – Najbardziej martwiły mnie te, które zachodziły w obrębie podobno bezpiecznych miejskich murów, ale niedawne wiadomości dotyczyły dość nieoczekiwanej serii ataków.

Chciałem się odwrócić, ale coś błyszczącego na podłodze palankinu zwróciło moją uwagę.

– Co to? – Pochyliłem się i odpowiedziałem na własne pytanie. – Kawałki lustra.

Garyus spuścił głowę.

– Dama próbuje otworzyć w Vermillionie nowe pary oczu. Wie, że moje siostry po nią idą – może działa desperacko. Mam taką nadzieję. W każdym razie nie radzę używać żadnych lusterek. Taki przystojny młodzian jak ty nie powinien przyglądać się swojemu odbiciu – to rozrywka dla nas, szkaradników, na wypadek gdybyśmy zapomnieli o naszym wyglądzie i zaczęli sobie roić, że świat spojrzy na nas przychylnie.

– Już jakiś czas temu zrezygnowałem z lusterek. – Wzdrygnąłem się. Zbyt wiele razy dostrzegłem ruchy, których nie powinno tam być, zbyt wiele razy widziałem błyski, które mogły być niebieskie. – Twoje siostry zostawiły nas, by dopaść tę przeklętą kobietę, ale co ją powstrzyma przed wyjściem z czyjegoś lustra i zamordowaniem wielu z nas, kiedy ich tu nie ma? Problem ghuli też jeszcze nie został rozwiązany. Babka powiedziała, że to była dywersja, żeby ją tu zatrzymać. Teraz wyjechała... a wciąż znikają ciała – martwe i żywe. Nie

podoba mi się to. Ani trochę.

Garyus zacisnął usta.

– Mnie też się to nie podoba, Marszałku, ale taką mamy sytuację. Jestem pewien, że moja bliźniaczka zostawiła zaklęcia, które chronią miasto przed atakiem Błękitnej Damy, a przynajmniej przed jej fizycznym wejściem. Tej lekcji nauczyła się w bardzo młodym wieku. Resztą musimy się zająć sami.

Westchnąłem. Wołałbym usłyszeć jakieś pocieszające kłamstwo niż przerażającą prawdę.

– Obowiązek wzywa. – Zerknąłem w dół na Czarny Dziedziniec, szykując się do odejścia. Na placu zostało już tylko paru żałobników, księża wyznaczeni do pilnowania, by stos wygaś, i oczywiście strażnicy Garyusa. Powietrze nad rozżarzonymi polanami zmarszczyło się, przypominając mi podobne zjawisko w piekle, kiedy wiele osób ginęło w jednym momencie, a ich dusze zalewały zaświaty. Zagapiłem się na gorący pomarańczowy stos i przez drgające od upału powietrze dostrzegłem zbliżającą się postać. Patrzyłem, niepewny, co widziałem, aż to coś okrążyło płomienie i zobaczyłem je wyraźnie.

– Dobry Boże! Straż! Straż! – Drżącą ręką wskazałem na stwora krocącego niespiesznie w stronę podium. – To... to... – Nie miałem pojęcia, co to było.

Sześciu mężczyzn przy podstawie trybuny spojrzało na mnie, podążyło wzrokiem za moim palcem i w końcu dostrzegło obdartego ze skóry mężczyznę. Szarpnęli się do tyłu w przerażeniu, ale tylko na moment. To byli twardzi, wyszkoleni ludzie, elita straży Babki. Jak jeden mąż sięgnęli po miecze... a potem jak jeden mąż pozwolili rękom opaść i spojrzeli w inną stronę. Chwilę później stali tak jak wcześniej, jakby w ogóle nie zbliżał się do nich spokojnie bezwłosy, pozbawiony skóry mężczyzna w czarnej pelerynie.

– Co? – Spojrzałem na Garyusa siedzącego w palankinie. – Co, do diabła? Garyusie! Powiedz im! Jest opętany! Dopadł go szarpiałach!

Dwóch strażników spojrzało na mnie, marszcząc brwi, jakby obrażał ich ton mojego głosu.

– Uspokój się, Jalandie. Luntar jest przyjacielem.

Stałem prędko obok lektyki Garyusa i wyciągnąłem miecz. Schowałbym się za lektyką, ale była dosunięta do ściany budynku, o który opierała się trybuna.

– To coś jest przyjacielem? Przecież, kurwa, nie ma skóry! – Spojrzałem w dół na pałacową straż, która obserwowowała dziedziniec, wypatrując niebezpieczeństw grożących namiestnikowi. – I co, do cholery, jest nie tak z twoimi ochroniarzami?

– Mam skórę. Tylko poparzoną. – Okutany w czarną pelerynę mężczyzna posłał mi uśmiech, wspinając się po ostatnich paru stopniach. Zostawiał za sobą

wilgotne ślady stóp. – A strażnicy jedynie zapomnieli, że mnie widzieli. Pamięć to klucz do każdego człowieka. Do niej się sprowadzamy, do niczego więcej.

Wciąż trzymałem miecz w pogotowiu, gdy dzieliło nas już tylko parę jardów. Widziałem już wcześniej poparzonych ludzi i gorąco żałowałem, że tak się stało. Nasz gość wyglądałby jak Ojciec, gdyby ten zdecydował się wygramolić z trumny jakiś czas po tym, jak płomienie wzięły ją w posiadanie.

– Luntarze. – Garyus szarpnął ręką w górę w geście powitania. – Dobrze cię widzieć, stary druhu.

– Ciebie też, Ghollocie. A to musi być wnuk twojej siostry Jalan. Niezwykły człowiek.

Opuściłem miecz bardziej, niż miałem ochotę, ale mniej, niż wymagała tego grzeczność.

– Znasz mnie?

Luntar znów się uśmiechnął. Jak na człowieka, który powinien się zwijać z nieznośnego bólu, zdawał się wyjątkowo pogodny. Poparzona skóra popękała i coś zaczęło się z niej sączyć, gdy mówił.

– Wiem o tobie o wiele mniej niż o prawie wszystkich innych ludziach. Co czyni cię niezwykłym. Twoja przyszłość jest zbyt splątana z przyszłością Edrisa Deana, by dało się ją wyraźnie zobaczyć.

Zmarszczyłem czoło. „Zaprzysiężeni przyszłości mnie nie widzą” – tak powiedział o sobie Edris Dean. Fakt, że majaczył nie tylko w mojej przeszłości, ale również w przyszłości, wcale nie poprawił mi humoru. Chciałem, żeby zginął, ale nie chciałem, by to na mnie spadło zadanie zabicia go.

– Moje kondolencje z powodu utraty ojca, książę Jalandie. – Luntar odezwał się w ciszy, którą powinna wypełnić moja odpowiedź. – Spotkałem go raz. To był dobry człowiek. Śmierć twojej matki go zmieniła.

– Ja... – Przełknąłem ślinę i zakasłałem. – Dziękuję.

– Czymże zasłużyliśmy na ten zaszczyt, Luntarze? – zapytał Garyus.

– Znasz mnie, Ghollocie. Zawsze gonę prawdopodobieństwa i możliwości. Albo to one gonią mnie.

Luntar spojrział na blade niebo ponad dachami. Oparzenie załśniło na jego czaszce i cofnąłem się o krok, a raczej cofnąłbym się, gdybym nie wpadł na ścianę i nie uderzył się w głowę.

– Nadciągają kłopoty – wypowiedział swe słowa ku niebiosom.

– Nie potrzeba zaprzysiężonego przyszłości, by o tym wiedzieć. – Potarłem tył głowy. – Kłopoty zawsze nadciągają.

– Będzie jakiś atak? Tutaj? – dopytywał Garyus.

– Tak. – Luntar znów spojrział na nas. – Ale to coś o wiele większego. Twoje siostry wyjechały, by powstrzymać Morę Shival, ale to nie wystarczy. Świat jest

rozbity, nie tylko to Imperium, nie tylko te ziemie, ale sam świat, od korzeni gór po niebo i sfery poza nim. Armie zmarłych to zaledwie początek.

Zastanowiła mnie ta „Mora Shival”, ale potem przypomniałem sobie, że we wspomnieniach Babki to lady Shival z szafirami we włosach zabiła starszego Ghollotha. Jakiś czas po tym wydarzeniu stała się Błękitną Damą.

– Ile mamy czasu? – Znowu Garyus.

– Miesiące.

– Miesiące? – zapytałem. – Zanim nastąpi atak? – Do tego czasu Babka wróci i to będzie jej problem.

– Atak nastąpi już niebawem. Może nawet już się zaczął. Miną miesiące, zanim nadejdzie koniec.

– Czego? – Rozłożyłem ręce w pytającym geście.

Luntar powtórzył mój ruch, po czym rozłożył ramiona jeszcze szerzej, by objęły pałac i niebo.

– Wszystkiego.

Roześmiałem się.

Luntar tylko na mnie patrzył.

Spróbowałem znowu się zaśmiać. Babka mówiła, że jej wojna z Błękitną Damą dotyczyła końca świata. Nie sądziłem, że mówiła dosłownie. A raczej zrozumiałem słowa, ale ich nie pojąłem. Tak – Budowniczkowie rozbili świat, gdy obrócili swoje koło, tak – magowie tacy jak Kelem, Sageous i spółka powiększali szczeliny za każdym razem, gdy używali swych czarów... ale koniec? Wiedziałem, że ambicje Błękitnej Damy dotyczyły tego, co miało nastąpić po tym, jak nasz świat obróci się w ruinę, ale to zawsze był problem na później, odległy o całe lata. Nawet gdy Babka pojechała do Slov, nie sądziłem, że naprawdę właśnie ważyły się losy świata. Nie całego świata. Może Czerwonej Marchii i ziem wokół Osheim. Ale zawsze wyobrażałem sobie, że będzie dokąd uciekać, będzie gdzie się skryć.

W końcu pojąłem nagłość... albo desperację... która zmusiła Czerwoną Królową do zejścia z tronu, zostawienia ukochanego miasta w niebezpieczeństwie i wywołania wojny w odległym kraju w wieku, w którym inne babcie siedzą siwiutki i pomarszczone, cichutko robiąc w kącie na drutach i odliczając ostatnie dni do śmierci.

– Miesiące! – powtórzyłem to słowo, by sprawdzić, czy zaczniesz smakować lepiej. Nie zaczęło. Kiedyś pewnie wspomniałem, że sześć miesięcy to cała wieczność, ale teraz było to zdecydowanie za mało. Z jakiegoś powodu do głowy wpadła mi myśl o córeczce Darina, mimo że widziałem jedynie jej machające, pulchne różowe nóżki i pulchne różowe rączki sięgające do ciężkich od mleka piersi Michy. I szczerze mówiąc, nie patrzyłem wtedy na dziecko. Nie

zdaży wiele przeżyć w ciągu sześciu miesięcy.

– W waszym przypadku mniej niż tydzień, jeśli wasze mury nie wytrzymają.
– Luntar sięgnął pod pelerynę, więc mój miecz znów znalazł się między nami. –
Miesiące dla świata.

– Tydzień! – krzyknąłem. – Mniej niż tydzień? – Jak daleko byłbym w stanie dojechać na szybkim koniu w czasie krótszym niż tydzień? – To nie w porządku! Atak tutaj? Czy zbliża się jakaś armia? Czy to Martwy Król? Ktoś powinien coś zrobić! Musimy...

– Podarunek, Ghollocie. – Luntar zignorował mój atak paniki i wyciągnął białe pudełko, sześcian o boku sześciu cali. – Dałeś mi kiedyś miedzianą skrzynkę, będącą w twoim posiadaniu, a ona okazała się bardzo użyteczna. Teraz czas się odwdzięczyć. Poza różowawymi smugami, które zostawiły na pudełku oparzeliny Luntara, nie było na nim żadnego wzoru ani ornamentacji. Sześcian miał zaokrąglone rogi i był zrobiony z białej kości. Może z kości słoniowej... albo...

– Czy to plastek? – zapytałem. – Artefakt Budowniczych? – Próbowałem mówić tak, by głos mi się nie trząsnął, ale po głowie tłukły mi się słowa „mniej niż tydzień” i obraz mojego nowego konia Morda, czekającego na mnie w stajni.

– Tak, to plastek. – Luntar położył pudełko koło Garyusa.

– Co w nim jest? – dopytywałem, zanim mój wujeczny dziadek zdołał otworzyć swe koślawe usta.

– Duchy.



Pospieszyliśmy do sali tronowej, by przesłuchać Luntara w bezpiecznych, najsurowiej strzeżonych czterech ścianach Czerwonej Królowej. Całą drogę musiałem się zatrzymywać, by popędzać tragarzy Garyusa, którzy trudzili się, niosąc palankin przez pałac. Zdołałem, przynajmniej nie patrząc na Luntara, przekonać samego siebie, że nie powinienem zbyt ufnie wierzyć w przepowiednie jakiegoś przypadkowego jasnowidza. Gdy się jednak patrzyło na jego postać, przerażająco pozbawioną skóry, trudno było uwierzyć, że mógłby być szarlatanem. Mimo to, jak tonący chwytający się brzytwy, ja chwytalem się myśli, że może się mylił, albo przynajmniej kłamał.

Sala tronowa nigdy nie była miejscem pełnym kolorowego tłumu. Po tym jak Czerwona Królowa wyjechała, trochę się tu zmieniło. Palankin Garyusa ustawiony przed tronem Babki tchnął w salę nowe życie. Oprócz pielęgniarzy staruszka przez salę przewijali się kolejni muzykanci, wypełniając hol pieśniami i melodiami tuzina różnych nacji, podczas gdy namiestnik zajmował się petycjami swych poddanych. Rozmawiał głównie z kupcami, tak bogatymi, jak i biednymi, ponieważ uważał, że państwa funkcjonują dzięki handlowi i produkcji, a wszystko inne ma drugorzędne znaczenie.

Powiedział mi kiedyś: „Mówią, że pieniądze są źródłem wszelkiego zła, Jalanie, i może tak właśnie jest. Ale to również źródło wielu wspaniałych rzeczy. Pieniądz ubiera twoich ludzi, napełnia ich brzuchy i może zapewnić pokój. To żądza wywołuje wojny”.

Spokój panujący w sali prysł wraz z naszym nagłym przybyciem. Rozbiegający się dworzanie wyczuli, że pogrzeb księcia mógł nie stanowić najgorszego wydarzenia owego dnia.

Opiekunowie Garyusa ułożyli go na kanapie i podparli górą poduszek w pozycji, która wyglądała na wielce niewygodną. Stałem obok niego, bezwiednie tupiąc nogą, gdy patrzyliśmy, jak straż wygania z sali ostatnich petentów na ten dzień. Dzisiejsi muzycy, grupka Cyganów z odległej wyspy UMBER, spakowali swe piszczałki i zwinęli się z muzyką dwakroć szybciej od reszty.

– Jakie wieści z zewnętrznych dzielnic? – zapytał Garyus.

Mniej niż tydzień. Nagle raporty z obrzeży miasta nabrały większej wagi.

– Złe – odparłem. – Niektóre cmentarze, których nie opróżniliśmy, zrobiły to same. Ich mieszkańcy zniknęli. Zgłoszono tuzin ataków trupów. Dwie rodziny... zniknęły. – Skrzywiłem się. Strażnik zaprowadził mnie do jednego z domów w pobliżu Traktu Północnego. Krew na podłodze i na ścianach, połamane meble. Pełno much. Żadnych lokatorów, oprócz dziecka w kołysce. A raczej szczątków dziecka. – Sąsiedzi nic nie widzieli. – Trudno było w to uwierzyć, skoro domy budowano tam ściana w ścianę. Posłałem strażnika, by popukał do drzwi w okolicy, a sam spiesznie wróciłem do pałacu na rozmowę z Luntarem. Garyus chciał dokończyć naszą dyskusję w zapewniającej prywatność sali tronowej, a Luntar miał jeszcze do odwiedzenia parę osób przed wyjazdem. Wspomniał między innymi o doktorze Taproocie, chociaż nie słyszałem, by cyrk zawitał do miasta. – Muszę wracać i nadzorować serię łapanek. – Odwróciłem się, obrzucając wzrokiem salę tronową, i zamarłem ze zdumienia.

– To nie potrwa długo. – Luntar stał przed nami, jedynymi świadkami jego obecności. Wyślizgnął się z pamięci każdej innej osoby, nawet tych, które akurat na niego patrzyły. Był w pewien sposób niewidzialny. Nie powiedział, czy coś w krwi Kendethów czyniło nas odpornymi na jego sztuczkę, czy też po prostu pozwalał nam sobie zapamiętać, ale nawet gdy zdawałem raport namiestnikowi i byłem zwrócony do Luntara plecami, zapomniałem, że był z nami.

– Bądźcie wszyscy tak mili i zapewnijcie mi i Jalanowi odrobinę prywatności. – Garyus podniósł głos, by ten poniósł się po sali. Ostatni dworzanie zaczęli kierować się w stronę drzwi. – Ty też, Mary. – Garyus odezwał się do najstarszej ze swych opiekunek, postawnej matrony, która zdawała się sądzić, że była niezbędna na miejscu. – I wy, panowie. – Kiwnął głową strażnikom stojącym po jego bokach. – Wszyscy moi strażnicy.

Kapitan podszedł, tupiąc buciorami po wypolerowanej posadzce.

– Namiestniku, naszym zadaniem jest cię ochraniać.

– Jeśli umrę w czasie waszej nieobecności, dopilnuj, by księżę Jalan został zdegradowany do pozycji wieśniaka. No, takie środki ostrożności powinny wystarczyć.

Kapitan straży zmarszczył brew. Widać było, że słowo „ale” cisnęło mu się na usta.

– Doprawdy, nalegam – dodał Garyus.

Pięć minut później, po tym, jak straż dwukrotnie sprawdziła każdy ciemny kąt, zostaliśmy sami.

– Miałem nadzieję zastać tu Czerwoną Królową – odezwał się Luntar. – Teraz wygląda na to, że muszę udać się za nią do Slov.

Powstrzymałem się przed oczywistą drwiną, że powinien był to przewidzieć. Na pewno majstrował przy losie Babki w przeszłości i teraz nie mógł już dostrzec wizji dotyczących jej przyszłości. Albo Milcząca Siostra broniła Babkę przed podobnymi próbami.

– Kiedy musisz wyjechać? – Mi by pasował dzień, zanim przyjechał. Luntar wciąż wywoływał we mnie uczucie głębokiego niepokoju. Surowość jego poparzonego ciała domagała się reakcji, a skoro on żadnej nie okazywał, to ja doświadczałem przez nią czegoś w rodzaju bólu. Milcząca Siostra spojrzała tak daleko w naszą jaskrawą przyszłość, że oślepla na jedno oko. Luntar spojrzał nawet dalej i został poparzony od stóp do głów przez to, co zobaczył. Z tego, co mówił Garyus, wynikało, że już niedługo niepojęta jasność tysiąca Słońc Budowniczych pochłonie przyszłość nas wszystkich.

– Wyruszę natychmiast po naszej rozmowie – odpowiedział Luntar. – To długa droga, a żaden koń nie weźmie mnie na grzbiet.

– Powiedz mi... – Zerknąłem na Garyusa, ale on machnął ręką, pozwalając mi mówić dalej. – Powiedz mi, czy przyszłość, która cię poparzyła i która według ciebie nadchodzi, czy to właśnie koniec, którego obawia się Czerwona Królowa? Fatum, na które skazali nas Budownicowie, gdy wprawili w ruch swą naukę i zmienili świat? – Starłem się, by moje słowa nie brzmiały jak oskarżenie, chociaż nim były. Luntar i jemu podobni przez pokolenia dziurawili rzeczywistość, przybliżając nas do zagłady, gdy przeciągali coraz więcej magii przez powłokę świata.

Obok mnie Garyus pokiwał swą ciężką głową. Jego wzrok spoczął na sześcianie z białego plasteku, który leżał na jego podolku. Pudełko pełne duchów, które podarował mu Luntar.

– Czy nie możemy nic zrobić? – zapytałem. Dobrze by było, gdyby zasugerował jakieś bezpieczne miejsce, do którego moglibyśmy uciec.

Luntar zakrył twarz dłońmi, po czym przesunął je z mokrym dźwiękiem ku brwiom, jakby ścierał zmęczenie.

– W niektórych wersjach przyszłości naszą zagładę sprowadza pęknięcie świata, ciemność i światło, żywioły przybierające potworne formy, nawet sama materia, z której jesteśmy stworzeni, rozplata się... W innych wersjach to światło arsenału Budowniczych wypala nas z powierzchni Ziemi.

– Kurwa. – Widziałem to światło. Próbowałem wyrzucić jęklivość z mojego głosu i zabrzmieć bardziej jak Snorri. – Już dwa razy w ciągu roku rozbłysły Słońca Budowniczych. Słyszałem o jednym w Gelleth podczas mej podróży na Północ, a potem w Libie widziałem jedno na własne oczy, jak płonęło na pustyni. Kto używa przeciwko nam broni zmarłych i dlaczego?

– Śmierć nie jest taka jak kiedyś. – Luntar wyciągnął swe pozbawione skóry

ramię i zaczął mu się badawczo przyglądać.

– Budownicзовie są martwi. Obrócili się w proch tysiąc lat temu. – Lecz gdy wymówiłem te słowa, przypomniałem sobie, co powiedziała mi Kara. Na swojej łodzi rzekła mi, że Baraqel i Aslaug byli niegdyś ludźmi, Budowniczymi, którzy ocaleli, przeistaczając się w duchy, gdy płonął świat. Twierdziła, że inni skopiowali się do swych maszyn, zanim nastąpił koniec. Cokolwiek by to znaczyło. – To nie mogą być Budownicзовie. Nawet jeśli nie są martwi, dlaczego mieliby nam źle życzyć?

– Czy pamiętasz w jaki sposób Budownicзовie w ogóle sprowadzili magię do tego świata, książę Jalenie?

– Obrócili koło... Myślę, że w ten sposób opisała to Babka. Uczynili to, by wola człowieka mogła zmieniać rzeczywistość. Ale nadszedł Dzień Tysiąca Słońc, koło wciąż się obracało i nie było nikogo, kto mógłby je zatrzymać. Magia stawała się coraz potężniejsza.

– Mniej więcej tak właśnie było – przytaknął Luntar. – Ale to koło nie jest wyłącznie przenośnią. To nie tylko wyrazy, których używamy, by zobrazować trudne do pojęcia zjawisko. Istnieje pewne koło. W...

– Osheim. – Słowo wymknęło mi się z ust mimo surowego zakazu wynurzenia się.

– Tak.

– Ale te wybuchy w Gelleth i w Libie...

– Zapytaj duchy – powiedział Luntar. – To ich sprawka. – I nagle zniknął.

– Jak? – Dałem krok do przodu, machając rękoma w przestrzeni, którą jeszcze przed chwilą zajmował poparzony mężczyzna.

– Wyszedł tak samo jak każdy – odparł Garyus. Tylko kazał nam o tym zapomnieć.

– Noż kurwa! Dlaczego nie mógł po prostu zostać i odpowiedzieć na moje cholerne pytanie? Po co, u licha, ta cała tajemniczość?

Garyus z wysiłkiem uniósł głowę i uśmiechnął się do mnie.

– Zawsze uważałem, że te bajki, które opowiadała wam niania Willow, byłyby o wiele krótsze, gdyby każdy mówił tam szczerze. Ale być może znasz odpowiedź.

– Jebani zaprzysiężeni przyszłości! – Niemal splunąłem na posadzkę, ale obecność Babki wciąż zbyt mocno nawiedzała tę salę, bym mógł się na to zdobyć. Luntar zobaczył przyszłość, która mogłaby okazać się dla nas lepsza niż ta, która go poparzyła, ale jeśli by nas ku niej pokierował, zaczęłaby się wycofywać, a gdyby odpowiedział na nasze pytania, cała możliwość mogłaby wyparować jak poranna mgła. Nawet fakt, że dał nam pudełko, mógł wymazać mu sprzed oczu nasze ścieżki i zmącić wizje. Nie robić nic i widzieć wszystko z

doskonałą, niezmaconą jasnością czy wyciągnąć rękę, by zmienić bieg rzeczy i zniszczyć odbicie jutra jak ręka dotykająca tafli wody? Oszalałbym przez taki frustrujący dylemat.

– Otworzyć pudełko? – Garyus położył wspomnianą skrzynkę na małym stoliku, który przyniosłem wcześniej. Postawiłem przy niej latarnię. Popołudnie przechodziło w mrok wieczoru i w każdym kącie mnożyły się cienie. – Otworzyć pudełko... – Garyus postukał palcami w wypolerowany sześcian.

– Był już przypadek, że coś takiego źle się skończyło – wtrąciłem.

Staruszek podniósł brew.

– Pandora?

– Wszelkie nieszczęścia z całego świata. – Pokiwałem głową. – Poza tym Luntar stwierdził, że jest pełne duchów. To dowodzi, że powinniśmy je bezzwłocznie zakopać.

– Powiedział też, że powinniśmy zadać duchom nasze pytania.

Spojrzałem na pudełko i stwierdziłem, że źródło mej ciekawości zdążyło już wyschnąć.

– Boisz się, Jaland? – Garyus zerknął na mnie. Światło i cień zmówiły się, by zrobić z niego potwora. Jego zniekształcenie miało taki charakter – raz wyglądał niewinnie, nawet żałośnie, a po chwili złowieszczo i złośliwie. Wtedy nie miałem wątpliwości, że był bliźniakiem Milczącej Siostry.

– To mało powiedziane. – W świetle latarni plastek wyglądał bardziej jak kość. Obrazy z piekła wykwitły mi w głowie i zastanowiłem się, jaki kawałek zaświatów sztuka Budowniczych pozwoliła im wsadzić do tego małego pudełka. – Jestem przerażony.

– Przerażenie sprawia, że czujesz się żywy, czyż nie? – Garyus otworzył skrzynkę.

– Jest pusta! – Wybuchłem śmiechem, który zabrzmiał słabo i głucho w pustej sali.

– Ona chyba... – Garyus zaklął i cofnął dłoń. Na pokrywce został pojedynczy czerwony odcisk palca.

– Krew? – zapytałem, przekrzywiając głowę, by obejrzeć ślad.

Garyus skinął głową, trzymając palec w ustach.

– Skrzynka mnie ugryzła!

Na naszych oczach szkarłatny odcisk zbladł, a krew wsiąkła w plastek i znikła bez śladu. Coś zamigotało w powietrzu nad otwartym pudełkiem. Postać, która po chwili zniknęła, mglista, jakby uformowała się i zniknęła w mgiełce oddechu na mrozie. Pojawiła się kolejna, zabłysła kształtem człowieka wysokim na jakieś osiemnaście cali i też zniknęła.

– Kendeth. – Głos o nieokreślonym wieku dobiegł z pudełka, spokojny i

wyraźny.

Pojawił się teraz tłum postaci, mężczyzn, kobiet, młodych, starych, jedna zmieniała się w drugą.

– Przestań... – Garyus wyciągnął rękę w stronę pudełka i błyskający korowód postaci zatrzymał się, został tylko jeden blady duch. Przez jego ciało prześwitywały linie stolika.

– James Alan Kendeth – powiedział duch, nie patrząc ani na mnie, ani na Garyusa, tylko na jakiś odległy punkt między nami.

– Jesteś duchem mojego przodka? – zapytał Garyus. Duch zmarszczył czoło, zamigotał i odpowiedział.

– Jestem wpisem bibliotecznym, echem danych Jamesa Alana Kendetha. Mogę odpowiadać na pytania. Dostęp do pełnej symulacji wymaga połączenia z terminalem sieciowym.

– Co on mówi? – spytałem. Niektóre słowa miały sens, ale cała reszta równie dobrze mogłaby być w innym języku.

Garyus mnie uciszył.

– Czy jesteś duchem?

Duch zmarszczył brwi, po czym się uśmiechnął.

– Nie. Jestem kopią Jamesa Alana Kendetha. Reprezentacją jego osoby, stworzoną na podstawie szczegółowej obserwacji.

– A sam James?

– Umarł ponad tysiąc lat temu.

– Jak umarł?

– Urządzenie termojądrowe zostało zdetonowane nad miastem, w którym mieszkał. – Na bladej twarzy ducha na sekundę odbił się smutek.

– Co?

– Zginął w wybuchu.

– Słońca Budowniczych?

– To była fuzja jądrowa... więc owszem, coś w rodzaju słońca.

– Dlaczego Budowniczy się wyniszczyli? – Garyus wbił wzrok w małego ducha unoszącego się nad pustą skrzynką. Jego olbrzymia brew nabrzmiała nad intensywnie patrzącymi oczyma.

Duch zamigotał i przez ułamek sekundy zobaczyłem bąble na jego skórze, jakby wspomnienie gorąca.

– Bez prawdziwie ważnego powodu. Przez eskalację retoryki. Jedna kostka domina popchnęła następną i w ciągu kilku godzin wszystko obróciło się w popiół.

– Dlaczego mieliby to teraz powtórzyć? – zapytał Garyus. – Dlaczego chcą nas zniszczyć?

– By przetrwać. – Nasz odległy przodek spojrział na Garyusa, na mnie i znów na Garyusa, jakby po raz pierwszy zobaczył nas jako ludzi, a nie tylko głosy z pytaniami. – Nieustanne użytkowanie woli zaburza... – urwał i utkwiał wzrok w jakimś odległym punkcie w innym miejscu. – ...regułę Rechenberga – tak to nazywają – która rządzi zmianą, nazywaną przez was „magią”. Szczerze mówiąc, my też nazywaliśmy ją magią. Rozumiała ją może jedna osoba na dziesięć tysięcy. Pozostali wiedzieli tylko, że naukowcy zmienili zasady działania świata i bum, magia stała się możliwa, supermoce! Ale nie wyglądało to tak jak teraz – trudniej było jej używać – mieliśmy szkolenia i...

– Nasze zaklęcia zakłócają waszą regułę. – Garyus wciął mu się w słowo. – Ale dlaczego chcecie nas zabić?

– Jeśli wszyscy zginą, nikt nie będzie już używał magii. Reguła sama odnajdzie równowagę. Może zmiana przestanie postępować. Świat będzie miał szansę przetrwać, a echa danych trzymane w głębokiej sieci zostaną zachowane.

– Poświęcilibyście nas dla ech? Ale... wy nie jesteście prawdziwi. Nie jesteście żywi – zaoponowałem. – Jesteście wspomnieniami ukrytymi w maszynach.

– Czuję się prawdziwy. – James- duch uniósł dłoń do swej przezroczystej klatki piersiowej. – Czuję się żywy. Pragnę dalej tak się czuć. W każdym razie, jeśli my was nie zniszczymy, zniszczycie się sami. I nas również.

Tu akurat miał rację, ale nie podobała mi się żadna racja, która zakładała moją śmierć.

– Więc dlaczego wciąż tu jesteście? Dlaczego były tylko dwa wybuchy?

– Różnica zdań. Zwolennicy nuklearnego rozwiązania nie mają większości. Jeszcze. Gelleth to był wypadek. W Hamadzie miał miejsce nieudany test.

– Dlaczego mówisz nam to wszystko? – Na jego miejscu nie zwierzałbym się tak chętnie.

– Jestem wpisem bibliotecznym. Istnieję, by odpowiadać na pytania.

– Ale gdzieś indziej... w maszynach... istnieje pełna kopia Jamesa Alana Kendetha? Takiego z opiniami i pragnieniami?

Duch skinął głową.

– Właśnie tak.

– Czy Koło da się obrócić w drugą stronę? – zapytał Garyus z nagłą pilnością. Chwila ciszy.

– Czy masz na myśli ośrodek IKOL w Lipsku? – Jego głos brzmiał, jakby James czytał z książki.

– Koło Osheim.

James Alan Kendeth kiwnął głową. Kolejna chwila ciszy.

– To akcelerator cząstek, kołowy tunel długi na ponad dwieście mil. Metafora

kierownicy dla świata jest uproszczonym sposobem, by zrozumieć zmianę, jaką wywołał ośrodek IKOL i jaką wciąż kontroluje. Silniki w ośrodku obracają hipotetyczne koło, tarczę, jeśli wolicie, zmieniając ustawienia domyślne rzeczywistości. Przy maszynerii w komorze zderzeń wasze katedry wyglądałyby jak skrzaty. W skrócie to maszynę, nie koło, da się obrócić.

– A więc to maszyna! – Uczepiłem się tej myśli. – Ty też jesteś maszyną. Wyłącz ją!

– System jest izolowany, by zapobiec ingerencji. Fizyczne podejście do niego byłoby... trudne. Pole Rechenberga dziko oscyluje, gdy ktokolwiek się zbliża.

– No cóż. – Sięgnąłem po pudełko, by z chęcią je zamknąć. Każda zła historia zawsze miała swój początek w Osheim, a ja dobrze wiedziałem, jak źle się działo w pobliżu Koła. Będę wierzył, że Babka nas ocali. – Czyli nic się nie da zrobić. – Chłód objął mi dłoń, zanim jeszcze dotknąłem palcami pudełka, jakbym zanurzył ją w zimnej wodzie.

– Wykryto powiązanie. – Oryginalny głos skrzynki, ani męski, ani żeński, ani ludzki. Duch naszego przodka zamigotał i zniknął. Zastąpiła go postać starszawego mężczyzny o wąskiej twarzy. Duch stał chwilę przed nami, po czym zmienił się w młodszą kobietę z krótkimi włosami i ciemnymi kręgami pod oczyma. Nie była piękna, ale uderzająca. Powrócił mężczyzna, potem kobieta. Oboje wyglądali dość znajomo.

– Stop – powiedziałem i kobieta się zatrzymała.

– Asha Lauglin – przemówił pozbawiony wieku głos, po czym ucichł. Kobieta podniosła wzrok i spojrzała na mnie.

– J-jak umarłaś? – Cofnąłem dłoń. Coś w jej oczach mnie przerażało.

– Nie umarłam – zaprzeczyła.

– Tak, wiemy. Jesteś tylko echem, opowieścią w maszynie. Jak umarła prawdziwa Asha?

– Nie umarła. – Asha zerknęła na Garyusa, po czym znów zagapiła się na mnie.

– Co się z nią stało w Dniu Tysiąca Słońc?

– Przeobraziła się za pomocą siły woli. Jej osobowość wpisała się w negatywne wartości energetyczne w ciemnej energii wszechświata.

– Co?

– Stała się bezcielesna.

– Co?

– Stała się duchem.

– Mrocznym duchem. – Wlepiłem wzrok w kobietę. – Aslaug?

– Tak, została uwięziona w mitologii ludzi, którzy na powrót zaludnili północne rejony. Wiara wielu niewytrenowanych umysłów okazała się

silniejsza niż siła jej woli.

Pomyślałem o Aslaug, zrodzonej z kłamstw córce Lokiego, jej pajęczym cieniu i straszliwej postaci tego dnia, gdy przeszła przez drzwi deformagów w Osheim.

– Przykro mi.

Duch-Budowniczy wzruszył ramionami.

– To nie jest żaden niezwykły los. Ilu z nas jest uwięzionych w historiach opowiadanych o nas lub przez nas? – Asha popatrzyła na mnie twardo i zagadkowo, przez co jeszcze bardziej przypominała mi Aslaug.

Nie bardzo mi się podobała ta aluzja, więc uderzyłem w pyszałkowaty ton.

– Cóż, ja nie jestem...

– Istnieje historia o czarującym księciu, która nawet teraz próbuje cię usidlić, Jalandre. Jest też inna historia, którą sobie wmawiasz. Ta może cię powieść zupełnie inną ścieżką.

– Bardzo jesteś gadatliwa jak na biblioteczny wpis. – Ponownie wyciągnąłem rękę, by zamknąć pudełko.

– Nigdy nie lubiłam przestrzegać zasad, Jalandre. – Posłała mi mroczny uśmiech, który tak dobrze znałem.

Ktoś zabębnił w wielkie drzwi do sali tronowej, co wyrzuciło mi z myśli jakąkolwiek ripostę. Strażnik pałacowy wetknął głowę do środka, nie czekając na zaproszenie.

– Namiestniku, Marszałku, zaatakowano miasto! Martwi przyplłynęli rzeką!



Atak nastąpił z obu brzegów Seleen. Najpierw z prądem rzeki nadpłynęła tratwa trupów, ponad setka ciał. Wnioskując po strzępach ich strojów, były to ofiary wojsk Orlanthu wkraczających do Rhone. Gdy łodzie z żołnierzami wypłynęły, by przejąć tratwę, szybko okazało się, że w masie trupów pochowały się bagienne ghule, czepiając się jej brzegów, tak że jedynie ich ciemne głowy wystawały ponad wodę, albo kładąc się płasko na splątanych ciałach z dmuchawkami na strzałki w pogotowiu.

– Niech Żelazne Kopyto dołączy do nas na moście Morano! – wykrzykiwałem rozkazy, jadąc w stronę Bramy Konnej, by wydostać się z pałacu. Po nominacji na marszałka znalazłem sobie wspaniałego rumaka o imieniu Mord, wielką i ognistą bestię. Niestety, niezwykle trudną do okiełznania i gotową w każdej chwili zerwać się do cwału. – Powiedz księciu Martusowi, żeby zostawił Siódmą przy pałacowych bramach, dopóki nie rozeznamy się w sytu... O! – Szarpnąłem głową Morda i pochyliłem się do przodu, gdy koń próbował stanąć dęba. – Niech pośle gońców do wszystkich wież przy murach.

– Tak jest, Marszałku! – Kapitan pałacowej straży podążał za mną od sali tronowej wraz z piątką swoich ludzi, otrzymując i – miejmy nadzieję – zapamiętując rozkazy, które recytowałem mu z pamięci, gdy zabierałem rumaka ze stajni. Teraz, w towarzystwie kapitana Renprowa i dziesięciu konnych posłańców z regularnej pałacowej straży, zamachałem, by otwarto dla nas bramy. Jechaliśmy na most Morano, najlepszy punkt widokowy na długie brzegi Seleen, zarówno w górę, jak i w dół rzeki, na zachód i na wschód. Raporty, które dostałem, pochodziły sprzed pół godziny. Nie potrafiłem powiedzieć, dokąd mogły przenieść się walki i jaką zastaniemy tam sytuację. Żelazne Kopyto było teraz w zasadzie pijackim klubem dla najbogatszych synów szlacheckich rodów, ale wszyscy byli oficerami kawalerii, zanim Babka ją rozwiązała, i choć lansjerzy nie przydadzą nam się na wiele w mieście, przynajmniej szybko się dostaną tam, gdzie zmierzaliśmy.

Zauważyłem, jak jeden ze strażników domowych, Dubler, biegnie gdzieś na posyłki, więc zawróciłem go do Rzymskiego Pawilonu z rozkazem

zabezpieczenia budynku. Był najmłodszym ze strażników ojca i pewnie jedynym wciąż w na tyle dobrej kondycji, by mógł się dobrze sprawić w walce.

– Nie wpuszczaj do środka żadnych obcych, żywych lub martwych! Zwłaszcza martwych. *Nawet* jeśli ich znasz!

Dubler pędem pobiegł z powrotem do Pawilonu, a ja rozejrzałem się po raz ostatni. Cienie Willi Mediolańskiej rozciągały się do Wewnętrznego Pałacu, jak gdyby Hertet sięgał po tron swojej matki. Słońce padało nisko na ściany, nie grzejąc za mocno. Dzień umierał na moich oczach.

– Jedziemy!

Po chwili ze stukotem przejechaliśmy pod lukiem bramy i popędziliśmy Traktem Królewskim. Kopyta koni krzeszały iskry na bruku. Przez kilka następnych minut naszą uwagę pochłaniała prędką jazda drogami o różnym stopniu zatłoczenia, wąskimi, krętymi lub wszystkim tym naraz. Nie ma nic złego w rozplaskaniu wieśniaka czy dwóch, ale jeśli człowiek się gdzieś spieszy, taki wypadek może go spowolnić. Poza tym w Vermillionie nie ma zbyt wielu wieśniaków i całkiem możliwe, że ojciec ofiary, jej cech czy cokolwiek innego, rozłoży się następnego dnia przy pałacowej bramie i będzie dochodził odszkodowania. Albo co gorsza sprawiedliwości.

Jechałem na czele grupy, gdy zmierzaliśmy cwałem do mostu Morano wzdłuż zachodniego brzegu rzeki. Nie chciałem jechać na przedzie, ale każdy inny ustępował mi jako marszałkowi, a Mord nie pozwalał się wyprzedzić pozostałym koniom, nawet gdy próbowałem mu to nakazać. Droga wzdłuż zachodniego brzegu jest miejscami szeroka, a niektóre jej części są nawet brukowane, ale bliżej mostu znajduje się pas twardo udeptanej ziemi, wijącej się między kępami sitowia przy wodzie i płataniną krzaków dzikiej róży, wspinających się ku ścianom domów kupców mieszkających nad rzeką. Zobaczyłem przed sobą jakieś postaci i krzyknąłem, by zeszły nam z drogi.

– Marszałku! – wrzasnął za mną kapitan Renprow. Reszta jego słów zginęła w grzmocie kopyt.

Ludzie przed nami okazali się zbyt powolni, więc mając do wyboru hamowanie, skręt w lewo na bagnisty brzeg rzeki, skręt w prawo w cierniste krzaki lub po prostu skoszenie ubłoconych wieśniaków, zdecydowałem się na książęce rozwiązanie i pędziłem dalej prosto na nich. Mój brak poszanowania dla bezpieczeństwa publicznego okazał się rozważny, bo postaci nie były wieśniakami, a wzdętymi, pokrytymi szlamem trupami z rzeki, które próbowały mnie ściągnąć z siodła.

Tuzin mężczyzn z Żelaznego Kopyta, jadący inną drogą, dogonił nas, gdy skręciliśmy na most. Połowa wyglądała, jakby przyjechała prosto z lunchu. Syn lorda Nestera wciąż miał serwetkę wciśniętą za kołnierz, ale Młody Sorren

przynajmniej pomyślał, żeby założyć napierśnik.

– Żelazne Kopyto, do boju! – Poprowadziłem szarżę na most Morano, co stanowiło moje chłopięce marzenie. Ze stukotem dojechalismy do połowy konstrukcji.

– Okazuje się, że wrogowie nie potrzebują mostów. – Darin podjechał do mnie. Niezauważenie dołączył do naszej gromady po tym, jak opuściliśmy pałac. – Nie przeszkadza im, że są cali mokrzy.

– To ja potrzebuję mostu. – Stałem w strzemionach, mając nadzieję, że choć tym razem Mord będzie stał spokojnie. Nigdy nie uważałem za bardzo na lekcjach strategii i taktyki, ale jedna rzecz została mi dość mocno wbita do głowy i tam utkwiała. Dowódca musiał widzieć swoje pole bitwy. Jeśli polem bitwy było całe miasto, w którym trudno dostrzec przeciwny koniec ulicy, owa lekcja prędko i złowrogo się przypomiwała. Dysponowałem jedynie krótkimi raportami sprzed niemal godziny. Każda nowa informacja, której nie dostrzegę własnymi oczami, będzie musiała przebyć wciąż wydłużającą się drogę, zanim do mnie dotrze.

Objąłem wzrokiem Vermillion. Niezliczone dachy, tu i ówdzie iglice, wille na wzgórzach nad rzeką, szpaki krążące nad nami, rozległe błękitne niebo poprzecinane chmurami, rześkie powietrze pory roku, w której liście zaczynają zmieniać kolor, gdy zbierają się na odwagę, by spaść. Gdzieś tam wróg już zaczął działać. Martwych z rzeki dało się łatwo znaleźć, podążając za śladami mokrych stóp, ale z nekromantami było trudniej. Jakiś śmiercionośny typ z Zatopionych Wysp mógł wynająć sobie wcześniej pokój w gospodzie nad rzeką i obserwować nas nawet teraz zza przymkniętych okiennic.

– Tam! – Darin, siedzący na koniu ryzykownie blisko balustrady mostu, wskazywał coś na wschodnim brzegu w dół rzeki.

– Co?

– Wciąż jest jesień, powietrze jeszcze nie jest chłodne – powiedział.

– No i? – Czasami go nienawidziłem.

– Ludzie coś wcześniej zaczęli palić w piecach...

Miał rację. Coś, co uznałem za dym unoszący się z paru kominów, wyglądało teraz bardziej złowieszczo.

– Cały ten czas spędzony na murach i na obrzeżach można było lepiej wykorzystać tutaj – orzekł Darin. – Rzeka jest naszą najslabszą granicą.

– Marszałku. – Kapitan Renprow wskazał coś w górze rzeki na zachodnim brzegu, ratując mnie przed koniecznością odpowiedzi. Grupa postaci, maleńka z tej odległości, walczyła w doku dla łodzi, a oddziały strażników miejskich zbliżały się do niej ścieżką przy rzece.

Na drugim brzegu dostrzegłem więcej osób, niektóre uciekały, inne je goniły.

Tam, gdzie promienie słońca wciąż padały na wieloszczytowy dach kościoła pod wezwaniem Świętej Maryi Pani Seleen, jedyne trzysta jardów od nas, zobaczyłem poruszające się kształty. Czarne pajęczne sylwetki bagiennych ghuli wspinały się po pokrytym dachówkami szczycie dachu.

– Są wszędzie. – Trupy musiały leżeć ukryte pod wodą, gdzie nurt zwalniał, albo zatopione w rzecznej muli, czekając na sygnał do ataku. Nie potrafiłem ocenić, ile ich było – nie wyglądały na wielką armię, ale rozbiegały się po centrum mojego miasta, polując na ofiary, a jeśli Martwy Król skupił na nas całą swą uwagę, każdy nowy trup będzie zasiliał ich szeregi. – Poślij wiadomość do garnizonów straży w Taggio, Świętej Annie, Doux i LeCrosse. Wszyscy strażnicy mają kierować się w stronę Seleen w co najmniej dwudziestoosobowych grupach, oczyszczając po drodze ulice. Wszystkich kuszników rozmieścić po całym mieście i niech obserwują też dachy z uwagi na ghule.

– Panie! – Podjechał do mnie jeździec z Żelaznego Kopyta, młodszy syn lorda Borrora. Skinął w stronę dalszego końca mostu. Zaczęło się do nas zbliżać około tuzina postaci.

– Co, do diabła? – Na pierwszy rzut oka nie rozumiałem, co widzę. Spuchnięte trupy z rzeki, czarne od szlamu, podchodziły do nas chwiejnym, dziwnym krokiem, ale strażnicy miejscy też, w czystych ciemnoczerwonych tabardach i błyszczących w słońcu hełmach... przynajmniej ci, którzy wciąż mieli głowy.

– Wszyscy są martwi. – Darin u mego boku. Miał rację, nie walczyli ze sobą, tylko zbliżali się do nas.

– No to na co czekacie? – zapytałem. – Stratować ich. Jesteście lansjerami czy mamkami? – Po prawdzie żaden jeździec z Żelaznego Kopyta nie miał ze sobą lancy, ale przynajmniej wszyscy siedzieli na koniach hodowanych do walki.

– Czekałem jedynie na dowódcę, Marszałku Jalandie. – Darin zdołał wyszczerzyć zęby i gestem pokazał „ty pierwszy”.

– Ach. – Mieliśmy przewagę, ale tych drani było całkiem sporo, a w przypadku wojny lubię, jeśli moja przewaga jest tak wielka, że jedynie niebezpieczeństwo grozi mi, jeśli przewaga się przewróci i mnie zgniecie. – Widzisz...

Kapitan Renprow przyszedł mi z odsieczą.

– Marszałek jest odpowiedzialny za obronę całego miasta, książę Darinie. Nie może sobie pozwolić na luksus walczenia osobiście. Jeśli stałaby mu się krzywda, toby była katastrofa.

– Otóż to. Właśnie tak. – Powstrzymałem chęć wychylenia się z siodła i uściskania Renprowa. – Z bólem serca muszę pozostać tutaj, miast siekać

mieczem nadciągające trupy i tak dalej, ale obowiązek to nieugięta kochanka.

Darin przewrócił oczyma.

– Ściągnij tu Martusa i jego ludzi. To szaleństwo kazać im stać przy pałacu. – Wzniósł miecz nad głowę i ryknął: „Za Czerwoną Królową!” Potem wbił pięty w boki konia, zawołał: „Vermillion!” i odjechał, a za nim pozostali. Rozległ się ogłuszający stukot kopyt i blisko dziesięć ton wściekłych zwierząt pognało ku poczwarom Martwego Króla.

Zdołałem zatrzymać jednego z pałacowych strażników, zanim zaszarżował za resztą, chwytając go za ramię i żądając, by został przy mnie. W owej chwili roztargnienia Mord prawie zdołał pobiec za Darinem, ale jeśli jest jedna rzecz, na której się znam, to są to konie, więc udało mi się go zawrócić.

– Dobra – powiedziałem. – Potrzebny nam jakiś plan.

Mężczyzna, którego zatrzymałem, klepnął się po szyi i zawołał: „Jezu!”

– To nie plan – odparłem. – Potrzebne nam... – zamilkłem, gdy cofnął rękę i okazało się, że mała czarna strzałka wbiła mu się w ciało tuż pod jabłkiem Adama. – Jezu. – Rozejrzałem się dziko i dostrzegłem winnego – bagiennego ghula, który właśnie przelaził przez balustradę z dmuchawką w łapie. – Właśnie na takie okoliczności cię tu zatrzymałem – wyjaśniłem strażnikowi. – No już, zabij go! Nie martw się strzałką, to tylko trucizna.

Strażnik posłał mi mroczne spojrzenie spod krawędzi hełmu.

– Tylko cię osłabi. Jeśli się pospieszysz, zdołasz zabić ghula, zanim...

– Marszałku... nic nie widzę. – Strażnik wyciągnął dłoń przed swoją twarz, jakby potrzebował potwierdzenia. Jego oczy faktycznie pociemniały, białka zaszyły szarością.

– Nie panikuj, to działa tylko przez parę godzin. – Chwyciłem jego wodze. Snorri przewyciężył kiedyś słabość po takim zatruciu. – Renprow. – Skinąłem na ghula, który już wylądował obiema stopami na bruku mostu i zajmował się wpychaniem kolejnej strzałki do dmuchawki.

– Marszałku. – Renprow wyciągnął miecz i pogalopował w stronę ghula, znajdującego się o dziesięć jardów bliżej brzegu rzeki.

– Kurwa, oślepiłem! – Strażnik dotknął swoich oczu, zapominając o książętach i marszałkach. Jego słowa brzmiały bełkotliwie.

– Musisz się uspokoić – powiedziałem. – Niedługo ci się polepszy.

W tym momencie strażnik zsunął się z siodła z gracją worka owsa. Upadł na głowę i ramię z przyprawiającym o mdłości trzaskiem. Leżał rozciągnięty na ziemi z szyją wygiętą pod nienaturalnym kątem i jedną stopą wciąż w strzemieniu.

– To może się nie polepszyć – przyznałem. Zerknąłem na trwającą na moście kotłowaną, gdzie Darin i jego koledzy tłukli resztę trupów, po tym jak

stratowali połowę ich szeregów swoją szarżą. Przeniosłem wzrok na mego martwego towarzysza i kopnąłem jego konia najmocniej jak potrafiłem. Oczy strażnika otworzyły się nagle tuż przed tym, jak jego wierzchowiec zerwał się do biegu i pociągnął go w stronę mojego brata. Głowa trupa obijała się o każdą nierówność na drodze.

Głuchy łomot i odgłosy szarpaniny skierowały moją uwagę z powrotem na Renprowa i ghula. Jakimś cudem stwór ściągnął kapitana z siodła i walczył z nim teraz na ziemi, choć zarobił przy tym cięcie w bok. Obaj mieli w rękach noże – Renprow długi czysty kawał stali, a ghul zakrzywione, paskudnie wyglądające ostrze, równie ciemne jak jego skóra.

– Dalej, Kapitanie! – Wsparłem Renprowa moralnie z grzbietu Morda. Mimo swej szczupłej sylwetki ghul zdawał się posiadać niezwykłą krzepę. Jego nóż zbliżał się nieubłaganie do szyi Renprowa, choć mężczyzna ze wszystkich sił próbował go zatrzymać. – Ach, do diabła. – Ześlizgnąłem się z siodła i dobyłem miecza Edrisa Deana. Okazja sama się nadarzyła, więc podbiegłem bliżej i ciąłem ghula w szyję – w sumie musiałem zaledwie opuścić ramię – ostrzem tak ostrym i ciężkim, że myślałem, że mocniejsze uderzenie zdekapituje stwora i dosięgnie jeszcze Renprowa.

Okazało się jednak, że szyje są mocne jak diabli. Moje ostrze weszło z głuchym odgłosem na jakieś pół cala i zaklinowało się w kościstym kręgosłupie ghula. Jednak dzięki mojemu szarpaniu i licznym dźgnięciach w wątrobę poczwary ze strony Renprowa zdołaliśmy zatriumfować. Kapitan przetoczył się na czworaki, po czym dźwignął się, cały w ohydnej posoce, a ja spojrzałem za balustradę mostu, po czym gwałtownie cofnąłem głowę.

– Przynies z brzegu kamienie. Tylko duże!

– Co? – Renprow przerwał inspekcję zakrwawionej tuniki i spojrzał na mnie.

– Duże kamienie! Migiem!

Zaryzykowałem głupio, wychylając się z mostu, i strzałka ghula niemal zrobiła mi we włosach przedziałek. Podpora mostu była czarna od stworów. Cztery, pięć, pół tuzina? Trudno było powiedzieć, bo wspinały się po swoich towarzyszach, mokre i prawie gołe, a mimo to nie miały żadnych problemów ze znalezieniem punktów zaczepienia.

Stałem na środku mostu, świadomy, że ghule mogły się równie dobrze wspinać też z drugiej strony. Z dalekiego końca mostu wciąż dobiegały odgłosy walki. Nie mogłem ryzykować spojrzenia, by sprawdzić, jak szło Darinowi i pozostałym.

Gdy w polu widzenia pojawiła się pierwsza dmuchawka ghula, wyglądała jak czarny patyk wystający spomiędzy kamiennych filarów balustrady. Podbiegłem, zanurkowałem ślizgiem i wbiłem miecz w oczodół kreatury, gdy

wychyliła głowę, by wystrzelić strzałkę. Ghul spadł, nie wydając dźwięku, prawie wyrywając mi broń z ręki.

Zanim przeszedłem na drugą stronę, Renprow już się do mnie zbliżał, wykazując się dość szybkim tempem jak na człowieka obciążonego ciężarem czterech czy pięciu sporych kamieni z rzeki.

– Zajmij się tamtą stroną. – Upuściłem miecz i chwyciłem kamień z góry sterty z nowo odkrytym szacunkiem dla siły mojego niskiego towarzysza – głazik ważył tonę.

– Marszałku. – Renprow, dysząc, upuścił jeden kamień, po czym zataszczył pozostałe na miejsce, w którym przed chwilą zabiłem ghula.

Truczna, którą stwory pokrywały strzałki, czymkolwiek była, okazała się zdumiewająco wodoodporna, ale skoro pochodziła z moczarów Brettanii, to nie było się co dziwić. Tylko smucić. Podchodząc do balustrady, nie miałem złudzeń, co mnie czeka, jeśli zostanie trafiony strzałką. Już bym stąd zwiewał, ale zdawałem sobie sprawę, że największe szanse na przeżycie będę miał, jeśli dopadnę je podczas wspinaczki, a nie jeśli będę próbował uchylać się przed ich pociskami, biegnąc przez most.

– Nie wydaje mi się. – Dałem jeszcze jeden wielki krok i zdołałem postawić stopę na następnej dmuchawce, która wychyłała zza krawędzi mostu.

Stękając z wysiłku, dźwignąłem kamień nad balustradę i bez celowania upuściłem go na ghula, któremu już zdążyłem przygwoździć broń. Przy choćby odrobinie szczęścia głaz strąci w locie jeszcze parę stworów z podpory mostu. Tak szybko jak mogłem, chwyciłem drugi kamień i powtórzyłem akcję parę stóp dalej w prawo. Nie było satysfakcjonujących jęków rozpaczki i okrzyków cierpienia, ale mięsiste stuknięcia i towarzyszące im pluski brzmiały obiecująco.

– Trafiłem, Marszałku! – zawołał Renprow.

Kolejni mężczyźni zbliżali się do mostu Traktem Morano, drogą, którą przyjechali wcześniej kawalerzyści z Żelaznego Kopyta. Żołnierze, z całą pewnością z rodzaju tych żywych, wypełnili drogę od krawężnika do krawężnika, maszerując ramię w ramię pogrążeni w cieniu, bo słońce oświetlało już tylko szczyty dachów.

– Sprawdź po mojej stronie. – W roztargnieniu zamachałem na Renprowa, stojącego przy drugiej balustradzie, i ruszyłem w stronę nowo przybyłego oddziału. Zanim dotarłem do końca mostu, mogłem już dostrzec Martusa, jadącego w czwartym rzędzie. Wyglądał olśniewająco w napierśniku, stożkowym hełmie z osłoną na twarz i czepcem kolczym, spływającym mu na ramiona.

Widok Martusa i jego armii w końcu nappełnił mieszkańców wystarczającą pewnością siebie, by otworzyli parę okien i wychyliłi się, by wiwatować, gdy

mężczyźni maszerowali drogą. Ja czułem jedynie dręczący niepokój, dryfujący po morzu pierwotnego strachu. Przede wszystkim w ogóle nie chciałem szarfy marszałka, a ona zdawała się z każdą upływającą minutą upodabniać coraz bardziej do pętli.

Martus zatrzymał się pięćdziesiąt jardów od mostu, a jego żołnierze zaczęli wymijać go z obu stron, kierując się na oba brzegi rzeki.

– Kazałem ci zostać przy pałacu! – wrzasnałem, podchodząc do niego.

– Dobrze, że cię nie posłuchałem! – Podniósł osłonę hełmu, by móc ryknąć z maksymalną głośnością. – Mamy jeszcze tuzin albo więcej napadów na obu brzegach. Trzeba zmiażdżyć te stwory, zanim się tu rozpanoszą. Te trupy są jak plaga. Jeden produkuje drugiego i tak dalej...

– Do kurwy nędzy, jestem marszałkiem, a ty masz słuchać moich rozkazów! – Czułem się odrobinę głupio, krzycząc na niego, gdy siedział na swoim ogierze, ale nie miałem zamiaru pozwolić mu na samowolkę, nawet jeśli za publiczność mieliśmy zwykłych żołnierzy piechoty.

Kapitan Renprow podjechał do mnie, prowadząc Morda. Darin wyprzedził go na krańcowym odcinku mostu wraz ze sporą liczbą swoich ludzi, poturbowanych i zakrwawionych, ale raczej w jednym kawałku.

– Będziesz wykonywał moje rozkazy, Martusie. – Nie krzyczałem już, ale mówiłem na tyle głośno, by wszyscy mnie słyszeli. – Albo każę cię powiesić.

– Na wieszanie będą małe szanse. – Darin wjechał między mnie i Martusa, przerywając odpowiedź najstarszego brata. – Ale może tydzień w lochach... – Spojrzał znacząco na Martusa, ale zaraz skierował wzrok za niego i zmarszczył brwi. – Co to?

– Czerwony dym. – Spojrzałem tam, gdzie on. – Kurwa. Mury. – Czerwony dym był pomysłem, z którego byłem najbardziej dumny. Każda wieża przy murach została wyposażona w tuzin ogniowych proszków zawiniętych w papier, które po podpaleniu wydzielały wielkie kłęby czerwonego dymu. Pomysł był taki, że każdy nagły wypadek można było w ten sposób szybko zasygnalizować na terenie całego Vermillionu, szybciej niż za pomocą posłańców i dalej, niż poniosłoby się bicie dzwonów w kakofonii miasta. Jako bonus rzadkie sole używane do produkcji ogniowych proszków były drogie i wydobywane w kopalniach Crptipa, przez co spory zysk z ich sprzedaży wędrował bezpośrednio do mojej kieszeni. Ale teraz, widząc siedmioogoniasty tuman czerwonego dymu unoszący się z wież we wschodniej dzielnicy, chętnie zrezygnowałbym z całego dochodu, który uzyskałbym dzięki konieczności uzupełnienia zużytych zapasów ogniowych proszków.

– Gadasz od rzeczy... Marszałku. – Martus obejrzał się na dym nad głowami swych żołnierzy.

– Połowa strażników miejskich i dwa tysiące żołnierzy gonią niecałe dwie setki trupów wzdłuż brzegów rzeki. W międzyczasie na naszych miejskich murach siedmiu kapitanów wież zobaczyło coś, co wystraszyło ich na tyle, że zapalili sygnały alarmowe... – Każda wieża była wysoka na sześćdziesiąt stóp, zwieńczona blankami jak forteca i obsadzona załogami po dwadzieścia pięć osób, z miejscem na sto. Naprawdę nie chciałem wiedzieć, co sprawiło, że wszystkie siedem wież wzywało pomocy w tym samym momencie. – To nie jest atak – to dywersja!



– Na Boga, mam nadzieję, że Babka mianowała cię marszałkiem z dobrego powodu. – Oniemiały Darin dołączył do mnie na lewej z bliźniaczych wież, stojących po obu stronach Bramy Apijskiej. – Większość naszych kuzynów myślała, że to żart.

– Większość?

– Pozostali myśleli, że to kara.

Patrzyliśmy na peryferie Vermillionu, rozciągające się na pół mili od murów i jeszcze dalej przy Drodze Apijskiej, jakby desperacko pragnęły zedrzeć jeszcze kilka monet z każdego podróżnika na tyle głupiego, by wyjechać z miasta. Na przestrzeni przy bramach tłoczyły się trupy – mężczyźni, kobiety, dzieci – szare, obłożone ze skóry ciała w strzępach swoich grobowych ubrań i świeże zwłoki, wciąż szkarłatne od śmiertelnych ran. Milcząca chmara zajmowała miejsce wokół murów, z tyłu wzdłuż głównej drogi, cisnęła się w ciasnych uliczkach między domami.

Nawet sześćdziesiąt stóp wyżej, w powiewach wietrzyku, smród był trudny do zniesienia, drapał mnie w gardle i kłuł w oczy. Dość spora liczba posiłków została wyrzygana na mury. Widok i zapach pierwszego chodzącego trupa tak właśnie działał na człowieka.

– Nie kazałem strzelać żadnym łucznikom – odezwałem się do Renprowa, na którym krew już zasychała po naszej pospiesznej jeździe z mostu. W licznych zwłokach najbliższej Bramy Apijskiej tkwiły już po dwie, trzy, czasem pięć strzał, wbitych w ramiona i klatki piersiowe. Jedna staruszka miała grot w oku. – To marnotrawstwo.

– Powtórzę im rozkazy, Marszałku. Ludziom trudno nie strzelać, kiedy wróg się do nich zbliża.

Odesłałem go machnięciem ręki. Na szczycie wieży zgromadzili się strażnicy murów, w większości mężczyźni w średnim wieku, wielu miało spore brzuchy i siwe włosy. Myśleli, że będą się spokojnie przechadzać po murach stolicy przez lata, które im jeszcze zostały. Głównym zadaniem strażników murów Vermillionu jest wypatrywanie pożarów. Poza tym pełnią w zasadzie funkcję

rezerwy dla strażników miejskich i jedyną rozrywką, jakiej doświadczają, jest wezwanie do zejścia do miasta, by wspomóc rozproszonych braci noszących miejską czerwień.

– Na bok! – Za moimi plecami Martus przepychał się między strażnikami, rycząc na tych, którzy nie odsuwali się dość szybko. – Z drogi! Jestem cholernym księciem. Każę... Dobry Boże... – Wybuch złości Martusa ucichł w pół zdania, gdy ten zmrużył oczy, patrząc na martwe hordy na tle zachodzącego słońca. – Dobry Boże. – Pobladł. – Nigdy nie widziałem czegoś... takiego.

– Ja widziałem. – Wychyliłem się, opierając dłonie na blankach. – Widziałem gorsze rzeczy. – I w tym momencie zdałem sobie sprawę, że choć strach opanował mnie od stóp do głów, nie było to paralizujące przerażenie, którego doświadczalem wcześniej przy tak wielu okazjach. Wtedy pomyślałem, że rozumiem, dlaczego Babka wybrała mnie na Marszałka. – Widziałem piekło. – Podniosłem głos. – Widziałem piekło, i to mu się nie równa. Jesteśmy ludźmi Czerwonej Królowej, a za plecami mamy cały Vermillion. Banda powłóczących nogami trupów nam go nie zabierze!

Zostałem nagrodzony niespodziewanymi wiwatami. Szczerze mówiąc, to Renprow je zainicjował, ale chodziło o to, że ludzie wokół mnie stracili odwagę i parę śmiałych słów od przestraszonego człowieka sprawiło, że odzyskali choć jej część.

– Jak, na Boga... – Martus znów zapatrzył się na tłumy za murami – ...armia trzech tysięcy trupów zdołała podejść do miasta i nikt nas nie zaalarmował?

Darin potarł kilkudniowy zarost na brodzie.

– Przecież ich można zwać z odległości mili! Jal, czy ty wysłałeś *jakichkolwiek* zwiadowców?

Spojrzałem na obu moich braci. Niektórzy nazywali ich bliźniakami, chociaż Martus był cięższej budowy, a Darin miał ostrzejsze rysy. Nikt nigdy nie nazwał nas trojczkami, ale po prawdzie, gdybym był dwa cale wyższy, w słabym świetle moglibyśmy za nie uchodzić. Choć często twierdziłem, że ich nie lubię, miło było mieć u boku kogoś z rodziny – kogoś na tej wieży, kto naprawdę nie oczekiwał, że rozwiążę każdy problem i wszystko naprawię.

– Wysłałem na szeroko zakrojone patrole ponad setkę ludzi. Poza tym żadna armia nie zdołałaby przejść przez Czerwoną Marchię tak, byśmy nie otrzymali żadnych wieści z miasteczek i wiosek. To... – wskazałem palcem naszych wrogów – ...zostało stworzone tu, na miejscu. Większość pewnie zginęła w swoich domach w ciągu ostatnich paru godzin, kiedy my goniliśmy ghule nad rzeką. – Ciekawe, ilu nekromantów mogło się kryć w zaułkach lub pracować na zasłanych liśćmi skwerach, przechodząc między rzędami moich ludzi, świeżo

zabitych i leżących na bruku, rodzina obok rodziny.

– Co zrobimy? – zapytał Darin. Dawniej powiedziałby mi, co mamy zrobić, pusząc się przy tym elegancko. Popatrzyłem na niego, mrużąc oczy i zastanawiając się, co nim kierowało. Wtedy przypomniałem sobie o siedmiu funtach różowego ciała, które niedawno przyszło na świat. Misha wcisnęła mi dziecko w ramiona, kiedy ona i Darin w końcu osaczyli mnie parę dni temu w Rzymskim Pawilonie. Maleństwo.

– Daliśmy jej na imię Nia – powiedziała Misha. Spuściłem wzrok na dziecko nazwane po mojej matce i odkryłem, że zapiekły mnie oczy.

– Lepiej zabierzcie tę małą bestyjkę, zanim zmoczy mi koszulę – rzekłem i oddałem bratanicę jej mamie, ale już było za późno. Pradawna magia, w której dzieci są mistrzami, już zalała mi za skórę, zalewając mnie szybciej niż siki, wymiociny czy inne płyny ustrojowe, którymi niemowlęta tak chętnie się dzielą. Mimo że przez całe życie unikałem podobnych obowiązków, okazało się, że nie miałem dostatecznej wprawy, by ignorować to dziecko tak jak wszystkie inne. O ile gorzej musiało wyglądać bycie ojcem?

Darin wziął Nię na rękę i podniósł.

– Jeśli moja mała zechce zapaskudzić pawie piórka swojego wujka, to znaczy, że ma dobry gust. – Ale się nie obraził. Widział, że coś mnie ogarnęło, gdy trzymałem dziecko, mimo że próbowałem to ukryć, i posłał mi znaczący, bardzo irytujący uśmiech.

– Co rozkażesz, Marszałku? – zapytał kapitan Renprow, przywołując mnie z powrotem do horroru na wieży i armii Martwego Króla.

– Co rozkażę? – Ponownie spojrzałem na trupy pod nami. – Nie wydają się stwarzać wielkiego zagrożenia dla głównej części miasta. Nie mają machin oblężniczych, lin ani łuków. Planują nas zanudzić na śmierć? – To nie miało większego sensu. Słyszałem dalekie krzyki, niesione przez wiatr z zewnętrznych dzielnic.

– Tam jest moja żona. – Mężczyzna w grafitowoszarym stroju strażnika murów, zwykły szeregowy żołnierz. Wskazał na niewysokie wzniesienie, na którym górował kościół, a wokół stały kręgi domów, jak zmarszczki na wodzie. W szczęce zadrgał mu mięsień. – Moi synowie i ich dzieci są dalej w stronę Pendrastu. – Machnął ręką, wskazując inne okolice, gdzie dym unosił się nad krytymi gontem dachami. – A tam...

– Zamilczcie, żołnierzu! – odezwał się zwalisty sierżant z czerwoną twarzą.

– Według ostatniego spisu ludności poza murami miasta mieszkają dwadzieścia trzy tysiące osób, Marszałku. – Renprow zaraportował liczbę przenikliwym głosem.

– Mam nadzieję, że uciekają. – Miałem nadzieję przez wzgląd na nich i na

nas. Jeśli hordy trupów zwiększą szeregi o kolejne dwadzieścia tysięcy rekrutów, będą mogły otoczyć miasto tak skutecznie, że będziemy oblężeni.

– Czy nie moglibyśmy... – Darin nie dokończył zdania. Wiedział, że odpowiedź będzie brzmiała „nie”. Nie mogliśmy wyjść za mury.

– Nie mamy tylu ludzi.

Za naszymi plecami grupa żołnierzy przeciągała na wyznaczone miejsce skorpiona, masywną maszynę z żelaza, drewna i lin, zdolną wyrzucić ciężką włócznię na czterysta jardów. Z bliska dało się nią miotnąć we frontowe drzwi domu, wybić dziurę w trzech osobach stojących za nimi i na koniec przebić jeszcze tylne drzwi.

– Nie możemy stać tu przez cały dzień i się gapić – powiedziałem. – Mamy na ulicach trupy i bagienne ghule. Trzeba je zmiażdżyć bez litości.

Trzech z czterech kapitanów straży miejskiej dołączyło do nas na szczycie zatłoczonej wieży. Podeszli, gdy przywołałem ich skinieniem dłoni. Ich dowódca, lord Ollenson, nadzorował operację nad rzeką – to, albo jutro rano uda się na ścięcie własnej głowy – ale alarm z murów przywiódł do mnie kapitanów Danakę, Folerniego i Frederica.

– Danaka, weźmiesz trzy plutony i udasz się do północnej strażnicy. – Dwie wieże górowały nad Seleen w miejscu, w którym rzeka wpływała do miasta. Stały w wodzie jako krańce murów. – Frederico, trzy plutony do południowej strażnicy. – Fortyfikacje w miejscu, gdzie rzeka wypływała z miasta, były mniej groźne. Gdyby jakieś łodzie zechciały tamtędy dostać się do Vermillionu, walczyłyby z prądem, wolne i nieporęczne.

Odwróciłem się do Folerniego, żyłastego jak koza mężczyzny, który miał bielmo na lewym oku, a brew nad nim i policzek pod nim przecięte blizną. Jego wygląd przywiódł mi na myśl Milczącą Siostrę i na chwilę zamilkłem. Zanim zdołałem ponownie się odezwać, rozległo się okropne wycie, które zagłuszyłoby moją wypowiedź. Na taki dźwięk nawet posągi zaczęłyby uciekać. Odwróciłem się powoli w stronę murów, choć hałas odebrał mi odwagę i wcale nie chciałem tam patrzeć.

Odnalazłem wzrokiem jakieś zamieszanie za tłumem trupów okupujących Drogę Apijską. Kilkaset jardów dalej na głównej drodze coś się stało z umarłymi, powłóczącymi nogami w kierunku murów. Wyglądało to niemal, jak gdyby fala przeszła przez ich szeregi. Ich głowy nagle się podniosły, zwłoki stały się okropnie czujne, a ich usta rozwarły się szeroko w tym przeraźliwym krzyku. Może tylko świeżo zabite trupy potrafiły krzyczeć, ale brzmiało to, jakby dźwięk dobiegał z dawno nieużywanych, rozkładających się płuc – głos z grobu, jakby przemawiała sama śmierć, i to nie spokojnie. Na zmianę wznoszące się i opadające wycie było przepelnione groźbą, obietnicą

najgorszego bólu.

W każdym miejscu, w którym zaszła owa zmiana, zwłoki poruszały się szybciej, z dziką energią, wdrapując się na budynki, by niszczyć dachy, szukając pozostałych przy życiu ludzi, tłukąc w drzwi i zrywając się ku nam z entuzjazmem, który sprawił, że mury miasta wydały się nagle nieadekwatne do zagrożenia. Usłyszałem z boku skrzywienie łuków.

– Nie strzelać.

Fala „rozbudzenia” przesuwała się miarowo w stronę bram, zwarty tłum żywoźniejszych trupów rzucił się do przodu. Ale ja coś dostrzegłem. Gdybym nie spędził trochę czasu w piekle, byłbym zbyt zafascynowany horrorem owego widowiska, by skupić się na szczegółach, ale zaświaty mnie zmieniły. Zobaczyłem, że na tyłach atakującej grupy martwi ponownie zaczęli się potykać, znów bardziej podobni do lunatyków niż do rosomaków.

– Skręcają! – zawołał Martus, zagłuszany przez wycie trupów.

Na początku wydawało się, że miał rację, ale to nie martwi skręcali, tylko przyczyna owej zmiany, która na nich oddziaływała. Fala aktywności zmarłych przesunęła się w lewo sto jardów przed bramami. Trupy, które były, domagając się naszej krwi, znów ucichły i sposepniały, zaś okrzyk przejęli nagle kolejni martwi, ich żony i dzieci na ulicach z lewej strony Drogi Apijskiej.

– Jakby... – odezwałem się do siebie. Jakby trupy czuły jakiś obmierzły gorąc, wywołujący w nich dzikość, a rzecz, która wydzielala ów gorąc... się poruszała. Próbowałem znaleźć centrum owej zmiany... i dostrzegłem je, przesuwany się punkt, który wyglądał jak zakładka w materii świata, ukrywająca coś, czego oczy nie powinny dostrzec. – Tam! – zawołałem, wskazując palcem miejsce. – Tam! Widzicie?

– Widzimy co? – Martus przepchnął się do muru i stanął obok mnie.

– Coś... tam jest. – Darin z drugiej strony mrużył oczy. – Coś... jest nie tak.

– Ja nic nie widzę! Gdzie, do cholery? – Martus osłaniał oczy dłonią przed promieniami zachodzącego słońca.

Zacząłem śledzić wzrokiem poruszający się punkt, gubiąc go, gdy znikał za domami, i odnajdując znowu. Miejsce, gdzie światło zdawało się załamywać. Martwy punkt dla oka. I wtedy, tylko na moment, zdołałem go dostrzec. Może zachodzące słońce pomogło mi, dając namiastkę widzenia w mroku, które przynosiła z sobą Aslaug, a może w piekle wzrok dostosował mi się do dostrzegania rzeczy, których ludzie nie powinni widzieć. Mignięcie ruchu, niemożliwie chude ciało białe jak nerwy, owiane całunem szarości, może jakąś duchową substancją, duchami ludzi spowijającymi liczkina niczym szata.

– Kurwa.

– Co? Co to jest? – Darin wciąż wyteżał wzrok.

– Liczkin – odparłem. Liczkin – jeden z pasożytów, które Edris i inni nekromanci wykorzystywali jako jeźdźców dla nienarodzonych dzieci, które zginęły z ich ręki. Właśnie taki stwór niewolił moją siostrę i pragnął w jej ciele przedostać się do świata żywych. Ale tutaj mieliśmy nagi okaz, który włamał się do tego świata przez Bóg wie jaką szczelinę i był nieco mniej niebezpieczny niż nienarodzony, z tego co widziałem w piekle.

– Gdzie on się kieruje? – zapytał Martus.

Wycie cichło, im bardziej liczkin się od nas oddalał.

– Na polowanie – odparłem i poczułem na sobie wzrok Babki równie mocno jak wtedy, gdy stałem przed tronem, patrząc jej w oczy, którym nic nie dorównywało hardością, w których nie było ani krzty ustępstwa. Przypomniałem sobie moment, gdy w końcu otworzyłem etui ze zwojem, które dał mi Garyus, jak zobaczyłem pieczęć Czerwonej Królowej i złamałem ją, by zobaczyć słowa napisane jej ręką. *Marszałek Vermillionu*. I notka: *Twierdzisz, że widziałeś obronę Ameroth. Módl się, byś pojął płynącą z niej naukę, i módl się mocniej, byś nigdy nie musiał udowodnić, że ją pojąłeś.*

Za moimi plecami stała setka mężczyzn, za nimi leżało miasto, którym miałem dowodzić i którego miałem bronić. Podczas wszystkich moich przygód na terenach Rozbitego Imperium nigdy równie mocno nie pragnąłem znaleźć się właśnie w innym miejscu. Spojrzałem na dachy, wszystkie pogrążone już w cieniu, i niebo rozpalone czerwienią nad chowającym się słońcem.

– Spalcie wszystko.

Wycie było już niemal niesłyszalne, martwi przed nami stali w ciszy. Nikt się nie odezwał. Słyszałem łopotanie flag, szept wiatru i daleko za murami krzyk ulicznego sprzedawcy zachwalającego swój towar.

Odwróciłem się i podszedłem do skorpiona. Mężczyźni rozstępowali się przede mną.

– Spalcie wszystko. – Klepnałem dłonią ciężką włócznie załadowaną do maszyny. – Szmaty i olej. Celujcie w dachy. Przekażcie rozkaz do wszystkich wież.

Martus obrócił mnie ku sobie.

– To szaleństwo! Co, do diabła, jest z tobą nie tak?

– Nie jesteśmy w stanie obronić zewnętrznych dzielnic. Do rana wszyscy tamtejsi mieszkańcy zginą i zasilą szeregi armii u naszych bram.

– Nie jesteś przy zdrowych zmysłach! To niewłaściwe. – Martus potrząsał mną, podnosząc głos. Ze wszystkich stron szepty zaczęły popierać jego sprzeciw.

– Poprowadziłbyś tam Siódmą? – Kiwnąłem głową w stronę pogrążających się w mroku zaułków poza murami. Z oddali dobiegły nas krzyki, włamano się

do kolejnego domu.

– Cóż... ja... – Martus wykrzywił usta w zapowiedzi jednego ze swych wybuchów wściekłości. – To by było szaleństwo.

– Nie pozwoliłbym ci na to. – Odtrąciłem go i odszukałem strażnika, który wcześniej pokazał mi swój dom przy wzgórzu z kościołem. – Ty. Jak się nazywasz?

– Daccio, Wasza Wysokość. – Wyglądał na przygaszonego, jego gniew wyparował, choć pokazywał się teraz na twarzach jego przyjaciół.

– Daccio. Przykro mi, ale twoja żona już nie żyje. Synowie też. Albo chowają się w domach, czekając na ratunek. – Popatrzyłem na strażników murów w ich szarych mundurach. – Zamierzacie ich uratować? Czy strażnicy z murów zejść z nich po raz ostatni i wyruszą tam, gdzie lęka się iść Siódma Armia? Czy tych ludzi znajdzie liczkin? Jeśli nic nie zrobimy, o świcie spojrzycie na swoje zakrwawione rodziny stojące u naszych bram. – Chwyciłem szmatę spod podstawy skorpiona, zatłuszczony strzęp używany do oliwienia ramion łuku, by nie zardzewiały. – Ogień jest czysty. Lepiej spłonąć, niż pozwolić się zabić tym kreaturom. A dym i zamieszanie przy wielkim pożarze dadzą naszym ludziom najlepszą szansę na ucieczkę. – Wcisnąłem szmatę w dłoń Daccia. – Zrób to.

Tak też uczynił.



Liczkin powrócił, zanim płomienie rozszalały się na dobre. Zostałem na wieży, bo musiałem patrzeć, choć wcale tego nie chciałem. Darin trwał przy mnie. Martus odszedł, by pokierować Siódmą. Miał porozysłać żołnierzy setkami w najbardziej zagrożone miejsca na murach. Każdy oddział miał swojego kapitana. Na mój rozkaz pięciuset ludzi z Siódmej wraz z Martusem miało zostać w rezerwie w pałacu. Powiedziałem Martusowi, żeby zażądał, by pałacowa straż – jakieś czterysta osób, głównie weteranów – została odesłana pod moją komendę.

Martwi zaczęli się gromadzić przy Bramie Apijskiej i tłum w tym miejscu stopniowo gęstniał, mimo że mój rozkaz został wydany i głębokie brzęknięcia skorpionów rozbrzmiały na murach. Ogień się rozprzestrzenił – tu dach, tam wóz, pomarańczowe płomienie wysuwały języki, głodne nowych smaków, a nieokiełznana chmura dymu unosiła się nad trupami.

– Ludzie nigdy nam tego nie wybaczą. – Darin patrzył na ogień z niedowierzaniem w oczach.

– To mi nigdy nie wybaczą – powiedziałem. – A gdybyśmy tego nie zrobili, nie zostałyby nikt, kto mógłby wybaczyć.

– Nigdy nie sądziłem, że byłbyś do tego zdolny, Jal. – Barras Jon odszukał mnie, zdeterminowany, by też przyczynić się do obrony. Wyglądał jak rycerz gotowy do stanięcia w szranki w swej vyeneńskiej zbroi wykutej według najnowszej blaszkowej mody. Na każdej płycie miał wytłoczone róże, swe rodowe symbole. – To wygląda jak piekło.

– Coraz bardziej.

Noc była ciemna i bezksiężycowa, ale ogień, które wznieciliśmy, zaczęły oświetlać okolicę w niezaprzeczalnie piekielny sposób. Barras otarł twarz, rozmazując na bladym policzku płatek popiołu. Wydawało się to obłąkane – my dwaj w tym miejscu, wpatrzeni w armię trupów w blasku rosnącego inferna, które było Vermillionem. Oczekiwałem, że spojrzę w twarz Barrasowi znad pucharu wina, albo zobaczę ją pałającą z emocji na wyścigach, nieobramowaną żelaznym hełmem, z oczyma szeroko rozwartymi z

przerażenia. Opuścił przyłbicę z otworami, teraz jeszcze bardziej obcy.

Przez dym i płomienie zobaczyłem, że po części udało mi się przewidzieć zachowanie ludzi. Ze strachu przed pożogą wybiegali z kryjówek w swoich siedzibach i biegli w stronę otwartej przestrzeni. Mieli większe szanse na przeżycie podczas przymusowej masowej ucieczki, niż gdyby czekali, aż trupy włamią im się do domów. Kiedy liczkin by się zbliżył, rozszalałe zwłoki potrzaskałyby drzwi i nie byłoby już ucieczki. Teraz przynajmniej ludzie mierzyli się z chodzącymi trupami, które powłóczyły nogami, a nie przebierały nimi żwawo.

W dodatku sama liczba uciekających mieszkańców, wraz z rosnącymi płomieniami i gęstym dymem, spowodowała takie zamieszanie, że wielu poddanych Babki naprawdę miało szansę wyrwać się stąd i oglądać nocne wydarzenia z bezpiecznego miejsca na jakimś samotnym polu uprawnym albo z odległego skrawka lasu. Mimo to, gdy patrzyłem, jak uciekali, wiedziałem, że wielu będzie zbyt sparaliżowanych ze strachu przed horrorem rozgrywającym się na zewnątrz, by wyjść z domów, choć dym będzie wpętał do środka przez szczeliny pod drzwiami, a płomienie zaczną pożerać dachy. Gdybym zdołał niedawno cokolwiek zjeść, pewnie dodałbym coś od siebie na poplamione wymiocinami mury.

– Po prostu nie rozumiem, w jaki sposób mogą nas skrzywdzić – powiedział stojący obok mnie Darin, jakby pragnął usłyszeć potwierdzenie. – Nie mają broni. Nie przebiją murów i nie otworzą bram. Nie potrafią się wspinać... te tutaj tylko powłóczą nogami, a nawet gdy się złoścą, nie pokonają fortyfikacji. Nie mają lin, drabin, niczego...

Ja nie miałem dla niego odpowiedzi. Mimo to niewiedza wywoływała we mnie raczej strach, nie pewność siebie.

– Chryste, co to? – Barras Jon obrócił się ze szczękiem, niemal nadziewając przy tym strażnika na swój miecz.

– Widziałbyś lepiej, gdybyś to ściągnął. – Darin zabębnił kłykciami w wielki hełm Barrasa. Dalsze żarty zastygły mu na wargach, gdy on też usłyszał wycie trupów.

– Liczkin wraca. – Ryk, cichy, lecz naładowany takim zagrożeniem, że mógłby wydrążyć człowieka, dobiegł nas z zachodu. Szeregi trupów potroili się, odkąd liczkin zniknął, z każdą minutą przybywało ich coraz więcej. Martwi odczuwali jakiś podstawowy lęk przed ogniem na tyle, by się od niego odsuwać, ale że brakowało im już miejsca, ci najbliższej płonących budynków zaczęli się tlić. Zobaczyłem młodą kobietę w niebieskiej sukience – może córkę kupca – bez żadnych widocznych oznak napaści, która zapłonęła jak pochodnia obok gorzejącej gospody. Piłem tam kiedyś piwo, chociaż nie

mogłem sobie przypomnieć nazwy tego miejsca. Włosy kobiety zapaliły się jak ognista aureola, a ona sama zaczęła wspinać się po plecach innych truposzy, by uciec od gorąca.

Trudno było oszacować liczbę napastników z powodu dymu i gęstej zabudowy, zasłaniającej wiele uliczek, ale żadna z obecnych przy mnie osób nie zaprzeczała, że u bram Vermillionu zgromadziło się jakieś dziesięć tysięcy trupów. Hałas narastał, a szybkość, z jaką się zbliżał, była przerażająca.

– Nadchodzi! Do broni! Bronicie swego miasta! – wykrzyczałem ponad narastającym wyciem, gdy gdzieś w ciemności, w rozprzestrzeniającym się pożarze, pędził na nas liczkin.

Potwór przemknął między tysiącami zwłok tak szybko jak cwałujący koń, kierując się ku bramom. Wychyliłem się tak daleko, jak śmiałem, by śledzić go wzrokiem, ale prędko zniknął pod stróżówką tuż przed wejściem do Vermillionu.

Gdy walnął w bramę, trupy w tamtym miejscu rozszalały się, uderzając w drewno i rycząc. Wyobraziłem sobie pięści tłukące w deski tak mocno, że kości pękały w drzazgi. Bębnienie osłabło, ale szarpiące nerwy krzyki rozbrzmiały głośniej, gdy masa ciał parła naprzód, powoli, lecz nieubłaganie zwiększając nacisk. Bramy zaczęły trzeszczeć, najpierw jak dom osiadający w nocy, potem głośniej, serią wysokich skrzypnięć, gdy drewno nie ustępowało. Słysząc było głęboki jęk, gdy zasuwę też się naprężyły, trzy potężne, okute żelazem rdzenie z serc tysiącletnich dębów. Ostry brzęk, gdy jeden z nitów wystrzelił z gniazda.

– Posłać na dół ludzi! Niech pchają w drugą stronę. – Moja niezachwiana wiara pokładana w wytrzymałość bram trwała niecałą minutę. – Szybko, kurwa! Chcę tam natychmiast trzystu ludzi! – Sam chciałem być tam na dole i przyłożyć ramię do drewna, ale musiałem patrzeć.

Wychyliłem się z blanek, by spojrzeć na dach stróżówki nie tak daleko pod nami. Żołnierze mieli tam dwa olbrzymie kotły oleju podgrzewanego do wrzenia na rozżarzonych węglach.

Barras przepchnął się do mnie, rozdając kuksańce łokciami.

– Myślisz, że trupy w ogóle zauważą wrzący olej? – W jego głosie brzmiała mieszanka pesymizmu i nadziei. Znałem dobrze ten ton z długich nocy przy stoliku do gry w kości, gdzie stracił fortunę, i z innych przy stoliku do gry w karty, gdzie fortunę wygrał... głównie ode mnie.

– Może im przeszkodzi... trochę. – Wzruszyłem ramionami. – Chodzi głównie o to, żeby ludzie mieli zajęcie. W takich chwilach lepiej coś robić, niż pozwolić, by strach złapał cię w szpony.

– Płonący olej – to by było coś! – zawołał Barras. – Dałby im popalić!

– Tylko idiota wznieca pożar pod własną bramą, Barrasie. – Dołączył do nas

Darin.

Rzadko popieram raczej brata niż przyjaciela, ale tym razem miał rację.

– Ogień nie będzie się palił, to mineralny olej z Attaru. Można nim zgasić ognisko. Kosztuje krocie, ale lepiej wylewać na wroga pieniądze niż coś, czym mógłby podpalić nasze bramy!

Darin uniósł brew.

– Znasz się na swojej robocie, bracisz...

– Jestem cholernym marszałkiem, Darinie.

– Znasz się na swojej robocie, marszałeczku. – Wyszczrzył zęby.

– Pilnie się uczę, gdy w grę wchodzi moje bezpieczeństwo. – Darin nigdy do końca nie wierzył w tę całą historię mojego bohaterstwa na Przełęczy Aralskiej, a ja nie czułem potrzeby udawania dla niego.

Mężczyźni przy kotłach podnieśli na mnie wzrok, widząc, że mieli widownię.

– Wylewać! – krzyknąłem. Nie było śladu nekromantów, ale zawsze istniała szansa, że wmieszali się między trupy, ukrywając się na widoku. Edris Dean nauczył mnie, że nie byli zwykłymi ludźmi, ale mimo to przysznic we wrzącym oleju bez wątpienia zepsułby im dzień.

Na mój rozkaz żołnierze zaczęli odsłaniać otwory w machikule i przygotowywać podpory do przechylenia kotłów.

Olej polał się w dół z satysfakcjonującym skwierczeniem, ale niech mnie diabli, jeśli usłyszałem choćby najmniejszą zmianę w tonie krzyków pod nami.

– Do licha. – Straciwszy nieco zapał, wróciłem na swe stanowisko obserwacyjne z przodu wieży.

Przez dziesięć minut wyjące truposze rzucały się całym ciężarem na Bramę Apijską. Każdy trzask i jęk drewna ściszał i skręcał mi wnętrzności lodowatą pięścią. Liczkin przemieszczał się do przodu i do tyłu, wbiegał do stróżówki i z niej wybiegał, posyłając na bramy narastające fale wściekłości. Usłyszałem rozszczepiające się drewno i zagryzłem wargę, by nie dodać do mieszanki dźwięków nuty własnego zwątpienia.

– Pożar rozszalał się na dobre. – Darin zakrztusił się dymem, jakby na poparcie swego twierdzenia. Wlepiałem wzrok w plecy nacierających trupów, ale gdy spojrzałem na zewnętrzne dzielnice, zobaczyłem, że mój brat mówił prawdę. Górne piętra kilku domów stojących najbliżej murów zapadły się, posyłając w górę olbrzymie kolumny płomieni sięgających wyżej niż fortyfikacje, strzelając w powietrze iskrami i rozżarzonymi cząstkami. W całej zewnętrznej części miasta ogień skakał z dachu na dach, gonił po płotach, lizał progi budynków. Wszędzie stały spalone i pokryte pęcherzami zwłoki, na niektórych do reszty zwęgliły się włosy i odzienie. Dostrzegałem też inne

szczątki, skulone pośród rozprzestrzeniającej się pożogi. Przez chwilę pomyślałem o Ojcu na pogrzebowym stosie.

Zakaszlałem i przycisnąłem wnętrza dłoni do piekących oczu.

– Przesuwają się!

Liczkin przemknął między szeregami trupów, porzucając napaść na bramy. Ogień zabrał naszym wrogom luksus czasu. Generał mógłby się wycofać na pobliskie farmy, zaczekać w oliwnych gajach i wrócić następnego dnia, ale wydawało mi się, że truposze i duchy stawiały bardziej na żywioł niż na strategię. Rzeczy, które wiedziałem o Martwym Królu, a była ich ledwie garstka, wskazywały, że nie był taktykiem, a niszczącą siłą, nieświadomie kierowaną przez machinacje Błękitnej Damy.

Martwi się nie wycofali, a liczkin nie próbował uciec od płomieni – zamiast tego oddalał się od nas wzdłuż murów, jakby szukał słabych punktów.

Dwieście jardów na wschód trupy, które wcześniej czuwały w milczeniu przy fortyfikacjach, teraz ożywiły się i zaczęły drapać podstawę wieży stojącej tak blisko murów, że gdyby człowiek na jej szczycie rzucił włócznią w wartownika, miałby spore szanse go trafić.

Przed paroma dniami odwiedziłem tę budowlę – wieżę ciśnień obsługującą bogate siedziby kilku kupców, których stać by było na życie w obrębie miasta, ale za to w znacznie mniej okazałych rezydencjach. Wieża zapewniała wodę również dobrze prosperującej kuźni, która spełniała potrzeby różnych kołodziejów, ludzi naprawiających wozy i osób sprzedających zaopatrzenie przy Drodze Apijskiej tuż za bramami Vermillionu.

Zdumiałem się, że Babka zezwoliła, by wieża stała tak blisko murów, choć sama często groziła wyburzeniem przedmieść przy najmniejszym choćby zagrożeniu wojną. Okazało się, iż pozwolenie wydano na podstawie tego, że budowla miała za zadanie runąć. Solidne drewniane przypory podpierały ścianę wieży. Bez nich by się zawaliła. Zamiast pełnić funkcję platformy, z której łucznicy mogliby wytrzebić strażników na murach, wieża była śmiertelną pułapką. Żelazne belty wystrzelone ze skorpionów w podpory przewaliłyby wieżę, zabijając wszystkich wrogów znajdujących się w środku i, gdyby dobrze poszło, jeszcze całkiem sporo innych wokół budowli.

– Co, do licha... – Wieża zawaliła się, zanim zdołałem dokończyć. Ponad dwadzieścia trupów roztrzaskało się w lawinie kamieni i belek.

Kolejne ożywione obecnością liczkin trupy zbliżyły się do kupy gruzu, spowitej teraz tak dymem, jak i pyłem. Chwilę później już pracowały, ciągnąc pokruszone kamienie w stronę muru. Martwi mężczyźni dźwigali grube, porozszczepiane dźwigary, martwe dzieci wlekły mniejsze kawałki. Następne trupy zbiegły się z pobliskich ulic, pchając wozy, fury, drzwi wyrwane z

domów. Zwały to wszystko na bezładną stertę pod murami.

– Budują rampę! – Darin zacisnął dłonie na blankach. – Musimy tam zejść.

Parapet forteczny w tej sekcji, jak i we wszystkich pozostałych, był licznie obsadzony, choć starymi żołnierzami ze straży murów. Coraz więcej osób zbiegało się nań z obu stron.

– Musimy ich powstrzymać, oto, co musimy zrobić, a nie stać i czekać, aż oni powstrzymają nas. – Ruszyłem w stronę schodów wieży, ale po chwili skręciłem w kierunku blanków nad bramami. Puste kotły stały nad otworami, dymiąc lekko.

– Napęlczyć je ognistym olejem! – Gestem zwróciłem uwagę żołnierzy przy skorpionie, który został przesunięty na przód naszej wieży. – Zrzućcie to na nich. – Mieli małe baryłki substancji i pojemniki smoły, ale zużyli wszystko do podpalenia przedmieść. – Wy! Wy wszyscy! – Wskazałem na strażników murów stojących za nami. – Biegnijcie do pozostałych wież, przynieście ich zapas ognistego oleju i smoły.

– Jaj, oni obrzucają trupy kamieniami! – ryknął Barras z drugiej strony wieży, oglądając się na mnie. Miał uniesioną przyłbicę i wypieki na twarzy. – To powinno załatwić sprawę!

Podbiegłem do niego, by zobaczyć sytuację. Strażnicy wtaszczały na mury kamienie, niektóre tak duże jak ludzkie głowy, większość o wiele pokaźniejszych. Mężczyźni z taczkami spieszyli dowozić więcej amunicji ze stert głazów ułożonych wzdłuż parapetu. W dole panowała jatka, głowy trupów pękały od zrzucanych na nie pocisków. Inne zwłoki, zgięte w trakcie dokładania do stosu własnych kawałów kamienia, padały połamane po tym, jak obrywały w plecy.

– To działa! – zawołał stojący obok mnie kapitan Renprow.

– Tak, ale nie na naszą korzyść – odparłem, mrużąc oczy i patrząc na stos, starając się przebić wzrokiem tańczącą chmurę pyłu i dymu. Żaden z otaczających mnie mężczyzn nie rozumiał trupów ani ich króla tak jak ja. Odwróciłem się do Renprowa. – Każ im przestać! Najszybciej, jak się da. Tylko pomagają im usypać tę rampę. – Deszcz kamieni i zmiażdżone przezeń ciała piętrzyły się u podstawy muru. Nowe trupy zastąpiły poprzednie, wyładowując swój ładunek gruzu i drewna na drgających szczątkach pod swoimi stopami. – Musimy wzmocnić to miejsce. Poślij tam żołnierzy Martusa. – Nie pokładałem zbyt wiele wiary w strażników murów, ale nie powiedziałem tego na głos. Wiek może i czyni człowieka mądrzejszym, ale również bardzo spowalnia rękę trzymającą miecz. Nigdy nie wydawało się prawdopodobne, że Vermillion zostanie zaatakowany, a już na pewno nie bez żadnego większego ostrzeżenia. Plan wysyłania starych żołnierzy na emeryturę do straży murów

wydawał się kiedyś rozsądny. Teraz już nie.

Minęły wieki, zanim wiadomość została dostarczona. Dopiero po kilku minutach wiano do kotła pierwszy ładunek ognistego oleju. Przy wyciu trupów i rosnącej rampie zdawały się one wiecznością. Nawet zmuszenie strażników, by przestali zasypywać wroga deszczem kamieni, zajęło minuty w okolicznościach, w których niemiłosiernie dłużyły się sekundy.

– Nigdy nie zdołają wspiąć się na samą górę – odezwał się Darin. Miał rację. Mury wydawały się niskie z wyżyn sześćdziesięciostopowej wieży, ale wznosiły się na dobre trzydzieści stóp nad budynkami zewnętrznego miasta, zaś rampa trupów miała nieco więcej niż dziesięć stóp wysokości i może koło dwudziestu szerokości. Ze stertami tak już jest, że im są wyższe, tym wolniej rosną, rozszerzają się i potrzeba dziesięć razy więcej pracy i materiałów, by podwoić ich wysokość. – Nigdy. – Mimo to zapewnienie Darina brzmiało bardziej jak modlitwa.

Przez dziesięć minut obserwowaliśmy, jak martwi budują pochylnię, podczas gdy ognie wokół niej rosły, aż ryk płomieni stał się głośniejszy nawet od furii nieboszczyków. Może nekromanci patrzyli na nas z ciemności nocy, w jakiś sposób znosząc inferno, ale nie widziałem nic oprócz szeregów trupów, wszystkich ciągnących ku murom, i ich stosu potrzaskanych kamieni oraz połamanych ciał. Od czasu do czasu przed oczami migał mi liczkin i żałowałem, że w ogóle go wypatrywałem. Raz zwrócił swą wąską, klinowatą, pozbawioną oczu głowę w stronę naszej wieży i zimny horror jego uwagi opadł na mnie jak góra lodu. Cofnąłem się gwałtownie, po czym na wpół kucając, na wpół padając na ziemię, zniknąłem z pola widzenia za murem wieży.

– Marszałku? – Renprow kucnął przy mnie, wyciągając rękę.

– No, Jal – Barras złapał mnie za ramię, by pomóc mi wstać. – Nasz wspaniały dowódca nie może zemdleć. Morale by spadły.

– Upuściłem coś. – Udałem, że wciskam jakiś ukryty w zaciśniętej pięści przedmiot do kieszeni pod kolczugą, w którą ubrałem się wcześniej. Nie było czasu, by sprowadzić moją zbroję z pałacu, więc Marszałek Vermillionu stał w niedopasowanej kolczudze z magazynu strażnicy. – Gdzie ten cholerny olej? Kotły nie są jeszcze pełne?

– Coś się zbliża! – zawołał łucznik z przodu wieży.

– Coś dużego! – Mężczyzna obok niego zaciskał dłonie na włączni, jakby tylko ona utrzymywała go w pionie.

Renprow puścił moje ramię i przepchnął się do przodu, by spojrzeć.

– Sporo ich! – Potężny brodacz cofnął się spod muru w sposób, który podejrzenie przypominał odwrót.

– Marszałku! – przywołał mnie Renprow.

Strach znów niemal powalił mnie na ziemię, ale zdołałem podejść do kapitana, mrużąc oczy i wyteżając wzrok w piekącym dymie. Zbliżające się kształty, ciemne na tle pożarów po obu stronach Drogi Apijskiej, były z rodzaju tych, które wywołują koszmary. Przypominały nieco pająki, a trochę dłonie, a może okaleczone psy, wydrażone, idące na kikutach nóg. Za nimi dostrzegłem sylwetki ludzi i wtedy zdałem sobie sprawę, że każdy z pół tuzina potworów był większy od dwóch spiętych razem koni pociągowych.

– Dajcie skorpiona znowu do przodu! – Odwróciłem się. – Teraz, kurwa! I dajcie znać innym wieżom, by zaczęły ostrzał. Łucznicy niech celują w ludzi z tyłu! Każdy, kto ma łuk. – Modliłem się, by to w końcu byli nekromanci i by naszpikowanie ich strzałami posłało ich do grobu. – I na miłość boską, opróżnić w końcu te kotły na rampę. Nie obchodzi mnie, czy są pełne czy nie!

Ludzie wokół mnie zaczęli seriami posyłać strzały w niebo. Nie potrafiłem stwierdzić, czy trafiali, dopóki w końcu jeden z mężczyzn na tyle kolumny nie upadł, trzymając się za twarz.

– Celować w ludzi! Celować w ludzi! To nekromanci!

Pierwszy strzał ze skorpiona chybił celu. Przebił na wylot trzy trupy powłóczące nogami tuż przed pierwszym potworem, po czym wyleciał poza drogę. Trójka umarłaków obróciła się raz i drugi jak leniwe nakrętki od stoików i padła na ziemię. Wszyscy byli z powrotem na nogach, zanim rozbrzmiał następny strzał. Stwory parły naprzód. Dym rozwiął się na moment i blask płomieni wyrwał je z mroku. Każdy z nich wyglądał podobnie, miał kształt ręki pozbawionej dwóch środkowych palców, siedł na trzech nogach stworzonych z kości udowych pół tuzina ludzi, błyszczących od resztek mięśni i związanych jarami ścięgien. Kilka strzał tkwiło w kończynach i plecach pierwszego monstra, nie powodując żadnych widocznych niedogodności. Czerwone mięso spowijało konstrukcję jak grube pędy bluszczu, a kleista biała masa tłuszczu osłaniała czubek, gdzie łączyły się trzy nogi

– Jezu. – Barras wciąż z jakiegoś powodu trzymał wyciągnięty miecz, ale teraz ramię zwisło mu luźno przy boku.

Wiedziałem, że nekromanci byli hienami cmentarnymi i praktykami sztuk, które wskrzeszały trupy pełne agresji i głodu. To był nowy koszmar. Oto stali się obrabiaczami ciała, rzeźbiącymi zwłoki w nowe, groteskowe kształty.

Przypomnieli mi się nienarodzeni, przybierający przerażające formy ze wszelkiego ścierwa leżącego w zasięgu ręki. Jedyłą małą pociechę stanowiło to, że choć nienarodzone kreatury posiadały śmiertelną szybkość i koordynację, to stwory nekromantów poruszały się wolno i niezgrabnie. W sumie do tego stopnia nieporadnie, że trudno je było uznać za zagrożenie. Pierwszy potwór wyglądał tak, jakby trzech mężczyzn z dwuręcznymi mieczami dało radę

rozsiekać go na kawałki, zanim on zdołałby wyprowadzić atak. Odwróciłem się plecami do stworów.

– Rozstrzelać je.

Łucznicy napięli łuki i wypuścili więcej strzał. Czterech ludzi mozoliło się, nakręcając ręcznie koło skorpiona, by napiąć ramiona wielkiej kuszy. Kolejny czekał z włócznią, gotów ją załadować. Wycie przy rampie osiągnęło właśnie nowe wyżyny i trupy rzuciły się naprzód w szale, chwytając się pod ramiona, zatapiając zęby w swych towarzyszach i trzymając mocno, gdy kolejne umrzyki wspinały się na ich grzbiety. Widziałem kiedyś coś podobnego, gdy mrówki przeprowały się przez strumyczek. Budowały most z własnych ciał, setki insektów skupiały się ciasno, gdy inne przebiegały po nich na drugą stronę.

– Gdzie ten ognisty olej? – ryknął Darin, spoglądając w dół z tyłu wieży.

Pospieszyłem do niego, ponownie uświadamiając sobie, jak trudno jest gdziekolwiek podbiec, mając na sobie kolczugę. Dwie grupy mężczyzn dotarły do stopni prowadzących na mur, trzymając między sobą kotły zawieszane na solidnych drewnianych dragach.

– Żwawo! – zawołałem, choć pewnie i tak nic nie słyszeli przez wycie trupów i ryk ognia.

Wróciłem na przód wieży i odkryłem, że ludzie kierujący potworami zniknęli, choć jeszcze jedno ciało leżało na drodze, deptane przez nadchodzące umrzyki. Monstra skręciły w stronę rampy. Szły teraz szybciej, trzęsąc się i chwiejąc.

Trupom na rampie brakowało już tylko niecałych sześciu stóp do szczytu muru, a strażnicy w tamtym miejscu wznowili bombardowanie ich kamieniami. Umrzyki nie miały przy murze prawie żadnego oparcia – tu i tam martwe palce wciskały się w szczeliny między głazami, gdzie zaprawa wykruszyła się z powodu jakiejś mroźnej zimy i nie została uzupełniona. Istniały części muru w gorszym stanie, gdzie łatwiej byłoby je gromadnie szturmować, ale trupy zgromadziły się tu do ataku na bramę. Zewnętrzne dzielnice płonęły, więc jakakolwiek próba reorganizacji natarcia pewnie usmażyłaby połowę martwej armii. Posłałem ludzi do naprawy fragmentów murów wokół nas zaledwie tydzień temu. Gdyby lepiej się spisali, próby pokonania fortyfikacji przebiegałyby teraz wolniej. Z drugiej strony, gdybym w ogóle nie nakazał im naprawy, już byłoby po nas.

– Nie damy rady! – Barras wskazał miejsce, w którym kolejne zwłoki wspinały się po wieży z ciał. Jeden ze strażników wychylił się z muru, by pchnąć je włócznią. Zamachnął się na swój cel – starą kobietę w osmolonym fartuchu, z białymi potarganymi włosami i poparzoną przez płomień lewą ręką. Trafił ją w szyję, a ona chwyciła za włócznię i poleciała do tyłu. Strażnik

spadł wraz z nią, zbyt zaskoczony, by puścić broń.

– To wyścig – wydyszał stojący obok mnie Darin. Mężczyźni z kotłami dotarli na mur i zaczęli pokonywać pięćdziesiąt jardów zatłoczonego parapetu. Potwory zbliżały się do rampy, mając przed sobą jeszcze jakieś sto jardów do przebycia, ale poruszały się teraz szybciej i pewniej, bo weszły w orbitę liczkina i jego obecność ożywiła również ich ruchy.

Kilka skorpionów brzęknęło jeden po drugim. Stwór idący na przedzie, już przebity włócznią, oberwał dwiema kolejnymi. Jedna trafiła go w nogę, krusząc kości. Poleciał na ziemię, szarpiąc się i posyłając trupy w powietrze dzikimi kopniakami swych nóg z oskórowanego mięsa. Nie zdołał się podnieść, ale zaczął pełznąć ku rampie. Następny potwór stracił równowagę, gdy trafił go bełt ze skorpiona. Wypadł z drogi do płonącej stajni, a nadpalona budowla zawaliła się na niego.

Obserwowałem otoczenie, próbując wydobyć z chaosu jakieś użyteczne informacje. Coś przyciągnęło mój wzrok. Nie kreatury, nie liczkin, nie ogień ryczący pomiędzy krokwiemi. Pojedyncza postać w wielotysięcznym tłumie. Czasem człowieka nie zdradza sposób, w jaki się porusza, a sposób, w jaki stoi nieruchomo. Moją uwagę zwrócił prąd tłoczących się trupów, opływających miejsce, w którym stał człowiek. Poza tym nic go nie wyróżniało. Był usmolony od dymu i popiołów jak wielu innych, tunikę i spodnie miał szarobure od brudu. Stara krew pokrywała połowę jego twarzy i ciekła mu po szyi ciemnymi strużkami. Obie ręce miał uwalane szkarłatem po łokcie. Zginał szyję pod dziwnym kątem. Przecinała ją ciemna szrama. Najpierw pomyślałem, że blizna pochodziła od ciosu, od którego zginał, a ciemne pasmo w szarej czuprynie na ciemieniu to popiół z jakiejś spalonej belki. Wtedy mężczyzna podniósł wzrok na wieżę, na mnie, i go poznałem.

– Edris Dean! – wrzasnąłem, chociaż nikomu wokół mnie jego imię nic nie mówiło. – Zastrzelić go! Zastrzelić tego drania, o tam! – Wskazałem go, wyrwałem łuk człowiekowi stojącemu za mną i zażądałem strzały, by samemu wykonać własny rozkaz. – Nekromanta! – krzyknąłem, i to w końcu poderwało żołnierzy do działania.

Nie mam pojęcia, gdzie trafiła moja strzała. Nie sądzę, bym zdołał dorównać wyczynowi Babki w Ameroth, ale ona celowała w swoją siostrę, a my, Kendethowie, zdajemy się radzić sobie lepiej w takich okolicznościach. Z ponad tuzina strzał wystrzelonych w Edrisa dwie trafiły w niego, a kilka w przechodzące obok trupy, przez co umrzyki jedynie na chwilę zgubiły krok. Jedna ze strzał wbiła się w ramię Edrisa. Druga, którą uznałem za swoją bez względu na prawdopodobieństwo takiego wypadku, sterczała mu z klatki piersiowej. Widziałem, jak Edris Dean uciekł z Wieży Oszustów w Umbertide

mimo tak głębokiego cięcia, że tylko kręgi szyjne uchroniły go od utraty głowy, więc zamiast wznieść pięść w geście zwycięstwa, zacząłem wykrzykiwać kolejny rozkaz do strzału. Jednak zanim zdołałem dokończyć polecenie, Edris roztrzaskał się, jakby był odbiciem w tafli szkła. Jego odłamki zniknęły z widoku, zagubione w fali maszerujących trupów.

– Do diabła. – Wcisnąłem skradziony łuk z powrotem w ręce jego właściciela.

– Co... to było? – zapytał Barras.

– Nekromanta – odparłem.

– Zabiliśmy go? – Darin użył królewskiego „my”. Nie miał łuku, ale pewnie trafiłby bliżej celu niż ja, gdyby miał szansę strzelić.

– Nie wydaje mi się. – Widziałem zbyt wiele lustrzanej magii, by sądzić, że go pokonaliśmy. Zamiast tego zastanawiałem się, ile jeszcze odbić mógł mieć rozsianych pośród naszych wrogów i jak mógłbym uniknąć spotkania z nimi wszystkimi. Martwy Król może i kierował ową armią naszych zmarłych i zatrudnił nekromantów, by służyli jego sprawie, ale na ramieniu przynajmniej jednego z zaprzysiężonych śmierci spoczywała błękitna dłoń. Martwy Król tracił tu siły, polując na klucz Lokiego, którego chciał użyć do przejścia do świata żywych, ale Błękitna Dama bez wątpienia miała pilniejsze sprawy do załatwienia – skoro Babka i Milcząca Siostra zmierzały ku jej twierdzy w Slov, może próbowała zawrócić Alicę Kendeth z drogi bezpośrednim atakiem na serce jej królestwa. Jeśli tak było, nie znała zbyt dobrze mojej babki. Czerwona Królowa poświęciłaby nas wszystkich, by wygrać tę swoją wojnę, a potem poszłaby do łóżka i spała snem sprawiedliwego.

– Ładujcie szybciej! Ładujcie szybciej! – Rozkazy wołane rozhisteryzowanym głosem Renprowa sprawiły, że otrząsałem się z własnych histerycznych myśli. Kapitan nakierował skorpiona na podstawę rampy, teraz niewidoczną pod ciężarem rojących się na niej martwych mieszkańców.

Widziałem przerażenie na twarzach obrońców murów, gdy próbowali wtaszczyć dwa ciężkie kotły na miejsce. Żaden człowiek nie zdołałby w pojedynkę podnieść takiego kotła, a teraz, gdy każdy był wypełniony tuzinami galonów ognistego oleju i smoły, na czterech mężczyznach wokół każdego gara spoczywała presja ustawienia ich we właściwym miejscu.

Tuż pod strażnikami walczącymi z wagą kotłów wzbierało morze wyjących trupów, które rozbijało się na rampie połamanych kamieni, drewna i ciał. Rusztowanie ze zwłok sięgało już ostatniego jarda murów, setki ciał tworzyły konstrukcję, kolejne dziesiątki wspinały się, wyrzaskując swój ohydny głód. A ku rusztowaniu, depcząc martwe hordy, miażdżąc niektóre trupy, a inne odrzucając na boki, szły potwory-trójnogi, surowe, krwiste, przebierające odnóżami jak pająki. A mimo to strażnicy się nie cofali. Ci starsi mężczyźni, w

których wątpieł, trwali w miejscu związani przysięgą i obowiązkiem tam, skąd ja na pewno bym uciekł.

– Tak! – zawołał Darin, Barras i w zasadzie każdy wokół mnie, gdy dwie pochodnie przytknięto do dziobów kotłów i oba zaczęły się przechylać.

Bliźniacze strugi ognia poleciały na piramidę trupów, wspinających się płasko przy murze. Strażnicy wznieśli radosny okrzyk. Jednak martwi wciąż trzymali się mocno, mimo że płonęli, ich skóra wysychała od gorąca, zwęglaly się włosy i ubrania, a ciała skwierczały.

Pierwsza z trójnożnych poczwaz zaczęła wspinaczkę, wbijając kończyny w płonąca wieżę trupów i podążając w górę ku murom. Po ciele potwora połała się fala wrzącego oleju, ale on parł dalej, a za nim świeże zastępy umarłych. Skorpiony na wieży nie mogły już w niego celować, bo znalazł się zbyt blisko strażników. W końcu stwór zrobił ostatni wyskok i zaczepił dwie kończyny o szczyt muru. Płonące trupy przelazły po jego grzbiecie i z wyciem rzuciły się na strażników obsługujących kotły, którzy cofnęli się w panice. Resztki ognistego oleju wylały się z upuszczonych garów i wznieciły pożar na murze.

– Posłać tam więcej ludzi! Natychmiast! – Niepotrzebnie zamachałem mieczem. – Ogłosić wyłom!

Trąby zadźwiewały na alarm, którego żaden żywy mieszkaniec Vermillionu jeszcze nigdy nie słyszał, jeśli nie liczyć ćwiczeń strażników. Wróg wdarł się do miasta.



Przez pół godziny zdawało się, że zdołamy przytrzymać siły Martwego Króla na murach, a może nawet je odeprzeć, kiedy żołnierze z Siódmej dołączą do walki i zastąpią starszych kolegów ze straży. Na wąskim parapecie trupy mogły atakować strażników jedynie dwójkami i trójkami. Rzucały się naprzód z alarmującą szybkością, przyjmując pchnięcia mieczy i włóczni, byle tylko zbliżyć się do przeciwników i zacisnąć im dłonie na gardłach.

– Umrzyki zawsze wyjeżdżają z tym duszeniem. Jaki z tego pożytek? – Nie uważałem, by była to bardzo sprawna metoda pozbawienia kogoś życia, zwłaszcza w środku zorganizowanej bitwy.

– A co jeszcze mogłyby zrobić? – zapytał Darin.

– Wbijać kciuki w oczy? Rozbijać głowy o mur? – Spędziłem stanowczo zbyt wiele czasu w towarzystwie Snorriego.

– I jeszcze to! – Barras wskazał kolejną walczącą parę. Napastnikiem była młoda kobieta, poparzona ognistym olejem, która wciąż się tliła, a teraz dostała jeszcze włócznią w brzuch. Mocowała się ze strażnikiem, który ją przebił, i oboje spadli z muru głowami naprzód na znajdujące się dwadzieścia pięć stóp niżej kocie łby.

Obserwowaliśmy trwającą walkę z naszej wieży. Z powodu wąskiej przestrzeni, na której się toczyła, nie mogliśmy zrobić wiele więcej. Na początku atak zdawał się kompletną porażką, ale dziesięć minut później trupy odepchnęły obrońców o jakieś dwadzieścia jardów z każdej strony, tracąc przy tym kilkadziesiąt umarłaków ze swych szeregów.

– Duszą ich, bo niezniszczone zwłoki łatwiej jest powołać znów do życia – powiedział Darin. Jak na sygnał z tyłu na przedpiersiu dwie dłonie w rękawicach złapały się muru i strażnik podciągnął się na nogi z posiniałą szyją i trupim rykiem wydzierającym się z płuc.

– Ale one nie posiadają rozumu – odezwał się Barras. – Patrzcie. Połowa z nich wspina się na mur i zaraz spada z drugiej strony. Tam na dole musi być jedna wielka krwawa breja.

Popatrzyłem przez chwilę. Miał rację. Rzeka trupów wspinała się po

poczerniałym, dymiącym rusztowaniu z ciał i skakała ponad zwieńczeniem muru, jakby oczekiwała, że natychmiast zacznie się z kimś przepychać. Przynajmniej połowa z nich nie dawała rady wyhamować na śliskich kamieniach i spadała z parapetu ku swej zgubie.

– Kurwa! – Pewna myśl zmroziła mi krew w żyłach. – Za mną! – Tłumaczenie i wydawanie rozkazów za długo by trwało. Chwyciłem jedną z olejowych pochodni leżących koło skorpiona i pospieszyłem spiralnymi schodami w dół wieży. – Za mną, kurwa!

Setki mieszkańców miasta stłoczone w nerwowych gromadach obserwowały wydarzenia z ulic za bramami, jakieś pięćdziesiąt jardów od nich. Głównie młodzieńcy z włóczniami, rzeźnickimi nożami i pojedynczymi mieczami, ze wszystkim, co mogło posłużyć za broń. Ale byli też starsi mężczyźni, chłopcy, nawet młode kobiety i posiwiałe matki. Wszystkich przyciągnęło widowisko na murach. Mówi się, że ludzie są gotowi umrzeć dla rozrywki, a tu stała widownia gotowa dosłownie tak uczynić. Między ludźmi przeciskali się uliczni handlarze z latarniami do oświetlania swych towarów – ciastek i kiełbas, słodyczy i kwaśnych jabłek. Nie sądziłem, że interes im się kręcił. Nie wśród tego odoru śmierci, rozchodzącego się dymu i wywracającego żołądek trupiego wycia. Fakt, że tłumy wciąż tu stały, świadczył o ich wierze w nasze mury, ale gdyby ktokolwiek z tych ludzi naprawdę rozumiał, co czekało po drugiej stronie, uciekałyby właśnie do domu, wzywając boskiego zmiłowania.

– Co? – Darin dogonił mnie u podnóża wieży.

Odwróciłem się, by sprawdzić, czy podążało za nami więcej osób. Renprow i Barras, a za nimi z wieży zaczął się wylewać nieprzerwany strumień strażników. Dwóch niosło pochodnie.

– Wszystkie te spadające trupy... – powiedziałem. – Czy słyszycie, żeby upadały na ziemię? – Poprowadziłem wszystkich w kompletne ciemności u podstawy murów, po czym zwolniłem, by strażnicy nas wyprzedzili. Nie miałem zamiaru znaleźć się w pierwszej linii. – Renprow! Ściągnij tu więcej ludzi. I poślij po wsparcie od Martusa. – Byłem pewien, że już wcześniej wezwałem ich na mury. – I gdzie się, do cholery, podziewa pałacowa straż?

– Ale dlaczego tu zesłaliśmy? – powtórzył Darin.

– Martwi z muru. Czy słyszysz, żeby spadali na ziemię? – zapytałem, przeczesując wzrokiem ciemności, marząc, by Aslaug była tu i mi pomogła.

– Nie słyszę nic oprócz twoich krzyków – odpowiedział Barras, idąc obok i poszczekując swą piękną turniejową zbroją.

Ale było coś jeszcze poza hałasem walczących i umierających ludzi, poza wyciem umarłaków – głuche odgłosy bez żadnego rytmu, jak pierwsze, ciężkie krople deszczu zwiastujące ulewę.

– Co cię tak wystraszyło? – Darin trzymał przed sobą swój długi miecz, stał łąpała światło pochodni. – To prawie trzydziestostopowy upadek na twarde gruntu. To nie tylko połamane kostki, ale też połamane golenie, kolana, biodra, wszystko. Nie obchodzi mnie, że przy tym nie zginą – nie będą w stanie nikogo gonić. – Mimo swych słów stąpał jednak wolno, jakby podejrzewał, że kamienie brukowe zaraz go ugryzą.

– To był trzydziestostopowy upadek na twarde gruntu tylko dla pierwszego tuzina. Widzieliśmy, jak z murów spadła ponad setka. Teraz lądują na miłej, miękkiej kupie połamanych zwłok.

Słysząc już było wyraźnie nagłe, nieregularne bębnienie ciała o ciało, jak nierówne bicie serca w ciemnościach przy murze.

Światło pochodni wyłowiło z mroku sylwetki. Wiele kształtów stojących w milczeniu w kompletnej ciemności. Jeszcze parę kroków i cienie ustąpiły nieco bardziej. Postaci jednocześnie podniosły wzrok, ich oczy wychwyciły płomień i odbiły ich blask. Wtedy trupy zaatakowały. I zaczęły się wrzaski.

Z bliska zaciekłość żywotniejszych trupów była szokująca. Obezwładniająca furia i brak reakcji na ostrza broni sprawiały, że obrona zdawała się daremnym, chwilowym odroczeniem nieuchronnej śmierci. Pierwszy szereg strażników padł w ciągu paru chwil, pchnięty na ziemię. Martwe dłonie zacisnęły się na szyjach żołnierzy. Drugi szereg prędko poszedł w rozsypkę. Coraz więcej umarłaków zaczęło napływać z obu stron mojego oddziału, liczącego około trzydziestu osób. Byłem otoczony i naskoczył na mnie jakiś obdarty grubas, który wyglądał, jakby spędził w grobie dobrych kilka tygodni, zanim obudzono go, by dołączyć do dzisiejszej imprezy. Nie miałem czasu ponarzekać, że jego pochówek stanowił bezpośrednie pogwałcenie zarządzenia Czerwonej Królowej, by nie wspomnieć także mojego rozkazu jako marszałka. Ledwie miałem czas, żeby krzyknąć.

Jeśli chodzi o trupy, które nie chcą z powrotem umrzeć i które trzeba rozczłonkować, by je zatrzymać, dobrze sobie powtarzać tę informację, ale kiedy przyjdzie co do czego i jeden z drani rzuca się na ciebie w bezbożnym gniewie... przebija się go na wylot. To instynkt. Powinni to napisać na moim nagrobku. „Zginął przez instynkt”.

Jednak na przekór rozumowi głód zniknął z oczu trupa w momencie, gdy rękojeść mojego miecza dotknęła ciała nad jego przezartym, niebijącym sercem. Ciężar martwego odrzucił mnie na strażników za mną, ale z ich pomocą utrzymałem się na nogach i zdołałem wyciągnąć ostrze z wroga – teraz zwykłego nieboszczyka z rodzaju tych, co leżą bez ruchu i czekają, aż staną się szkieletem – i ten poleciał na bok. W tej samej chwili zaszarżował na mnie kolejny trup. Powtórzyłem swój błąd i ciąłem go w szyję. Cud też się powtórzył

i zwłoki padły na ziemię, przyciskając dłonie do strumienia zimnej krwi tryskającej z poszatkowanego gardła. Ostrze Edrisa Deana zdawało się wibrować mi w rękę, jakby było żywe. Zaryzykowałem spojrzenie, gdy wbiłem je w usta wyjącej martwej kobiety, następnej w kolejce, by mnie zabić – lekkiej budowy dziewczyny, która mogła być śliczna pod całą tą sadzą, krwią i morderczym głodem. Wzdłuż całego ostrza posoka trupów przylegała do liter wyrytych w stali. Broń nekromanty, narzędzie jego pracy – najwyraźniej równie dobre do przecinania sznurków ożywiających zwłoki, jak do przecinania tych, dzięki którym człowiek idzie przez życie.

– Uważaj!

Nie miałem czasu rozmyślać nad moim odkryciem. Człowiek, który umarł w okresie swej atletycznej świetności, rzucił się na mnie, przyszpilił mój miecz i powalił mnie na ziemię. Nigdy nie zostałem pokiereszowany przez ogara, ale wyobrażam sobie, że takie doświadczenie musi być równie przerażające. Ryki umarlaka wypełniły mój świat. Przewyższał mnie siłą i gdyby nie moja kolczuga, już zdzierałby mi ciało z kości. Czyjeś ręce chwyciły mnie i pociągnęły po bruku, ale straciłem orientację i nie wiedziałem, w jakim kierunku. Prawie miałem nadzieję, że w stronę gromady trupów, gdzie przynajmniej mogłem się spodziewać szybkiej śmierci.

W następnym momencie odkryłem, jak by wyglądało znalezienie się na rzeźnickiej ladzie. Miecze wznosiły się i opadały nade mną. Słyszałem i czułem rąbnięcia ostrzy w ciała. Zacząłem się szamotać, gdy zalała mnie zimna krew i po czasie, który zdawał się wiecznością, czyjeś silne ręce podniosły mnie na nogi.

– Marszałku! – Renprow chwycił moją głowę, szukając obrażeń, a mój napastnik, teraz pozbawiony kończyn, drgał przed nami na ziemi. Odgłosy walki rozlegały się w pobliżu, nie szcęk krzyżującej się stali ani brzęknięcia cięciw, tylko krzyki żywych i martwych oraz dźwięki tępego siekania mięsa. – Marszałku? Słyszysz mnie?

– Co? – Rozejrzałem się. Wokół było pełno strażników, posiłki nadciągnęły z długiej okrągłej ścieżki, jaką tworzył parapet na murach. Nad nami wciąż trwała walka na wyniszczenie. Trupy powoli przepychały się dalej od miejsca, w którym wdarły się na fortyfikacje, ale prawdziwa bitwa rozgrywała się przede mną. Coraz więcej umarłaków spadało z murów jak nieustający deszcz, lądując na stosie tych zbyt poranionych od upadku i niezdolnych, by wstać. Taki upadek pewnie wciąż zabiłby człowieka, ale nie łamał wystarczająco dużo kości, by spowolnić armię Martwego Króla. W dodatku teraz niedawno uduszeni strażnicy ścierali się ze swoimi wcześniejszymi kompanami. – Gdzie są nasze posiłki? Kurwa! Potrzebna nam Siódma! Potrzebna nam pałacowa

straż!

Pozwoliłem, by Renprow zaprowadził mnie za szeregi żołnierzy. Nasza obecność przyciągnęła trupy, ale nie było nas dość wielu, byśmy mogli je zatrzymać w miejscu. Na rozkaz nekromanty martwi mogli rozproszyć się po mieście. Być może trzymała ich tu jedynie chęć mistrzów śmierci, by zobaczyć, jak giną oficerzy i dowódcy obrony Vermillionu.

– Darin? Gdzie jest Darin? – Odtrąciłem Renprowa. – Gdzie Barras?

Renprow podniósł wzrok, by spojrzeć mi w oczy, popychany przez kolejnych strażników biegnących, by dołączyć do walki. Posłał mi mroczne, intensywne spojrzenie.

– Marszałku, miasto od zagłady dzieli jedynie twoje dowództwo. Musisz skupić się na szerszej perspektywie...

W jednej chwili chwyciłem go za gardło.

– Gdzie jest mój brat? – wrzasnąłem mu w twarz.

– Księżę Darin poległ – wykrztusił kapitan. – Gdy pomagał wyciągnąć cię z bitwy.

Pozwoliłem Renprowowi upaść, pochyliłem się do przodu i zgiąłem w pół, choć nie uderzyło mnie nic poza prawdą.

– Nie.

Głęboko we mnie żyje czerwony gniew, tak głęboko, że nie da się dostrzec najmniejszego jego śladu, nawet jeśli przebywa się w moim towarzystwie przez wiele miesięcy. Ale jest we mnie. Edris Dean rozpałił go w dniu, w którym przebił mieczem brzuch mojej matki. Zabrał tamtemu małemu chłopcu jego odwagę, złość, rozpacz, jednym ciosem wydarł je ze mnie i związał ciasno w coś nowego, mroczniejszego, bardziej gorzkiego i śmiertelnościanego. Potem przez lata dryfowałem na powierzchni, pod którą płynął nieznan, nieoczekiwany szkarłatny gniew, który mi skradziono. Przez to stałem się innym człowiekiem.

– Nie! – Ta zadawniona furia obudziła się, wychynęła z głębin, a ja ją przyjąłem. Gdy biegłem przez szeregi moich ludzi, ryczałem, witając ją tak, że Snorri byłby ze mnie dumny – witałem starego przyjaciela.

Miecz Edrisa Deana, ten sam, który ukształtował moje życie, posyłał martwych do grobu równie łatwo, jak żywych podczas ich pierwszej wizyty na tym świecie. Istniała jednak istotna różnica – trupy nie obawiały się ludzi dzierżących miecze. Dlatego było mi łatwiej je zabić. Biegłem między nimi, machając ostrzem z każdą odrobiną umiejętności, którą z nalegania Babki moi dawni mistrzowie miecza wbili mi do głowy, wykorzystując też każdą lekcję, której od tamtej pory nauczyły mnie niechciane doświadczenia. Żołnierze Vermillionu podążali za mną klinem, a ja przy każdym cięciu z rykiem wołałem

imię mojego brata. Skopywałem trupy z ich ofiar, ucinałem ręce zaciśnięte na gardłach, siekłem i mordowałem, dopóki broń nie zaciężała mi jak ołów, a siła nie uciekła ze zdradzieckich kończyn.

Martwa kobieta złapała mnie za nogi, a kolejna za lewe ramię, próbując zatopić zęby w moim łokciu. Kolczuga udaremniła jej ugryzienie, a jeden z włóczników przebił kobiecie głowę, ale ona nie zwolniła uchwytu. Jakieś silne ramiona objęły mnie od tyłu i pociągnęły z powrotem między moich ludzi. Nie byłem w stanie z nimi walczyć, więc zwiłem w tym uścisku. Na chwilę świat pociemniał, a światła pochodni i latarni przytłumiły się, gdy grzmot uderzeń mojego serca wypełnił mi uszy.

– Darin? – wydyszałem między haustami powietrza wciąganyymi do zdartego gardła. – Barras?

Zamrugalem i obraz się wyostrzył. Ludzie wokół mnie byli z Siódmej. Renprow stał i patrzył na mnie z góry. Zdałem sobie sprawę, że leżałem na plecach. Zemdlałem, ale nie miałem pojęcia, na jak długo. Znów zamrugalem. Kuzynka Serah stała obok kapitana Renprowa, twarz miała brudną od sadzy, a na głowie dopasowany kaptur kolczy. Za nią górował jej najstarszy brat Rotus. Szczupły, odziany w zbroję, ze swą zwyczajową, kwaśną miną.

– Gdzie mój brat? – Usiadłem, żądając odpowiedzi. Sapnąłem, czując ból w obitych żebrach.

Kapitan kiwnął głową. Policzek przecinały mu trzy równoległe szramy. Popatrzyłem tam, gdzie wskazywał, i zobaczyłem Darina. Siedział oparty o Bramę Apijską, bledszy niż kiedykolwiek.

– Barras? – zapytałem, wstając.

– Kto? – Serah wyciągnęła dłoń, by mi pomóc.

Odrąciłem jej rękę.

– Barras Jon, syn ambasadora Vyene. Mąż Lisy DeVeer – odparł Rotus, jak zawsze wszystkowiedzący, nawet w środku bitwy.

– Mój miecz! – zawołałem, po czym znalazłem broń w pochwie. – I gdzie, do diabła, jest Barras?

Kapitan Renprow pokręcił głową.

– Nie widziałem go.

Podszedłem do Darina i klęknąłem u jego boku, naprzeciwko badającego go lekarza.

– Jak... – Słowa uwięzły mi w gardle, więc zakaszlałem i spróbowałem znowu. – Jak się czujesz, bracie?

Darin podniósł rękę, jakby była najcięższą rzeczą na świecie, i przyłożył ją do szyi rozoranej paznokciami trupów. Zmiażdżone ciało nabrzmiało krwią pod zalaną nią skórą.

– Bywało... lepiej. – Pełen bólu szept.

Spojrzałem na chirurga, posiwiąłego lekarza wojskowego w nabijanej ćwiekami skórzanej zbroi ze znakiem skrzyżowanych włóczni – symbolem Siódmej. Pokręcił głową.

– Co to znaczy „nie”? – Popatrzyłem na niego wściekle. – Ulecz go! To cholerny książę. Jego starszy brat dowodzi całą twoją armią... a ja, do licha ciężkiego, jestem marszałkiem!

Mężczyzna zignorował mnie, jakby był przyzwyczajony do bitewnej hysterii, tak jak i do bitewnych ran. Postukał palcami w pierś Darina nad żebrami.

– Rozdarte naczynie w tchawicy. Jego płuca wypełniają się krwią. – Przyłożył palce do szyi mojego brata, by sprawdzić puls.

– Kurwa! – Chciałem szarpnąć tego konowała. – A może byś tak... – Darin zacisnął dłoń na moim nadgarstku, przerywając moją tyradę, choć w jego uścisku nie było żadnej siły.

– Wróciłeś... po... mnie. – Tak cicho, że musiałem się pochylić, by go usłyszeć. Wtedy usłyszałem też bulgotanie krwi w płucach.

– Teraz tego żałuję! – krzyknąłem. Dym kłuł mnie w oczy tak, że prawie nic nie widziałem. – Skoro zamierzasz tylko tu leżeć i umrzeć. – Coś utkwilo mi w gardle, może więcej dymu, i się zakrztusiłem. Gdy znów się odezwałem, mówiłem cicho, wyłącznie do niego. – Wstawaj, Darinie, wstawaj. – Zajęczałem niemal jak dziecko.

– Nia. – Przez moment wydawało mi się, że mówił o Matce, tylko przez moment. Wtedy przypomniałem sobie o jego córeczce, drobnej i miękkiej w ramionach Michy. Nigdy go nie pozna.

– Będę ją chronił. Przysięgam.

Głowa Darina opadła na bok, a we mnie zamarło serce, chociaż nigdy nie sądziłem, bym kochał swoich braci, nawet tego ulubionego. Ale on uniósł brwi. Spojrzałem tam, gdzie on – na jego palce, błyszczące od jakiegoś przezroczyściego płynu.

– Olej – powiedział Darin.

Faktycznie, siedzieliśmy w oleju. Na szczęście zdążył już wystygnać. Musiał pocieknąć pod bramą, po tym jak wylano go przez otwory w przedpiersiu. Darin przejechał śliskimi palcami po wierzchu mojej dłoni.

– Zatrzymał... ich.

Przez chwilę zastanawiałem się, co miał na myśli. Olej ich nie zatrzymał. Dotknąłem substancji i przejechałem palcami po bruku.

– Zatrzymał! – Natychmiast przeszedłem od zmieszania do zrozumienia. Trupy pod stróżówką nie były w stanie pchać, nie miały oparcia na ziemi. Były jak zatyczka z ciał, zdolne jedynie przekazywać dalej napór z zewnątrz. Bramy

ledwie wytrzymały. Olej nas uratował. Rozpromieniłem się w chwili triumfu. – Wiedziałem, że jak... – Ale Darin już odszedł.

Lekarz jeszcze przez chwilę trzymał palce przy jego szyi, próbując wyczuć tętno. Potrząsnął głową. Wyciągnąłem miecz, oślepiony łzami, które od początku nie były wywołane dymem.

Pod skórą mojego brata coś się poruszyło. Coś na tyle dużego, że dostrzegłem to nawet moim zamglonym wzrokiem. Jakby mała dłoń pełzała w górę po jego szyi. Ciało Darina wierzgnęło, jakby ktoś w jego klatce piersiowej wymierzył mu cios.

– Na Boga, co to? – Osłupiały lekarz odskoczył do tyłu, najwyraźniej niezaznajomiony jeszcze z naturą naszego wroga.

Usta Darina wywinęły się.

Z przekleństwem wbitem miecz pod mostkiem w jego serce, a on bezgłośnie rozluźnił się w prawdziwej śmierci.

– To nie wystarczy – odezwała się stojąca za mną Serah. – Musisz go związać...

– Z *tym* mieczem wystarczy. – Wyciągnąłem ostrze, czerwone od krwi mojego brata, i wstałem, by spojrzeć na kuzynów.

– Z nim nie było tak samo jak z innymi... – Rotus pochylił się, przyglądając się badawczo.

– Nie. – Trupy zawsze budziły się natychmiast z głodem w oczach, gotowe do mordu. Z Darinem było inaczej. Jakby... coś próbowało się z niego wyrwać. Albo poprzez niego. – Ja... – Wtedy to zauważyłem. – Wycie trupów... ucichło. – Uderzyła mnie myśl, że od chwili, gdy odzyskałem zmysły po mojej szalonej szarży, martwi byli cicho. Krzyki, które słyszałem teraz, pochodziły z żywych gardeł – niektóre pełne furii, inne przerażenia lub bólu, ale mrozący krew w żyłach, niekończący się wrzask atakujących umarłaków... ustał.

– Martwi zwolnili – zaraportował Renprow, patrząc na mnie, jakby się martwił, że znowu zemdleję albo rzucę się w wir walki. – Ale ledwo ich powstrzymujemy, a wciąż nadchodzą nowi. Teraz na pewno mają już zdolną do użytku rampę pod murami.

– Wracaj na wieżę, kapitanie. Ktoś musi mieć baczenie na sytuację. – Ryk pożarów za murami brzmiał jak wzburzona rzeka.

Kuzynka Serah podeszła bliżej, leciutko dotykając mojego ramienia.

– Przykro mi z powodu Darina, Jalenie. Był dobrym człowiekiem.

Wypchnąłem go z myśli. Tak po prostu, mój własny brat leżał martwy na ziemi za moimi plecami, krwawiąc z rany, którą mu zadałem. Nagle poczułem przymus myślenia o czymś innym. W tamtej chwili byłem nawet wdzięczny za atak trupów. Minąłem Serah.

– To nie może być cała Siódma! Gdzie jest Martus? – Wokół nas stała zaledwie setka mężczyzn w kolczugach Siódmej, a bitwa z umarlakami toczyła się jedynie dwadzieścia jardów od nas. Mieszkańcy, którzy przyszli pooglądać walki, dawno uciekli. Miałem nadzieję, że szerzyli po mieście niezbędną panikę. – Gdzie, do cholery, są pałacowe strażę? Musimy tu mieć wszystkie nasze siły.

Serah jeszcze raz zaszła mi drogę.

– Przyjechałam od strony Bramy Zwycięstwa. Zobaczyliśmy, jak wybuchają pożary, i przyprowadziliśmy tych ludzi do pomocy. – Zerknęła przez ramię na bitwę. Była blada, ale zacisnęła usta w ponurej determinacji.

– Ja przyjechałem z pałacu – powiedział Rotus, górując nad swą młodszą siostrą. – Wuj Hertet rozkazał Martusowi trzymać Siódmą pod murami...

– No to czemu go tu, kurwa, nie ma?

– Pod murami *pałacu* – rzekła Serah. Wyglądała na swoje siedemnaście lat.

– Kazał strażnikom z pałacu zostać na posterunku i bronić jego osoby za wszelką cenę – dodał Rotus.

– A. To. Drań. – Schowałem do pochwy miecz, wciąż czerwony od krwi mojego brata. – Co, do diabła, robi Garyus? Dlaczego pozwala, żeby Hertet wydawał rozkazy? Wracam do pałacu. Wy musicie się trzymać tutaj. Idę po wsparcie.

– Wytrzymamy. – Oczekiwałem, że Rotus złoży zapewnienie, ale to Serah przemówiła. Popatrzyła mi w oczy, a ja dostrzegłem coś znajomego. Coś, co ostatnio widziałem w oczach jej babki na murach Ameroth.

– Wiem, że tak będzie. – I zacząłem przepychać się między żołnierzami, kierując się do głównej ulicy odchodzącej od Bramy Apijskiej, oświetlonej jedynie rozrzuconymi wkoło upuszczonymi latarniami.



– Marszałku! – Renprow ruszył za mną. – Nie możesz iść sam!

– Potrzebujemy wszystkich tutaj. – Wcale nie chciałem iść sam, ale naprawdę potrzebowaliśmy wszystkich ludzi przy bramie, gdzie do miasta wdzierały się trupy.

– Pójdę z tobą. Tylko zbiorę oddział. – Złapał mnie za ramię.

– Oddział, który potrafi jeździć? I ma konie? – Mój ogier i konie żołnierzy, którzy przyjechali z mostu Morano, zostały w stajni w zajeździe sto jardów dalej przy Drodze Apijskiej. Zebranie tych ludzi zajęłoby wieki, o ile jeszcze żyli, a wiele wierzchowców nie przyjmowało grzecznie nowych jeźdźców.

– Ja pojedę. – Renprow wyciągnął ręce i złapał za ramiona dwóch żołnierzy. – I oni też. W stajni są również konie dla posłańców.

– Wiesz więcej niż ktokolwiek inny o obronie miasta, kapitanie. Jesteś potrzebny tutaj. Ale tych dwóch zabiorę.

Mijając ostatnich stłoczonych razem wojaków i strażników, nagle poczułem niechęć do opuszczenia tego miejsca. Wyjście z tłumu w ciemności wydawało się naprawdę złym pomysłem. Ludzie cisnęli się do siebie jak owce w zagrodzie, tak ciasno, że musiałem siłą torować sobie drogę. Strach skupił nas razem, zwierzęta stadne w obliczu drapieżnika, chociaż zdawało się, że tylko ja w pełni rozumiałem naturę zagrożenia czyhającego pośród nocy. Martwi ucichli. To znaczy, że Liczkin zniknął. Pragnąłem myśleć, że wrócił za mur do jakiegoś diabelstwa między płomieniami. Ale patrząc w ciemność, wiedziałem. Liczkin był teraz w moim mieście. Gdzieś na ulicach. Na wolności pośród niewinnych ludzi. A wiercie mi – wobec pradawnego zła Liczkinów wszyscy byliśmy niewinni.

Opuszczenie schronienia między ludźmi wymagało całych nędznych zapasów mojej odwagi. Później, z dwoma żołnierzami idącymi moim śladem, kontynuowałem marsz powodowany dumą. Duma zawsze była najbardziej śmiertcionośną skazą na moim charakterze. Gorszą nawet niż klątwa krwi Babki, objawiająca się tendencją do sporadycznych szałów berserka, kiedy byłem przyparty do muru. Duma każe człowiekowi nadziać się na ostrze

oczekiwań innych ludzi. Jak często skakałem w przysłowiowy, a czasem i dosłowny ogień, kiedy Snorri patrzył, bo mój uzasadniony odruch ucieczki w przeciwnym kierunku ginał pod ciężarem jego pokładanej we mnie wiary?

Zabrałem latarnię wiszącą na stoisku z ciastkami, porzuconym, gdy tłum spanikował, i zacząłem kierować się w stronę stajni. Światelko drżało w moim uścisku. Spieszyłem w ciemnościach ulicą Apijską, za plecami mając dwóch zbrojnych.

Droga była upiornie cicha, jedynymi dźwiękami były dobiegające z oddali krzyki walczących na murze. Tylko wymowne smugi świateł z okien na wyższych piętrach i sporadyczne cienie, poruszające się za zamkniętymi okiennicami, zdradzały, że miasto nie zostało opuszczone.

– Teraz spokojnie. – Podniosłem rękę, by zatrzymać żołnierzy, i wyciągnąłem miecz. Drzwi stajni były uchylone. Słyszałem ze środka stąpanie i rżenie koni. – Coś je wystraszyło. – Dowolna liczba trupów była w stanie wyrwać się z bitwy przy bramach. Jeden z nich mógł czaić się w ciemnościach za drzwiami, krwawy i bezszelestny. Uniosłem latarnię. – Idź przodem. – Skinąłem głową na większego żołnierza, postawnego gościa, któremu wciąż jednak brakowało do mnie paru cali wzrostu i funtów wagi.

– Panie. – Posłał mi spojrzenie mówiące: „dlaczego ja”, ale skoro w Vermillionie nie dało się znaleźć dwóch mężczyzn, których dzieliłoby więcej wojskowych rang niż mnie i jego, ruszył naprzód. Dałem mu swoją latarnię, a on otworzył drzwi szturchnięciem miecza. Wsunął się niechętnie do środka, jak człowiek zanurzający rękę w słoju pełnym pajaków.

– Czysto, Marszałku.

– Jesteś pewien?

– Są tu tylko konie. To dym musiał je wystraszyć.

Wszedłem za nim do stajni. Nie dałby rady wyprowadzić mojego ogiera. W przeciwnym razie zostałbym na ulicy.

W ciągu dwóch minut Mord i jeszcze dwa konie gońców znalazły się na zewnątrz. Wskoczyłem na siodło, czując się nieco lepiej, jak zawsze gdy miałem pod sobą cztery nogi. Dla mojego honoru pewnie lepiej się złożyło, że miasto było oblegane ze wszystkich stron, bo gdybym wiedział, że któraś brama była otwarta, mógłbym ulec pokusie, pocwałować przez nią i jechać dalej, aż znalazłbym jakieś bezpieczne miejsce.

– Do pałacu! – Wskazałem mieczem właściwy kierunek i chwyciłem wodze dłonią, w której trzymałem latarnię. Koń ruszył, stukając kopytami.

Nawet w straszliwych okolicznościach można poczuć pewną radość, galopując po wyludnionych ulicach miasta, które nigdy nie bywa puste. Przez całe życie, nieważne jak późna byłaby godzina, nie zdarzyło mi się jeszcze

popuścić zwierzęciu cugli na Drodze Wieczornej czy alei Gwiazdy Zachodniej. Nie widziałem dotąd Drogi Wieczornej bez przynajmniej tuzina pijaczków, strażnika miejskiego czy dwóch, może młodego lorda szukającego kobiety, bynajmniej nie damy... a w ciągu dnia nigdy nie dało się nią przejść bez poszturchiwania łokciami połowy Vermillionu. Stukot kopyt Morda odbijał się echem od ścian, gdy mknęliśmy ulicą.

Przy rogu Igły z Nitką moją uwagę zwrócił krzyk kobiety. Podniosłem głowę i zobaczyłem ją w wysokim oknie na najwyższym piętrze budynku Melicana, wyśmienitego krawca, u którego zostawiłem co najmniej skromną fortunę.

– Książę Jaland! –

Ściągnąłem wodze. Odstawiłem trochę dwie ślamazary, które kapitan Renprow wybrał na moich towarzyszy, a postój przynajmniej dawał mi pretekst, by mogli mnie dogonić. Rozejrzałem się szybko, czy nigdzie nie czają się żadne zwłoki i czy bagienne ghule nie czołgają się po dachach, po czym odkrzyknąłem.

– Tak? – Myślałem, że będę miał więcej do powiedzenia, ale „tak” zdawało się wystarczyć.

– Czy... jedziesz do pałacu? Zabierz mnie ze sobą... – Chyba mnie znała. Wyglądała jakby znajomo. Przynajmniej była młoda i urocza.

– Spieszę się... dobra kobieto. – Moje usta chciały powiedzieć „Mary”, ale zdecydowałem się na „dobrą kobietę, zamiast zgadywać. Miałem nadzieję, że tak właśnie odzywali się marszałkowie.

Eskortujący mnie żołnierze dopędzili mnie, kierując końmi z wyraźnym brakiem doświadczenia.

– Zaczekajcie na mnie! – Dobra kobieta zniknęła z okna, lecz zaraz, jakby po namyśle, znów wytknęła swą białą twarz. – W Mętach jest jakiś potwór. Zabija ludzi i każe ich trupom tańczyć. – I znowu zniknęła, pewnie pobiegła w stronę schodów.

– Hajda! – Przyłożyłem pięty do żeber Morda, a on skoczył naprzód. Nawet nie czułem się źle z tego powodu. Miałem na głowie ocalenie miasta, nie każdego mieszkańca z osobna. A poza tym Mary – mgliście przypominałem sobie wciskanie się do przymierzalni z dziewczyną, która okazała się nader uczynna – będzie o wiele bezpieczniejsza w ukryciu nad pracownią nieznanego krawca niż w pałacu.

Jechaliśmy ciemnymi ulicami, od czasu do czasu przecinając place, na których księżyc wystający już ponad dachami zalewał bruk srebrnym światłem. Na placu Reymonda, niecałą milę od żelaznych bram Babki, nagle owiał nas ostry wiatr, wzniesając w powietrze pył i kłujący żwir. Suche liście zawirowały w uścisku pyłowego wiru, stare szmaty też, szare strzępy unoszące się w trąbie

powietrza.

– Szarpiałach! – zawołał mężczyzna za mną.

– Wio!

Coś rozcięło mi policzek. Pochyliłem głowę i puściłem się cwałem, słysząc krzyk jednego z moich żołnierzy i łupnięcie, gdy upadł na ziemię. Więcej wrzasków i szarpane, ohydne mamrotanie, coraz cichsze, w miarę jak się oddalaliśmy. Pędząc w stronę sąsiedniej ulicy, zobaczyłem jakiegoś człowieka, który wyszedł na drogę i obrócił się ku nam, rozkładając szeroko ramiona. To, co zostało z jego skóry, zwisało w strzępach z mokrych, ociekających ramion. Gdy dzieliło nas już jedynie parę jardów, dostrzegłem najcieńszy zarys stwora, który dosiadał mężczyzny – podobnego do szkieletu, paskudnie szczerzącego zęby diabła, dość mocno przypominającego owada. Mężczyzna otworzył usta, by coś powiedzieć, wyginając wargi, jakby naśladował uciechę stwora, ale rozjechałem go, zanim zdołał cokolwiek rzec.

Przeszył mnie zimny dreszcz, mimo że Mord już się od nich oddalił. Duch z trąby powietrznej ujeżdżał swe ofiary podobnie jak liczkin swego nosiciela, ale liczkin tworzył o wiele intymniejsze połączenie, zagrzebując się w ciele nienarodzonego, by wydobyć jego potencjał na nowe, najohydniejsze sposoby. Dźgnąłem ogiera piętami i osiągnęliśmy zawrotną prędkość, kopyta prawie się spod nas wyślizgnęły, gdy braliśmy następny zakręt. Każda sekunda w pobliżu tego potwora trwała zbyt długo.

Minutę później skręciłem za róg i zobaczyłem mury pałacu. Księżyc siedział teraz na okrągłym szczycie baszty genueńskiej, krwawy księżyc, szkarłatny od dymu dziesięciu tysięcy płonących domów. Pogalopowałem dalej, mój ocalały żołnierz został daleko z tyłu. Widok murów pałacu, zawsze stanowiącego mój azyl, nigdy nie sprawił mi takiej radości. Niestety, nigdy wcześniej nie wydawały mi się one równie niskie. Choć raz zacząłem podzielać rozczarowanie Babki, że historia obdarzyła monarchię Czerwonej Marchii luksusową rezydencją pełną sztuki i kultury, a nie ponurą fortecą, nadającą grozy otaczającemu ją miastu.

Prawie natychmiast spostrzegłem Martusa. Jego namiot dowódcy, ustawiony jedynie kilka jardów od muru, zapadał się w pijackim stylu, bo śledzie dało się wbić między kostki brukowe w zaledwie kilku miejscach. Około stu żołnierzy zajmowało pozycje wzdłuż ulicy. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywali się w noc, jakby wiedzieli, do jakiego stopnia była przerażająca. Dwóch stajennych stało przy koniu Martusa blisko namiotu, wraz z dwoma konnymi posłańcami w siodłach i trójką doboszy zgiętych pod ciężarem swych instrumentów. Dwóch pomniejszych oficerów stało przy wejściu do namiotu.

– Martusie! – ryknąłem, mijając szeregi piechoty. – Martusie!

– Generał...

– Co? – Martus przerwał swemu adiutantowi, pochylając głowę i wychodząc z namiotu. Pod pachą trzymał hełm, a napierśnik miał uwalany zasychającą posoką. Zobaczył mnie, gdy wyprostował plecy, i wojowniczość zawalczyła u niego z poczuciem winy. Niezwykle w przypadku Martusa – zazwyczaj była w nim jedynie wojowniczość.

Zeskoczyłem z grzbietu Morda i przepchnąłem się do przodu, by skonfrontować się z bratem. Natychmiast pożałowałem, że straciłem przewagę wynikającą z wysokości.

– Co ty tu wyprawiasz, do diabła? Nie dostałeś wiadomości? Przecież widzisz ten cholerny dym! – Wskazałem palcem, na wypadek gdyby przegapił kłęby unoszące się w oddali nad łuną pożarów. – Przy bramach toczy się prawdziwa bitwa... a my *przegrywamy!* – Rozejrzałem się wokół. – I gdzie, na Boga, jest reszta twoich ludzi? Każ im natychmiast jechać do Bramy Apijskiej!

Martus stanął groźnie naprzeciw mnie, tak jak wiele razy wcześniej. Zwykle był to wstęp do zbitcia mnie na kwaśne jabłko, jeśli nie zdołałbym uciec.

– Hertet kazał nam tu zostać. – Był zły, ale mówił tonem człowieka przyłapanego na czymś, czego nie powinien był robić. – Moi ludzie patrolują ulice wokół pałacu w ośmiu oddziałach po pięćdziesięciu.

– Kto uważa, że rozkazy wuja Herteta są warte więcej niż wiadro słoniowego łąjna? – Zaczął we mnie narastać gniew, jakiego nie czułem od lat... może od chwili, kiedy miałem siedem lat, a Martus walnął mnie z byka i wyłączył z ostatniej bójki, w której nie ustąpiłem mu pola. – Jestem Marszałkiem Vermillionu. Dowodzę zbrojnymi siłami miasta, a ty, Generale, odpowiadasz przede mną!

Wtedy Martus mnie zaskoczył. Z westchnieniem wypuścił powietrze wzbierające mu w piersi. Najpierw wyleciało gniewnie zza zaciśniętych w złości zębów, potem ucichło w długim, wolnym wydechu.

– Mówią, że Czerwona Królowa poległa. Jakiś raport o tym, że jej armię okrążono w Slov... strzała... Hertet ogłosił się królem.

Ramiona Martusa opadły, a ja przypomniałem sobie Darina leżącego pod Bramą Apijską z pobladłą twarzą. Wyglądali niemal jak bliźnięta, jeśli chodziło o wzrost. Martus był nieco szerszy, miał mniej delikatne rysy. Widziałem, jak Darin umierał, i jego imię zaczęło cisnąć się na moje zwężone w gniewie usta. Zobaczyłem Martusa, być może po raz pierwszy, jako mężczyznę i chłopca, nie rywala czy dokuczliwego brata, ale syna takiego jak ja, walczącego o miłość ojca, który nie miał już nic, co mógłby nam dać. Kiedy Matka zginęła, z Ojca jakby ktoś wyciągnął zatyczkę i wszystko, co ona w nim widziała, wyciekło, cały zapach, pasja, podstawowe zainteresowanie światem, dzięki któremu

żyjemy. Stał się pusty.

– Zbierz swoich ludzi, Martusie, i jedź pod Bramę Apijską. Jeśli tam upadniemy, upadnie wszystko. Jeśli nie zdołamy obronić murów miasta, mury pałacu też nie wytrzymają. Jeśli Hertet naprawdę jest królem, to lepiej, żeby był królem wściekłym, a nie martwym, prawda?

Martus skinął głową.

– Poślę gońców.

– Weź tego. – Wskazałem na ocalałego żołnierza, który przyjechał ze mną spod Bramy Apijskiej. – Potrafi jeździć tak prędko, jak twoi podkomendni potrafią biec. Prawie.

Martus w zamyśleniu kiwnął głową, patrząc na pogrążony w mroku Trakt Królewski, gdzie zza okiennic błyskało jedynie parę promyków światła.

– Ale król czy nie, dureń czy nie, myślę, że nasz wuj nie do końca się myli – coś tam *jest*, idzie ku nam... czuję to. I jest blisko. Nie w twojej bitwie pod bramami.

– Może. – Też to czułem. – Ale nie możemy pozwolić, by miasto padło. – Odszedłem, kierując się do głównego wejścia budynku. – Potrzebujemy też strażników z pałacu!

– Nigdy nie pozwoli ci ich zabrać! – zawołał Martus w stronę moich pleców.

– Muszę przynajmniej spróbować! – Pomachałem mu i udałem się na spotkanie z nowym królem Vermillionu.



Podszedłem do wielkiej brony. Razem ze stróżówką, w której była osadzona, stanowiła być może jedyny militarny element pałacu. Główny mur miał jedynie dwadzieścia stóp wysokości i nie był grubszy od długości miecza. Dalej od stróżówki w niektórych miejscach opadał do piętnastu stóp.

Martus powiedział, że Hertet nigdy nie puści strażników.

– Znam się na tchórzach! Znajdę sposób! – rzekłem sobie, gdy brat nie mógł mnie już usłyszeć.

Nie powiedziałem mu o Darinie. Może nie byłem dość odważny. Słowa nie chciały do mnie przyjść, a nawet gdyby przyszły, wątpiłem, bym zdołał je wymówić. Może żaden z nas nie przeżyje tej nocy. Jeśli nam się uda, będzie czas na żałobę w świetle dnia.

Zbliżając się do głównej bramy, nie dostrzegłem żadnej straży na murach, nikogo w budkach wartowniczych po obu stronach wejścia, żadnego ruchu przy stanowiskach łuczników i przy pułapkach na przyczółkach fortyfikacji. Wyciągnąłem miecz i zabębniłem głowicą o metalowy zwornik w miejscu, gdzie przecinały się dwie belki kraty.

– Otworzyć bramę!

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, potem jakiś kształt oderwał się od nieprzeniknionego cienia w głębi tunelu wejściowego i spokojnym krokiem przeciął korytarz, by spojrzeć na mnie zza dębowo-żelaznej zapory, po drodze odsłaniając latarnię. Mizerny człeczyna w szarozielonych barwach baszty marsalskiej z włócznią na ramieniu i okrągłym żelaznym hełmem, który wyglądał starzej niż Czerwona Królowa.

– Otwórz tę cholerną bramę! – Zabębniłem ponownie.

– Ni do końca wim jak, szlachetny panie. – Zdawał się nie przejmować zbyt tym faktem, a skoro powinien znajdować się na służbie nie na widoku, pilnując więźniów w celach baszty marsalskiej, najprawdopodobniej mówił prawdę.

– Twoje imię, strażniku. – Rozkaz, nie pytanie.

– Ronolo Dahl, jeśli to pana zadowoli. – Stuknął obcasami, chociaż jego buty

nie wydały przy tym żadnego stuku.

– Nazbyt mnie to nie zadowala. A teraz, Strażniku Dahlu. Otwórz. Tę. Bramę.
– Podobne osobniki rzadko miały kontakt z członkami rodziny królewskiej i nie miały pojęcia, jak się zachować. Nie wiedziałem, w jaki sposób Ronolo, najwyraźniej z własnej inicjatywy, awansował na strażnika głównej bramy pałacu Czerwonej Królowej, ale źle to wróżyło.

– Nie mogę, szlachetny panie. Rozkazy króla. Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi.

– Słucham? – Przytknąłem dłoń do ucha i przysunąłem się do ciężkich belek.

Ronolo też podszedł bliżej, pochylił się i podniósł głos.

– Nikt nie wchodzi! Nikt nie wychodzi!

Jak wąż wsunąłem ramię przez mały kwadratowy otwór między pionowymi i poziomymi belkami, złapałem go z tyłu za głowę i przycisnąłem do kraty. Drugą ręką obróciłem miecz i przytknąłem jego czubek do szyi strażnika.

– Jestem marszałkiem sił zbrojnych tego miasta. Jestem księciem Czerwonej Marchii, wnukiem Czerwonej Królowej i mieszkam w tym pałacu od ponad dwudziestu lat. Wierz mi, Ronolo, gdy mówię, że zwiedziłem piekło i że rzeczy, które ci zrobię, jeśli mi się sprzeciwisz, sprawią, że szatańskie diabły zapłaczą. – Puściłem go. – A teraz. Otwórz bramę.

Strach może być doskonałym nauczycielem i choć Ronolo nie miał tak naprawdę powodu, by się mnie bać, ponieważ znajdował się poza zasięgiem mojego miecza, i tak pomknął, by zaznajomić się z zawilościami urzędnika wyciągowego. Dwie minuty, które minęły, zanim brama zaczęła się podnosić, były bardzo długie i kazały mi się zastanowić nad wysoce prawdopodobną możliwością, że Ronolo odbiegł, ale nie zatrzymał się przy urzędzeniu, tylko zwiewał dalej. Wpatrywałem się w ciemny dziedziniec za broną i zaczęły nawiedzać mnie obrazy dziecka, miękkiego i różowego w swej kołysce, pogrążonego w głębokim śnie, podczas gdy przez najbliższe okno wkradał się bagienny ghul. Głupota, rzecz jasna. Maleńka Nia Darina była bezpieczna w ramionach Michy, a wokół Rzymskiego Pawilonu stał kordon domowej straży. Pomyślałem też o Lisie. Chodziła nerwowo po swych pokojach w gościnnym skrzydle pałacu Babki, czekając na powrót Barrasa. Czy gdybym ją zobaczył, miałbym dość odwagi, by opowiedzieć jej, co go spotkało? *Znam się na tchórzach.* Wiedziałem, że nie byłbym w stanie jej powiedzieć.

Krata nagle szarpnęła się, przez co aż się wzdrygnąłem. Podniosła się na cal i zatrzymała. Potem podjechała kolejny cal w górę. Wyobraziłem sobie, jak Ronolo sam jeden mozoli się z wielkim kołowrotem. Kolejny cal. Schowałem miecz do pochwy. Noszenie obnażonej broni w obrębie pałacu nawet w najlepszych czasach byłoby głupotą. To powiedziawszy, w momencie gdy

rękojeść miecza zetknęła się ze skórzaną osłoną, natychmiast poczułem się narażony na atak.

Przeturlałem się pod kratą, gdy tylko pozwoliła mi na to wielkość szczeliny. Moja zbroja zmówiła się z grawitacją i podniesienie się na nogi było prawdziwą walką. Po owym przypomnieniu, jak nieporęczna potrafi być kolczuga, i stwierdziwszy, że brakuje mi pode mną szybkich nóg Morda, uznałem, że czas zgubić zbędne kilogramy. Przeciąłem paski nożem, bo nie miałem zamiaru męczyć się w ciemnościach ze sprzączkami, po czym ściągnąłem kolczugę przez głowę. Pozwoliłem, by metalowa koszula spadła na ziemię w ciężkim, metalicznym ślizgu.

Nie czekałem na powrót Ronola, tylko pospiesznie ruszyłem w stronę budynków. Kilka latarni, które powinny oświetlać łukowate przejścia z głównego dziedzińca, wygasło i otwory ziały teraz czernią jak usta otwarte w ziewnięciu. Moje stopy wydawały na bruku zbyt głośne odgłosy. Czułem się bardziej jak intruz w mauzoleum niż księżę wracający do domu. Było wiele nocy, kiedy zataczałem się po terenie pałacu, gdy wszyscy spali, niemal zbyt pijany, by ustać na nogach, ale dziś w domu Czerwonej Królowej panowała inna atmosfera.

– Do diabła z tym. – Wyciągnąłem miecz i skoczyłem do atramentowocznego przejścia na plac Zwycięstwa. Kolejny oddech wzięłem dopiero, gdy z niego wyszedłem. Na całym placu latarnie paliły się na tyczkach rozstawionych przed schodami do domu ojca. W niektórych oknach na wyższym piętrze też widać było światła. Pomyślałem o Michy i jej dziecku. Przyspieszyłem kroku, mając nadzieję, że zaryglowała drzwi.

Po lewej stronie miałem Baraki Adama, kwaterę strażników pałacu, cichą budowlę z oknami jak ciemne oczy. Po prawej stały stajnie. Wyglądały na równie opustoszałe, mimo że słyszałem dobiegające ze środka nerwowe rzenie i tupanie koni, które chyba wyczuwały napięcie nocy. Nawet tutaj czułem swąd dymu z zewnętrznych dzielnic. Księżyc wspiał się wyżej, wciąż krwawy od pożogi. Moje kroki dźwięczały zbyt głośno na bruku.

Wschodnie i zachodnie skrzydła Rzymskiego Pawilonu były ciche i nieoświetlone, z jednej strony znajdowały się kwatery służących i kuchnie, z drugiej kościół Świętej Agnieszki. Skupiłem się na latarniach, sadzawkach światła przy drzwiach mojego domu. Mógłbym tu zebrać część strażników i lepiej zorientować się w sytuacji. Zerwałem się do biegu.

Trupy wyszły z kościoła. Wielkie dębowe wrota rozwarły się z trzaskiem na oścież na swych ozdobnych zawiasach z czarnego żelaza. Z mrocznego wnętrza budowli wypadły truchła dwóch księży, a za nimi zwłoki trzech młodych kleryków. Były szybkie jak energiczne umrzyki z murów miasta. Natychmiast

mnie dostrzegły i rzuciły się w moją stronę. Zerknąłem na miecz w mojej dłoni, przez głowę przemknęła mi myśl o dziecku Darina i na moment oparłem się chęci ucieczki.

Stwór podążający za klerykami był kiedyś człowiekiem, i to olbrzymim. Nekromanta musiał nad nim pracować godzinami, może ukryty w kryptach pod świątynią. Jak długo zaprzysiężeni śmierci czekali w obrębie murów Babki? Tydzień, miesiąc, lata? Bez wątpienia ukryci na widoku. Może nawet jako jedni ze służących lub strażników Ojca, może była to pokojówka, która przyniosła mi gorącą wodę do kąpieli...

Wepchnąłem miecz z powrotem do pochwy, obróciłem się na pięcie i uciekłem, by ratować własną skórę. Za życia ten człowiek musiał być wyższy od Snorriego i niemal tak samo szeroki. Teraz miał dodatkowe mięśnie dołożone do własnych, surowe mięso innych ludzi w jakiś sposób przyszyte do jego ciała i kości. Błyszczące czerwone płyty na jego ramionach wyglądały jak oba mięśnie udowe dorosłego mężczyzny.

Wszystkie trupy biegły szybko i w milczeniu, tylko ja zawodziłem, przebiegając obok Baraków Adama i trzymając się z dala od wszystkich drzwi ze strachu, że któreś z nich otworzą się z hukiem, gdy będę tuż przy nich.

Moją główną zasadą uciekania, po „nie zatrzymuj się” i „biegnij szybciej”, jest „pnij się lub kryj się”. Kryjówka jest zawsze dobrym rozwiązaniem, jeśli nie musisz przez jakiś czas nigdzie się pokazywać, ale jeśli nie możesz się ukryć, idź w górę. Od czasu do czasu zdarzało mi się już spotkać biegacza, który przebierał nogami szybciej ode mnie, ale nie spotkałem jeszcze nikogo, kto miałby większą ochotę mnie złapać, niż ja miałem ochotę zwiać. Gdy już byłem na dachach, zawsze znalazł się jakiś skok, którego mój prześladowca nie był w stanie wykonać, albo gzyms, po którym nie był gotowy przebiec. Jak zwykle nie zaszko dzi orientować się też w terenie, a na szczęście pałac od lat był moim placem zabaw.

Smyrgnąłem za kompleks baraków, podskakując przy zakręcie, by się na nim wyrobić, i zauważyłem wóz wyładowany baryłkami z wodą blisko zewnętrznego muru. Pobiegłem prosto do niego. Głuchy tupot stóp za moimi plecami oznajmił mi, że ścigające mnie trupy były tak szybkie, jak się tego obawiałem.

Dyszle pojazdu posłużyły mi za rampę, a z nich przeskoczyłem na wysoki stos baryłek. Parapet biegnący wzdłuż zewnętrznego muru jest podpierany przez kwadratowe dźwigary, rozmieszczone w równych odstępach i umocowane w ziemi, a nie przytwierdzone do muru, jak miałyby to miejsce, gdyby mur był wyższy. W połowie każdej belki znajdują się dwa uchwyty na pochodnię lub latarnię, jeden z każdej strony. Skoczyłem ku najbliższemu

dźwigarowi, jakbym chciał go kopnąć, i trafiłem stopą w miejsce tuż nad uchwytem. Odbiłem się od niego, gdy już zaczynałem się zsuwać, wystrzeliłem w górę i wyciągnąwszy się tak daleko, jak mogłem, koniuszkami palców chwyciłem za skraj chodnika. Zawisłem, majtając nogami i dysząc. Jako że parapet znajdował się jakieś szesnaście stóp nad ziemią, moje nogi wisały na wysokości kuszającej, by trup pode mną zechciał podskoczyć i złapać mnie za kostki.

Jednak „na szczęście” ścigające mnie zwłoki podążyły moim śladem. Pierwszy ksiądz rzucił się z baryłek z twarzą wykrzywioną okropną, milczącą wściekłością. Spróbowałem rozbijać się poza zasięg jego rąk. Zadrapał mnie paznokciami, gdy przeleciał obok mnie, a jego duszpasterskie szaty zatrzepotały jak skrzydła wielkiej wrony. Podciągnąłem się akurat, gdy skoczył ku mnie drugi ksiądz. Nie tak łatwo wciągnąć się na występ chodnika, mając za oparcie same koniuszki palców, ale przerażenie dodało mi sił. Zdołałem wysunąć brodę ponad krawędź i przerzucić stopę na parapet. Strach przepchnął nań resztę mojego ciała. Drugi ksiądz musnął podeszwę mojego uciekającego buta, gdy mijał mnie w swym krótkim locie ku brukowanemu dziedzińcowi.

Ruszyłem biegiem, gratulując sobie w duchu, lecz gdy zerknąłem do tyłu – niepolecana czynność, jeśli biegnie się wąskim chodnikiem oświetlonym jedynie blaskiem księżycy – okazało się, że jeden z ubranych na biało kleryków był już w połowie na ścieżce, podciągając się obiema rękami.

– Jak... – Wtedy to zobaczyłem. Za krzywizną muru ledwie mogłem dojrzeć olbrzymią postać giganta, balansującego na wozie. Już podsadzał na mur drugiego nowicjusza. Trupy sprytniejsze od wszystkich, jakie spotkałem do tej pory!

Pobiegłem w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara nad opuszczoną stróżówkę. Stał tam stary jak świat skorpion skierowany ku frontowi budynku i przez chwilę rozważałem, czy nie obrócić go i nie przerobić moich prześladowców na szaszłyk. Rozsądek przeważył – taka robota zajęłaby czterem mężczyznom pięć minut, a jeśli chodziło o ścigające mnie zwłoki, nawet włącznia w klatce piersiowej nie zrobiłaby im wielkiej różnicy. Zamiast tego popędziłem dalej na drugą stronę stróżówki.

Usłyszałem ryk potężnego wiatru albo pożaru i w biegu odwróciłem głowę. Nad murem widziałem ulice odchodzące od pałacu i mimo mojej dramatycznej sytuacji coś przyciągnęło moją uwagę. Po szerokiej, pustej przestrzeni przed pałacem grasował wir pyłu i łachmanów. Podobnie jak szarpiałach, którego widziałem podczas jazdy spod Bramy Apijskiej, miał wokół siebie swe wydrażone, udręczone ofiary, ale tamten był nieco większy od mężczyzny i

miał w niewoli zaledwie paru obłąkanych. Ten wir urósł większy od stróżówki. Światło księżyca lśniło na potłuczonym szkle unoszonym przez wirujące powietrze, a wokół niego wędrowało z rozpromienionymi oczami kilkudziesięciu mieszkańców miasta, poszarpanych i obdartych ze skóry. Na plecach mieli jeźdźców w postaci niewyraźnych, upiornych kształtów, diabelskich i strasznych w swej różnorodności.

Około dwudziestu żołnierzy z Siódmej wyszło ze schronienia za murem. Martus szedł na ich czele. Nie potrafiłem powiedzieć, gdzie w tak krótkim czasie podzieli się pozostali. Mój brat z mieczem w ręku wyglądał, jakby szykował się do poprowadzenia ataku.

Obejrzałem się. Najszybszy z nowicjuszy wciąż był sto jardów za mną, więc się zatrzymałem. Nie da się zranić szarpłacha. Trzeba oczyścić drogę przed nim i poczekać, aż się rozwieje. Małe znikają po jakiejś godzinie. Dostałem raporty o dziewięciostopowym, który wiał przez pół dnia...

Złapałem oddech.

– Uciekaj, ty idioto!

Martus obejrzał się i dostrzegł mnie na murze. Nawet z tej odległości widziałem na jego twarzy wyraz, którego się spodziewałem. Był Generałem Martusem Kendethem, głową rodu, teraz, gdy Ojciec zmienił się w popiół. Stał przed pałacem Czerwonej Królowej i choć strach pewnie ścisnął mu wnętrzności jak lodowata pięść, nie zamierzał biec nigdzie indziej niż w stronę wroga.

– Ty powalony draniu, jego nie da się zranić! – Kleryk minął właśnie stróżówkę i pędził ku mnie, nie zważając na to, że mógł spaść z wąskiego chodnika. Za nim biegło dwóch pozostałych, a na końcu olbrzym.

– Kurwa. – Bez namysłu wyciągnąłem miecz Edrisa Deana i przeklinając, rzuciłem go na drugą stronę muru. – Użyj tego! Zabija trupy! – I znów zerwałem się do biegu. Pożałowałem swego czynu, zanim jeszcze przebiegłem dwa kroki, ale wcale nie dlatego, że miałem zamiar stanąć w miejscu i walczyć. Niech mnie diabli, jeśli lubiłem Martusa, ale obaj kochaliśmy Matkę, a to była więź... coś... nie zamierzałem stracić dwóch braci tej samej nocy. Poza tym bez obciążenia w postaci długiego miecza da się zmykać o wiele szybciej.

Około trzystu jardów od stróżówki mur skręca ku budynkowi, w którym są przechowywane szynki i inne wędzone mięsiwa gotowe dla kucharzy. Wiedziałem o tym, bo kiedyś miałem okazję wywalczyć sobie drogę przez główny magazyn, po tym jak wpadłem do niego przez dach. Z muru to piekielnie długi skok, ale jeśli weźmie się dobry rozbieg i zdoła poszybować w pożądanym kierunku, jest wykonalny.

Ważnym elementem lądowania na dachu jest wiedza, w którym miejscu

biegną krokwie, by mogły one przejąć siłę uderzenia po twoim przylocie. Wylądowałem, rozkładając kończyny, i natychmiast zacząłem się zsuwać. Odrobina gorączkowego kopania podczas prób wpompowania powietrza do nagle pustych płuc i odzyskałem przyczepność, w międzyczasie zasypując ziemię dachówkami z terakoty. Położyłem właśnie dłoń na grzbiecie dachu, gdy pierwszy nowicjusz rąbnął w dachówki za moimi plecami.

Podciągnąłem się wyżej, a on ześlizgnął się i spadł bez żadnego krzyku, strącając przy tym kolejne płytki. Drugi kleryk wybił dziurę w dachu, gdy ja postawiłem stopy na jego szczycie. Rozłożywszy szeroko ręce, zacząłem posuwać się wzdłuż niego tak szybko, jak śmiałem, i szybciej, niż było to wskazane. Trzeci nowicjusz spadł na dach ponad krokwią i zdołał się na nim utrzymać.

Magazyn z wędlinami, na którym byłem, przylegał do wyższego budynku, którego zawartość pozostawała dla mnie tajemnicą z powodu solidniejszej budowy stropu. Skoczyłem, złapałem za szczyt drugiego dachu i wciągnąłem się na niego, tracąc przy tym wszystkie guziki i zdecydowanie więcej skóry, niż mogłem poświęcić. Ścigający mnie kleryk prawie capnął moją dyndającą stopę. Z satysfakcją odnotowałem, że jego nieudany atak skończył się walnięciem twarzą w ścianę. Zerknąłem do tyłu. Olbrzym przebył połowę pierwszego dachu, wykazując się nedorzecznym zmysłem równowagi jak na tak wielkiego, topornie wykonanego stwora. Jeden z księży włókł się jego śladem ze złamanym lewym ramieniem, wygiętym pod dziwnym kątem. Znałem go, często służył jako pomocnik Ojca, ale nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia. Umykało lepiej niż ja.

Bieg jest w każdym przypadku dobrą strategią ucieczki, ale porządny tchórz zawsze wykorzystuje niesprawiedliwą przewagę. Trzymając się nisko, cofnąłem się po grzbiecie wyższego dachu i obróciłem, wyciągając sztylet. Już zdążyłem zatęsknić za mieczem Edrisa. Dwie blade dłonie chwyciły za krawędź dachu po obu stronach brzegowej dachówki. Opuściłem sztylet na cztery palce prawej z nich, obiema rękami trzymając za rękojeść i napierając nań całym swoim ciężarem. Chwilę później warczący z obnażonymi zębami nowicjusz pokazał twarz nad krawędzią dachu. W oczach nie miał żadnych zbożnych intencji; były pełne budzącego grozę głodu, który napędzał umarłych. Zaniechałem prób skrócenia mu palców i zamachnąłem się złożonymi razem pięściami w jego twarz. Odpadł od dachu, a ja znów zacząłem uciekać.

Każdy człowiek na tyle głupi, by dobiec do końca dachu drugiego budynku, zostanie przywitany ziejącą przepaścią i możliwością skoku nad nią na szeroki spadzisty dach królewskich stajni. Wiedziałem o tym, więc przyspieszyłem i dałem susa, wrzeszcząc, wciąż przebierając nogami i wymachując ramionami

jak wiatrak. Gruchnąłem na dach stajni przy akompaniamencie pękających dachówek i być może również kości, uderzyłem się w twarz i, wnioskując po bólu, znów złamałem nos. Zajęło mi chwilę, zanim otrząsałem się na tyle, by pojąć, że się turlam. Rozpostarłem kończyny na wzór rozgwiazdy i wyhamowałem zaledwie kilka cali nad rynną.

Pięćdziesiąt jardów za mną olbrzym wskoczył na dach, z którego dopiero co się rzuciłem. Teraz na czele biegł ksiądz ze złamaną ręką, a za nim podążał nowicjusz z uciętymi palcami. Obu pewnie podsadził ponownie na dach napakowany trup. Dźwignąłem się na spadzie dachu stajni. Krew płynęła mi z nosa nieprzerwanym strumieniem nabrzmiąłych kropli.

Ucieczka musi stanowić jedyne, niczym nieskażony cel. Obrazy Michy i jej dzieciątka bez przerwy zakłócały obecny pościg, a gdy dotarłem do skraju dachu, zdałem sobie sprawę, że w razie kłopotów siostry DeVeer zawsze zbierały się razem. Czy Lisa dołączyła do Michy w Rzymskim Pawilonie? Jeśli tak, ten rzeźnik, który złożył do kupy ścigające mnie monstrum, bez wątpienia znajdował się teraz w tym samym budynku co obie kobiety. Z wolna trasa mojej „ucieczki” zaczęła zakręcać z powrotem w stronę Rzymskiego Pawilonu, zmuszając mnie do serii coraz bardziej groźnych śmiercią skoków, które trupom zdawały się wychodzić lepiej niż mnie.

Przez chwilę leżałem wyczerpany i dyszałem. Ksiądz grzmotnął o dach zaledwie kilka jardów pode mną, rzucony tam przez olbrzyma. Jakimś cudem utrzymał się na nim jedną ręką i spojrzał na mnie, oświetlony blaskiem księżycy. Warknął z przygnębioną dozą energii jak na staruszka, który jak pamiętałem, chodził, podpierając się laską lub przy pomocy chudego chórzysty. Gdy był tak blisko, w końcu przypomniało mi się jego imię. Ojciec Daniel.

Nowicjusz uderzył w dach obok niego, lecz nie zdołał się go chwycić swoją zakrwawioną ręką i spadł z wysoka na ziemię. Mój sygnał, bym znów zaczął uciekać.

Dziesięć jardów przed krańcem dachu stajni skręciłem w lewo, pędząc w dół po mniej nachylonym fragmencie. Pięć jardów przed najniższym rogim zacząłem hamować i wpadłem w przedłużony poślizg. Zanim dotarłem do rogu, zwolniłem od prędkości typu „połam kark” do „połam nogę” i spadłem z jękiem, który w połowie składał się z modlitwy i w całości z nadziei.

Sztuka polega na tym, żeby przy upadku na ziemię zacząć się turlać. Cóż, głównie polega na tym, żeby się nie połamać. Ale turlanie pomaga. Nogi ugięły się pode mną, hamując mój impet tak mężnie, jak mogły, po czym pchnęły mnie naprzód. Zacząłem się toczyć już w trakcie padania na ziemię. Walnąłem w bruk mocniej, niż było to zalecane, i pokoziołkowałem, po czym zatrzymałem się kilka jardów dalej jako jęcząca kupka kończyn.

Ojciec Daniel wylądował nieco za mną, gruchocząc obie kostki. Poczłgał się w moją stronę, przywołując wspomnienia paru moich starych koszmarów, ale teraz poruszał się nawet wolniej niż za życia.

Dźwignąłem się i pokuśtykałem przed siebie. Łupnięcie za moimi plecami prawie zatrzymało mi serce. Znaczyło, że olbrzym wylądował na ziemi. Ze stęknieniem zacząłem utykać szybciej, przeklinając prawe kolano, które chyba wypełniło się tłuczonym szkłem. Zanim dotarłem do bocznej ściany Pałacu Juliana, z dyszeniem wołając o pomoc, oprócz Ronola nie spotkałem ani jednej osoby, która byłaby żywa i nie próbowała mnie zabić.

Podążyłem moją dziecięcą trasą na dach Pałacu Pauperów, z parapetu na łuk okna, potem na dwie głowy gargulców – z otwartymi ustami, gotowe do wyrzycania zapaskudzonej wody z wychodków wieży – kolejny parapet, kolejny łuk i niełatwa sprawa z wspięciem się na krawędź dachu spod wystającego mocno fragmentu ściany. Było o wiele łatwiej, kiedy ważyłem jedną czwartą tego co teraz i jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że jeśli spadnę, to wcale nie odbiję się od ziemi.

Nie miałem pojęcia, jakim cudem olbrzym wspinał się za mną. Brzmiało to raczej, jakby wyrywał ze ścian garście piaskowca. Dotarłem na pokrytą ciemną dachówką połączyć dach z martwym stworem depczącym mi po piętach.

Wbieganie pod górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni w najlepszym wypadku wydaje się wspinaczką na klif. Po uprzednim pościgu mogłem się teraz zdobyć jedynie na miarowe pełznięcie. Dźwięki za mną brzmiały, jakby potwór rozdzierał okap, zamiast starać się na niego wspiąć. Znalazłem luźną dachówkę i odwróciłem się, by cisnąć ją w głowę trupa. Przeleciała obok jego ucha i lukiem spadła w noc.

Dotarłem do podstawy zachodniej wieży, gdy olbrzym podciągnął się na dach. Jego oskórowana twarz lśniła w świetle wspinającego się po niebie księżyca. Mój mózg nie miał innego pomysłu niż „w górę”, więc posłuchałem jego rady. Następuje taka chwila, gdy wyczerpanie tak solidnie w nas osiada, że nie zostawia miejsca na nowe rozwiązania. Wspinałem się instynktownie, dłonie znajdowały znajome uchwyty, które prowadziły mnie w górę i w dół po tych wieżach przez ponad dekadę. To była łatwa wspinaczka i nie dawała wiele nadziei na pokonanie mego prześladowcy, ale nie mogłem iść nigdzie indziej. Złapałem pierwszego gargulca i podciągnąłem się. Teoretycznie były to maskarony, bo nie pluły wodą, ale dla mnie wszystkie wielkie, brzydkie, kamienne potwory zawsze będą gargulcami, a poza tym nie dbałem o architektoniczne niuanse, kiedy ścigało mnie pozbawione skóry straszdyło. Kiedy nie ścigało, też nie dbałem.

Wspinałem się, a potwór piął się za mną.

Tak naprawdę, chociaż zszedłem kiedyś z tej konkretnej wieży, jeszcze nigdy na nią nie wszedłem. Polegałem na tym, że była bliźniaczką wschodniej wieży stojącej po drugiej stronie wielkiego portyku, na którą wspinałem się wiele razy, by odwiedzić wujecznego dziadka Garyusa. W sumie okno nade mną ze wszystkich okien w pałacu byłoby ostatnim, przez które chciałbym się wgramolić. Jedynie pewność, że Milcząca Siostra była w Slov, połączona ze świadomością, że goni mnie wielki krwawy zezwłok, stanowiła bodziec, bym piął się wyżej.

Położyłem jedną dłoń na parapecie, a stopę oparłem na potylicy ostatniego gargulca i przez chwilę pomyślałem, że mi się uda. Wtedy palce potwora zacisnęły się na obutej pięcie mojej dyndającej nogi.

– No *nie!* – Co za niesprawiedliwość.

Zaparłem się nogą o rzygacza i podciągnąłem się tak mocno, jak mogłem, by się wyrwać. Nie miałem szans, ale w desperacji chwyciłem się wszystkiego.

Gargulec odpadł od ściany z zaskakująco głośnym trzaskiem. Martwy olbrzym trzymał się jeszcze przez ułamek sekundy, mimo że posąg wielkości mężczyzny uderzył go prosto w twarz. W następnej chwili oba monstra już spadały. Drugi gargulec przerwał im lot ku dachowi nad głównym wejściem daleko w dole. Trup na moment zawisł, przebity kamiennymi rogami, po czym ciężar pierwszej rzeźby strącił go z nich i dwa stwory wybiły dziurę w płaskim stropie portyku, po czym rąbnęły w schody przy wejściu, tworząc kamienną kanapkę z trupią wkładką.

Wisiałem na wieży i dyszałem. Tak niewiele brakowało, bym i ja spadł tam gdzie one. Czas mijał, aż w końcu ucichło łomotanie mojego serca. Gapiłem się na surowy kamień w miejscu, gdzie gargulec odłupał się od ściany. Czekał, by spaść, od chwili moich narodzin. Czasami różnica między uratowaniem życia a zabiciem go zależy jedynie od wyczucia czasu – dobrego momentu i złego.

Czując suchość w ustach, wgramoliłem się przez okno Milczącej Siostry. Trzęsły mi się wszystkie kończyny.

Nic nie dostrzegłem, dopóki nie przesunąłem się w bok i zza moich pleców nie wlała się do środka księżycowa poświata. Niewielki pusty przedpokój. Mroczne spiralne schody prowadziły do foyer na dole. Drzwi do komnaty Milczącej Siostry były zamknięte, a obok nich stało krzesło z wysokim oparciem. Drugie krzesło, identyczne, przesunięto na środek przedpokoju, między drzwi i łuk nad schodami. Na nim znajdowały się puchar, srebrny w świetle księżyca, pas płótna i but.

– Co, do licha? – Poczłapałem naprzód. Nie wiedzieć czemu bolała mnie lewa noga, a prawą stopą wyczuwałem chłód kamiennej posadzki. Spojrzałem w dół. Olbrzym wcale mnie nie puścił, podeszwa mojego buta oderwała się i została

mu w rękę. Jeśli chodzi o lewą nogę, z rany nad kolanem ciekła krew – róg gargulca musiał mnie zranić, gdy ten oderwał się od ściany.

Wziąłem płótno i obandażowałem nogę. But wyglądał podejrzanie jak nowa wersja tego, który nosiłem. Pozbyłem się resztek starego i wciągnąłem nowy. Pasował idealnie. Puchar był w trzech czwartych wypełniony wodą. Trochę musiało wyparować przez dwa tygodnie, odkąd cioteczna babka go tu zostawiła. Pływała w nim czarna mucha.

– Nie jestem *aż taki* spragniony! – wyszeptałem ochryple. Chwyciłem kielich i wyprztykałem z niego muchę. Nie zdołałem oszukać nawet siebie, a przecież dobrze mi to wychodziło. Osuszyłem czarę i otarłem usta, zastanawiając się, czy stara wiedźma nie poluzowała spojenia, które trzymało gargulca przy ścianie. Poczuliem się słaby i oszołomiony, zlany potem z wysiłku i strachu.

Jak wiele zobaczyła?

– Czy ty się kiedykolwiek mylisz, starucho? – Wybuchnąłem krótkim śmiechem. Ciekawe, czy miała inne kompozycje przedmiotów poustawiane na wypadek zdarzeń, które nigdy nie zaszły. Gdybym nigdy nie wspiął się na wieżę, nie wiedziałbym, czy się pomyliła...

W tym momencie nasza mnie kolejna fala zawrotów głowy i nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Opadłem na krzesło ustawione dokładnie przy mnie i gotowe mnie przyjąć.

– Ale popisówa.

Ocknąłem się zaskoczony i przez moment zdezorientowany, a potem poczułem się winny. Miałem nadzieję, że odpoczywałem na krześle jedynie przez chwilę. Wstałem i poklepałem pustą pochwę przy biodrze. W pokoju nie było zastępczego miecza.

– Ha, tu cię mam, stara wiedźmo! – Nie mogłem jednak wykrzesać uśmiechu z powodu tego zwycięstwa. To było chwilowe szaleństwo, którego prawie natychmiast pożałowałem. Miałem jednak nadzieję, że Martus przeżył. Jak inaczej miałbym przypisać sobie zasługę za to i przypominać mu o tym do końca naszego życia?

– Lisa! – Miałem na myśli również Michę i Nię, ale to imię Lisy mi się wyrwało, gdy nagle przypomniałem sobie o całej sytuacji i zerwałem się do biegu. Jeśli Hertet zebrał wokół siebie wszystkich strażników z rezydencji, to dla bezpieczeństwa ludzie będą się gromadzić w Wewnętrznym Pałacu. Siostry DeVeer wraz z dzieckiem Darina też schronią się pod skrzydłami nowego króla.

W holu Pałacu Pauperów nie było żywej duszy, żadnych strażników przy drzwiach. Jednym susem przesadziłem stopnie przed budynkiem. Lądowanie przypomniało mi, jak bardzo bolało mnie kolano. Na wpeł biegnąc, na wpeł kulejąc, przeciąłem dziedziniec i krótki tunel, po czym przez kolejny plac doszedłem do Wewnętrznego Pałacu. Skierowałem się do skrzydła dla gości.

– Stać! – Gromki głos. – Natychmiast stać!

Zatrzymałem się dziesięć jardów od wejścia do skrzydła dla gości i odwróciłem się, by zobaczyć, jak podchodzi do mnie wysoki pałacowy strażnik. Za plecami miał oddział dwunastu strażników murów z włóczniami na ramionach.

– Muszę się zobaczyć z...

– Nikomu nie wolno naruszać godziny policyjnej. – Głos mężczyzny był tak głęboki, że chyba musiał mu sprawiać ból. – Z rozkazu króla!

Zmierzyłem go wzrokiem. Młody, dobrze umięśniony, w błyszczącym napierśniku, twarz miał z rodzaju tak przystojnych, że od razu było wiadomo,

że kompletnie brakowało mu wyobraźni.

– Twoje imię, strażniku? – Próbowałem zabrzmieć, jakbym ja tu rządził. W zasadzie tak właśnie było.

– Podkapitan Paraito.

– Słuchaj, podkapitanie. Jestem *księżę* Janan. – Nie miałem siły na swój królewski ryk. – Muszę sprawdzić, co z moją rodziną, a potem zamierzam zobaczyć się z Hertetem, więc...

– Wrzucić go do celi, tam gdzie pozostałych dysydentów. – Paraito machnął na swych żołnierzy. Czterech zakutych w kolczugi strażników murów wystąpiło naprzód. Sięgnąłem po swój nieobecny miecz. Robił się z tego nawyk i problem.

– Słuchać no! – Mój ryk wrócił, gdy czterech żołnierzy wyciągnęło ku mnie ręce. – Jestem marszałkiem całego tego pierdolonego miasta, powołanym przez samą *Czerwoną Królową*, a w razie gdybyście nie zauważyli, Vermillion został zaatakowany Połowa już płonie, a po tym pałacu skradają się martwe stwory. – Odepchnąłem najbliższą dłoń. – Więc jeżeli chcecie dożyć świtu, dobrze wam radzę, zabierzcie mnie prosto do mojego wuja. I to już!

Podkapitan gapił się na mnie, podczas gdy dwóch jego sługusów chwyciło mnie za ręce. Zmarszczka na jego przystojnym czole sugerowała, że być może zdołałem wyszczerbić nieco siłę jego przekonania.

– Zabierzemy go na dwór i pozwolimy, by król zdecydował, czy zechce go przyjąć.

Odwrócił się i odszedł.

– Zaczekaj! – Wbiłem piętę w ziemię, ale potem zacząłem iść, bo było jasne, że w razie potrzeby żołnierze będą mnie ciągnąć. – Zaczekaj! Dokąd idziemy? – Podkapitan kierował się w stronę przeciwnego krańca placu, oddalając się od Wewnętrznego Pałacu.

– Król przeniósł dwór do Willi Mediolańskiej.

– Toż to... toż to szaleństwo. – Po pałacu buszowali wrogowie, a Hertet osiadł jako król w swej starej siedzibie? Wewnętrzny Pałac był rezydencją monarchów od pokoleń. Uroki i zaklęcia ochronne spowijały go grubiej niż jakiegokolwiek dywany czy gobeliny. To było miejsce chronione przed czarną magią. Z tego, co wiedziałem, każdy martwy stwór, który przeszedłby przez próg, spłonąłby albo obrócił się w proch... albo po prostu stałby się bardziej tradycyjnym trupem, wolnym od nekromanckich machinacji. Wątpiłem, by Willa Mediolańska cieszyła się podobnymi zabezpieczeniami. Wuj Hertet jednak ćwiczył tam królowanie dłużej, niż ja byłem na świecie. Może tam czuł się najbezpieczniej. Może tron Czerwonej Królowej go przerażał. Mnie by przerażał. Zwłaszcza jeśli moje roszczenia byłyby przedwcześnie...

Mijając Rząd Skrybów, dostrzegłem żylastą sylwetkę bagiennego ghula, ciemną na tle księżyca, tylko przez chwilę, gdy stwór wspinał się na dach.

– Tam! – Wykręciłem ramię, by je oswobodzić, ale mi się nie udało. – Tam na górze, ghul!

– Nic nie widzę. – Podkapitan Paraito zerknął w tamtą stronę, nie przerywając marszu.

– Nie zamierzasz nawet posłać żadnych ludzi, żeby to sprawdzili? – Zdołałem wyrwać się jednemu ze strażników. – Puszczaj, pajacu, wuj jest dokładnie tą osobą, z którą chcę się teraz widzieć. Nie musicie mnie do niego ciągnąć!

– Z rozkazu króla wszyscy zbrojni mają za zadanie strzec Willi Mediolańskiej. Nasze patrole wyłapują zdrajców i zapobiegają wszelkim atakom. Nie będziemy ganiać za cieniami.

Pokręciłem głową i szedłem dalej. Szczerze mówiąc, te cienie pewnie zjadłyby Paraito i jego oddział, gdyby żołnierze odważyliby się w nie zapuścić.

Kolejną próbę podjąłem dopiero, gdy wyłonił się przed nami budynek Rzymskiego Pawilonu. Wątle światelko uciekało zza okiennic jednego z pokoi na piętrze. Wyrwałem się żołnierzom i dałem krok w bok. Jeszcze jeden i by mi się udało, ale jeden ze strażników, przypadkiem lub celowo, wsadził rękojeść włóczni między moje nogi, więc przewróciłem się, pociągając za sobą dwóch mężczyzn, którzy padli mi na plecy.

Podźwignęli mnie, plując żwirem zebrany z bruku.

– Spętać więźnia! – Podkapitan Paraito skinął głową żołnierzowi ze swego oddziału.

– Nie próbowałem uciekać, ty niemoto! – W moim głosie rozbrzmiało echo furii berserka i kolejni strażnicy podeszli bliżej, by pomóc przytrzymać mi ręce.

– Żona księcia Darina i ich córeczka są w Rzymskim Pawilonie same z nekromantą. – Wzięłem głęboki oddech, gdy wiązali mi pętlę ze sznura wokół dłoni. – Przypomnę wam ponownie. Jestem księciem i marszałkiem całego tego cholernego miasta! Jeśli pozwolicie zginać mojej bratowej... Chwila! Nekromanta! Stanowi zagrożenie dla Herteta, to znaczy króla. Waszym obowiązkiem jest...

– Moim obowiązkiem jest uwzględnienie tej informacji w raporcie.

Podkapitan gestem nakazał żołnierzom ruszać dalej, i tak właśnie zrobili, ciągnąc mnie, gdy ja walczyłem ze swymi więzami.

Gdy zbliżyliśmy się do Willi Mediolańskiej, zauważyłem wokół jej murów tłum zakuty w zbroje mężczyzn. Paliło się tyle pochodni, jakby chciano zalać światłem cały dziedziniec. Dostrzegłem członków gwardii pałacowej, elitę z sali tronowej, strażników murów, strażników terenów pałacu, arystokratyczne

niedobitki kawalerii Czerwonej Lancy, Długiej Włóczni i Żelaznego Kopyta, strażników z baszty marsalskiej, a nawet strażników z rezydencji szlachciców.

– Alphons! – Zobaczyłem jednego z ludzi Ojca w gromadzie przed frontowymi schodami. – Alphons! Czy lady Micha jest bezpieczna? I lady Lisa?

Odkrzyknął, ale wychwyciłem tylko coś jakby „dublet”, zanim moi porywacze popchnęli mnie w górę po schodach i dalej wąskim przesmykiem między rycerzami w zbrojach. Olbrzymie wrota z brązu uchyliły się na żalostne dwie stopy, pozwalając nam wślizgnąć się jeden za drugim do wypełnionej po brzegi sali wejściowej.

– Trzymajcie go mocno. – Paraito odszedł, pewnie żeby napisać swój raport.

Stałem spocony, obolały i nade wszystko wściekły. Stłoczeni w sali ludzie zdawali się gadać wszyscy naraz. Fala rozmów opadła tylko minimalnie, gdy mnie wprowadzono. W przedsionku dojrzałem tuzin grupek lordów, tu i tam damę, kilku baronów, hrabiego, a nawet kupców wciśniętych w swe najdroższe stroje. Wszyscy rozmawiali ze sobą, niektórzy jowialni, inni zmartwieni, jeszcze inni ożywieni. Zobaczyłem księżną Sanserę w diamentach, dziś wieczór znać było po niej jej wiek. Lord Gren, mój stary przeciwnik w sprawach hazardu związanego tak z końmi, jak i z ludźmi, wyglądał na bardziej zdenerwowanego niż kiedykolwiek wcześniej w dołach. Było tu jeszcze koło dwudziestu szlachetnie urodzonych osób, które powinny się za mną wstawić. Kilka spojrzało w moją stronę, ale widok więzów na nadgarstkach zniechęcił je do podejścia.

– Nie możemy tak tu stać! – Spojrzałem na czterech mężczyzn, którym polecono mnie pilnować. Wyglądali wybitnie nieelegancko pośród złota i jedwabi napuszonych osobistości. – Widzieliście, jak wygląda sytuacja na zewnątrz. .. Wy...

– Kuzyn Jan! – Drugi syn Herteta, Roland, wszedł przez główne wejście i natychmiast mnie zauważył. Martus nazywał go Trzęsibródką, ale żeby oddać mu sprawiedliwość, Roland zapuszczał jakąś rzadką bródkę, by ukryć ten fakt, a spłodzenie pierwszego prawnuka Czerwonej Królowej stanowiło największe z jego wartych wzmianki osiągnięć. – Ojciec zechce z tobą porozmawiać!

Spojrzałem w jego wodniste, niebieskie oczy. Chyba nie był świadomy tego, że znajdowałem się pod strażą. Zdołałem się uśmiechnąć i pokiwałem głową.

– Prowadź. – Roland poszedł przodem, zamasyście szastając szmaragdową peleryną z wyszytymi trójliściami, które Hertet wybrał na symbol swojej gałęzi rodowego drzewa Kendethów.

– Chwileczkę, kuzynie! – Zatrzymałem Rolanda, gdy podszedł do drzwi wielkiej sali. – Znasz DeVeerów? Każdy ich zna. – Nie dałem mu czasu na odpowiedź. – Nekromanta zajął kościół Świętej Agnieszki. Obawiam się, że Lisa

i Micha DeVeer mogą wciąż znajdować się w głównej siedzibie z moją małą bratanicą. Wyświadczyłbyś mi ogromną przysługę, gdybyś posłał oddział żołnierzy, by upewnili się, czy kobiety zdołały uciec, albo w razie potrzeby zaprowadzili je w bezpieczne miejsce.

– Nekromanta? – Roland zniekształcił głoskę „r” i rozdziawił usta z zaskoczenia. – W pałacu?

– W kościele. W Rzymskim Pawilonie. Dziecina w niebezpieczeństwie! – Pokiwałem głową, trzymając się nieskomplikowanych wyrażen. Miałem nadzieję, że wzmianka o dziecku poruszy go, bo sam był ojcem. – Mógłbyś posłać tam paru strażników.

Roland zamrugął.

– Ależ oczywiście. – Uniósł dłoń i skinął na kogoś. – Sir Rogerze! Sir Rogerze! – Niski rycerz w najbardziej błyszczącej zbroi, jaką kiedykolwiek widziałem, podszedł do nas niezręcznie, pobrzękując przy tym. – Damy w opałach w Rzymskim Pawilonie, sir Rogerze! – Roland każdego Rogera wymawiał jak Łogera.

– Zajmę się tą sprawą, książę Rolandzie. – Roger, z dziobami po ospie i gęstym czarnym wąsem, skłonił się krótko z wydajnością i poczuciem celu.

– Zabierz ze sobą dwunastu ludzi, sir Rogerze. – To była jedyna rada, jaką mogłem zaoferować, bo Roland ponownie ruszył w stronę drzwi. – Dobrych!

Kuzyn przepchnął się między elitarnymi strażnikami, pilnującymi wejścia na dwór jego ojca. Czterech z nich miało zbroje z ognistego brązu królowej, a na hełmach jej szkarłatne pióropusze. Roland położył dłonie na górujących nad nim dębowych deskach, pchnął je i wszedł do wielkiej sali.

Nie byłem w wielkiej sali Willi Mediolańskiej od wesela Rolanda, które odbyło się, gdy miałem trzynaście lat. Ojciec i jego najstarszy brat pokłócili się o jakąś sprawę dotyczącą ukarania domowego księdza. Oczywiście tak naprawdę wcale nie chodziło o duszpasterza, tylko o to, komu uda się kim pomiatać, jak to w większości utarczek między braćmi. W każdym razie lekko rzucono ciężkie słowa i mocno urażony Ojciec wyprowadził swoje stadko z sali.

Martus musiał siłą odciągać lekko wstawionego niedorosłego księcia Jalana od ślicznej młodziutkiej druhny, której imienia już nie pamiętałem.

W ciągu minionej dekady miejsce zmieniło się nie do poznania. Tuziny ozdobionych klejnotami latarni rzucały iskrzące się światło na bez wątpienia najbardziej przepysznie umeblowaną salę, jaką w życiu widziałem. Arrasy za mahoniowym tronem Herteta utkane były ze złotego i srebrnego drutu, dywany z induskiego jedwabiu miały tak żywe kolory, że aż raziły wzrok. Połączane zbroje stały wokół sali, a pomiędzy nimi strażnicy Babki, tak nieruchomi, że na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, które zbroje były

puste, a w których znajdowali się mężczyźni.

Sala tronowa okazała się mniej zatłoczona niż poprzednia komnata. Zebrano się tu około trzydziestu ulubieńców Wuja z czarami wina w dłoniach. Wokół nich krążyli służący. Dostrzegłem tuzin wyglądających znajomo, lecz anonimowych lordów. Sir Grethem w pełnej zbroi wyglądał, jakby szykował się na jeden z turniejów, którym zawdzięczał swą reputację. Blisko środka sali stała lady Belinda, ostatnia i najmłodsza kobieta z długiego sznura kochanek Herteta. Obok niej księżę Grast, być może najpotężniejszy poplecznik wuja, krzepki mężczyzna z gęstą siwą brodą. Mogło się zdarzyć, że rozsiałem o nim dziwnie okrutną plotkę wiele lat po tym, jak przyłapał mnie ze swoją siostrą.

Mahoniowy tron Herteta stał na podwyższeniu, a jego oparcie wznosiło się nad Wujem, rzeźbione w dramatyczne zawijasy. Ich linie były wysadzone rubinami, które odbijały światło latarni i wyglądały jak błyszczące krople krwi.

Jednak najbardziej w całym tym splendorze moją uwagę przyciągnęła korona na głowie nowego króla. Imperialna korona Babki, ciężkie żelazo honorujące jej najkrwawszych przodków i wspomnienie dni, kiedy wszyscy w Czerwonej Marchii byli wojownikami. Wieki złagodziły ją trochę bogactwem diamentów i ornamentem z czerwonego złota, ale wciąż była znakiem potęgi zdobytej za pomocą miecza i łuku.

Hertet wyglądał na zagubionego w mrocznym uścisku swego tronu, przytłoczony obszerną szatą ze złotogłowiu, całą pokrytą wymyślnymi wirami i spiralami na bretańską modłę. Idąc za Rolandem, zauważyłem niezdrową błądź Wuja, gdy pocił się pod ciężarem korony. Był bardziej wymizierowany niż tego ranka na pogrzebie Ojca.

– Rodzicielu! – Niewielka wada wymowy Rolanda nadawała większości jego wypowiedzi lekko komiczny wydźwięk. Bardziej dobrotliwy szlachcic po odkryciu, że jego syn ma problemy z „r”, zmieniłby mu imię na John. Roland przepchnął się między następną grupką lordów i podniósł rękę oraz głos. – Rodzicielu! Znalazłem księcia Jalana, przyszedł, by przysiąc ci posłuszeństwo!

Roland odsunął się na bok, by mnie zaprezentować, i wtedy z pewnym zdziwieniem w końcu dostrzegł więzy na moich nadgarstkach oraz podarte, zakrwawione ubranie.

– Bratanku. Rozkazuję ci, jako pierwszemu z synów Reymonda, klęknąć przede mną... a ty zjawiasz się w pętach i szmatach? Czy to jakaś nowa moda? He? He?

Szczekliwy śmiech Herteta wywołał u jego dworzan pochlebne echa, gdy zaczęli obśmiewać mój stan. Teraz byli dworzanami w pełnym znaczeniu tego słowa, skoro Hertet został królem.

Wuj uniósł obie dłonie, w tolerancyjny sposób prosząc o ciszę.

– No to gdzie są ci twoi bracia? Martus powinien przysiąc mi wierność. Teraz jest głową twojego rodu, czyż nie? Dopóki nowy kardynał papieżycy was stąd w końcu nie wyrzuci! – Kolejna porcja śmieszków.

– Martus broni pałacu przed wrogami na twój rozkaz... Wuju. – Nie mogłem się zdobyć na to, by zatytułować go królem, jeszcze nie. – Gdy go ostatnio widziałem, właśnie szykował się do ataku na szarpiłacha. Nie wiem, czy...

– Na co? – zapytał Hertet.

Książę Grast wystąpił, zanim zdążyłem odpowiedzieć. Spojrzał na mnie chłodno.

– Na szarpiłacha, Wasza Wysokość. Chłopskie określenie na wiry pyłowe, które wieją od czasu do czasu. Wieśniacy twierdzą, że są nawiedzone.

– He! He! Ten chłopak! Zawsze mówiłem, że będzie walczył z wiatrem, jeśli nie znajdzie nikogo innego! Tak mówiłem, co, Rolandzie? Tak mówiłem! – Hertet odsunął z czoła szare kosmyki, a wokół rozbrzmiał posłuszny chichot.

– Nie wiem, czy Martus przeżył. – Podniosłem głos. – A Darin zginął. Przy murach miasta zabiły go trupy, które zajęły Bramę Apijską. Zewnętrzne dzielnice płoną. Musimy...

– Tak. Tak. – Hertet zmarszczył brwi pod koroną, a w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie. – Czy nie jesteś marszałkiem, bratanku? Nie powinieneś być tam teraz i wygrywać bitwy? A może zadanie cię przerosło? – Wyglądał na w równym stopniu zaniepokojonego, co rozgniewanego. Wiercił się na swoim tronie.

Wyczułem w nim słabość. Nigdy nie zdołałem uzyskać wsparcia potrzebnego przy bramie, jeżeli wśród ogólnego śmiechu wyprosi mnie z dworu, więc zaatakowałem.

– Skąd masz tę koronę, Wuju? – Błysk diamentów przyciągnął mój wzrok. – Była zamknięta w królewskim skarbcu. – Ojciec opowiadał mi o żelaznej komnacie. Pierwszy Gholloth wydał małą fortunę, by zabezpieczyć większą. Turkmańscy mistrzowie-kowale przyjechali ze wschodu, by zbudować ją tu, na miejscu. Po jakimś czasie do skarbcza dałoby się włamać... ale tak prędko? – Czerwona Królowa ma jedyny klucz.

Na moją zuchwałość kilka osób gwałtownie wciągnęło powietrze, po czym zapadła cisza. Hertet sięgnął za złoty kołnierz swej szaty i wyciągnął klucz Lokiego, obracający się wolno na poskręcany srebrnym łańcuszku.

– Wcale nie było trudno go zabrać temu paskudnemu staruchowi, którego matka trzyma w wieży. Ze mną jest o wiele bezpieczniejszy i taki użyteczny w otwieraniu drzwi! Nie uwierzyłbyś, jakie sekrety odkryłem i ile złota zachomikowała droga Matka...

– Zabrałeś mu klucz? – Oczywiście, że zabrał. Garyus nigdy nie oddałby go

swojemu zidiociałemu siostrzeńcowi, nie kiedy był namiestnikiem. – To zły pomysł, by *zabrać* komukolwiek ten klucz. On musi być oddany.

– Bzdura. – Wuj wzdrygnął się i z trudem wykrzywił twarz w uśmiechu. – Jestem królem i biorę, co chcę. Klucz należy do mnie i nie musisz się nim kłopotać. Zdejmij te głupie sznury i klęknij. Wtedy będziesz mógł wrócić do swoich zajęć, czym tam one są. A może powinienem powołać na twoje stanowisko kogoś bardziej kompetentnego?

Wszystkie moje instynkty próbowały mnie pchnąć na kolana, ale jedno pytanie wciąż trzymało mnie na nogach.

– Czy Garyus... wciąż żyje?

Hertet zmarszczył brew.

– Oczywiście, że tak. Nie jestem potworem. Pozostanie zamknięty w bezpiecznym miejscu, dopóki nie zacznie się ze mną zgadzać. Niektórzy... – Spojrzał na błyszczący rząd dworzan najbliższej tronu. – Niektórzy doradzali szybkie i ostre rozwiązanie. Ale te czasy już minęły. Nie jestem moją matką.

Klęczałem na jednym kolanie od chwili, gdy usłyszałem, że Garyus żyje. Zawsze chętnie odrzucałem dumę, jeśli stała na drodze do mojego celu, czy to ucieczki, czy to baraszkowania w kobiecym łóżu. Hertet mógł dostać moją przysięgę wierności, ona wcale nie była wiele warta.

– Mój królu, potrzebuję pałacowej straży przy Bramie Apijskiej. I wszystkich żołnierzy z Siódmej, których da się zebrać. Trwa tam walka, a my nie wygrywamy. Jeśli brama padnie, padnie też pałac – nie był zbudowany do obrony. Nasi zbrojni lepiej ci się przysłużą przy murach miasta.

Hertet schował klucz Lokiego i skrzywił się.

– Zostawiłbyś swego króla bez ochrony? Na łasce dysydentów, którzy mogą podburzyć motłoch? To nędzna deklaracja twojej lojalności wobec korony, Marszałku!

Z kilku stron podniosły się głosy poparcia, nie tylko pochlebne, ale i pełne prawdziwej troski o własny interes. Nie tak łatwo przekonać ludzi, by odesłali swoich strażników, gdy miasto płonie i trwa walka. To głupota, tak jak wyrzucenie miecza, kiedy ktoś cię goni.

Podniosłem się niezgrabnie, bo wciąż miałem związane ręce.

– Wasza Wysokość, nie pojmujesz skali zagrożenia. Tysiące trupów opanowują mury, może nawet dziesięć tysięcy. Jeśli zdołają otworzyć Bramę Apijską i wkroczyć do miasta, Vermillion padnie. Pałac, ten dom, wszystko obróci się w perzynę w ciągu godziny. Mury stanowią naszą jedyną ochronę i są jedynym miejscem, gdzie nasza liczebność ma znaczenie. Ludzie przed twoimi drzwiami są marnotrawstwem. Przy bramie mogą zmienić losy bitwy. Książę Rotus i księżniczka Serah walczą tam wraz z naszymi żołnierzami.

Potrzebują wsparcia. – Na twarzy Herteta widziałem konflikt interesów. Był głupi, ale nie kompletnie. Podejrzewałem, że większość podjętych przez niego działań była efektem paranoi, potencjalnie uzasadnionego przekonania, że jego rodzina, miasto – a może rodzina *i* miasto – odrzucą jego roszczenia i posadzą na tronie Czerwonej Królowej młodszego, zdolniejszego Kendetha.

– Jaland, powiedz ojcu o nekromancie! – Roland u mego boku pomocnie zamącił sprawę.

– Nekromanta? – Hertet przesunął się do przodu i zacisnął dłonie na poręczach tronu.

– W holu czeka podkapitan, który twierdzi, że po dziedzińcach snują się trupy, a na dachach siedzą ghule! – zawołał spod głównych drzwi jakiś właśnie przybyły lord.

Rozłożyłem dłonie tak szeroko, jak pozwalały mi na to więzy.

– To zaledwie namiastka tego, co nas czeka, jeśli nie utrzymamy Bramy Apijskiej. Ci tutaj to tylko zwiadowcy, a mimo to ściany pałacu nie są dla nich żadnym problemem!

– Nekromanci i trupy na moim progu! – Hertet wstał z tronu, czerwieniejąc, a głos urósł mu do krzyku. – A ty próbujesz mi zabrać moją osobistą straż?

– Vermillion upadnie! Musisz...

– *Muszę?* – Hertet szarpnął głową w lewo, a potem w prawo, jakby szukał echa własnej wściekłości. – *Muszę?* Jestem królem Czerwonej Marchii od morza do morza i niczego nie „muszę”!

– Posłuchaj! – krzyknąłem, żeby wszyscy usłyszeli.

– Wtrącić księcia Jalana do celi. Niech ochłonie i odzyska rozum. – Hertet opadł na tron. Jego gniew zniknął równie szybko, jak się pojawił. – Marszałku Rolandzie, zbierz pięćdziesięciu ludzi i opanuj sytuację przy Bramie Apijskiej. Rano chcę zobaczyć raport.

– To szaleństwo! – Spróbowałem wspiąć się na podest, ale już złapały mnie czyjeś silne ramiona i powlekły w stronę wyjścia. – Wszyscy zginiecie, jeśli będziecie słuchać tego idioty... – Ciężka pięść zbiła mi zdradę z ust, a chwilę później reszta świata pograżyła się w ciemności.



Jak na tyrana wuj Hertet nie okazał się zbyt okropny. Zawleczono mnie, zamroczonego i zdezorientowanego, do jednego z jego wspaniałych salonów, a „cele” okazały się kompletem wielkich wygodnych foteli, do których lekkimi łańcuchami przykuto ośmiu czy dziewięciu wykwintnie ubranych mężczyzn. Wyglądałem przy nich jak żebrak, więc pokojówka prędko pobiegła po płachtę chroniącą meble, zanim strażnicy pchnęli mnie na przydzielone mi komfortowe siedzisko.

– Hertet lubi trzymać wrogów blisko – powiedziałem, przeciągając się ze stęknieniem. Nie bolało mnie raptem kilka części ciała.

– Książę Jan? – Zatraskany głos tuż za mną. – Jesteś ranny?

– Nic mi nie jest. Najbardziej boli mnie... ciało. – Wyciągnąłem szyję, by sprawdzić, kto do mnie mówi. Mrużąc oczy, by rozdwojony obraz znów się scalił, zdołałem dostrzec chudego łysiejącego mężczyznę odzianego zgodnie z najnowszą rhoneńską modą w czarną kurtę z żółtymi guzikami. Kiedy w końcu znów widziałem normalnie, dojrzałem jego ostre rysy i znamię w kolorze czerwonego wina pod jednym okiem. – Bonarti Poe! – Na mojej liście przypuszczalnych buntowników Bonarti Poe dotrzymywałyby mi towarzystwa w sekcji krętaczy na samym dole. – Czego się dopuściłeś? Zaszarżowałeś na mojego wuja, grożąc mu śmiercią?

Poe wydał z siebie piskliwy, podenerwowany śmiech.

– Nie! Nie, nigdy! – Odkaszlnął w obrębioną koronką chusteczkę. – Król uważa mnie za człowieka hrabiego Isena i z tej racji mi nie ufa. – Znów zakaszlał i podniósł głos. – Ale nie ma człowieka bardziej lojalnego wobec tronu Czerwonej Marchii niż Bonarti Poe!

– Isen nie popiera wuja? – To brzmiało obiecująco. Hrabia Isen był obłąkanym furiatem, ale bardzo zaradnym i z własną armią.

– Jestem przekonany, że lojalności hrabiego nie można nic zarzucić – odparł Poe. – Lecz on sam nie zdążył jeszcze wyrazić swojej opinii w tej kwestii. Nawet gdyby pojechali do niego najszybsi posłańcy, a on natychmiast opuścił swoją siedzibę, nie zdążyłby jeszcze dojechać w pobliże Vermillionu. Obawiam się, że

król po prostu przewidział opór tam, gdzie żadnego nie ma.

Ja byłem o wiele mniej pewny, ale opinia hrabiego tak czy siak się nie liczyła, skoro wciąż siedział w swoim majątku na południu.

– A zatem jesteśmy skazani na spędzenie reszty życia w tym cholernym, okropnym lochu? – Zapadłem się głębiej w swoim fotelu i posłałem uśmiech pokojówce stojącej między dwoma strażnikami przy drzwiach. Ślicznej dziewczynie z rudymi lokami.

– Rankiem mają nas przenieść do cel w baszcie marsalskiej – odezwał się wiekowy zmurszały lord, którego rozpoznawałem, ale nie pamiętałem, jak się nazywa. – Ten głupi chłopiec boi się teraz oddelegować do tego ludzi.

– Hmm. – Sprawdziłem swój łańcuch. Okazuje się, że ciężkie łańcuchy są tylko na pokaz. I lekkie zatrzymają człowieka w miejscu. Łatwiej by było ułamać nogę fotela, wokół której był owinięty drugi koniec łańcucha. W sumie, gdyby przy ścianach nie stało pół tuzina strażników, mógłbym po prostu wyrzucić fotel i zsunąć łańcuch z tej nogi. Ale bez miecza i skonfiskowanego noża, a także dlatego, że nie miałem zamiaru rzucać się samopas na sześciu wyszkolonych strażników, z mieczem czy bez, miałem ograniczone opcje.

– Chyba dobrze się bawią. – Właśnie doleciały nas dźwięki rozmowy z dworu Herteta, niecichące niskie burczenie, przerywane okazjonalnym wybuchem śmiechu lub owacji.

– Większość z nich traci zmysły ze strachu. – Baron Strombol, tęgi, lecz zaciekły człowieczek, sprawujący władzę na okazałych terenach w górach na północy. – Boją się tego, co stoi u naszych bram; boją się, że Czerwona Królowa nie wróci, by ich ocalić; boją się, że wróci.

– Nie jest martwa? – Nie uwierzyłem w to, nie tak naprawdę. Nie sądziłem, by mogła umrzeć. Taka twarda kobieta. I Milcząca Siostra... zawsze wydawała się za stara, żeby śmierć miała się nią przejmować.

Baron wyrzucił ręce w górę, pobrzękując łańcuchem.

– Kto wie? Hertet mówi, że jest, ale nikt nie potwierdził jego słów. Pobożne życzenie?

Zacisnąłem usta. Być może była to najlepsza szansa niewątpliwego następcy na włożenie korony którą miał dostać w życiu. Może po prostu postanowił postawić wszystko na jedną kartę. Podzielaliśmy tę słabość. Rozumiałem hazard.

Siedzieliśmy a czas mijał. Wziąłem sobie kielich z winem i poskubałem oliwki z misy. Uśmiechnąłem się do pokojówki i zarobiłem gniewne spojrzenie, bo się gapilem. Parę części mnie nawet przestało boleć, ale wiedziałem, że jutro będę chodził jak staruszek, jeśli w ogóle będę w stanie wstać. Byłoby nawet dość miło, gdyby nie wyrzuty niechcianego sumienia. Zostawiłem żonę i dziecko

Darina w towarzystwie nekromanty i posłałem im na ratunek tylko tuzin żołnierzy pod komendą rycerza w lśniącej zbroi. Współ z kąśliwym sumieniem, wieczór psuł mi również „przemóżny strach”, świadomość, że obrońcy Bramy Apijskiej niedługo ulegną, jeśli już się to nie stało, a wtedy fala martwych mieszkańców zaleje pałac i nas wszystkich zabije.

Po niecałej godzinie niespokojnego wypoczynku usłyszałem pierwsze krzyki. Rozpoznałem je od razu, mimo że przez zasłonięte okna przedostawały się do nas jedynie przytłumione dźwięki. Krzyk umarłych, wydawany z ust trupów otaczających cały pałacowy kompleks.

– Co do..? – Baron przesunął nieco swe okazałe ciało w wąskim fotelu.

– Liczkin tu jest. – Chciałem, by to zabrzmiało jak zrezygnowane stwierdzenie, ale z ust wydobył mi się raczej piskliwy szept.

– Co? – Bonarti Poe wyglądał na tak przerażonego, jak tylko człowiek może bać się czegoś, o czym nie ma bladego pojęcia.

– Niedobra rzecz – odparłem.

Z tego, co słyszałem, liczkin nie przyszedł od strony bramy na czele rzeki trupów, które wdarły się do miasta. Krzyk umarłych był zbyt rozproszony i cichy. Mimo to trupów było sporo, a i samego liczkinina należało się lękać. W piekle jeden z nich pokonał Snorriego ver Snagasona w ciągu paru chwil.

Nagle moje krzesło straciło wiele ze swej wygody i stało się jak kotwica wiążąca jagnię przeznaczone na rzeź. Blask świec i lamp nowego króla zdawał się gasnąć z sekundy na sekundę, jakby zbliżał się ponowny zachód słońca, taki, który w ogóle nie dbał o ludzi, tylko chciał, by zginęło wszelkie światło. Cienie się wydłużyły i pociemniały, drgając od możliwości.

I wtedy zbliżył się liczkin. Prawie mogłem go poczuć przez zewnętrzną ścianę Willi Mediolańskiej, jak czał się w nocy. Kolory umarły, odcień po odcieniu, aż cały pokój przygasł i wszyscy poczuliśmy wielkie cierpienie, czarniejsze od najczarniejszych z ponurych dni – pewność, że radość zniknęła i na świecie nic już nigdy nie będzie dobrze.

Trwało to wieki, ale w końcu owo uczucie odrobinę zmalowało. Łkanie Poego przeszło w głębokie dyszenie. Przygnębienie opuściło mnie na tyle, bym zaczął się zastanawiać, jak musieli się czuć ludzie w ciemności na zewnątrz, których jedynie wątle światełka pochodni i blask księżycy dzieliły od straszliwego prześladowcy. Uczucie było okropne nawet dla nas, bezpiecznych w jasnym, wygodnym domu.

Trupi krzyk tuż pod oknem dał mi odpowiedź na moje pytanie. Szarpnąłem się w swoim krześle tak mocno, że prawie je przewróciłem. Za ścianą ludzie umarli z czystego strachu, a teraz rozszarpywali swych żywych towarzyszy, szerząc przerażenie i panikę.

Rozejrzałem się i zauważyłem, że na zasłonach pojawiły się szare plamy w miejscach, w których materiał przegnił. Mosiężne klamki w drzwiach zmatowiały. Wszyscy w pokoju, więźniowie i strażnicy, wyglądaliśmy starzej, jakbyśmy od tygodnia nie spali.

– Musimy się stąd wydostać. Musimy się stąd wydostać. Musimy... – Kościsty lord z wiotkimi wąsami skoczył na nogi, szarpiąc za fotel, do którego był przywiązany. Wywrócił siedzisko i zdołał zdjąć łańcuch z jego nogi, zanim dopadli go strażnicy.

– Zamknij się! Po prostu się zamknij! – Jeden z walczących strażników stanął na nogi. Miał otarte kłykcie, bo walnął lorda Wiotkiego w szczękę. Wyglądał na bardziej przerażonego niż pokonany więzień. Jego głęboko osadzone w świńskiej twarzy oczy były nawiedzone, jakby patrzył na rzeźnika idącego zabrać mu boczek.

Docierały do nas z zewnątrz odgłosy walki i popłochu. Krzyki głodnych trupów i przerażonych żywych przeniosły się ku frontowi budynku. Usłyszeliśmy, jak w sąsiedniej komnacie okiennice poszły w drzazgi.

– Okna! Zabarykadujcie okna! – Wstałem, uniosłem fotel, zsunąłem łańcuch z jego nogi i podszedłem z nim do zasłon. Żaden strażnik nie próbował mnie powstrzymać, zamiast tego wszyscy zaczęli się rozglądać za rzeczami przydatnymi do stworzenia zapory.

Pomogłem dwóm z nich, szarpiącym się z ciężką szafą. Z jej licznych półek sypały się ceramiczne skarby. Nikt nie skomentował tego, że łańcuch na moim nadgarstku zwisał teraz luźno, nie więżąc mnie już do fotela. Pomogłem przy zbroi i jej cokole, potem ruszyłem znaleźć kolejną rzecz, której moglibyśmy użyć... i wyszedłem z salonu.

Odgłosy walki na zewnątrz były przerażająco znajome. Gdybym zamknął oczy, poczułbym się znów jak pod Bramą Apijską. W pobliżu rozbrzmiały nowe dźwięki rozbijanego szkła i drewna idącego w drzazgi. Zacząłem uciekać szybciej. Nie byłem do końca pewien, jak daleko od sali tronowej mnie zawleczono ani w którą stronę się udać, by znaleźć wyjście z budynku. Nie byłem nawet do końca pewien, czy chciałem wyjść na zewnątrz. Otworzyłem jedne drzwi i znalazłem się w bibliotece. Nie była olbrzymia, ale książki piętrzyły się w niej od podłogi do sufitu. Okna nie były zasłonięte – sześć wysokich, wąskich łuków, z których każdy składał się z połączonych ołowiem dwunastu tafli kałużowego szkła. Gdy zamykałem drzwi, krew bryznęła na wszystkie okna, nie sięgając jedynie najwyższych szyb. Fala posoki rozbiła się o budynek. Ogarnęła mnie rozpacz, a potem ustąpiła, gdy liczkin odszedł dalej, polując na kolejne ofiary przed domem.

Zatrzasnąłem drzwi, obróciłem się i zobaczyłem Herteta spieszącego

korytarzem w moją stronę. Korona przekrzywiła mu się na głowie. Za nim podążała grupa rycerzy. Wzrok Wuja ześlizgnął się po mnie, ale ten jakby mnie nie zauważył. Twarz miał trupioblada. Dostrzegłem, że szatę ze złotogłowiu miał z przodu ochlapaną szkarłatem, jakby tuż przed nim kogoś wybebeszono. Przycisnąłem się do drzwi, by pozwolić im przejść.

– On chce klucz! – krzyknąłem, gdy Hertet mnie mijał. Nie jestem pewien, dlaczego to powiedziałem.

Wuj zatrzymał się i w końcu mnie dostrzegł.

– Jan. Syn Reymonda. – Wyciągnął rękę i poklepał mnie po dłoni. – Zawsze byłeś dobrym chłopcem. – Drugą ręką sięgnął za kołnierz i wyciągnął klucz. Pociągnął za niego i łańcuszek się zerwał, choć wyglądał na zbyt mocny, by tak łatwo ustąpić. – Masz. Ty go weź. Będziesz wiedział, co robić. – Zacisnął moją dłoń na kluczu Lokiego i poszedł dalej, nie zatrzymując się i nie oglądając. – Możemy zejść do piwnic i... – Jego głos utonął w stukocie opancerzonych stóp przebiegających rycerzy.

Przez chwilę stałem na korytarzu. Z sali tronowej dobiegały dźwięki chaosu, a z różnych kierunków od czasu do czasu rozbrzmiewały krzyki i wycie. Czerń klucza przyciągnęła mój wzrok. Był zimny i ciężki w mojej dłoni. Zdołałem oderwać uwagę od daru Lokiego i sprawdzić oba końce korytarza, w roztargnieniu zauważając długą ciemną smugę krwi wzdłuż boazerii na przeciwległej ścianie i strącony na ziemię obraz z połamaną ramą. Młody Hertet spoglądał na mnie z płótna z heroiczną miną. Całą twarz pokrywały mu odciski stóp. Przez daleki koniec korytarza przebiegły trzy odziane w jedwabie kobiety, jedna stara i dwie młode. W jednej chwili tam były, w następnej już nie.

Wrzaski z sali tronowej brzmiały teraz bardziej desperacko. Coś uderzyło w jej drzwi od wewnętrznej strony z taką siłą, że w piersi odezwało mi się echo.

Klucz. W piekle klucz zniszczył liczkina, ale to był czysty przypadek. Szczęście. Znow wpatrzyłem się w jego czerń, odkluczając wspomnienia tamtego zwycięstwa, i w jednej chwili pogrążyłem się w nich.

Snorri stał przede mną, monochromatyczny olbrzym pokryty krwistym pyłem piekła. Rozpadlina za jego plecami pluła jęzorami szkarłatnego ognia, a powietrze było gęste od smrodu siarki. Trzymałem przed sobą klucz Lokiego na wysokości pasa. Liczkin zniknął, tylko czarna plama widniała w miejscu, gdzie jego ohydne szczątki padły na ziemię. Klucz go zniszczył. Liczkin dał krok do tyłu, gdy zablokował atak Snorriego i nadział się na klucz, jedynie na cał, ale tyle wystarczyło. Obróciłem klucz i potwór się rozłożył.

Snorri wpatrywał się w moją dłoń. Myślał, że klucz był bezpieczny z Karą w świecie żywych.

– Cóż, popatrz na to – powiedziałem, odginając palce, by w pełni pokazać mu

klucz. – Rzecz w tym... – Desperacko wymyślałem usprawiedliwienie. – Trzeba pamiętać o tym... że bez niego oboje bylibyśmy martwi. – Wyciągnąłem drugą rękę, by uprzedzić jego odpowiedź. – I nie zginęlibyśmy miło, tylko w naprawdę okropny sposób. – Zadygotałem, przypominając sobie ból, jaki przeszył mnie w uścisku liczkin. Nigdy nie doświadczyłem czegoś podobnego i za nic nie chciałem przeżyć tego ponownie.

– Zabrałeś *klucz* do Hel? – Snorri jakby nie usłyszał wszystkich słów, które tak ostrożnie wybrałem na swoją obronę. – Do Hel?

– Słyszałeś ten kawałek o ocaleniu naszego życia?

Snorri wyglądał na wystraszonego. Była to jedna z najbardziej niepokojących rzeczy, które widziałem w życiu, ostatnimi czasy składającym się głównie z jednego niepokojącego zdarzenia za drugim.

– Musimy go stąd zabrać. Musisz go stąd zabrać, Jal. Natychmiast!

Rozejrzałem się. Szeroka pylista dolina, oświetlona martwym światłem padającym z nieba koloru starego cierpienia. Ogniste szczeliny i rozrzucone wokół skały o przerażająco dziwnych kształtach.

– Jak? – Nie zamierzałem się kłócić o wyjście stąd. W końcu robiłem wszystko, byle tylko w ogóle się tu nie znaleźć.

Snorri w skupieniu zmarszczył czoło, ale nie był w stanie się skoncentrować.

– Co ty sobie *myślałeś*? Cały ten czas niosłeś... – Wyglądał na tak rozczarowanego moim zachowaniem, że prawie przyznałem mu rację.

– Starożytni Grecy mieli salę osądu... – powiedziałem głównie po to, by go rozproszyć.

– Grecy? A co to ma do rzeczy?

– Cóż... – Często wpadam na najlepsze plany, kiedy otwieram usta i słucham słów, które z nich wypadają. Tym razem moja metoda chyba nie działała. – Cóż... przeszliśmy przez twoje zaświaty, królestwo Hel. A teraz jesteśmy w moim piekle albo piekle Martwego Króla...

– Ale greckiej mitologii uczyliśmy się obaj przez całe życie! Więc obaj możemy kształtować takie zaświaty. Genialne!

Tak naprawdę grecka mitologia została mi wbita do głowy przez grubą warstwę braku zainteresowania, kiedy dopiero co wszedłem w wiek nastoletni, przez zniechęconego nauczyciela Sorosa, jego stępną laskę i cięty od sarkazmu język.

Wciąż nie miałem pojęcia, dlaczego uważano to za niezbędną wiedzę, nawet jeśli niektóre regiony wróciły do dawnych wierzeń. Zdołałem jednak nauczyć się wystarczająco wiele, by unikać laski, choć sarkazmu niekoniecznie.

– W każdym razie Grecy mieli salę osądu z trzema sędziami, którzy kierowali dusze zmarłych w stronę różnych nagród lub kar. – Wznowiłem marsz. Liczkin

stał się jedynie plamą na ziemi, ale plamą, obok której nie chciałem stać dłużej, niż to było konieczne. Splunąłem, by pozbyć się z ust posmaku siarki. Nie zadziało.

– Chcesz w ten sposób opuścić zaświaty? – zapytał Snorri. – Bo po osądzie jest wielki pies Cerber, a jeśli on cię nie pożre, to zostają jeszcze Acheron i Styks, czyli rzeki rozpacz i nienawiści. Przewoźnik to podobno...

– To bez znaczenia – odparłem. – Nie jestem martwy. Nie powinno mnie tu być. Gdy tylko dotrę do sędziów, zobaczą, że jestem w złym miejscu, i odeślą mnie do domu. Tym się właśnie zajmują – odsyłaniem ludzi we właściwe miejsce.

– Tak myślisz? – Snorri nie wyglądał na przekonanego, a ja potrzebowałem odwrotnej reakcji.

– Ja w to *wierzę* – powiedziałem. – I to się liczy. – Uderzyło mnie, że w tym piekle człowiek z wystarczającą siłą woli, człowiek gotowy wszystko poświęcić, mógł nagiąć sam świat do swojej woli i stworzyć, co tylko chciał. Uderzyło mnie także, że nie byłem takim człowiekiem.

Snorri dogonił mnie, robiąc długie kroki.

– Czyli musimy po prostu doprowadzić cię do sali z sędziami.

– To *jest* jeden ze słabych punktów całego planu – przyznałem, zwalniając, by poszukać wskazówek, ale oczywiście żadnych nie było. Tylko pył i skały.

Snorri szedł dalej.

– Jeszcze nie rozgryzłeś tego miejsca – zawołał przez ramię. – Kierunek nie ma znaczenia. Tak jak w snach. Rzeczy, których pragniesz, same cię znajdują. Te, których nie pragniesz, też.

Przyspieszyłem, by go dogonić.

– Więc po prostu pójdziemy w tę stronę?

– Tak.

– Aż znajdziemy sędziów?

– Tak.

– Kara mówiła, że drzwi będą wszędzie – powiedziałem, zawsze chętny, by uniknąć długiego marszu.

– Jeśli je zobaczysz gdzieś po drodze, to daj mi znać – parsknął Snorri. – Jak myślisz, jak będzie wyglądała ta sala? I jak się nazywają sędziowie?

Szliśmy przez dolinę, która z wolna zmieniała się w równinę, pod stopniowo ciemniejącym niebem, pogrążającym nas w mroku. Przez cały ten czas rozmawialiśmy o Hadesie, bogach Olimpu i legendach o nich, stworzonych przez starożytnych. Po Tysiącu Słońc wielu straciło wiarę w Boga Rzymu i zwróciło się ku starym bogom, których porażki zostały dawno zapomniane. Gdy tak przypominaliśmy sobie topografię i historię Hadesu, nagle znaleźliśmy

się w nim, a raczej w części zaświatów ukształtowanej przez przekonania osób wierzących w te opowieści.

– O co chodzi z tymi pogańskimi piekłami i psami? – zapytałem. – I rzekami?

– Co masz na myśli? – Do głosu Snorriego wkradł się obronny ton.

– Grecy mają rzekę Styks z przewoźnikiem, który wyrzuca cię na brzeg strzeżony przez wielkiego psa Cerbera. Normanowie mają rzekę Gjöll z mostem, który prowadzi cię na brzeg strzeżony przez wielkiego psa Garma.

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

– Wygląda to, jakbyście wzięli sobie po kolei różne elementy, pozmieniali parę szczegółów i nadali rzeczom własne nazwy.

Sprzeczką, która potem nastąpiła, odciągnęła moje myśli od bezlitosnej mordęgi wędrowania po zaświatach. Piekło to piekło, nieważne, w jaką mitologię się je oblecze. Każda część mnie wyschła. Każda część bolała. Skrajny głód i pragnienie zamieszkały we mnie na stałe, głęboko w kościach. Gdy ciemność narastała, wszystkie moje nadzieje zaczęły zanikać, a język stracił zainteresowanie rozmową... ale kłótnia i drażnienie wikinga wciąż stanowiły dostateczną rozrywkę, by odwieść mnie od położenia się w pyle i oczekiwania na swoją kolej, by rozwiać się na wietrze.

Jalan.

To tylko wietrzyk wplótł moje imię w przerwę w naszej konwersacji.

Jalan.

Ale gdy wiatr wymawia twoje imię w mroku Piekła, wraz z nim przychodzi dreszcz.

Po pewnym czasie nawet uciecha z podpuszczania Snorriego zniknęła i zacząłem się chwiać pod ciężarem nieznośnego bólu i wycieńczenia. Otaczały mnie jedynie ciemności, pył i słaby lecz nieustający wiatr wiejący mi w twarz, ale czułem się, jakbym powrócił do szczególnego piekła, czyli naszej podróży przez Srogie Lody. Znowu się tam znalazłem, szedłem krok za krokiem, a ze mną umierali towarzyszący mi wikingowie, Ein, Arne i Tuttugu. Wszyscy wlekliśmy się przez białą pustynię i jedynie prace do przodu szerokie plecy Snorriego ver Snagasona stanowiły powód, by iść dalej.

– W górę!

Okazało się, że upadłem na kolana, z opuszczoną głową i bez ruchu.

– Mam cię. – Snorri zacisnął dłoń na moim ramieniu i podniósł mnie.

– Wybacz. Potknąłem się.

– To miejsce z każdego wysysa siły – odparł Snorri.

– Wybacz. – Byłem zbyt wyczerpany, by mu to wytłumaczyć, ale było mi przykro z powodu wszystkiego. Przykro mi, że musiał mnie przeciągnąć przez drzwi, zanim zdołałem dotrzymać swojej obietnicy, że musiałem zostawić go

samego w piekle, przykro z powodu jego rodziny, że nie wierzyłem w jego wyprawę, że wiedziałem, że zawiedzie. – Wybacz, że...

– Wiem – powiedział i złapał mnie, zanim znów zdołałem upaść. – I żaden człowiek, który idzie przez piekło dla przyjaciela, nie ma za co przepraszać.

– Ja... – Jakiś dźwięk z oddali powstrzymał mnie przed kolejnym wygłupieniem. Był cichy i po chwili umilkł. – Co to było?

– Ja też to słyszałem.

Po tym jak przez długi czas słyszeliśmy jedynie wiatr, dziwaczny okrzyk zdawał się zapowiadać coś ważnego.

Rozbrzmiał znowu, nieco głośniej.

Jalan.

Tym razem donośniej niż głosik w mojej wyobraźni. Głos wypowiadał moje imię, a przynajmniej coś zbliżonego, robiąc z niego coś, co brzmiało nieznamo.

– Biegniemy? – Okazało się, że miałem w zapasie więcej energii, niż mi się wydawało. Nie dość, by biec, przemawiał przede mną tylko strach, ale wystarczająco dużo, by powlec się w szybkim tempie.

– Chodźmy dalej. – Snorri ruszył pierwszy.

– Ale co to jest?

– A jak myślisz? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Jalan. Brzmiało to prawie jak sposób, w jaki Matka wymawiała moje imię. Jakby dziecko próbowało powtórzyć te dwie sylaby. Nie chciałem powiedzieć tego na głos, jakby nazwanie mojego strachu mogło powołać go do życia, ale w jakiś sposób wiedziałem, co szło za nami, co na nas polowało. W piekle, z powodu dziwnego braku kierunków, wszystkie twoje lęki szybko cię znajdują. To moja siostra i liczkin, który się z nią związał, by zbecześcić jej duszę. Jeśli mnie tu zabiją, moja śmierć wybije dziurę, przez którą będą mogli przejść do świata żywych. Nienarodzona królowa, moja siostra jako wierzchowiec i liczkin jako jej jeździec. Narodziłaby się w martwym ciele tak wiele lat po swoim poczęciu. Cały potencjał mojej siostry wyrwałby się na świat w rękach liczkin... Szczerze mówiąc, całe to gadanie było tylko wisienką na wyjątkowo niesmacznym torcie – nie obchodziło mnie nic po części z „mnie tu zabiją”.

– Czy to światło? – Wyciągnąłem palec.

– Tak. – Snorri potwierdził, że nie miałem zwidów z powodu czystego strachu.

JALAN! Wycie rozległo się za naszymi plecami, dalekie, ale absolutnie nie dość dalekie. JALAN! Okazało się, że byłem w stanie biec.

Snorri truchtał obok mnie i porażająco powoli pojedyncze światło rozbiło się na wiele światełek błyszczących wzdłuż dachu i licznych kolumn podpierających wysoki budynek, wszystkich wyrzeźbionych z białego

kamienia, tak jak to sobie opisaliśmy.

W ciemności przed sądem stały skupiska dusz. Co jakiś czas nowa dusza zbiegała po schodach, przezroczyście echo mężczyzny lub kobiety, niezachowujące jednego kształtu, lecz ukazujące wspomnienia z całego życia, głównie chwile strachu. Dusze nie pozostawały długo w obrębie światła, raczej biegły, aż pochłaniała je ciemność, jakby blask sędziów je parzył. Ode mnie i Snorriego też się odsuwały. Może tłące się w nas życie sprawiało ból oczom, w których nie było już po nim śladu.

Zatrzymaliśmy się sto jardów od budowli z wieloma kolumnami. Za filarami wznosiły się ściany, szerokie i białe, w całości ozdobione płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny z legend. Drzwi były otwarte, pozwalały osądzonym duszom uciekać od swoich przewin. W padającym na ukos świetle nasze twarze zmieniły się w ostre reliefy. Nawet z tej odległości światło obiecywało płynącą wodę, ciepłe powietrze, wegetujące zielone rośliny.

Powietrze wydawało się tu kruche, żywe od możliwości. To samo uczucie zalewało mnie, gdy dusze przedzierały się do piekła ze świata żywych i przez stworzone przez nie szczeliny widziałem przebłyski błękitnego nieba. To było miejsce z drzwiami. Czuję klucz na piersi, zimny, a po chwili gorący. Wibrował tak wysokim dźwiękiem, że nie dało się go usłyszeć. Kiedy Kara powiedziała, że drzwi dzielące życie i śmierć są wszędzie, to były tylko słowa. Nie potrafiłem ich dostrzec w środku piekła, tak jak nie potrafiłem tego zrobić na rynku w Vermillionie w jakiś ciepły dzień. Ale tutaj... tutaj wydawało się, że dom był na wyciągnięcie ręki, że drzwi, których potrzebowałem, zaraz zmaterializują się z niczego i staną przede mną. Świat żywych był prowokująco blisko, potrzebował jedynie... jakiegoś małego wydarzenia, na przykład gdyby zapomniane słowo nareszcie spadło z końca mojego języka, zobaczyłbym drzwi...

Znów rozbrzmiało moje imię. Wycie, teraz głośnie, odbiło się echem od ścian. Wznoszący się i opadający dźwięk w jednej chwili był pusty, w następnej wściekły, pełen głodu i złości. Dałem kolejny krok w stronę światła.

– Powinieneś pójść ze mną, Snorri. – Trudno było wymówić te słowa. – Widziałeś to miejsce. Nie da się z niego zabrać nic dobrego.

Czekałem na gniew, ale w Snorrim żadnego nie było. Zwiesił głowę, nie chcąc patrzeć na blask przed nami.

– Arran Vale.

– Co? – Pragnąłem odejść, ale stałem w miejscu.

– Pamiętasz Arrana Valego? – zapytał.

– Hm. – Powinienem uciekać, ale odwaga Snorriego mi nie pozwalała. Jego wyobrażenie na mój temat trzymało mnie w miejscu. Powinienem już biec w

stronę budynku, a zamiast tego stałem i próbowałem odpowiedzieć na jego pytanie. Arran Vale? Po głowie przegalopowało mi mnóstwo nazwisk, twarzy i miejsc, tuziny, setki, wszystkie napotkane podczas naszych długich podróży. – Może... dolina w Rhone? Koło tego miasteczka z jednym kościołem i trzema burdelami, gdzie...

– To dziadek Hennana, wnuk Lotara Valego.

– Któż mógłby zapomnieć o Lotarze Valem? Bohaterze, o którym w życiu nie słyszałem, póki ten starzec nie wypowiedział jego imienia?!

– Nieważne. – Snorri podniósł głowę, by wbić we mnie spokojne spojrzenie swych błękitnych oczu. – Liczy się to, że Arran Vale miał swoją historię, korzenie, powód do życia, coś wartego, by o to walczyć.

– Ja pamiętam tylko, że ty i Tuttugu mieliście zamiar poświęcić życie u boku jakiegoś rolnika spotkanego chwilę wcześniej, a wszystko po to, by bronić jego chaty i jej bezwartościowej zawartości przed wikingami, którzy i tak by się na nią nie połusili. – Ziemia zaczęła się trząść, pył wzbił się do tańca. Moja siostra była niedaleko i prędko się zbliżała.

– Dobrze przeżyte życie to takie, w którym nie przyjmujemy kompromisów, żeby wydłużyć je o następny dzień.

– Cóż... – Przeczytanie listy rzeczy, które ja bym zrobił, żeby przeżyć jeszcze jeden dzień, zajęłoby cały ów dodatkowy dzień.

– Chodzi o to, że są rzeczy, za które jestem gotów zginąć. Chwile, w których trzeba stawić opór, nie zważając na swoje szanse. A skoro Tuttugu i ja zrobiliśmy to dla dziadka Hennana – staruszka, którego, jak słusznie stwierdziłeś, nie znaleźliśmy... To jak myślisz, ile jestem gotów zrobić dla moich dzieci? Dla żony? To, czy mam szansę zwyciężyć, nie ma znaczenia.

Odbywaliśmy już podobne rozmowy. Nie sądziłem, by zmienił zdanie, ale czasami jest się winnym przyjacielowi próbę.

– Powodzenia! – Klepnałem Snorriego po ramieniu i odszedłem. Ciemność za jego plecami wyglądała na gęstszą, jak gdyby zbliżała się do nas burza. Ona tam była, w jej sercu. Ta, której usta znały moje imię – moja nienazwana siostra i liczkin, dosiadający jej duszy.

Dzieliło nas pięć jardów, gdy Snorri się odezwał.

– Pokaż mi klucz.

Wyciągnąłem rękę, jedną do Snorriego, drugą w stronę drzwi do sali sędziów.

– Muszę iść! – Za plecami wikinga kipiała ciemność piekielnej nocy, wycie rozbrzmiało ponownie tak głośno, że wyciągnęło na wierzch wszystkie moje zastrzeżenia. Każdy włoszek na moim ciele starał się stanąć na baczność.

Mimo to wyciągnąłem zza koszuli klucz wiszący na rzemieniu, po czym

podbiegłem z powrotem do Snorriego. Ten wyjął zza pasa nóż i przyłożył ostrze do wnętrza swojej dłoni.

– Jezu, nie! – Machnąłem ręką w geście, który, jak miałem nadzieję, przekazywał mój sprzeciw. – O co chodzi z wami wikingami i samookaleczaniem? Pamiętam, co się stało, jak ostatnim razem wypróbowałyście na mnie to całe wikińskie gówno. Nie moglibyśmy po prostu uścisnąć sobie dłoni?

Snorri wyszczerzył zęby.

– Klucz będzie naszym łącznikiem. Ty z powrotem na świecie, ja tutaj. Krew nas zwiąże. – Rozciął swoją dłoń.

Skrzywiłem się, widząc, jak szkarłat wezbrał w bruździe po czubku noża.

– Skąd o tym wiesz? – Wciąż liczyłem na to, że uda mi się z tego wykaraskać bez potrzeby pocięcia się. Zaczęła podnosić się ciemna mgła, odpychając światło. Dusze się rozpierzchły. Wiedziały, że zbliżało się coś złego. Nagle poczułem, że byłem gotów odciąć sobie całą cholerną dłoń, byle tylko móc stąd odejść. Mimo to stałem w miejscu. Przyjaźń Snorriego trzymała mnie tu w ten sam sposób, w jaki niemal przeciągnęła mnie przez drzwi do piekła. – Krew nas zwiąże? Wymyślasz to na poczekaniu, co?

Snorri spojrział mi w oczy i lekko wzruszył ramionami.

– Jeśli nauczyłem się czegokolwiek od Kary, to tego, że w magii liczy się wola. Słowa, zaklęcia, zwoje, składniki... to wszystko na pokaz, a może lepiej powiedzieć, że są jak broń wojownika. Ale tak naprawdę liczy się siła w jego ramieniu. Mógłby cię zabić rękoma, z bronią albo bez. – Wyciągnął zakrwawioną dłoń i zacisnął w niej klucz. – To będzie nasze połączenie. Kiedy otworzysz drzwi, zdołasz mnie odnaleźć.

Mrok zgęstniał wokół nas, zrobiło się zimno, ale Snorri jakby tego nie dostrzegął, nie było w nim strachu. Ja miałem go wystarczająco dużo za nas dwóch. Wycie rozbrzmiało o północy jak głos tysiąca wilków... jeśliby się je podpaliło. Teraz już była blisko i pędziła ku nam.

– Jak w ogóle mam znaleźć drzwi? Skąd będę wiedział, że już jesteś gotowy wrócić? Chryste, słuchaj, muszę stąd zniknąć...

– Musisz tego zapragnąć, a tak się stanie. – Snorri cofnął rękę. Na kluczu nie było krwi, choć szkarłatne krople kapały z zaciśniętej dłoni wikinga. – Zadziała albo i nie. To Kara miała otworzyć dla mnie powrotną ścieżkę. Kara lub Skilfar, jeśli Kara zabrałaby klucz do babki, tak jak jej to obiecała. Teraz zostałeś mi tylko ty, Jał, więc pilnuj klucza i nasłuchuj mojego wołania.

Schowałem klucz za koszulę.

– Będę nasłuchiwał. – To nie było wielkie kłamstwo. Nawet nie wiedziałem, jak miało wyglądać to „nasłuchiwanie”. Klucz rozgrzał mi się na piersi, jakby

cieszył go fałsz. Próbowałem znaleźć dla Snorriego jakieś ostatnie słowa. „Żegnaj” było napuszone. „Uważaj na siebie” bez wątpienia nie będzie miało pokrycia w rzeczywistości.

– Zrób im tu piekło.

Wycie odezwało się tak głośno i blisko jak cios. Biegłem, biegłem w stronę światła, wspaniałego, żywego światła, ze wzrokiem utkwionym w drzwiach.

– Bądź ostrożny! – zawołał za mną Snorri. – Poddadzą cię próbom.

Nie podobało mi się to, ale próby czy nie, wracałem do domu.

Zbliżając się do drzwi, przemknąłem obok wychodzącej z budynku duszy młodej kobiety. W jej niewyraźnych zarysach odbijało się przerażenie. Biegła, kuląc się ze strachu, jakby jakiś wielki orzeł miał nagle spaść na nią z nieba. Ja w zasadzie robiłem to samo, tylko biegłem w przeciwnym kierunku.

Ciemność płynęła za mną jak fala pędząca ku plaży, wyprzedzając mnie z obu stron, mroząc mi pięty. Wpadłem przez drzwi, potykając się przy tym o próg, i poleciałem głową naprzód na korytarz za nimi. Obróciłem się z przerażeniem i zobaczyłem, jak mrok uderzył w budynek. Drzwi stały się prostokątem nocy, a podłoga zadrżała, ale nawet smużka ciemności nie wleciała do środka i nie widać było ani śladu makabry na zewnątrz. Jeśli moja siostra wyła tam za drzwiami, nie mogłem jej usłyszeć.

Wstałem i otrzepałem się z pyłu, wciąż nerwowo zerkając na mrok na zewnątrz. Zebrałem się w sobie i zaryzykowałem odwrócenie wzroku. Spojrzałem na salę sędziów. Nie tego oczekiwałem. Żadnych sal sądowych ani dusz oczekujących w kolejce na werdykt dotyczący ich życia. Nie było też trójki bękartów Zeusa w roli sędziów. Był tu jedynie długi korytarz, zbyt długi, by miał prawo zmieścić się w budynku, mimo że ten był ogromny. Na jego końcu coś płonęło jasno – błękit, zieleń, obietnica. Musiałem tylko iść prosto i znaleźć się w domu. Czułem to w kościach. Nie potrzebowałem nawet klucza Kłamcy. To była właściwa ścieżka, ta, którą kroczyli sprawiedliwi.

Postąpiłem o krok naprzód i w ścianach po obu stronach korytarza pojawiły się drzwi. Zwykle drewniane drzwi co każde dziesięć jardów, dziesiątki wejść. Kolejny krok i drzwi się otworzyły, najpierw te najbliższe, za chwilę następne i następne, tworząc falę, która jak zmarszczka na wodzie rozeszła się w kierunku niebieskozielonej obietnicy.

Pokoje za pierwszą parą drzwi łatwo było minąć. Ten po lewej był pusty, jeśli nie liczyć porzuconej sakiewki leżącej na podłodze na środku pokoju. W tym po prawej leżało jedynie trochę rozrzuconych srebrnych monet. W następnej parze pomieszczeń były tylko porzucony miecz i mała zamknięta szkatułka.

– Próbujecie mnie skusić? – Śmiech przyszedł mi łatwo i zwiększyłem tempo, nawet nie zaglądając do kolejnych pokoi.

Po jakiejś setce drzwi zatrzymałem się, jakbym walnął w drewniany słup. Do moich nozdrzy wcisnął się najpiękniejszy zapach w historii aromatów i bez pozwolenia obrócił moją głowę. W pokoju po lewej stronie stał zastawiony stół. Zwykły stół bez obrusu i sreber, a na nim, na drewnianej desce, leżała parująca połówka pieczonego kurczaka. Usta momentalnie wypełniły mi się śliną, a żołądek ścisnął w ciasny, roszczeniowy supeł. Każda cząstka mnie krzyczała z pożądania na widok gorącego, pieczonego mięsa. Żyłem w piekielnym głodzie przez tak długi czas, że moje ciało dosłownie wyło w obliczu porządnego posiłku.

Odwrociłem się, szlochając, tylko po to, by w pokoju naprzeciwko zobaczyć pospolity kielich z przezroczystego szkła, wypełniony wodą. W chwili, w której na niego spojrzałem, wiedziałem, że była to najczystsza źródłana woda, wypływająca z bulgotem spod odwiecznych skał, i że wychłęptanie jej, pozwolenie, by spłynęła moim dotkniętym śmiercią gardłem, w sekundę ugasi moje pragnienie. Dla każdego, kto nie zaznał wysuszenia tkanek na pustkowiach śmierci, pomysł, by ktoś poświęcił się za czarę wody, może się wydawać szalony. Trzeba to przeżyć, by zrozumieć. Byłem spragniony na pustyni Saharu. To było nic w porównaniu z pragnieniem, które dzień spędzony w piekle wywołuje w człowieku.

Zdołałem jednak oderwać się stamtąd i powlec dalej. Ciało bolało mnie od życia nagle rozbudzonego w nim przez bliskość świata po tak długiej wędrówce po piekle.

Zaatakowały mnie kolejne zapachy, każdy pyszniejszy od poprzedniego. Jabłka, karmel, świeżo upieczony chleb... piwo. Młode piwo, pachnące chmielem, dźwięk lejącego się z kranika płynu... niemalże mnie podniecił. Przelotnie zerkałem na pokoje: łąka w słońcu, koń gotowy do jazdy, wspaniałe zwierzę z kłębami mięśni pod ciemną sierścią, gotowe do całego dnia cwału. Były pomieszczenia, w których leżały kopce skarbów, tyle złota, że wystarczyłoby go na kupno całych królestw. Skupiłem wzrok na odległym prostokacie zielonej trawy i błękitnego nieba, z każdym krokiem podchodząc do niego coraz bliżej. Moja wola była jak z żelaza. Wiedziałem, że to próba, i nie zamierzałem dać się zwieść.

Znajdowałem się dwadzieścia jardów od ostatnich drzwi. Widziałem niebieskie niebo, zielony ogród, a za nim mur. Miejsce wyglądało jak królewski ogród zielny za stajniami posłańców. Zerwałem się do biegu.

– Wracaj do łóżka, Jal.

Rzuciłem w bok krótkie spojrzenie i zatrzymałem się chwiejnie, odwróciłem i cofnąłem o trzy kroki. Poznawałem ten pokój, sypialnię. Światło wpadało skosem przez zasłonięte okiennicami okna, dzieląc łoże na równoległe pasy

światła i cienia. Każda jasna linia opasywała jej ciało, opisując kształty gładkiej sniadej, ciepłej skóry. Leżała nago, tak jak ją zostawiłem, jedwabna pościel sięgała do połowy jej pleców, a niżej podkreślała krągłości równie wiernie jak światło.

– Lisa?

Nic nie odpowiedziała, tylko przeciągnęła się ospale tym wyjątkowym ruchem, możliwym jedynie między snem i przebudzeniem.

To były drzwi do przeszłości. Nawet powietrze w pokoju migotało, ukazując przejścia, pęknięcia w materii świata. Każde wiodło do nowych możliwości, nowych wersji mojego życia. Gdybym został z nią tamtego ranka, gdybym zawrócił od drzwi, kiedy mnie zawołała, wciąż na wpół zaplątana we własnych snach, gdybym wsunął się do łóżka koło niej jeszcze raz... nic z tego by się nie wydarzyło. Ominęłoby mnie przemówienie Babki. Nigdy nie spotkałbym Snorriego. On sam trafiłby do domu. Ja żyłbym tak jak wcześniej. Może poprosiłbym Lisę o rękę i wydał jej posag na spłacenie Maeresa Allusa, a kolejne dni mojego życia byłyby proste, spokojne i próżniacze.

Ta jedna myśl mnie przytłoczyła. Wrócić do przeszłości. Zmienić ją. Napisać na nowo. Ta jedna myśl i cudowna żywotność Lisy po tak długim czasie spędzonym na pustkowiach piekła. Lisa DeVeer, wysoka, smukła, śliczna, ciepła, miękka, żywa. Iść dalej korytarzem i wrócić do teraźniejszości, do pałacu w Vermillionie, gdzie Lisa była zamężna, a świat zwrócił się przeciwko mnie... czy skrócić tu, w ostatniej chwili, i wkroczyć z powrotem do tamtego poranka, gdy wszystko się spieprzyło, a tak łatwo można było tego uniknąć?

Potrzebny był do tego tylko jeden krok. Reszty nawet nie zapamiętałem. Położyłem dłoń na jej biodrze i usiadłem przy niej. Zacząłem ściągać buty. Lisa wyciągnęła rękę, by mnie do siebie przyciągnąć. Odwróciła się powoli, ciemne włosy spadły kaskadą na jej ramię.

Nie miała twarzy, tylko cielisty lej. Sterczało z niego dwadzieścia ostrych zębów kobry, z których kapą trująca trucizna. Z okrzykiem strachu spadłem z łoża. Koszula mi się podarła, większa jej część wciąż zwisała z jej szponiastej pięści. Wyciągnąłem klucz i rzuciłem się ku drzwiom, ale one zniknęły. Cofałem się na czworakach po podłodze sypialni, gdy stwór, który nie był Lisą, wstał z łóżka. Zapędzony do kąta, sięgnąłem i otworzyłem szeroko okiennicę, ale ukazało się jedynie martwe niebo piekła – na zewnątrz czekało na mnie potępienie. W matowym świetle widać było wyraźniej błyski w miejscach, w których ocierały się o siebie światy, a nie-Lisa wyglądała jak coś, co zostało stworzone, a nie urosło, jak nieczyste ciało powlekające stare kości. Zeszła dziwnie z posłania, a jej kończyny podrygiwały, gdy zaczęła kroczyć w moją stronę.

W desperacji wcisnąłem klucz w najbliższe miejsce, w którym załamywało się

światło. Nie było drzwiami, ale prawie mogło nimi być. Miałem połowiczną szansę i z niej skorzystałem. Poczułem, że klucz Lokiego zaczął działać, zaczepił zęby o materię istnienia... więc go obróciłem.

Chwilę później wypadłem na patelnię Saharu, parzący piach, oślepiający biały skwar, miejsce, które pożerało nadzieje i zasypywało kości... i czułem się *wspaniale*.

– Marszałku? – Ktoś mocno potrząsnął mną za ramię. – Marszałku!

To Bonarti Poe, blady i roztrzęsiony. Klucz wypuścił me zniewolone spojrzenie. Okazało się, że siedziałem na korytarzu, dokładnie tam, gdzie Hertet wcisnął mi klucz w rękę.

– Jak długo ja...

– Myślę, że wszyscy są martwi! – Poe obejrzał się na hol za swoimi plecami. Na zaprzeczenie jego słów rozbrzmiał straszliwy wrzask, podobny do wycia, które słyszy się w izbach tortur.

– Powinniśmy stąd iść. – Podniosłem się, używając ściany jako podpórki. Było ciemno, tylko jedna lampa migotała w niszy między nami a drzwiami do sali tronowej, prawie kończył się w niej olej.

– M-mówili, że wiesz coś o... tym stworze, który nas zaatakował? – Bonarti wciąż nie puszczał mojego ramienia.

– Widziałem jednego w piekle.

– Och, Chryste. – Jego uścisk zaczął sprawiać mi ból, więc go odtrąciłem. – Ale wiesz, jak go pokonać, prawda?

Drzwi na końcu korytarza rozleciały się na kawałki, oszczędzając mi konieczności odpowiedzi. Liczkin stał tam jak rana w moim oku, obecny, lecz niewidzialny, a w następnej chwili dostrzegalny nie jako surowy biały nerw, lecz jako nerw spowity w duchy, odziany w szare ludzkie dusze imitujące skórę.

Powietrze między nami zafalowało, uskoki i pęknięcia widoczne przez moment zaraz zniknęły, niektóre jaskrawe, inne ciemne. To było fatum, przed którym ostrzegął nas Luntar. Nie liczkin szafujący śmiercią dziesiątek czy tysięcy, ale rozbitcie wszechświata. Te same pęknięcia widziałem na granicy światów, tam gdzie stała sala osądu, tu zaś potwór Martwego Króla sprawił, że dwa światy zderzyły się, a mieszkańcy piekła zostali wepchnięci z powrotem do swoich ciał i na ziemi żywych. Każda szczelina z natury się poszerza, a napędzane powolnym obrotem Koła pęknięcia będą się powiększać szybciej i poszerzać dalej.

Koło Osheim leżało niezliczone mile stąd, ale jego wpływ sięgał do centrum każdego miejsca, napędzany potężną, nigdy niezapadającą w sen maszyną

Budowniczych, która wciąż pulsowała ich energią, mimo że oni sami zginęli tysiąc lat temu.

Liczkin zaczął zbliżać się powoli, jakby prowokował nas do ucieczki. Wiedziałem, jaką prędkość potrafił osiągnąć, i nie uczyniłem żadnego ruchu, który mógłby go zachęcić do działania. Zamiast tego uczepiłem się tych ostatnich chwil życia, które mi jeszcze zostały. Bonarti, który nie posiadał mojej wiedzy, zerwał się do biegu. Zdołał zrobić dwa kroki, zanim liczkin uderzył go w plecy. Wpłynął w niego jak pasmo ścięgna wciągnięte w wygłodniałe usta. Dostrzegłem mignięcie białego nerwu, gdy reszta jego chudego ciała zniknęła pod skórą Bonartiego, by owinać się wokół jego kręgosłupa. Całun liczkina, utkany z duchów, opadł z niego, gdy ten znalazł sobie ciało, i spowił jak dym sparaliżowanego mężczyznę.

Krzyk Bonartiego na szczęście był krótki, ale jego cierpienie nie skończyło się wraz z nim. Chwilę później na całym jego ciele pojawiła się setka zacięć jak od brzytwy, rozcinały jednak jedynie skórę. Gdy liczkin zakotwiczył się w ciele Bonartiego, uciekłbym, ale zablokował mi korytarz, a w drzwiach sali tronowej tłoczyły się trupy z głodem w oczach, powstrzymywane jedynie chęcią liczkina, by pobawić się swym jedzeniem. Nie miałem dokąd uciec, nie miałem gdzie się skryć.

Bonarti spojrzał na mnie szeroko rozwartymi oczami. Usta wykrzywił w uśmiechu, który nie należał do niego. Jego skóra zaczęła się łuszczyć, tuzin szerokich pasów odpad! wolno od mięśni między równoległymi cięciami.

Przychodzi moment, gdy jest się tak przerażonym, że nie liczy się, dokąd uciekasz, ale to, że *w ogóle* biegniesz. Wiedziałem, że niby-drzwi i rozbite szanse znajdujące się za pęknięciami wokół mnie wiodły prosto do piekła, ale szczerze mówiąc, piekło już rozpętało się tutaj, i choć każda jego część była przerażająca, wołałem wiać do miejsca, w którym nie było akurat żadnego liczkina. Potwór wyciągnął po mnie surową czerwoną dłoń Bonartiego, z której zwisała zdarta skóra. Z tym samym okrzykiem, którym człowiek dodaje sobie odwagi, by wykonać jakieś obrzydliwe zadanie – jak odcięcie sobie kończyny, by uciec z pożaru – wcisnąłem klucz Lokiego do pierwszego pęknięcia pod ręką. Najbliższy zarys zamigotał w ścianie obok mnie i niemalże zniknął, zanim zdołałem go dosięgnąć. Klucz znalazł dziurkę i wczepił się w nią, nie pozwalając szczelinie się rozwiać. Wilgotne palce Bonartiego dotknęły mojej szyi, a ja, wciąż krzycząc, przekręciłem klucz.

Zdawało się, że w tamtej chwili świat się rozbił. Zamiast wpaść do otwartej przez siebie dziury, poleciałem do tyłu, gdy coś wielkiego wyprysnęło z niej, odpychając mnie na bok. Coś wielkiego, twardego i szybkiego.

Snorri zamachnął się toporem nad głową, rozcinając obojczyk Bonartiego Poe

i wgrzając się ostrzem głęboko w jego klatkę piersiową. Ciężki buciór, miażdżący żebra, stał się oparciem, umożliwiającym wyciągnięcie Hel z ciała mężczyzny. Następny cios wikinga, wyprowadzony z boku, trafił zwłoki Bonartiego, zanim te upadły na posadzkę, ucinając ramię w łokciu i skręcając w stronę kręgosłupa.

Snorri z rykiem rzucił się za trupem, czerwonawy pył unosił się z jego włosów i ubrań. Za jego plecami popękane okno do piekła zaczęło się zamykać, rzeczywistość wciąż była w stanie się uleczyć. Ledwie.

Liczkin zmusił ciało Bonartiego do czołgania się pod gradem ciosów topora. Duchy wzbiły się, by oślepić i szarpać Snorriego, ale on prawie na to nie zważał, rozrąbując mężczyznę u swoich stóp. Z Bonartiego wysunęły się białe wąsy, szukając innych zwłok, martwych ciał do zamieszkania, ale wiking odrąbał je szybko i efektywnie. Liczkin porządnie związany z gospodarzem w formie nieumarłego byłby w stanie bardziej wydajnie wykorzystać martwych i żywych, by się zregenerować, ale ten niezwiązany liczkin wykazał się lekkomyślnością, chcąc się najpierw zabawić, i tak ciasno owinał się wokół Bonartiego, że odsłonił się na ciosy

Jatka nie ustawała. Snorri wiedział, że jego wróg zagrzebał się głęboko w leżącym przed nim ciele. Dostrzegłem błysk bieli liczkin, gdy topór wikinga strzaskał kręgosłup Bonartiego. W następnej sekundzie stwór zaczął wyplątywać się z ruiny, jaką stały się zwłoki, ale podobnie jak ja Snorri był w stanie go zobaczyć. Czas spędzony w zaświatach wpłynął na jego wzrok. Topór zmienił się w zamazaną plamę, siekąc liczkin, w jakiś sposób trafiając w jego stałą formę w chwilach, gdy ten próbował opuścić trupa. Być może długi pobyt w piekle wyostrzył broń Snorriego, tak że była w stanie trafić nawet liczkin, a może zanurzenie w krwi diabłów zaczarowało ostrze – tak czy siak... ono kąsało.

W Trondzie organizuje się zawody, by odegnać zimową nudę. Jedne z nich polegają na tym, że wikingowie przykładają topory do jodeł grubości mężczyzny i ten, który pierwszy zetnie swoje drzewo, zostaje zwycięzcą. Atak Snorriego na liczkin wyglądał podobnie do owego konkursu. Zanim stwór uciekł ze szczątków Bonartiego, był niebezpiecznie bliski przepołowienia. W chwili, w której ostatni biały nerw stwora wysunął się z krwawych ochłapów przed nami, liczkin złożył świat wokół siebie i uciekł do zaświatów. Snorri rzucił się za nim ze zwierzęcym rykiem. Gdyby nie moja strategicznie podstawiona noga, zniknąłby z powrotem w piekło, goniąc swą ofiarę. Teraz leżał rozciągnięty z twarzą w przepysznym, choć pobrudzonym, korytarzowym dywanie Herteta. Powietrze zmarszczyło się w miejscu, w którym liczkin wybił dziurę w materii, lecz zaraz uspokoiło się, a portal

zniknął.

Zerknąłem do tyłu na trupy obserwujące nas z wejścia do sali tronowej. Może gdybym tego nie zrobił, stałyby tam dalej, patrząc bezmyślnie przez kolejne pięć minut. Moje spojrzenie chyba je ożywiło, bo jak jeden mąż rzuciły się naprzód.

– Wstawaj! – Skoczyłem ku Snorriemu i spróbowałem go podnieść. Samo dotknięcie go sprawiło, że ręce ścierpły mi w tym uczuciu martwej suchości, skóra stała się jak papier, żywotność zaczęła uciekać z mojego ciała. – Wstawaj! – Lepiej by mi poszło podnoszenie konia.

Snorri podkulił pod siebie ramiona i skoczył na nogi, gdy dopadły nas trupy. Straciły swą szybkość po ucieczce liczka, ale wciąż miały przewagę liczebną.

Przewaga liczebna nie miała znaczenia. Snorri przeszedł przez ich szeregi jak kosa. Przypomniało mi się moje wspaniałe zwycięstwo nad chłopcami noszącymi wodę w operze. Snorri poradził sobie z trupami tak, jak książę Czerwonej Marchii poradził sobie z grupką przerażonych małych uliczników. Topór naprawdę był właściwą bronią do takiej roboty. Miecz jest jak język – przemawia i obdarza agresję elokwentnym głosem, odnajduje niezbędne organy przeciwnika i je wykańcza. Topór tylko ryczy. Rany, które zadaje, są zgubne, a ten dzierzony przez Snorriego przy każdym ciosie zdawał się ucinąć głowę lub kończynę.

Dwie minuty później wiking stał pośród dokonanej przez siebie rzezi. Jakies dwadzieścia trupów leżało posiekanych do tego stopnia, że nekromanci nie byliby w stanie zrobić z nich nic niebezpiecznego. Podążyłem za Snorrim do sali tronowej, rzucając przez ramię nerwowe spojrzenia, na wypadek gdyby nowi wrogowie pojawili się w korytarzu. Wielu zabitych miało miecze wciąż schowane w pochwach przy biodrach. Wziąłem jeden, który wyglądał na wykuty do walki, a nie na pokaz.

– Czy z tobą... wszystko w porządku? – Rozejrzałem się po sali. Snorri stał ze zwieszoną głową, pokryty cudzą krwią, i ciężko oddychał. Trzymał topór w poprzek bioder, jedną rękę tuż nad ostrzem, drugą na końcu trzonka. Nie wyglądał w porządku. Sala też nie. Każda powierzchnia była splamiona, tron przewrócony, arras poddeptane. Miejsce cuchnęło śmiercią i rozkładem. – Snorri? – Wyglądał niemal na kogoś obcego.

Wiking uniósł głowę i popatrzył na mnie zza czarnej kurtyny swoich włosów, z nieczytelną twarzą, zdolny do wszystkiego.

– Ja... – Jego pierwsze słowo skierowane do mnie, odkąd rozstaliśmy się w piekle. U mnie minęły miesiące – czas, który przeszedł w tamtym miejscu, wydawał się pewnie jak wiele żywotów...

Z najciemniejszego kąta sali wychynął trup, zza gobelinu – jakiegoś

zwycięstwa wyszytego srebrną nicią, teraz usmarowanego krwią i plugastwem. Natarł na plecy Snorriego, ciągnąc za sobą ozdobną tkaninę niczym sztandar. Snorri uderzył w bok, prawie bez patrzenia. Topór stanowił przedłużenie jego ręki. Głowa trupa poleciała w powietrze, ciało zachwiało się i upadło.

– Odnalazłem spokój – powiedział Snorri, podszedł do mnie i złapał w uścisk wojownika.



– Lisa! – Wyrwałem się Snorriemu i prawie potknąłem się o jedno ze zmasakrowanych ciał rozrzuconych po wielkiej sali Herteta. – Lisa!

– Panna, którą chciałeś poślubić? – Snorri cofnął się o krok i po raz pierwszy obrzucił wzrokiem otoczenie.

– Musimy iść! – Ruszyłem w stronę głównych drzwi. – Mam rodzinę w tarapatach.

Snorri oparł topór na ramieniu i podążył za mną, krocząc nad rozrzuconymi fragmentami zbroi i sporadycznie drgającymi zwłokami.

Wielkie skrzydła drzwi do sali tronowej Herteta krzyżowały się pod pijackim kątem, oba trzymały się futryny na jednym zawiasie. Kopnąłem lewe, a ono poleciało do tyłu. Przedpokój wyglądał jak udekorowana kostnica.

– Chryste. – Ktoś zaciekle tu walczył, pewnie elitarna straż Babki. Rozczłonkowane ciała zaścielały podłogę zalaną krwią, między nimi leżał tuzin albo więcej martwych bagiennych ghuli. Wiele zwłok było wzdętych i wciąż umazanych cuchnącym rzeczonym szlamem.

– W jakim kraju jesteśmy? – zapytał Snorri, idący koło mnie.

– To pałac w Vermillionie. Mój wuj postanowił zabawić się w króla. Nie wyszło za dobrze.

Frontowe drzwi Willi Mediolańskiej leżały pogruchotane, drewno poszarzało i spróchniało, zgniło od dotyku liczka. Zszedłem po schodach. Snorri podniósł tarczę, którą zabrał jednemu z poległych strażników.

– Nie w twoim stylu? – Zerknąłem do tyłu, unosząc brew.

– Strzałki ghuli jeszcze mniej. – Wyszedł za mną z budynku na schody.

Wokół domu płonęło dość upuszczonych pochodni, by otoczyć go luźną aureolą słabego światła. Rozegrała się tu podobna scena co wewnątrz budynku. Połamane ciała, rozchlapana krew, pół tuzina trupów w zasięgu wzroku włóczyło się bez celu, przynajmniej dopóki nie dostrzegł nas pierwszy z nich.

– Uciekaj! – zawołałem i wziąłem nogi za pas.

Zatrzymałem się po mniej więcej dziesięciu jardach, gdy zdałem sobie sprawę, że Snorri za mną nie biegnie i że tam, gdzie zmierzałem, było ciemno.

Odwróciłem się do wikinga.

– Uciekaj?

Snorri posłał mi ten uśmiech, w którym szczerzył wszystkie białe zęby na tle czarnej brody.

– Nie przeszedłem Hel... – Urwał, by zdekapitować pierwszego trupa, który do niego dobiegł, dzikim i doskonale wymierzonym ciosem – ...by teraz zwiewać przed tymi żałosnymi ścierwami. – Następnemu trupowi nie tyle uciął głowę, co przeciął mu ją toporem. Potem zaatakowały go dwa umrzyki naraz. Nie miałem czasu, by przyjrzeć się, jak sobie z nimi poradził, bo upatrzyła mnie sobie służąca w podartej sukience. Przypadła do mnie, dziwacznie i spiesznie człapiąc. Jej szare włosy nastroszyły się nieporządnie, na szyi miała purpurowe sińce, tam gdzie martwe dłonie wycisnęły z niej życie. Wbiłem jej miecz w usta, a ten wyszedł z tyłu głowy. Paskudna sprawa. Wciąż próbowałem wyciągnąć swoje ostrze, gdy Snorri przeszedł obok mnie. Nawet z rozwaloną głową służąca wciąż czepiała się mnie na oślep. Musiałem zrobić unik do tyłu i zostawić ją młócaącą kończynami na ziemi.

– No to chodź. – zawołał Snorri przez ramię. W wyciągniętej ręce trzymał dwie prawie wypalone trzciniowe pochodnie, by oświetlały mu drogę. Płomienie migotały na resztkach smoły.

Poszedłem przodem, spodziewając się, że z mroku wyskoczy na nas taki czy inny potwór – im dalej zaszliśmy bez napaści, tym gorsze było napięcie – ale w końcu stanęliśmy przed Rzymskim Pawilonem, niezatrzymani przez nikogo, żywego czy martwego.

– Kto jest w środku? – zapytał Snorri. – Tylko Lisa?

– Nie mam pewności, Lisa, jej siostra Micha, moja mała bratanica. – Jako marszałek miasta powinienem właśnie zbierać ludzi i kierować się pod mury. Lisa umrze, tak jak my wszyscy, jeśli główne siły trupów zza murów zajmą miasto. Nie zważając na logikę, musiałem się jednak upewnić, że nic jej nie było, że im wszystkim nic nie było. Albo przynajmniej zobaczyć, jak skończyły, i zrozumieć, że nic już nie mogło ich uratować.

Frontowe drzwi były uchylone, za nimi czernił się hol. Gdy wspinałem się po schodach, zauważyłem krew, tylko jedną smugę. Może ktoś tu upadł i uderzył się w głowę.

Pchnąłem lewe skrzydło drzwi czubkiem miecza. Światło dogorywającej pochodni Snorriego ledwie wyławiało z ciemności długi korytarz. W równo oddalonych od siebie niszach stały induskie posążki i wazy Ojca. Głowa Grubego Neda leżała kilka jardów od drzwi, wpatrując się w sufit z wyrazem lekkiego zaskoczenia. Być może zginął podczas służby i spotkał go szybki gwałtowny koniec po powolnej walce z tym, co zżerało go od środka. Dowód

na to, że nikt z nas tak naprawdę nie wie, czego może się spodziewać. Poszukałem wzrokiem jego kościstego ciała, ale nie było po nim śladu.

W tym momencie przypomniałem sobie o stożku orichalcum, zakopanym w czeluściach mojej najgłębszej kieszeni. Rozważyłem wyciągnięcie go. Snorri stał za mną, trzymając wysoko pochodnię. Gdy odsunąłem się na bok, wyminął mnie. Brak jakiegokolwiek innego źródła światła stanowił dobry pretekst, by posłać go przodem, więc zostawiłem orichalcum w spokoju.

– Lisa! – huknął Snorri. – Lisa!

– Ciiii! – Uciszyłem go gwałtownym gestem dłoni. – Co?

– Dowiedzą się, że tu jesteśmy!

– Taki był plan. LISA!

Cóż, był to jakiś pomysł, ale wywoływanie wroga klóciło się z wieloma moimi głęboko zakorzenionymi instynktami. Część mnie wciąż chciała zasłonić wikingowi usta.

Snorri poprowadził nas w głąb sali wejściowej. Nie pachniało tu domem, wewnątrz unosił się kwaśny odór, smród dawnej śmierci, nie świeżej. Przy drzwiach powinni stać strażnicy, ale Alphonsa widziałem przed Willą Mediolańską, wcielonego do straży Herteta. Dubler pewnie też został powołany.

– Lisa! – Kolejne gromkie obwieszczenie.

Snorri zerknął na mnie.

– Wielki ten pałac!

– Przecież cały czas ci powtarzałem, że jestem księciem. – Machnąłem ręką, ponaglając go. – Skręć w lewo za tymi następnymi drzwiami. I postaraj się nie zabić żadnego ze służących. – Gdybyśmy spotkali Ballesę, niosąc kopczą pochodnię, to Snorri mógłby się znaleźć w niebezpieczeństwie. Brudzenie kardynalskiego sufitu było zakazane. Wtedy przypomniałem sobie, że tego ranka zamieniliśmy Ojca w dym, i poczułem nieoczekiwany smutek – mój własny, niewywołany wpływem liczkina.

Dziwna rzecz, tak sposepnąć na myśl o śmierci osoby, o którą za jej życia wcale nie dbaliśmy. Uczucie to samo wybiera, kiedy nas podstępnie podejść – zazwyczaj w cholernie niedogodnej chwili – i oto owładnęło mnie... Może żal nam było straconych okazji do rozmowy, podczas której padłyby wszystkie niewypowiedziane słowa, może żal nam, że sprawy nie potoczyły się tak, jak powinny.

– Dokąd teraz?

Zatrzymałem się. To był duży budynek.

– Schodami w górę. Sprawdźmy stare pokoje Darina.

Gdy wspinaliśmy się na piętro, usłyszałem odległe bębnienie. Czyżby ktoś

walił w drzwi? Nie licząc tego dudnienia, miejsce wydawało się ciche, ale cisza jest znamieniem trupów i nekromancji – zanim nie wyskoczą na ciebie z ciemności.

– Na szczycie w lewo.

Pochodnia Snorriego migotała, zmuszając cienie do tańca. W nietkniętej blaskiem ciemności pełzały strachy.

– Kłopoty. – Wiking użył lekkiego słowa, by umniejszyć wielką katastrofę. Cztery czy pięć stopni na szczycie schodów było zalanych krwią, krzepnącą w lepkie wodospady. Półpiętro zaścieniały części ciał, ciemne smugi krwi na ścianach sięgały wyżej, niż powinny.

– Straż pałacowa. – Kilka kawałków było okrytych wystarczająco dużymi fragmentami mundurów, bym zdołał je rozpoznać. Mężczyźni musieli zostać zabici, potem przywróceni do życia i w końcu rozsiekani.

Na skraju kręgu światła rzucanego przez pochodnię ciemna postać przykucnęła na drugiej, zakutej w zbroję. Snorri wcisnął mi pochodnię w dłoń. Zaczął powoli zsuwać topór z ramienia, aż złapał go tuż pod ostrzem, po czym zrobił absolutnie ostatnią rzecz, jaką bym polecił. Odłożył broń.

– Co? – Zobaczyłem, że czarna postać przerwała czynność, która pochłaniała jej uwagę, i spojrzała w naszą stronę, spinając się, jakby szykowała się do ataku lub do ucieczki.

Snorri zignorował mnie. Złapał za krawędź swojej okrągłej tarczy i wyswobodził drugą rękę z jej pasów. Dwie rzeczy wydarzyły się naraz. Postać ukryta w cieniu skoczyła do ucieczki, a Snorri cisnął swą tarczą jak dyskiem. Żelazna krawędź trafiła stwora w tył głowy i powaliła na ziemię.

Pobiegliśmy ku niemu, a Snorri chwycił swój topór. Bagienny ghul leżał z wyciągniętymi kończynami obok zakrwawionego torsu w bardzo błyszczącej zbroi. Nie potrafiłem stwierdzić, kto to był – twarz została wyjedzona. Snorri stopą odwrócił ghula na plecy. Do zębów stwora przyczepiły się ciemne szczeciniaste wąsy wraz z kilkoma obrzydliwymi kawałkami ciała.

– Sir Roger – powiedziałem, w końcu pojmując, kto znajdował się w lśniącej zbroi. – Mój kuzyn posłał jego i tych ludzi, by zabrali stąd siostry DeVeer.

Ghul otworzył jedno oko. Snorri zatopił topór w jego piersi.

Dudnienie rozbrzmiało głośniejsz, gdzieś w pobliżu. Snorri oparł but na szyi ghula i z mokrym dźwiękiem wyswobodził swoją broń.

– Lisa? – Przepchnąłem się obok niego, trzymając przed sobą wyciągnięty miecz, a z boku pochodnię. Przed drzwiami do apartamentu Darina stał ksiądz, pięści miał odarte ze skóry od walenia w drewno. Odwrócił się w moją stronę. Biskup James, pomyślałem... Trudno było to stwierdzić przez purpurę od uduszenia, którą zaszła mu twarz. Tęgi, starzejący się, surowy biskup James

spędził wiele bezowocnych godzin, starając się wskazać mi błędy w moim zachowaniu, gdy byłem dzieckiem, za pomocą laski i Biblii, obu służących mu za broń. Nigdy za nim nie przepadałem, ale nie życzyłbym mu takiego końca.

Biskup James zaatakował mnie z nieostrożnością charakterystyczną dla trupów. Wiedziałem już dość, by nie pozwolić mu nadzieć się na mój miecz i w ten sposób go unieruchomić. Zamiast tego zamachnąłem się i uciałem mu jedną z wyciągniętych rąk gdzieś między nadgarstkiem a łokciem. Potem uchyliłem się, zniżając ramię, i ksiądz przeturlał się po mnie. Mokry trzask za moimi plecami wskazywał, że wylądował twardo na toporze Snorriego.

– Lisa? – Zapukałem do drzwi. – Micha?

– Barras? Czy to ty? – Stłumiony głos kobiety.

– Darin? Dzięki Bogu! – Druga kobieta.

– To ja, Jal – odpowiedziałem.

Chwila ciszy.

– Ilu ludzi masz ze sobą?

– Wystarczająco wielu. – Poczuję się lekko urażony. – Otwórzcie drzwi. Musimy stąd iść, prędko.

– Zabarykadowaliśmy je. Odsunięcie tych wszystkich rzeczy zajmie nam chwilę. – Głos Lisy, raczej słaby.

– Zostawcie je zamknięte. – Snorri stanął przy mnie. – Musimy najpierw sprawdzić to miejsce.

– Nie ruszajcie barykady! – zawołałem głośniejszym głosem, starając się sprzedać ten pomysł jako mój własny. – Najpierw upewnimy się, czy jest bezpiecznie.

– To Dubler, Jal! – krzyknęła Micha zza drzwi.

Usłyszałem płaczliwe narzekanie małej Nii.

– Co? – odkrzyknąłem. Albo mi się przesłyszało, albo mówiła od rzeczy.

– Dubler!

Odwróciłem się, by spojrzeć na Snorriego, i wzruszyłem ramionami.

– Dubler?

– Ma na myśli mnie. – Z półpiętra za naszymi plecami rozległ się głos.

Odwróciłem się i zobaczyłem stwora zbudowanego z części ciała. Nie człowieka, jak napakowany olbrzym, który ścigał mnie po dachach, lecz coś bardziej przypominającego potworności, które spięły się, by utworzyć rusztowanie, po którym trupy przeszły nad murami miasta. W moich oczach stwór wyglądał na krwawego pająka, stworzonego z uciętych kończyn ludzi, których sir Roger przyprowadził tu na śmierć. Ręce i nogi, poprzyczepiane jedno do drugich, łączyły się w niezgrabne i tykowane pajęcze odnóża. Wierzchołek, przy którym spotykało się sześć czy siedem owych nóg, stanowiła górna połowa torsu, ociekająca posoką.

– Pospieszna, ordynarna robota, musicie mi wybaczyć. – Skupiłem uwagę na człowieku stojącym za potworem i trzymającym uniesioną latarnię.

– Dubler? – Miał na sobie strój służącego Rzymskiego Pawilonu, choć rękawy miał ubabrane krwią ponad łokcie.

– Nie jest to oczywiście moje prawdziwe imię, ale używałem go przez ostatni rok, więc możemy zostać przy nim ostatniej nocy twojego życia.

– Ale... ty jesteś... – Kiedy się nad tym zastanowiłem, Dubler to faktycznie było niespotykane imię. Po raz pierwszy spotkałem go, gdy prowadził Snorriego do baszty marsalskiej w dniu, w którym Babka uwolniła go po wysłuchaniu jego opowieści w sali tronowej.

– Chętnie bym został i pogawędził, ale mam parę rzeczy do zrobienia w kościele. Wpadłem tylko zobaczyć, co to za raban. – Dubler podniósł latarnię nieco wyżej. – Widzę, że przyprowadziłeś z powrotem wikinga. Gdzie on się *podziewał*? Na całym jego ciele dostrzegam śmierć.

– Twoją – zawyrokował Snorri i ruszył w stronę pająka ze zwłok z grymasem na twarzy, jakby ohydna postać potwora martwiła go bardziej niż sama walka.

Dubler wyciągnął dłoń ku Snorriemu, wysuwając palce, w których trzymał zaokrąglony czarny przedmiot. Snorri zatrzymał się. Jego niesmak zmienił się w zaskoczenie.

– Co? – Wiking próbował się poruszyć, ale wyglądało no to, że jego ciało zamarzło w jedną solidną bryłę. Nawet wypowiedzenie pytania wymagało wysiłku.

– To naprawdę intrygujące. – Dubler uśmiechnął się w sposób całkowicie sprzeczny z moimi wspomnieniami jego nijakiej, przyjacielskiej twarzy. – Wyraźnie jesteś żywy, a mimo to śmierć wsączyła się w ciebie niemal do szpiku kości. Koniecznie musimy o tym porozmawiać, zanim cię zabiję.

Wyglądało na to, że teraz tylko ja broniłem drzwi Lisy przed zdradzieckim nekromantą i jego potwornym pupilem.

– To ty przeszukałeś mój pokój, kiedy wróciłem z Północy! – Głównym sposobem na uniknięcie walki jest niedopuszczenie, by walka w ogóle się zaczęła. W pewnych kręgach mówi się na to „gra na zwłokę”.

– Nie próbuj mnie zagadywać, książę Jaland. – Dubler skupił się na swym stworze, a ten, przebijając nogami, zbliżył się o jakiś jard. – Ale owszem. Ja. Gdybyś miał dość przyzwoitości, by zostawić klucz Lokiego z resztą swoich rzeczy, wszystkie te nieprzyjemności można by było opóźnić. – Ponownie skoncentrował się na potwornym pająku, a ten w podrygach przesunął się o kolejny jard. Głowa, która stała za tym wszystkim, obserwowała mnie z tą samą gorliwą uwagą, jaką jastrząb rezerwuje dla myszy.

– Co to za przedmiot? – Wskazałem na rzecz, którą Dubler wyciągnął

wcześniej w stronę Snorriego.

– Och, proszę cię. – Dubler przesunął poczwarę o kolejnych parę kroków.

– Nie, naprawdę, wygląda znajomo. – Najpierw pomyślałem, że trzymał w dłoni jakiś rodzaj nekromanckiej ciemności, ale to było coś stałego i prawdziwego, a ja gdzieś to już wcześniej widziałem.

– To? – Dubler odwrócił rękę, tak że przedmiot leżał teraz na jego dłoni. – Pewna młoda kobieta rzuciła nim we mnie, gdy porządkowałem rzeczy w kościele.

– Święty kamień! – A dokładnie święty kamień Ojca.

– Tak. Rzuciła nim jedna z sióstr DeVeer. Niedługo jej go zwrócę. – Znow ten obcy uśmiech. – Może myślała, że jeden z kardynalskich symboli będzie miał nade mną jakąś władzę? Jak to mówią? Niech ta, która jest bez grzechu, pierwsza rzuci kamień? Ale siostry DeVeer nie są już zbyt niewinne, prawda? A twój ojciec nigdy nie był za dobrym kardynałem...

– A może oddałyś go mnie? – Potrzebowałem pieczęci Ojca, by chronić mnie przed moją siostrą, jeśli ta przebije się do świata żywych – kiedy się przebije. Śmierć Darina prawie otworzyła jej drzwi, których potrzebowała, a wszystkie te zgony w mieście tylko ułatwią jej zadanie. Marco powiedział, że potrzebna mi będzie pieczęć kardynała, ale inne symbole jego urzędu były niemal równie święte. Może wystarczą.

– To? – Dubler odstawił latarnię na jedną z podpórek poręczy, która biegła wokół półpiętra. Przerzucił święty kamień z ręki do ręki, jak liczkin napawający się swoją władzą. Pewnie drażniła go służba w domu ojca na tak niskim stanowisku, gdy przez cały czas musiał ukrywać swe talenty. – Myślisz, że nie wiem, dlaczego go pragniesz? – Ujął ciemną metalową rączkę, która biegła wzdłuż krzywizny czarnego żelaznego kamienia. – Siostra – powiedział. – Siostra... – przeciągnął słowo w drwinę. – Pieczęć twojego ojca lepiej by ci posłużyła w walce z nią, ale świsnęła ją arcybiskup Larrin.

Jedyny, który zdołał uciec. Gdybym go złapał, miałbym cały komplet, od chórzysty do arcybiskupa.

Kątem oka dostrzegłem, że Snorri walczył ze swymi więzami. Za długo był w piekle, nasiąknął suchością zaświatów i nekromancja nie była w stanie go zatrzymać, dopóki świat żywych w pełni nie przyjmie go z powrotem. Potwór Dublera znow zaczął się zbliżać.

– Zaczekaj! – krzyknąłem. Aż dziwne, jak często to działa.

Pająk z ciał zatrzymał się, a Dubler uniósł brwi, zapraszając mnie do rozwinięcia wypowiedzi.

– Proszę, odłóż święty kamień mojego Ojca. Nie chciałbym go zniszczyć, kiedy będę cię zabijał. – Uniosłem miecz. Brawura jest równie skuteczną

taktyką opóźniającą co błaganie. Musiałem tylko kupić parę minut, by Snorri zdołał zwalczyć zaklęcie nekromanty.

– Może nie będę się z tobą spieszył, książę Jalandre. – Dubler uważnie obejrzał święty kamień. – Nie masz pojęcia, jak nużące jest słuzenie twojej rodzinie. Jak trudno jest potakiwać i kłaniać się takiemu skupisku nadętych kretynów, napuchniętych od nieuzasadnionego poczucia własnej wyższości... – Uderzył kamieniem o balustradę, mocno, po czym obejrzał go, krzywiąc się. Potem machnął na swego stwora, by ten mnie wykończył.

– Po namyśle... zatrzymaj sobie kamień. Nie sądzę, byś *potrafił* go zniszczyć. – Chociaż chciałem zdobyć kamień, wołałem raczej spędzić następną minutę, patrząc, jak Dubler wali nim o poręcz, niż stawić czoła jego ohydnej kreaturze.

Nekromanta połknął haczyk. Nie sądziłem, że to zrobi. Grałem jednak dalej, wydając z siebie udęczone „Nie!”, gdy uderzył kamieniem o ścianę. Dręczycieli należy unikać, ale często ich skłonność do okrucieństwa sprawia, że można nimi manipulować.

– Nie! – krzyknąłem, jakby próbował walnąć moim dzieckiem we framugę drzwi. W końcu Dubler zdołał odłamać jakiś mały kawałek, coś w rodzaju metalowej szpilki, i nikt nie był bardziej zdumiony niż ja, gdy cały uchwyt kamienia został mu w ręku. Zawsze myślałem, że święty kamień był żelaznym ananasem odpornym na wszelkie uszkodzenia.

– No! – Dubler wyszczerzył zęby. – Chyba nie jest już święty. Nawet nie jest cały. A co ty o tym myślisz, książę Jalandre?

Nie przypominam sobie, czy udzieliłem jakiegokolwiek odpowiedzi. W sumie następną rzeczą, którą pamiętam, jest to, że leżałem na łóżku w pokoju z dębowymi panelami na suficie.

– Co? – Nigdy nie wychodziło mi wymyślanie twórczych wypowiedzi, gdy odzyskiwałem przytomność.

Twarz Lisy DeVeer wyostrzyła się nade mną. Poderwałem się do pozycji siedzącej, niemal łamiąc jej nos swoim czołem. Micha stała przy nogach łóżka, przyciskając Nię do piersi. Snorri tkwił w drzwiach, zwrócony do nas plecami.

– Dubler! – Poklepałem się po biodrze w nadziei, że znajdę tam rękojęć miecza. – Gdzie jest Dubler?

Lisa wskazała na lewo i nieco w górę, Micha na prawo i w dół. Obie zdawały się mówić naraz, ale nie mogłem rozróżnić słów, bo dzwoniło mi w uszach. Chwiejnie zszedłem z łóżka, znalazłem swój miecz na stojącym obok kredensie i odepchnąłem Snorriego na bok.

Na półpiętrze unosił się gryzący dym. Dziesięć jardów balustrady zniknęło. Potrząskane słupki poręczy sterczały z dziury. Pająk najwyraźniej znów stał się rozrzuconą kolekcją niedobrych kończyn, a ja zrozumiałem, że obie siostry w

zasadzie poprawnie wskazały położenie Dublera. Niektóre jego części przykleiły się do ściany po obu stronach drzwi.

Snorri coś powiedział, ale wyłowiłem tylko słowo „wybuchł”.

– Chryste, diable! – Wróciłem do pokoju. – Zabierajmy się stąd!

– Dokąd? – Widziałem, że Snorri krzyczał, ale miałem trudności ze zrozumieniem go.

– Do Wewnętrznego Pałacu. To najbezpieczniejsze miejsce. Garyus też powinien tam być. – Ledwo słyszałem własny głos przez to dzwonienie w uszach. Wziąłem jedną latarnię z półki nad kominkiem i popędziłem Lisę i Michę, by opuściły swoje schronienie. – Szybko. Cicho. – I wyprowadziłem nas z miejsca, w którym już nigdy nie poczuje się jak w domu. Przeszliśmy przez porozrzucone szczątki, krwawą lekcję pouczającą, w jaki sposób Kościół nagradza nadmiar ciekawości u swoich kleryków. Najwyraźniej rozebranie na części świętego kamienia mimo surowych zakazów skutkuje rozerwaniem na kilkaset małych krwawych grudek.



– Ilu masz ludzi? – Garyus siedział na tronie Babki, oparty na poduszkach. Po bokach miał dwóch elitarnych strażników w zbrojach z ognistego brązu. Wokół sali stało kolejnych dziesięciu, niektórzy zakrwawieni po nocnej pracy.

– Około sześćdziesięciu. – Stałem przed podwyższeniem ze Snorrim u boku. – Kolejne tuziny są rozproszone po pałacu. Posłałem oficerów, by zebrali wszystkich przy bramach.

Garyus popatrzył na mnie jednym ciemnym okiem. Drugie zamknęła mu pięść Herteta. Wuj poszedł do pokoju w wieży Garyusa po zmroku. Tydzień wcześniej zapytałem wujecznego dziadka, dlaczego nie przeniósł się do Wewnętrznego Pałacu, skoro był teraz namiestnikiem, ale on pokręcił głową i odparł, że lepiej mu się myśli w wysokim miejscu.

– No i ludzie przeszkadzają ci tylko wtedy, kiedy mają ważną sprawę. Sto stopni daje nową perspektywę na to, co się liczy, a co jest stratą czasu.

– Hertet? – zapytałem. – Znaleźli go? – Mógł być między martwymi. Rzeź w Willi Mediolańskiej była gruntowna.

– Jeszcze nie. – Garyus dotknął opuchlizny wokół oka. – Wybuchł tam pożar, część tylnej ściany się zawaliła. Może się okazać, że nie damy rady nawet policzyć poległych. Ale nie słyszałem, żeby uciekł. – Pokręcił głową, wyglądając na szczerze zmartwionego. – Głupi chłopak. – Może Garyus pamiętał dziecko, nie mężczyznę, który je zastąpił.

– Powinienem zabrać wszystkich ludzi, których mamy, i wrócić pod Bramę Apijską. – Zdanie nie brzmiało jak coś, co mogłoby wyjść z moich ust, ale jeśli trupy wedrą się do miasta w większej liczbie, nikt z nas nie zobaczy kolejnego zachodu słońca.

– Mam dla waszej dwójki ważniejsze zadanie – oznajmił Garyus.

Uniosłem brew, zastanawiając się, czy pięść Herteta nie pomieszała mu w głowie.

– Co mogłoby być ważniejsze? Chryste! Trupy były na murze już kilka godzin temu. Z tego, co wiem, mogły już zdobyć bramę. Musimy...

Garyus unióśł dłoń.

– Mam świeższe raporty. Marszałek Serah jest...

– Marszałek Serah? Ilu marszałków to miasto zobaczy w ciągu jednej nocy? A Serah to jeszcze dziecko, na litość boską! – Chociaż jeśli miałem być szczery, dobrze sobie radziła z organizowaniem obrony, gdy opuszczałem mury.

Garyus czekał, zaciskając usta, by zobaczyć, czy mam jeszcze jakieś zażalenia. Powściągnąłem język.

– Sytuacja w miejscu, w którym trupy przedostały się do miasta, została opanowana. Umarli za murami stracili swą... żywotność... Okazało się, że nie są w stanie podążać śladem innych po rampie i rusztowaniu. Przybyło wsparcie: zatrudnieni przeze mnie najemnicy oraz uzbrojeni mieszkańcy, w tym ci, którzy wcześniej zarabiali na życie w Krwawych Dołach i innych nielegalnych miejscach walk... – Powędrował wzrokiem ku Snorriemu, dając mi znać, że słyszał historię o nim i niedźwiedziu. – Owe posiłki zajęły się trupami, które zdołały wdrzeć się do miasta.

– Uderzą w innym miejscu! Mury przy placu Garbarzy i tak ledwo stoją. Ja...

– Ogień w zewnętrznych dzielnicach spopielił wielką liczbę napuszczonych na nas trupów i poważnie ograniczył zdolność tych, które przetrwały, do wędrowania wokół murów. Z moich raportów wynika, że hordzie umarłych brak przewodnictwa i celu.

– Ale tam byli nekromanci... sam widziałem Edrisa Deana! Na pewno coś knują... Kanały!

– Sam zająłeś się tym słabym punktem, Jalandie, i nie ma żadnych oznak ataku. Wygląda na to, że Martwy Król stracił zainteresowanie szturmem.

– Ale... dlaczego? Bo posłaliśmy liczkina z powrotem do piekła? – To nie miało sensu. Prawie nas dopadł. Dlaczego się poddał?

– Kupiec zapytałby, jakiego zysku oczekiwał nasz przeciwnik. – Garyus ostrożnie oparł się na poduszkach, krzywiąc twarz. – Dlaczego zużył swe siły, by zaatakować to miasto?

– Bo Czerwona Królowa wyjechała. To był najlepszy moment, by napaść na Vermillion.

– Myślisz o tym, co my cenimy, Jalandie, nie o tym, co ceni Martwy Król. Co go obchodzi Vermillion albo cała Czerwona Marchia? Jest wiele miast, wiele miejsc, gdzie żywych można zmienić w trupy znacznie łatwiej niż w sercu Czerwonej Marchii, niezależnie od tego, gdzie akurat jest Czerwona Królowa.

– Wszystko to, żeby zdobyć klucz? Wszystko to? – Nie wydawało się to możliwe, ale gdy wypowiedziałem te słowa, klucz Lokiego zmienił się w lód na mojej piersi.

– Na jakiej innej rzeczy bardziej by skorzystał?

– Ale – zacisnąłem dłoń na kluczu – nie zdobył go. Więc dlaczego się teraz

wycofał?

– Nie wiem, Jalandre. Ale wiem, że jego potęga ma swoje granice, a szansa na zwycięstwo, którego potrzebował, by zdobyć klucz, bardzo zmalała, kiedy licznik uciekł, a nasza obrona okazała się groźniejsza, niż pewnie przypuszczał.

– Albo znalazł inny skarb – zagrział stojący obok mnie Snorri.

– W rzeczy samej. – Garyus nie okazał rozdrażnienia, że przerwał mu jakiś barbarzyńca. – Rozwazałem taką możliwość. Ale cóż innego mogłoby go zadowolić?

W głowie rozwinęła mi się straszliwa myśl i choć walczyłem, by złożyć ją z powrotem w mały punkcik prawdopodobieństwa, nie dałem rady.

– Dlaczego w ogóle się tu zjawili?

– Kto? – Garyus przeniósł wzrok ze Snorriego na mnie.

– Nienarodzeni. – Przeszedłem tyle mil, a jednak znów wróciłem do samego początku całej tej historii. Snorri i ja znów staliśmy w sali tronowej Czerwonej Królowej, rozmawiając o trupach. Wieczorem tamtego dnia zderzyłem się z Nienarodzonym Księciem w operze, miejscu, w którym nigdy nie wydarzyło się nic dobrego. – Dlaczego nienarodzeni w ogóle się tu pojawili?

– Przybyli, żeby sprowadzić na ten świat kolejnego nienarodzonego. Bardzo potężnego. – Garyus wbił we mnie osobliwie intensywne spojrzenie. – Musiał być potężny, skoro zaryzykowano obecność dwóch najlepszych sług Martwego Króla w obrębie murów Vermillionu, gdy Czerwona Królowa była w mieście.

– Moja siostra.

– Nie masz siostry, Jalandre...

– Edris Dean zabił ją w łonie Matki tej nocy, kiedy przyszedł do pałacu. Widziałem, jak Matka sprawdziła swój brzuch za pomocą orichalcum tuż przed atakiem. Światło... jakby słońce spadło na ziemię... – Dłoń Snorriego zacisnęła się na moim ramieniu w odruchu współczucia, po czym opadła. – Moja siostra ścigała mnie w piekle. Gdyby mnie złapała, stałbym się jej bramą do tego świata. Myślę, że próbowała przejść przez Ojca, kiedy umarł. A potem znowu, przez Darina, kiedy skonał przy murze. Coś próbowało przez niego przeniknąć.

– Ale mu się nie powiodło? – Garyus zmarszczył brew. – A zatem dlaczego Martwy Król się wycofał...

– Martus! – Zimna pewność zacisnęła się w mojej klatce piersiowej. – Dowiedz się, co z moim bratem!

Garyus opuścił głowę. Z wysiłkiem uniósł dłoń i przywołał kogoś, wysuwając dwa palce. Zakrwawiony żołnierz wystąpił z miejsca obok jednego z królewskich strażników, mniejszy mężczyzna, do tej pory skryty w cieniu większego. Zatrzymał się pięć jardów przed tronem. Poszarpany mundur wskazywał, że był oficerem w Siódmej. Niezliczone wąskie cięcia na jego

rękach i twarzy sugerowały niedawne spotkanie z szarpilachem.

– Kapitan Davio miał złożyć raport zaraz po naszej rozmowie – powiedział Garyus. – Mów, co wiesz, Kapitanie. – Skinął na mężczyznę, by ten podszedł bliżej.

– Generał Martus... – zaczął kapitan zdławionym głosem, po czym chwycił się za szczękę, jakby chciał wyżyć emocje ze swego tonu. – Książę Martus, Wasza Wysokość... on... – Davio opuścił rękę. Oba policzki miał teraz brudne od krwi. – Poprowadził atak. W ogóle się nie bał. Pobiegł prosto w tę bezbożną wicherę. Widziałem, jak przepołowił dwa duchy, gdy szarpał go wiatr. Walczyliśmy z opętanymi, ale generał Martus ruszył prosto w epicentrum. Straciłem go z oczu... i nagle wszystko się skończyło. Wiatr ucichł. Szmaty, szkło i kamienie spadały z nieba... a opętani biegali dziko, całkiem zdezorganizowani.

– A mój brat? – Znałem odpowiedź.

– Znaleźliśmy go w środku zamieszania, Wasza Wysokość. Był poraniony i poszarpany. Próbowałem wyczuć puls, ale widziałem, że odszedł. Zawołałem ludzi, by zanieśli go do pałacu. W pobliżu znalazłem jego broń. To się stało, kiedy podnosiłem miecz z ziemi. – Umilkł, wpatrzony w jakieś wspomnienie. Uznałem, że Garyus będzie zmuszony zadać mu pytanie, ale w momencie kiedy jeden z nas musiał się odezwać, kapitan poderwał głowę w stronę Garyusa i zaczął mówić dalej. – Otworzył oczy. Generał Martus otworzył oczy i pomyślałem, że zaraz wstanie tak jak inni polegli, oszalały i martwy. I że będziemy musieli go posiekać. Chłopcy podnieśli swoje miecze i topory... zostawiliśmy wcześniej włócznie i każdy znalazł coś do cięcia. Ci bez mieczy mieli siekiery drwali, rzeźnicze noże, co kto znalazł... Nikt nie chciał uderzyć pierwszy. Bo był naszym księciem i generałem.

– Ale on nie skoczył na nogi. Jego ciało... poruszyło się... jakby coś zjadało go od środka. Kości... słyszeliśmy, jak pękały. Wyglądało to, jakby w brzuchu miał pełno skręcających się węży. Ciało mu się zapadło... tylko jego oczy się nie zmieniły. – Davio stłumił szloch. – Patrzyły na nas. I wtedy... wtedy...

– Po prostu opowiedz nam fakty, Kapitanie – życzliwie odezwał się Garyus. – Zostawią mniej blizn, im prędzej się nimi podzielisz.

– Tak jest, Namiestniku. – Davio wciągnął powietrze. – I wtedy uciekł z niego ten stwór. Paskudny i okrwawiony jak oskórowany pies, tylko że z jego oczami, z oczami generała Martusa. Wyrwał się z jego ciała, jakby było workiem, w którym ktoś próbował go utopić, i zaczął pędem uciekać. Batran Deens próbował go zatrzymać. Miał szybkie ręce, ten człowiek. Rzucił się na stwora, kiedy ten przebiegał obok. Objął go ramionami. Ale stwór mu się wyślizgnął, a Batran zaczął krzyczeć. Wszędzie, gdzie go dotknął, ciało mu się stopiło, znikło... Widziałem kości w jego rękach. – Kapitan spuścił głowę, wbijając

wzrok w podłogę.

– Oto, co zadowoliło Martwego Króla – powiedziałem. Moja siostra w końcu wyrwała się na ten świat. Nic nie czułem, tylko pustkę.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, kontemplując głębię gówna, w które wdepnęliśmy. Spaliłem Ojca, spaliłem połowę mojego miasta, straciłem obu braci i zyskałem nienarodzoną siostrę-morderczynię, wszystko tego samego dnia. Nie sądziłem, by dało się zmieścić więcej nieszczęść między dwoma wschodami słońca.

Garyus przemówił pierwszy.

– Musisz zabrać klucz na Północ.

– To szaleństwo. Martwy Król nas złapie i go zabierze! – Nie czułem się już bezpieczny za murami Vermillionu, ale i tak czułem się tu cholernie bezpieczniejszy niż poza nimi.

– Martwy Król nie złapał cię podczas całej twojej podróży z Trondu do Umbertide. Ta podróż trwała wiele miesięcy. – Garyus spojrział na Snorriego, jakby szukał potwierdzenia. – Znajduje klucz, kiedy ten tkwi w miejscu. Kiedy klucz jest tutaj, naraża całe miasto.

– Gdzie mielibyśmy go zabrać? Chcesz, żebyśmy uciekali, aż spadniemy z krawędzi świata?

– Martwi za murami Vermillionu nie są naszym największym zagrożeniem, Jalenie. – Garyus przyjrzał się wnętrzu swojej dłoni. Czerwona Królowa miała tę samą manierę, kiedy rozmyślała.

– Jest jakieś większe zagrożenie? – Bardziej poczułem, niż zobaczyłem, jak Snorri odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Jego niewypowiedziane pytanie paliło mnie w szyję.

Podniosłem rękę.

– Przyznam, że nieuchronny koniec świata stanowi większy problem. I... – Obróciłem się gwałtownie, by wbić wzrok w Snorriego. – Nie chcę słyszeć nic o cholernym Ragnaroku. To w ogóle nie to. Tylko twoje głupie koło zamierza rozbić świat. Albo raczej pozwala, byśmy sami to zrobili.

Albo raczej pozwala to zrobić ludziom takim jak Błękitna Dama, Kelem i Martwy Król. Więc tak, wszyscy zginiemy. A może nie będziemy nawet mieli szansy zniszczyć świata, bo maszyny pozostawione przez Budowniczych pewnie odpalą jeszcze kupę słońc i wypalą nas z powierzchni ziemi, by nas powstrzymać... Tak czy siak, nie jest dobrze.

Snorri gapił się na mnie z intensywnością zwykle rezerwowaną dla ludzi, których chciał sieknąć toporem.

– Pójdziemy do Osheim i zatrzymamy Koło.

– To tylko taka gadka wikingów. – Odwróciłem się z powrotem do Garyusa.

– Co naprawdę powinniśmy zrobić?

– Musicie zabrać klucz do Koła Osheim – odpowiedział Garyus.

– Zabrać... – Nie sądziłem, że dałoby się zmieścić więcej nieszczęść między dwoma wschodami słońca. Byłem w błędzie. – Co? Dlaczego? – Chciałem tylko powiedzieć „nie”, ale kiedy otworzyłem usta, wyszły z nich pytania.

– Klucz trzeba zabrać do środka Koła. Nikt nigdy stamtąd nie uciekł. To jedno z niewielu miejsc, w których powinien być bezpieczny. Jeśli Martwy Król, jego słudzy czy ktokolwiek inny uda się tam, nie zdoła powrócić.

Odchrząknąłem.

– Myślę, że zapomniałeś o czymś istotnym. Nikt nigdy stamtąd nie uciekł.

– O to właśnie *chodzi*, Jalenie. Nie zapomniałem o tym.

– Ja... – Wkopałem się w wizytę w piekle, bo nie miałem odwagi przyznać się do tchórzostwa. Postanowiłem nigdy więcej nie wplątać się w nic podobnego. – Słuchaj. Po prostu to powiem. Nie poprę żadnego planu, który nie zakłada mojego powrotu. Tyle w temacie. Jestem przekonany, że istnieją o wiele zdolniejsi kandydaci, by zrobić... to.

– Ja to zrobię – powiedział Snorri.

Obaj go zignorowaliśmy.

Garyus dalej wbijał we mnie wzrok.

– Częścią planu jest to, że pójdziesz tam nie tylko po to, żeby zostawić klucz w bezpiecznym miejscu. Pójdziesz tam, żeby go użyć. Koło stanowi źródło naszych problemów, a klucz jest jedyną rzeczą, która może je zatrzymać. Udasz się tam, by odkręcić Koło. Jeśli zawiedziesz, klucz znajdzie się w miejscu zbyt niebezpiecznym, by dało się do niego dotrzeć, miejscu niemożliwym, by z niego uciec, a jeśli ci się powiedzie, świat nie pęknie, ty będziesz w stanie wrócić i wszyscy przeżyjemy to, co życie dla nas przygotowało.

Odetchnąłem z ulgą. Staruszek oszalał. Ktoś będzie musiał go zastąpić na stanowisku namiestnika, a potem wszyscy usiądziemy na tyłkach i poczekamy, aż Czerwona Królowa wróci, by nas uratować. Jeśli wciąż żyła.

– Tak. – Snorri brzmiał, jakby nie potrzebował żadnego przekonywania. – Powinniśmy wyruszyć dzisiaj.

Obaj go zignorowaliśmy.

– Wujeczny dziadku. – Uderzyłem we współczujący ton. – Koło Osheim... nie jest prawdziwym kołem, wiesz? To tunel wykopany głęboko pod ziemią, w kształcie koła o średnicy kilku mil. Nie da się go „odkręcić”.

– To maszyna. Tak mi powiedziała Kara – wtrącił się Snorri. – Maszyna, która tysiąc lat temu zmieniła świat, i dalej to robi. Ktoś ją włączył, więc można ją wyłączyć.

– Interesujące – odparłem, mając na myśli „zawrzyj, kurwa, gębę”. Nie

miałem pojęcia, dlaczego Snorri tak się palił, żeby pognać do Osheim. Potarłem podbródek, jakbym rozmyślał nad jego słowami, próbując nie wyjść na zbyt zaperzonego. – Tunel, maszyna, cokolwiek. Jest wielkie i nie potrafimy tego odkręcić.

– Ale mógłbyś to wyłączyć – powiedział Garyus. – Gdybyś miał właściwy klucz.



Tak oto znów znalazłem się w dokach przy rzece, by uciec z Vermillionu łodzią w towarzystwie wikinga. Ten sam wiking, inna łódź.

Długo i zaciekle walczyłem, bym mógł zabrać ze sobą przynajmniej doborowy oddział żołnierzy, przez co miałem na myśli małą armię... albo i dużą, gdyby decyzję pozostawiono mnie. Garyus wytknął mi jednak, że piechota by mnie spowalniała, a poza tym była potrzebna na murach. Horda trupów wędrująca po zgliszczach zewnętrznych dzielnic wciąż stanowiła znaczne zagrożenie i nie dało się stwierdzić, czy Martwy Król znów nie skupi na niej swej uwagi lub nie wyśle zmarłym do pomocy kolejnego liczka czy nienarodzonego, by wyznaczyć im cel ataku.

– Szybki koń posłuży ci lepiej niż dwie setki ludzi, zaś królowa zabrała wszystkie resztki naszej kawalerii ze sobą do Slov. Jeźdźcy, którzy zostali w Vermillionie, są potrzebni jako szybko przemieszczające się rezerwy na wypadek możliwych napaści.

Garyus zarządził, że powinniśmy zacząć naszą podróż, poruszając się po trasie, którą Babka ruszyła do Slov. Szlak zniszczeń powinien nam zapewnić stosunkowo pozbawioną przeszkód drogę. Garyus nie miał żadnych wiadomości o swojej siostrze, a raporty o jej śmierci wydawały się jedynie pobożnym życzeniem wuja Herteta. Przy odrobinie szczęścia Babka mogła już zrównać z ziemią twierdzę Błękitnej Damy i zabić wiedźmę gołymi rękoma.

To oczywiście przywiodło mnie do sugestii, że w takim razie dostarczę klucz do rąk Czerwonej Królowej i to ona zdecyduje, czy powinien spocząć w Kole Osheim, czy zawisnąć na jej szyi. Gdyby wybrała Koło, na pewno spisałaby się lepiej niż ja.

Garyus znowu się ze mną nie zgodził.

– Masz cechy, których jej brakuje, Jalenie. Niezbędne cechy. Będiesz uciekał. Będiesz kłamał i oszukiwał. Moja siostra raczej stanie do walki i zginie. Jedyne pewny sposób na dostarczenie klucza do Osheim, to powierzyć go komuś tak elastycznemu i przedsiębiorczemu jak ty.

Gadanie Garyusa o jego siostrze sprawiło, że pomyślałem o mojej. W piekle Marco zdradził mi, że najświętsze przedmioty są w stanie rozdzielić

nienarodzonego na duszę dziecka i ujeżdżającego ją liczkina. Ale pieczęć Ojca przepadła, jego święty kamień również. Podczas przeszukania Wewnętrznego Pałacu nie znalazłem nic bardziej świętego od złotego krzyża pobłogosławionego przez kardynała. I tak go zabrałem. W końcu był ze złota! Ale tak szczerze mówiąc, podejrzewałem, że błogosławieństwo mojego Ojca pewnie umniejszyło, a nie zwiększyło jego świętość.

Ostatecznie wylądowałem na zimnym, zamglonym brzegu rzeki, myśląc, że gdybym naprawdę był elastyczny i przedsiębiorczy, zdołałbym się wykręcić z tej afery. Do tego musiałem trzymać się za twarz.

– Myślę, że poluzowała mi ząb. – Obmacałem go językiem.

– Ja myślę, że nic ci nie jest – odparł Snorri ze wzrokiem utkwionym w wodzie.

Kazałem strażnikowi przyprowadzić Michę do jednej z pałacowych poczekalni. Przyszła z Nią ryczącą w jej ramionach, wyglądając jak kompletnie wymęczony, świeżo upieczony rodzic, który na dodatek jeszcze przeżył długą noc piekła.

– Jan? – Zaskoczył ją mój widok.

– Usiądź, Micha. – Wskazałem jej kanapę naprzeciwko mnie, wyściełane dzieło jakiegoś florenckiego mistrza.

– O co chodzi? O Darina! Mów! – Tkwiła w miejscu, nawet wycie Nii ucichło, podkreślając znaczenie chwili.

Słowa uwięzły mi w ustach i desperacko zapragnąłem znów móc poudawać głuchego.

– Był bardzo dzielny – powiedziałem. Chciałem rzec o wiele więcej. Miałem plan, jak wydeklamować słowa dotyczące heroizmu mojego brata, słowa pocieszenia, słowa otuchy na przyszłość. Ale gdy przyszła pora je wymówić, zostały mi tylko te trzy.

Wtedy Micha załamała się, zgięła w pół i osunęła na podłogę, z Nią wciąż bezpieczną i cichą w jej ramionach. Spodziewałem się gniewu, pytań, zaprzeczania, ale rozpacz chwyciła Michę za gardło i zabrała jej głos.

Na moje polecenie Alphons, jeden ze strażników Ojca, odprowadził ją do sali balowej, gdzie grupa żołnierzy pilnowała rosnącej zbieraniny ocalałych z terenów pałacu. Potem posłałem po Lisę. Weszła z bladą twarzą i chłodnym spojrzeniem, dumna, jakbym był najeźdźcą, a ona moją branką.

Próbowałem skierować ją w stronę kanapy, ale ona zbliżała się coraz bardziej, aż prawie zetknęliśmy się nosami. Mój instynkt zawsze podpowiadał, by dostarczać złe nowiny z pewnej odległości i być gotowym do ucieczki.

– Chyba nawet dwa zęby.

– Co?

Wyjąłem palce z ust i powtórzyłem wyraźniej.

– Chyba nawet dwa zęby. – Powinienem być zaufać instynktowi. Uczciwość i współczucie załatwiły mi tylko tak siarczasty policzek, że zagrzechotały zęby. Nawet nie powiedziałem, że Barras zginął, tylko że straciłem go z oczu w czasie bitwy i nie wyglądało to dobrze...

– Jest łódź. – Snorri wskazał ciemniejszy kleks mgły.

Niewyraźna plama wyostrzyła się, gdy zbliżyła się do brzegu. Była to płaskodenna łódź do żeglugi rzecznej, używana do przewozu żywego inwentarza i towarów na drugą stronę Seleen lub na krótkich odcinkach w górę i w dół rzeki. Teraz na pokładzie znajdował się mój rumak Mord i trzy konie wybrane z uwagi na ich wytrzymałość. Dwa, które nie miały nas od razu nieść, były objuczone zapasami i namiotem.

Dwóch przewoźników wyskoczyło na brzeg i przyciągnęło łódź na płyciznę, bym wraz ze Snorrim mógł wejść na pokład. Plan polegał na tym, że zabiorą nas w dół rzeki z dala od zagrożenia ze strony oblegających miasto trupów i wysadzą na jakimś bezpiecznym odcinku brzegu, skąd będziemy mogli podążać śladami Babki do Slov. Stamtąd droga miała nas powieść do Zagre, na północ do królestwa Charland, i w końcu znów znaleźlibyśmy się w Osheim.

Dziwne, lecz mimo przerażającej i beznadziejnej natury naszej podróży dobrze się czułem, będąc znów w drodze. Stęskniłem się za Snorrim. Oczywiście nigdy bym tego nie okazał. Teraz wrócił, a świat przesunął się wokół nas, przez co znów pomyślałem o Karze i chłopcu. Spędziliśmy tak dużo czasu, podróżując we czwórkę, że kolejna wyprawa tylko we dwójkę bardziej podkreślała ich nieobecność. Jakby to völva powinna trzymać rumpel, a Hennan wygłupiać się z linami.

Dołączyłem do Snorriego na dziobie, gdy przewoźnicy odepchnęli łódź długimi tykami od brzegu ponownie w prąd rzeki.

– Mówiłem ci, że Koło w końcu każdego przyciąga z powrotem. – Tak twierdziła niania Willow. Koło cię przyciągnie. Prędzej czy później, ale w końcu się zjawisz, myśląc, że to był twój pomysł i że było ku temu mnóstwo dobrych powodów. I oto byliśmy setki mil od Koła, z mnóstwem dobrych powodów, kierując się w jego stronę.

– Może tak. – Snorri pokiwał głową. – Niektórych rzeczy nie da się uniknąć.

Mówił lekkim tonem, ale czułem w nim ciężar. Może lekcję wyniesioną z piekła.

– Osheim trzyma cię w zębach, Snorri. Wbitych głęboko. Staruszek ledwie o nim wspomniał, a ty już pakowałeś bagaże. Jeśli tak cię wzięło z odległości setek mil... jaki będzie z ciebie użytek, kiedy dotrzemy na miejsce?

– Zrobię, co będzie trzeba.

Wyglądał tak ponuro i zdeterminowanie, że nie dążyłem dalej. Może wiedział więcej niż ja. Nie pytałem. Snorri mógł sobie zatrzymać swoje sekrety – nie miałem apetytu na opowieści z zaświatów – ale może i tak czekały one na mnie w przyszłości, może jak Koło stały na mojej drodze i nie dało się ich uniknąć.

Snorri wciąż wydawał się obcy przez mieszaną śmierci i legendy, którą wyniósł z za drzwi do Hel. Staliśmy, obserwując ciemne wody Seleen wypadające z mgły i znikające pod dziobem naszej łodzi. Żaden z nas się nie odzywał.

Wydarzenia poprzedniego dnia rozwinęły się na czystej karcie rzecznej mgły. Jej biel ukazała mi najpierw dym ze stosu pogrzebowego Ojca, skręcający się, lecący w niebo, potem gorące chmury kłębiące się nad Bramą Apijską, gęste od wrzasków umarłych i umierających pośród inferna, które sam wznieciłem. Zobaczyłem twarz Darina, uformowaną we mgle. Pojawił się też Barras i zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam, kiedy widziałem go po raz ostatni. Czy był ze mną, gdy poprowadziłem szarżę, by ratować Darina? Nie wiedziałem. Widziałem go z dzikim spojrzeniem, machającego zakrwawionym mieczem pośród tłumu trupów, ale nie potrafiłem powiedzieć, gdzie i kiedy to było oraz co się wydarzyło potem. Lisa zarzuciła mi, że pozwoliłem Barrasowi umrzeć, porzuciłem go własnemu losowi, bo ją poślubił. Zobaczyłem też Martusa ze wzniesioną ku mnie twarzą – tak wyglądał, gdy rzuciłem mu swój miecz. Nie był najlepszym bratem ani najlepszym człowiekiem, ale do cholery, był *moim* bratem, synem mojej matki, i świadomość, że odszedł, zostawiła we mnie pustkę. Miecz znów znalazł się u mego boku, ostatnia łącząca nas rzecz.

Nie wiedziałem, co Snorri zobaczył we mgle, ale żaden z nas się nie odezwał, dopóki jesienne słońce nie wypłatało ostatniej białej nitki z brzegu rzeki. Do tego czasu prąd poniósł nas dziesięć mil dalej i w żadnym miejscu nie dostrześliśmy ani śladu armii Martwego Króla.

Mord, rozsądny zwierzak, wykazał paniczny lęk przed łodziami i proces wydostania go na suchy ląd bez otrzymania przy tym śmiertelnego kopniaka okazał się zawiły. Zanim wszystkie cztery konie zebrały się na brzegu, a my sprawdziliśmy nasze pakunki, prawie dochodziło południe. Garyus wcisnął mi „skrzynkę duchów” Luntara, mówiąc, że może przyda mi się w Osheim. Podejrzywałem, że nie chciał jej zatrzymać w równym stopniu co ja.

– Co to jest? – zapytał Snorri, gdy ją zabierałem.

– To – odparłem – ma w środku duchy miliona Budowniczych. Aslaug też tam jest.

– Myślałem, że zamknąłeś ją z powrotem w mroku? – Nie wyglądał na tak

zmartwionego, jak powinien być.

– Cóż, nie *Aslaug*, tylko kobieta, która się nią stała. Jej duch. To skomplikowane.

– *Aslaug* była kiedyś człowiekiem? A co z *Baraqelem*? On też tam jest?

– Pewnie tak. Nie wiem. Nie dbam o to. Skrzynka przyprawia mnie o dreszcze. Poza tym żaden duch i tak nie ma nic przydatnego do powiedzenia.

Zakopałem pudełko głęboko w jukach mojego zapasowego wierzchowca, kasztanowej klaczy o niedorzecznym imieniu *Giermek*, po czym dałem z siebie wszystko, by wyrzucić je z pamięci.

Pół godziny później podążaliśmy już miarowym tempem drogą do *Werony*, dwóch dżentelmenów jadących załatwić swoje sprawy w najprzyjemniejszy dzień, jaki mogła zaoferować jesień. Pola były puste, ich bogactwa zostały zebrane. Gospodarstwa z niezmaconym spokojem stały w ciszy ostoi ziemskiej, uczciwi mieszkańcy *Czerwonej Marchii* zajmowali się swymi obowiązkami. Minęliśmy chatę węglarza. Wóz przy jej bramie wypełniały worki, a na progu przed chałupą gospodarza leżał żółty pies, zbyt leniwy, by za nami pogonić. Wydawało się niesamowite, że życie miało tu tak łagodnie, niezakłócone przez horror rozgrywający się w *Vermillionie*. Patrząc przez ramię, nie byłem nawet w stanie dostrzec dymów z zewnętrznych dzielnic.

– Mógłbym poczuć się tu niemal bezpiecznie. – Droga zakręcała obok zagajnika drzew płonących ogniem jesieni, tylko dęby wciąż trwały w zieloności na przekór odległym pogrożkom zimy, ale nawet one zostały muśnięte złotem. – Niemal bezpiecznie. Przynajmniej z dobrym koniem pod tyłkiem. – Klepnąłem *Morda* po szyi. Terror zeszłej nocy podskubywał granice mojej wyobraźni, ale słońce i otwarta przestrzeń pomogły mi w tym, co wychodziło mi najlepiej: wyparciu wszystkich złych spraw i zapomnieniu o nich na chwilę. – Na tym odcinku drogi jest dobra gospoda. Jestem tego pewien. Powinniśmy się zatrzymać i zjeść lunch. Pieczona wieprzowina i piwo byłyby niezłe. – Nieprzespana noc zaczęła mnie przytłaczać. Ciepło dnia i myśl o porządnym posiłku sprawiły, że zachciało mi się spać. Próbowałem utrzymać oczy otwarte, ziewając tak szeroko, że aż strzykało mi w szczęce.

Następny zakręt ujawnił tak niespodziewany widok, że odeszła mi nawet najmniejsza ochota na sen, wraz z każdą odrobiną poczucia bezpieczeństwa, które mnie spowijało.

– Bardzo mały człowieczek na bardzo dużym koniu, z o wiele za długim mieczem. – *Snorri* stwierdził oczywiste fakty.

– I z wieloma przyjaciółmi. – Już zdążyłem niemal całkowicie zawrócić *Morda*. Nie wiedziałem, dlaczego hrabia *Isen* czekał na naszej drodze na czele kolumny składającej się z kilkuset ludzi. Ważną rzeczą było, że wcale nie

chciałem widzieć. Nasz pojedynek może i należał już do przeszłości, ale miałem wybitną cielesną wiedzę na temat jego żony, najstarszej z sióstr DeVeer. Bez wątpienia konus znajdzie nowy sposób, żeby wykorzystać ten fakt przeciwko mnie.

Snorri wychylił się z siodła i chwycił moje wodze.

– To twój kraj, Jal. Czy ci ludzie nie podlegają tobie?

– To hrabia – odparłem. – Przysiągł posłuszeństwo królowej. – Pociągnąłem za uprząż Morda, próbując ją wyswobodzić z uścisku wikinga. – Jest też szaleńcem, który mnie nienawidzi. Mam więc zamiar ominąć go lokalnymi ścieżkami albo na przełaj, jeśli będzie trzeba. Uwierz mi, w innym wypadku nie skończy się to dobrze. Przedstaw się, a w najlepszym razie tylko opóźnimy naszą podróż, a bardziej prawdopodobne będzie, że on nas obu zamorduje.

Snorri odpuścił, wzruszając ramionami.

– Skoro tak twierdzisz... – Również zaczął zawracać konia, gdy wtem się zatrzymał. – Kara?

Zerknąłem przez ramię. Przed pierwszym szeregiem żołnierzy piechoty faktycznie stała kobieta o blond włosach, po jednej jej stronie znajdował się Isen, po drugiej czterech rycerzy na koniach. Ale to nie mogła być Kara.

– To nie ona. – Ruszyłem z powrotem drogą, którą tu przyjechaliśmy. Giermek posłusznie biegła na swoim postronku.

– Księżę Jalenie! – Głos hrabiego Isena poniósł się wyraźnie w nieruchomym powietrzu. – Mam tu dwójkę indywiduów z Północy, którzy twierdzą, że cię znają.

– Hennan? – zawołał Snorri.

– Ach, kurwa. – Ponownie zawróciłem Morda. Wciąż uważałem, że ucieczka była najlepszym rozwiązaniem, ale wiedziałem, że Snorri nie podążyłby za mną, a miałem przed sobą długą, niebezpieczną drogę. – Czego chcesz, Isenie?

– Może zechciałbyś uczynić mi ten zaszczyt i zbliżyć się, byśmy nie musieli wydzierać się na drodze jak wieśniacy.

Miałem złe przeczucia w związku z tym całym spotkaniem, ale niechętnie podjechałem bliżej i zatrzymałem się pięć jardów przed nim. Piechota, stojąca w rzędach za hrabią i jego rycerzami, miała liberię Isena na lekkich kolczugach, włócznie żołnierzy tworzyły gąszcz nad setkami okrągłych żelaznych hełmów. Kara i Hennan stali w cieniu wierzchowców rycerzy, oboje pokryci podróżnym brudem, lecz w lepszej formie niż wtedy, gdy ich zostawiłem. Trudno wyglądać na uradowanego i zmartwionego jednocześnie, ale völva i chłopiec dobrze sobie z tym radzili.

Kara otworzyła usta, ale Isen ubiegł ją, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

– Byłem na wschodzie, ochraniając linie zaopatrzenia królowej do Slov. –

Karłowaty hrabia wlepił we mnie stanowczo te bezlitosne paciorki dane mu zamiast oczu. – Ale doszła mnie wieść, że miasto zostało obleżone. Do tego podpalone? Przekląłbym posłańców jako kłamców, gdybym sam nie zobaczył łuny zeszłej nocy, gdy podjechaliśmy bliżej. – Wąski, mały uśmieszek zatańczył na wargach Isena. – Musiałem się jednak pomylić. Księżę Czerwonej Marchii nie uciekałby z miasta w czasie zagrożenia!

– Namiestnik wysłał nas z pilną misją. – Wspomniałem też Snorriego, skoro Isen usilnie go ignorował. Być może uznał samo istnienie tak wielkiego mężczyzny za obrazę dla swojego mizernego wzrostu, który mu się dostał mimo jego wysokiej pozycji. – I dobrze cię poinformowano. Vermillion jest w stanie obleżenia, a zewnętrzne dzielnice zostały spalone.

– Na Boga! – Hrabia Isen stanął w strzemionach, jak gdyby wieści były zbyt irytujące, by przyjąć je na siedząco. – Kto, u diabła, by się na to poważył? Rhoneńcy spłynęli rzeką, czy tak? Nie! Bunt Adoran! Tuzin razy powtarzałem Królowej, żeby uważała. Każda przygoda na wschodzie grozi zdradą na zachodzie. Ale jak, na Boga, udało im się tak prędko dotrzeć do stolicy? Czyżby naszą straż graniczną dało się tak łatwo pokonać?

– Zaatakował nas Martwy Król – powiedziałem. – Jego oddziały nie przyszły zza granicy. To martwi Vermillionu, wywołani z grobów i z miejsc, w których wczoraj zginęli. – Isen rozdziawił usta. Wyraz jego twarzy powiedział mi, że zrobił to, by zanegować coś, co rok temu również dla mnie brzmiałoby jak brednie. Uprzedziłem go, unosząc dłoń. – Po prostu mi uwierz, Isenie, jestem zbyt zmęczony na sprzeczki. A jeśli nie potrafisz uwierzyć, wstrzymaj się z osądem, aż dotrzesz na miejsce. W każdym razie sam widziałeś ogień, więc uwierz, że twoja pomoc jest potrzebna, i zaprowadź tych ludzi do miasta tak szybko, jak to możliwe. – Wzięłem głęboki oddech i skierowałem konwersację na inne tory, wskazując Karę i Hennana. – A teraz zdradź mi, dlaczego człowiek o tak wysokiej pozycji jak ty zadaje się z ludźmi z niższych sfer?

– Zsiądź z konia, księżę Jalenie, to przedyskutujemy tę sprawę.

– Być może nie podkreśliłem pilności...

Isen zaczął schodzić na ziemię, jakbym kłapał ustami tylko po to, żeby zabić czas.

– ...pilności naszej misji. Nie opuściłem miasta w środku napaści, miasta, którego – tak się złożyło – jestem marszałkiem, by tracić czas z każdym znajomym...

– Zsiadaj z konia, księżę Jalenie, to nie zajmie zbyt wiele czasu. – Hrabia Isen przywołał Hennana do przodu, a gdy ten okazał się niechętny, sam podszedł do chłopca i położył dłoń na jego ramieniu. Hennan urósł chyba o stopę od czasu, gdy widziałem go po raz ostatni. Był teraz o kilka cali wyższy od

hrabiego.

– Ten młody człowiek ma o tobie dość dobre mniemanie, mój książę. Nie chciałbyś go rozczarować, prawda? – Isen spojrział na mnie swoimi szalonymi, czarnymi, owadzimi oczyma. W przeciwieństwie do swoich ludzi nie przywdział zbroi. Jego obrzeżona futrem peleryna była zbyt ciepła na obecną pogodę. Skórzane rycerskie rękawice leżały jedna na drugiej na przednim łęku jego siodła.

Westchnąłem i zsiadłem z konia. Mord na pewno byłby w stanie wyprzedzić rycerzy Isena, ale kiedy patrzą na ciebie ludzie, którzy oczekują od ciebie czegoś więcej... to uczucie przypomina kotwicę, cholerną, niewygodną kotwicę. Ignorując hrabiego, podszedłem do Kary, która wyglądała dość ładnie w prostej płóciennej sukni podróżnej. Włosy miała zaplecione w warkocze, tak jak przy naszym pierwszym spotkaniu. Słońce w końcu przyciemniło jej skórę. Pasowało jej to.

– Karo. – Posłałem jej mój najlepszy uśmiech.

– Złodziej! – Nie przewidziałem, że mnie spoliczkuje.

– A! Na litość boską, Karo! – Zatoczyłem się do tyłu, trzymając się za twarz. Czułem, jak czerwony odcisk jej dłoni palił mój policzek, na szczęście nie ten, który wybrała Lisa. – Jezu! – Isen trzepnął mnie po „stronie Lisy” jedną ze swych ciężkich rękawic. Musiał się wyciągnąć, by dosięgnąć mojej twarzy, ale włożył w cios tyle siły, że głowa poleciała mi na bok, a ja wyplułem rozbryzgi śliny i zaskoczenia. – No nie! – ryknąłem, chwając się i unosząc ręce w obronnym geście. – A to, do diabła, za co?

Zamiast odpowiedzieć, Isen wyciągnął kciuk i palec wskazujący, zetknięte razem, jakby pokazywał mi coś do inspekcji. Przez łzy w oczach zdołałem dostrzec coś maciupkiego i złotego.

– Co to jest? – Otarłem usta, zakrwawiając przy tym palce.

– Powód – odparł Isen.

– To cholernie mały powód! – zawołałem.

– Wygląda jak mały ostry kawałek złota – podsunął Snorri. Wołałbym, żeby po prostu podzielił Isena na dwa nawet mniejsze kawałeczki.

– To drzazga – wycedził hrabia przez zaciśnięte zęby. – Kazałem ją pozłocić. Zgadniesz, gdzie ją znalazłem?

– Niech pomyślę... kiedy wetknęli ci ten kij w dupę. – Ból twarzy kazał mi na chwilę zapomnieć, że Isen miał za plecami kilkuset żołnierzy na swoje rozkazy, ale poczułem się wynagrodzony, gdy dostrzegłem, że kilku z nich z trudem powstrzymywało uśmiechy wypęłzające im na usta.

– Odkryłem ją pod skalpem miesiąc po tym, jak uderzyłeś mnie od tyłu gałęzią w głowę. Sprawiała, że odzyskałem pamięć o tym wydarzeniu. A teraz

rozstrzygnijmy sprawę, która powinna była się zakończyć na tamtej drodze wiele miesięcy temu. – Hrabia wyciągnął swój długi lśniący miecz. Znajomy, obłąkany wyraz jego oczu i usta zaciśnięte w wąską, morderczą linię pod szarym wąsem przypomniały mi, jak szybko potrafił wymachiwać ostrzem i jak bardzo nie chciałem ponownie się z nim mierzyć.

Wyprostowałem się na pełną wysokość, trzymając dłoń z dala od rękojeści miecza. Spróbowałem taktyki butnej godności.

– Przyznaję, że jakiś cios pomieszał ci w głowie, Isenie, ale to nie ja go zadałem. Nie mam czasu na twoje gierki. Nie mam też zamiaru pozwolić ci na odwrócenie mojej uwagi od pilniejszej sprawy.

– Peroruj sobie, ile wlezie, księżę Jalenie, ale na Boga, nie opuścisz tego miejsca, póki nie dostanę mojej satysfakcji.

Przez co lunatyk wyraźnie chciał powiedzieć „twoich zwłok przewieszonych przez koński grzbiet” Łamałem sobie głowę, cały czas się cofając.

– Jeśli spróbuje ucieczki, rozjedź go, sir Thancie! – Hrabia konus znał mnie zbyt dobrze.

Nawet jeśli Snorri usiecze jednego z rycerzy, nie zdoła dopaść ich wszystkich. Poza tym oczekiwał, że będę walczył z Isenem. Pewnie myślał, że moja niechęć wynikała z tego, że przeciwnik był karłem.

– Skoro zostałem wyzwany, to ja wybieram broń. – Wybitna znajomość zasad pojedynków mogła mnie jeszcze uratować.

– Miecze! – odparł Isen, unosząc brwi na naprawdę zdumiewające wyżyny. – Co innego? Żaden dżentelmen nie wybierze przecież wieśniackiej broni jak topór czy kosa!

Snorri warknął, ale nie ruszył się z miejsca. Przez chwilę pocierałem obolałą szczękę. Isen nie zgodzi się na żadną broń nieprzystającą do jego godności, i będzie miał do tego prawo. Odcisk jego rękawicy na policzku podsunął mi pomysł.

– Walka na pięści! – powiedziałem, zaciskając dłonie i unosząc je.

– Co? – Isen wychylił się do przodu, wyciągając szyję, jakby myślał, że się przesłyszał.

– Walka na pięści! Sport królów – doprecyzowałem. – Żadnego wydlubywania oczu, gryzienia ani ciosów poniżej pasa. – Wiedziałem z bolesnego doświadczenia, że sztuki tej nauczano młodych książąt, więc uznałem, że niedorośli hrabiowie również musieli poddać się rygorowi podobnej edukacji.

– Nie zamierzam się tłuc na drodze Jej Królewskiej Mości jak jakiś zapijaczony kmiot...

– Ostrożnie, Isenie. Moja babka zachęca do uprawiania pięściarskiej sztuki w

najwyższych kręgach. Ufam, że nie będziesz krytykował jej osądu, tak jak nie zabronisz wyzwaney stronie starodawnego prawa do wyboru własnej broni. – Wywinałem pięściami. – A oto i ona! – Nie do końca cieszyła mnie perspektywa walki, ale w swoim czasie rozbiłem w puch kilku przeciwników, a Isen spełniał jedno z moich kryteriów pojedynku, bo nie mierzył więcej niż przeciętny dwunastolatek.

Hrabia wykrzywił twarz.

– Jeśli muszę cię pobić na śmierć gołymi rękami, książę Jalandre, to tak właśnie zrobię. – Oddał swój miecz sir Thantowi, u którego dało się dostrzec jedynie brodę zjezoną pod garnczkowym hełmem i dzikie oczy, błyszczące w mroku za wizurą.

– Wyśmienicie. – Miał wielkie jaja, musiałem mu to przyznać. Oczekiwałem, że wybuchnie wściekłością i odwoła całą sprawę.

Podąłem Snorriemu mój miecz, wciąż w pochwie.

– Twój sztylet też. – Snorri oczyma wskazał moje drugie biodro. – Widziałem, jak ludzie dźgają innych podczas bójk bez takiego zamiaru. Kiedy krew się gotuje, instynkt bierze górę.

Zacisnąłem zęby i zdołałem wypchnąć zza nich podziękowanie, gdy podawałem mu nóż.

Rycerze ustawili się tak, by oznaczyć cztery rogi ringu, a pierwsze szeregi żołnierzy Isena obstawily boki, by popatrzeć, uzupełniając obwód kwadratu. Snorri górował nad żołnierzami z jednej strony, marszcząc brwi.

– Cóż... no dobrze – powiedziałem, stając groźnie naprzeciwko mojego przeciwnika i czując się nieco zażenowany. Gdzieś w morzu twarzy będą patrzeć Kara i Hennan. Nie byłem pewien, czy rozplaszczenie na wpół obłąkanego karła sprawi, że urosnę w ich oczach.

Isen ruszył w moją stronę z uniesionymi pięściami, uskakując i podskakując jak jakieś wpienione kurczę. Zawstydzony za nas obu, zamachnąłem się ze świadomością, że miałem zasięg większy przynajmniej o stopę, że nie wspomnę o dwudziestu czy trzydziestu latach mniej na karku i siedemdziesięciu funtach przewagi. Lilipuci maniak dał nura pod moim ramieniem i gwałtownie wyprowadził serię ciosów w mój brzuch i żebra. Poczuję się, jakby waliły we mnie małe żelazne młotki. Żelazne młotki, małe czy duże, powodują niesamowity ból. Odskoczyłem do tyłu, skomlać, ale on natychmiast naparł na mnie.

– Spokojnie... nie chcę ci zrobić krzywdy. – Cios prosty, który wymierzyłem w jego stronę, zebrał w sobie wszystko, co miałem. Isen zablokował go obiema pięściami tuż przed swoją twarzą, po czym sprzedał mi paskudnego haka w nadgarstek, zanim zdołałem cofnąć rękę. Zabolało jak diabli i nadgarstek zaczął

dawać mi się we znaki.

Zerknąłem na Snorriego, szukając natchnienia. Pokazał na migi cios, a gdy się odwróciłem, Isen wyprowadzał dokładnie taki sam. Prawie całkowicie prostując ramię, uderzył mnie w szczękę. Wydawało mi się, że eksplodowała mi głowa. Zobaczyłem błyskające światła, świat zaczął się kręcić, a ponowne spotkanie z ziemią, które sprawiło, że zagrzechotały mi kości, pozwoliło mi stwierdzić, że miał miejsce również jakiś upadek. Podniosłem głowę i mrużąc oczy, dostrzegłem dwie zbliżające się małe postaci. Czy naprawdę miałem pozwolić, by moja prześwietna kariera *zakończyła* się zatłuczeniem przez karły?

Pokręciłem głową i dwie sylwetki hrabiego Isena złączyły się w jedną, gdy podszedł do mnie. Wszystko mnie bolało. Leżałem bez ruchu, gdy obchodził mnie dookoła.

– Wyznaj swe winy, książę Jaland! – ryknął. – Znękałeś swą niechcianą, wynaturzoną uwagą moją słodką Sharal!

Podniosłem wzrok na niebo, mając nadzieję, że jego teatralne zachowanie pozwoli mi zaczerpnąć nieco bardzo potrzebnego powietrza do płuc. Isen wciąż obchodził mnie dookoła na skraju mojego widzenia, jakbym był jakimś łowieckim trofeum, może jeleniem osiemnastakiem, którego zabił na polowaniu.

– Wyznaj swoje winy! Narzuciłeś się mojej niewinnej...

Machnięciem ręki zbiłem Isena z nóg. Poleciał na plecy, lądując ciężko, gdy ja usiadłem.

– Pieprzyłem ją! – Podniosłem się, gdy Isen przeturlał się na brzuch. – Ale nie była taka niewinna. – Pochyliłem się i złapałem Isena za pas jedną ręką, a drugą za kołnierz. – I jej się podobało! – Ostatnie zdanie ryknąłem, podnosząc hrabiego nad głowę i trzymając mocno, mimo że się wyrywał.

Isen wierzgnął jak ryba na pokładzie, ale go nie puściłem.

– Poddaj się!

– Walczymy na śmierć, głupcze!

Może i był konusem, ale już zaczął mi ciążyć, jakbym trzymał nad głową w pełni wyrosniętego mężczyznę.

– Śmierć jest dozwolonym rezultatem, ale jedna ze stron wciąż może wyrazić zgodę, gdy druga strona się poddaje – zacytowałem z mojej skarbnicy wiedzy na temat zasad pojedynkowania się.

– Ale ja się nie poddam! – wrzasnął Isen. Potrafiłem sobie wyobrazić pianę wokół jego wąsów.

– Mogę cię zrzucić na moje kolano i połamać ci kręgosłup. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Daj z siebie wszystko co najgorsze, zboreźniku!

Ktoś musiał podmienić Isena na Snorriego – to było jedyne wytłumaczenie, dlaczego stał się taki ciężki. Musiałem częściowo oprzeć go na mojej głowie, by odciążyć ręce.

– Dwie z sióstr DeVeer owdowiały zeszłej nocy – wycedziłem przez zęby zaciśnięte z wysiłku. – Czułbym się straszliwie, robiąc wdowę z trzeciej. – Potem, zbyt cicho, by usłyszał mnie tłum, syknąłem: – A jeśli się nie poddasz, przełożę cię przez kolano i złożę ci dupsko na oczach twoich żołnierzy.

Zapadła śmiertelna cisza, podczas której ledwo dałem radę utrzymać hrabiego w powietrzu. Gdyby się szarpał, wyrwałby mi się, a ja byłbym za słaby, żeby go odeprzeć, ale ostatecznie wystraszyła go groźba nie utraty życia, a utraty godności.

– Poddaję się.

Dałem z siebie wszystko, by go nie upuścić, ale wyszło prawie na to samo.

– Isen się poddaje! – krzyknąłem na tyle głośno, by każdy usłyszał, po czym odszedłem gwałtownie, a dwóch kapitanów podbiegło, by pomóc hrabiemu wstać. Podniósłbym ręce w geście zwycięstwa, ale nawet sięgnięcie, by podrapać się po nosie, byłoby teraz herkulesową pracą.

Isen odepchnął swych rycerzy i podszedł do mnie, stawiając zamaszyste kroki. Starąłem się nie wzdrygnąć i nie błagać, by już mnie nie bił. Zamiast tego odegrałem rolę śmiałego, odważnego, obcesowego Jalana, licząc na to, że wystarczająco przekonujący występ wymaże wspomnienie mojej osoby rozpląszczonej na ziemi jednym ciosem, leżącej na łasce hrabiego.

– Pojedynek został rozstrzygnięty, Isenie, i przynajmniej jedna z sióstr DeVeer wciąż ma męża. Bądź wdzięczny za to, co masz, i pamiętaj, że Sharal jest najlepszą rzeczą, jaka cię w życiu spotkała.

Wargi hrabiego wykrzywiły się od nieprzyjemnych słów, które chciał rzucić w moim kierunku, ale jak przystało na starą szlachtę, zmełł je w ustach i postąpił zgodnie z protokołem.

– Pojedynek rozstrzygnięty.

Zniżyłem głos, by tylko Isen mnie usłyszał.

– Wypełnij swój obowiązek. Vermillion cię potrzebuje. Rozegraj to dobrze, a jeszcze wyjdiesz z całej afery jako bohater. W pobliżu miasta mogą krążyć trupy. Jeśli będą w małych grupach, pozwolą twoim ludziom przyzwyczaić się do sytuacji i opracować strategię. Włócznie nie są na nie najlepszą bronią.

– Martwi naprawdę powstali? – Isen zagryzł wargę, wpatrując się w przestrzeń nad głowami swoich żołnierzy.

– Musisz posłać do miasta gońców, żeby skoordynować działania z nowym marszałkiem. Wyślij ich rzeką, ale uważaj na bagienne ghule, potrafią pływać i używają zatrutych strzałek. Twoi ludzie bardziej się przydadzą w mieście, więc

przedostanie ich tam będzie pierwszą rzeczą...

Isen wbił we mnie twarde spojrzenie, być może poddając mnie ponownej ocenie, choć z jego miny nie wynikało, czy na moją korzyść czy nie. Uniósł dłoń i krzyknął.

– Ruszać!

Pomaszerował dziarsko na pobocze, a żołnierze prędko schodzili mu z drogi. Stał na nasypie i przywołał do siebie Normanów, po czym kazał swoim rycerzom odejść. Snorri, Kara i Hennan podeszli do nas, a włócznicy hrabiego zaczęli maszerować drogą. Sir Thant podprowadził rumaka Isena. Mord natychmiast zaczął wyzywająco parskać na większego konia.

– Zostawiam tych obcokrajowców pod twoją opieką, księżę Jalandre. Moi ludzie znaleźli ich na Rzymskiej Drodze. Zmierzali na północ i byli moim jedynym sposobem, by cię znaleźć po twojej nadzwyczajnej sztuczce ze zniknięciem. – Posłał mi ponure spojrzenie. – Objąłem ich gościnnie mego domu. Kobieta dużo mamrocze bez sensu w pogańskiej mowie. – Skinął głową w stronę Kary, jakby ta nie rozumiała języka Imperium. – Twierdziła, że ty i ten drugi zesłicie do piekła! – Isen zdołał w jednym prychnięciu połączyć niesmak i rozbawienie. – Ale zna różne sztuczki i powiedziała, że zdoła cię znaleźć, jeśli będziesz w pobliżu... i znalazła! W każdym razie teraz ty jesteś za nich odpowiedzialny. Uwolnij ich, wsadź do celi jako szpiegów albo oddaj w ręce inkwizycji – jak uważasz.

Isen zrobił zwrot i dosiadł swego monstrualnego rumaka. Wyczyn ten wymagał kilku stopni więcej, niż nakazywała tradycja. Hrabia obrócił się w siodle i spojrzał na nas z góry.

– Nie będziemy więcej wracać do tej sprawy.

Machnął wodzami i odjechał. Sir Thant pokłusował za nim na czoło kolumny. Przez długą chwilę w milczeniu patrzyliśmy, jak hrabia się oddalał.

– A zatem... – Odwróciłem się do Kary i Hennana. – Tęskniliście za mną?

Pół mili dalej znaleźliśmy gospodę, którą pamiętałem, Wesołego Marchijczyka. Był to długi drewniany budynek ze stajniami i budynkami gospodarczymi, postawiony, by karmić, zapewniać spanie i, jeśli to konieczne, leczyć każdego podróżnego z wystarczającą ilością grosza w kieszeni.

Wybraliśmy stół na zewnątrz. Opłaca się korzystać z ostatnich ciepłych dni w roku, gdzie i kiedy się da. A jesienne dni, gdy świeci słońce, są stworzone do biesiadowania na dworze. Kiedy kilka przymrozków wykosi szeregi owadów, które tradycyjnie próbują stać się częścią twojego posiłku, przyjemność z wypełniania brzucha pod gołym niebem niepomniernie wzrasta. I oczywiście najlepsza rzecz w jedzeniu na otwartej przestrzeni to fakt, że w zasadzie każdy kierunek, który wybierzesz do ucieczki, stanowi drogę ewakuacyjną.

– Więc przyprowadziłaś hrabiego Isena prosto do mnie? – Spojrzałem na Karę oskarżycielsko i potarłem szczękę, być może z tej strony, z której mnie spoliczkowała – ostatnio moja twarz została tak obita, że już nie potrafiłem sobie przypomnieć.

– A miałam powód, żeby tego nie robić? – Kara odwzajemniła się równie oskarżycielskim spojrzeniem. Lepiej jej to wychodziło niż mnie. – Nigdy o nim przy mnie nie wspomniałaś, a w końcu jest szlachcicem, który przysiągł wierność twojej babce. Na dodatek nas uwięził i miał zamiar trzymać nas tak długo, aż cię znajdzie.

– Cóż... – Upiłem łyk wina, by kupić sobie nieco czasu i wymyślić ripostę. – To... nielojalne! Przyjaciele nie powinni robić takich rzeczy.

– Ale w okradaniu przyjaciół nie ma nic złego? – Kara oderwała kawałek chleba z chrupiącego bochenka z taką agresją, z jaką ktoś mógłby dusić kurczaka.

– A to dobre z ust kobiety, która spędziła trzy miesiące, próbując zwędzić Snorriemu klucz Lokiego!

– Próbowałam nie dopuścić, by klucz trafił do Hel. Myślisz, że to, co się stało z twoim miastem, to katastrofa? Gdyby Martwy Król zdobył klucz, mógłby zrobić to samo w stu miastach w ciągu roku!

– A w ogóle w jaki sposób doprowadziłaś do mnie hrabiego? – Skierowałem

rozmowę na mniej obciążające tory.

– Klucz Lokiego przyciąga do siebie najróżniejszych ludzi. – Kara przeniosła gniewne spojrzenie ze mnie na swój chleb i supę. – Zwłaszcza gdy tkwi w jednym miejscu.

Szybkość, z jaką uciekła wzrokiem, zwróciła moją uwagę. Wyćwiczony kłamca dobrze sobie radzi z wychwytywaniem błędów tych mniej doświadczonych. Zerknąłem na Snorriego, potem znów na Karę.

– Snorri wysmarował klucz krwią, żeby go do siebie przywiązać. Dlatego gdy otworzyłem drzwi, stał po ich drugiej stronie. – Oparłem podbródek na dłoni, zauważając, jaki był szczeciniasty. Dzień w towarzystwie Snorriego i już zacząłem zapuszczać brodę. – Ale wcześniej to ty miałaś mu pomóc powrócić, przywiązałaś mu sznurek do palca u stopy... czy co tam robicie wy, więdźmy, kiedy chcecie coś znaleźć. A ja byłem w Vermillionie prawie przez miesiąc... – Wskazałem Karę palcem. – To przez pojawienie się Snorriego udało ci się zmusić starego Isena do zejścia z posterunku, czyż nie?

Podniosła wzrok, wykrzywiając twarz. Nie odpowiedziała, ale barwa jej policzków zdradziła wystarczająco wiele. Znów spojrzałem na Snorriego, ale on skupił się na jedzeniu i nie mogłem dostrzec jego miny.

– Cóż. – Przerwałem, by dopić wino i machnąć na chłopca, który nas obsługiwał, by przyniósł więcej. – Było miło. Wspaniale było znów cię zobaczyć, młody Hennanie. Ale Snorri i ja mamy niebezpieczną misję, gdzie pośpiech jest kluczowy, więc będziemy się zbierać. – Capnąłem nogę zimnego pieczonego kurczaka leżącego na środku stołu. – Jak już skończymy posiłek. – Pozwoliłem, by chłopiec napełnił moją czarę. Miejscowe czerwone wino okazało się wyborne. – Musimy zatem pożegnać się i pozwolić wam znaleźć własną drogę do waszego celu.

– Dokąd jedziecie? – zapytał Hennan. Nie minęło nawet pół roku, a on wyskoczył w górę jak chwast w lecie, jego twarz się wydłużyła i nabrała bardziej kanciastego kształtu, jaki będzie miała, gdy Hennan stanie się dorosłym mężczyzną. Pod warunkiem że świat nie rozpadnie się na kawałki. – Moglibyśmy pojechać z wami.

– Nie ma mowy – odparłem. – Nie zabiorę dziecka w paszczę śmiertelnego niebezpieczeństwa.

– Ale dokąd jedziecie? – powtórzyła Kara z tym samym brakiem wyczucia co chłopiec.

– Obawiam się, że to tajemnica państwowa. – Posłałem jej mój najlepszy książęcy uśmiech.

– Do Osheim – odezwał się Snorri.

– Tam właśnie zabieram Hennana – odparła Kara, w ogóle niezbita z tropu. –

Ma krewnych w pobliżu Koła. – Kiwnęła głową w stronę uwiązanych Morda i Giermka. – Macie cztery konie.

– Nie potraficie jeździć. – To wydawało się łatwiejsze niż „nie”.

– Spędziliśmy dość monotonne lato jako więźniowie hrabiego Isena, choć on usilnie nazywał nas gośćmi i pozwolił na parę swobód. Sir Thant nauczył nas oboje jeździć.

Spojrzałem na Snorriego, nie oczekując żadnego wsparcia po jego nagłym i zdradzieckim ujawnieniu naszego celu.

– Widzisz? To sprawka Koła. Koniec końców łapie nawet völvy. Ta tutaj nawet myśli, że to jej pomysł... – Znow odwróciłem się do Kary. – Nie. Spowalniałobyście nas. Poza tym ktoś może na nas polować. Będziecie o wiele bezpieczniejsi, jeśli pojedziecie sami.

Szczęka Kary zacisnęła się w znajomym wyrazie determinacji.

– Nie sądzisz, że z nami będziesz miał większe szanse? Myślisz, że jesteśmy bezużyteczni?

– Hennan to tylko chłopiec! – Rozłożyłem ręce. – Nie wydaje mi się, żebyś w pełni rozumiała, o co toczy się gra...

– Hennan przez całe życie mieszkał o dzień drogi od środka Koła. Jego rodzina żyła w tej dolinie od przynajmniej czterech pokoleń, pewnie nawet od czterdziestu. Wszyscy synowie z tego rodu, którzy poczuli przyciąganie Koła, weszli do niego sto lat temu. Co mogłoby być dla ciebie cenniejsze niż ktoś, kto potrafi się oprzeć tamtejszym czarom, kiedy ty będziesz tracił rozum?

– Powinniśmy zabrać chłopca do domu, Jal – odezwał się Snorri tonem, który oznaczał, że sprawa została postanowiona. Z uwagi również na podstępą logikę Kary i fakt, że byłem zbyt wykończony, obity, nażarty, pijany i ogólnie strauumatyzowany, by się kłócić, pozwoliłem, by wiking miał ostatnie słowo.

Przez kolejnych pięć dni jechaliśmy na wschód. Jesień wciąż dość dobrze udawała lato, poranki były rześkie, a zachody słońca miały ciepłe i złote. Czerwona Marchia rozpostarła swe piękno, odziana w tradycyjne kolory jesieni, i choć nadawaliśmy ostre tempo, możliwość noclegów w porządnym gospodarstwach i posiłki w gościnnych domach przy drodze łagodziły trudy podróży. Szczerze mówiąc, nie istnieje wiele lepszych sposobów na spędzenie dnia niż przemierzanie konno Marchii w piękny jesienny dzień.

Nasza czwórka odnowiła znajomość z różnymi stopniami niepewności. Hennan z początku był nieśmiały, nie odzywał się, ale pilnie słuchał, za to kiedy w końcu zaczął zadawać pytania, był ich istny potop.

Kara dłużej zachowywała się z rezerwą, wyraźnie nie wybaczyła mi kradzieży klucza i odebrania jej szansy triumfalnego powrotu do Skilfar. Wytknąłem jej, że hrabia Isen pewnie zabrałby jej klucz, co potencjalnie

doprowadziłyby do katastrofy, ale logika mojego wyводу nie zdołała udobruchać völvy.

Snorri, wierny swoim słowom wypowiedzianym w pałacu, chyba odzyskał spokój. Cieszył się naszym towarzystwem, ale nie okazywał chęci rozmowy o tym, czego doświadczył w piekle. Ja byłem przerażony podczas każdej spędzonej tam chwili. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że miałbym tam zostać sam. Życzyłem sobie, żeby tak pozostało.

Hennan nie potrzebował dużo czasu, by zacząć zadawać pytania, co działo się ze mną i Snorrim po tym, jak przeszliśmy przez drzwi w pieczarze Kelema. Prędko odkryłem, że tak jak Snorri wołałbym o tym nie rozmawiać.

– Co widzieliście?

– Ja... – Naprawdę nie chciałem o tym myśleć. Z całą pewnością nie chciałem ubierać tego w słowa. Gdybym powiedział wszystko na głos, przestałoby być koszmarem, czymś nierealnym i należącym w całości do tamtego miejsca. Mówienie o tym w świetle dnia przeniosłoby to do rzeczywistego świata jako faktyczną i namacalną rzecz, z którą trzeba by się było uporać. Chyba musiałbym zacząć myśleć, co to wszystko znaczy – perspektywa, że po krótkim czasie spędzonym na ziemi może na nas czekać wieczność w takim miejscu, była wyjątkowo przynębiająca. Wszystko gra, kiedy śmierć jest tajemnicą, na którą przynudzający duchowni marnują najlepszą część niedzieli. Zobaczenie jej na własne oczy jest absolutnym koszmarem, nie czymś, na co chciałbym narazić dziecko czy siebie. – Mamy zbyt przyjemny dzień, Hennanie. Zapytaj o coś innego.

Choć z całych sił starałem się pogrzebać wspomnienia z Vermillionu, mój dawny talent okazał się niewystarczający, a one podążały drogą u mego boku, nawiedzając każdy żywopłot, gotowe wyskoczyć w momencie ciszy albo wymalować się na jakimkolwiek czystym płótnie, czy to na niebie, czy to w cieniu.

Myśłami wciąż wracałem do śmierci Darina, liczkina w Willi Mediolańskiej, ostatniego widoku Martusa. Te wydarzenia były jak kamienie w rzece, po których przeskakiwałem do zimnego, okropnego faktu, że moja siostra w końcu pojawiła się na świecie, który tak długo pozostawał dla niej zamknięty. Moja siostra, nienarodzona, nosicielka liczkina, wciąż pragnąca mojej śmierci, by mocniej się tu zakotwiczyć i odeprzeć nieustające przyciąganie piekła.

Liczyłem na wiedzę Kary na ten temat, mając nadzieję, że völva dowiedziała się czegoś więcej o naszym wrogu, kiedy nasze drogi się rozeszły.

– Pewien człowiek w piekle powiedział mi, że święty przedmiot może zniszczyć nienarodzonego – powiedziałem, kierując Morda bliżej klaczy Kary.

Wiedźma wzruszyła ramionami.

– Możliwe. To musiałyby być coś wyjątkowego. Może jakaś relikwia. Może w rękach księdza. Czasami wiara porusza góry bardziej niż magia.

– Czy klucz Lokiego nie byłby najlepszy, by oddzielić jedną rzecz od drugiej? Moją siostrę od opętującego ją potwora? Jest święty – stworzył go bóg!

Kara ponuro wyszczerzyła zęby.

– Loki jest bogiem, ale kto w niego wierzy?

– Ale klucz działa! Mógłby otworzyć...

– Liczki są potworami na wielu płaszczyznach. Niezrodzone, niestworzone, są nagromadzeniem najgorszych cech ludzi, ohydą, która spada z dusz oczyszczanych w Hel. – Chociaż dzień był jasny, nagle zdał się zimniejszy i bardziej kruchy, gdy Kara zaczęła mówić o takich rzeczach. – Kiedy stare pokłady nienawiści toną w najgłębszych rozpadlinach zaświatów, czasem łączą się i splatają perwersje najgorszego rodzaju, odłączone od swych właścicieli, dryfują, aż się skłębią i powoli przez pokolenia powstaje coś obrzydliwego. Ale to, co się splątało, można rozplątać. Użyj klucza, a liczki się rozpadnie, ale przy tym twoja siostra zostanie rozszarpana na kawałki, wciąż związana z częstkami liczki i popełnionymi przez niego zbrodniami. Potrzebujesz czegoś mniej niszczycielskiego, czegoś, co zmusi liczki, by wyszedł z twojej siostry i dał jej odejść.

Przypomniałem sobie, jak rozpadł się liczki, którego nieumyślnie dźgnąłem kluczem w piekle. Kara miała rację. Poza tym szansa, bym celowo zdołał wbić klucz w nienarodzonego, była tak mała, że nie warto było nawet jej rozważać. Potrzebowałem czegoś świętego, ale nic nie miałem. Pieczęć Ojca została przejęta przez Rzym, a jego święty kamień spalił się we własnym wybuchu, który zniszczył Dublera i jego nekromanckie czary.

Kara nie zdołała mi pomóc, a moje strachy dalej śledziły mnie, gdy jechaliśmy w stronę granicy.

Piątego dnia przekroczyliśmy granicę Slov. Nie stoczono tu żadnej bitwy, ale przejście licznych żołnierzy Marchii zostawiło blizny innego rodzaju. Przybycie dziesięciu tysięcy ludzi Babki musiało wziąć mały fort Ecan z zaskoczenia – nie widać było po nim śladów walki, a niewielki garnizon żołnierzy Czerwonej Marchii, który został tam, by utrzymać twierdzę, wyglądał raczej na znudzony niż zaniepokojony.

Król Lujan pewnie usłyszał o wtargnięciu obcych wojsk dzień lub dwa później. Nie chciałbym przebywać z nim w tym samym pokoju, kiedy się dowiedział. Nigdy go nie spotkałem, ale w opowieściach opisywano go jako człowieka o usposobieniu rosomaka z bólem brzucha, a gdy się wściekał, atakował tych w zasięgu ręki wszystkim, co wpadło mu w ręce, czy to talerzem obiadowym, czy to piernaczem.

Nieprzygotowanie Sloviań było do pewnego stopnia usprawiedliwione. Najazd zazwyczaj poprzedza wiele miesięcy waśni i narastający szcęk szabli. Armie najpierw gromadzą się wzdłuż granic, wzmacniają obronę na wypadek kontrataku. Czasami nawet wybiera się pole bitwy, by dwa wielkie wojska nie miały się i nie maszerowały w kółko przez kilka dni albo miesięcy.

Atak Babki miał jeden cel – ufortyfikowane miasto Blujen, a konkretnie wieżę w jego wschodniej dzielnicy, w której mieszkała Błękitna Dama. Atak nie spełniał żadnych zasad wojny. Nie było pogroźek, niezadowolona ani incydentów granicznych. Armia królowej zebrała się w sercu Czerwonej Marchii, siły napłynęły z zachodnich rejonów i bezzwłocznie ruszyły na wschód. Nagły, bezpośredni, ściśle tajny atak, nieoczekiwany i śmiertelny. Może gdyby Czerwona Królowa uderzyła na miasto Julana, zdobyłaby już stolicę Slovia i zatknęła głowę króla na włóczni – ale po co miałyby zamalowywać inne królestwo na czerwono na mapie w swym wojennym pokoju narad, jeśli cała mapa miała spłonąć?

Każda armia zostawia w ruinie ziemię, przez którą przechodzi. Wojsko Babki odcisnęło piętno na przygranicznych terenach Slovia, nie przez złośliwość czy konflikt, lecz z powodu swej liczebności. W miejscach, gdzie żołnierze nie mieścili się na drodze, maszerowali po polach. Na szczęście farmerzy zdążyli zebrać plony, zanim te zostały stratowane. Mniejszym szczęściem było to, że grupa tysięcy żołnierzy do czysta obiera wiejskie tereny w trakcie przemarszu, a świeżo zebrane plony po prostu łatwiej się podnosi i rekwiruje.

– Gdy przyjdzie zima, ci ludzie będą głodować. Nawet na tych urodzajnych ziemiach. – Kara wydawała się mną zdegradowana, machając ręką wieśniakom z zapadniętymi oczami, którzy patrzyli, jak przejeżdżamy.

– Mają szczęście, że ich domy wciąż stoją – odpowiedziałem. – Do diabła, mają szczęście, że żyją. – Snorri i ja przeszliśmy kiedyś przez graniczne rejony, gdzie Rhone i Scorrion stykają się z Gelleth – tamtejsze miasta zmieniły się w zgorzeliska, inne przeszły we władanie duchów i szczerów, bo ludzie dawno z nich uciekli. Ale Kara nie dała się udobruchać, tylko popatrzyła na mnie, jakbym osobiście przeprowadził inwazję.

– Głód ma ostrzejsze ostrze niż jakikolwiek miecz, Jal. – Snorri obserwował drogę z ponuro wykrzywionymi ustami.

– Chyba zapominamy tu o szerszej perspektywie. – Dzieci w łachmanach, patrzące na nas z drzewa rosnącego przy drodze, nie pomagały postawić mnie w lepszym świetle. – Jeśli Błękitna Dama nie zostanie powstrzymana, a nam nie powiedzie się w Osheim, nikt nie będzie miał czasu na głodowanie. Nie przyjdzie żadna zima i nikt nie będzie miał nawet szansy, by zgłodnieć.

Żadne z nich nie miało na to odpowiedzi, więc jechaliśmy dalej w milczeniu,

a ja wciąż czułem się winny, mimo mej bezbłędnej logiki. Poniewczasie uderzyło mnie, że powinienem dodać do listy argumentów, by nie zabierać z nami Kary i Hennana, sposób, w jaki ta dwójka wpędzała mnie w poczucie winy z powodu najróżniejszych rzeczy, którymi normalnie w ogóle bym się nie przejmował.

Następny świt był mroźny i rześki, żywopłoty uginały się od rosy, a my z nimi. Nie było wątpliwości – zima już ostrzyła zęby.

Jechaliśmy teraz ostrożniej, obserwując lasy i żywopłoty, szukając oznak zasadzki. Najeżdżająca armia zostawia za sobą niebezpieczne ziemie. Kiedy do desperacji ocalałej ludności dodamy usunięcie tyranii ich władcy, otrzymamy doskonałą sytuację dla uzbrojonych band szabrowników i grabieżców.

Na szczęście plan Babki zakładał szybkie opuszczenie Slov po osiągnięciu celu, a to wymagało utrzymania w porządku dróg wiodących z powrotem do Czerwonej Marchii. Zanim słońce zaszło po naszym pierwszym dniu w Slov, minęliśmy tuzin punktów kontrolnych i w każdym musiałem argumentować swoją sprawę. Głośność i pewność mojej gadaniny chyba bardziej pomogły nam minąć posterunki niż bogato zdobiony zwój z upoważnieniem, który dał nam Garyus.

W Trevi zobaczyliśmy pierwsze prawdziwe ślady walki. Najpierw wyczułem gorzki dym, zaprawiający wieczorną mgłę, gdy zmęczeni jechaliśmy Drogą Julańską, czując w tyłkach przebyte mile. Woń płonącego Vermillionu wciąż nawiedzała moje nozdrza, ale tam szalało inferno, wyrzucające z siebie gorące kłęby chmur, które gasiły gwiazdy. Tu panował smród starych pożarów kryjących się pośród ruin, tłących się, powoli przeżuujących ostatnie kęsy paliwa pod grubymi zwałami popiołów.

Słońce zeszło ku zachodnim wzgórzom, rzucając przed nas nasze cienie i nadając mgłom szkarłatny odcień. Potem zobaczyliśmy zrujnowany fort. Górka, na której stał, była zbyt mała i odizolowana, by uchodzić za porządny pagórek, ale zbyt duża, bym zwyczajnie uwierzył, że ludzie usypali taką ilość ziemi. U jej podnóża wyrosło miasteczko, by zaspokajać potrzeby fortu. Niewiele zostało w nim domów. Większość obróciła się w popiół, tu i tam ostały się pojedyncze dźwigary. Sam fort stracił większą część stróżówki w niszczycielskim wybuchu. Kamienie rozsypały się po zboczu, sięgając poczerniałych żeber najbliższych zabudowań. Nie potrafiłem zgadnąć, jaką magią czy alchemią posłużyła się Czerwona Królowa, ale bez wątplenia nie miała zamiaru angażować się w długie oblężenie ani oszczędzać garnizonu, który mógłby zagrozić jej liniom zaopatrzeniowym.

– Robi wrażenie. – Snorri wyprostował się w siodle, patrząc na rozciągający się przed nami widok.

– Hmmm. – Ja będę się cieszył, kiedy zostawimy to wszystko za sobą. Droga powiodła nas do gęstego lasu mniej więcej ćwierć mili za fortem. Wyglądał jak miejsce, w którym mogliby się zgromadzić ci, co ocaleli, by uknuć zemstę. – Ominiemy ten las dużym łukiem. Bądźcie czujni. Nie podoba mi się to miejsce.

Ledwie słowa wyszły z moich ust, Giermek zaczęła piszczeć. Wcześniej nigdy tak nie robiła. Dźwięk nie brzmiał jak coś, co mógłby wydać z siebie jakikolwiek koń. Człowiek ani instrument też nie. Miał nienaturalne brzmienie, zbyt dokładne, zbyt czyste. Hennan rozejrzał się zaskoczony, starając się zlokalizować jego źródło. Moim zdaniem siedział na nim.

– Dochodzi z juków – powiedziała Kara, kierując swojego wierzchowca w stronę chłopca.

– Ach. – Wtedy odgadłem, co piszczało, i nagle dzień zaczął mi się wydawać chłodniejszy niż jeszcze przed chwilą. – Kurde.

Snorri posłał mi swoje dwufazowe spojrzenie. Pierwsza część mówiła: *gadaj, co wiesz*, a druga: *albo połamię ci ręce*. Zsiadłem z konia i zacząłem rozwiązywać torbę przy lewym boku Giermka. Musiałem trochę pogrzebać, żeby wyciągnąć zawiniątko, a potem jeszcze mocować się przez chwilę z węzłami i szmatami, by je rozwinąć. Piski rozbrzmiewały mniej więcej co cztery sekundy, przerwa między nimi była akurat na tyle długa, że wydawało się, iż każdy pisk był tym ostatnim. Chwilę później odwinąłem ostatnią warstwę owijki i chwyciłem w dłonie skrzynkę z duchami od Luntara. W świetle dnia wyglądała równie nienaturalnie co wtedy w sali tronowej. Jakby patrzyło się na kawałek zimy przez otwór o kształcie pudełka. Ważyła też o wiele za mało jak na to, co zawierała. Znów zapiszczała i prawie ją upuściłem.

– Co to jest? – Kara i Hennan odezwali się prawie jednocześnie, chłopiec ułamek sekundy wcześniej.

– Urna pogrzebowa – odpowiedziałem. – Zawierająca prochy dziesięciu milionów martwych Budowniczych. – Otworzyłem wieczko. Wachlarz światła rozpostarł się nad otwartą skrzynką, po czym złożył się w bladą ludzką sylwetkę. Wychudły mężczyzna. Zdałem sobie sprawę z dwóch rzeczy jednocześnie. Po pierwsze, rozpoznałem tego człowieka. Po drugie, szok z tego powodu sprawił, że upuściłem pudełko.

Ruch Hennana był najszybszą ludzką reakcją, jaką widziałem w życiu. Był zwinny już wtedy, kiedy próbowałem go złapać podczas naszego pierwszego spotkania w Osheim, ale przez pół roku stał się jeszcze szybszy. Rzucił się do przodu, wyciągnął na całą swą długość i złapał skrzynkę, gdy ta była cal nad ziemią. Powietrze wyskoczyło mu z płuc z gwałtownym „uuuuf”.

– Dziękuję. – Chwyciłem pudełko z jego wyciągniętych rąk i położyłem na kamieniu granicznym przy drodze. Snorri pochylił się, by pomóc chłopcu

wstać. Ja przykucnąłem, by wlepić wzrok w dziesięciocalowego ducha stojącego w powietrzu nad skrzynką. Miał na sobie długą białą tunikę zapinaną z przodu i sięgającą za kolana. Był szczupłym, ktoś mógłby rzec, że kościstym mężczyzną mniej więcej w moim wieku, z wąską, sówią twarzą pod nieporządną strzechą jasnych włosów. Jakaś ramka zahaczała o jego uszy, podtrzymując dwie szklane soczewki, po jednej bezpośrednio przed każdym okiem. Wyglądał o wiele za młodo, ale go poznałem.

– Taproot?

– Doktor Elias Taproot, do usług. – Postać ukłoniła mi się.

– Znasz mnie, Taproocie?

– Lokalne dane wskazują, że jesteś księciem Jalanem Kendethem.

– A on? – Podniosłem skrzynkę tak, by mógł dobrze obejrzeć sobie Snorriego, który stał na drodze z rękami na ramionach Hennana stojącego przed nim. Obaj patrzyli na nas.

– Duży gość. Imię nieznane. – Doktor Taproot zmarszczył brwi, jedna dłoń powędrowała w górę, by potrzeć podbródek, palce ześlizgiwały się ku nieobecnej koziej bródce.

– Nie pamiętasz Snorriego? – zapytałem.

– Jestem jedynie wpisem bibliotecznym, drogi chłopcze. Ta jednostka nie była połączona z głęboką siecią od... matko, od prawie tysiąca lat.

– Dlaczego przypominasz doktora Taproota?

– A kogo innego miałbym przypominać? Jestem echo-danymi Eliasa Taproota.

Zmarszczyłem czoło, rozważając potrząśnięcie pudełkiem. Może wtedy zaczęłoby udzielać bardziej zrozumiałych odpowiedzi.

– Dlaczego ze wszystkich duchów w tej skrzynce wyskoczyłeś właśnie ty? I...

– **piip** – I czemu ona tak piszczy?

Taproot skrzywił się na chwilę, nagle zaciskając dłonie w przestrzeni między nami, jakby chciał z niej wycisnąć odpowiedź.

– Sygnał alarmowy na wąskiej przepustowości łącza, transmisja korzysta ze szczątkowej mocy satelity. Aktywowano wszystkie urządzenia w bezpośredniej okolicy.

– Powiedz to jeszcze raz słowami, które mają znaczenie, albo zamknę to pudełko, wykopię dziurę i zostawię cię tutaj pod pięcioma stopami gleby. – Naprawdę miałem taki zamiar, tylko oprócz tej części z kopaniem.

Taproot wytrzeszczył oczy.

– To zatwierdzona transmisja alarmowa piątego stopnia. Nie możesz tak po prostu jej zignorować – to by było naruszenie licznych przepisów. Nie ośmieliłbyś się!

– No to patrz! – Odwróciłem się od niego.

– Zaczekaj! – Musiałem przyznać, że skrzynka perfekcyjnie oddawała głos Taproota. Ta sama mieszanka gniewu i zdenerwowania, jak wtedy gdy ganił mnie, że sprowadziłem nienarodzonego do jego cyrku. – Zaczekaj! Chcesz wiedzieć, dlaczego wyświeciłem się ja, a nie jakiś inny wpis?

Zerknąłem na niego.

– Więc?

– To ja mam kłopoty. Moje ciało. Gdzieś w pobliżu. System lokalizacyjny jest uszkodzony, orbity poszły w rozsypkę... – Zdał sobie sprawę, że coraz mocniej marszczyłem brwi, więc przeszedł na normalny język. – Skrzynka będzie pikać z większą częstotliwością, im bliżej podejdziesz, ale to wskaże ci tylko przybliżoną pozycję.

Wyciągnąłem rękę i zatrzasnąłem pudełko. Nie lubię duchów.

– No to ruszajmy. – Podniosłem skrzynkę, wyprostowałem się i obróciłem w stronę Morda. – Póki wciąż jest widno.

– Powiedział, że doktor Taproot jest w niebezpieczeństwie. – I bez patrzenia wiedziałem, że Snorri ani drgnął.

– Ten cyrkowiec? – Dołączył Hennan.

W pewnym momencie pewnie opowiedziałem mu parę historii.

– Może tam, gdzie on jest, będą jeszcze jakieś cuda... – Kara brzmiała jak głodująca kobieta, która opisuje gorącą pieczeń z sosem.

Zerknąłem w jej stronę, ale ona gapiała się na skrzynkę w moich dłoniach. Skrzynkę, która znów zapiszczała.

– Czy duch naprawdę wyglądał jak on?

Wzruszyłem ramionami.

– Jak on, tylko trzydzieści lat młodszy. – W dziecięcych wspomnieniach Babki, Taproot znajdował się w pałacu jako mężczyzna po czterdziestce, szef ochrony Ghollotha Pierwszego. Nie byłem zainteresowany odkrywaniem, czym, u diabła, był i co zdołało wpędzić osobę jego pokroju w tarapaty.

– Gdzie zaczniemy szukać? – zapytał Snorri.

Westchnąłem i wskazałem palcem wzgórze, nawet nie patrząc w jego stronę.

– To dość oczywiste. Gdzie indziej? Forteca pełna trupów, osnuta resztkami straszliwej magii lub broni Budowniczych... to musi być tam, czyż nie?

Nikt nie zaprzeczył.



Słońce zaszło, więc musieliśmy wspinać się do fortu w jego niknącej poświacie. Zostawiliśmy w dole zbocza podnoszące się mgły. Gdy zerkąłem do tyłu, nie widziałem nawet śladu spalonej wioski, jedynie morze bieli, kłębiące się, wpływające do lasu, owijające wokół każdego pnia, zanim sięgnęło wyżej, by zatopić drzewa.

Na zachodzie niebo płonęło czerwienią, na wschodzie groziła ciemność, gdzie zaskrzeczał puszczyk, witając noc. Po prostu wspaniale.

– **piip** – Wiecie, mogliśmy poczekać do rana. – **piip** – Owinąłem skrzynkę moją peleryną, starając się stłumić dźwięk. Od początku była irytująca, a moje rozdrażnienie wzrastało wraz z tempem jej pisków. – Albo mógłbym tu zostać z pudełkiem. Nie chcemy, żeby zdradziło naszą obecność.

– Potrzebujemy pudełka, żeby znaleźć Taproota – powiedział Snorri. – A twoja Babka nigdy nie wyglądała na osobę, która zostawia jakieś niedobitki. A już na pewno nie uzbrojone i niebezpieczne.

Wyższą część zbocza zaśmiecały wielkie kawały kamienia, niektóre tak olbrzymie, że musieliśmy je obchodzić. Hennan skakał z jednego na drugi, wyraźnie nieświadomy, że wokół narastało uczucie lęku, które powinna czuć w podobnych okolicznościach każda rozsądna osoba. Tuż nad nami ziała szeroka wyrwa w murze, wyszczerbiona od aktu przemocy, który zrównał z ziemią stróżówkę.

– Czy to... dym? – Wskazałem białą chmurę wiszącą w wyrwie.

– Wspomnienie dymu. – Kara wyciągnęła rękę i złapała coś z powietrza. Gdy otworzyła dłoń, ukazało się małe nasionko uwieszone pod strzępkim mechatego puszkę. – Wierzbówka, zwana ogniochwastem. Pierwsza roślina, która wyrasta na pogorzeli.

Gdy wspięliśmy się wyżej, zobaczyłem, że miała rację. Pomiędzy zwalonymi, poczerniałymi ścianami zielsko było wysokie po kolana, a jego nasionka wlatywały w białej obfitości. Mimo to coś tu nie pasowało.

– Czy to nie wydaje wam się dziwne? – zapytałem.

Snorri, idący z przodu, zatrzymał się i obejrzał.

– Co?

– Jest zbyt nieruchomo – odparł Hennis, doganiając mnie. Nie o tym myślałem, ale chłopak miał rację. W dole zbrocza nasionka unosiły się wokół nas, ale nad roślinami wisiały w wielkiej nieruchomej chmurze, jakby powietrze w ogóle się tam nie ruszało.

– Babka przeszła tędy... jakieś dwa tygodnie temu? Najwyżej?

Snorri wzruszył ramionami.

– Ty mi powiedz. Widziałeś, jak wyjeżdżała. Ja byłem w... innym miejscu.

Kara zmarszczyła brwi.

– Dwa tygodnie to za mało czasu, żeby wierzbówka urosła i przekwitła. Nawet jeśli miałyby wyskoczyć z ziemi w chwili, w której zgasł pożar. – Zapatrzyła się na fałszywy, nieruchomy dym. – Może to nie jest dzieło twojej babki.

– To była ona. – Wyminąłem ich, kierując się ku dalszemu krańcowi wyłomu, gdzie zielsko wciąż nie odrosło wiele od ziemi i nie było na nim śladu kwiatów ani nasion. Z tyłu głowy rozgrywał mi się ponownie kolejny krwawy sen Czerwonej Królowej, nie Taproot w pałacu czterdzieści lat przed moim narodzeniem, ale twierdza Ameroth... inna forteca, która wybuchła i gdzie czas biegł dziwnym rytmem.

Musiało tu zginąć wielu ludzi, ale przechodząc przez dziedziniec i gramoląc się po gruzach, nie widzieliśmy żadnych ciał. Można by to uznać za dobry znak – Babka nakazała kremację trupów, co znaczyło, że Martwy Król nie będzie miał pod ręką zwłok, które mógłby posłać za mną w pogoni za kluczem. Mógł to być też zły znak, że Martwy Król już zwołał trupy w oddział, który krył się wśród rozwalonych ścian stajni, tylko czekając, by się stamtąd wysypać...

– Jal! – Głos Snorriego wyrwał mnie z moich imaginacji. Podskoczyłem, obracając się z do połowy wyciągniętym mieczem.

– Co? – W moim tonie zmieszały się gniew i strach. Wnętrze fortu od ściany do ściany wypełniały cienie. Mogłem dostrzec Normanów, ale wszystko inne składało się na stos miękkich szarych kształtów.

– Pikanie. Zwalnia. Tam rozbrzmiewało szybciej. – Snorri dziabnął tępym palcem w stronę kilku budynków gospodarczych.

Skinąłem głową i zacząłem się cofać. Tak naprawdę odciąłem się od hałasów skrzynki, zbyt skupiony na własnych lękach, by je słyszeć. Zauważyłem je teraz tylko dlatego, że Snorri zwrócił na nie moją uwagę. Pewnie kryło się w tym jakieś pół tuzina lekcji dla mądrego człowieka.

Gdy zbliżyłem się do najbliższego budynku, skrzynka zaczęła piszczeć tak gwałtownie, że dźwięki zlały się w pojedynczy ton, który wtedy, na szczęście, się wyłączył.

– Może on umarł – odezwałem się. – Powinniśmy teraz wrócić do koni.

– Nie potrzebujemy latarni, Jal.

Nie miałem zamiaru wracać po latarnię – nie miałem zamiaru wdrapywać się z powrotem na górę. I choć potrzebowaliśmy jednak światła, jeśli zamierzaliśmy wkroczyć do budynku znajdującego się przed nami, to Snorri miał rację, nie była nam potrzebna latarnia.

– Niech będzie. – Wyciągnąłem z kieszeni stożek orichalcum i wytrząsnąłem go ze skórzanej sakiewki na wyciągniętą dłoń Snorriego. Zimne światło, które wystrzeliło zeń, kiedy orichalcum dotknęło skóry wikinga, ukazało nam, że mgła znów nas dopadła. Jej wątle pasma owijały się wokół naszych kostek. To, co uznałem za żwir pod nogami, w rzeczywistości było ziarnem. Budynek przed nami pełnił funkcję spichlerza. Snorri podszedł do roztrzaskanego wejścia i uniósł dłoń. W świetle dostrzegliśmy wiele worków i zniszczeń oraz dowód na to, że ktoś, kto zebrał zwłoki – Babka lub Martwy Król – nie wykazał się zbyt dużą dokładnością. Ciało korpulentnej kobiety w średnim wieku leżało przygniecione jedną z walających się na ziemi dachowych belek. Mdlącośdki smród dolatujący z pomieszczenia wskazywał, że trup znajdował się tu na tyle długo, by urodziło się w nim kilka pokoleń much. Starąłem się nie patrzeć zbyt uważnie na odsłonięte fragmenty ciała, by nie widzieć, jak drgają od owadów.

– No to wchodzimy, tak? – zapytałem, gdy Snorri przeszedł przez próg, a Hennis i Kara wepchnęli się za nim.

– Podłoga jest z kamienia Budowniczych. – Kara przyklękała, by położyć na niej dłoń, odgarniając ziarno z pękniętych worków.

– To coś będzie pod nami – rzekł Snorri. – Czas grzebie rzeczy, które chce zachować.

– Czas może tu grać w inne gierki – odparłem. Wierzbówka urosła w dwa tygodnie na wysokość, która powinna zająć jej miesiąc, a potem zastygła w jednej chwili. Cokolwiek tu zaszło, zepsuło się przy tym coś ważnego i sam czas, ów niewidzialny ogień, który spala nas wszystkich, popękał.

– Myślę, że tu jest kłapa w podłodze – zawołała do nas Kara, stojąca teraz przy kupie gruzu i belek, które spadły z sufitu. – Dajcie tu światło.

– Jak, u licha, zdołałaś wypatrzyć tu kłapę? – Zmrużyłem oczy, wpatrując się w szczelinę między skrzyżowanymi dźwigarami. Nawet gdy Snorri trzymał światło nad nami, nie widziałem nic prócz kurzu, ziaren pszenicy i połamanych dachówek. – Ja ledwo widzę podłogę.

Kara odwróciła się w odpowiedzi na moje pytanie. Jej oczy miały ten błędny, „wiedzmi” wyraz.

– Och – powiedziałem.

Hennis złapał jedną belkę i spróbował ją dźwignąć. Mrówce lepiej by poszło,

gdyby spróbowała przeciągnąć gdzieś drzewo. Snorri schylił się, by mu pomóc.

– Czy to dobry pomysł? – Oczywiście miałem na myśli, że był to okropny pomysł. – Oprócz tego, że coś strasznego może się czaić tam na dole, to miejsce wygląda na gotowe, żeby się zawalić w dowolnym momencie. – Z tego co widziałem, kilkadziesiąt worków z ziarnem przejęło funkcję głównej strukturalnej podpory po kamieniach i drewnie, które teraz piętrzyły się na podłodze. Najwyraźniej ludzie Babki zgodzili się ze mną i zdecydowali się zostawić worki w spokoju. – Powiedziałem – powtórzyłem trochę głośniej – że cały budynek może się zawalić w każdej chwili.

– Kolejny powód, żeby pracować szybko i gadać cicho. – Snorri posłał mi wymowne spojrzenie. Zgiął plecy, zacisnął zęby i owinął swe olbrzymie ramiona wokół jednego z dźwigarów, natężając się, by ruszyć go z miejsca. Przez chwilę belka stawiała opór, a Snorri przeszedł od czerwieni do kilku kolejnych odcieni szkarłatu. Żyłki pulsowały wzdłuż jego napiętych mięśni ramion – później opisałem je młodej kobiecie zbyt zainteresowanej wikingiem jako brzydkie, parzące się robaki. Nogi mu się trzęsły, ale po chwili wyprostował je, a belka poddała się w chmurze pyłu.

Starałem się zachować stanowisko logistyka, wyjaśniewszy, że tak niebezpieczna praca wymaga koordynacji i nadzoru, ale koniec końców ignorancy barbarzyńcy kazali mi się przyłożyć do roboty. Odstawiłem skrzynkę z duchami do kąta i podwinąłem rękawy. Zajęło to wieczność, pewnie z godzinę, ale w końcu stanąłem spocony, brudny, z poobdzieranymi, bolącymi dłońmi i zagapiłem się na sześć jardów kwadratowych pustej podłogi.

– Nie ma klapy. – Ktoś musiał to powiedzieć. Nie moja wina, że zrobiłem to z pewną satysfakcją.

Kara uklękła na oczyszczonej przestrzeni i zaczęła opukiwać posadzkę kawałkiem pękniętej dachówki. Przesuwała się metodycznie, sprawdzając cały obszar, po czym wróciła do skrawka po lewej stronie.

– Tutaj, słyszycie?

– Słyszę, że robisz raban – odparłem.

– Tu brzmi pusto.

– Brzmi tak samo jak w dwustu pozostałych miejscach, w które walnęłaś.

Kara potrząsnęła głową.

– To tutaj... ale nie widzę klapy.

– Tam? – zapytał Snorri.

Kara skinęła głową. Wiking oddał jej orichalcum i wyszedł z budynku przez połamane drzwi prosto w noc.

Hennan popatrzył za nim.

– Gdzie on...

Snorri wrócił niemal natychmiast. Kawał skały, który trzymał, wyraźnie ważył znacznie więcej niż ja. Wyglądał, jakby został wyrwany z głównego muru. Przypomniałem sobie gruzy spiętrzone przy spichlerzu.

Kara nie potrzebowała ostrzeżenia, by odsunąć się na bok Snorri podszedł do właściwego miejsca, stawiając powolne, przemyślane kroki człowieka, który był niemal u kresu sił. Z sapnięciem uniósł kamień prawie na wysokość swojej klatki piersiowej, a potem go upuścił. Ten uderzył w podłogę i poleciał dalej. Gdy kurz opadł, zobaczyłem idealnie okrągłą ciemną dziurę w miejscu, gdzie Kara wcześniej stuknęła swoją dachówką.

– Mam nadzieję, że doktor Taproot nie stał pod klapą, czekając na ratunek... – Przywołałem Karę gestem, by też spojrzała.

– Długo spada ten kamień. – Völva uklękła, by zerknąć z bliska. – W ścianę szybu są wbudowane uchwyty. – Bez dalszej dyskusji włożyła nogi do dziury i zaczęła schodzić.

Za nią poszedł Snorri, a potem Hennan, zerkając na mnie. Pewnie nie widział zbyt wiele, skoro nasze jedyne źródło światła ginęło w szybie.

– No dalej. – Ponagliłem go machnięciem ręki. – Pójdę ostatni. Nie chcę, żeby któreś z was na mnie spadło.

Planowałem znaleźć sobie wygodny worek ziarna i przeczekać tę przygodę. Niestety rzecz ze smrodem gnijących zwłok ma się tak, że nie da się do niego w pełni przyzwyczaić. Niemal natychmiast wyrzuciłem z myśli piszczenie pudełka, ale gdy westchnąłem głęboko z ulgi po tym, jak Hennan zniknął w dziurze, od razu przypomniałem sobie, że nie byłem tu tak samotny, jak miałem nadzieję. Sprawcą tupotania prawie na pewno był szczur, to miejsce musiało się od nich roić. Trup i ziarno – szczurza ucztą! Mimo to możliwość, że to martwa ręka nagle zaczęła podrygiwać, sprawiła, że dotrzymałem słowa i sześć sekund później schodziłem już za chłopcem.

Droga w dół przypomniła mi naszą wizytę u Kelema w jego kopalni, kolejne nierozważne zejście w mroczne nieznanne. Uchwyty w kamiennej ścianie wyglądały na zrobione w tym samym czasie co szyb, były wpasowane w kamień, a nie wykute w nim. Okazały się też bardziej godne zaufania niż rozchwierutane drabiny maga. I na szczęście do dna też było bliżej. Oszacowałem, że zeszliśmy trzydzieści jardów w głąb, na pewno nie więcej niż pięćdziesiąt.

Dołączyłem do pozostałych w kwadratowej komnacie z kamienia. Przyćmione czerwone światło pulsowało nieregularnie w okrągłej płytce na suficie, powiększając i zmniejszając nasze cienie. Przypomniało mi się piekło.

– Wspaniale. – Wyciągnąłem miecz.

W ścianie naprzeciwko nas znajdowały się okrągłe drzwi ze srebrzystej stali,

grube na dobre sześć cali, uchylone na ciężkich błyszczących zawiasach. Gdyby jakiś kowal znalazł ogień na tyle gorący, by stopić w nim ten metal, mielibyśmy tu bogactwo narodu, czekające na przekucie w najlepsze miecze, które ledwie dałoby się kupić za pieniądze.

Na prawo i lewo odchodziły korytarze. Lewy zawalił się w odległych czasach, prawy nie tak dawno, na kamieniu widniały ślady ognia. Przesunąłem się, by zza Snorriego i nad głową Hennana wyrzeć przez szczelinę otwartych drzwi krypty. Za nimi znajdował się mały, pojedynczy pokój, również oświetlony pulsującym czerwonym światłem z sufitu. W pomieszczeniu były cztery szklane boksy, dwa pod jedną ścianą, dwa pod przeciwległą. Cztery kopuły ze srebrzystej stali były wbudowane w sufit, po jednej nad każdym boksem. Można było sobie wyobrazić wielkie kule srebrzystej stali, w dziewięciu dziesiątych ukryte w skale nad nami, widoczne jedynie w ułamku.

Najbliższy boks po prawej stronie i najdalszy po lewej były ciemne, szkło popękało w dziwaczne wzory. W bliższym boksie po lewej stał martwy mężczyzna, oświetlony przez światło z niewidocznego źródła. Jego ciało prezentowało wszystkie kolory gnicia, po części odchodziło od kości, niektóre fragmenty już odpadły od ciała, lecz wisiały w powietrzu w połowie drogi do podłoża upstrzonego rozkładem. Trup był przypięty do ściany jakimś rodzajem upręży. W ostatnim boksie znajdował się doktor Taproot, równie nieruchomy co zwłoki. Na jego wąskiej twarzy malowało się zmartwienie, ręce miał zaciśnięte razem, długie palce splecione, jakby zamarł w trakcie ich wyginania. Wyglądał niemal tak samo jak wtedy, gdy widziałem go na żywo po raz ostatni. Na czarnym płaszczu właściciela cyrku miał ślady pyłu, chudą pierś opinała biała koszula z guzikami z masy perłowej.

– Co mu się stało? – zapytał Snorri.

– Utknął w czasie – odpowiedziałem. – Przyklejony do jednego momentu.

– A ten? – Hennan wykrzywił twarz, patrząc na gnijące ciało.

– Może nie przykleił się tak porządnie i czas mu umyka, tylko bardzo powoli, albo maszyna się włączyła i złapała go w takim stanie.

– Maszyna? – zapytała Kara.

Kiwnąłem głową w stronę srebrnych kopuł.

– Zgaduję, że to ona.

Snorri podszedł do boksu Taproota i otworzył drzwi, zatrzymując się, by spojrzeć z podziwem na tak wielką płaską tafłę przezroczyściego szkła. Wyciągnął rękę ku Taprootowi i ucieszyłem się, widząc, że w jego ruchu była odrobina wahania. Łatwiej mi było lubić Snorriego, gdy okazywał choć krztynę nerwowości. Wiking zmarszczył brwi, gdy jego palce napotkały opór. Pchnął, ale jego dłoń zdawała się ślizgać po drugiej tafli szkła, tym razem zakrzywionej

i nieodbijającej żadnego światła.

– Nie mogę go dotknąć.

– Możesz stłuc szybę? – spytałem.

Snorri zmarszczył czoło.

– Nie wydaje mi się, żeby tu była jakaś szyba... nie czuję... niczego. Po prostu nie mogę go dotknąć.

Kara podeszła do Snorriego, wyglądając przy nim jak karzełek, jak większość ludzi.

– Jeśli utknął w czasie, a tu, gdzie my jesteśmy, czas płynie... musi istnieć jakaś przegroda między tymi dwoma rejonami. Bariera, przez którą nic nie może przejść, bo nie ma na to czasu. Próba obalenia takiej ściany byłaby bezcelowa, bo tak naprawdę nie ma czego „obalać”. – Zmarszczyła brwi i zacisnęła usta w cienką linię. – Nawet światło wokół niego nie powinno do nas docierać... może maszyna pokazuje ostatni obraz Taproota dla osób na zewnątrz.

– Cóż, jesteśmy tu po to, żeby go uratować, tak? Więc powinniśmy się brać do roboty albo stąd odejść. – Nie podobała mi się ta dziura Budowniczych z pulsującym czerwonym światłem, zastygłym w czasie trupem i jednym, łatwym do zablokowania wyjściem. W sumie po doświadczeniach w kopalni Crptipa cieszyłbym się, gdybym już nigdy nie musiał schodzić pod ziemię, dopóki nie przyszedłby czas, by opuszczono mnie tam w trumnie. – Walnij w to toporem, Snorri. Sposobem Północy!

– Musi być jakiś sposób, żeby go uwolnić... – Kara zaczęła obchodzić boks, jakby szkło mogło zdradzić coś więcej przy bliższych oględzinach.

Pozostawiłem jej to zadanie, a sam zerknąłem na zablokowanego w czasie trupa, by upewnić się, że się nie ruszył. Podeszedłem do drzwi. Jeśli vólva czegoś dotknie i wielki metalowy dysk zakołysze się na zawiasach, ja pierwszy wytarłam się z pomieszczenia, zanim szczelina się zamknie. Stałem pod ścianą, ziewnąłem, podrapałem się po przyrodzeniu i znów spojrzałem na zwłoki. Wciąż w tej samej pozycji...

Kara uciekła się do inkantacji, wyczerpała swoje zasoby i teraz przeklinała cicho w staronordyjskim. Wtedy dostrzegłem małe srebrne przyciski po wewnętrznej stronie drzwi, dziewięć guzików na panelu blisko środka srebrzystostalowego koła. Odczekałem chwilę. Kara przyłożyła dłonie do niewidzialnej powierzchni otaczającej Taproota, zamknęła oczy i zaczęła się koncentrować, mocno zaciskając powieki. Po dwóch minutach dostrzegłem na jej czole krople potu, wyglądające jak krew w pulsującym czerwonym świetle. Po kolejnej minucie trzęsła się z wysiłku.

– *Hruga uskit'r!* – Kara wyrzuciła w górę dłonie. – Daj mi ten cholerny topór.

– Sięgnęła po Hel, ale Snorri odsunął broń poza zasięg jej rąk.

– Albo moglibyśmy po prostu nacisnąć te guziki – powiedziałem i sięgnąłem, by wcisnąć trzy naraz.

– Nie! – Krzyk Kary rozbrzmiał pierwszy, nad nim wzniósł się głos Snorriego.

Było jednak za późno, by mnie powstrzymać. Światła zgasły, pogrążając nas w kompletnej ciemności. Chwilę później obok mnie rozległ się dźwięk, który mógł oznaczać jedynie zamykające się drzwi – głuchy, metaliczny szcęk, równie nieodwołalny jak wyrok sędziego skazujący kogoś na śmierć.

– Obożewszyszczginiemytuwtejdziurze! – Słowa uciekły mi na jednym wydechu.

– Jal! – Ostra reprimenda od Kary, opiekuńczej wobec swojego małego podopiecznego.

– Nie masz klucza? – zapytał Snorri niewzruszonym głosem. – Bez klucza to owszem, możemy wszyscy tu zginąć.

– Klucz! – Sięgnąłem po małeńkie czarne błogosławieństwo Lokiego, macając pod kurtką w poszukiwaniu wybrzuszenia. Chwila ulgi okazała się krótka. Nic! – Gdzieś jest Gdzieś go włożyłem! – Zacząłem dzikie poszukiwania palcami otepiałymi ze strachu.

– Poczekaj chwilę! – warknęła Kara. – Mam orichalcum. Zaraz je wyciągnę i będziemy mogli zobaczyć...

– Mam go! – Znalazłem klucz. Ześlizgnął się na rzemieniu i zawisł niemal pod moją pachą. Wyciągnąłem go, zdjąłem rzemień przez głowę i mocno chwyciłem szklaną powierzchnię klucza. Gdy zacisnąłem na nim palce, usłyszałem odległy śmiech. Może go sobie tylko wyobraziłem, ale zdawał się szydzić ze mnie w ciemnościach. – Pospiesz się z tym światłem! – Wyciągnąłem klucz przed siebie niczym broń, gotów strzec się przed niewidzialnymi strachami, i dałem krok naprzód, machając nim. Jakimś cudem straciłem orientację i dwudziestotonowe drzwi zabawiły się ze mną w ciuciubabkę.

Coś wylądowało przede mną na podłodze z miękkim pacnięciem. Zamarłem. Zapadła cisza, jeśli nie liczyć Kary znów mamroczącej przekleństwa w staronordyjskim, gdy szukała orichalcum w swych spódnicach.

– Co to za smród? – Snorri pociągnął nosem. – Wali jak z ładowni łodzi w pełni lata.

Też to poczułem. Musiałem pomacać się, żeby sprawdzić, czy to czasem nie rzecz, jaką wyciskały ze mnie momenty ślepej paniki, ale to było coś jeszcze mniej przyjemnego niż nieczystości. Przypominało mi lochy z tyłu budynku w więzieniu dłużników w Umbertide. Smród śmierci.

– Aha! – W dłoni Kary rozbłysło światło, ponownie wyławiając komnatę z mroku.

Błyszczące drzwi znajdowały się za moimi plecami. Tuż przede mną leżały zwłoki gnijącego Budowniczego, teraz w luźnej kupie na podłodze. Naszedł mnie odruch wymiotny i cofnąłem się gwałtownie.

– Jak on...

– Wypuściłeś go! – Hennan wskazał klucz w mojej dłoni.

– Spróbuj z Taprootem. – Snorri skinął na doktora, wciąż zamarłego w swoim wycinku czasu.

Zerknąłem do tyłu na drzwi, pragnąc najpierw zabezpieczyć naszą drogę ucieczki, ale Snorri ponaglił mnie machnięciem ręki. Wzruszyłem ramionami i podszedłem do Taproota. Kara i Hennan odsunęli się, by mnie przepuścić.

– Zrób to, co przed chwilą – powiedziała völvva.

Dźgnąłem kluczem w stronę Taproota, oczekując, że w coś uderzę, ale poczułem tylko puste powietrze.

– Cóż, na trupa podziałało...

Kara zmarszczyła brwi i sięgnęła ku nieruchomemu mężczyźnie przed nami. Uniosła brwi, gdy jej dłoń nie napotkała żadnej bariery.

– Nie rozumiem.

– Mrugnął! – zawołał stojący obok mnie Hennan. – Widziałem.

Kara podeszła o krok bliżej, sięgnęła dalej i musnęła palcami ramię Taproota.

– Droga pani! – Taproot cofnął ramię i zgiął się w ukłonie, przed którym Kara ledwo umknęła, wycofując się szybko. – Wspaniale cię poznać. Książę Jalań Kendeth! Snorri ver Snagason! Nieoczekiwana przyjemność. A kim jest ten młody mężczyzna? Obiecujący młodzieniec, bez dwóch zdań. – Elegancko zszedł w miejsce zwolnione przez Karę i opuścił boks. – A cóż to za interesujący klucz, książę Jalań!

– Co ty tu, u diabła, robisz, Taproocie? – Omiotłem ręką nasze otoczenie, w razie gdyby go nie spostrzegł.

– Ach. – Doktor zmarszczył brwi i znów zerknął na naszą czwórkę. – Uwięziła mnie wiedźma. W jednej chwili zajmowałem się swoimi sprawami, a w następnej już byłem przeklęty. Zdarza się nawet najlepszym. – Taproot ominął mnie płynnym ruchem węgorza i skierował się w stronę drzwi.

– Mamy skrzynkę z twoim obrazem w środku – wtrąciła Kara. – Ten obraz doprowadził nas tu...

– No właśnie! – odezwałem się, zagłuszając ją, by odzyskać kontrolę nad rozmową. – Mały gadający ty. Był młodszy i plótł dużo bzdur, ale powiedział, że jesteś w niebezpieczeństwie, i kazał nam tu przyjść.

– Naprawdę? – Taproot odwrócił się i spojrzał na mnie, jakbym był chory. – Mały ja? Brzmi jak kolejne hokus-pokus. Jednak faktycznie byłem uwięziony, więc okazaliście mi nadzwyczajną pomoc. A teraz wydostaliśmy się stąd

wreszcie...

– Byłeś w skrzynce Budowniczych, Taproocie? – zrobiłem z tego pytanie.

– Tak, tak – Jakimś cudem prześlizgnął się między mną i Karą i sięgnął do drzwi.

– Jesteś Budowniczym – odezwał się Hennan.

Te słowa zdołały zatrzymać Taproota tam, gdzie fizyczna blokada zawiodła. Zamarł z jedną ręką na kontrolce z przyciskami na środku drzwi.

– Czyż dzieci nie mają najdziwniejszych pomysłów? – Doktor obrócił się na pięcie i spojrzał na nas z szerokim uśmiechem na swej wąskiej twarzy.

– Byłeś na dworze Ghollotha, kiedy moja babka była młodsza od Hennana, i prawie się nie zmieniłeś – rzekłem.

– Mam pospolitą twarz. Ludzie zawsze myślą mnie z... -Taproot zwiesił ramiona, porzucając swe ożywienie w połowie zdania. – Cóż, macie mnie. Wiedza to władza. Co zamierzasz uczynić z tą władzą, książę Jalandie?

Otworzyłem usta, ale nie wydobyły się z nich żadne słowa. Wydawało mi się, że to ja tu zadawałem trudne pytania.

– Przesypiasz tu lata? – Kara wskazała szklany boks, z którego wyszedł Taproot.

– Dekady, droga pani. Raz spędziłem w stazie wiek. Ale lubię spędzać trochę czasu na powierzchni w każdym pokoleniu, choćby tydzień lub dwa. W bardziej interesujących czasach zmienia się to nawet w kilka lat, okazjonalnie podejmuję też pracę.

– W jakim celu? – Pierwsze słowa Snorriego, odkąd Taproot ożył.

– Ach, dobre pytanie, Mistrzu Snagasonie.

– I dlaczego – przerwałem mu – już nie mówisz „No, no”?

– Gorsze pytanie, książę, ale mimo to ważne. No, no! – Doktor na moment wykrzywił usta w szerokim uśmiechu. – Poza. Ludzie pamiętają takie szczegóły o wiele dłużej niż twarze. Podczas moich wypraw do głównego nurtu czasu pomaga, gdy wybieram sobie jakieś dziwactwo. Jeśli natknę się na jakiegoś długowiecznego osobnika, który spotkał mnie podczas mojego poprzedniego wynurzenia, łatwo go przekonać, że podobieństwo jest przypadkowe, jeśli moje dziwactwo zniknęło, zastąpione przez coś innego. – Znow ten uśmiech. – Obawiam się, że moja gra czasem jest przejaskrawiona. Podczas pracy dla twojego prapradziadka ciągnąłem się za uszy. No, no! – Gwałtownie złapał się za ucho, po czym powoli cofnął rękę, ciągnąc za płatek ucha palcem i kciukiem.

– W jakim celu nas odwiedzasz? – powtórzył Snorri.

– Zawzięty! Jaki jest zawzięty! No, no! – Taproot okręcił się, by spojrzeć na wikinga. – Obserwuję. Wskazuję drogę. Pomagam nieco, tyle, ile jestem w stanie. Nie wybrano mnie do tego zadania. Kaprys losu dotknął mnie w Dniu

Tysiąca Słońc i przetrwałem. Robię, co mogę, tu i tam...

– A jednak gdy grozi nam katastrofa, wpelzasz z powrotem do swojej dziury – rzekła Kara. – Chciałeś przespać kolejne sto lat i przetrwać drugi Ragnarok?

Dłonie Taproota zaczęły odpowiadać przed jego ustami, wyrażając sprzeciw w powietrzu między nim a Karą.

– Droga pani, jeśli Koło obróci się za omegę, nie będzie mowy o żadnych kryjówkach. Nawet sam czas spłonie. – Doktor strzepnął nieistniejące okruszki z przodu swej koszuli z szerokim kołnierzem. – Przyszedłem tu porozmawiać z głęboką siecią. Prymitywne, wiem, ale w tych dniach to góra musi przyjść do Mahometa. Gdy próbowałem wyjść, górne drzwi były zaklinowane, a zewnętrzne czujniki nie odpowiadały. Dane z satelity wskazywały na jakiś rodzaj eksplozji. Nie zabrałem ze sobą na dół żadnego jedzenia, więc nie miałem innego wyboru – wysłałem sygnał alarmowy, pograżyłem się w stazie i czekałem, by zobaczyć, czy nadejdzie pomoc. – Rozłożył ręce. – I oto jesteście!

– Zrozumiałem mniej więcej połowę twojego wyводу – skłamałem. – Ale wydaje mi się, że główna sprawa to: jesteś Budowniczym i zamierzasz uratować świat, więc nie muszę jechać do Osheim. Prawda?

– Gdyby tylko tak było, książę Jalandre. – Klucz w mojej dłoni zdawał się przyciągać wzrok Taproota. – Ale moi pobratymcy nie okazali się szczególnie umiętni w ratowaniu świata, czyż nie? Projekt IKOL był nieprzemysłany, a jego konsekwencji nikt w pełni nie rozumiał. Technologia niezbędna do bezpiecznego wejścia do stanowiska kontrolnego już nie istnieje, a gdyby ktoś zdołał jednak tam wejść, likwidacja projektu jest w zasadzie niemożliwa. Nawet w tamtych czasach nie sprowadzałyby się to wyłącznie do przesunięcia pstryczka na „wyłącz”. Po tak zaawansowanej przemianie potrzebna by była zupełnie nowa dziedzina nauki, by to osiągnąć. Może pierwotny personel zdołałby odnieść sukces po jakiejś dekadzie badań. A może nie. A mówię o ludziach, którzy zaprojektowali całą rzecz, którzy rozumieli teorię lepiej niż ktokolwiek inny na tej planecie. – Taproot wyglądał tęsknie, jakby był przeciążony wspomnieniami.

– A to by dało radę? – Podniosłem klucz, ponownie przyciągając uwagę Taproota. – Zrobił go bóg.

Taproot przekrzywił głowę, wpatrując się w klucz Lokiego. Zmarszczył brwi i sięgnął do kieszeni po soczewkę wmontowaną w srebrną obręcz. Przyłożył ją do oka i pochylił się, by obejrzeć przedmiot z bliska.

– Ten, kto go zrobił, dał mi moją pierwszą pracę. – Wyprostował się z uśmiechem. – Wspaniałe dzieło. – Znów spojrzął na nas wszystkich, rozglądając się. – Sprytne. Bardzo sprytne... To możliwe. Mało prawdopodobne, ale możliwe. Jak zamierzacie dostarczyć go na miejsce?

– Pójdziemy – powiedział Snorri.

– Pojedziemy – powiedziałem ja. Nachodziłem się już tyle, że starczy na całe życie.

Twarz doktora Taproota sposepniała. Zmiana w jego wyglądzie mogłaby być komiczna, gdyby nie wróżyła tak źle dla mnie.

– Nie macie pomocy? Żadnego planu?

– Plan, zdaje się, polega na tym, że idziemy do Koła i wyłączamy silniki, które je napędzają – odparłem kwaśno. – Myślisz, że to raczej praca dla jednej osoby, Taproocie?

– Jednej, jednego tysiąca, nie robi to wielkiej różnicy. – Jego dłonie znów zaczęły wykonywać ruchy, w jakich zastygły podczas staży. – To twoje sny cię tam rozerwą. Każdy człowiek jest ofiarą własnej wyobraźni, sami niesiemy ziarno samozniszczenia. – Postukał długim palcem w czoło. – Koło karmi się twoimi lękami.

– Zatem potrzebujemy nowego planu... Potrzebujemy...

– Nie ma innego planu – przerwał mi Snorri. – Taproot patrzył, jak minęło tysiąc lat. Jemu podobni ludzie zbudowali Osheim, sprawili, że to wszystko się stało. Antyczne maszyny dzielą się z nim swoimi tajemnicami. A mimo to nie zatrzymał powolnego toczenia się świata ku nicości.

– To prawda. – Taproot skrzyżował ramiona. – Idźcie do Osheim. Może klucz... – Komnata zadrżała. – Powinniśmy stąd zniknąć.

Już byłem przy drzwiach, przyciskając klucz Lokiego do guzików.

– Otwórzcie się!

Ciężkie koło bezszelestnie się uchyliło.

– Cóż, to dodaje otuchy – odezwał się Taproot obok mnie. – To nie jest prosty zamek.

Odsunęliśmy się na bok, by Kara i Hennan mogli przejść. Powołałbym się na galanterię, ale prawda była taka, że völva niosła światło. Zerknąłem na pomieszczenie po raz ostatni, zanim ponownie przeszło we władanie cieni. Przerazająca, gnijąca głowa martwego Budowniczego patrzyła, jak odchodziliśmy.

– Mógłbym przysiąc... – Że patrzyła w drugą stronę, kiedy upadła. Zacząłem deptać Snorriemu po piętach, przeklinając, by się pospieszył. Gdy wszyscy wyszliśmy z komnaty, przycisnąłem klucz do kontrolki po zewnętrznej stronie drzwi i kazałem im się zamknąć.

Kara i Hennan już się wspinali, wysepka światła w szybie nad nami.

– Ruszaj. – Klepnąłem Snorriego w ramię. – Jak dzieciak spadnie, ty będziesz go łapał.

Skorzystałem z okazji, by przedyskutować moją sprawę z Taprootem na

osobności, w mroku pod tunelem z uchwytami.

– Słuchaj, nie mogę jechać do Osheim. Mówisz, że żywi się lękami. Chryste, ja cały składałam się z lęków. Lęków i kości. To wszystko, co mam. Jestem najgorszą osobą, którą można by tam wysłać – absolutnie najgorszą. Ty powinieneś iść ze Snorrim. Słuchaj, po prostu dam ci klucz i...

– Mam inne rzeczy do zrobienia. Echa danych w głębokiej sieci...

– Co?

Taproot westchnął.

– W maszynach pod ziemią istnieją duchy Budowniczych. One też ulegną zagładzie, jeśli Koło obróci się za daleko. Nie mogą w bezpieczny sposób zatrzymać silników Koła, ale silniki obracają Koło wyłącznie dlatego, że korzystamy z mocy, jaką nam ono daje. Nie mogą zatrzymać silników, ale mogą zatrzymać to, co napędza silniki.

To brzmiało przygnębiająco znajomo. Babka powiedziała coś podobnego.

– Nas?

– Tak. Istnieje frakcja rosnąca w siłę, która chce użyć niewykorzystanych dotąd arsenałów nuklearnych, by zetrzeć ludzkość z powierzchni ziemi. Jeśli zabraknie ludzi korzystających z... magii, Koło przestanie się obracać.

– Co możesz zdiełać? – Duch Kendetha, którego Garyus przywołał ze skrzynki, też o tym wspomniał. Miałem nadzieję, że kłamał.

– Mogę z nimi rozmawiać. Zbierać dowody. Politykować. Opóźniać. A opóźnienie przyda się tylko wtedy, kiedy ktoś inny w tym czasie będzie działał.

Wyciągnąłem rękę i wymacałem w ciemności uchwyt

– Mówię tylko, że w zasadzie każdy nadawałby się do tego zadania lepiej niż ja. – Zacząłem się wspinać.

– Strach jest niezbędną miarą, bez której prezentowanie ryzyka i konsekwencji nie miałyby sensu.

– Co? – Znowu zaczął wygadywać głupoty.

– Każdy się czegoś boi, książę Jalenie. Klucz został zaprojektowany, by odblokowywać rzeczy. Skoro zebrał waszą czwórkę, być może macie największą szansę, by dostać się do Osheim.

To jakby miało sens. Rozmyślałem nad tym podczas wspinaczki. Gdy byłem już wysoko, straciłem wątek i zacząłem się bardziej przejmować bólem w ramionach i pilnowaniem, żeby nie spaść.



Staliśmy wraz z doktorem Taprootem przy roztrzaskanej bramie fortu, wyspie pośród morza mgły. Niebo nad nami było czarne i usiane diamentami.

– Musisz iść z nami! – powiedziałem. – Kto mógłby nam bardziej pomóc w zatrzymaniu Koła niż prawdziwy, żywy Budowniczy? To wy zbudowaliście tę piekielną maszynę!

– A ja spędziłem tysiąc lat na nieudanych próbach wyłączenia jej napędu – odparł Taproot. – Klucz zebrał w jednym miejscu wszystko, czego trzeba do tego zadania. – Rozłożył ramiona, wskazując naszą czwórkę. – Gdyby moja obecność była niezbędna, by plan się powiódł, klucz nie pozwoliłby mi odejść, znalazłby sposób, by mnie tu zatrzymać. Tak właśnie działa. Loki to chytry drań. Więc trzymajcie się swojego planu. Jedźcie do Osheim i spróbujcie użyć klucza.

– To twoja najlepsza rada, Taproocie? Spróbować użyć klucza? – Snorri nie był pod wrażeniem.

– Musisz mieć w zanadrzu coś więcej. – Starłem się nie jęczeć. – Gdzie mądrość wieków? Pytam się! W końcu jesteś starszy od mojej babki. Do diabła, jesteś starszy od babki Kary. – Machnąłem ręką w stronę völvy. Przy Taproocie trzysta lat Skilfar było jak wiosna życia.

Doktor uśmiechnął się przepraszająco i wskazał nocne niebo.

– Światło słońca jest nowonarodzone, gorące od płomieni nieba i zdradza okrutne prawdy, jak to młodzi mają w zwyczaju, ale światło gwiazd jest wiekowe i sięga do nas przez niewyobrażalną pustkę. Pod gwiazdami wszyscy jesteśmy młodzi.

– Bardzo ładne – powiedziałem. – I bezużyteczne.

– Mój szef miał taki napis na samplercie za swoim biurkiem. – Taproot wzruszył ramionami.

– Loki? – zagrzemiał Snorri z twarzą jak maska. – Pracowałeś dla Lokiego?

– Uwierz mi, nic dobrego ci nie przyjdzie z tej wiedzy. – Doktor zaczął kierować się przez gruzy w stronę falistego morza mgły zalewającego zbocze pod nami.

– Uwierzyć ci? – zawołałem za nim. – Loki jest ojcem kłamstw! – Pomyślałem o Aslaug. Nawet ona ostrzegała mnie przed Lokim.

– Kłamstwo może być zbudowane z wielu prawd, a prawda jest zbudowana z niezliczonych kłamstw sięgających nieba. – Taproot pomachał do nas przez ramię swoją długopalczystą dłonią. – Powodzenia na waszej wyprawie. Zrobię, co w mojej mocy, by kupić wam trochę czasu. Nie zmarnujcie go.

Stał po kolana we mgle, jej powolne prądy sięgały coraz wyżej, by owinąć go bielą. Jeszcze trzy kroki i już go nie było.

Następnego dnia znalazłem w kieszeni przy biodrze jego soczewkę. Szukając monety, odkryłem chłodną, gładką powierzchnię szkła i wyciągnąłem srebrną obręcz. Doktor musiał ją tam wsunąć, może kiedy staliśmy na dnie szybu. Wyciągnąłem ją do słońca, by zamigotało przez nią światło.

– Co to? – Hennan pokierował konia w moją stronę. Stał się dobrym jeźdźcem.

– Tylko jakaś zabawka. *Patrz, no.* – Zbliżyłem ją do oka i zerknąłem na chłopca. Wyglądał tak samo. Wzruszyłem ramionami i wsunąłem soczewkę z powrotem do kieszeni.

Przez dwa kolejne dni jechaliśmy przez coraz bardziej zniszczony wojną kraj. Dopędziliśmy ariergardę armii Czerwonej Królowej i wkroczyliśmy do przedmieść Blujen. Obozowaliśmy w deszczu. Kołki naszego namiotu wbiliśmy w błoto poczerwiałe od popiołów. W lesie szalały pożary, płonęły jego krańce na zachodzie i ruiny przed i za miejskimi murami. Płomienie migotały w oknach pustych kamiennych skorup, będących kiedyś domami bogaczy.

Tłoczyliśmy się w czwórkę w namiocie, który byłby w sam raz tylko dla mnie i Snorriego. W świetle orichalcum patrzyliśmy, jak deszcz kapie przez nawoskowaną tkaninę. Kilka kompanii mediolańskich żołnierzy miało swoje obozy wokół nas. Na przedniej tyłce naszego namiotu powiesiliśmy proporzec ze skrzyżowanymi włóczniami Czerwonej Marchii, na wypadek gdyby patrole zechciały przerobić nas na szaszłyki przez materiał, a dopiero potem zadawać pytania. Rankiem mieliśmy odbyć podróż po gruzach bramy i miasta Blujen, by odnaleźć Czerwoną Królową. Na taką wycieczkę lepiej się udać w świetle dnia, jeśli ma się nadzieję ją przeżyć.

Od czasu do czasu noc przerywał odległy krzyk Żołnierze Czerwonej Marchii wciąż grali pośród płonących ruin w śmiertelną grę w chowanego z ocalałymi obrońcami Slov. Miałem nadzieję wejść tam i wyjść jak najszybciej. Podobno dwie slovskie armie znajdowały się o kilka dni stąd, ich zwiadowcy już krążyli po polach zaledwie milę od murów Blujen.

Sen nadszedł prędko, jak to bywa pod koniec dnia, podczas którego przebyło się trzydzieści mil. Leżałem bez snów, dopóki Kara nie obudziła mnie,

przeczołgując się nade mną w stronę klap namiotu. Jej włosy otarły się o moje usta. Wymknęła się w noc, a z nią odszedł mój sen. Leżałem osamotniony w ciemnościach, sam na sam z myślami. I chrapiącym wikingiem oraz chłopcem, który kopał przez sen. W takich okolicznościach czas płynie wolno, ale nawet jeśli weźmie się to pod uwagę, przychodzi moment, w którym człowiek zdaje sobie sprawę, że już nie zaśnie, völva była nieobecna zbyt długo, by chodziło jedynie o załatwienie naturalnej potrzeby, i że żadna pozycja nie pomaga na ten kamień wbijający się w plecy.

Wyszedłem z namiotu i zobaczyłem, że deszcz ustał, a Kara siedziała na wałącym się murze, obserwując powolne ruchy gwiazd ponad strzępiastymi chmurami.

– Sprawdzasz mnie? – zapytała, gdy podszedłem bliżej, potykając się na nieznanym gruncie.

– Chciałbym, żeby ludzie częściej sprawdzali, co ze mną – odparłem. – Zazwyczaj potrzebuję pomocy.

– Twoja babka i jej siostra mają Błękitną Damę w potrzasku. – Kara skinęła głową w stronę łuny nad dachami Blujen.

– Zasłużyła na to, co ją czeka. – Stałem teraz blisko Kary, opierając się biodrem o mur, na którym siedziała. – Zasłużyła na to wszystko.

– Czy aby na pewno? – Kara zacisnęła usta i znów skierowała uwagę na gwiazdy.

Otworzyłem usta, ale przez chwilę słowa nie chciały z nich wyjść.

– Oczywiście! Karo, ona chce spalić cały świat! Nie stodołę, wioskę czy... – rozejrzałem się wokół – ...miasto. Cały cholerny świat. Tylko po to, by mogła zostać cesarzową ognia.

Kara zagryzła wargę.

– Koło się obraca. Mądrzy ludzie mówią, że nie da się go zatrzymać. Błękitna Dama tylko popycha je trochę mocniej. Wybiera własny czas na koniec. Czas, w którym nieliczni mogą przetrwać. Skoro zbliżający się koniec jest tak okropny, dlaczego nie sprowadzić go nieco wcześniej?

– Tak! – Rozłożyłem ręce i posłałem jej pełne niedowierzania spojrzenie. – Hennan pewnego dnia umrze... zadźgajmy go teraz, może do czegoś nam się to przyda? Błękitna Dama zasługuje na wszystko, co Babka zamierza jej zrobić.

– Pewnie zasługuje, ale to nie to samo co bycie w błędzie. Myślałeś o tym, co robimy, Jalenie?

– W zasadzie nie myślałem prawie o niczym innym. Ostatnią rzeczą, na którą miałem mniejszą ochotę niż pójście do Osheim, było pójście do piekła.

Na te słowa Kara spojrzała w stronę namiotu.

– Rozmawiałeś z nim już?

– O Osheim?

Zmrużyła oczy, spoglądając na mnie.

– O Hel. O tym, co się stało, jak już go opuściłeś.

– Ja go nie... – Jej gniewne spojrzenie sprawiło, że nie zaprzeczałem dalej. – Mówi, że odnalazł spokój. Nie chce rozmawiać.

– Mężczyźni. Idioci, co do jednego. Duży czy mały, młody czy stary. – Kara pokręciła głową. – On potrzebuje rozmowy. Nic się nie skończyło, dopóki nie opowie przyjacielowi, co zaszło. Każdy głupiec to wie. A jemu zostałeś tylko ty.

– Hmm. – Przeprowadzenie *tej* rozmowy ze Snorrim dostałoby dość wysokie miejsce na liście rzeczy, których nigdy nie chciałem zrobić. – Co dokładnie miałaś na myśli, kiedy wcześniej powiedziałaś, że może Błękitna Dama się nie myli? Klucz może nas uratować... prawda? To nie jest daremny trud? To znaczy... nie przeszkadzają mi małe szanse... – W sumie przeszkadzały, i to bardzo. – Ale samobójcza misja?

– Skilfar uważa, że nawet jeśli zdołamy wyłączyć maszynę Budowniczych w Osheim, zyskamy tylko trochę więcej czasu. Maszyna pcha nas ku zagładzie, ale jeśli przestajesz coś popychać, często ta rzecz toczy się dalej sama, a jeśli doturla się do zbocza, może toczyć się dalej, dopóki nie spadnie na samo dno.

– Skilfar tak uważa? Skąd miałyby to wiedzieć? I skąd ty wiesz, co ona wie?

Kara się uśmiechnęła, co przypomniało mi, jak kiedyś się w niej zadurzyłem.

– Indywidua takie jak moja babka potrafią sięgnąć do wytrenowanych umysłów na dowolną odległość, a gdy ona postanowi ze mną porozmawiać, mogę jej odpowiedzieć.

Ciepłe uczucia, które się we mnie obudziły, znikły w jednej chwili, gdy wyobraziłem sobie Skilfar obserwującą mnie oczami Kary. Na moment wyobraźnia domalowała zmarszczki na twarzy völvy, napięła skórę tu, poluzowała tam, wyostrzyła to, stępiła tamto i zrobiła z niej lodową wiedźmę, obrzucającą mnie najzimniejszym spojrzeniem.

Kara przeczesła ręką włosy, jakby szukała w nich run, które kiedyś nosiła. To mnie otrzeźwiło.

– Więc powinniśmy po prostu się poddać, bo może nic nie zdziałamy? – Nie byłem tak przeciwny temu pomysłowi, jak mogło sugerować moje pytanie.

– Klucza można użyć, by złagodzić przejście od tego, co wydarzy się przed koniunkcją, do tego, co przyjdzie potem. Niektórzy mogliby stwierdzić, że lepiej byłoby użyć klucza, by dostać w spadku przyszłość, niż podejmować takie ryzyko, by spróbować ocalić przeszłość.

– Ale jeśli Koło obróci się za daleko, wszystko spłonie. Tak mi wszyscy powtarzają!

– Błękitna Dama sądzi, że potem coś nastanie. Coś zupełnie innego niż

wszystko, co znamy. A ci, którzy przetrwają koniunkcję, staną się bogami w nowym świecie. Nie ona niszczy ten świat, tylko Budowniczości i ich Koła. Ona nie może tego zatrzymać. Ani twoja babka. Ani Skilfar. Wszyscy zmierzamy ku wodospadowi i nie ma znaczenia, jak mocno wiosłujemy... i tak wszyscy spadniemy. Błękitna Dama po prostu wiosłuje w stronę przepaści, bierze rozpęd, by skoczyć ku czemuś nowemu. Nie dba o Martwego Króla, nie pragnie tego co on. On jest jedynie narzędziem, którego używa, by rozbić świat prędeż.

– Rozmawiałaś z nią! – Wiedziałem, że to była prawda, gdy tylko wypowiedziałem te słowa.

– Widziałam ją w moim lustrze. – Kara wzruszyła ramionami. – Nie jest diabłem, a ja nie jestem owcą, która ślepo za kimkolwiek podąży. Słucham. Rozważam. Formułuję własną opinię.

– I? – Rozłożyłem ręce.

– Jestem niezdecydowana. – Wyprostowała się i ześlizgnęła z muru. Krople deszczu zaczęły spadać wokół nas.

– Ale ona jest zła! Widziałem, jak zabiła...

– Mówisz, że jest zła, bo jedną z osób, które musiały zginąć w imię jej sprawy, była twoja matka. Ale sprawa Czerwonej Królowej doprowadziła do śmierci tysięcy, w tym wielu matek. Rozejrzyj się. – Machnęła ręką w stronę ruin.

– Ja... ja uważam... – Próbowałem znaleźć słowa, by wytłumaczyć jej, że się myli. – Większość z nich pewnie uciekła.

– Twoi ludzie to najeźdźcy. Snorri powiedział mi, że widział jednorękiego mężczyznę, który cię torturował, w barwach Czerwonej Marchii, tu w Blujen, idącego wraz z żołnierzami.

– Jaśka Obrzyna? – Odkryłem, że obejmowałem się ramionami, a noc wydała mi się chłodniejsza i pełna strachów. – Myślałem, że ten drań już gryzie piach.

– Ludzie, którzy potrafią szybko wydobywać informacje z jeńców, są pożądani na wojnie, Jal.

– To pomyłka. Czerwona Marchia nie ma inkwizycji. Jesteśmy tymi dobrymi... Powiem o tym królowej. Ja...

– Spójrz za mur. – Słowa miękko wypowiedziane w noc.

Deszcz padał teraz mocniej, a ja nie chciałem spojrzeć za mur.

– Podejmij własną decyzję, Jal. Ale zrób to z otwartymi oczami. – Kara przeszła koło mnie, zmierzając do namiotu.

Deszcz zaczął lać, a chmury skradły blask księżyca i gwiazd, ale język ognia wciąż lizał stos poczerniałych belek dziesięć jardów za murem, na którym siedziała wcześniej Kara. Przeklinając, zgarbiłem ramiona dla ochrony przed chłodem kropli i wychyliłem się za mur, w miejscu, gdzie był najniższy.

U jego stóp leżały skulone zwłoki dziewczyny. Leżały tam przez całą naszą rozmowę, także wtedy, gdy rozkładaliśmy namiot i gdy spaliśmy, z oczami wpatrzonymi w niebo wypełnione zimną wodą. Połowa jej twarzy była spalona na węgiel, skóra odchodziła ciemnymi płatami, ale byłem w stanie poznać, że była młoda, nawet śliczna. Włosy miała tak długie i ciemne jak moja matka. Prawie się cofnąłem, nie zauważając, że zawiniątko przy jej piersiach było niemowlęciem. Żałuję, że tak się nie stało.

Szarym rankiem następnego dnia weszliśmy do Blujen w zimnym deszczu. Łzy dla poległych.

Oddział dziesięciu żołnierzy piechoty Czerwonej Marchii odeskortował nas przez główną ulicę miasta. Ogień zniszczył wiele śladów walki, ale nie musiałem wyteżać wzroku, by je dostrzec. W jednym miejscu znajdował się stos ciał, cywile w mundurach z błota leżeli w cichej stercie. Martwy Król wysłałby ich w pościg za mną, jeśli zostałbym tu na tyle długo, by zauważył klucz. Widziałem żołnierzy znoszących drewno na stos, robiących sobie przerwy i narzekających na swój ładunek. Gdyby byli na murach Vermillionu tydzień temu, biegliby pędem, żeby go zbudować!

Dostrzegliśmy wieżę, zanim zobaczyliśmy jakikolwiek ślad Czerwonej Królowej lub jej sił. Powiedziałem, że dostrzegliśmy wieżę, ale tak naprawdę było to jedynie połyskujące odbicie nieba, a gdy podjechaliśmy bliżej, nasze własne odbicia wypaczyły się wraz z otaczającymi nas ruinami na powierzchni lustrzanej ściany. Powiedziano mi, że wieża była jak każda inna, wysoka, zbudowana z kamienia, z okręgiem wąskich jak szczeliny okien pod pokrytym dachówką stożkowym dachem. Gdy dotarli do niej pierwsi żołnierze, lustrzana ściana wyskoczyła i trzymała się do tej pory, odporna na ataki, odbijając przemoc rozgrywającą się dookoła niej.

Żołnierze okupujący ruiny, usmarowani popiołem i błotem, niektórzy ranni, obserwowali nas twardym wzrokiem. Musieli mnie znać jako marszałka, który pozwolił Vermillionowi spłonąć. Niektórzy ponuro kiwali głowami, gdy ich mijaliśmy. Może wiedzieli, jak Czerwona Królowa nagradza takie porażki, i mi współczuli.

Zaprowadzono nas do królewskiego namiotu, szkarłatnego gmachu, przy którym namioty generałów i stojące za nimi namioty lordów Babki wyglądały jak karły. Sir Robero, jeden z bardziej doświadczonych uczestników kampanii Babki z czasów konfliktów ze Scorrone, zajął się Normanami, a mnie poprowadziło dalej dwóch królewskich strażników. Przy wejściu oddałem swój miecz i sztylet.

Namiot Babki był lepszy niż mój: jedwabna zewnętrzna powłoka, opinająca bardziej wytrzymały woskowany filc, wydawała się nie dopuszczać do środka

najgorszych oznak slovskiej jesieni, choć z satysfakcją odnotowałem z jednej strony misę do zbierania wody, karmioną regularnym kap-kap-kap ze szwu w tkaninie nad nią.

Strażnicy i oficerowie odsunęli się, by zrobić mi przejście do drewnianego tronu królowej. Pachniało mokrymi ciałami i starym potem. Tuzin latarni nie rozpraszał do końca mroku, a bogate dywany pod moimi stopami pokrywała gruba warstwa błotnistych śladów. Babka siedziała prosto, ale wyglądała starzej, jakby od naszego ostatniego spotkania przybyło jej dziesięć lat. Jej ciemnorude włosy przeplatały stalowosiwe kosmyki.

– Opowiedz mi o moim mieście.

Ile już wiedziała? Nie widziałem w tłumie Milczącej Siostry. Wyprostowałem się przed Czerwoną Królową, teraz zgarbioną na tronie, i w półmroku opowiedziałem o losach Vermillionu. I w całej tej historii o podpaleniu połowy miasta, by ocalić część leżącą wewnątrz murów, o perfidii jej syna i o śmierci moich braci... zapomniałem kłamać.

– A teraz jedziemy do Osheim z kluczem Lokiego, zgodnie z rozkazem namiestnika. – Po moich ostatnich słowach nastąpiła cisza. Czekałem na wyrok

– Jest, jak jest. – Babka brzmiała na zmęczoną. Nigdy wcześniej nie widziałem jej zmęczonej.

– Ofiaruję ci klucz, Wasza Wysokość. – Ukląknę na jedno kolano i wyciągnąłem klucz, trzymając go w obu dłoniach. Dawne pragnienie, by go zatrzymać, w dużej mierze wykruszyło się, gdy okazało się, że stanowił mój bilet do Osheim. – Jestem pewien, że otworzyłby dla ciebie wieżę Błękitnej Damy.

– Kiedy pragnęłam go najbardziej... oddałeś go komuś innemu. – Babka wychyliła się do przodu, wyciągając sękatą dłoń. – Wydawałeś się głęboko przekonany, że to mój brat powinien zdecydować o losie klucza.

Zawarłem usta, wiedząc, że wykopałyby mi tylko głębszy grób. Klucz był lodowaty w moich rękach, jakby mógł mi się wyslizgnąć w każdej chwili.

Palce królowej sięgnęły po dar Lokiego, lśniący i czarny od kłamstw.

– Nie. – Dłoń zacisnęła się w pięść. – Garyus zasługuje na nasze zaufanie... na moją wiarę. Zabierzesz go do Osheim i odczynisz tę głupotę Budowniczych.

Wyrwało mi się westchnienie. Podnosząc wzrok, zacisnąłem klucz w dłoni.

– Wyślij kogoś bardziej odpowiedniego do tej roboty.

Babka obdarzyła mnie rzadkim uśmiechem, choć ponurym.

– To ty przypomniałeś mi o wartości mojego brata, Jalandre. Nie poparłabym jego planu, żeby zaraz potem zakwestionować wybranego przez niego bohatera.

– Bohatera? – Wybałuszyłem oczy, niezdolny całkowicie stłamsić wybuchu

głupiej dumy, która zaczęła mnie rozpierać.

– Poza tym – dodała Babka – masz ze sobą wikinga. On wygląda na kompetentnego.

Oczywiście błagałem o eskortę na podróż na północ, ale Babka była przekonana, że żołnierze Czerwonej Marchii przysporzyliby nam więcej kłopotów, niżby ich oszczędzili podczas wyprawy po krainach Imperium. Odparłem, że mogliby podróżować bez mundurów i dystynkcji, ale ona powtórzyła bzdury Garyusa o małych grupach przemykających bez problemu tam, gdzie większe zwracałyby uwagę. Prawdziwą niespodzianką było jednak to, że odrzuciła moją ofertę odkluczenia wieży Błękitnej Damy.

Czerwona Królowa wprowadziła mnie ze swego namiotu.

– Mur Mory Shival nie będzie się już długo opierał mojej siostrze.

Chwilę zajęło mi połączenie Błękitnej Damy z jej imieniem. Wołałem o niej myśleć, używając tytułu. Imię czyniło ją zbyt ludzką. Kiedyś była młoda, tak jak ja czy Kara.

Myślenie o niej w ten sposób było niewygodne. Rzeka czasu poniesie nas, powykręca w każdym wirze utworzonym przez prąd... kto wie, w co nas zmieni?

– Ale... jeden obrót klucza i... – Gestem pokazałem otwarcie bram.

Staliśmy sami, wiatr podszyty deszczem smagał nasze peleryny. Dwudziestu strażników stało dziesięć jardów za nami, a przed nami celował w niebo lustrzany palec wieży Błękitnej Damy.

– Mówią, że żaden deformag nigdy nie zdołał opuścić Koła. – Czerwona Królowa wpatrywała się w lustrzaną ścianę, jakby szukała w jej zniekształceniu jakiegoś sensu. – To nieprawda. Dwóm się udało. Mora Shival jest jedną z nich. W swojej wieży ma bramę, połączenie jej sztuki i nauki Budowniczych. Fraktalne szkło. Większość jej lustrzanych drzwi została rozbita, a te, które przetrwały, potłuką się, kiedy zawali się ta ściana. Jednak fraktalne szkło ocaleje, a wiedzie ono do...

– Osheim.

Babka skinęła głową.

– Chwileczkę. Skoro może uciec do Osheim. dlaczego tam nie poszła? Sama powiedziałaś, że armie na nic się tam zdadzą. Koło stanowi lepszą obronę niż ta jej ściana.

– W sercu Koła trudno wytrzymać nawet detormagowi. Dama ostatnio osłabła. Straciła zbyt wiele odbić, by przeczekać sytuację w Osheim bez ogromnego ryzyka. Ucieknie tam tylko wtedy, gdy nie będzie już miała żadnej alternatywy – albo na końcu wszystkiego, gdy światu zostanie mało czasu. Kiedy pukamy w jej ścianę, jej uwaga skupia się tutaj, a siły zużywa na

podtrzymanie swej obrony. Będziesz musiał znaleźć i zniszczyć jej wyjście w Osheim. Wtedy nadejdzie pora, by zburzyć jej barykady – kiedy nie będzie miała dokąd uciec. Żadnej kryjówki. Wtedy się z nią rozliczymy. – Czerwona Królowa zacisnęła szczęki, jakby wyobrażała sobie tę chwilę. – Gdy to zrobisz, moja siostra będzie wiedziała. Wtedy wykonamy nasz ruch.

– Nie widziałaś Osheim. Jest ogromne. Jak mam liczyć, że znajdę tam jedno lustro? – Jakby wyłączenie silnika Koła nie było dość niemożliwe, teraz musiałem jeszcze znaleźć igłę w stogu siana o średnicy pięciu mil.

– Będzie w samym środku. Znajdziesz je.

Po tym jak nie udało mi się oddać Babce klucza, nie udało mi się jej przekonać, żeby wysłała kogoś innego, i nie udało mi się uzyskać od niej armii do ochrony, pozostawała jeszcze tylko jedna droga ucieczki.

– A co, jeśli ona ma rację? – przywołałem argumenty Kary. – Skoro wszyscy zginiemy tak czy siak, jakie to ma znaczenie, czy świat spłonie dziś czy jutro? Dlaczego najsilniejsi i najmądrzejsi nie mieliby ratować siebie, jeśli nie mogą uratować całej reszty? Rozważałaś połączenie z nią sił? – Opuściłem część „i uratowanie mnie”.

Policzek nie był wielkim zaskoczeniem. Ani jego siła, która posłała mnie na ziemię z rękami przy twarzy.

– Jesteśmy Kendethami, Jalandie! – Babka stanęła nade mną. – Walczymy. Walczymy, gdy nie ma już nadziei. Walczymy, póki wciąż krąży w nas krew. – Podniosła mnie, jakbym był dzieckiem, a nie mężczyzną wysokim na ponad sześć stóp. – Walczymy. – Wbiła we mnie wzrok twardy jak krzemień. – Ta kobieta zabiła mojego dziadka. Przełatała jego krew w moim domu. Próbowwała mnie zabić, a gdy moje rodzeństwo chciało mnie obronić, zmieniło się... powykręcało w to, czym jest teraz. – Babka zniżyła głos, jej gniew ulatywał, ale wciąż trzymała mnie w żelaznym uścisku. – Ta kobieta żyła zbyt długo i poświęci przyszłość miliona ludzi, by samej przeżyć jeszcze wiele żywotów. Tak, chcę uratować moje miasto, kraj oraz ludzi. I tak, warto poświęcić moje i twoje życie, by dać im kolejny rok, miesiąc czy dzień. Ale tak naprawdę? W głębi duszy, Jalandie? Czerpię siłę z tego, że *nie pozwolę* tej suce wygrać. Podniosła rękę na mnie i na to, co moje. Zginie z mojej ręki. Nie będzie dla niej życia wiecznego. Nie będzie nowego świata. To wojna, chłopcze. Moja wojna. Jestem Czerwoną Królową – ja *nie* przegrywam.

Puściła mnie i opadłem stopami na ziemię. Wiedziałem, co mi powie. Wiedziałem też, że miała rację. A przynajmniej więcej racji niż Błękitna Dama. Trudno się jednak wyzbyć starych nawyków. Musiałem przynajmniej spróbować wszystkich dróg ewakuacyjnych.

– Jeśli zobaczę ją w Osheim, zabiję ją mieczem, który pozbawił życia moją

matkę. – Miałem własną zemstę, własny ogień i własną miarkę krwi Czerwonej Królowej w żyłach.

– Tak zrób. – Rzadki uśmiech na wargach Babki.

Westchnąłem i ciasniej owinąłem się peleryną.

– W takim razie mamy szczęście, że wyruszyłem do Osheim z kluczem. Inaczej cały plan by upadł.

Babka obróciła głowę, patrząc za mnie. Też się odwróciłem i spojrzałem tam gdzie ona. Za moimi plecami, niewygodnie blisko, stała Milcząca Siostra. Zaglądała mi w oczy swoim dziwnymi ślepiami, jedno miała ślepo białe i pełne tajemnic, drugie ciemne jak wszystkie dziury.

– Szczęście? Szczęście oszczędzamy na koniec rozgrywki – powiedziała Czerwona Królowa. – Będziesz potrzebował każdego jego skrawka, żeby porać się z Kołem. Tej przyszłości nikt nie widzi, nawet przebłąsku.

– W takim razie... będę się już zbierał. – Osheim brzmiało paskudnie, ale naprawdę nie chciałem stać między tymi dwoma przerażającymi staruchami ani chwili dłużej. – A jeśli... nasz plan zadziała? Co wtedy?

Babka znów wygięła usta w rzadko pojawiającym się uśmiechu, równie ponurym jak pierwszy.

– Świat będzie się kręcił dalej. Unikniemy końca, a raczej przesuniemy go w czasie. Złota Gwardia przybędzie w ciągu miesiąca, by zabrać mnie na Zgromadzenie, a Stu powtórzy te same argumenty, o których truło od czasów mojego dziadka. Być może tym razem naprawdę uda nam się wybrać nowego cesarza i połatać to nasze Rozbite Imperium.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że suchy syk obok mnie był śmiechem Milczącej Siostry. Uznałem go za sygnał, by odejść.

Snorri i Kara czekali na mnie z końmi obok największej z kilku hałd zapasów. Chłopca nigdzie nie było widać. Zazdrościłem mu swobody, z jaką mógł sobie odejść.

– Ruszamy? – Snorri podniósł głos, by dało się go usłyszeć w otaczającym nas zgiełku. Żołnierze Czerwonej Marchii pracowali jak mrówki. Ustawieni w rzędy pod dyktando ryczących mistrzów zaopatrzenia, rozpakowywali i rozdzielali spiętrzone zapasy jedzenia i sprzętu.

Skinąłem głową.

– Czekać na mnie na głównym trakcie, przy dużym kościele. Potrzebuję jeszcze chwili.

– Co? – Snorri przytknął zwiniętą dłoń do ucha, ale Kara już go popychała, kładąc mu rękę na piersi.

Obejrzała się na mnie przez ramię.

– Tylko nam teraz nie ucieknij!

Nie odpowiedziałem, ale odchodząc, zastanawiałem się, nie po raz pierwszy, czy Kara potrafiła czytać mi w myślach.

Włóczyłem się po ruinach bez celu, choć pozostawałem w granicach bezpiecznej strefy. Nie miałem ochoty tłumaczyć się pałającym pragnieniem zemsty słovskim bandom. Babka miała mocną pozycję i wielu doświadczonych żołnierzy, ale utrzymanie jej, aż dotrę do Koła Osheim i odetnę Błękitnej Damie ostatnią drogę ucieczki, będzie wymagało taktycznego geniuszu, by nie wspomnieć o wszystkich rodzajach szczęścia. Jej jedyną prawdziwą szansą była nadzieja, że król Lujan nie zrozumie, jaki miała cel, i zatrzyma swe siły w Julanie, myśląc, że Babka szykuje się do ataku na jego stolicę.

Dałem nura do pozbawionej dachu skorupy, będącej kiedyś budynkiem, by schronić się przed mżawką, niesioną zimnym jesiennym wiatrem tak, że pokrywała twarz warstewką wody i wpadała do oczu. Stojąc pod lukiem wejścia, rozważałem swoje opcje i odkryłem, że nie było ich wiele. Jakimś cudem znów wplątałem się w podróż na północ i wciąż byłem związany z wikingiem łańcuchami, których nie rozumiałem tak samo jak poprzednich. Niemal zostałem zaciągnięty do piekła wyłącznie za sprawą siły, jaką miała dobra opinia Snorriego na mój temat, choć ostatecznie to siła jego ramienia sprawiła, że tam wylądowałem, Teraz w jakiś sposób dobra opinia wielu osób – począwszy od królowej Czerwonej Marchii, na pogańskim dziecku skończywszy – pchała mnie do piekła na ziemi. Nie byłem pewien, w jaki sposób tak wielu ludziom udało się wsadzić haki pod moją zbroję. Wiedziałem tylko, że wcale mi się to nie podobało. Jalen, który zeskoczył z balkonu Lisy DeVeer, zacząłby uciekać i nigdzie by się nie zatrzymywał. Czy jeden rok naprawdę tak bardzo mnie zmienił?

Coś w usmolonym wnętrzu domu przyciągnęło mój wzrok Kiedyś był wspaniałą rezydencją. Zacząłem rozpoznawać przedmioty w stertach czarnych rupieci. Strzaskane popiersie rodzinnego świętego lub przodka, wyszczerbione skorupy popękanych waz. Popatrzyłem uważniej – miecz połamany na kawałki, jakby też był z ceramiki. Przesunąłem jego fragmenty butem, zauważając jasne krawędzie. Podeszedłem bliżej i pochyliłem się, by mieć lepszy widok. Dostrzegłem, że nawet ocalałe kawałki drewna, belki stropu, leżące na podłodze, poczerniałe od ognia, wydzielające w deszczu gryzący zapach, miały poszarpane krawędzie, jakby one też się roztrzaskały, wcale nie wzdłuż słojów. Wstałem, obracając się powoli Wszystko wokół mnie pod powłoką sadzy miało ostre krawędzie, jakby cały pokój pękł jak szkło od pojedynczego ciosu.

O ścianę przy łukowatej framudze, przez którą wszedłem, opierał się oprawiony obrazek Jedyna cała rzecz w tym miejscu. Podeszedłem do niego i palcem oczyściłem jego fragment. Sadza natychmiast odpadła po dotknięciu

koniuszka mojego palca. Nie jej część, ale wszystko. Spłynęła jak kawałek czarnego jedwabiu ześlizgujący się z wypolerowanego stołu. A pod nią... twarz mężczyzny, ale nie portret. Moja własna twarz patrzyła na mnie z zaskoczeniem z gładkiej, nieskazitelnej tafli sporego lustra.

– Witaj, Jalandie. – Ja to powiedziałem. Widziałem, jak moje usta formowały słowa. Ale to nie był mój głos.

– Zostaw mnie w spokoju! – To były moje słowa, ale usta mojego odbicia pozostały zamknięte. Patrzyło na mnie oczami, które nie należały do mnie. Spróbowałem się odwrócić, ale ten wzrok mnie przykuwał.

– Nie jestem twoim wrogiem, Jalandie. Pragniesz uciec. Chcę ci w tym pomóc. Jesteś pionkiem na planszy Czerwonej Królowej, a ona naraża cię na niebezpieczeństwo, cokolwiek byś robił. Mogę ci pomóc zagrać w twoją własną grę.

– Jesteś moim wrogiem – odparłem, chociaż miała rację w kwestii uciekania. – Ręce masz czerwone od krwi mojej rodziny i przyjaciół. Zbyt wiele jej było, bym mógł ci wybaczyć.

Uśmiechnęła się, usta wyglądały teraz bardziej jak jej niż moje, wygięte w kształt, który pamiętałem ze wspomnień młodości Babki.

– Najbardziej odstawiamy własne słabości, kiedy patrzymy na samych siebie, Jalandie. Obserwowałam cię, gdy spoglądałeś w lustro. Słyszałam tajemnice szeptań do twojego odbicia – wątpliwości, prawdy, każde wyznanie. Wszyscy wiedzieliśmy, że będziesz wyjątkowy. Ty albo twoja siostra. Więc obserwowaliśmy cię, ale kiedy Milcząca Siostra badała ścieżki, które mogły cię powieść przez wszystkie możliwe jutra, ja badałam człowieka, oceniałam jego wartość. Tchórz może sobie wybaczyć wszystko, Jalandie, jeśli ma odpowiednią wymówkę. Uwierz mi, że ukłucie zdrady, czy to wobec żywych, czy to wobec twoich zmarłych, będzie trwało jedynie chwilę w porównaniu z przyjemnościami, jakie na ciebie czekają. Wolność, by robić to, co chcesz, nieograniczona żadną kłopotliwą moralnością, wolność od tego uciążliwego głosu sumienia, który narzucili ci *inni*, którym cię zarazili.

– Kłamstwa – powiedziałem.

– Koło się obraca, Jalandie. Nie da się go zatrzymać. Nie da się uniknąć zmiany. Wszystko, co znamy, dobiegnie końca. Trzeba podjąć decyzję nie jak z tym walczyć, ale jak to przetrwać. Obserwowałam cię i ty, Jalandie, jesteś przede wszystkim osobą, która potrafi przetrwać.

– Kłamstwa – powtórzyłem, ale najgorsza z tego wszystkiego nie była jej pewność, że Koła nie da się zatrzymać. Najgorsze było, że miała rację co do mnie. Mógłbym odejść. Mógłbym zdradzić wszelką pokładaną we mnie wiarę, by ocalić własną skórę. Och, zrobiłbym to z bólem. Tak, przeklinałbym siebie i

popadł w przygnębienie... ale potem? Nie sędzę, by mnie to złamało – nie tak, jak złamałoby Snorriego, gdyby on kiedykolwiek uczynił podobną rzecz. To uczucie nie sięgało tak głęboko. Nie byliśmy ulepieni z tej samej gliny. Snorri był prawdą. Był nieugięty. Nieustępliwy. Dochować obietnicy albo zginąć, nic pomiędzy. A ja? Książę Jan był kłamstwem, które sobie wmawiałem, zmiennym, potrafiącym się przystosować, trwałym... osobą zdolną przetrwać. – Jak ktokolwiek mógłby przetrwać koniec wszystkiego?

I oto proszę. W zasadzie zdrada. Poprosiłem Błękitną Damę, by zasiała we mnie ziarenko nadziei. Moje odbicie wyglądało teraz jak my oboje – mieszanka – jej wiek na moich kościach, jej słowa na moich wargach.

– Ci, którzy posiadają moc, znają pewne sposoby. Prawdziwą moc, która pochodzi z umysłu, nie z tytułów, ziem czy dowodzenia wielkimi armiami. Zabiorę tych, którzy mi służą, przez koniunkcję sfer do nowego świata. Ale w ostatnim momencie muszą być blisko mnie. Na tyle blisko, bym mogła ich dotknąć.

– Wszystko, co muszę zrobić, to przejść przez twoją ścianę i dołączyć do ciebie w tej wieży, co? – W najlepszym razie była to wątła nadzieja, ale nie sądziłem, że tak szybko zwiędnie.

– Istnieje inny sposób. Dla człowieka z kluczem Lokiego.

– Zamieniam się w słuch. – Dłonią dotknąłem klucza.

– Serce Koła jest epicentrum burzy. Gdy światy roztrzaskają się jak lustro i wszystkie odłamki posypią się w dół, każdy w sercu Koła będzie mógł przejść bezpiecznie na drugą stronę. – W moim odbiciu nie zostało już dużo mnie, tylko moje oczy patrzyły z twarzy starej kobiety.

– Z tego, co wiem, nikt nie wybrałby tego miejsca, żeby w nim czekać.

– Silniki Koła wciąż zmieniają świat. Koło dalej się obraca, choć nigdy nie było to zamysłem Budowniczych. Silniki zbudowano, by obróciło się do pewnego momentu, a potem zatrzymało; by utrzymać je w miejscu, dać odrobinę magii każdemu Budowniczemu i zmienić ich świat z jednej ustalonej rzeczy w drugą. Fakt, że Koło obracało się dalej, choć powoli, był błędem, nieprzewidzianym wydarzeniem. To my napędzamy Koło, kiedy używamy mocy, którą nam ono daje. Zaś silniki w Osheim pomagają nam obracać je znacznie szybciej, niż bylibyśmy w stanie zrobić to sami.

– Wojna Budowniczych zakończyła ich zainteresowanie tą sprawą, a tysiąc lat zmieniło mały błąd, który można by naprawić, w duży, którego się nie da. – Błękitna Dama obserwowała mnie z lustra, teraz nie było w nim śladu po mojej twarzy. Wyglądała staro, ale nie tak wiekowo jak Babka i jej siostra. Jednak jej twarz miała o wiele mniej witalności, skóra napinała się mocno na kościach, cienka jak papier, a oczy były zamglone. – Niektórzy sądzą, że klucza można

użyć do zatrzymania silników Koła, by w ten sposób spowolnić nieuniknioną koniunkcję. Jest to możliwe, choć mało prawdopodobne, jednak takie marnotrawstwo... klucz zniszczony, by kupić kilka miesięcy, w najlepszym wypadku kilka lat. O wiele lepiej byłoby obrócić go w drugą stronę – rozpędzić silniki, nakręcić Koło, tak jak niegdyś zrobili to Budowniczości, i sprowadzić koniec w kilka chwil. Człowiek, który by tak uczynił, zapewniłby sobie miejsce w nowym porządku rzeczy, a czyste, nagłe przejście ułatwiłoby uzdolnionym osobnikom spośród nas przeżycie zmiany, a także zabranie ze sobą nie kilku wyznawców, ale tuziny, kopy, może setki.

– Wysłałaś Edrisa Deana, by zabił moją matkę. – Skupiłem się na gniewie. Przynajmniej on wydawał się czysty i nieskomplikowany.

– To nie był akt złości, Jalenie. Chodziło o przetrwanie. W głębi serca wiesz, że kiedy sytuacja sprowadza się do wyboru „spłon albo nie spłon”, ratowałeś najpierw siebie, nie innych. To uczciwość. To prawda w rdzeniu tego, czym jesteśmy. Musisz...

Coś świsnęło mi koło ucha i świat eksplodował.

Po nieokreślonym czasie otworzyłem oczy i odkryłem, że świat nie eksplodował tak bardzo, jak mi się wydawało, ale wyglądał zdecydowanie dziwnie, jakby cały dom przewrócił się na bok. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że to ja upadłem.

Ciągnięcie i sapanie wskazywało, że ktoś usiłował podciągnąć mnie do pozycji siedzącej, ale beznadziejnie mu to szło.

– Nic mi nie jest.

Usiadłem i otarłem twarz. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem Hennana, marszczącego brwi. Zerknąłem w dół i okazało się, że dłoń miałem uwalaną szkarłatem.

– Kurwa! Coś mi jest! Wykrwawiam się! – Chwiejnie stanąłem na nogi. Wszędzie wokół leżały połyskujące odłamki lustra, chrzęszczące mi pod stopami.

– Masz rozcięcie pod okiem – powiedział Hennan. – Kawałek lustra musiał cię trafić, kiedy rzuciłem kamieniem.

– Rzuciłeś?

– Lustro coś ci robiło. Było całe błękitne jak popsute niebo. Rzuciłem w nie kamieniem.

– Ach – westchnąłem. – Cóż. – Rozejrzałem się dokoła. Tylko ja i Hennan w poczemniałej skorupie kupieckiego domu. – Dobrze. No to chodźmy.



Pozwoliłem, by Snorri i Kara wyprowadzili nas z rolniczych ziem Blujen do północnego Slov. Instynkt Snorriego w kwestii otwartych przestrzeni sprawdzał się wśród lasów i pól centralnych królestw równie dobrze jak na oblodzonych skałach Norseheim. Kara też dowiodła użyteczności, rzucając swe kamienie runiczne, kiedy droga dawała nam wybór, i wybierając ścieżki o linii najmniejszego oporu.

Slov było oczywiście w stanie sporego niepokoju z powodu pogłosek szerzących się po wioskach i wszystkich warownych miastach. Kraj szykował się do wojny. Panowała duża podejrzliwość, że każdy obcy mógł być szpiegiem Czerwonej Marchii, ale nawet rozgorączkowanej wyobraźni Sloviań trudno było uznać, że Czerwona Królowa zatrudniała olbrzymich wikingów, blondwłose völvy i małych rudzielców z Północy jako tajnych agentów. Ja starałem się chować za Snorrim i przy spotkaniach z ludźmi mówić tak mało, jak to było możliwe. Ten sposób dobrze się sprawdzał, szło nam coraz lepiej z każdą milą, z którą oddalaliśmy się od strefy wojennej. W ciągu kilku dni znów zaczęliśmy robić miarowe postępy i wygodnie spędzać noce w gospodach, które trafiały się po drodze.

Po obejrzeniu map w sztabie Babki i omówieniu sprawy z jej groźnie wyglądającym podwładnym, który zwięźle opisał swoją pracę jako „podróżowanie w dalekie strony w sprawach państwa”, postanowiliśmy opuścić Slov wzdłuż granicy Attaru i Zagre, przejść szybko do Charlandu, przekroczyć ten nieurodzimy kraj i pokonać całe Osheim, aż do Koła.

Nie jestem entuzjastą podróży. Lubię jeździć konno, to prawda, ale z zasady wolę kończyć dzień tam, gdzie go zacząłem, czyli w domu, w pałacu w Vermillionie. Nie akceptuję obcych miejsc. Sąsiednie kraje są w najlepszym wypadku złem koniecznym, ograniczającym linię naszego wybrzeża, ponieważ jedyną rzeczą gorszą od długich wojaży lądem jest jakiegokolwiek długości wojażowanie drogą morską. Krótko mówiąc, nawet po dodaniu przyzwoitych dróg, ciepłych gospód i dość zjadliwego jedzenia przejście z punktu A do

punktu B jest przereklamowane.

Mógłbym was uraczyć prawie niemającą końca listą miasteczek, przez które przejechaliśmy, leniwych wieśniaków, których spotkaliśmy, poczynionych zakupów, wypitego piwa, porannych przymrozków, ognistych kolorów jesieni, spokojnych zachodów słońca... ale prawda jest taka, że zanim nie dosięgła nas katastrofa, pod kopytami naszych koni przeleciało niemal sto mil, podczas których nie wydarzyło się absolutnie nic.

Jak na fakt, że świat gonił resztkami sił, wszystko wydawało się z grubsza spokojne, przynajmniej z tego, co widziałem z końskiego grzbietu w środku Rozbitego Imperium.

Niebo pozostawało albo niebieskie, albo szare, nie wykazywało skłonności do pęknięcia czy płonienia. Ziemia pokryła się mokrymi, ochrowymi odcieniami jesieni. Na ścierniskach nie otwierały się żadne doły siarki, języki ognia nie wysuwały się z nowo powstałych szczelin. Nawet piekło, które okrężało mury Vermillionu, wydawało się teraz odległym snem.

Kilka razy próbowałem poruszyć temat podróży Snorriego po Hel. Zająłbym się tym w wybranym przeze mnie czasie i bez Kary rzucającej mi wymowne spojrzenia. Jednakże wybrany przeze mnie czas nastąpiłby, kiedy obaj bylibyśmy już starzy. Na szczęście Snorri tylko kręcił głową i sięgał po *ale*.

– Co było, to było, Jal. Historie opowiadają się same we właściwym czasie. A na niektóre historie czas nigdy nie jest właściwy.

Przez pierwszy tydzień naszej podróży każdy zacieniony zakątek zdawał się naładowany zagrożeniem. Wiedziałem, że gdzieś tam był Edris Dean, który czmychnął z oblężenia, kiedy jego plany się nie powiodły. Wiedziałem, że Nienarodzony Książę będzie przemierzał królestwa w interesach Martwego Króla. Ale bardziej od Deana, a nawet Nienarodzonego Księcia, martwiło mnie to, że będzie mnie szukała moja siostra. Kelem powiedział, że moja śmierć była konieczna, żeby ona mogła pozostać na tym świecie. Marco potwierdził tę informację, gdy znaleźliśmy go przybitego do drzewa na pustkowiach zaświatów. Moja siostra wyrwała się ze swego długiego wygnania i przebiła do naszego świata przez ranę spowodowaną śmiercią jednego ze swych braci. Teraz nienarodzona z piekła, związana z liczkinem, będzie dążyć do śmierci ostatniego brata, by się tu zakotwiczyć. Potrzebowałem czegoś bardziej świętego niż pobłogosławiony przez ojca krzyż, żeby oderwać liczkinę od siostry. Rozglądałem się czujnie w czasie podróży, ale w większości miejsc kościelne relikwie są rzadko rozsiane, więc głównie rozglądałem się czujnie na wypadek, gdyby jakieś pozbawione skóry monstra wypadły na mnie z zażywopłotu.

Wszystko to wystarczyłoby, by zredukować każdego człowieka do roli

więźnia własnych strachów, patrzącego na każdą noc jak na długi koszmar, podczas którego mogą go zniemacka zaatakować wrogowie. Jednak po tak wielu dniach bez żadnych incydentów normalność drogi zmniejszyła lęki, które kazałyby mi wybałuszać oczy i drżeć, do czegoś niemal abstrakcyjnego. Jechałem, mając Snorriego z jednej strony, a Karę z drugiej, w plecy grzało mnie nieoczekiwane jesienne słońce, chłopiec galopował na przedzie... wydawało się niemożliwe, że po świecie mogłyby hulać takie koszmary.

– Myślę, że udziela mi się nieco to wikingowanie. – Na pokaz otrzepałem rękaw, gdy Snorri wolno pokierował swojego konia przed Morda. Ogier złagodniał nieco podczas podróży i pozwalał innym szkapom prowadzić od czasu do czasu. Pewnie widział w nich heroldów jadących przed ważnym monarchą, by oznajmiać jego rychłe przybycie. – Ta podróż na północ nie wydaje mi się tak okropna jak poprzednia.

– To magia fiordów. – Snorri wyszczerzył zęby. – Wzywają cię z powrotem. Nikt nie podróżuje tak daleko jak wikingowie. Ale wracamy, Północ wzywa nas do domu.

– Sentymentalne bzdury. – Kara dogoniła nas, podjeżdżając blisko z mojej lewej strony. – Na Zatopionych Wyspach i na południe od Karlswater żyje więcej wikingów niż w całym Norseheim.

Czułem, że zbliżała się jedna z ich niekończących się sprzeczek. Ta dwójka potrafiła debatować nad najmniejszym drobiazgiem przez godziny w ten śpiewny sposób Normanów, w rozmowie typu wet za wet. Kończyli, dzieląc włos na czworo, dyskutując nad jakimś śmiertelnie nudnym wydarzeniem z historii wikingów. Nagle losy świata zaczynały zależeć od tego, czy Olaaf Thorgulson, czwarty syn Thorgula Olaafsona, wypłynął z Haagenfast w dwudziestym ósmym roku Żelaznych Jarłów czy w dwudziestym siódmym...

Rozejrzałem się pospiesznie za czymś, co by ich rozproszyło, zanim zaczną kolejną kłótnię.

– A niech mnie! Papieżyca! – powiedziałem, sam w to nie wierząc, bo spotkanie Jej Świątobliwości na bocznej drodze wzdłuż granicy Attaru i Zagre wydawało się równie niemożliwe, jak nienarodzony wyskakujący zza krzaków.

– To mało prawdopodobne. – Snorri stanął w strzemionach, by lepiej widzieć. Droga przed nami biegła prosto jak strzała, dzieląc ziemię, wznosząc się i opadając na falistym terenie. Z niewidocznego zagłębienia następnej doliny wyłaniała się długa karawana, która zaczęła się wspinać na drugie wzgórze, licząc od nas. Nawet z odległości mili bez trudu rozpoznałem papieską flagę, purpurowy krzyż powiewał horyzontalnie na białym proporcu. Tuzin lub więcej mężczyzn niosło wielką lektykę z dachem ozdobionym złotym krzyżem, który wołał „ukradnij mnie” przez dzielący nas dystans. Dwa oddziały

halabardników, po dwudziestu z przodu i z tyłu, otaczały lektykę, niosąc wystarczająco dużo ostrej stali, by nawet najbardziej zatwardziały bandyta udał, że nie dostrzegł potencjalnego łupu.

– Cóż, jeśli to nie papieżyca, to musi być ktoś cholernie ważny. Ojciec nigdy nie dostał takiej eskorty, a przecież był kardynałem.

– Powinniśmy ich ominąć – zasugerował Snorri.

– Nie martw się, Kościół przestał palić pogan lata temu. – Wyciągnąłem rękę, by poklepać go protekcyjnie po ramieniu. – Nic ci nie zrobią. Teraz ścigają tylko wiemy... Och. – Zerknąłem do tyłu na Karę. – Może powinniśmy ich ominąć. Taka wielka karawana musi mieć co najmniej jednego inkwizytora.

Oczywiście gdy ludzie, których nie chcemy spotkać, jadą przed nami po najlepszej drodze w nieznannej okolicy i zmierzają w tym samym kierunku co my, tylko wolniej... trzeba zredukować własną prędkość i wlec się za nimi.

Jechaliśmy za karawaną w spacerowym tempie, trzymając się dobre pół mili z tyłu. Co jakiś czas papieski konwój ukazywał się naszym oczom, wspinając się na fałdę falistego terenu. Zaczęło padać.

– Moglibyśmy po prostu ich wyprzedzić – powiedział Hennan.

– Chłopak dobrze gada – odezwał się Snorri. – W galopie przejechanie od tylnej do przedniej straży zajęłoby nam dziesięć sekund.

– Zajmują całą szerokość drogi. Musieliby odsunąć się dla nas na bok – odparłem. – Mogliby zapytać o nasze sprawy, a jeśli jest z nimi inkwizytor, pewnie prędko by się wszystkiego dowiedzieli. – Moje palce znalazły wybrzuszenie, jakie klucz Lokiego tworzył pod moją kurtą. Inkwizytorzy mieli nosa do takich rzeczy, ale oskarżenie ich o używanie czarów nie różniłoby się w skutkach od własnoręcznego przywiązania się do stosu i poproszenia o pochodnię. Nie chciałbym tłumaczyć się z klucza agentowi Rzymskiej Inkwizycji. Ludziom wyrywano języki za samo wymawianie imion fałszywych bogów.

Deszcz padał mocniej, w miarę jak zmierzchało, a mimo to klerycy i ich straż nie zdradzali zamiaru zejścia z drogi, by znaleźć schronienie na noc.

– Będziemy jechać za nimi aż do Osheim. – Splunąłem deszczówką. Narastający mrok przytłaczał mnie, wypełniony wszystkimi zagrożeniami, o których tak udatnie udawało mi się niedawno zapomnieć. Obraz Darina przyszedł do mnie nieproszony, mój brat martwy pod Bramą Apijską... chwilę później zobaczyłem dłoń mojej nienarodzonej siostry sunącą pod jego skórą, szukającą wyjścia. Ofiarowałem Darinowi spokój za pomocą mojego miecza, ale siostra znalazła przejście, którego potrzebowała, zaledwie kilka godzin później, wycinając sobie drogę na ten świat przez jeszcze ciepłe zwłoki Martusa. Czy była teraz gdzieś tam, kreatura z piekła, wciąż okrwawiona od swoich

falszywych urodzin i głodna mojego życia?

– Jaj? – Dłoń na moim ramieniu. Dłoń Kary.

Wzdrygnąłem się i prawie ją uderzyłem.

– Co? – Słowo zabrzmiało ostro.

– Ktoś się zbliża – powiedziała.

Tętent kopyt stawał się coraz głośniejszy, gdy zjeżdżaliśmy na lewą stronę drogi. Jeden koń, mocno popędzany.

Z mroku i deszczu wyłonił się mężczyzna, po czym niemal znów w nich zniknął, zanim się zatrzymał. Jego wierzchowiec stanął dęba i zarżał z niezadowoleniem.

– Czy minęła was eskorta kardynała? – Nieznajomy odrzucił z głowy kaptur. Czarne włosy lepiły mu się do brwi, twarz miał wychudłą, a zęby obnażone w wyrazie wyczerpania lub groźby.

– Nie – odpowiedziałem. – Którego kardynała? Co oni tu w ogóle robią?

Mężczyzna zignorował mnie, znów naciągnął kaptur i skierował konia z powrotem na drogę. Może to „w ogóle” go uraziło. Wciąż zapominałem, że ludzie spoza Czerwonej Marchii często uważali, że to ich państwo było sercem Imperium.

– Którego kardynała? – zawołałem.

– Hemmalungu. – Odpowiedź wykrzyczana przez ramię prawie utonęła w deszczu i stukocie kopyt.

– Jakie to ma znaczenie, jak on się nazywa? – zapytał Hennan.

– Ona – odparłem. Do głowy zaczął wkradać mi się pomysł tak wielki, że póki co jedynie jego rozek zdołał wbić mi się pod czaszkę. – Hemmalung to drugie co do wielkości miasto Charlandu. – Tak po prawdzie nie wiedziałem, jakie było pierwsze, nie znałem też żadnych innych ani w ogóle żadnych faktów o tym królestwie, ale widziałem, że Hemmalung był miastem, bo znałem kardynała, który sprawował nad nim pieczę.

– A jak ona się nazywa? – Snorri wychylił się, by usłyszeć co powiem, przeciągając dłonią po czarnym gąszczu krótkiej brody, jakby chciał z niej wycisnąć deszcz.

– Gertrude. – Pamiętałem ją jako przysadzistą kobietę kilka lat po pięćdziesiątce, z wąskimi wargami, zapadniętymi oczyma i siwiejącymi lokami. Odwiedziła Ojca w Rzymskim Pawilonie przy paru okazjach. – Zamierzam pojechać przodem i przypomnieć się dobremu kardynałowi.

– Po co? – Kara wyglądała na równie ubłoconą co jej koń. Deszcz kapał z ich nosów. – Moglibyśmy znaleźć gospodę. Schronić się tam na noc. Jest szansa, że jutro zjedną nam z drogi.

– Ona ma coś, czego potrzebuję. Snorri może ci o tym opowiedzieć.

– Nie mogę – odparł wiking.

– Powiedziała nam o tym w Hel... – Przekrzywiłem oczekująco głowę, ale Snorri wciąż patrzył na mnie bez zrozumienia. W uchu zaczęła zbierać mi się zimna woda, więc pogmerałem w nim palcem kolistym ruchem. – ...potępiona dusza, słusznie przybita do dość sporego drzewa...

– Marco? – Zirytowany Snorri wyrzucił ręce w powietrze. – Nie powinieneś wierzyć w ani jedno jego słowo! – Odwrócił się do Kary. – Jal myśli, że pieczęć kardynała zdoła oddzielić jego siostrę od liczkina, który wydobył ją z Hel.

– Bo zdoła! – Byłem tego pewien. – Martwi nie kłamią. – Tu miałem mniej pewności. – No nie?

– Tak czy siak, to nie ma sensu. – Snorri nakazał koniowi ruszyć. – Skoro kardynalska pieczęć jest taka święta, to jak zamierzasz sprawić, żeby kardynał Gertrude oddała ci swoją?

– Ukradnę ją. – Zerknąłem na Hennana. – Jestem tak bogoboyny jak każdy książe, w dodatku do bólu uczciwy, ale trudne sytuacje wymagają...

– Ukradłeś Karze klucz Lokiego – odezwał się chłopiec.

– Ach, cóż... ale po pierwsze, to on był mój. W każdym razie... przestań mącić. Po prostu ją wezmę.

– „Weźmiesz”? – Snorri uniósł brew. Spędziłem kilka godzin, próbując opanować umiejętność unoszenia jednej brwi, ale ta zdolność nie była mi dana. To pewnie jakiś rezultat północnego chowu wsobnego.

– Jak? – zapytała Kara. – Gadasz bez sensu.

– Po stosunku. – Gdy tak siedziałem w deszczu na mokrym koniu, nie wydawało się to zbyt zachęcające. Wspomnienie ostatniego razu też nie zaostrzyło mi apetytu.

– Przespałeś się z kardynałem? – Snorri wychylił się w moją stronę. Zaskoczenie i rozbawienie walczyły o kontrolę nad jego twarzą.

– Cóż, teoretycznie nie obejmowało to spania. – Celowałem w odpowiedni ton powściągliwej nonszalancji. Nie jestem pewien, czy w niego trafiłem. – Ale owszem, poznaliśmy się w biblijnym znaczeniu tego słowa.

– Czy wasi kardynałowie nie są... starzy? – dociekał Hennan.

– Jak dawno to było? – dopytywała Kara.

Trąciłem Morda, by pobiegł szybciej. Chciałem złapać oddech od ciekawskich Normanów napierających ze wszystkich stron.

– Dawno.

– Jak dawno? – Dogonił mnie Snorri. – Jeszcze nie tak dawno miałeś dwanaście lat. Nie miałeś wtedy dwunastu lat, co?

– Oczywiście, że nie. Byłem o wiele starszy.

– Kłamie. – Kara znów dopadła mnie z lewej strony.

– Nieco starszy. – Mimo deszczu usłyszałem, jak Snorri się chichra. – Jeśli już musicie wiedzieć, Gertrude była moją pierwszą. Była bardzo delikatna...

Przerwał mi śmiech z obu stron.

– Niech was diabli, poganie! – Poderwałem Morda do galopu. – Do rana wrócę z pieczęcią. A jeśli strażę złapią was w pobliżu, zasugeruję, żeby spalono was jako wiedźmy.

Popuściłem Mordowi cugli. Deszcz i mrok ograniczały moją widoczność do mniej więcej trzydziestu jardów, może mniej, ale nigdy nie widziałem drogi wiodącej równie prosto. Poza tym miejscowi dobrze ją utwardzili, głównie żwirem, ale na niektórych odcinkach brukiem, a nawet płytami. W cwałowaniu jest coś, co nigdy mi się nie znudzi. To rodzaj unii, w której sprawujesz władzę nad siłą o wiele większą od swojej... władza jest tu zbyt mocnym słowem – jeśli to byłaby władza, większa część owej radości by zniknęła. Jest się przewodnikiem, kanałem. W moim rozumieniu tak właśnie wyglądało czarowanie.

Dziesięć minut później na wskroś przemoczony, ale zarumieniony i zgrzany od jazdy, wiedziałem, że byłem blisko dogonienia kardynała. Zwolniłem do galopu, nie chcąc spaść na karawanę z zaskoczenia i przez przypadek zostać nadzianym na halabardę, zanim zdołam obwieścić swoje zamiary... a raczej kłamstwa, skoro moje faktyczne zamiary pewnie sprawiłyby, że zostałem nadziany na halabardę celowo.

Prawie przegapiłem konia stojącego blisko drogi w ulewnym deszczu. Samotnego, ciemnego wierzchowca z pochyloną głową na skraju lasu niedaleko gościńca. Zawsze miałem oko do koni, a ten okaz wydawał się znajomy. Rozglądając się, zauważyłem, że w jednym miejscu żwir był ciemniejszy. .. być może splamiony krwią. Podjechałem bliżej konia. Spłoszył się i odbiegł, ale zobaczyłem dość, by stwierdzić, że było to zwierzę, na którym minął nas posłaniec.

– Zabójca? – powiedziałem na głos, mimo że dokoła nie było nikogo, kto by mnie usłyszał, a poza tym zagłuszał mnie deszcz.

Zawróciłem Morda z powrotem na drogę i w konsternacji dalej jechałem już wolniej.

Wkrótce dopędziłem tylną straż kolumny, ciemną w ulewie, z halabardami na ramionach, kiwającą się w rytm marszu

– Jedzie podróżnik, proszę zrobić przejście! – Uznałem, że lepiej będzie zachować anonimowość tak długo, jak to możliwe. Na początku nikt nie dał po sobie poznać, że mnie usłyszano. – Jedzie podróżnik, proszę zrobić przejście! – zawołałem ponownie i wszyscy strażnicy zatrzymali się jak jeden mąż. Bez odwracania głów w moją stronę cała tylna straż – razem jakieś dwa tuziny

mężczyzn – zeszła na pobocze. – Przejeżdżam... – Mord przeszedł między żołnierzami. Osiem rzędów po trzech, a żaden nawet nie spojrzał, gdy ich mijalem. Wszyscy mieli beznamiętne twarze, które często widzi się u domowych strażników. Dają one wrażenie prywatności ludziom, których straż ma ochraniać.

Lektyka była wielka, na tyle duża, by pomieścić w rzędzie sześcioro ludzi, gdyby się ścisnęli. Ze wszystkich rogów prostokątnego dachu zwisały latarnie, ale żadna nie była zapalona. Kardynał Gertrude na pewno podróżowała przynajmniej z osobistym sekretarzem, asystentem i paroma księżmi. Na szczęście nie zostawało dość miejsca dla inkwizycji.

– Złożę swoje uszanowanie kardynałowi... – odezwałem się na tyle głośno, by zagłuszyć deszcz grzmocący w smołowany czarny dach lektyki. Kapitan straży powinien mi się już przedstawić i zażądać moich dokumentów. Zamiast tego cała kolumna po prostu stała, ignorując mnie. – Teraz spójrzcie tutaj... – Chętność zniknęła z mojego głosu, gdy żadna twarz wciąż nie obróciła się w moją stronę. Lodowata woda spływała mi po plecach wraz z pewnością, że coś tu było bardzo nie tak

Zawróciłem Morda w miejscu, wyszukany ruch, w którym ogier został dobrze wyszkolony. Ściskając konia mocno obiema nogami, wyczuwałem nerwową grę jego mięśni – był przerażony, a skoro imię dostał z powodu swojej zwyczajowej reakcji na zagrożenie... mnie też dopadł strach. Spojrzałem na czarne i lśniące drzwi lektyki z wymalowanym znakiem papieskiego zakonu, pokrytym kroplami deszczu nad koroną i kosą Hemmalungu. Tragarze stali bez ruchu z opuszczonymi głowami, ociekając wodą, i nagle żadna część mnie nie chciała, by te drzwi się otworzyły.

Gdy na nie patrzyłem, wydawało mi się, że deszcz bębniący w ziemię pod drzwiami był ciemniejszy, niż powinien, jakby poplamiony.

– Ja... uch... zapomniałem o czymś. – Trąciłem piętami żebra Morda. – Wybaczcie, mój błąd.

Drzwi lektyki zaczęły otwierać się powoli, jakby wiatr chwycił za ich krawędź i pociągnął, by rozwarły się szeroko. Zimna eteryczna dłoń zatopiła palce w mojej piersi, wsunęła je między żebra i mocno zacisnęła.

Powiew wiatru szarpnął drzwi, otwierając je na oścież i uderzając nimi o ścianę lektyki. Ostatnie światło dnia okazało się niewystarczającym przeciwnikiem dla ciemności panującej w środku, ukazując tylko jedną rzecz – emaliowaną białą maskę z rodzaju tych, jakie bogacze ubierają na maskarady. Oczy za szczelinami pozostawały niewidoczne, ale mimo to cięły jak stłuczone szkło. Maska z opery w Vermillionie!

Wbiłem pięty w boki Morda, a on wystrzelił jak bełt wypuszczony z kuszy.

Nienarodzony Książę wypadł z kardynalskiej lektyki z taką gwałtownością, że jej pełne drzazg fragmenty przeleciały mi koło ucha, gdy zgiąłem się do cwału. Pognał za nami pędem, jak potężna wichura torująca sobie drogę przez las. Dobiegł nas mokry dźwięk rozdzierania. Halabardnicy odwrócili się, gdy przebiegaliśmy obok nich. Starali się włączyć do gry swoją broń, ale okazali się zbyt powolni i dziwacznie nieskoordynowani, nawet jak na strażników bardziej ceremonialnego rodzaju. Musiałem się nisko pochylić, by uniknąć ostrzy dwóch ostatnich, po czym wyrwaliśmy się z kolumny, Mord i ja przeciwko ciemności i ulewie.

Zerkanie do tyłu jest rzadko polecane, zwłaszcza kiedy co tchu ucieka się przed niebezpieczeństwem. Co niby można by jeszcze zrobić, biec szybciej? Nie wyszło to na dobre żonie Lota i choć nauczyłem się z Biblii niewiele rzeczy, tej akurat powinienem był się trzymać. Przynajmniej trzymałem się swojego konia, chociaż ledwie. Być może ciemność ocaliła mnie, zakrywając wystarczająco dużo szczegółów, bym zdołał zachować zdrowie psychiczne. Gdy Nienarodzony Książę w powiewających kardynalskich szatach przedarł się pomiędzy strażnikami, wszyscy rozdarli się w czerwoną jatkę poszarpanego mięsa i białych kości. Zawartość ich ciał bluznęła w stronę księcia i przyczepiła się do niego, pełzając i reorganizując się tak, że z każdym krokiem potwór rósł i się przeinaczał.

– Dobry Boże! – Kopnąłem Morda, by zachęcić go do zwiększenia wysiłków, ale on już dawał z siebie wszystko. Mógł być najbardziej narowistym ogierem, jaki kiedykolwiek biegał po polach Imperium, ale teraz ten sam paniczny strach z nas obu zrobił tchórzy.

Czymkolwiek stawał się właśnie Nienarodzony Książę, jedno było pewne – nie był powolny. Wściekle mokre trzaski i młócenie bestii nie niknęły w oddali, gdy Mord wyciągał nogi. Po prawdzie brzmiały coraz głośniejsze, bliżej i wścieklej.

Tupot ciężkich stóp zaczął zagłuszać tętent kopyt Morda. Zimna krew rozbryzgiwała mi się na plecach za każdym razem, gdy potwór ryczał. Jeszcze chwila i kłapięciem szczęk ściągnie mnie z siodła. Na drodze w mroku zamajaczyły jakieś kształty, ale nie widziałem szczegółów przez deszcz zalewający mi oczy.

– Ratunku! – wrzasnąłem, opróżniając przy tym z powietrza całe płuca.

Nie mając innego wyboru, skręciłem w prawo, ciągnąc za wodze konia i zmuszając go do długiego skoku, który przeniósł nas nad rowem i znajdującym się za nim żywopłotem, wysokim na sześć stóp. W szczytowym momencie skoku zobaczyłem, jak mój prześladowca, który właśnie zaczynał mnie wyprzedzać, ale wciąż znajdował się na drodze, próbował skręcić za mną, był jednak zbyt ciężki, by dorównać naszemu obrotowi. Stwór, w którego

przeobraził się nienarodzony, wyglądał niemal identycznie jak smok z mitów. Wielki, krwisty, pozbawiony skóry smok, który w mokrej kłapiącej paszczy miał kły z żeber.

Ostatnią częścią nienarodzonego, którą dojrzałem, zanim moje pole widzenia wypełnił żywopłot, były zakrwawione łapy ze szponami z kości udowych, drapiące bruk w poszukiwaniu oparcia do skrętu. Stwór zaczynał ustawiać się bokiem do trzech jeźdźców na swojej drodze, a ci próbowali zeskoczyć ze swych wierzchowców, by uniknąć zderzenia.

Wylądowaliśmy z szarpnięciem, a ja ledwie uniknąłem wyrżnięcia przednimi zębami w tył głowy Morda i ich utraty. Instynkt kazał mi uciekać dalej, biec na przelaj przez pola. Zdrowy rozsądek zdołał jedynie wykrzesać z siebie nikły okrzyk z jakiegoś zakamarka mojego umysłu, do którego został oddelegowany, ale okrzyk ten dotyczył niewątpliwego okalawienia Morda podczas jazdy po ciemku po trudnym terenie z pełną prędkością i zostania samemu w oczekiwaniu, aż znajdzie mnie trupi smok... Więc go posłuchałem. Szarpnąłem mocno w lewo i skierowałem konia ku niższej części krzewów.

Nienarodzony potwór musiał stracić równowagę i zderzyć się bokiem ze szkapami na drodze. Dwie z nich leżały na poboczu, młócąc nogami. Normanom chyba udało się uskoczyć i uniknąć zmiżdżenia. Snorri trzymał Hennana i włókł go poza zasięg kopyt najbliższej klaczy, która próbowała się podnieść.

Trzeci koń przewalił się wraz ze smokiem i teraz leżał splątany z nim, jak karzeł przy potworze, krzycząc w rejestrze, przez który mój pęcherz by popuścił, gdyby nie stało się to kilkaset jardów wcześniej. Gdy nienarodzony odzyskał równowagę, kasztanowa klacz Hennana, Giermek, straciła skórę i stała się częścią potwora. Jej ciało i kości zostały podciągnięte i rozłożyły się na zmutowanym ciele. Latarnia, którą trzymało wcześniej jedno z trójki, leżała roztrzaskana w kałuży tańczących płomieni, przez co nienarodzony wyglądał jak ohydny relief.

Snorri wcisnął Hennana w ramiona Kary i pieszo wrócił na środek drogi.

– Przepląnąłem Rzekę Mieczy. Naostryłem mój topór na kościach gigantów w zimnych zaświatach. Jestem Snorri ver Snagason i zabiłem już takiego jak ty. – Podniósł topór, a jego ostrze zamigotało w ciemności. – Tej nocy powrócisz do Hel.

Trupi smok otrząsnął się, obszarpane mięso ciągnęło się pod muskularną baryłą jego brzucha, opartego na czterech grubych nogach. Głowę z paszczą szeroką na tyle, by połknąć człowieka, przekrzywił w jedną, a potem w drugą stronę. Ściśnięte kręgosłupy trzasnęły w głębi skradzionego ciała, kiedy się przeciągnął. Porcelanowa maska tkwiła teraz osadzona w czole bestii,

pojedyncza biała łuska pośród całej tej surowości. Dwa oczodoły zwróciły się ku wikingowi. Z ich głębi spozierały oczy, które widziałem dawno temu w operze w Vermillionie – nie dostrzegałem ich teraz, ale czułem ich nienawiść.

– Ty. – Z początku był to dźwięk krwi bulgoczącej w dotkniętym chorobą gardle, potem nagle stał się mową. – Ośmielasz się rzucać mi wyzwanie?

– Rzucać ci wyzwanie? – Snorri wyglądał bardzo samotnie na środku pustej drogi, ociekając deszczem z każdej części ciała. – Wikingowie nie wyzywają! – Z toporem uniesionym wysoko biedny szaleniec rzucił się do ataku.

Nienarodzony zdawał się tak zdziwiony jak ja i stał, patrząc, jak Snorri pokonuje dzielący ich dystans. Im bardziej się zbliżał, tym większy zdawał się potwór, tym mniej równa walka.

Gdy Snorri pokonywał ostatnie kilka jardów, rycząc swój wojenny okrzyk, nienarodzony zamachnął się na niego swą kościsto-szponiastą łapą z surowego mięsa, szeroką na połowę wzrostu wikinga. Norman rzucił się pod nią nogami naprzód, ślizgając się na mokrym bruku, po czym jakimś cudem wstał i okrutnym łukiem zatopił Hel w środku czoła nienarodzonego, roztrzaskując porcelanową maskę i wbijając ostrze do połowy w głowę potwora.

Nienarodzony, odziany w ciało z wielu trupów, machnął swym smoczym łbem, wyrывая topór z rąk Snorriego i łapiąc wikinga za bok od biodra do pachy. Kąt był niedogodny do ugryzienia, ale siła zderzenia zabiła Normana z nóg, cisnęła go w powietrze i miotnęła po trajektorii, która wyrzuciła go z drogi przez górną część żywopłotu i dalej na pole, gdzie padł w błoto jard przede mną z głuchym łupnięciem.

Ze swego ograniczonego doświadczenia wiem, że zazwyczaj cios, który wyrzuca człowieka w powietrze, jest dla niego ciosem śmiertelnym. Raz widziałem, jak ogier kopnął stajennego w pałacu. Stopy chłopaka oderwały się od ziemi, a on przeleciał około jednej piątej odległości, którą pokonał Snorri. Nie wiem, czy umarł przed lądowaniem, ale jeśli nie, to musiało się to stać chwilę po nim. Przewrócono go na plecy i zobaczyłem ostre krawędzie połamanych żeber wokół miejsca, w które trafiło kopyto. Pozostałe odłamki kości wbiły się stajennemu w płuca.

W porównaniu z nienarodzonym ryzyko cwału na przełaj w ciemnościach było niczym. Powinienem być poza zasięgiem wzroku i słuchu, jeszcze zanim Snorri gruchnął na ziemię. Zamiast tego klęczałem w błocie, przewracając go na plecy. Cały jego lewy bok był krwawą miazgą.

– M-mogło... pójść lepiej – wyskrzecztał, gdy powietrze wróciło mu do płuc.

– Jesteś... ranny. – Nic innego nie przyszło mi do głowy. Po drugiej stronie krzaków nienarodzony miotał się i ryczał. Chyba się do nas nie zbliżał. Może właśnie pożerał Karę Wyobrazałem sobie wiele rodzajów żalosnej śmierci, które

mogły mnie spotkać, ale nie było wśród nich zaszlachtowania w błocie przez potwora na odludnym odcinku drogi.

Snorri stęknął i przeturlał się na nietknięty bok, łapiąc się za żebra. Gdy cofnął dłoń, była cała we krwi, a mi coś zamarło w brzuchu.

– Jestem w jednym kawałku. – Snorri wyszczerzył powalane szkarłatem zęby i pojąłem, że jucha należała do nienarodzonego. – Na krew Odyna! – Wiking usiadł, skulony jak człowiek połamany w środku.

– Jakim cudem w ogóle jeszcze żyjesz? – Wstałem i cofnąłem się o krok. Wyglądało na to, że stosunkowo mała prędkość i rozłożona na dużą powierzchnię siła uderzenia sprawiły, że Snorri został lotnikiem, ale jego ciało nie skończyło jako krwawa masa.

Podąłem mu rękę, by pomóc mu wstać, ale zanim udało mu się to zrobić, w żywopłocie nagle wykwitła dziura. Nienarodzony torował sobie drogę.

– Kurwa! – Wyciągnąłem miecz. Równie dobrze mógłbym trzymać wykałaczkę. – Co ty wyprawiasz? – Snorri wciąż siedział na ziemi, próbując wyszarpnąć coś świeżącego z sakwy przy biodrze. – Zostaw to! – Światło tylko pomoże potworowi szybciej nas znaleźć.

Za późno. Olbrzymi koszmarny łeb zwrócił się w naszą stronę i przeszyła mnie zimna złośliwość jego niewidocznych oczu. Stałem jak sparaliżowany. Prawie upuściłem miecz i spróbowałem ucieczki, porzucając cały honor dla przywileju śmierci pięćdziesiąt jardów dalej od drogi. Stwór rzucił się naprzód z ohydny gulgotem, ale najwyraźniej nie mógł wyplątać się z krzaków. Czarne pętle przypominające korzenie oplótły mu łapy.

– Kara! – Völva musiała dopracować zaklęcie splątujące, które zadziałało tak cudownie przeciwko Czerwonym Wikingom w pobliżu Koła Osheim. Wróciła mi siła w ręce, zacisnąłem palce mocniej na rękojeści miecza. Zerknąłem w dół na Snorriego. – Co do licha? – Trzymał pudełko z duchami. Gdy je otworzył, blask skrzynki sprawił, że dłonie wikinga wyglądały jak czarne sylwetki skierowane ku jego twarzy.

– Potrzebny nam Baraqel! – krzyknął w otwarte pudełko, gdzie wrzały chaotycznie cętki światła i ciemności.

Nienarodzony w krzewach zaryczał i rzucił się do przodu. Wielowiekowe korzenie jęknęły i zaskrzypiały z naprężenia. Kilka z nich pękło z głośnym hukiem. W innych miejscach martwe ciało stwora oddzierało się, pozwalając, by więzy się zeń ześlizgnęły, po czym zrastało się ponownie.

Snorri ukląkł.

– Klucz, Jał, klucz go stamtąd wypuści. On żyje tu w środku.

– To nie działa w ten sposób, ty wielki głupi... wikingu. – Ale mówiąc to, wyciągnąłem klucz Lokiego i skierowałem moje trzęsące się ostrze na

nienarodzonego, który właśnie wyrwał z korzeniami ostatni krzak głogu trzymający go w miejscu.

– Właśnie, że tak! – Snorri wstał, jedną ręką ściskając swój bok, drugą wyciągając skrzynkę w moją stronę. – Właśnie tak to działa. – Posłał mi spojrzenie tak pełne przekonania, że sam zacząłem w to wierzyć.

Kościane szpony wbiły się w ziemię, gdy nienarodzony rzucił się do przodu. Upuściłem miecz.

– Baraquel! – ryknąłem, łapiąc otwartą skrzynkę i kierując ją w stronę stwora. Pchnąłem klucz w podstawę pudełka i przekręciłem.

Widziałem wcześniej światło podobne do tego, które wystrzeliło ze skrzynki, ale byłem wtedy w namiocie, który niemal się zapalił. Teraz, tak jak wtedy, blask Słońca Budowniczych zmienił ciemności w oślepiającą biel piaskowych wydm w największym upale. Nienarodzony wrzasnął, jego ciało pokryło się pęcherzami. W następnej chwili niemożliwa jasność tego nadnaturalnego światła zgasła, a w jego miejscu stał Baraquel, taki, jakim go widzieliśmy ostatnio przy bramie deformagów, lśniący anioł z mieczem wykutym ze słońca, płonącym i długim na dziewięć stóp. Poznałem go natychmiast, gdy się pojawił. Nikt inny nie potrafił posyłać mi takiego spojrzenia pełnego dezaprobaty.

Sekundę później nienarodzony zderzył się z Baraquelem, a ten opuścił na stwora swój miecz. Nawet dwunastostopowy anioł nie mógł zatrzymać martwej kreatury. Cielsko potwora, stworzone z trupów pięćdziesięciu lub więcej mężczyzn, odrzuciło Baraquela na bok. Ale skrzydła z brązu i złota rozłożyły się, by wyhamować pęd. a rozpalony jak piec miecz ściął głowę nienarodzonego jednym ciosem.

Ciemna szkarłatna krew rzygnęła z szyi potwora pełnym grudek strumieniem, a jego węzowate ciało zaczęło wic się w konwulsjach, rzucając się w przód i w tył. Chwilę potem zniekształciło się i rozdarło niczym ciasta. Wzdłuż całego grzbietu pojawiły się głowy trupów i odłączone od ciał oczy, zaczęły formować się nowe kończyny zakończone szponami z żeber i pół tuzinem kręgosłupów trzaskających jak macki. Po kolejnej konwulsji zmutowana masa owinęła się wokół Baraquela i powaliła go na ziemię.

– Chodź! – Snorri chwycił mój miecz i kulejąc, pobiegł ku walczącym.

– Chodź? Właśnie zabrałeś mój cholerny miecz. Czego mam niby użyć? Wulgaryzmów?

Wyciągnąłem sztylet i stałem, obserwując wydarzenia. Walka mąciła mi wzrok: szybkie, wściekłe zwoje martwego mięsa, czarne przy jaśniejących kończynach anioła, trzepoczące jaskrawe skrzydła, rozdzierające czarne szpony i od czasu do czasu błysk płonącego miecza, posyłający rozbiegane cienie na całe pole. Od czasu do czasu dostrzegałem Snorriego, który wyglądał jak mysz

zawzięcie atakująca induskiego pytona. Ciął nekromancję, która tworzyła mena rodzonego, ostrzem Edrisa Deana, ale jego cięcia z pewnością były zbyt drobne, by wpłynąć na losy walki.

Spojrzałem na cztery cale żelaza w mojej pięści, a potem na Morda, by odkryć, że w międzyczasie zniknął. Nawet jego zaciekłość zmieniła się w przerażenie na widok i odgłosy podobnej walki. Na wpół oczekiwana czerwona fala berserka zawiodła i nie wezbrała we mnie, pojawiły się jedynie zgorzknienie i złość, że ten potwór upleciony z najgorszej ludzkiej nienawiści, która osiadała w najgłębszych rozpadlinach piekła, ścigał mnie przez tak długi czas. Nienarodzony był powodem mojej podróży, zniszczył mi życie, a teraz wyglądało na to, że również je zakończy. Wyciągnąłem przed siebie sztylet. Umrzeć w świetle u boku Snorriego czy samotnie w ciemności parę minut później? Czasami wybór tchórza pokrywa się z wyborem bohatera.

Kara powiedziała mi później, że nacierając, wołałem „Undoreth”. Nie pamiętam tego, ale przysiągłbym, że był to okrzyk „Czerwona Marchia”.



– Zjeżdżaj stąd i powiedz Ballessie, że na śniadanie chcę wędzonego śledzia.
– Mocno zacisnąłem oczy w obronie przed światłem dnia. – I zaciągnij te cholerne zasłony!

– Pora wstawać, Wasza Wysokość. – Głos pokojówki był raczej sarkastyczny niż uniżony.

Spróbowałem umościć się wygodnie w pościeli i odkryłem, że była zimna i wilgotna.

– Co jest, kurwa? – Otworzyłem oczy i zamrugałem z powodu ostrego światła przy mojej twarzy. Wszystko mnie bolało. Przynajmniej przestało padać.

– Jak się czujesz? – Kara przykucnęła przy mnie. Miała mokre włosy i była usmarowana błotem. Trzymała orichalcum pomiędzy nami.

– Umieram. – Pokręciłem na boki swoją szczęką. – Myślę, że sobie wszystko połamałem.

– Nic mu nie jest – zawołała Kara przez ramię.

Snorri wychynął z ciemności i podał mi rękę, by podźwignąć mnie na nogi. Hennan pojawił się znikąd, bardziej bałwan z błota niż chłopiec, i wsunął się pod moje drugie ramię, by pomóc mi wstać, gdy Snorri ciągnął.

Wzięłem głęboki oddech i od razu tego pożałowałem.

– Śmierdzi jak pogrzeb w latrynie.

– To tylko ty. – Snorri objął mnie ramieniem i pokierował w stronę cuchnącego zezwłoku nienarodzonego. Długie pióra leżały w zrytej ziemi, ich światło gasło na moich oczach.

– Baraqel? – zapytałem.

Snorri pokręcił głową.

– Zniszczyli się nawzajem.

Skrzynka z duchami leżała w błocie niedaleko, jej blask przyciągnął mój wzrok. Wskazałem na nią.

– Hennan, podaj mi to. – Gdy pobiegł po pudełko, dodałem: – Nie dotykaj go gołymi rękami.

Wrócił, niosąc je ostrożnie w dłoniach, z naciągniętymi na nie rękawami. Straciłem rękę Snorriego z ramion i dałem krok do przodu, by wziąć pudełko. Zanim zdążyło przywołać jakiegoś dawnego przodka, zawołałem do niego: „Baraquel!”.

Natychmiast znajome rozmyte światło rozbłysło w głębi otwartego pudełka, a gdy odsunąłem je od siebie, zmaterializował się nad nim duch Budowniczego. Dostrzegąłem w mężczyźnie przede mną coś z Baraqela: ten sam ostry nos, oczy nieco zapadnięte nad wystającymi kośćmi policzkowymi, szeroka płaszczyzna czoła, ale to sposób, w jaki duch płonął zwielokrotnionym światłem, jakiego nigdzie indziej nie widziałem, przekonał mnie, że to naprawdę był Baraquel.

– Wykryto powiązanie. – Głos skrzynki. – Bareth Kell. Duch spojrzał mi w oczy i przemówił własnym głosem.

– Mów mi Barry.

– Ja... – Skrzynka zawsze wytrącała mnie z równowagi. – Czy jesteś martwy?

– Jestem tylko wpisem bibliotecznym, Jalandre. Bareth Kell umarł wiele wieków temu w trzeciej wojnie.

– Ale ja cię znam. Jesteś Baraquelem.

Duch zaświecił jeszcze jaśniej. Osłoniłem oczy.

– Kiedy świat spłonął, byłem jedną z niewielu osób, które zdołały opuścić swoje ciało i wpleść się do strumienia energii. Stałem się zjawą, duchem, jeśli wolisz. Barry żyjący w ciele, w którym urodził się mój umysł... spłonął. To był smutny czas.

– Baraquel? To ty, prawda? – Przechyliłem skrzynkę, a duch przechylił się wraz z nią. Był czymś więcej niż jakiś „biblioteczny wpis” – wydawał się żywy, naładowany energią i osobowością. Dostrzegłem to, gdy przechylił się wraz z pudełkiem. Rozdrażnione zmarszczenie brwi, coś osądającego w sposobie, w jaki zacisnął usta. – To ty!

Baraquel skinął głową i uśmiechnął się wymuszenie.

– To ja. A przynajmniej moje echo rezonujące w tym urządzeniu. Niedługo zniknie. Gdzie poganin? Przyrowadź go tu.

Snorri wkroczył w krąg światła padającego ze skrzynki.

– Baraquele. Walczyłeś dzielnie.

– Uratowałeś nas. – Zmarszczyłem czoło, patrząc na anioła – teraz tylko ducha człowieka, który zmarł tysiąc lat temu, mężczyzny po pięćdziesiątce, z lekką łysiną. Nie zwróciłoby się na niego uwagi na ulicy, ale w jakiś sposób siłą woli odcisnął swoje piętno na wszechświecie tak mocno, że wszechświat poniósł jego ducha przez wszystkie te lata, odkąd jego ciało spłonęło na popiół. – Jak... jak przeszedłeś od tego... – Wyprostowałem pudełko z duchem. Włożyć

na niego tunikę i mógłby zostać służącym w pałacu. – Do tego? – Skinąłem w stronę szczątków nienarodzonego i wielkich dymiących ran, które miecz Baraęla zostawił w ciele stwora.

Baraęel wyszczerzył zęby, machając dłonią przed twarzą w geście umniejszania własnych zasług.

– Na początku czuliśmy się jak bogowie, ci z nas, którzy uciekli w... można by je nazwać żywiołami... sięgaliśmy tak daleko. Ten świat jest jak jeden liść, a my zyskaliśmy dostęp do drzewa. Lata mijały niezauważenie. Na początku zmiana była łagodna. Powrócili ludzie, zaledwie kilku ocalałych wiele pokoleń później wyszło z bunkrów albo wysypało się z miejsc tak oddalonych od wszystkiego, że nie ucierpieli bezpośrednio. Oni przyciągnęli nas z powrotem. Myśleliśmy, że to był nasz pomysł – że wrócimy, by zobaczyć ponowny rozwój ludzkości, że będziemy ją prowadzić. Ale tak naprawdę to ich oczekiwania nas przyciągnęły, a potem ich opowieści zaczęły nas kształtować kawałek po kawałku, tak wolno, że nie zauważyliśmy ani nie rozumieliśmy tego procesu. W końcu staliśmy się historiami, które o nas opowiadali.

Gdy Baraęel mówił, światło jego ducha z danych gasło.

– Żyłem zbyt długo. Tak wiele lat, tak wiele żalu. – Zrobił się niewyraźny. – Kiedyś kochałem oglądać wschody słońca. Przed zmianą. Zanim świat przestał być taki prosty. Budziłem się wcześniej tylko po to, by obejrzeć wschód słońca nad Pirenejami. – Jego głos miękł, rozmywał słowa. – Nie widziałem wschodu słońca tego ostatniego dnia. Miałem zamiar... Żałuję tego. Może... bardziej niż całej reszty. – Urwał. Był teraz bledszy niż duchy, które wcześniej pokazywało pudełko. Skrzynka bladła wraz z nim, jej blask przygasał pod moimi palcami. – Czasami myślę, że kiedy bomba sprawiła, że wyparowałem, tamtego dnia zginął prawdziwy Barry Kell, a ja jestem jedynie echem, zmianą w świetle. – Podniósł na mnie wzrok, widmowy, blade linie sugerujące postać. – A to, co tu... widzicie, jest jedynie echem tamtego echa, grzechoczącym w skrzynce z arsenałem sztuczek, starym Baraęelem... aniołem nałożonym na zwykłą sztuczną inteligencję, by wypowiedzieć swoje ostatnie słowa.

– Dziękuję – powiedział stojący obok mnie Snorri. – To był zaszczyt, walczyć u twego boku, Baraęelu, zaszczyt móc wraz z tobą powstrzymać noc.

– Widzę. – Słowo tak ciche, że można by pomyśleć, że je sobie wyobraziłem.

– Co widzisz, Baraęelu? – drwiłem z niego, uznawałem za wrzód na mojej królewskiej dupie, kiedy byliśmy związani, ale teraz gardło mi się ścisnęło, gdy mówiłem, i musiałem zaciskać zęby, żeby wypowiedzieć słowa jak należy.

– Wschód słońca... czy... czy wy go... nie widzicie?

– Widzę – odparł Snorri.

– Jest... piękny.

– Tak.

Skrzynka w moich dłoniach była ciemna. Cicha.

Dziwnie jest być świadkiem śmierci ducha, który dzielił z tobą umysł. Ani ja, ani Snorri nie odzywaliśmy się, wracając na drogę.

Jeszcze dziwniejsze było odkrycie, że anioł był kiedyś człowiekiem z nadziejami i marzeniami tak jak my, i z całą tą głupotą, którą ludzie noszą ze sobą. Pomyślałem o tym, co Baraqel powiedział w swych ostatnich minutach – jak uciekł ze swego ciała i czuł się jak bóg z bezgranicznym potencjałem, jedynie po to, by zostać wciągniętym w historie opowiadane o nim przez ludzi, związanym przez ich oczekiwania i w końcu ukształtowanym przez owe opowieści w coś nowego.

– Żal mi go – powiedziałem, przechodząc nad rowem. Obejrzałem się na resztę. Przedzierali się przez resztki żywopłotu. – Nigdy nie był panem samego siebie... czy duchem... czy czym tam był.

Kara podniosła na mnie wzrok, przechodząc obok z lekkim uśmiechem na ustach.

– Myślisz, że tak się od niego różnisz, książę Jalandre?

Zmarszczyłem brwi na te słowa i już chciałem zaprzeczyć, ale wiedźma miała rację. Oczekiwania innych zaprowadziły mnie na północ, na przekór wszystkim instynktom, jakie posiadałem. Była to więc równie mocna jak magia Siostry. Słowo „książę”, nazwisko „Kendeth”, historia Przełęcz Aralskiej, wszystko to było wnykami, w które zostałem złapany. Oczywiście próbowałem je wykorzystywać, uciekać z nich, przekreślać je... ale gdy tak je przekreślałem, zmieniałem się w kogoś nowego. Tak jak Baraqel. Równie nieświadomie.

Ocalałe konie łatwo było złapać. Może bały się, że zostaną same w dziczy równie mocno co ja, bo wszystkie trzy wróciły ostrożnie na drogę niedługo po tym, gdy się na niej zgromadziliśmy. Pojechaliśmy ciemnym gościńcem tylko po to, by oddalić się od truchła nienarodzonego. Żadnemu z nas nie podobał się pomysł, byśmy położyli się spać w jego pobliżu. Nie w zasięgu wzroku, ale blisko.

– Chodź. – Wciągnąłem Hennana na Morda i posadziłem za mną, zauważając, że chłopiec stał się o wiele cięższy. Szturchnąłem konia, by ruszył, odciągając go od wierzchowca Kary. – Spokojnie. I żadnego gryzienia, albo zmienię ci imię na Dezerter.

Kilka minut później dotarliśmy do szczątków kardynalskiej procesji. Droga wyglądała jak podłoga w kostnicy, zapasowe części ludzi, których nienarodzony nie miał czasu przyłączyć do swego ciała, dekorowały brukowany odcinek długi na sto jardów. Snorri zacisnął orichalcum w pięści i ukrył przed nami najgorsze widoki.

– Zaczekajcie. – Podjechałem bliżej, gdy znaleźliśmy się przy roztrzaskanych resztkach lektyki kardynała Gertrude. – Potrzebna mi chwilka. – Zeskoczyłem z siodła i przypomniało mi się, że wszystko mnie bolało. Ostrożnie stawiając stopy, dotarłem do wraku, nie nadeptując na nic, co kiedyś było człowiekiem. Obróciłem kilka większych części lektyki, wbijając sobie trochę drzazg, zanim znalazłem to, czego szukałem. Otarłem dłonie z trupiej krwi i przeciągnąłem bagaż kardynała do pozostałych.

– Wciąż liczysz na to, że znajdziesz pieczęć? – zapytała Kara.

– To była przynęta. Książę zatrzymałby ją i użył jej ponownie, gdyby ten fortel nie wypalił. Ale nie chciałby jej trzymać przy sobie ani przy żadnym ze swoich trupów.

– Zabił ich wszystkich tylko po to, żeby wciągnąć cię w pułapkę? – zapytał Hennan, który niezręcznie przycupnął na Mordzie.

– Pewnie zrobił to z przyjemnością. Niezła przykrywka, żeby udać się na północ. Wskrzesić martwych żołnierzy i powędrować głównym szlakiem. Kto by zatrzymał kardynała? A nienarodzeni wiedzą, że potrzebuję czegoś... takiego! – Wyciągnąłem pieczęć z pakunku ciasno zwiniętych purpurowych ornatów. – Jeśli chcę przeżyć spotkanie z moją siostrą. – Obróciłem w dłoni cal sześcienny srebra, zdobnie kuty z czterech stron, z piątej uformowany w pierścień. Szósty bok, po przeciwnej stronie niż piąty, miał wyrzeźbioną pieczęć. Taka pieczęć, przyłożona do kleksa stygnącego wosku, mogła zezwolić na spalenie heretyka, ufundować klasztor albo zarekomendować grzesznika na świętego. Przymierzyłem ją na każdy palec. Zdołałem wsunąć ją za knykieć palca serdecznego lewej dłoni. Na szczęście kardynał Gertrude była kobietą sporych rozmiarów i miała pulchne paluchy. – I oczywiście wisienką na torcie jego małej intrygi był fakt, że biorąc pod uwagę zagrożenie obecnością papieskiego inkwizytora, z ich niesławną opinią o poganach, było prawdopodobne, że pojawię się sam.

Odrzuciłem torbę, nie znalazłszy w niej żadnych innych symboli kardynalskiego urzędu. Gdybym był sam, może zagrabiłbym złote krucyfiksy. Może zrobiłbym to, nawet mając niewierzących za widownię, ale skoro zmierzaliśmy do Osheim, nie był to dobry czas, by drażnić Wszechmogącego.

– Ten wspaniały koleżka mnie uratował. – Klepnąłem Morda po szyi. – Cóż, i ty, Snorri. Oraz Baraqel.

Kara odkaszlnęła w swoją dłoń.

– I Kara. Hennan pewnie też. I pozostałe konie. – Wlepiłem wzrok w völwę, by zobaczyć, czy była usatysfakcjonowana. – W każdym razie gdyby Mord nie potrafił tak szybko uciekać, bohatera Przełęczy Aralskiej mógłby tu spotkać smutny koniec.



Charland przypominał mi Thurtany, co nigdy nie jest dobrą rzeczą. Wieśniacy byli bardziej ubłoceni i szorstcy niż ci, których można spotkać w bardziej cywilizowanych południowych strefach, ale przynajmniej nie zawędrowaliśmy jeszcze tak daleko na północ, by opuścić kraje chrześcijańskie. Ogólnie rzecz biorąc, chrześcijańscy wieśniacy lepiej znają swoje miejsce niż poganie, przez co można było oczekiwać, że będą się unieść i szanować nadaną przez Boga zwierzchność szlachciców. Na północy prawie każdy jarl nie jest oddalony o więcej niż dwa pokolenia od rozbójnika o skrwawionych rękach, który opanował nędzny zbitek skał, który teraz ów jarl uznaje za swe królestwo.

Na szczęście, jeśli nie liczyć zawilgotnienia i nadmiaru potoków, jezior, sadzawek, rzek, bagien, moczarów, trzęsawisk i bajor, Charland był pobłogosławiony trwającym już dekadę niezmaconym spokojem. To oznaczało, że mając pieniądze w kieszeni, można było przebyć długie dystanse bardzo prędko po dobrze utrzymanych drogach i każdego wieczoru znaleźć dość przyzwoite miejsce na nocleg.

Bliskość, jaka wytworzyła się między Snorrim i Karą oraz Snorrim i chłopcem podczas naszej podróży na południe, znów zaczęła rosnąć. W wikingu był magnetyzm, który przyciągał ludzi, a coś w nim potrzebowało wcielenia się w rolę ojca. Niektóre kobiety popadają w melancholię, jeśli nie mają dzieci przy piersi; może niektórzy mężczyźni potrzebowali syna, którego mogliby wychowywać. Ja w najlepszym wypadku pełniłem dla Hennana rolę wujka o złej opinii, ale Snorri wziął na siebie większą odpowiedzialność. Nie pozując na nauczyciela, uczył chłopca wszystkiego, od wiązania węzłów, rzucania nożami i rozeznania terenu do czytania północnych run wydrapanych w ziemi.

Obserwując ich trójkę, odczuwałem ukłucia zazdrości, ale zmieszane z ostrożnością. W pewnym sensie było to jak zazdrosczenie widoku człowiekowi stojącemu nad przepaścią, przy jednoczesnym poczuciu wdzięczności, że żadne podobne pragnienie nie skierowało moich stóp na krawędź urwiska. Snorri zbyt łatwo zaczynał kochać: ta zdolność do miłości, do

bezinteresownego dawania siebie przyciągała do niego ludzi, ale jednocześnie sprawiała, że stawał się podatny na poważne zranienia. Mając topór w ręku, Snorri okazał się niemal niezwyciężony, nie musiał się niczego obawiać. A tutaj proszę, wręczał światu kij, by świat mógł go nim obić. W Osheim człowiekowi jest dostatecznie trudno martwić się o własną skórę. Zabieranie tam dziecka było złym pomysłem. Zabieranie syna było jak przyłożenie sobie noża do gardła i poproszenie świata, by cię pociął.

Dopiero w pobliżu granicy z Osheim atmosfera dobrobytu i wesołości zaczęła się rozwiewać. Nieliczne wioski stawały się coraz bardziej oddalone od siebie, na drogach widać było mniej ludzi, pola wyglądały na zaniedbane, a ostępy leśne rosły bez zainteresowania z niczyjej strony, w głębi ciemne i niepokojące.

Setki mil za nami, w sercu terytorium wroga, moja Babka i kwiat żołnierzy Czerwonej Marchii będą toczyć desperacką walkę, by utrzymać Blujen i zachować wieżę Błękitnej Damy w stanie obłączenia. Pewnie zostało im mało czasu. Tak samo jak wszystkim innym, jeśli wierzyć często powtarzanym przepowiedniom o zagładzie. A jednak z każdą milą umykającą pod kopytami Morda pragnąłem zwolnić, by przeciągnąć naszą podróż, zrobić cokolwiek, byle nie wkroczyć z powrotem do Osheim i nie pozwolić Kołu wciągnąć mnie w znajdujące się w nim koszmary.

– Świat się zmienia. – Kara jechała obok mnie, gdy brodziliśmy przez strumień, który przeciął nam drogę w niewłaściwie nazwanym Jasnym Lesie. Odezwała się tym tonem, którego używała do głębokich kwestii – myślę, że podpatrzyła go u Skilfar.

– Tak? – Wołałbym, żeby się jednak nie zmieniał. Wtedy moglibyśmy wrócić do domu.

– Nie czujesz tego? – Skinęła głową w górę, w stronę jasnej linii w miejscu, gdzie drzewa nie zdołały się zetknąć nad naszą ścieżką. Niebo wyglądało krucho, jakby dostatecznie głośny dźwięk mógł je rozbić i posłać kawałki na ziemię. – Wszystko staje się coraz cieńsze. Magia wylewa się przez szczeliny.

– To twoje zaklęcie, które uwięziło nienarodzonego w krzakach, wyszło dobrze.

– Lepiej niż powinno. Lepiej niż kiedykolwiek poza Kołem. Tej nocy obozowaliśmy w lesie. Noc była zimna i czarna, a cały las zdawał się ruszać za cienkimi ściankami namiotu.

W którymś momencie następnego dnia, podążając starymi i zarośniętymi szlakami drwali przez nienazwane ostępy leśne, wkroczyliśmy do królestwa Osheim w pobliżu miejsca, gdzie stykało się ono zarówno z Charlandem, jak i Maladonem. Byliśmy już na północ od miasta Os, gdzie król Halaric kulił się na

skraju własnego państwa, jakby bał się zapuścić w nie głębiej.

Po kolejnym dniu drzewa chyba również straciły odwagę i ustąpiły miejsca nędznym, chorobliwie wyglądającym wrzosowiskom, gdzie jedynymi rzeczami, które spowalniały wiatr, były częste ulewy, czasem okraszone mokrym śniegiem.

W oddali górował cień, siniec na niebie. Dawał nam znać, gdzie czekało Koło, a Hennanowi, że wracał do domu. Tej nocy po raz pierwszy od roku poczułem przyciąganie Koła, ale wtedy wydało mi się, jakbym zawsze je czuł, od chwili gdy po raz pierwszy złapało mnie na haczyk podczas naszej ucieczki przed Czerwonymi Wikingami. Spałem niespokojnie, kiepski posiłek złożony z suszonego mięsa i sucharów nie chciał mi się ułożyć w żołądku, a ja przez cały czas byłem świadomy, że Koło było tam w okolicy, wiedziałem dokładnie, w jakim kierunku, i wiedziałem, że moje nogi, niespokojne z potrzeby, by mnie tam zabrać, nie pozwolą mi pospać za długo.

Wschód słońca zastał nas już na nogach, gdy gotowaliśmy się do drogi.

– Tym razem jest silniejsze. – Snorri przykucnął nad małym ogniskiem, podgrzewając owies z wodą w małym poczeriałym kociołku.

Na wschodzie słońce skryło się za płynącym nisko kłębem chmur, malując na perłowym niebie różane promienie. Na północy czekało Koło, przyciągając nas.

– O wiele silniejsze – potwierdziła Kara. – Obraca się szybciej, zbliżając się do granicy wytrzymałości. – W świetle brzasku miała w sobie eteryczne piękno, jej oczy zmętniały dziwnie, tak jak wtedy, gdy czarowała, luźne kosmyki stawały dęba w jej warkoczach, jakby znajdowała się w środku elektrycznej burzy. Odbijała się w niej echem moc Koła.

– Jak daleko jeszcze? – Krajobraz zmienił się w niewysokie pagórki i pofałdowane doliny ojczyzny Hennana. Niebo nad nami miało kolor żółtopurpurowego sińca i tworzyło wielką spiralę nad punktem leżącym bezpośrednio przed nami.

– Jakies dwie mile mniej od czasu, gdy pytałeś ostatnio, Jal. – Snorri jechał przodem, kiwając się w rytm kroków swojego wierzchowca, oferując mi mało widoków, jeśli nie liczyć jego szerokich ramion okrytych skórzaną peleryną i gęstych czarnych włosów sięgających mu za szyję.

– Jakies dwadzieścia mil – zlitowała się nade mną Kara.

Hennan jechał ze mną na Mordzie, przycupnął na zbiorze koców przymocowanych do siodła. Zamilkł, gdy dotarliśmy do skraju terenów Koła, gdzie jego dziadek kiedyś hodował kozy. Tym razem zbliżaliśmy się z południa i nie widzieliśmy śladu żadnego życia, czy to mającego cztery nogi, czy dwie, jeśli nie liczyć pary kruków lecących na zachód.

Okolica nie miała tu jeszcze wypaczonego, obcego charakteru, którego

nabierała dalej, ale wszystko wydawało się niewłaściwe – trawa w nieprzekonującym odcieniu zieleni, wiatr naładowany szeptami i wyginający w dziwne kształty szuwały rosnące gęsto wokół moczarów w dolinach.

– Widzisz je? – zapytał Snorri.

– Nie. – Miałem nadzieję, że były tylko wytworami mojej wyobraźni. – Czym one są?

– Wytworami twojej wyobraźni – powiedziała Kara za moimi plecami, usiłując nie dopuścić, by jej szkapa spanikowała.

– O, to dobrze. – Wyglądało na to, że cieniste kształty poruszały się w naszym tempie po obu stronach drogi, dość daleko. Kiedy patrzyłem bezpośrednio na nie, albo znikwały, albo nie chciały się wyostrzyć, pozostawały niewyraźnymi smugami w średniej odległości, jak plamka na oku.

– To źle. Bardzo źle. – Kara rozejrzała się dookoła. – Koło sięga aż tutaj i zaczyna oblekać w ciało nasze lęki. Oczekiwałam czegoś podobnego, ale o wiele bliżej Koła.

– Do diabła. – Kilka tygodni dobrych intencji stopiło się jak śnieżka wrzucona do pieca. – To nigdy nie wypali. Nie mamy szans. – Traciłem czas na zamartwianie się, co zrobię, jeśli naprawdę dotrzemy do środka Koła, pozwalając sobie prześlizgnąć się po problemie dotarcia do owego środka. Gdy tak wpatrywałem się w niewyraźne kształty, niektóre zaczęły wyglądać bardziej materialnie, ich zarysy wyostrzyły się. W szczególności jeden pociemniał i zaczęły mu wyrastać długie smukłe nogi... – Kurwa! Musimy uciekać! – Pociągnąłem za wodze Morda. Raz już cwałem wyniosł mnie z zagrożenia, mógł to zrobić ponownie.

– Jalenie! – Głos Kary przebił mnie, kradnąc mi siłę z ramion. – Musisz się uspokoić, opróżnić umysł.

– Opróżnić umysł? Co ty, do cholery, wygadujesz? – Mój umysł był bulgoczącym kotłem, nigdy nie byłem w stanie uciszyć jego głosów. Nawet wtedy, gdy rozkoszowałem się pucharem wina na balkonie po igraszkach w pościeli, moje myśli były kipiącą masą tego, tamtego, może i kiedy. – Nie potrafię!

– To skup się na czymś innym, na dobrym wspomnieniu, czymś spokojnym.

– Nic... do diaska, mam pustkę w głowie! – Każdy obraz, który przychodził mi na myśl, był prędko wypaczany przez moją wyobraźnię w przerażający koszmar. Na trawie kolejny zwiewny cień pociemniał i zaczął nabierać kształtów horroru z mojej głowy. Pomyślałem o Lisie DeVeer, ale gdy tylko wyobraziłem sobie jej przepyszne ciało w pasach światła i cienia, moja zdradziecka wyobraźnia zaczęła spekulować, jak też Koło mogłoby mnie skrzywdzić za pomocą kobiety. Ciało odpadło wokół jej ust, ukazując trójkątne

zęby okalające otwór gębowy. – Muszę zniknąć! Zanim przeze mnie wszyscy zginiemy!

Potrząsałem wodzami Morda, ale Snorri wychylił się i złapał je.

– Jal! – Pstryknął palcami przed moim nosem. – Nie musisz opróżniać umysłu ani wypełniać go niczym dobrym, po prostu musisz posłuchać. – Snorri skierował Morda z powrotem w stronę Koła i nakazał swojemu koniowi ruszyć powoli. – Historie zabierają człowieka w ponure miejsca. Historie mają kierunek. Dobra historia prowadzi myśli człowieka po ścieżce, nie pozwala mu z niej zbroczyć, nie zostawia miejsca na nic poza opowieścią, która rozwija się na twoich oczach.

– Jaką ty masz historię, Snorri? – zapytał Hennan. – Tę o olbrzymie, który ukradł młot Thora?

– Chryste, nie opowiadaj żadnej z tych swoich sag o potworach! – Już je widziałem, lodowe giganty wyłaniające się z mgły w trakcie opowieści Snorriego,

– O, ta historia będzie jeszcze mroczniejsza. – Snorri obrócił się w siodle, by na nas spojrzeć. – Ale jeśli opowiem ją we właściwy sposób, nie znajdzie się w was miejsce na nic innego. Nie będziecie myśleć o Hel wylewającym się dla was z Koła, bo ja pierwszy je przed wami roztoczę.

I w ten sposób, jadąc w stronę Koła Osheim, Snorri ver Snagason po raz pierwszy opowiedział o swojej przeprawie przez Hel. Być może bajarska swada Snorriego zawsze była rodzajem magii, a bliskość Koła wzięła ten łagodny urok i uczyniła zeń coś potężniejszego. Wiem tylko, że słowa pędziły wokół mnie i jak w złym śnie znalazłem się znowu w piekle, widząc jedynie to, o czym mówił Snorri.

Snorri odwrócił wzrok od budynku z wieloma filarami, sali sędziów, i spojrzał w piekielną noc, teraz ożywioną pędzącym wiatrem znaczącym jej przybycie.

Jalan! Suche powietrze wyrzaskiwało jego imię. Jalan!

Oto stanęła przed nim dziewczynka nie starsza niż jego słodka Einmyria, blada jak duch, ale rozświetlona jakimś wewnętrznym blaskiem. Zniknęła. W wirującym wietrze pojawiła się teraz po jego prawej stronie szczupła młoda kobieta z głęboko osadzonymi oczami, odziana jedynie w smugi tego, co nią sterowało. Przekrzywiła głowę i obserwowała Snorriego z ciekawością obcego. Wiatr znów przemówił kłującym głosem, naładowanym żwirem i chłodem. Teraz stała się niemowłębem, leżała parę jardów na prawo, blada i milcząca. Patrzyła na niego oczami ciemniejszymi niż noc w Hel. Macki liczkina, z którym była związana, wznosiły się nad nią jak półprzezroczyste węże, ich

światło było pozbawione ciepła. Dziewczynka, która nigdy nie widziała świata, i liczkin, któremu została dana, związani razem, oczekujący chwili, w której staną się nienarodzonym w świecie żywych. Jalan!

– Nie jestem nim – powiedział Snorri.

Nienarodzony zasyczał, przekształcając się w jakąś ohydłą rzecz bez ciągłości ani określoności. Liczkin wysunął się naprzód.

– Czujesz to, prawda? – zapytał Snorri. – Klęskę jednego z was. Walczył ze mną w Hel, a teraz jest niczym. – Snorri podniósł topór. – Chcesz się przekonać?

Zawiał wiatr i podobny do ducha nienarodzony rozpadł się, wirującym ruchem kierując się w stronę sali sędziów. Snorri zadrżał i opuścił topór, licząc na to, że kupił Jałowi dość czasu, by ten zdołał uciec.

W oddali, gdzie przestał wiać wiatr, a ciemność opadła z powrotem na ziemię, z której wcześniej się wzniosła, pokazało się martwe niebo. Miało kolor smutku i złamanych obietnic. Snorri znów zaczął iść. Ból, pragnienie i głód, będące częścią Hel, wplotły się w jego ciało tak mocno, że każdy krok był jak walka.

Miał nadzieję, że Jałowi udało się wygrać wyjście – chłopak dorósł w czasie, który spędzili, podróżując razem.

W ciągu niecałego roku jego miękkość starła się i ukazało się trochę tej samej stali, która była tak wyraźna u Czerwonej Królowej, chociaż Jal chyba nie był jeszcze tego świadomy. Zaświaty wydawały się zbyt ciche bez ciągłego narzekania księcia. Snorri już za nim tęsknił. Na twarz wypełził mu szeroki uśmiech. Jal sprawiał, że uśmiechał się nawet w Hel.

Snorri szedł dalej w dzicz, gdzie kraina Hel stykała się z innymi miejscami, ziemiami lodu i ziemiami ognia, w których mieszkały olbrzymy zbierające siły na Ragnarok. Graniczyła też z innymi, dziwniejszymi miejscami, wszystkimi związanymi razem korzeniami Yggdrasila. Teren wznosił się i popękał, jakby zamarzył w swej śmiertelnej agonii, wybrzuszony we wzgórza, poblizniony głębokimi rozpadlinami, wspinający się na zniechęcające wysokości.

Niewielu tu trafiało, tylko pojedyncze dusze zafiksowane na swym celu i dwa razy więcej trolli, zgarbionych i przemykających prędko między rozrzuconymi skałami. Gdziekolwiek stały monolity, wieże z czarnego bazaltu. W każdej było wyryte oko, jakby miało sugerować, że bogini obserwuje nawet krańce swego królestwa.

Po tym jak Jal odszedł, piekło, po którym kroczył Snorri, zaczęło coraz bardziej przypominać krainę, o której skaldowie śpiewali podczas długich nocy wokół dogasającego ognia w miodosytmi. Snorri wiedział, że sama Hel siedzi na tronie w sercu tych ziem, podzielona jak noc i dzień, tak jakby Baraqel i Aslaug

zostali rozcięci od głowy do krocza i połowa każdego z nich została zszyta z połową drugiego w jedną istotę. Snorri, mimo głębi swojego przekonania, cieszył się, że ścieżka zawiodła go na krańce krainy, a nie do dworu bogini. Zamierzał złamać prawo Hel, ale wolałby nie robić tego, podczas gdy ona stałaby za jego plecami.

W oddali wzgórza wznosiły się z krwawego pyłu, ciemne od niebezpieczeństw. Równina przed nimi była usiana martwymi i powykręcanymi drzewami, pradawnymi roślinami skarłowaciałymi od wiatru, bez żadnego liścia, bez żadnej plamki zieleni na całej połaci lasu. Snorri znów zaczął iść.

– Kraaa!

Wiking obrócił się w stronę niespodziewanego wrzasku z toporem w pogotowiu. Nic nie zobaczył. Krwawy pył wzbijał się wokół jego stóp, sięgając kolan.

– Kraa! – Kruk, czarny i lśniący, przysiadł na drzewie kilka jardów dalej, zaciskając długie szpony wokół suchej gałązki. – A to dziwny przypadek Żywy człowiek w Hel. – Ptak przekrzywił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę, mierząc Snorriego wzrokiem.

– Dziwniejszy niż kruk, który potrafi mówić?

– Może wszystkie kruki potrafią, ale większość nie chce.

– Czego ode mnie chcesz, duchu?

– Żaden duch, jedynie kruk, który chce tego co wszystkie kruki: obserwować, dowiadywać się, odlecieć i wyszeptać nasze sekrety Wszechojcu. I może jeszcze soczystego robaka.

– Naprawdę? – Snorri w zdumieniu opuścił nieco topór. – Jesteś Munin?... Czy Hugin? – Przypomniał sobie imiona dwóch kruków Odyna dzięki opowieściom kapłanów. Stosownie do sytuacji przypomniał sobie najpierw Munina – pamięć, a potem Hugina – myśl, bo o nim musiał pomyśleć dłużej.

Kruk zakrakał, potrząsnął piórami i usiadł spokojnie.

– Matka i ojciec dla nas wszystkich. Wszystkie latamy za nimi.

– Och. – Rozczarowanie Snorriego zabarwiło słowo. – A więc nie rozmawiasz z Odynem?

– Wszystko, co mówi, rozmawia z Odynem, Snorri, synu Snagi, syna Olaafa.

– Ptak otarł dziób o pobliską gałąź. – Dlaczego tu jesteś? Dlaczego zapuszczasz się w dzicz?

Snorri znał swój cel, nie przyszło mu do głowy, by zastanawiać się nad swoją ścieżką.

– Jestem tu dla mojej żony i dzieci. Sposób, w jaki mi ich zabrano, był zły.

– Zły?

– Zawiodłem ich.

– Wszyscy zawodzimy, Snorri. Na końcu zawsze zawodzimy. Często wcześniej.

Snorri przycisnął dłoń do twarzy, ciężar wspomnień przygniatał go do ziemi, dusiły go uczucia.

– Co miałem zrobić? Zostawić ich? Nie mogłem na to pozwolić. Wygram albo przegram, ale moja walka rozegra się tutaj. Co innego miałbym zrobić?

Kruk znów się nastroszył, pojedyncze pióro spłynęło między martwymi gałęziami.

– Nie pytaj mnie o radę. Jestem tylko ptakiem. Tylko pamięcią.

Snorri pociągnął nosem, wstydzając się łez. Sądził, że jest zbyt wyschnięty, by płakać. Czuł się głupi i zraniony.

– Myślałem, że pójda do bogini. Myślałem, że pójda do Hel, a ona zobaczy ich dobroć swym białym okiem i nie zobaczy w nich zła swym czarnym okiem. Powinni trafić do Helgafell... – Święta góra czekała na dzieci i tych, którzy nie zginęli w bitwie... choć bogowie wiedzieli, że Freja na pewno walczyła w obronie swoich dzieci. Ale Hel nie oddzieliłaby jej od Emy i Egila... z pewnością nie taka była nagroda za jej odwagę. Snorriemu zakręciło się w głowie. Wydawało się, że piekło kręciło się wokół niego, a on wraz z krukiem znajdowali się w centrum wszystkich rzeczy obracających się wokół tego jednego pytania. – Dlaczego oni są tutaj?

Snorri otarł oczy ramieniem i wciągnął powietrze, by powtórzyć pytanie, ale drzewo było puste, gałąź naga. Przez długą chwilę zastanawiał się, czy ptak w ogóle tu był. Potem ukląkł i podniósł z rdzawego pyłu samotne pióro. Wstał, wsunął je do sakiewki i ruszył w dalszą drogę przez martwy las w stronę odległych wzgórz.

Niebo zdawało się wisieć tu niżej i choć wciąż miało ten sam kolor, w jakiś sposób było na nim widać zapowiedź burzy. Tak jak i w całej okolicy, jakby wstrzymała oddech w oczekiwaniu. Wiking utkwiał wzrok w wysokim szczycie i zacisnąwszy zęby, rozpoczął długą wspinaczkę.

Snorri piał się niezdarnie po chropowatych zboczach, gramoląc się po skałach, które sprawiały ból przy najlżejszym dotyku, jakby same składały się z cierpienia. Obrazy Ośmiu Pomostów wypełniały mu głowę, gdy wyciągał ręce, zaciskał je, podciągał się i powtarzał ruch. Jego wioska wznosząca się nad Uulisk, nad pomostami, którym zawdzięczała nazwę, zbieranina chat, znanych mu tak dobrze, że mógł nawigować między nimi podczas bezgwiazdnej nocy, czasem tak spity, że nic nie widział. Wspominał swój dom, Freję w drzwiach, ze złotymi włosami opadającymi na ramiona, z uśmiechem w błękitnych oczach z małymi zmarszczkami w kącikach, z jedną dłonią na ramieniu Emy, drugą

czochrającą włosy Egila, rude między jej palcami. Zza jej pleców wyłaniał się Karl, górując głową i ramionami nad swą przybraną matką. Włosy miał białoblond jak jego rodzona matka i miał szansę urosnąć tak wysoki jak ojciec. Nawet w wieku piętnastu lat przewyższał większość mężczyzn.

Jak urósłby Egil z kościstego, pełnego energii dziecka, chętnego do badania wszystkiego, co świat oferował lub chował? Zawsze skory do różnorakich psot. Chłopiec ubóstwiał Snorriego...

– Pozwoliłem mu umrzeć. – Kolejny chwyt. Obnażone z wysiłku zęby. Kolejne parę stóp w górę. – Pozwoliłem im wszystkim umrzeć.

Snorri spojrzał w niebo, mrugając, by odgonić łzy. Żaden ból, jaki znosił w Hel, nie równał się z tym, który zagnieździł się w jego piersi w dniu, kiedy znalazł w śniegu Emy, okaleczoną przez ghule przywiezione do Ośmiu Pomostów przez Svena Złamane Wiosło. Ów ból rozrósł się wokół jego serca, większy i mocniejszy z każdą kolejną śmiercią, nie malał z upływem czasu, był jak zbroja przeciwko temu, co dawał świat, był też więzieniem. *Ale się skończy. Skończy się tu, w Hel.*

Snorri nie miał pojęcia, jak długo się wspinał. Bez nocy i dni, bez jedzenia i wody, bez śladu życia na tyle blisko, by odległość między nimi dało się zmierzyć tak małą jednostką jak mila. Czas biegł swymi własnymi, dziwacznymi ścieżkami. Snorri nie potrafił powiedzieć, jak długo się wspinał, ale docierając na szczyt, czuł, że po drodze się postarzał.

Z wierzchołka rozciągał się widok na pofałdowany teren, gdzie labirynt suchych dolin, parowów i głębokich rozpadlin ciągnął się aż po ciemny horyzont. Niebo było zabarwione cieniem, jakby pędziły po nim nikłe wstęgi chmur, czepiające się spodu świata znajdującego się nad Hel. Każda smuga cienia tworzyła pewien wzór, wielki wir, obracający się zbyt wolno dla oka, z epicentrum nad szczytem umiejscowionym wiele mil dalej nad labiryntem.

– Widzę. – Snorri opuścił na chwilę topór i wziął głęboki oddech. – Idę po ciebie, Freja. – Otarł krew z dłoni. – Idę po was wszystkich. – Miał cel. Freja będzie tam z jego dziećmi. Całe Hel nie będzie w stanie go teraz powstrzymać.

Mord poślizgnął się na jakimś kamieniu i na chwilę wyrwał mnie z opowieści Snorriego. Wjechaliśmy daleko w ziemie Koła, może niemal tak daleko jak za pierwszym razem. Stojące głązy niedaleko nas, wyższe od człowieka, ciągnęły się w pięciu rzędach blisko siebie promieniście jak szprychy, by zbiec się w nieskończoności. Wrzos rósł nadmiernie wybujały w chorobliwych, powykręcanych kępach. Usłyszałem swoje imię spomiędzy kamieni... błada dłoń o długich palcach wychynęła zza jednego w pobliżu mnie, porośniętego starymi porostami. Zamknąłem oczy i znów porwała mnie historia, kierując mnie na inną ścieżkę.

Błada dłoń o długich palcach wypełzła zza kamienia. Ruch przyciągnął uwagę Snorriego. Wiking oderwał wzrok od pylistego podłoża wąwozu i spojrzał na jego stromą, urwistą ścianę. Przebył już kilka mil labiryntu. Splamiony cieniem wir rysował się teraz wyraźniej nad jego głową. Przez wszystkie te mile nie widział nawet jednej zabłąkanej duszy.

– Lepiej wyjdź i się pokaż – zawołał, dzwigając w górę topór.

Zza skraju wyszczerbionego występu skalnego, jakieś trzydzieści jardów nad dnem doliny, wysunęła się wąska głowa. Na początku Snorri pomyślał, że to liczkin, i krew zmroziła mu się w żyłach, ale stwór był chorobliwie żółty, nie biały, a jego głowa przypominała głowę ptaka, niezdrowe połączenie dziobu i ciała, a nie bezoki klin liczkin. Podciągnął się tak, że Snorri mógł go dojrzeć. Zaskrzeczał głosem przypominającym drapanie paznokciami po tabliczce do pisania, odsłaniając przy tym drobne trójkątne zęby w mięsistym dziobie. Miał tykowane, kościste ciało z rzędem kolców wzdłuż kręgosłupa.

– Demon. – Snorri wyszczerzył zęby. – Rychło w czas. Pokaż, na co cię stać. – Uśmiechał się, ale wiedział, że ten stwór mógł go zgładzić. Liczkin był przytłaczający. Snorri walczył też z trollami w świecie żywych i ledwo przeżył – były wielokrotnie silniejsze od człowieka i zaskakująco szybkie. Mimo to zagrała w nim czerwona pieśń wojny i ból zniknął z jego kończyn, jakby umknął ze strachu.

Stwór uniósł głowę i wydał z siebie krzyk, który odbił się echem od ścian wąwozu. Przypominał wrzask, urywający się z powodu podciętego gardła. Demon zaczął złazić po stromej ścianie, opuszczając się tu i tam po kilka jardów, czepiając się skał szponami długimi jak palce i białymi jak złe zamiary. Jego zejściu towarzyszyły spadające, obluzowane kamienie, grzechoczące o ścianę, które uderzyły w ziemię zaledwie chwilę przed dwiema, szeroko rozstawionymi stopami o trzech palcach.

Gdy demon się zbliżał, ostrożnie skacząc z boku na bok jak drapieźny ptak, Snorri usłyszał, że w odpowiedzi na wrzask stwora odezwało się kilka głosów, niezbyt blisko, lecz niewystarczająco daleko.

To ponagliło go do szybszego działania, więc machnął toporem od dołu, zatapiając go w miejscu, gdzie szyja demona stykała się z jego głową. Przeciął tchawicę i zagłębił ostrze w mózgu. Demon padł na ziemię w konwulsjach, a Snorri wypuścił broń z rąk, by nie uderzyła go żadna z młócących kończyn. Chwilę później podszedł do truchła leżącego w chmurze pyłu wzbitej przez śmiertelne drgawki stwora, złapał za rękojeść topora, oparł stopę na pysku demona i wyswobodził ostrze. Bładowa krew niechętnie wyciekła z rany, cuchnąc zepsuciem.

Pierwsze demony, które odpowiedziały na wezwanie swego towarzysza,

wściekle wypadły z za ostrego zakrętu wąwozu kilkaset jardów od Snorriego. Trzy biegnące na czele były nieco podobne do tego, którego właśnie zabił, ale wszystkie różniły się między sobą. Pozostałe demony ledwo było widać w chmurze kurzu wznieconej przez najszybsze z nich. Było ich wiele.

Snorri nie miał łuku, więc tylko cofnął się, przywarł plecami do głazu i patrzył, jak nadbiegały. Wiedział, że było ich zbyt wiele. Demony wyły, zbliżając się. Pstra gromada, różniły się odcieniem od grafitowoszarych, po białe jak zsiadłe mleko. Niektóre były wysokie jak trolle i patykowane, inne ciężkie i przysadziste, kolejne nie większe od dzieci, ale ze szczątkowymi skrzydłami.

Snorri rozruszał ramiona i przygotował się na spotkanie z nimi wszystkimi. Smutno mu było, że miał umrzeć samotnie z rąk takich zdeformowanych koszmarów, ale nigdy nie oczekiwał, że wróci z Hel, a śmierć w walce być może była najlepszą rzeczą, jakiej mógł się spodziewać.

– My, Undorethowie. Zrodzeni z walki. Wzniesź młot, wzniesź topór, wzniesź okrzyk bitewny, aż zadrżą bogowie.

W ostatniej chwili przed atakiem wrogów Snorri zaznał uczucia spokoju. Żaden rodzic nie powinien żyć dłużej niż jego dziecko. Żaden ból nie jest większy od tego, gdy twoi synowie i córki zginęli, wiedząc, że w ostatniej chwili ich zawiodłeś. Snorri zginie, walcząc o ich ocalenie – tylko tak mógł spróbować naprawić tę niesprawiedliwość.

Pierwszy demon stracił swe uniesione przedramię i chwilę potem głowę od tego samego ciosu. Drugi stwór, tęgi i przypominający wilka, zatrzymał ostrze Hel, pozwalając mu zagłębić się w swą czaszkę i mózg. Snorri schylił się po ciosie, kucnął, a trzeci demon, który właśnie na niego skoczył, pozęgłował nad jego głową prosto w gład. Potem opadły go dziesiątki potworów.

Snorri niemal natychmiast porzucił ochronę, którą zapewniała mu skała. Przy zmasowanym ataku ważne było, by nie dać się do niczego przyprzeć. Wirujący topór stanowił dobry odstraszacz, ale gdyby utkwił w ciele jednego z przeciwników choćby na chwilę, wtedy dzierżący go człowiek mógł paść na ziemię pod falą wrogów. Wiking obrócił się na nierównym dnie wąwozu, zostawiając za sobą kilka potwornych kończyn drgających w pyłe. Ich krew cuchnęła rozkładem. Gdy się wycofywał, walczył z odruchem wymiotnym.

Snorri dotarł do stromej ściany i walczył teraz na tyle blisko niej, by trzymać atakujące demony z jednej strony i wciąż móc robić zamachy toporem, cały czas się wycofując.

Chmura pyłu skryła go przed większością wrogów, ale demony wciąż były blisko, szukały go na oślep, ich trąbienie i wycie wypełniały wąwóz.

Jakiś wielki stwór z tykowatymi ramionami, gruzłowatą skórą i głową jak

kamień wyprowadził cios, który zostawił bruzdy w klatce piersiowej Snorriego. Minął żyły i ścięgna w jego szyi zaledwie o cale. Wiking dopadł go, siekąc od dołu toporem, w odwecie rozciął mu pierś i odrąbał dolny fragment szczęki. Uskoczył do tyłu, wbijając koniec trzonka topora w wypełnioną kłami twarz następnego demona po jego prawej stronie. Większy padł na ziemię i stał się cieniem zrąbanym w chmurę pyłu.

Maczugowata ręka walnęła Snorriego w twarz. Jej właściciel był czarny i umięśniony; twarde błyszczące płytki pokrywały jego ciało i kończyny. Wiking poruszał się zbyt wolno i błyskawiczny cios posłał go obrotowym ruchem w stronę skalnej ściany. Snorri zaczął widzieć podwójnie, a krew spływała mu po szyi. Coraz więcej kształtów wyłaniało się z pyłu, hałas i smród były przytłaczające.

Wybebeszył toporem brzuchy dwóch demonów. Trzeci stwór, brązowy i chropawy, skoczył na Snorriego i ominął jego ostrze, gdy wiking próbował się przed nim zasłonić. Demon-dziecko, pokryty cierniami, uczeplił się nóg Snorriego i ten poleciał plecami na skały, rycząc wyzywająco. Stracił równowagę, cierniowy stwór zbił go z nóg i Snorri upadł bokiem na jakiś kamień. Zamajaczył nad nim ciemny kształt, kreatura o proporcjach trolla. W pustych oczodołach migotały płomienie, a z otwartej paszczy potwora wylewał się ogień. Demon dźwignął w powietrze maczugę z martwego drewna, nabijaną ostrymi kawałkami krzemienia. Pokryty strupami stwór wciąż wyszarpywał Snorriemu topór, a wiking nie miał siły, by wyrwać broń z jego łap.

– Undoreth! – Ostatni okrzyk, gdy płonący troll uniósł maczugę, by go wykończyć.

Lśniący miecz uciął demonowi głowę. Ciało zaczęło osuwać się na ziemię, płomienie skapywały z kikuta szyi. Postać w błyszczącej zbroi przesunęła się w bok, przygniotła ciężkim butem szyję ciernistego demona i opuściła miecz na pierś stwora pokrytego strupami. Chwilę później zniknęła, połknęła ją chmura pyłu, ale ze zmienionego tonu ryków i jazgotu demonów Snorri domyślił się, że nowo przybyły siał spustoszenie w ich szeregach.

Snorri wyszarpnął swój topór i odkopał na bok ciernistego demona akurat na czas, by zmierzyć się z nowym wrogiem, który pojawił się w polu widzenia. Przez sekundy, lub godziny, walczył dalej. Mierzywszy się z dwoma przeciwnikami, demony nacierały na Snorriego rzadziej i w mniejszych grupach. Mimo to parę razy prawie go dopadły. Wciąż się cofał, rąbiąc głowy i kończyny, machając toporem, malując ósemki szybkością, ostrą jak brzytwa bronią. Krwawił już z pół tuzina ran, oddech zaczął mu się rwać, czuł słabość w rękach i nogach, krew i pot zalewały mu oczy.

Dwa razy prawie upadł, raz potknął się o kamień, drugi raz o czaszkę, czarną kość ze sterczącymi kłami. Jeszcze parę jardów i kości zaczęły chrzęścić pod jego stopami co drugi lub trzeci krok w tył.

Teren z wolna zmieniał się, stawał się bardziej kamienisty, chmura pyłu rzedniała. Snorri przez chwilę dostrzegł wojownika, który do niego dołączył. Olbrzymi mężczyzna, wiking. Długie białe włosy spływały mu spod hełmu. Jakby był żywcem wyjęty z sag, zbroję miał świetniejszą niż jakikolwiek jarl, ozdobioną zawijasami i runami. Żelazna przyłbica jego hełmu wyglądała przerażająco, liczne żelazne łuski kolczugi były grawerowane srebrem.

Snorri ściał parę identycznych demonów, obu wyniszczonych jak wiekowe drzewa, z powykęcanyimi dłońmi i skórą przypominającą korę. Splunął krwią i wciągnął haust powietrza. Widział teraz pozostałe stwory, cienistą horde, razem jakiś tuzin.

– Dalej, diabelskie nasienie! – Chciał krzyknąć, ale słowa uleciały jako sapanie. – Niech no was dorwę! – Zerknął na swoje ramię i zobaczył poszarpaną, głęboką ranę, z której lała się krew. Podniósł topór ojca, szykując się do ataku. – Powiedziałem, że was... – Ale nogi zawiodły go i Snorri padł na kolana.

Demony rozwrzeszczały się w kakofonii ryków, trąbienia i ujadania, rzucając się na swą zdobycz. Zakuty w zbroję wiking podbiegł, by przeciąć im drogę. Zawirował między nimi, blokując jednego całym ciałem, drugiemu odcinając głowę. Kolejnemu zmasakrował twarz opancerzonym łokciem, jeszcze innego okaleczył, waląc go z byka. Nagle żaden stwór już go nie blokował, a wojownik znów zaczął zamasyżować cię mieczem. Zajęło to minutę, w ciągu której Snorri dalej klęczał z rozdziawionymi ustami, zafascynowany widokiem. Był to taniec, brutalny, piękny taniec stali, każdy cios odbierał życie. Zwycięstwo wojownika było równie pewne, co perfekcyjne. Sześćdziesiąt sekund zabijania.

W końcu nieznajomy przystanął, zachlapany krwią, splamiony posoką wrogów. Ich ciała leżały wokół niego, on zaś schował miecz do pochwy. Za jego plecami pył opadał z powrotem na ziemię, jakby z łóżka ściągnięto futro, odsłaniając trzysta jardów, w obrębie których każda piędź była usłana trupami, tuzinami, kopami zwłok...

– Cóż za opowieść usnuliśmy tu, bracie. – Snorri wstał, by powitać wojownika, gdy ten do niego podszedł. Wymagało to całej jego siły, ale niech go diabli, jeśli powita takiego męża na kolanach. – Kim jesteś? Czy zesłali cię bogowie?

– Bogowie zabronili mi przyjść. – Głęboki głos, staronordyjski język. Coś zabrzmiało znajomo. Może akcent albo ton.

Snorri opuścił wzrok na swój topór. Pradziad Snorriego nazwał go Hel. Może

jakaś völva dostrzegła jego przyszłość i zasugerowała imię. Może Skilfar, już wtedy stara. Spojrzał na wojownika, który dorównywał mu wzrostem, a może był nawet wyższy o cal. Ojciec Snorriego był tak wysoki, miał takie same włosy.

– Ty... nie możesz być... – Włoski na rękach Snorriego stanęły dęba, a wzdłuż kręgosłupa przebiegł mu zimny dreszcz. W ustach zbyt mu zaschło, by mógł mówić. – Ojczy? – Łzy wypełniły mu oczy.

Mężczyzna ujął hełm w obie ręce i zdjął go, potrząsając głową, by odrzucić włosy z twarzy. To nie był ojciec, choć wyglądał podobnie.

– Czekają na ciebie. – Wojownik skinął głową w stronę wyjścia z wąwozu. Kości demonów zaścielały kamieniste podłoże tak daleko, jak sięgał wzrok. W niektórych miejscach leżały całe ich sterty, czaszki pokulały się pod ściany, potrzaskane i porozbijane. – Strzegłem ich najlepiej, jak umiałem. Wiedziałem, że przyjdiesz.

Snorri zamrugnął. Widział, ale nie rozumiał. Wojownik zdjął rycerskie rękawice i włożył je za pas. Dłonie miał poorane bliznami, palce krzywe od dawnych złamań.

– Chcą klucz – powiedział.

– Co? – Twarz Snorriego zamrowiała, jego usta pracowały, ale nie wyszło z nich więcej słów.

– Chcą klucz. Ostatnie słowa, które ci rzekłem. Chciałem powiedzieć więcej. Że cię kocham. Dziękuję, że mnie znalazłeś. Żegnaj.

– Karl!

– Ojczy.

Dwóch mężczyzn zwarło się w mocnym uścisku.

Mord znów się potknął i wyrwał mnie z opowieści. Rozejrzałem się, ale nie widziałem żadnych horrorów Osheim – oczy miałem zbyt zamglone.

– Mógłbym pójść z tobą, Ojczy.

– Nie. – Snorri położył dłoń na ramieniu syna. – Twoje miejsce jest w Walhalli. Oni zrozumieją... to. – Wskazał toporem jatkę rozciągającą się wzdłuż wąwozu. – Ale więcej, to byłoby zbyt wiele. Obaj to wiemy.

Karl pochylił głowę.

– Jestem z ciebie dumny, synu. – To nie wydawało się prawdziwe, mieć przed sobą Karla i znów się z nim żegnać. Snorri chciał zabrać swego chłopca do domu, ale stał przed nim mężczyzna. Mężczyzna z miejscem czekającym na niego w Asgardzie, miejscem przy stole na dworze samego Odyna.

– Pewnego dnia zasiądziemy razem, Ojczy. – Karl uśmiechnął się niemal nieśmiało.

– Tak będzie.

Snorri po raz ostatni wziął syna w ramiona, w uścisk wojowników. Potem go

puścił. Gdyby został tu dłużej, nie byłby w stanie odejść. Dziecko, które wychowywał, wyrosło na mężczyznę, jeszcze zanim zginęło. Karl, który bawił się na brzegach fiordu Uulisk, gonił króliki, zajmował się kozami, wymachiwał drewnianym mieczem, kochał ojca, śmiał się i tańczył, walczył i się ścigał... chłopiec miał swój czas, a ten czas był dobry. Nawet zanim Sven Złamane Wiosło zniszczył ich świat, ten chłopiec był bezpieczny we wspomnieniach, a teraz w jego ubraniach chodził młody mężczyzna.

Snorri odszedł. Nie był w stanie powiedzieć nic więcej ani się obejrzeć. Zapomniał o ranach, w ramionach czuł jeszcze uścisk swojego syna.



– Jal! – Ktoś pociągnął mnie za rękę. – Jal!

– Co? – Otrząsnąłem się z wizji Snorriego i Karla. Otaczało nas opustoszałe wrzosowisko, konie wlekły się ciężko, wiatr zwiastował deszcz. Tuż przede mną Snorri jechał z pochyloną głową, spowity wspomnieniami. Wciąż opowiadał swoją historię. Chciałem znów podążyć w nią za nim.

– Jal! – Głos Hennana przy moim uchu.

Niebo nad nami zmieniło się w szkarłatną ranę, wir, który przyciągał wzrok. Posępny krajobraz wokół nas był gęsty od możliwości, wszystkich złych. Obróciłem się w siodle. Hennan, siedzący tuż za mną, znów pociągnął mnie za rękaw.

– Co?

– Minęliśmy Koło! – Chłopiec wskazał nieco wybrzuszony pas wrzosowiska za nami, jakby starodawny szaniec, ciągnący się w prostej linii w obu kierunkach... choć gdy podążyłem za nim spojrzeniem, dostrzegłem lekkie zakrzywienie.

– Cały czas patrzyłeś? – Mój wzrok już śmignął ku potwornym kształtom, które zaczęły się gromadzić niedaleko.

Wyglądały niepokojąco podobnie do demonów, które opisywał Snorri. – Jakim cudem nie jesteś...

– Martwy? – Hennan wzruszył ramionami. – To miejsce nie niepokoi mojej rodziny tak jak innych ludzi.

– Ja sram przez nie w gacie z przerażenia. – Zamknąłem oczy, starając się ponownie zatopić w opowieści Snorriego. – Zmierzamy do środka Koła. Daj mi znać, jak tam dotrzemy.

– W środku Koła panuje jedynie chaos. – W głosie Hennana rozbrzmiały naleganie i nutka zmartwienia, która sprawiła, że dalej go słuchałem, mimo przyciągającej mocy słów Snorriego. Środek Koła jest w pierścieniu, w miejscu, z którego steruje się maszyną.

Wykrzywiłem twarz.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Z opowieści dziadka...

– Z bajęd pasterzy kóz? – Splunąłem, zły, że chłopak ryzykował moim życiem, by powiedzieć mi coś takiego. Moja wyobraźnia już zajmowała się wywoływaniem diabłów w ciemności pod moimi powiekami, a Koło bardzo szybko powoła je do życia.

– Nigdy mnie nie spytałeś, kim był Lotar Vale! – Hennan teraz krzyczał.

– Kto?

Chłopak walnął mnie w nerkę. Mnie! Książę Czerwonej Marchii uderzony przez pogańskiego wieśniaczka!

– Dziadek mojego dziadka. Lotar Vale. Był najstłynniejszym deformacją swoich czasów. Zdołał powrócić na obrzeża i założyć tam rodzinę. On znał to miejsce!

– Niech to diabli! Snorri! – Zawróciłem Morda. – Snorri!

Zerkając do tyłu, zobaczyłem, że Snorri podniósł głowę, jakby wynurzał się ze snu. Kara też otrząsała się z opowieści.

W oddali, mniej więcej ćwierć mili wzdłuż łuku Koła, mały bryłowaty kształt przerywał monotonię terenu. Jakiegoś rodzaju niewielki budynek.

– Musimy się tam dostać! – Wskazałem go. – Trzymaj się. – Kopnąłem Morda, by zerwał się do galopu. Zalał mnie lodowaty przestach, a wraz z nim zaczęły się pojawiać szare kształty. Podnosiły się z wrzosowiska jak mgła i zbijały w bardziej namacalne formy, gdy na nie patrzyłem. – Wio!

Demoniczne sylwetki, trupy, mechaniczne diabły z nożami zamiast palców, wiedźmy, czarne, ociekające macki, wypełzające z dołów ze smołą, sosnowi ludzie, olbrzymie piekielne ogary, płonące wilki, dżin... wytwory mojej zbyt płodnej wyobraźni zaludniały wrzosowisko tak gęsto, że prawie nie starczyło dla nich wszystkich miejsca.

– Jal! – zawołał Snorri gdzieś z tyłu. – Jal! Wszystkie są twoje!

Miał rację. W Kole nie było dość miejsca na wszystkie moje lęki – koszmary innych nie miały szans się tu wepchnąć.

– Oczyść swój umysł! – krzyknęła Kara. Rada równie bezużyteczna, jak wszystkie inne. Powinni jej zabrać kociołek

Horrory schodziły się ze wszystkich stron, blokując każdą ścieżkę. Próbowałem obalić na wpół uformowanego wilka Fenrisa, ale stwór, choć mglisty, okazał się na tyle solidny, by uderzyć w bok Morda. Z krzykiem poleciliśmy na ziemię.

Upadek z konia to szybki sposób na złamanie karku. Jeśli to zwierzę pada pod tobą, do swoich obrażeń można też często doliczyć złamaną kość udową. Na szczęście miałem całkiem sporo doświadczenia w spadaniu z koni, a wrzosy zapewniły niemalże miękkie i dość sprężyste lądowanie. Padłem z rozłożonymi

kończynami na kłujący krzak zielonego jałowca, skamłąc bardziej ze strachu niż z bólu.

– Jalan Kendeth. – Zimny, świszczący głos.

Podniosłem wzrok. Stał nade mną Jaśko Obrzyn ze szczypcami w dłoni. Szczerzył zęby w swej czaszkowej twarzy, tak samo jak wtedy, gdy Maeres Allus kazał mu uciąć mi wargi.

Coś zawirowało mi nad głową, kończąc swój przelot mięsistym, głuchym odgłosem. Z piersi Jaśka Obrzyna sterczał topór Snorriego, jedno z bliźniaczych ostrzy wbiło się w nią po rękojęść.

Obrzyn dał trzy szybkie kroki w tył i zatrzymał się. Z ciekawością opuścił wzrok na topór, po czym uniósł ohydny kikut ręki, którą Snorri odrąbał mu dawno temu przy łokciu, i za jego pomocą wyciągnął broń z ciała.

– Tym razem nikt nam nie przeszkodzi, Jalandre. – Jaśko Obrzyn znów zwrócił ku mnie swe zbyt wielkie blade oczy. Rana w jego klatce piersiowej nie krwawiła.

Wszędzie wokół stały w oczekiwaniu potwory z ciemnych zakątków mojego umysłu, krwawiąc mgłą jeden na drugiego. Odgrodziły mnie od Snorriego i Kary. W ścisłości między nimi nie mogłem dostrzec Hennana. Nie widziałem też Morda, choć słyszałem, jak panikuje. Ze wszystkich stworów jedynie Jaśko Obrzyn wyglądał naprawdę solidnie, tak prawdziwie jak ziemia, na której stał.

Nie miałem siły, by się podnieść. Przebyłem pół świata, by zostać brutalnie zamordowanym przez moje najgorsze lęki. Wszystko, co przewidywałem, się spełniło. Koło dało mi sznur i oto właśnie sam się wieszałem.

– ...się... – Głos Kary oddalał się, niemal zagłuszony przez rzenie Morda, w połowie przestraszony, w połowie gniewny.

Jaśko Obrzyn znów uniósł szczypcę i przesunął się w bok, odsłaniając poplamiony drewniany stół, do którego zostałem kiedyś przywiązany w wypełnionym makiem magazynie Maeresa Allusa.

– ...broń... – Głos Kary, przenikliwy i przeszywający, mimo dzielącej nas odległości.

Broń? Chwiejnie stanąłem na nogi, pijany ze strachu. Wyciągnąłem miecz. Jaśko Obrzyn wytrącił mi go z ręki zamaszystym ciosem zza pleców. Musiałbym mieć armię, żeby go powstrzymać! Z jakiegoś powodu przypomniałem sobie plastekowych strażników Skilfar.

– Chryste! Pomóż mi! – Desperacki jęk, na który nie oczekiwałem odpowiedzi. Ale nagle pojawił się przede mną plastekowy kobiecy manekin, nagi, różowy, ze sztywnymi rękami. Stał między mną i Jaśkiem Obrzynem.

– Żałosne. – Jaśko machnął ręką i manekin poleciał na bok, nogi odpadły mu od torsu.

Cofnąłem się, unosząc ramiona, by osłonić głowę. Potrzebowałem więcej. Natychmiast pół tuzina kolejnych manekinów stanęło między nami w różnych nonszalanckich pozach.

– Więcej! – Odsunąłem się prędko, skupiając uwagę na stworzeniu następnych. Przypominałem sobie, jak wyglądały w leżu pociągu, gdzie zbiegały się wszystkie tunele.

W mgnieniu oka wszystkie połowicznie ukształtowane strachy zniknęły, a ja stałem w środku plastikowej armii Hemroda. Setki manekinów otaczały mnie promieniście. Jedynym zakłóceniem w ich szyku byli Snorri i Kara na swoich wierzchowcach pięćdziesiąt jardów za mną, oboje z wyrazem zaskoczenia na twarzach, Mord, który już zdążył w gniewie wyrzucić tuzin postaci, i Jaśko Obrzyn, który zmierzał w moją stronę, roztrzucając na boki moich bezużytecznych strażników.

– Brońcie mnie! – Sięgnąłem głęboko, szukając tego czegoś, co sprawiło, że Koło odpowiedziało na moje wołanie.

Plastekowi żołnierze jak jeden mąż odwrócili głowy w stronę Jaśka Obrzyna, a ci najbliższej oprawcy bez słowa rzucili się na niego, łapiąc go za rękę oraz nogi i twardymi, plastikowymi palcami celując w jego oczy. Padł na ziemię pod ich ciężarem ze zwierzęcym krzykiem. Kolejni nadzy obrońcy rzucali się na stos ciał, całkowicie zasłaniając Obrzyna.

Gdy większa część armii pognęła ku stercie, wrzosowisko opustoszało na tyle, bym dostrzegł Hennana. Stał w pobliżu i gapił się na moich wiernych wojowników mijających go. Snorri i Kara podjechali do mnie w ślad za manekinami.

– Cały ty, Jal. – Snorri pokręcił głową, próbując ukryć szeroki uśmiech.

– Co?

– Moc Koła na twoje skinienie i zawołanie... a ty tworzysz pięćset nagich kobiet?

– Mogłeś stworzyć smoka – powiedziała Kara. – Mogłeś zrobić wszystko, co tylko przyszłoby ci do głowy.

– Mogłaś to zrobić *sama!* – Być może zabrzmiałem na nieco rozzłoszczonego.

– Hej, mały! – Podeszedłem do Morda, cmokając, bo ten dźwięk go uspokajał.

Kara skierowała swoją klacz za mną.

– O wiele łatwiej jest samemu walczyć z tym, co stworzyliśmy. To bardzo niebezpieczne, gdy dwie osoby napuszczają na siebie nawzajem swoje wyobrażenia. Tak właśnie ginie większość deformagów.

Rozejrzałem się dookoła, czując się niezmiernie zadowolony z siebie.

– Myślę, że przydałoby mi się coś do picia.

Manekin, wciąż stojący na straży najbliższej mnie, odwrócił się twarzą w naszą

stronę, trzymając w wyciągniętej ręce złoty puchar po brzegi wypełniony ciemnym winem.

Ze sterty wojowniczek, spiętrzonych na Jaśku Obrzynie, dobiegł niewyraźny zgrzytliwy dźwięk Wyobraziłem sobie, że miały jego kości na proch.

– To nie wydaje się właściwe. – Snorri zsiadł z konia koło mnie, patrząc niezdecydowanie na ciała, które przykrywały Jaśka Obrzyna.

– Chyba muszę usiąść. – Odwróciłem się i odkryłem bogato tapicerowaną leżankę bardzo podobną do tej, na której nie wolno mi było siadać, gdy byłem dzieckiem, w Rzymskim Pawilonie. Opadłem na nią, tonąc w grubym czerwonym aksamicie. – Ha! Jesteśmy tu jak bogowie! – Mogłem mieć wszystko. Manekin podszedł z moim winem. Z sekundy na sekundę coraz bardziej upodabniał się do Lisy. Miał teraz długie czarne włosy opadające na ramiona, jego skóra wyglądała na miększą, mniej przypominała piąstek. Chwyciłem puchar. – Hennan, chodź tu! Mam ciasto. – I miałem! Konstrukcję wysoką na pięć warstw na srebrnych podstawkach, udekorowaną masą cukrową i białymi migdałami. Złapałem garść tortu i wepchnąłem sobie do ust.

Hennan podszedł do mnie, niosąc mój miecz.

– Powinniśmy jechać. – Snorri wyciągnął rękę, żeby podnieść mnie z kanapy. Odsunąłem się.

– Spokojnie. Nie rozumiesz tego miejsca. – Uniosłem dłonie umazane ciastem. – Przyznaję, że wcześniej też się trochę martwiłem. Ale spójrz. – Urwałem, by przełknąć cukrowy smakołyk, i skinąłem na plastekową strażniczkę podchodzącą właśnie z toporem wikinga. Ukształtowałem ją na wzór jednej z tancerek, które spotkaliśmy w cyrku Taproota.

Jeden z manekinów ze sterty wyleciał w powietrze, robiąc w nim dwa salta, zanim spadł na ziemię.

– Jal, wsiadaj na konia, do cholery. Musimy jechać. – Poirytowana Kara wskazała na Morda.

Upiłem łyk wina i spojrzałem na nią. Narobili takiego szumu wokół tego, że Koło wcielało w życie twoje lęki, że całkiem zapomniałem o dobrej stronie tego równania. Jeśli była to próbka tego, jak będą się miały sprawy, gdy Koło obróci się poza punkt krytyczny, to z całego serca popierałem ten pomysł.

Zgrzyty dobiegające ze stosu stały się głośniejsze, więc musiałem podnieść głos, by je przekrzyczeć.

– Kara, siadaj. Nacieszmy się trochę. Nie tak często świat daje ci to, czego chcesz.

Kolejne dwa manekiny wystrzeliły ze sterty. Oba pękły na kilka części. Jeden z torsów wylądował koło nas, głucho padając we wrzosa. Poklepałem leżankę i Lisa-kin usiadł przy mnie. Był może nieco hojniej obdarzony przez naturę niż

oryginał, ale człowiek nie kontroluje swojej wyobraźni.

Kara podjechała na swojej wielkiej śmierdzącej szkapie tuż pod nasze nosy.

– Musimy natychmiast jechać! Ludzie giną tu, bo mimo wszystkich wspaniałych rzeczy, jakie przychodzą im do głowy, te złe rzeczy zawsze są silniejsze. Nasz popęd do autode-strukcji zawsze zwycięża.

Przerwał jej ryk. Spiętrzona masa moich żołnierzy-manekinów uniosła się i zaczęły z niej opadać plastekowe postaci. Chwilę później wyszedł spod niej Jaśko Obrzyn. Pół tuzina doskonale ukształtowanych plastekowych kobiet wciąż czepiało się jego ciała.

– Kurwa! – Wyobraziłem sobie jak smok, cały w błyszczących łuskach i ziejący ogniem, spada na mojego wroga. Chwilę później kolumna pomarańczowobiałych płomieni uderzyła w miejsce, gdzie stał Jaśko Obrzyn. Dosięgła nas fala gorąca. Konie rzuciły się do ucieczki, rżąc w panice, ja rozlałem wino na spodnie, a leżanka wywróciła się do tyłu.

Ugniatając kolanami wilgotny grunt, wczołgałem się na jej oparcie i wyjrzałem zza siedziska. Jaśko Obrzyn był poczerniały i spalony, spływały z niego strumyki roztopionego plasteku, a mój smok owijał wokół niego swe olbrzymie cielska. Gad rozwarł szczęki na tyle szeroka że byłby w stanie połknąć konia, po czym capnął oprawcę w paszczę. Zęby jak krótkie miecze, lśniące jak srebrzysta stal, zatrzasnęły się z chrzęstem. Po chwili drań zniknął, połknięty, powędrował do gardzieli olbrzymiego gada o łuskach ze złota i ognistego brązu.

Powinienem się poczuć bezpiecznie, ale widziałem, że te jakże wspaniałe i lśniące zębiska nie pocięły Jaśka Obrzyna na kawałki, a tuż przed tym, gdy oprawca zniknął w gardle smoka, spojrział mi w oczy. W jego bladych ślepiach nie było strachu, była za to okropna obietnica.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że Snorri i Kara odzyskali kontrolę nad końmi i kierowali się ku dostrzeżonemu wcześniej budynkowi. Hennan biegł w to samo miejsce. Przebył już mniej więcej jedną trzecią odległości. Zacisnąłem usta, myśląc, że mógłby okazać nieco więcej wiary w Marszałka Vermillionu. W końcu nadzorowałem udaną obronę całego miasta przeciwko armii trupów... Za moimi plecami stworzony przeze mnie smok padł na ziemię, przewrócił się na bok i zaczął drapać się po błyszczących łuskach na brzuchu, jakby zjadł coś, co mu zaszkodziło. W sumie to podejrzewam, że smoki mają w zwyczaju zjadać wszystko, co próbuje im zaszkodzić... ale zanim ta myśl wpadła mi do głowy, już stamtąd wiałem.

Dotarłem do budynku chwilę po Hennanie. W brzuchu przewracały mi się ciasto i pierwotny strach. Kara złapała po drodze wodze Morda i przyprowadziła go tu ze sobą. Snorri zsiadł z konia i wyteżał siły, by przesunąć

wielgachną płytę z kamienia Budowniczych, która wyglądała, jakby mogła zasłaniać wejście. Jeśli nie zasłaniała, to budynek nie miał drzwi – z tego, co wiedzieliśmy, mógł być po prostu blokiem kamienia ustawionym tu, by marnować ludziom czas, podczas gdy ich własna wyobraźnia spiskowała, jak ich zabić.

Obejrzałem się. Znajoma, niemile widziana postać biegła ku nam. Za nią wrzosowisko wciąż gorzało niespokojnie w miejscu, gdzie podpalił je mój smok. Sama bestia leżała na boku, a w brzuchu miała wyciętą obrzydliwą dziurę.

– Co ty wyprawiasz? – wrzasnąłem na Snorriego.

Obrócił się z twarzą czerwoną z wysiłku. Miał groźną minę.

– Odsuń się – powiedziałem i nie czekając, aż to zrobi, machnąłem ręką, życząc sobie, by płyta się przesunęła. – Cholerne Koło próbuje nas zabić, to niech wyświadczy nam też jakąś przysługę. – Nic się nie stało. Zacisnąłem zęby i skupiłem się mocniej, gapiąc się na drzwi, czując, jak krew dudni mi w głowie i jak kłują mnie oczy.

– Coś nie wychodzi, co? – warknął Snorri.

– Nie przetrwałoby długo, gdyby nie było zabezpieczone przed deformagami, prawda? – odezwała się Kara. – Spróbujcie obaj.

Zazwyczaj staram się zostawiać pracę fizyczną w rękach klasy wieśniaczej, ale skoro goił mnie Jaśko Obrzyn, nie potrzebowałem drugiego zaproszenia. Razem z Hermanem dołączyliśmy do Snorriego, próbując pokonać płytę naszą wagą. Wyteżałem się tak mocno, że mogło mi się poprzesuwać kilka wewnętrznych organów. Panika dodaje jednak ludziom sił. Coś ustąpiło z nieprzyjemnym dźwiękiem, będącym kombinacją trzasku i chlupotu. Przez chwilę wydawało mi się, że to we mnie coś się złamało, ale to tylko płyta w końcu drgnęła. Potem przesunęła się już gładko i chwilę później stała o jard dalej w lewo w błotnistej bruździe, którą wyżłobiła w gruncie. Okazało się, że za nią znajdował się ciemny prostokątny otwór.

Kara zeskoczyła do niego z orichalcum w dłoni i weszła do budynku. Zerknąłem do tyłu na Jaśka Obrzyna. Biegł nieco niezgrabnie z powodu skróconej ręki, raczej miarowo niż sprintem, jakby chciał wydoić ze mnie tyle strachu, ile tylko się dało.

– Będziemy musieli zostawić konie. – Okropnie mi było to powiedzieć, nie tylko dlatego, że Mord był wyjątkowo zdolny, jeśli chodziło o ucieczki.

– Wiem. – Snorri zgiął się i wszedł do środka, Hennan zanim.

Uniosłem dłonie, kierując ich wnętrza ku niebu w mieszaninie gniewu i zdumienia, ale nie było już nikogo, kto mógłby to zobaczyć. Tylko ja i Jaśko Obrzyn kilkaset jardów dalej.

– Nie przywiozły was tu jakieś cholerne krowy, wiecie? -wrzasnąłem w plecy Normanów. – Żadnej odpowiedzi. – A, sram na to. – Machnąłem ręką na konie, mrugając, by się skupić. Skrzeczący orzeł zanurkował nie wiadomo skąd i wszystkie trzy konie rzuciły się do ucieczki. Nakazałem ptakowi spaść na nie kolejny raz, by zawróciły i wybiegły z Koła. Drugą dłoń wyciągnąłem ku Obrzynowi i rozczapierzyłem palce. Otworzyła się pod nim wielka dziura, do której wpadł i zniknął. Zaciśnąłem dłoń w pięść i ściany zapadni huknęły o siebie. Nie zatrzyma go to na długo. Zerknąłem po raz ostatni na uciekające konie, po czym odwróciłem się i wszedłem do budynku.

– Co za dziura. – Znaczenie tego słowa było wielopłaszczyznowe. Budynek był pustą budą, jej kąty czerniły się od nawianych wiatrem szczątków jakichś mikroskopijnych żyjątek, kawałków gałązek, szarych szmat, drobnych kości. W powietrzu unosił się smród starych szczyn. Bezpośrednio przed nami znajdowała się dziura o nierównych krawędziach, wybita we wzmocnionym stałą kamieniu Budowniczych. Wewnątrz ledwo dało się dostrzec górę okrągłego szybu wiodącego pod ziemię.

– Deformagowie muszą korzystać w jakimś celu z tego miejsca, inaczej już dawno by się zawaliło. – Kara podeszła do skraju szybu i zerknęła w dół, wyciągając orichalcum. – Są szczoble.

Völva zaczęła schodzić pierwsza, a ja z radością jej na to pozwoliłem. Za nią ruszył Snorri, potem Hennan.

– Dlaczego mam być ostatni?

– Bo to twoja wyobraźnia próbuje nas zabić – odkrzyknął z szybu Snorri.

Światło w ręku Kary błyskało między sylwetkami Snorriego i Hennana, rzucając na sufit nad dziurą galimatias błysków i cieni. Zaszurałem stopami, czekając, aż chłopiec zrobi mi miejsce, bym mógł dołączyć do pozostałych w szybie.

– Dlaczego tak jest? – zawołałem za nimi. – Dlaczego ja?

Nie dosłyszałem, co odrzekli, ale i tak znałem już odpowiedź. Moja wyobraźnia atakowała mnie przez całe moje życie, tyle że tutaj miała broń, której potrzebowała. Wielka podziemna machina, ukoronowanie dzieł Budowniczych, a wszystkie te silniki głęboko pod nami budziły się ze snu i poświęcały swą energię, by moje strachy mogły wywołać wojnę z moimi nadziejami.

Zerknąłem szybko w stronę drzwi. Grunt nad dziurą, w której pogrzebałem Jaśka Obrzyna, zaczął się wybrzuszać. Chwilę później byłem już na drabinie, schodząc w nieznane, a Hennan narzekał, że depczę mu po palcach.

– Jesteśmy tu bezpieczni? – Rozejrzałem się po tunelu, nieufny wobec wszystkich cieni.

Staliśmy nieco ponad sto jardów pod powierzchnią Osheim, w przypominającym rurę tunelu o blisko sześciu jardach średnicy. Wzdłuż jego środka, nad naszymi głowami, biegła szeroka zaledwie na jard czarna rura, ginąca w ciemnościach tunelu. Nie widziałem niczego, co przyczepiałoby ją do czegokolwiek. Co kilka kroków tunel opasywały pierścienie ze srebrzystej stali, każdy był szeroki na sześć cali, jak jakiś rodzaj umocnienia. Całe miejsce wypełniał szum, na początku ledwie słyszalny, ale po chwili, choć nie zaczął rozbrzmiewać głośniejsze, dało się go poczuć w kościach.

Odkaszniałem, by sprawdzić, czy wszyscy nie ogłuchliśmy. Dźwięk odbił się echem w ciemności.

– Spytałem, czy...

Urwałem, słysząc coś z góry. Ktoś stracił oparcie pod stopą.

– Nie – odpowiedziała Kara.

– Jakim cudem on w ogóle korzysta z drabiny? Ma tylko jedno jebane łapsko!

– To nie było w porządku. Dwa razy uciekłem Obrzynowi mimo wszelkich przeszkód, tylko po to, żeby własnoręcznie dać mu trzecią szansę. Nawet nie jemu – moim najgorszym lękiem dotyczącym jego osoby, zebrany razem i wcielony w życie przez moc, którą przekazali nam nasi przodkowie-idioty.

– Zostawiłem Karla i przeszedłem dolinę, której pilnował – odezwał się Snorri, ruszając w ciemności. – W niektórych miejscach kości piętrzyły się w stosach sięgających klatki piersiowej.

Kara i Hennan poszli za nim. Stałem przez chwilę, nasłuchując, jak Jaśko Obrzyn schodzi po drabinie, ale słyszałem tylko głos Snorriego i jego znajoma magia spowiła mnie i przyciągnęła. Pomaszerowałem za nimi wiekowym przejściem, które zostawili nam Budowniczy, podczas gdy mój umysł podążył za wikingiem z powrotem do Hel, zbyt pochłonięty opowieścią, by knuć intrygi w celu sprowadzenia na mnie zguby.



Snorri szedł wąwozem, mijając szczątki demonów, które jego pierworodny syn zabił w obronie swojej przybranej rodziny.

Nad jego głową wir na niebie zacisnął się i zwęził. Snorri wiedział, że wkrótce stanie pod jego centrum, w oku niewidzialnego cyklonu.

Wąwóz przeszedł w szerszą dolinę i teren zaczął się obniżać, już nie był wyżynny. Snorri kulał, rany sprawiły, że zeszywniał, cięcie na ramieniu wciąż krwawiło, ból w całym ciele palił jak rozżarzony drut.

Dalej dolina zwężała się w przesmyk, za którym opadała w dół tak stromo, że nie dało się zobaczyć, co było za nim. Dopiero gdy Snorri minął wąski punkt, ujrzał widok, którego nigdy nie spodziewałby się w Hel. Stał, chłonąc wzrokiem fiord Uulisk, miękki od mgły, z wiosennie zielonymi zboczami. Czarne wełniste kozy były jak punkciki wysoko na dalekich zboczach Niffr, gdzie słońce zalewało ziemię złotem. Powinna być tu wioska, domy rozsiane po całym zboczach aż do linii wody, ale Snorri widział tylko osiem pomostów wyciągających swe wąskie palce w głąb fiordu i pojedynczy dom sto jardów wyżej na stoku. Znajomy nawet z tej odległości. Jego dom.

Żyły wypełnił mu lód. Wir wisiał dokładnie nad samotnym budynkiem. Wielki wir na nieboskłonie, pod nim kamienny labirynt, wszystko przywiodło go tutaj, do jego przeszłości, teraźniejszości, miejsca bez przyszłości. Snorri zacisnął zęby, przycisnął topór do piersi i poszedł, tak przepelniony rozbitymi uczuciami, że wyglądał jak człowiek stojący w ogniu. Mimo to dłoń ściskająca mu serce była zimniejsza niż kiedykolwiek.

Podczas marszu Snorri zauważył, że i tu miała miejsce rzeź, wkoło leżały ślady masakry. Tu ręka w cieniu pod skałami, tam głowa, wnętrzości rozwłócone na szerokiej kamiennej płycie. Nie zniekształconych demonów, lecz ludzi, a przynajmniej stworów wyglądających jak ludzie. Mężczyzn, ale kobiet też, wojowniczek odzianych w północne stroje, z toporami, włóczniami, młotami. Jednak każda z tych istot, wysoka czy niska, gruba czy szczupła, miała jedną cechę, która wskazywała na jej pochodzenie. Każdy trup prawą stronę ciała miał białą, a lewą czarną. Tak samo prezentowały się ich zbroje.

Wszystkie topory i miecze wykuto z mlecznobiałego metalu, a tarcze były tak czarne, że wyglądały jak dziury wycięte w krajobrazie.

– Słudzy bogini. – Snorri przyklęknął, by przyjrzeć się jednej z wojowniczek. Cios topora przebił bok jej hełmu. Hel musiała wysłać ją i pozostałych, by odzyskali dusze Frei i dzieci. Ktokolwiek ich zabił, nie był łagodny, ale nie była to robota miecza należącego do Karla. Snorri obejrzał białe oko kobiety, w którym odbijał się wir ponad jego ramieniem, a potem ciemne, podobne do wypolerowanego czarnego kamyka. Wargi miała cofnięte w grymasie, który miała na twarzy, gdy zginęła. Jej zęby były ząbkowane jak piła. A zatem nie była człowiekiem.

Choć w Hel nie było słońca, istniało ono tutaj, we wspomnieniu Uuliskind i właśnie zachodziło. Czarny na jego tle, w zwięzieniu doliny, stał wielki samotny wojownik w zbroi z niedopasowanych elementów. Rozłożył szeroko ręce, w jednej trzymał puklerz, w drugiej topór z klinowym ostrzem zdolnym przebić kolczugę.

– Sven Złamane Wiosło? – Przez chwilę Snorri zaznał strachu. Ten olbrzym był jedynym człowiekiem, który pokonał go w walce. Miał niehumanitarną siłę. Snorri, osłabiony przez utratę krwi i okaleczony, wiedział, że nie zdoła z nim wygrać. Wciąż klęcząc, wiking wyszeptał modlitwę, pierwszą, która wyszła z jego ust od długiego czasu. – Wszechojczy, dałem z siebie wszystko. Patrz na mnie teraz. Proszę tylko, byś obdarzył mnie siłą, która mnie opuściła. – Modlitwa mężczyzny, który sprostał swoim wyzwaniom dzięki toporowi i odważnemu sercu. Modlitwa mężczyzny, który wiedział, że to nie wystarczy. Modlitwa mężczyzny, który nie przeżyje, by zmówić kolejną.

Snorri podniósł się z grymasem na twarzy, nie dbając o rany. Wiedział, że bogowie patrzyli na niego. Stał, obleczony w ichor demonów i własną szkarłatną krew, prawie nie do odróżnienia od bestii, których usiekł tak wiele.

– Jestem gotów. – Skoro Hel postawiła Svena Złamane Wiosło między nim a jego rodziną, Sven Złamane Wiosło zginie po raz drugi. – Undoreth! – Snorri ryknął i jakby krzyk był włócznią ciśniętą w same niebiosa, niebo za jego plecami stało się czerwone jak krew. A potem zaatakował.

Wojownik nie cofnął się przed natarciem Snorriego. Miał na sobie ogromne naramienniki z czarnego żelaza z kolcami i hełm garnczkowy z przyłbicą, która miała jedynie wąską szparę na oczy i parę małych otworków przy ustach. Piers opasywały mu czarne żelazne obręcze, a brzuch gruba skórzana koszula z warstwowym podbiciem. Żelazne płytki przyszyte do skórzanych spodni chroniły obie nogi. Każdy element zbroi nosił ślady walki: błyszczące cięcia, ciemnoszkarłatne rozbryzgi, wgnieciony metal, podartą skórę.

Dystans między nimi zmniejszył się do dwudziestu jardów. Wojownik

wzniósł topór. Dziesięć. Wojownik przekrzywił głowę.

– Snorri? – Pięć. I wypuścił z rąk broń.

Snorri, przepelniony bitewnym szałem, machnął swym toporem po dekapitującym łuku, pchając naostrzoną stal siłą obu rąk. W ostatnim momencie umysł zatriumfował nad mięśniami. Snorri, krzycząc z wysiłku, wyhamował cios i zdołał pozbawić go większości mocy. Ostrze Hel uderzyło w ryngraf wojownika, wydobywając z metalowego kołnierza dźwięczny odgłos i odbijając się od niego.

– Snorri? – Dłonie w rękawicach zaczęły gmerać przy przyłbicy hełmu na zawiasach.

Snorri opuścił topór i oparł się na nim, dysząc ciężko.

Przyłbica się uniosła.

– Tutt?

– Wiedziałem, że przyjdiesz – uśmiechnął się Tuttugu. – Nie miał brody, podbródki miał odarte ze skóry w miejscu, gdzie była kiedyś. Na jego gardle wciąż widniało czerwone cięcie po nożu Edrisa Deana, twarz miał bladą, ale jego oczy błyszczały radością. – Wiedziałem, że ci się uda.

– Na Hel, co to ma być? Co... Tuttugu... jak?

– Ciii. – Tuttugu podniósł dłoń. – Nie wymawiaj jej imienia. Nie tutaj. Przyśle więcej swoich strażników, a ich trudno pokonać.

Snorri obejrzał się na zasłaną trupami dolinę.

– Ty ich wszystkich zabiłeś?

Tuttugu wyszczerzył zęby.

– Nie zaatakowali mnie wszyscy naraz.

– Mimo wszystko...

– Nie mogłem pozwolić im zabrać Frei i dzieci, Snorri.

– Ale Karl...

– Karl mógł walczyć z demonami, to tylko stwory podążające za swymi instynktami, by polować na zabłąkane dusze. Ale sprzeciwić się sługom Hel, gdy wykonują jej rozkazy? Mógłby zostać przez to wyrzucony z Walhalli. Nie moglibyśmy na to pozwolić.

– Ale ty...

– Nie zająłem jeszcze mojego miejsca, więc nie mogą mnie wyrzucić. Kiedy zmierzasz na dwór, trzymasz swoje ciało w Hel... czy chyba jego kopię... W każdym razie udałem się na poszukiwania Frei zamiast iść tam, gdzie powinienem.

Snorri wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Tuttugu.

– Tutt. – Zdał sobie sprawę, że zabrakło mu słów.

– To nic. Zrobiłbyś dla mnie to samo, bracie. – Tuttugu ścisnął nadgarstek

Snorriego, po czym ruszył przodem.

Snorri spojrział raz jeszcze na przesmyk, przez który Tuttugu nikogo nie przepuścił, po czym podążył za przyjacielem w dół stoku, w stronę spokojnej toni.

Łódź wiosłowa była blisko brzegu, przywiązana do kamienia na płyciźnie. Tuż za skałą dno fiordu opadało gwałtownie, niknąc w czystej ciemnej wodzie. Snorri, brodząc, doszedł do łodzi i chwycił linę. Dręczące go pragnienie zawyło, by się napił, ale on nie przyszedł po wodę.

Wspiął się na łódź i chwycił za wiosła. Tuttugu wgramolił się przez burtę i usiadł na rufie. Snorri powiosłował przez jezioro. Tam, gdzie dolina łączyła się z fiordem, nie było widać śladów pogoni. Niebo było takie jak w świecie żywych, ciemne od chmur ułożonych w wielką spiralę, jakby zakręcił je boży palec. Może to robota Thora. Czy grzmot zagrzmie, zanim skończy się ta podróż?

Wieczorna mgła unosiła się nisko przy wodzie. Świeżość powietrza znaczyła wczesną jesień, niosła posmak drewna z ogniska, ryb i odległego morza. Każde zanurzenie wiosła przybliżało go do celu. W dolinie ogarnął go lęk – lęk, że jego siła nie wystarczy, by wygrać, i że ostatecznie droga wojownika nie pozwoli mu zdobyć tego, czego pragnął. Teraz narastał w nim nowy strach, który odzywał się coraz głośniejsz z każdym ruchem wiosła. Co znajdzie? Co powie? Jaka czeka ich przyszłość? Snorri przybył, by uratować swoje dzieci, a zamiast tego sam z każdą chwilą czuł się coraz bardziej jak dziecko – bał się spojrzeć na rodzinę, którą zawiódł; bał się, że nie sprosta zadaniu, które teraz będzie musiał spełnić, nieważne, jakie by było.

Instynktownie zwolnił. Wyciągnął z wody ociekające wiosła, a łódź delikatnie stuknęła o Długi Pomost. Snorri zarzucił pętlę z liny na stary słupek i wspiął się na kładkę. Z powodu ran poruszał się jak stary człowiek.

Urodził się na zboczach rozciągających się przed nim, tu wyrósł z dziecka w kołysce na mężczyznę, tu wychowywał własne potomstwo. Tuttugu i Snorri jako chłopcy łowili ryby z tych pomostów, szaleli między chatami, gdy długie łodzie wypływały na wiosnę, gonili dziewczęta. Zwłaszcza jedną. Jak miała na imię? Snorri wykrzywił usta w uśmiechu. Hedwig, ukochana Tuttugu, kiedy mieli po dziewięć lat. Wybrała Tutta, a nie jego. Być może było to jedyne zwycięstwo, jakie Tuttugu odniósł nad nim w ciągu tych wszystkich lat, a Snorri nie odżałował tego z taktem.

Tuttugu stał obok Snorriego u podnóża stoku i czekał. Snorri zdał sobie sprawę, że się ociągał. Tylko jego dom stał na zboczu. Nic nie stało mu na drodze. A mimo to tkwił w miejscu i ani drgnął. Owiewała go bryza. Trawa gięła się do jej melodii. Wysoko na zboczach kozy wydeptywały powoli swoje

ścieżki. Nad fiordem mewa ślizgała się na wietrze. Ale nic nie wydawało dźwięków, ani jednego. A dom stał i czekał.

– Będę obserwował jezioro – rzekł Tuttugu.

Odwaga przybiera wiele postaci. Niektóre wyzwania były trudniejsze dla jednych, łatwiejsze dla drugich. Snorri sięgnął głęboko, by znaleźć odwagę, której potrzebował, by zrobić coś, co gnębiło go tak długo, zawlekło tak daleko i tak pokrętnymi drogami. Wysunął jedną stopę naprzód, potem drugą i poszedł udeptaną ścieżką, którą przechodził wcześniej tak wiele razy.

Przy drzwiach do swego domu Snorri znów musiał sięgnąć po odwagę. Głowę wypełniły mu obrazy tamtej nocy, gdy Sven Złamane Wiosło sprowadził trupy do Ośmiu Pomostów. Ogluszały go ich krzyki, gdy on leżał bezsilnie obok chaty, zasypany lawiną śniegu, który spadł z dachu.

Na oślep dotknął drzwi dłonią, odsunął zasuwę i otworzył je.

Palenisko było zimne, łóżko zasłane futrami, a futra cieniami, kuchenny kącik był wysprzątany, drabina na strych stała na swoim miejscu. W środku była cała trójka. Stali plecami do niego, Freja między dziećmi z jedną dłonią na ramieniu Egila, a drugą na głowie Emy. Wszyscy troje stali w ciszy, nieruchomo, z pochylonymi głowami.

Snorri spróbował się odezwać, ale emocje złapały go za gardło tak mocno, że nie był w stanie wypowiedzieć żadnych słów. Powietrze ulatywało mu z płuc w ostrych, dyszących oddechach – tak mógłby oddychać człowiek przebity włócznią, który starał się opanować ból. Snorri poczuł, że twarz wykrzywia mu się w grymasie, policzki uniosły się, jakby mogły w ten sposób powstrzymać łzy. W progu swego domu Snorri ver Snagason padł na kolana, przyciśnięty większym ciężarem niż śnieg, który unieruchomił go wcześniej, ukradziono mu siły skuteczniej niż za pomocą jakiegokolwiek zatrutej strzałki. Rozbity, zaszlochał. Próbował wymówić ich imiona, ale wciąż żaden dźwięk nie wydostał się z jego ust.

Freja stała ze złotymi puklami spływającymi jej na plecy. Kobieta, która go uratowała, która była jego życiem. Egil, ognistowłosa łobuziak, zuchwały, psotny chłopiec, który kochał ojca i wierzył, że Snorri stanąłby do walki z trollami, by on był bezpieczny. I słodka Einmyria, ciemnowłosa jak jej ojciec, piękna jak matka, bystra i sprytna, ufna i uczciwa, zbyt mądra jak na swoje lata, zbyt krótko mogła bawić się przy Uulisk.

– Tylko ich smutki tutaj są. – Tuttugu stanął obok przyjaciela i położył mu dłoń na ramieniu. – Już ich nie potrzebowali. Nie odwrócą się – ich smutki nie mogą cię dostrzec, bo nie jesteś ich częścią. Kiedy opuścisz to miejsce, znikną. Ale póki tu jesteś, Freja i dzieci mogą cię usłyszeć. To, co tu powiesz, dotrze do nich.

Snorri otarł twarz.

– Gdzie oni są?

Tuttugu westchnął.

– Powiedziała mi to völva. Taka, którą kiedyś spotkałeś. Ekatri. Zjawiała się tu.

– Jest martwa?

– Nie wiem. Tak. Może. To bez znaczenia. Powiedziała mi ważną rzecz, ale jest skomplikowana, więc mi nie przerywaj albo o czymś zapomnę i wszystko poprzekręcę.

– Magia, którą widzimy na świecie – nekromanci, magowie tacy jak Kelem, to wszystko... pochodzi z Koła. Budowniczkowie nam to zrobili, i sobie samym. Koło sprawia, że każdy może czarować, trzeba tylko skupić siłę woli. Koło pozwala życzeniom się spełnić. Niektórym wychodzi to lepiej niż innym, a bez szkolenia żadne z nas nie jest szczególnie zdolne. Chodzi o to, że nawet jeśli większość z nas nie radzi sobie z władaniem magią, taką dało nam Koło .. razem jesteśmy w stanie przenosić góry. Gdy ktoś opowie historię, a ta historia powędruje dalej, urośnie, a ludzie w nią uwierzą i jej zapragną... Koło się obraca i wciąga ją w życie. To wszystko – Tuttugu machnął ręką w stronę fiordu – jest tutaj, bo powiedziano nam, że tutaj będzie, my chcieliśmy, żeby tu było. Nie mówię tylko o tym miejscu. Mam na myśli całe Hel. Dusze, rzeki, każdą skałę, każdy kamień, każdego demona, samą Hel, wszystko. To nie jest prawdziwe – to coś, do dało nam Koło, bo historie, które sobie opowiadaliśmy, oplotły nas tak mocno, że wierzyliśmy w nie, chcieliśmy ich, a teraz je mamy.

Snorri wziął głęboki oddech, jego umysł zataczał wielkie koła tak wolno jak wir nad domem.

– Gdzie jest moja rodzina, Tutt?

Tuttugu ścisnął jego ramię.

– Przed Kołem istniała starsza magia, o wiele głębsza, mniej krzykliwa, bardziej imponująca. Wciąż istnieje. Nikt jej nie rozumie. Ale czujemy, że tam jest. Każdy ma własne pomysły na jej temat, swoją własną historię, by o niej opowiedzieć. Nasi przodkowie opowiadali historię o Asgardzie i bogach. Może to prawda. Ale to – znów machnął ręką – nie jest. To marzenie ludzi. Stworzone dla nas. Freja i dzieci czekają przy bramie, która nie otworzy się, dopóki Koło Osheim nie zostanie zniszczone. Za nią znajduje się to, co zawsze czekało na nas po śmierci. Prawdziwy koniec wędrówki. Widziałeś to miejsce. Nie wydawało ci się niewłaściwe? Czy naprawdę właśnie tutaj mamy trafić na całą wieczność? – Gruby wiking oklapł. – Nie jestem mędrcom, Snorri. Ledwie potrafię wymówić słowo „filozofia”, a co dopiero się w niej rozeznac. Ale czy to jest miejsce, w którym chciałbyś, żeby twoje dzieci przebywały do końca świata? Nawet jeśli Hel pośle je na świętą górę... Helgafell jest miejscem, które

można odwiedzić tak jak to. Czy nie chciałbyś dla nich miejsca, które wykracza poza nasze wyobrażenia, a nie jest ich kopią? Tego właśnie chce Freja...

– Kto... – Snorri odchrząknął i zachrypiał. – Kto zaprowadził ich pod tę bramę?

Tuttugu westchnął ponownie.

– Ekatri. Powiedziała, że była pewna, że tu przyjdiesz i że gdybyś znalazł Freję oraz dzieci i zabrał je stąd, byłaby to okropna rzecz dla was wszystkich, gorsza niż śmierć. Nie od razu, ale powoli, stopniowo, zaczęlibyście się nienawidzić, a pod koniec nienawiść całkowicie by was pochłonęła.

– No i robiąc to, można zniszczyć świat.

Snorri zwiesił głowę. Wypełniał go pusty ból, przy którym narzekania pociętego, poszarpanego ciała były niczym.

– Porozmawiaj z nimi, Snorri. Oni wiedzą, że tu jesteś. Czekali na ciebie, a teraz cię usłyszą. No dalej – rzekł Tuttugu łagodnym głosem. – Zostali tu, bo wiedzieli, że przyjdiesz. Nie dlatego, że potrzebowali, byś przyszedł. – Odwrócił się, by odejść z toporem w dłoni.

Snorri zerknął przez drzwi w dół na zbocze prowadzące do jeziora. Trzech wysokich wojowników wychodziło z łuskowatej łodzi, każdy czarny z lewej strony, a biały z prawej.

– Zostań tu i pomów z rodziną – nalegał Tuttugu. – Ja się nimi zajmę.

Snorri stanął obok niego, sięgając po swój topór.

Tuttugu pokręcił głową i opuścił przyłbicę.

Nie po to tu przyszedłeś. – Odwrócił się. – Żaden z nas nie zliczy bitew, w których mnie ocaliłeś. Teraz moja kolej. Idź.

Snorri jeszcze raz spojrział na przyjaciela i kiwnął głową.

– Spotkamy się ponownie w Walhalli. – Tuttugu wyszczerzył zęby. – Nie będę się mierzył z Ragnarokiem bez ciebie u boku.

– Dziękuję. – Snorri pochylił głowę, jego oczy znów wypełniły się łzami.

Tuttugu po raz ostatni ścisnął jego ramię i wyszedł z domu.

Gdy cisza zaczęła się przeciągać, zacząłem dostrzegać tunel. Światło orichalcum Kary rzucało nasze cienie na krzywiznę ścian. Nie rozchodziły się żadne dźwięki, nasze kroki tłumiły tysiącletnie pokłady kurzu.

– Porozmawiałeś z nimi? – Mój chropawy głos poniósł się echem w tunelu przed nami, lecąc po łuku Koła i znikając w ciemności.

– Tak – odparł Snorri. – I przyniosło mi to spokój. – Wiking przeszedł sto jardów, zanim znów się odezwał, a gdy pogrążył się w milczeniu, zacząłem słyszeć za naszymi plecami odległe dźwięki pogoni.

Snorri odchrząknął.

– Gdy wyszedłem z domu, Tuttugu czekał na mnie. Powiedział, że będzie ich strzegł tak długo, jak będzie w stanie. Odrzekłem mu, że zatrzymamy silniki Koła i uwolnimy Freję oraz moje dzieci z Hel. Albo zginiemy, próbując.

– Dokąd się wtedy udadzą? – Nie do końca rozumiałem tę część, a poza tym nie wyobrażałem sobie, by Tuttugu był zdolny wygłosić taką mowę. Ale z drugiej strony wiele razy wcześniej nie doceniałem jego możliwości.

– Do tego, co zawsze czekało na nas po śmierci, czymkolwiek by to było – odpowiedział Snorri. – Zostaną uwolnieni od mocy Koła. Uwolnieni od ludzkich marzeń, opowieści i kłamstw. Sam to widziałeś, Jal. Czy chciałbyś, by ci, których kochasz, spędzili wieczność w takim miejscu?

Moja matka bez wątpienia była w Niebie, ale za to ojciec, kardynał czy nie, zdecydowanie trafił do piekła, jeśli zasady, o których czasem wygłaszał kazania, miały w sobie choć krztynę prawdy. Ważniejsze jednak, że nie było to miejsce, w którym *ja* chciałbym spędzić wieczność.

– Co to? – Hennan wskazał znak przyczepiony do ściany, tak zabrudzony, że prawie go minęliśmy.

– Nie mamy czasu! – Spojrzałem w tył, w ciemności, wytyężając słuch, by usłyszeć pogoń. Jaśko Obrzyn mógł na nas wyskoczyć w każdej chwili.

– Internacjonalna... – Kara już ścierała rękawem brud ze znaku. – Kolaboracja...

– Dla mnie brzmi to jak bzdury, chodźmy stąd! – Pismo było obce, ale wyglądało odrobinę znajomo.

– To stara wersja języka Imperium, bardzo zniekształcona. – Kara starła więcej brudu. Znak wyglądał na zrobiony z emaliowanego metalu. W wielu miejscach pod zanieczyszczeniami jego powierzchnię przeżarta rdza. – Nie mogę odczytać reszty. Ale pierwsze litery są większe. I.K.O.L Ostatnie słowo to może być „Laboratorium”

– Co to jest laboratorium? – zapytał Hennan, z jakiegoś powodu patrząc na mnie.

– Coś, co marnuje twój czas, kiedy z ciemności może wypełznąć potwór i cię zabić – odparłem.

– Jest tu też obraz. – Kara otarła go swoim brudnym rękawem. – To nie może być...

Pomimo strachu przysunąłem się do niej. Pod wielkim tytułem na górze znaku, długim na kilka stóp, znajdowały się obok siebie trzy obrazy – portrety obejmujące głowy i ramiona, wybornie oddające rzeczywistość. Łysiejący, siwy mężczyzna ze szklanymi soczewkami przed oczyma; mężczyzna w średnim wieku, czarnowłosy i poważny, z twarzą przedzieloną wystającym nosem; młody mężczyzna ze strzechą brązowych włosów, z wąską twarzą i wielkimi

ciemnymi oczyma.

– Profesor Lawrence O’Kee – przeczytałem, biedząc się nad powykręcany literami. – Doktor Dex... nie, Fexler Brews. I doktor Elias Taproot!

– Taproot kierował Kołem? – zapytał Snorri, patrząc ponad naszymi głowami, podczas gdy Hennan wcisnął się między Karę i mnie, żeby lepiej widzieć.

– Był na tyle ważny, że znalazł się na tym znaku – powiedziała Kara. – Ale myślę, że to ten wszystkim kierował. – Dotknęła palcem najstarszego z trzech mężczyzn, profesora.

Odgłos biegnących nóg przerwał sesję pytań. Czyjeś stopy dudniły w zakurzonej tunelu, szybko nas doganiając. Rzuciłem się do ucieczki, nie czekając na resztę, popędziłem w ciemności i przebyłem jakieś dwadzieścia kroków, po czym uderzyłem w coś bardzo twardego. Zobaczyłem niewyraźne zarysy akurat na czas, by zasłonić się rękoma, ale mimo to następną rzeczą, która się wydarzyła, był Snorri podnoszący mnie z podłogi.

– Gdzie on jest? – Szarpnąłem głową na lewo i prawo, przeczesując mrok w poszukiwaniu Jaśka Obrzyna.

– Kroki ucichły, kiedy walnąłeś w kraty. – Kara stała za mną ze światłem.

– Kraty? – Teraz je dostrzegłem, błyszczące filary ze srebrzystej stali, każdy tak gruby jak moje ramię.

Odgłos prędkich kroków znów rozbrzmiał jakieś pięćdziesiąt jardów za nami. Odepchnąłem Snorriego i zacząłem niezdarnie szukać klucza. Wyślizgnął mi się z palców, zdradziecki jak lód, ale rzemień go utrzymał, więc złapałem go ponownie.

– Otwórz się! – Stuknąłem kluczem w najbliższy pręt i wszystkie wsunęły się w swoje nisze, górna połowa w sufit, dolna w podłogę.

Przeszedłem za nie, jeszcze zanim całkowicie zniknęły, i odwróciłem się błyskawicznie. Reszta przeszła za mną. Cienie wypluły Jaśka Obrzyna pędzącego tak szybko jak to tylko możliwe.

– Zamknij się! – Uderzyłem kluczem w błyszczące kółko pręta, teraz zrównane z podłogą. Zamarłem na widok tego potwora z wybałuszonymi oczami, gnającego w moją stronę. Snorri szarpnął mnie do tyłu, ale przedtem Jaśko Obrzyn skoczył w zwężające się przejście... i nie zdążył. Uderzył z okropnym impetem i przysięgam, że kraty zadźwięczały.

– Chodź. – Snorri pociągnął mnie do przodu. – Kraty go powstrzymają. – Niemal mu uwierzyłem.

Pięćdziesiąt jardów dalej tunel wpadał do komnaty tak wielkiej jak nowa katedra w Remes. Czarna tuba, która biegła wzdłuż sufitu tunelu, przechodziła przez środek otwartej przestrzeni i zniknęła w tunelu po drugiej stronie sali. Jej

ścieżka prowadziła przez szczęki olbrzymiej maszyny, znajdującej na podłodze komnaty pięćdziesiąt stóp pod nami i sięgającej pięćdziesiąt stóp ponad poziom, przez który przebiegała czarna rura.

Światła wbudowane w sufit, zbyt jasne, by na nie patrzeć, oświetlały całą komnatę, jakby panował tu letni dzień. Powietrze pachniało piorunami i pulsowało w rytm bicia serca wielkich silników.

Staliśmy na skraju tunelu, w miejscu, w którym kończył się stromym uskokiem aż do podłogi daleko pod nami. Jeśli były tu kiedykolwiek jakieś schody czy poręcz, nie zostały wykonane z równie trwałego materiału co kraty, które minęliśmy, czy kolosalna maszyna przed nami. Być może wyjaśniało to brązowe plamy na ścianach i podłodze.

– Tam na dole ktoś jest. – Wskazał palcem Hennan.

Przy podstawie olbrzymiego bloku metalu w ogromną maszynę została wbudowana alkowa wyłożona szklanymi płytami, jarzącymi się od symboli i zygzaków. W środku, z naszej pozycji widoczny tylko od ramion w dół, zwrócony plecami do nas stał mężczyzna w białej szacie albo jakiegoś rodzaju płaszczu.

– Nie rusza się – powiedziała Kara.

Patrzyliśmy przez całą minutę, a przynajmniej oni patrzyli. Ja nieustannie się oglądałem, na wypadek gdyby Jaśko Obrzyn dogonił nas i chciał nas zepchnąć z krawędzi tunelu.

– Posąg? – zgadywał Hennan, przysuwając się do uskoku.

– Albo zatrzymał się w czasie jak Taproot w krypcie Budowniczych. – Snorri odciągnął chłopca od krawędzi.

Daleko za nami zaczęło rozbrzmiewać głucho dzwonienie.

– Powinniśmy zejść na dół i się przekonać – zaproponowałem.

– Jak? – Kara podeszła do krawędzi mniej śmiało niż Hennan, na czworakach.

– Polecimy? – Pomachałem rękoma. – W końcu jesteśmy teraz deformagami!

– Zażyczyłem sobie ulecieć w powietrze. Uniosłem ramiona i stanąłem na palcach. Nic się nie wydarzyło, oprócz tego, że dla zachowania równowagi musiałem dać krok do przodu i bardzo się ucieszyłem, że nie podjąłem mojej próby bliżej skraju tunelu. – Dlaczego to nie działa?

– Maszyny Budowniczych muszą wysyłać przeciwzakłęcia, by się bronić. Jak inaczej mogłyby wciąż pracować po tak wielu latach? – Kara wysunęła głowę i klatkę piersiową poza krawędź. Snorri uprzedził mnie i przytrzymał jej nogi. – Ściana jest z kamienia i są w nią wbite szczeble, tak jak w szybie, którym tu zeszliśmy.

Popęzła do tyłu, oswobodziła nogi, po czym obróciła się plecami do krawędzi i zaczęła stopami szukać oparcia. Z mocnym podejrzeniem, że owo

dzwonienie pochodziło od krat poddających się Obrzynowi, ześlizgnąłem się z krawędzi zaraz po niej.

Jakąś minutę później cała nasza czwórka stała na podłodze komnaty, czując się jak mrówki zarówno w skali, jak i pod względem znaczenia. Snorri poprowadził nas do alkowy w podstawie maszyny. Ogromny silnik ze srebrzystej stali, przez który przebiegał czarny rdzeń Koła, zajmował większą część pomieszczenia, ale między ścianą a zewnętrzną krawędzią maszyny było dobre dwadzieścia jardów przestrzeni. Rzecz nie przypominała żadnego silnika, jaki w życiu widziałem. Nie było kółek ani trybików, żadnych ruchomych części, ale konstrukcja zdawała się zbudowana z wielu elementów, a po jej powierzchni wiły się różne rurki, łączące się i rozdzielające w skomplikowanych wzorach.

Cały obiekt buczał od mocy – nie pocieszającym rodzajem buczenia, ale niedelikatnym dźwiękiem, który zawierał w sobie niepokojące, atonalne harmonie, które nie mogły się zrodzić w żadnym ludzkim umyśle.

– To ten gość ze znaku. – Hennan szedł u boku Snorriego, już trzymając w ręku spory nóż, który wiking musiał mu kiedyś podarować.

– Profesor O’Kee – stwierdziła Kara.

Stał nieruchomo, tak jak wcześniej Taproot, obserwując jeden ze szklanych paneli i błyszczące na nim świetlne wzory. W alkowie znajdowały się również, co było nieco zaskakujące, skłębiona masa brudnej pościeli, parę książek, talerz z niedokończonym jedzeniem i poplamiony fotel. Tuż przed mężczyzną, być może strącony przez dłoń opartą na półokrągłym biurku biegnącym dookoła alkowy, mały przedmiot, wąski cylinder, węższy i nieco dłuższy niż mój palec, zatrzymał się w powietrzu zaraz po tym, jak spadł z płaskiej powierzchni. Zawisł w pół obrotu jakieś trzy stopy nad ziemią.

Wyciągnąłem miecz i ruszyłem naprzód, szturchając nim w kierunku starego mężczyzny. Wpadłem na niewidzialną ścianę o wiele szybciej, niż oczekiwałem, niemal rozpląszczyłem na niej nos, bo dopiero co zacząłem unosić ostrze.

– Jest wielkie! – powiedziałem, by ukryć zażenowanie.

– Taproot nazywał to stazą – rzekła Kara. – Polem stazowym.

Snorri dotknął dłonią gładkiej granicy między czasem i brakiem czasu.

– Użyj klucza.

– On nie zastygł – odezwał się Hennan.

– Właśnie, że tak – Poklepałem się w poszukiwaniu jak zwykle nieuchwytnego klucza.

– To... coś... co spada ze stołu, jest teraz niżej.

Popatrzyłem. Rylec zdawał się być nieco bliżej ziemi, ale równie dobrze

mogło to być złudzenie.

– Bzdura.

– On ma rację.

Minęła chwila, zanim zdałem sobie sprawę, że nie znałem głosu, który poparł wypowiedź Hennana. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Snorri już trzymał topór niewygodnie blisko szyi przybysza.

– Kim jesteś? – zawarczał wiking.

– Nie poznajesz mnie? – Mężczyzna miał na sobie ten sam dopasowany biały płaszcz co O’Kee, do tego czarne spodnie i błyszczące czarne buty. Był po dwudziestce, może kilka lat starszy ode mnie. Czarne włosy miał roztrzepane i sterczące w kępach, jakby miał w zwyczaju za nie szarpać. W dodatku rzedły mu na czubku głowy. W jego oczach błyszczało rozbawienie, zdecydowanie więcej, niż ja bym okazywał, gdyby barbarzyńca trzymał topór o parę cali przed moją twarzą. Jednak coś w jego postaci faktycznie wydawało się znajome.

– Nie – odpowiedział Snorri. – Dlaczego miałbym cię poznać?

Kara wpatrywała się w mężczyznę, marszcząc brwi

– Jesteś magiem-Budowniczym.

– Dajcie spokój! Patrzę prosto na was. – Mężczyzna pokiwał palcami pod brodą, a drugą ręką wskazał alkowę. – Widzicie?

O’Kee stał tyłem do nas, więc wcale nie było to takie oczywiste, ale stamtąd właśnie wzięło się podobieństwo.

Przybysz wyglądał trochę podobnie do starszego mężczyzny, przynajmniej z tego, co zapamiętałem z obrazu.

– Jesteś jego synem? Bratem?

– Synem. W pewnym sensie. – Szeroki uśmiech. – Mówcie mi Larry. W każdym razie wasz chłopak ma rację. Spójrzcie, długopis spadł na podłogę.

Wszyscy się odwróciliśmy, oprócz Snorriego, który był zbyt dobrym wojownikiem, by nabrać się na taką prostą sztuczkę z rozproszeniem uwagi. Cylinder faktycznie spadł na ziemię i teraz być może był w trakcie odbijania się od niej.

– To wolnoczas – powiedział Larry. – W środku mija rok, na zewnątrz wiek

– Musimy porozmawiać z profesorem – stwierdziłem.

– Moglibyście zapytać mnie? – Uśmiechnął się.

– To dość ważne pytanie – odparłem. – Naprawdę musimy porozmawiać z kimś, kto tu rządzi. Zamierzamy to wyłączyć.

– Co zamierzacie wyłączyć? – zapytał Larry.

– To. – Machnąłem ręką w stronę maszyny, niemal dorównującej wielkością twierdzy. – To wszystko. – Wskazałem wejścia do tunelu po obu stronach komnaty. – Koło.

– Profesor może to dla nas zrobić. – Głos Snorriego nie pozostawiał miejsca na dyskusje. – To jego dzieło.

Larry wzruszył ramionami.

– To dzieło setek, jeśli nie tysięcy, najbliżskotliwszych umysłów tamtych czasów, ale owszem, to on nadzorował projekt. Pracował nad wyłączeniem wszystkiego przez ostatnie tysiąc lat – dziesięć lat w jego czasie – ale bez powodzenia. Istnieje multum procesów, które muszą zostać kunsztownie zbalansowane, by można było pomyślnie zakończyć operację. Najmniejszy błąd w obliczeniach może sprawić, że wydarzenia tylko nabiorą tempa... lub gorzej.

– I tak z nim porozmawiamy. – Snorri przyłożył dłoń do powierzchni, gdzie czas profesora stykał się z naszym.

– Proszę bardzo. – Larry wyciągnął ręce w stronę starszego mężczyzny. – Ale będzie wam potrzebny klucz. A jeśli go nie macie, obawiam się, że będę musiał was stąd wyprosić.

Zerknąłem na Snorriego. Marszczył twarz w ponurym grymasie. Potem znów spojrzałem na Larry'ego. Ogromny wiking onieśmiał większość ludzi. Larry jakimś cudem sprawiał wrażenie, jakby uważał nas wszystkich za niegrzecznych uczniów.

– Mam klucz. – Wyciągnąłem go i w nagrodę zobaczyłem najdrobniejsze zawahanie w zachowaniu Larry'ego, po czym jego uśmiech się poszerzył.

– Wspaniale! Doprawdy wspaniale! Nie macie pojęcia, jak długo czekałem, by znów go ujrzeć.

– Znów? – Potrząsnąłem głową na te brednie i odwróciłem się do profesora. – Otwórz się! – Dziabnąłem kluczem w barierę... i nie napotkałem żadnego oporu.

„Długopis” odbił się od podłogi jeszcze raz i potoczył pod fotel.

Profesor O'Kee cmoknął z niezadowoleniem. Postukał w szklaną szybę, na którą patrzył – po której światła, linie i liczby poruszały się w jasnym, kolorowym zamieszaniu – po czym odwrócił się i pochylił, by podnieść upuszczony przedmiot. Zastygł w połowie ruchu na widok trzech pogan z dzikiej Północy i księcia Czerwonej Marchii.

– Och, dzięki Bogu! – powiedział. – Larry, nastaw czajnik.

– Przyszliśmy wyłączyć Koło – odezwał się Snorri. – Czy czajnik w tym pomoże?

– Oczywiście, że przyszliście w sprawie Koła. – Profesor posłał nam łagodny uśmiech i skinął w stronę mojej wciąż wyciągniętej ręki. – Przynieśliście mi z powrotem mój klucz.

– Twój klucz? To klucz Lokiego. Został stworzony w Asgardzie – najeżył się Snorri.

– Oczywiście, że tak – Profesor pokiwał głową i pokuśtykał do swego fotela. Nie wyglądał dobrze. Zaproponowałbym, żebyście usiedli, ale obawiam się, że mam tylko jeden fotel. Starsi przodem i tak dalej.

Larry, który stał teraz przy biurku w alkowie, wrócił z filiżanką parującego brązowego płynu. Podał ją profesorowi, a ten ujął ją dłonią dygoczącą od starczego paraliżu, co zagroziło przelaniem się zawartości filiżanki najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. Mężczyzna bezwypadkowo doniósł naczynie do ust i głośno siorbnął.

– To herbata! – powiedziałem.

Pozostali spojrzeli na mnie.

– Dobra robota, chłopcze. – Profesor siorbnął ponownie i wydał z siebie zadowolone „ach”.

Krótko skinąłem głową, przyjmując pochwałę. Matka przywiozła ze sobą z Hindii liście rośliny herbacianej, ususzone i sprasowane. Zwykła parzyć je w gorącej wodzie i pić napar.

Staruszek spojrział na Snorriego.

– Nie ma tu czajnika, tylko dystrybutor gorącej wody i bardzo stare torebki z herbatą. To tylko takie wyrażenie, język trzyma się rzeczy jeszcze długo po tym, jak zapomnimy, czym one były.

– Twierdzisz, że to twój klucz – odezwała się wojowniczo Kara.

– W pewnym sensie. A w sumie nawet w kilku sensach.

– Jesteś Lokim? – zapytałem, pozwalając sobie na odrobinę szyderstwa.

Profesor posłał mi spojrzenie, które miało w sobie nieco stali. Dmuchając na herbatę, upił spory łyk.

– Powinniśmy przejść do rzeczy Nie mogę pozostawać zbyt długo poza wolnoczasem, bo dobiorą się do mnie szczury.

– Szczury? – Rozejrzałem się dookoła.

– Tak. Nie cierpię ich. – Odstawił filiżankę. – To właśnie je przyzywa ta część mojego umysłu, która pragnie mnie zabić

– Ale czy tutaj nie jesteśmy osłonięci? Nie możemy czarować tu tak jak na powierzchni... – Spojrzałem na wyjście z tunelu wysoko w ścianie, spodziewając się, że Jaśko Obrzyn już tam stał ze szczypcami w gotowości.

– Tak, działa tu pole wytłumiające, lecz te, hm, jakże nieszczęsne skutki uboczne eksperymentu wciąż się tu objawiają, tylko zajmuje im to więcej czasu. W bańce wolnoczasu jestem całkowicie bezpieczny, lecz gdy zbyt długo pozostaję poza nią, zaczynają się tu wkradać szczury.

– Larry był na zewnątrz – zauważyłem.

– Tak. – Profesor zerknął na Larry'ego. Rodzinne podobieństwo było teraz dość wyraźne, gdy miody człowiek stał obok fotela starszego. – Cóż, Larry...

Larry jest...

– Nadzwyczajnym mechanicznym człowiekiem – dokończył Larry i uklonił się krótko.

Profesor wzruszył ramionami.

– Zbudowałem Larry'ego, by przechowywać w nim moje echo-dane. On, jak sam powiedział, jest automatem zawierającym w sobie... cóż, mnie, a przynajmniej kopię mnie, która jest trzymana w maszynach. Mamy nasz mały żarcik: Ja jestem ojcem...

– Ja synem – dodał Larry.

– A Loki Duchem Świątym – dokończył profesor.

– Nie rozumiem – rzekła Kara. Oczywiście żadne z nas nie rozumiało, ale völva bardziej ceniła sobie wiedzę niż dumę.

– Z pewnością spotkaliście Aslaug? – Profesor spróbował podnieść się z fotela, opadł na niego z powrotem i gestem zbył próbującego mu pomóc Larry'ego przy drugim podejściu. Automat, chyba jakiś rodzaj mechanicznego żołnierza, posłał nam zażenowane spojrzenie. – Pewna liczba osób z moich czasów uciekła ze swoich ciał, gdy zaczęły się nuklearne ataki, które zarówno rozpoczęły, jak i zakończyły wojnę w ciągu kilku godzin. Zdołali za pomocą zmian, które nasza praca wywołała w materii świata, przenieść swe umysły w różne inne formy. Aslaug była Ashą Lauglin, genialną fizyczką. Przeniosła się w stany negatywnej energii w polu ciemnej materii. Wszystkie projekcje myślą, że przeżyły. To oczywiście nieprawda, Asha Lauglin spłonęła w wybuchu jądrowym. Zginęła tysiąc sto lat temu. Aslaug jest kopią, tak jak Larry, tylko taką, która przez lata zdeprawowała się, wpadła w sidła folkloru ludzi, którzy na powrót zaludnili Ziemię. Została zmieniona przez wierzenia i połączoną wolę wyznawców...

– A Loki? – przerwała mu Kara.

Ucieszyło mnie to. Pomyślałem, że profesor oprócz swych pozostałych obowiązków był również nauczycielem. W niewielu innych zawodach ludzie tak uwielbiali brzmienie własnego głosu.

– Loki jest kopią mnie, którą przeniosłem. Tylko że ja nie zginąłem. Nie jest to wymagana część równania, tyle że związane z procesem wysiłek i ból są tak wielkie, że niewiele osób zdecydowałoby się go przejść, jeśli nie stałyby w obliczu nieuchronnej śmierci.

– Loki to ty? – zapytałem niepotrzebnie. Moje usta po prostu chciały coś powiedzieć.

– Nie ja, kopia mnie. Nie mam nad nią władzy i... oddaliliśmy się od siebie. Ale dzielimy ten sam rdzeń i mamy wiele wspólnych celów. Moc Lokiego, by wpływać na wydarzenia, jest zarówno wzmacniana, jak i ograniczana przez

pułapkę, w którą wpadł.

– Pułapkę? – Stanie się bogiem było pułapką, w którą sam chętnie bym się wpakował.

– Mit Lokiego. Poprzedza mnie w czasie o bardzo długo, nieważne, jak stary mogę ci się wydawać, młodzieńcze. Obawiam się, że... nazwijmy to, moje „duchowe echo”, wpadło w tę konkretną pułapkę z tak infantylnego powodu jak gra słowna.

– Nie nadążam.

– Ludzie mi współcześni, koledzy ze szkoły, wołali na mnie Loki. Pewnie byłem wtedy swego rodzaju psotnikiem, ale tak naprawdę chodziło o to, jak moje imię wyglądało w dzienniku. Lawrence O’Kee. Rozumiecie? L. O’kee. Takie to proste.

– A zatem twoja duchowa kopia myśli, że jest Lokim... – odezwała się Kara.

– Tak.

– Ale nim nie jest.

– Nie jest. Jednak ponieważ jest uwięziona w opowieściach, w które wierzy mnóstwo ludzi, ma dostęp do mocy ich wiary, która z kolei opiera się na tym, co nazywacie Kołem. Zmiany, które nasze maszyny wywołały w rzeczywistości, pozwalają, by wiara tych wszystkich ludzi dała Lokiemu prawdziwą moc. Bezpośrednio nad nami te zmiany pozwalają każdemu z was przywołać ogień, latać czy osiągnąć wszystko, co też sobie życycie. Oczywiście zanim wasza wyobraźnia stworzy potwory, które was zabiją.

– A co z kluczem? – zapytałem, podnosząc go.

Profesor postukał w niego palcem. Klucz natychmiast zmienił się w mały srebrny kluczyk o dziwacznym kształcie, nie dłuższy niż cal. Prawie go upuściłem. W momencie kiedy znów złapałem go mocno, wrócił do swego zwykłego, czarnego, szklistego wyglądu i sięgał od mojego nadgarstka do czubka palca wskazującego.

– To klucz autoryzacji do panelu sterowania ręcznego w centralnym kompleksie procesorowym. Dałem go mojej projekcji – Lokiemu – jako rodzaj planu awaryjnego, jeśli moje wysiłki, by wyłączyć projekt IKOL, nie powiodłyby się w czasie, który miałem do dyspozycji. Szczerze mówiąc, na początku był to raczej żart, a nie poważna próba rozwiązania problemu. Wtedy sądziłem, że zamknięcie pierścienia akceleratora zajmie mi sześć miesięcy. Nie miałem pojęcia, że spędzę nad tym zadaniem następne dziesięć lat mojego życia... i skończy mi się czas, bo to cholerstwo osiągnie stan krytyczny. – Staruszek przecesał dłonią rzadziejące białe włosy. W zmarszczkach w kącikach jego oczu czaiło się wyczerpanie. – Teraz wygląda na to, że klucz jest naszą jedyną nadzieją. Wysłałem go w świat z Lokim, by zebrał wiarę. Pomysł

polegał na tym, by wpleść go w historie, zrobić z niego część mitologii. Im głębiej osadzał się w świadomości ludzi, tym więcej mocy mógł wyciągnąć z ich zbiorowej woli, z ich sennych wyobrażeń. Więc widzicie, klucz stał się symbolem, który pośrednio czerpie moc z samego Koła. Jeśli zadziała, Koło samo skutecznie się wyłączy.

– Daj mu klucz, Jal. – Snorri podszedł bliżej, patrząc z góry na nas obu. – Profesor będzie wiedział, jak go użyć, by wyłączyć maszynę.

Moja dłoń sama się zamknęła, a palce zacisnęły wokół zimnego klucza. Gdybym oddał go teraz, czułbym się, jakby odebrano mi wszystkie opcje. Wyłączenie silników Koła miało podobno sprawić, że rodzina Snorriego zyska szansę wślizgnięcia się w nieznane, które czekało na martwych ludzi w czasach Budowniczych. Snorri tego pragnął... ale życie pozagrobowe na tej Świętej Górze wcale nie brzmiało źle. A wyłączenie silnika nie zatrzyma obrotów Koła, tylko je spowolni. Bez silników w Osheim jedyną rzeczą, która mogłaby obracać Koło i zmieniać sposób, w jaki działa rzeczywistość, będziemy my – za każdym razem, gdy mag używał czarów, rozdzierał powłokę świata. Szczeliny będą się powiększać, a Koło obracać, wolniej niż wcześniej, ale wciąż obracać, prowadząc nas wszystkich ku końcowi, świat wciąż się roztrzaska – tylko za parę lat, a nie tygodni. Gdyby tak przekręcić klucz w drugą stronę, ostatnie parę tygodni skurczyłoby się do ostatnich paru sekund, a jeśli wierzyć Błękitnej Damie, ja sam patrzyłbym na koniec wszystkiego, stojąc w najbezpieczniejszym miejscu, i miałbym zagwarantowane bezpieczne przejście do nowego świata, gdzie rządziłbym nie jako król czy cesarz, ale jako nowy bóg. Błękitna Dama mogła skłamać. Nie wierzyłem tej suce bardziej niż na odległość, z której mógłbym na nią splunąć, ale zrobiła z tego miejsca swą ostatnią kryjówkę z jakiegoś powodu.

– Jal? – Snorri klepnął mnie w ramię.

– Wybaczcie, odpłynąłem na trochę. – Rozprostowałem palce, patrząc na klucz. – Cóż...

– Dostęp do centralnego kompleksu procesorowego jest dość niewygodny. – Profesor przycisnął obie dłonie do piersi, jakby chciał zapobiec możliwości, że ktoś włożyłby mu klucz w ręce. Może gdy go szturchnął, klucz się odgryzł. – Prawdziwa praca zawsze była wykonywana zdalnie przy stanowisku kontrolnym. – Kiwnął głową w stronę jakiegoś miejsca wysoko nad nami. – Ale dla ultradokładnej kontroli najlepiej będzie to zrobić tam, gdzie są główne procesory.

Pokiwałem głową, jakby cokolwiek z tego miało sens.

– Żeby dojść do właściwego miejsca, trzeba się wspiąć po siedmiu czy ośmiu drabinach i precyzyjnie przejść przez parę wąskich miejsc. Gdybym był młodszy... Poza

tym nie jestem pewien, czy zdołałbym przetrwać poza moim wolnoczasem na tyle długo, by tam dotrzeć. – Profesor utkwiał wzrok gdzieś za mną, ponad moim ramieniem. – Obawiam się, że już się zaczęło.

Obróciłem się i podążyłem za jego wzrokiem. Zauważyłem wielkiego czarnego szczura, który przycupnął na listwie z boku silnika, parę jardów nad nami. Nie ruszał się, ale patrzył na nas błyszczącymi ślepkami.

Głośny, głuchy odgłos za moimi plecami odwrócił moją uwagę od szczura.

– Kurwa.

Jaśko Obrzyn rozprostował się z mocno zwiniętej kuli, w którą się zmienił po pięćdziesięciostopowym upadku z krawędzi tunelu. Wycofałem się do alkowy, ciągnąc Hennana za ramię. Profesor dołączył do mnie. Larry dał parę kroków do przodu i stanął na straży pomieszczenia. Kara wyciągnęła nóż, przesuwając się na bok, gdy Snorri ruszył naprzód, by zatrzymać napastnika. Jaśko Obrzyn pobiegł sprintem prosto w moją stronę.

Wiking czekał w kompletnym bezruchu, po czym w ostatnim ułamku sekundy obrócił się w bok, tnąc Hel po wznoszącym się łuku, by ciąć potwora pod brodą.

Okrzyk triumfu zamarł mi w gardle, gdy Jaśko Obrzyn, zamiast paść na podłogę w dwóch częściach, tylko oderwał się od ziemi od siły ciosu, a ostrze topora nawet się w niego nie wgryzło. Upadł ciężko, ale wstał, mimo że Snorri już wznosił Hel nad głowę do drugiego uderzenia.

– Larry jest niezawodny, ale poczuje się pewniej, jeśli... – Profesor sięgnął do pobliskiego panelu i stuknął w błyszczący kwadrat. – No.

Nie miałem czasu powiedzieć: „No co?” Scena rozgrywająca się na zewnątrz natychmiast przyspieszyła do tempa, które wyglądałoby komicznie, gdyby sytuacja nie była tak zatrważająca. Jaśko Obrzyn z oślepiającą szybkością osłonił się przed gradem ciosów, po czym sam wyprowadził jeden i posłał bezwładnego Snorriego na ziemię. Gdzieś w międzyczasie Kara musiała podejść od tyłu, by też spróbować dźgnąć Obrzyna. Zobaczyłem, jak leżała za nim, gdy on popędził ku nam tak szybko, że jego sylwetka się rozmazała. Walka z Larrym potrwała nieco dłużej, latały pięści, żaden z mężczyzn nie ustępował nawet na cal. Przez sekundę, która na zewnątrz musiała trwać minutę albo dłużej, obaj stali w uścisku, będącym próbą sił. Nagle ramię Larry'ego przeleciało przez komnatę w wybuchu iskier. Jaśko Obrzyn zamachnął się i posłał automat na metalową obudowę silnika. I oto oprawca stał, przyciskając twarz do ściany naszej bańki wolnoczasu.

Do tej pory powstrzymywałem Hennana przed dołączeniem do walki. Teraz już nie musiałem. Twarz Jaśka Obrzyna miała w sobie brzydotę, która z każdego mężczyzny zrobiłaby tchórza.

– Oj, niedobrze – zawyrokował profesor. – Bardzo niedobrze.

– Nie może pan nic zrobić? – zawołał Hennan. – Musimy im pomóc!

Popierałem tę chęć, choć gdy myślałem o pomocy, miałem na myśli głównie pomoc samemu sobie. Nie mogłem się jednak odezwać. Strach ukradł mi głos. Nie mogłem też przestać patrzeć.

– Cóż – powiedział profesor za moimi plecami. – Zawsze można użyć tego...

– Kija? – zapytał Hennan. – Jak...

Coś trzasnęło mnie w tył głowy. Ujrzałem dwa kawałki połamanej laski przelatujące po obu stronach mojej twarzy. Potem padłem.



– Ałć! – Coś uderzyło mnie w twarz. I znowu. – Do diaska! – Podniosłem głowę i następny metalowy szczebel minął mój nos o długość palca. – Gdzie, u diabła... – Chyba wisiałem na czyichś plecach. – Puść mnie!

– Jeśli chcesz. – Głos Snorriego tuż przy moim uchu. – Ale chyba lepiej będzie, jak poczekam z tym, aż dojdziemy na górę. Stąd będziesz długo spadał, możesz sobie złamać coś ważnego.

Rozejrzałem się i natychmiast pożałowałem, że ruszyłem głową. Gdy minęły białe błyskawice bólu, dostrzegłem, że znajdowaliśmy się w pionowej metalowej rurze, słabo oświetlonej błyszczącym pasem biegnącym wzdłuż całej jej długości. Pode mną wspinali się Kara i Hennan, a pod nimi szyb biegł może przez jeszcze dziesięć jardów. Zaciśnąłem ramiona mocniej wokół szyi Snorriego, mimo tego, że moje nadgarstki już zdawały się związane.

– Ten stary drań mnie uderzył!

– Powiedział, że to był jedyny sposób, by pozbyć się jednorękiego mężczyzny, którego wciąż przywoływałeś. W zasadzie to powiedział, że można by cię też zabić.

– Nawet go nie poznałeś, co?

– Kogo?

– Jednorękiego mężczyzny!

– A powinienem?

– To przez ciebie jest jednoręki!

Snorri z sapnięciem podciągnął się na szczyt drabiny i zrzucił mnie na podłogę małej komnaty. Leżałem, jęcząc, gdy dołączyli do nas Kara i Hennan. Na ścianach znajdowały się ekrany i panele dostępu, pozostała przestrzeń była gęsto usiana rurami. Z komnaty odchodziły trzy wąskie tunele, jeden z nich biegł pionowo.

– Gdzie jesteśmy? – Tak naprawdę chciałem wiedzieć, gdzie był Jaśko Obrzyn.

– Wewnątrz maszyny – odpowiedziała mi Kara. – Profesor dał mi mapę prowadzącą do miejsca, w którym możemy użyć klucza. Zerknęła w dół szybu,

którym dopiero co się wdrapaliśmy. – Powiedział, że osłony są tu mocniejsze, więc twój przyjaciel nie znajdzie nas za szybko.

– Oprócz tych miejsc, gdzie nie są – dodał Hennan.

– Co proszę? – Sam również szybko zerknąłem w rurę. Nic.

– Osłony są mocniejsze w większości miejsc. Ale istnieją też nieosłonięte strefy – wytłumaczyła Kara. – Są oznaczone żółtymi znakami ostrzegawczymi.

Stanąłem na nogi, używając ściany jako podpory, i wyswobodziłem rękę z więzów.

– No to ruszajmy. – Gestem nakazałem Karze iść przodem. Völva spojrzała na papier w swojej dłoni i wybrała korytarz z lewej strony.

Szedłem ostatni, pocierając potylicę. Gdyby laska połamana na mojej głowie nie spowodowała u mnie bólu, zrobiłyby to pulsujące mgliste światło i wszechobecny warkot ukrytej maszynierii. Ciasne przejścia same w sobie były klaustrofobiczne, ale warunki zdołały jeszcze się pogorszyć. W nieruchomym powietrzu unosił się mdlącośladki smród, a ściany napierały na nas, jakby w każdej chwili silnik Budowniczych mógł napiąć mięśnie i zniemacka zamknąć już ciasne puste przestrzenie, które miał w środku.

Korytarz doprowadził nas do komnaty akurat na tyle dużej, by pomieściła naszą czwórkę, po czym ciągnął się dalej. Gdy wcisnąłem się do środka, Kara właśnie dotykała palcami lustrzanego panelu o nieregularnym kształcie, wbudowanego w ścianę. Odbicie w nim wyglądało na rozmazane na krawędziach, a tam, gdzie palce Kary dotknęły powierzchni, wyskoczyło kilka mniejszych odbić wiedzy. Bez ostrzeżenia jej twarz zniknęła z lustra, a zastąpiło ją oblicze profesora.

– Och, widzę, że młody Jalan doszedł do siebie! Pozwólcie, by to on użył klucza. Tak nadpobudliwa wyobraźnia jak jego... kłopoty... jak sami widzieliśmy, ale powinna pozwolić na silniejszą więź z kluczem i zwiększenie skutków...

– Co to za przedmiot? – przerwałem mu.

– Jaki przedmiot?

– Ten! – Wychyliłem się przed Karą i dźgnąłem palcem obraz profesora. – To było lustro.

– Cóż. – Profesor nadał się jak nauczyciel, który zamierza rozdać trochę wiedzy. – Dużo czasu zajęłoby wymienienie wszystkich jego funkcji, ale służy do różnych ważnych spraw w głównym gmachu analiz. Być może komunikacja jest najmniej ważną z nich. Po drodze do centralnego procesora zobaczycie wiele takich paneli, ale w sumie są tym samym przedmiotem. Bardzo trudno to wyjaśnić... nazywamy je lustrem fraktalnym...

– Snorri, zbij je! Szybko!

Przekonany moim tonem, wiking zrobił, jak mu kazałem, i gwałtownie pchnął rogami swojej broni w twarz profesora.

– Nie jesteś w stanie go zabić! – Profesor obdarzył nas pobłażliwym uśmiechem, gdy topór ześlizgnął się po jego obliczu, nie zostawiając żadnego śladu. – Dlaczego w ogóle miałbyś chcieć to zrobić?

– Błękitna Dama zamierza użyć tego lustra, żeby się tu zjawić... jeśli jeszcze tego nie zrobiła. Może patrzeć przez zwierciadła, a jeśli nas zobaczy, cóż, znajdziemy się w tarapatkach. Ona nie chce, by Koło się zatrzymało.

– Jeśli zbijesz lustro, magnetyczne zamknięcie stanie się niestabilne. Najróżniejsze procesy przekroczą swe ustalone granice...

– Jesteśmy tu po to, żeby wyłączyć silnik. Nie ma znaczenia, czy przed tym uszkodzimy co nieco. – Błękitna Dama w każdej chwili mogła zerknąć w naszą stronę. To lustro było jej ostatnią drogą ucieczki z wieży w Blujen. Wątpiłem, że będzie je ignorowała. Panika, która we mnie wrzała, sięgająca mniej więcej poziomu klatki piersiowej od momentu, w którym odzyskałem przytomność, teraz zaczęła wspinać się ku moim oczom.

– Cóż... – Profesor O’Kee zacisnął usta. – Musielibyście zejść do oryginalnego lustra w Korytarzu E. Jest zaznaczone na mapie. Ale jeśli zbijecie prymarny obraz, pewnie zostanie wam zaledwie kilka minut.

– Zanim?

Profesor zacisnął palce w jedną ciasną pięść.

– Radziłbym się spieszyć.

– Kara? – Obróciłem się do völvy, zlanym zimnym potem.

Podniosła wzrok znad mapy.

– Za mną.

Dreptałem tuż za nią, a pośpiech deptał mi po piętach. Trzy wąskie korytarze, jeden skręt w lewo, dwa w prawo, po drabinie w górę, po drabinie w dół. W trzech miejscach minęliśmy fasetki lustra, za każdym razem podenerwowana twarz profesora patrzyła, jak przechodziliśmy. Za każdym razem moje serce bębniło w rytm paniki. Każda fasetka była oknem, przez które mogły nas oglądać niezliczone potworności.

– Już niedaleko – powiedziała Kara, kucając, by przemknąć pod kolejną lustrzaną fasetką.

– Muszę spojrzeć – odparłem.

– Co? – Usta Kary zmieniły się w cienką linię.

Bycie obserwowanym bez świadomości, czy jest się obserwowanym czy nie, czyni z ciebie ofiarę. Drapieżcy śledzą z ukrycia.

– Muszę spojrzeć – powtórzyłem, ujmując klucz. Podszedłem do lustra. Przez chwilę pokazywało rozbiegane obrazy księcia Jalana, migoczące wokół

głównego odbicia, każde równie blade ze strachu, co następne, zmniejszające się stopniowo aż do niebytu. Znowu pojawiła się twarz profesora. Staruszek marszczył brwi. Zanim się odezwał, przyłożyłem klucz do lustra. – Pokaż mi.

Obraz przestał pokazywać alkowę przy podstawie silnika, a za nią nagą kamienną podłogę. Teraz patrzyłem na luksusowo urządzone pokój z tkanymi dywanami i eleganckimi kredensami przy ścianach. Na jednym z nich na wypolerowany blat wypływały z inkrustowanej szkatułki sznury pereł i złote łańcuchy. A na każdej ścianie lustra, tuziny luster we wszystkich rozmiarach i kształtach, oprawione w srebro, kute żelazo, kunsztownie rzeźbione drewno, pozłacane i lśniące ramy, wyblakłe sosnowe, pełne drzazg od zbyt częstego używania... prawie wszystkie z nich strzaskane, ich kawałki wisiały jak połamane zęby, zaśmiecały podłogę.

– To jej wieża. Teraz my też ją zobaczymy, jeśli spróbuje nas szpiegować. – Poczuję się nieco lepiej. Ale niewiele.

Kara złapała mnie za ramię i szarpnęła sprzed zwierciadła.

– Chodź!

Kolejny korytarz i krótkie zejście przywiodły nas do zamkniętych drzwi ze srebrzystej stali. Postukałem w nie kluczem. Nic się nie stało.

– Coś nie tak? – Snorri zszedł z ostatniego stopnia, wciskając się za nami.

– Nie wiem. – Poszukałem wzrokiem dziurki od klucza. Zazwyczaj klucz sam ją sobie tworzył.

– Spróbuj jeszcze raz – zasyczał Hennan za moimi plecami.

– Doprawdy?

– Tak – Sarkazm marnuje się przy dzieciach.

Przycisnąłem klucz płasko do drzwi, umieszczając go między moją dłońią a stalą.

– Otwórz się!

Portal zadrżał, a gdzieś pod nami zaczął rozbrzmiewać dźwięk wibrujący przez podeszwy moich butów, jakby olbrzym zgrzytał zębami.

– Otwórz się, do licha! W imię Lokiego!

Poczuję ostry ból głęboko między oczami i gdzieś w grubej ścianie pękło coś niezniszczalnego. Drzwi wsunęły się do otworu w ścianie.

– Zamki Budowniczych miały za zadanie mocno się trzymać – oznajmiła Kara i popchnęła mnie do przodu.

Pokój za drzwiami rozświetlił się, gdy przeszedłem przez próg. Na ścianie naprzeciwko nas królowało olbrzymie lustro. Mówię lustro, choć pokazywało jedynie sanktuarium Błękitnej Damy, a tam nic się nie poruszało, więc można by uznać to lustro za obraz. Miało jakieś dziewięć stóp wysokości, a szerokość moich rozpostartych ramion. Brzegi załamywały się w dziwne wzory,

wysuwały lustrzane wąsy i w końcu rozpadały w dziwny błyszczący pył albo dym.

Dałem jeszcze jeden krok do przodu, po czym zatrzymałem się, machając rękami jak wiatrak, gdy starałem się nie dać kolejnego – niełatwe zadanie, gdy z tyłu tłoczyli się pozostali.

– Stójcie!

– Dlaczego? – Kara u mojego boku.

Machnąłem ręką w odpowiedzi, wskazując wyciągniętym palcem jaskrawe żółte krzyżyki namalowane na pasie przecinającym podłogę, wspinającym się po każdej ścianie i przecinającym też sufit.

– Pokój nie jest osłonięty.

– Nie może być aż tak źle. – Snorri złapał mnie za ramię i wepchnął do środka.

W mgnieniu oka znalazłem się twarzą w twarz z Jaśkiem Obrzynem, oblicze przepoławiał mu jego szkieletowy uśmiech, który był o wiele bardziej przerażający niż wściekłość. Obrzyn zacisnął twarde jak żelazo palce na moim ramieniu i obojczyku. Snorri szarpnął mnie do tyłu i oswobodziłem się z krzykiem. Ciało miałem podrapane i posiniaczone w miejscu, gdzie Jaśko Obrzyn niemal zdołał porządnie mnie chwycić.

Snorri i ja poleciliśmy do tyłu, wiking wpadł na ścianę i zdołał w międzyczasie spowolnić mój upadek na podłogę. Jaśko Obrzyn rzucił się do przodu... i rozpląszczył na niewidzialnych osłonach, rozpluskując i rozpraszając jak płyn, który chlapnął na szybę.

– Zniknął – powiedział Snorri, pomagając mi wstać.

– Co to miało być, do diabła? – wrzasnąłem.

– Test.

– Następnym razem, kurwa, testuj na sobie! – Obciągnąłem koszulę i potarłem niepewnie zadrapania, które zostawiły po sobie palce Jaśka Obrzyna. Bolały. Krzywiąc się, podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Snorri posłuchał mojej rady i wszedł do komnaty, trzymając rękojeść topora przy klatce piersiowej jak pręt do obrony przed atakiem.

Postać pojawiła się niemal natychmiast. Ziemia rozwarła się i zapadła, ukazując szczelinę podobną do tej w Pieczarze Eridruina w Harrowfjord, tej, która połknęła cień Kelema i posłała go z powrotem do piekła.

Z dziury wygramoliła się Einmyria, ubłocona i wyjąca tak okropnym głosem, że chciałem wbić sobie nóż w uszy, żeby zniszczyć swój narząd słuchu. Gdy córka Snorriego podniosła ku nam swą pozbawioną skóry buzię, wokół niej zaroilo się od much, wylatujących ze szczeliny dziesiątkami tysięcy. Zobaczyłem jej dłonie, na końcu każdego palca czernił się okrutny szpon.

Potem nie widziałem już nic oprócz brzęczących much, dopóki Snorri nie wytoczył się poza linię żółtych krzyżyków. Wtedy cały koszmar rozpadł się na niknące smużki, jak dym unoszący się w nieruchomym powietrzu.

Snorri, znów z plecami przy ścianie, stał zgięty wpół z twarzą ukrytą za zasłoną ciemnych włosów. Przez długą minutę nikt nic nie mówił. Patrzyłem na lustro i fałszywy spokój prywatnej kwatery Mory Shival, modląc się, by Błękitna Dama nie załatwiła sprawy, która trzymała ją poza pokojem w wieży, i nie zobaczyła nas, patrzących na nią.

– Przepraszam – przemówił w końcu Snorri. – Nie powinienem był cię tam wpychać. Trudno zrozumieć głębię strachu drugiego człowieka.

– Moglibyśmy coś rzucić i stłuc lustro... – zasugerował Hennan.

– Skończyły mi się kamienie – odparłem. – A wołałbym nie stracić swojego miecza. Poza tym nie mamy gwarancji, że lustro pęknie... – Rzuciłem Snorriemu spojrzenie z ukosa. – Topór dobrze się nadaje do rzucania...

Snorri skrzywił się i odsunął od ściany. Wyłuskał sztylet z pochwy przy moim biodrze i cisnął nim w lustro. Ostrze trafiło w sam środek z siłą wystarczającą, by wbić się w człowieka po samą rękę... po czym odbiło się i poleciało z powrotem ku nam nad wymalowaną granicą.

Kara przeszła między nami, gdy schyliłem się po mój sztylet.

– Jeśli przyłożę to do lustra... – Kara rozwarła dłoń, pokazując nam żelazną tabliczkę z runem, nie większą niż mój paznokiec na kciuku. – ...i powiem *brjóta*, co oznacza „złamać” w starej mowie, lustro się zbije.

Wskazałem na lustro.

– Nie krępuj się.

Kara spojrzała na mnie, mrużąc oczy, po czym podeszła do granicy z wysuniętą ręką, wyciągając jeden palec, by jej dotknąć. Zrobiła to tak wolno, że przez chwilę wydawało mi się, że w ogóle się nie poruszyła. Mimo to efekt był natychmiastowy. Tam, gdzie koniuszek jej palca musnął granice osłony, ciemność rozkwitła jak krople atramentu w wodzie. W ciągu paru chwil noc połknęła przestrzeń za krzyżykami, a nas spowiła wszechogarniająca cisza.

Żadnych dźwięków. Wstrzymałem oddech. Wtedy rozbrzmiało najcichsze skrzypnięcie. Może deska podłogowa pod czyjąś stopą.

Kara cofnęła dłoń, jakby coś ją ugryzło.

– Nie mogę tam wejść – wyszeptała.

Zadrzałem na myśl o mroku, który potrafił przerazić maga zaprzysiężonego ciemności. Strach sprawił, że Kara wyglądała starzej, jakby wyssano z niej coś cennego. Wzięła głęboki oddech, a ciemność wyparowała.

– Ja pójdę.

Obróciłem się błyskawicznie.

– Ja to zrobię. – Cienki głosik, ale stanowczy. Hennan wyciągnął dłoń do Kary. – Daj mi run.

– Nie ma mowy. – Snorri pokręcił głową. – Widziałeś, jak to wygląda. A powinieneś się martwić nie o to, co widziałeś, tylko o to, co masz w sobie. Co z ciebie wyjdzie. To działa o wiele potężniej tu, na dole, niż na powierzchni...

Hennan zignorował Snorriego, wytrzymując spojrzenie Kary.

– Powiedziałaś im, że powinni mi pozwolić pójść z wami. Powiedziałaś: „Co mogłoby być cenniejsze od kogoś, kogo rodzina opierała się przyciąganiu Koła od pokoleń?”

– Tak, ale... – zająknęła się Kara. – To co innego. Widziałeś...

– Każdy, kto znajdzie się w pobliżu Koła, może się nazywać deformagiem. – Wszedł jej w słowo Hennan. – Ja sprawiłem, że ziemia się otworzyła i kogoś połknęła. – Odegrał dłońmi to wydarzenie. – Ale większość ludzi nie pozostaje deformagami zbyt długo. Koło ich zabija.

– Otóż to! – powiedziałem. – I to wcale nie jest dobra śmierć. Jesteś szalony, jeśli chcesz tam wejść. – Odkryłem, że nie chciałem patrzeć na śmierć chłopca.

– Dziadkiem mojego dziadka był Lotar Vale. Czarował bliżej Koła niż prawie wszyscy przed nim czy po nim, i to przez dziesięć lat – a potem znalazł w sobie siłę, by odejść! Dlatego moja rodzina nie odczuwa przyciągania. Krew Lotara krąży w naszych żyłach. Nie nawiedzają nas strachy. – Trzeba być doświadczonym kłamcą, żeby dostrzec zawahanie, ale ja widziałem, że chłopiec po prostu zgadywał.

– Nie wiesz, co mówisz – odezwała się Kara.

– Pozwólcie mu spróbować – zagrział Snorri.

– Co? – Kara złapała chłopca za ramię, jakby ten w każdej chwili mógł rzucić się za osłony.

– Jest na tyle duży, by podejmować własne decyzje. Za dwa lata będzie już mężczyzną. No chyba że tu zawiedziemy, wtedy za dwa lata nikt już nikim nie będzie. – Snorri machnął ręką w stronę lustra. – Jeśli go nie stłuczemy, a Błękitna Dama nas zobaczy, to myślisz, że weźmie sobie Hennana na swojego małego pomagiera? Czy zabije go tak jak nas?

Kara nie odpowiedziała, ale wyciągnęła rękę. Ciemna żelazna tabliczka odcinała się mocno od jej białej dłoni. Hennan wziął run, przecesał ręką strzechę swoich rudych włosów, zerknął nerwowo na Snorriego i na mnie, po czym postawił stopę za osłonami. Zrobił kolejny krok. Teraz znalazł się już cały w nieosłoniętej strefie. Obejrzał się, usta drgnęły mu w uśmiechu.

– Pospiesz się! – ponagliła go Kara.

Powietrze zaczęło kipieć wokół Hennana, gdy obrócił się z powrotem w stronę lustra. Chłopiec zaczął iść szybko z rękami wyciągniętymi przed sobą,

jakby przedzierał się przez pajęczyny. Na wpeł widoczne kształty poruszały się wokół niego jak figury ze szkła, które dało się dostrzec jedynie jako zamęt powierzchni łąpiących i zaginających światło.

Gdy Hennan zbliżył się do zwierciadła, jeden kształt pociemniał i nabrał kolorów. Coś podobnego do węża owinęło się wokół nadgarstka chłopca, gdy ten wyciągnął rękę z runem.

– Nie! – Hennan zdawał się raczej zły niż przestraszony. Wąż, macka czy pęd – to coś zeszkliło się, gdy chłopiec wbił w nie wzrok, i znów stało się niematerialne. Hennan przycisnął tabliczkę do powierzchni lustra.

– *Brjöta*. – Przez moment słowo zawisło w powietrzu, drżąc w nie do końca dostrzegalnych strachach, którym Koło próbowało nadać formę. W następnej chwili lustro pękło w pełnym odprysków wybuchu, po którym zaczęło dzwonić mi w uszach. Po jego powierzchni rozbiegła się pajęczyna pęknięć, od góry do dołu. Natychmiast rozległ się piskliwy klakson, światło zmieniło się z nieruchomo białego na pulsujące czerwienią w odcieniach od rozżarzonych węgla do szkarłatu.

Hennan obrócił się, odtrącając półprzezroczyste ręce, przepychając się między postaciami mającymi ze wszystkich stron. Pobiegł ku nam, z każdym krokiem wolniej, jakby brodził w bagnie. Powietrze wokół niego zamgliło się, ale w ostrzegawczym świetle wyglądało na czerwone jak krew.

– Nie zatrzymuj się! – ryknąłem.

Został mu jeszcze tylko jard. Wzdłuż jego kości policzkowej wykwitła wąska szkarłatna linia tam, gdzie ciął go szklany pazur. Mgła pociemniała.

Nasza trójka stała na granicy, krzycząc, by szedł dalej.

Posunął się o kolejną stopę z bolesną powolnością, po czym znów został cięty, tym razem głębiej, wzdłuż czoła. Pocięła krew.

Sięgnęliśmy po niego, choć na szczęście miałem tyle przytomności umysłu, by zrobić to ułamek sekundy po Karze i Snorrim. Kara była najszybsza, zanurzyła się po ramię w całkowitej ciemności, która rozpostarła się w momencie, gdy *völva* przekroczyła palcami granicę. W mroku czy nie, złapała chłopca i przyciągnęła do nas. Ja z kolei złapałem ją, gdy padała na ziemię. Jej ramię wydawało się nieuszkodzone, ale leżała na moim podołku, trzęsąc się jak po zanurzeniu w morzu w Norseheim, nie mogąc złapać oddechu, z szeroko rozwartymi, wlepionymi w przestrzeń oczyma.

– Już wszystko dobrze. – Snorri podniósł ją ze mnie.

Wstałem, podciągając Hennana na nogi. Starłem krew zalewającą mu oczy szmatką wyciągniętą z kieszeni. Staliśmy przez minutę, czekając, aż nasze serca zaprzestaną prób wyrwania się z klatek piersiowych. Kara wyrwała się Snorriemu i zaczęła opatrywać rany Hennana jakąś pastą ze skórzanej sakiewki.

Przestraszona dziewczynka znów zniknęła w kącie umysłu, w którym trzymała ją Kara – z nami znowu była kompetentna völva.

– Musimy iść. – Wyszedłem za drzwi, którymi przyszliśmy. Babka powiedziała, że Milcząca Siostra będzie wiedziała, kiedy lustro pęknie. Wtedy zaczną swe ostateczne natarcie na wieżę, a ja nie chciałem się przekonać, czy Błękitna Dama miała w rękawie jeszcze jakieś asy.

Hennan szedł ostatni. Zerknąłem do tyłu i zobaczyłem, że powietrze wokół jego ramion zamgliło się na moment, a potem rozwiało, jakby osłony, które wcześniej chroniły wymalowaną granicę, teraz się rozpadały, popękane równie mocno co lustro.

Kiedy już zmusiłem wszystkich do marszu, pozwoliłem Karze poprowadzić nas zgodnie ze wskazówkami jej mapy i prześlizgnąłem się przez naszą grupkę tuż za Hennana.

– Dobra robota z tym lustrem, chłopcze. – Szturchnąłem go w ramię, powtarzając gest wyrażający aprobatę, który podpatrzyłem u Snorriego. – Jeśli wciąż będę marszałkiem, kiedy wrócę do Vermillionu, zarekomenduję cię, żebyś otrzymał medal. – Obróciłem sobie milcząco w ustach słowo „kiedy”. Wciąż nie do końca wiedziałem, co zrobię, gdy już włożę klucz do tej ostatniej dziurki. Może odciąłem Błękitnej Damie drogę i nie wpadnie więcej z wizytą przez fraktalne lustro, ale jej słowa nadal mogły mnie dosięgnąć. Mogłem się stać bogiem w nowym świecie albo spłonąć wraz z wieśniakami w starym...

– Spójrzcie! – Doszliśmy do jednej z fasetek fraktalnego lustra. Okazało się, że pokrywała ją siateczka promienistych pęknięć, ale Kara wskazywała na komnatę, którą odbijało zwierciadło, nie na zniszczenia.

– Nic nie widzę... – I wtedy zobaczyłem. Cały pokój zatrzęsł się leciutko. Białe obłoki gipsowego pyłu zaczęły prószyć z sufitu i osiadać na wypolerowanych meblach. – Chodźmy! – Wszystkim nam kończył się czas. Błękitna Dama już go w ogóle nie miała, a ja nie sądziłem, by zechciała pożegnać się z nami łagodnie.



Kara powiodła nas przez cielsko śpiącego lewiatana, silnik, który urwał Koło, kiedyś sterujące statkiem wszechświata po jego prostej drodze przez niekończącą się noc. Silnik, który nawet teraz spychał Koło coraz dalej ze ścieżki, grożąc, że w dowolnej chwili może nas pokierować nad urwisko i w przepaść, w której roztrzaskają się światy.

W całej konstrukcji błyskały pulsujące światła, wycie syren docierało do każdego zakamarka, uniemożliwiając rozmowy.

– Musimy się pospieszyć! – krzyknąłem w plecy Kary, żeby zdołała mnie usłyszeć. – Nie mamy wiele czasu. – Od momentu, w którym zniszczyliśmy lustro, słyszałem, jak różne części wielkich silników ożywały, czy raczej czułem to przez podeszwy butów. Zagłuszone przez syrenę, mozolące się mechanizmy skrzypiały i pojękiwały niezdrowo.

Kara odwróciła się od drzwi przed nią i popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami ponad głową Hennana.

– Może osoba z kluczem, który wszystko otwiera, powinna pójść przodem?

Mógłbym przekazać komuś klucz, ale to by było jak rezygnacja z możliwości wyboru. Zatem precyzyjnie się do przodu i przyłożyłem klucz do drzwi. Ukryte zamki poddały się, a metalowa płyta usunęła się z drogi.

Minęliśmy pół tuzina fasetek lustra, umiejscowionych tak, jakby były oknami do wnętrza tworów Budowniczych, ale wszystkie ukazywały sanktuarium Błękitnej Damy. Jeszcze dwa razy dostrzegłem, jak jej pokój się zatrzęsął, a za drugim razem większe kawałki sufitu spadły na ziemię wraz z kilkoma ramami zwierciadeł i niezliczonymi, połyskującymi odłamkami, gdy potłuczonym lustrom powybijały się zęby.

– W górę? – Spojrzałem na wąski szyb, pulsujący czerwienią.

– W górę. – Pokiwała głową Kara.

– Czy Snorri da radę? Jest dość grubawy.

Snorri zaburczał. Światło lśniło na jego śliskich od potu mięśniach, gdy wokół nas rosła temperatura.

Wzięłem głęboki wdech i zaraz tego pożałowałem.

– Śmierdzi, jakby reszta Budowniczych przyszła tu umrzeć. Ciasna, ograniczona przestrzeń szybu wytłumiła syrenę, ale gdy wspiałem się do małej komnaty na jego szczycie, wycie powróciło z pełną mocą. Zatoczyłem się na fasetkę lustra wiszącą na ścianie i walnąłem kluczem w jeden z martwych ekranów pod nią.

– Wyłącz to!

„To” wykrzyczałem już w cichym pokoju.

Kara spojrzała na mnie, wynurzając się z dziury.

– Dobra robota. – Pocierając uszy, odsunęła się na bok, by Hennan mógł wyjść.

– Bogom niech będą dzięki. – Snorri wycisnął się z szybu, napinając ramiona.

– Jesteśmy już blisko. Jeszcze tylko jeden pokój dzieli nas od centralnej komnaty. Tędy. – Kara wskazała dziwaczne przejście, wysokie i wąskie, wiodące do czegoś, co wyglądało jak mała szafa.

Wszyscy odwróciliśmy się prędko na dźwięk otwieranych gwałtownie drzwi. Błękitna Dama stała w drzwiach swojego pokoju w lustrze, ramiona rozłożyła, jakby miała zaraz rzucić jakieś przerażające zaklęcie, szare włosy miała w nieładzie, a wokół niej wirowała peleryna w kolorze ciemnego granatu. Jej wiek mnie zaszokował. Wiedziałem, że liczyła sobie ponad sto wiosen, ale takiej jej jeszcze nie widziałem. Wyglądała jak coś, co mogłoby leżeć na wozie ze zwłokami na tyłach więzienia dłużników: kości obleczone starą skórą, marszczącą się wokół każdego stawu. Gorszy niż jej wiek był sposób, w jaki się poruszała, jakby była opętana nienaturalną energią, pełna gorliwości, z oczami płonącymi gorączką. Skoczyła na powierzchnię między nami, w mgnieniu oka pokonując odległość. Jej twarz wypełniła lustro. Wykrzykiwała do nas klątwy w języku, którego na szczęście nie rozumiałem.

Cofnąłem się o krok, gdy dwie sękaty dłonie zakryły fasetkę lustra i cały obraz pogrążył się w mroku.

– Co ona robi? – Mora Shival mogła wyglądać jak cień samej siebie – nie cień, raczej jakby została rozsmarowana zbyt cienko tego dnia – ale wciąż sprawiała, że sikałem po nogach ze strachu. – Co ona robi?

– Nie wiem – odpowiedziała Kara. – Ale powinniśmy stąd iść.

– Dokąd? – zapytałem.

Kara wskazała otwór, o którym mówiła wcześniej.

– Ale to tylko jakaś szafa, czy coś...

– Mapa pokazuje, że tędy droga. – Völva zerknęła na papier, który trzymała w dłoni, i zmarszczyła brwi.

– No dobra. – Przepchnąłem się obok Snorriego i włożyłem głowę do szafy. –

Jest tu dość miejsca na jedną stojącą osobę i nie ma drugiego wyjścia.

– Może to jedzie w górę – zasugerował Snorri.

Nie podobał mi się ten pomysł.

– Wejdź tam i sprawdź. – Przynajmniej tym razem nie próbował mnie wepchnąć do środka.

– To powinno wystarczyć. – Nieznajomy głos za moimi plecami.

Odwróciłem się i zobaczyłem, jak dłonie odsunęły się od fasetki lustra, po raz kolejny odsłaniając wynędzniałą twarz i błyszczące oczy Błękitnej Damy.

– To powinno wystarczyć – powtórzyła zgrzytliwym głosem, w którym nie było śladu ogłady i humoru, jakie pamiętałem ze wspomnień Czerwonej Królowej.

– Wystarczyć do? – Chciałem zapytać, ale język utknał mi w nagle wyschniętych ustach. Dostrzegłem, że najcieńsze pęknięcia zaczęły się zamykać.

– Lustro się naprawia. – Kara cofnęła się o krok. – Idź! Szybko!

Teraz chętny, by opuścić to pomieszczenie, precyzyjnie przycisnąłem się przez otwór, zaplatając ramiona na piersi. Stałem w pionowej tubie nieco wyższej ode mnie. W półokrągłą ścianę przede mną był wbudowany srebrny panel bez żadnych oznaczeń. Z braku innych pomysłów przycisnąłem do niego klucz.

– Otwórz się. – Konstrukcja zadrżała. – Otwórz się! – Panel stał się czarny. – Otwórz się, do kurwy nędzy! – Coś zaczęło się przesuwac z dźwiękiem udrepczonej stali. Okropny odgłos drapania sprawił, że niemal popękały mi zęby.

– Jal!

Obróciłem głowę rychło w czas, by zobaczyć, jak Snorri zniknął, gdy wewnątrz cylinder ze mną w środku okręcił się, zamykając otwór, przez który wszedłem. Trzymałem klucz przy panelu i modliłem się żarliwie do jakiegokolwiek boga, który zechciałby mnie wysłuchać. Światło zamigotało i zgasło. Przeżyłem tygodnie, które minęły szybciej niż następne trzydzieści sekund mojego życia. W końcu pojawiła się jasna pionowa kreska, która poszerzyła się z niemożliwą gnuśnością do szczeliny na tyle szerokiej, że zdołałem się przez nią wydostać, gdy otwór w wewnętrznym cylindrze ustawił się w jednej linii z otworem umożliwiającym przejście do następnego pomieszczenia.

– Cykl dekontaminacji zakończony. – Gdy wyszedłem z cylindra, odezwał się w nim pozbawiony wyrazu głos.

Pierwszą rzeczą, jaka mnie uderzyła, był smród, jakby coś wczołgało się tu, by zdechnąć. Na szczęście była to również jedyna rzecz, która mnie uderzyła. Komnata była większa, niż się spodziewałem. Miała nieregularne ściany z

wąskimi, pełnymi zakrętów przejściami, prowadzącymi poza zasięg pulsującego czerwonego światła. Na środku komnaty, na wysokości mojej głowy, kwitowała gwiazda czasu, płonąc niebiesko nad czarnym dyskiem wbudowanym w podłogę ze srebrzystej stali. Starłem się na nią nie patrzeć, ponieważ wyczuwałem, że była w stanie usidlić człowieka i sprawić, że do końca życia stałby w miejscu i wlepił w nią wzrok.

Fasetka fraktalnego lustra była osadzona w jednym z niewielu płaskich fragmentów ściany. Pajęczyna pęknięć kontynuowała swój powolny proces leczenia, a Błękitna Dama na chwilę przeniosła swą uwagę na drzwi swojego sanktuarium. Na ścianach wokół niej tuzin albo więcej niezniszczonych luster wisiało teraz w miejscach, gdzie oryginalni lokatorzy tej przestrzeni zostali strąceni na podłogę. Wszystkie wyglądały tak samo: zwykłe lustro w tanich sosnowych ramkach... Identyczne lustro widziałem w kilkudziesięciu miejscach w celi Tuttugu, gdy leżał tam martwy.

W ścianie dokładnie naprzeciwko mnie znajdował się wentyl, taki sam jak ten, przez który tu przyszedłem, a obok niego spory, czarny prostokątny panel. Przycisnąłem klucz do zewnętrznej części przejścia, które mnie przyjęło.

– Obracaj się dalej. – Maszyna zaczęła wlec się okrutnie powoli, walcząc z każdym calem drogi.

W lustrze drzwi Błękitnej Damy zadrżały od potężnego ciosu. Potem od kolejnego. Przy trzecim roztrzaskały się, jakby były zrobione ze szkła. Paskudnie ostre kawałki poleciały we wszystkie strony. W przejściu stanęła Milcząca Siostra, jak zawsze zgarbiona w swych poszarzałych łachmanach. Na jej wąskich ustach błąkała się zapowiedź enigmatycznego uśmiechu, jedno oko miała mroczne i penetrujące, a drugie, ślepe, błyszczało, jakby głowę miała pełną światła. Za nią, wyższa, szersza, w szkarłatnej kirasjerskiej zbroi, stała Czerwona Królowa. Dym unosił się z płaszcza okrywającego jej ramiona, jakby lada chwila mogła stanąć w płomieniach.

– Alica. – Błękitna Dama przekrzywiła głowę, witając gości. – I twoja siostra. Nigdy jakoś nie dosłyszałam jej imienia.

Za moimi plecami Kara wyślizgnęła się z tuby, która obracała się dalej, kierując swój otwór z powrotem ku Snorriemu i Hennanowi.

– Nie patrz na gwiazdę – syknąłem, jedną ręką odpychając od niej völvę.

– Może nas przedstawiś? – zapytała Błękitna Dama.

Babka nie odpowiedziała. Milcząca Siostra wkroczyła do pokoju, a gdy to zrobiła, odbicia Błękitnej Damy wyskoczyły z nowych luster na ścianach i wszystkie zaczęły pędzić w stronę oryginału, wbiegając w nią, w jakiś sposób się z nią jednocząc. Każde wchłonięte odbicie coraz bardziej utwierdzało Morę Shival w tym świecie, dodawało jej wyrazu, farbowało szaty na bardziej

błękitny, intensywniejszy kolor, sprawiało, że jej ciało wyglądało żywiej na kościach.

– Nie. – Milcząca Siostra wymówiła tylko to jedno słowo i wszystkie lustra eksplodowały powodzią odłamków, błyszczące chmury wykwitły przed każdą ramą. Nawet pęknięcia na fraktalnym lustrze na chwilę się powiększyły, zamiast zanikać. Nie potrafiłem powiedzieć, jak zabrzmiał jej głos, wiedziałem tylko, że wypowiedziała słowo.

– To była głupota. – Błękitna Dama otarła usta w miejscu, gdzie drasnął ją przelatujący odłamek. – Tak marnować swą moc.

– Tym razem nie uciekniesz. – Babka obeszła swoją siostrę. Trzymała długi wąski miecz z runami biegnącymi wzdłuż klingi.

– Nie możesz tego zatrzymać. – Błękitna Dama cofnęła się o krok w stronę fraktalnego lustra. – Świat jest rozbity. Śmierć jest rozbita, ciemność i światło również. Lepsze życie czeka na tych z nas, którzy mają silne umysły i chcą po nie sięgnąć. Stado tak czy siak czeka zguba, ale pasterze mogą przeżyć. – Patrzyła na stare kobiety stojące przed nią, ale ja wiedziałem, że to do mnie kierowała te słowa.

– Ludzi można uratować. – Babka uniosła miecz, celując jego czubkiem w serce swej przeciwniczki. – A ja będę walczyć, by tego dokonać, nieważne, jak nędzna będzie nadzieja na zwycięstwo.

Mora Shival potrząsnęła głową.

– Mówisz o ludziach, dziewczynko, ale zawsze chodziło o utrzymanie władzy w twoich własnych dwóch rękach. To strach każe ci ciągle walczyć. Strach przed tym, czym możesz być bez historii, bez tronu i korony, które wypełniałyby gardła twoich poddanych wiwatami. Urodziłaś się, by władać. Doszłaś do władzy, depcząc po połamanych ciałach i umysłach twojego rodzeństwa. Gdzieś za tymi zawziętymi oczyma wciąż płonie marzenie o zostaniu Czerwoną Cesarzową. Nie mam racji, Alica? Planowałaś drogę do wszechwładzy przez tak wiele lat, że nie możesz z niej zrezygnować, nawet kiedy próbujesz to zrobić. Złamałaś potęgę cara Keljona na wschodzie, zneutralizowałaś Scorrion, zasiałaś lęk przed Bogiem w Królestwach Portów za twoimi plecami... i oto pod pretekstem maszerujesz przez Slov, kierując się do Vyene. Piętrzysz trupy szybciej niż Martwy Król – więc nie mów mi tu o „ludziach”.

Snorri dołączył do Hennana za moimi plecami i bezgłośnie wskazał przejście naprzeciwko nas.

– Ostatnia komnata – syknęła Kara. – Możesz to wszystko zakończyć.

Pospieszyłem przez pokój, skulony i przestraszony, okrążając niebieską gwiazdę płonąca w jego centrum. Przejście okazało się identyczne jak to

pierwsze. Przycisnąłem do niego klucz, wywołując to samo drżenie, gdy to, co trzymało tubę w miejscu, opierało mi się, a potem wewnętrzny cylinder zaczął powoli i z trudem się obracać. W zgrzycie usłyszałem ostatni fragment konfrontacji w wieży Mory Shival w Blujen.

– Jak się ma ten drogi chłopiec, którego złamałaś, próbując się mnie pozbyć wtedy w Vermillionie? Czy nie powinien być trzecim Ghollothem? Jeśli ktokolwiek ma prawo zostać cesarzem, to właśnie on. Ostatni cesarz, powykręcany i zaśliniony na swym tronie, patrzący, jak umiera świat wokół niego.

Chciałem krzyknąć, że Garyus byłby dobrym cesarzem – lepszym niż którakolwiek z nich – ale wejście zwężyło się do cała, a potem zniknęło, odcinając wszystkie dźwięki i znów zanurzając mnie w ciemnościach.

Cały mechanizm zatrzęsł się, głęboki jęk rezonował przez metalową superkonstrukcję. W wielkiej maszynie, w silnikach wymyślonych i wykutych przez najmędrze umysły spośród Budowniczych, jeden element walczył z następnym w szaleństwie, teraz, gdy lustro, jednocześnie pojedyncze i mnogie, zostało stłuczone.

Obracałem się wraz z cylindrem i w końcu pojawiła się przede mną szczelina, najpierw jako ciemnoszary paseczek, potem szeroka na palec, o odcień jaśniejsza niż mrok wokół mnie, potem szeroka na dłoń, jeszcze szersza... Wyszedłem z przejścia.

Pojedynczy świetlny panel w suficie ożył z trudem, zastępując niemal nieprzeniknione ciemności mrugającym czerwonym półmrokiem, wyganiając cienie w kąty tylko po to, by zgasnąć na chwilę i pozwolić im się przegrupować. Cztery grube kwadratowe filary zajmowały środek pokoju, wszystkie boki miały pokryte ciemnymi ekranami.

Natychmiast zobaczyłem, że niewielka ilość światła, którą dostrzegłem wcześniej w komnacie, pochodziła z okna obok przejścia. Myślałem, że to czarny panel, ale tak naprawdę była to gruba szklana szyba, która odbijała ciemny pokój. Teraz widać przez nią było, jak Snorri i reszta czekają po drugiej stronie przejścia.

Po mojej lewej stronie brudna szara tkanina zasłaniała coś na ścianie. Szarpnąłem za nią i odkryłem, że to peleryna, podarta i poplamiona od wielokrotnego używania. Zasłaniała fasetkowe lustro. Błękitna Dama stała teraz blisko zwierciadła, zwrócona do niego plecami, unosząc obie ręce. Lampy w jej sanktuarium rzucały na mnie jej cień, reszta światła rozlewała się po komnacie. Babka i jej siostra stały przed Damą, twarze miały spięte i skupione. Widziałem wcześniej ten wyraz twarzy we wspomnieniach Babki, kiedy obie walczyły jako dzieci ze swymi odbiciami. Między palcami Błękitnej Damy błysnęło srebro,

potwierdzając moje przypuszczenia. W każdej dłoni trzymała małe lusterko skierowane na swoje przeciwniczki.

Napięcie na ich twarzach przykuło mnie do podłogi. Oddech uwiązał mi w piersi. Stałem w absolutnej ciszy. Wtedy usłyszałem za sobą czyjś krok.

– O Boże. Jaśko Obrzyn. – Zimna dłoń strachu zacisnęła palce na moich wnętrznościach.

– Kimkolwiek jest to lichy, jest twoim wyobrażeniem. Może cię skrzywdzić tylko na te sposoby, które przyjdą ci do głowy. Za to ja zamierzam cię skrzywdzić na gorsze sposoby. Takie, których nie jesteś w stanie sobie wyobrazić.

Obróciłem się na nogach prawie za słabych, by utrzymać mnie w pionie. Stał tam Edris Dean, diaboliczny w pulsującej czerwonej poświacie. Ciemna kita włosów lśniła czernią na czubku jego głowy. Błada blizna, ciągnąca się poziomo pod prawym okiem, zdawała się podkreślać jego słowa. Ciemniejsza szrama, gruba i poszarpana, biegła wzdłuż boku jego szyi w miejscu, gdzie Kara niemal odcięła mu głowę.

Kątem oka dostrzegłem jakiś ruch i na chwilę przeniósłem uwagę na okno. W komnacie za mną z krętych korytarzy, prowadzących w głąb maszyny, wysypywały się trupy. Widziałem, jak usta Snorriego otworzyły się w ryku, jak Kara wołała coś lub krzyczała, ale nie docierał do mnie żaden dźwięk.

– Błękitna Dama wysłała mnie przodem przez lustro... wraz z paroma przyjaciółmi... żebym zabezpieczył Koło i upewnił się, że nikt nie spróbuje zrobić nic głupiego, jak na przykład wyłączenie go. – Edris uśmiechnął się. Trzymał zakrzywiony miecz z czarnego żelaza, leniwie opierając jego czubek o podłogę między nami. Broń przypominała mi ostrza, jakie Ha'tari nosili w sercu Saharu.

Ponownie zerknąłem przez okno. Trupów było mnóstwo, wszystkie w skórzanych zbrojach z błękitnymi wykończeniami. Poruszały się niepokojąco szybko, twarze miały pełne furii i ciemne od zaschniętej krwi. Topór Snorriego wyciął sobie ścieżkę przez dwóch umarłaków i zachlapał szybę krwią.

– To ludzie Błękitnej Damy – powiedziałem. – Zabiłeś ich.

Edris pochylił głowę.

– Martwi lepiej wykonują rozkazy.

W lustrze Błękitna Dama wypchnęła dłonie w stronę Milczącej Siostry i Czerwonej Królowej.

– Alica, co za głupota tak wykrwawiać tutaj swą armię przez tak wiele tygodni – wysyczała, jakby musiała wypychać słowa przez zaciśnięte zęby. Babka z krzykiem padła na kolana, wyciągając ręce przed siebie, walcząc z czymś niewidocznym. Milcząca Siostra też osunęła się na kolana, ale wolno,

stopniowo, najpierw na jedno, potem na drugie, jakby naciskał na nią olbrzymi ciężar, wciąż przybierający na wadze. – Poświęciłaś tak wiele żyć, tak wiele siły... i po co? Żeby zgiąć u moich stóp. – Błękitna Dama potrząsnęła głową. – Nie tylko ty przez lata urosłaś w siłę.

– Powinieneś być strzec lustra – powiedziałem Edrisowi i położyłem dłoń na rękojeści mojego miecza – broni, którą zabrałem nekromancie w Wieży Oszustów w Umbertide. – Teraz twoja pani jest uwięziona.

– Pomyślałem sobie, że pewnie tu dotrzesz – odparł. – Ty i wiking. – Kiwnął głową w stronę obryzganego krwią okna. Niewiele było przez nie widać, oprócz sylwetek ludzi, wszystkich zajętych walką. – I ta suka. – W zamyśleniu potarł szyję i czarną bliznę nad obojczykiem. – Pomyślałem, że może stłuczesz je za mnie. Widzisz, nigdy nie dbałem specjalnie o Damę, a ona nigdy do końca mi nie ufała, bo nie pojawiam się w żadnej przyszłości, którą mogą dostrzec mędrcy. Popieram jej plan i tak dalej, ale wolałbym sam zasiąść u szczytu stołu, gdy nowi bogowie spotkają się w świetle, który nastąpi po tym. Edris, Pan Stworzenia. Ładnie brzmi. – Uniósł swój paskudny miecz. Jego czubek dzieliła od mojego brzucha szerokość dłoni. – A teraz zechciej oddać mi klucz, a ja uczynię honory. – Skinął głową za filary.

Światło wydobywające się z lustra padło na tylną ścianę, wyświetlając swoje pęknięcia na wielu znajdujących się tam ekranach, pęknięcia, które wciąż się naprawiały. Były mniej więcej w połowie całkowitej regeneracji. Na środku tylnej ściany była srebrna płytką, którą opisywał profesor. Nad nią widniał napis „Sterowanie ręczne”. Czarna linia na jej środku musiała być dziurką od klucza.

Zerknąłem w dół na ostry czubek celujący w mój pępek, potem na Babkę i Milczącą Siostrę, obie na kolanach, próbujące wstać, mimo że ciężar nieubłaganie przygniatał je do ziemi. Krew zaczęła sączyć się z kącików ich oczu. Pomyślałem o Hennanie w Wieży Oszustów, gdy Edris Dean trzymał ostrze przy jego szyi. Dałem chłopcu klucz Lokiego, by oddał go nekromancie, a on cisnął go z powrotem we mnie. Nie pozwolił, bym wykupił jego wolność. Znów spojrzałem na czubek miecza wyciągnięty przede mną. Ostatecznie wszystko zawsze sprowadza się do ostrego końca. Edris straszył mnie rzeczami, których nie potrafiłem sobie wyobrazić. Cóż, nie potrafiłem sobie w pełni wyobrazić, jak to czarne żelazo wślizguje się w moje trzewia.

Ostry krzyk bólu zabrzmiał za moimi plecami. Okrzyk cierpienia starej kobiety. Coś ciemnego i zakrwawionego uderzyło w szybę obok mnie i ześlizgnęło się po niej bezdźwięcznie. To była drobna postać... może Hennan...

Rzuciłem klucz i, Boże miej litość nad moją grzeszną duszą, pomodliłem się do Lokiego, choć wiedziałem, że był jedynie kopią starego profesora, odciśniętą

w materii świata i ukształtowaną przez legendę. Pomodliłem się i patrzyłem, jak klucz obraca się w powietrzu. Zawołałem jedno słowo, „Wyłącz!”, wiedząc, że chcę po prostu czegoś dokładnie odwrotnego niż to, czego pragnął Edris Dean. Wszyscy i tak pomknijemy wagonikiem do piekła, jeśli silnik się wyłączy. Koło będzie kręcić się dalej, chociaż wolniej, napędzane niezdolnością człowieka do powstrzymania się od używania mocy dla własnych korzyści. Ale najbardziej na świecie pragnąłem, by Edris Dean znalazł się w piekle pierwszy.

Oczywiście nie można cisnąć klucza z odległości dziesięciu jardów do małej dziurki i oczekiwać, że się trafi, a co więcej, że ten wetknie się do otworka i jeszcze obróci. Ale Loki był bogiem sztuczek.

Z bardzo głupich czynów płynie jedna korzyść. Element zaskoczenia. Rzucając kluczem przez pokój, zaskoczyłem Edrisa Deana na tyle, że zdołałem wyciągnąć miecz, sparować jego spóźniony cios przed moim brzuchem i odskoczyć do tyłu. Gorące, mokre uczucie na biodrze powiedziało mi, że nie uciekłem nietknięty, ale przynajmniej miecz Edrisa nie przeszedł przeze mnie na wylot.

Edris pchnął ponownie, a ja odbiłem jego ostrze. Za plecami nekromanty wszystkie panele na ścianie rozświeciły się, zaczęły spływać po nich strumienie cyfr, jakby rzeka liczb spadała z klifu. Klucz, teraz tkwiący w otworze, zaczął lekko dymić, jakby obsydian wydzielał ciemność w formie pary. Wszystkie wcześniejsze zgrzyty, jęki i drżenia wydawały się niczym w porównaniu z udreńczonymi dźwiękami, które dobiegały teraz spod metalowej podłogi. Gdzieś głęboko w sercu kalkulacyjnych silników Budowniczych rozgrywała się właśnie wojna kodów i szyfrów, gdy klucz usiłował pokonać zabezpieczenia głównej funkcji Koła i rozwiązać równania, które wymykały się profesorowi O’Kee przez tyle lat, by pozwolić silnikom wyłączyć się w taki sposób, żeby nie wrzuciły nas w przepaść, którą próbowaliśmy ominąć.

Edris zamachnął się, celując w moją głowę. Sparowałem cios. Szczęk stali prawie niknął w kakofonii wokół nas. Koniec końców, gdy otaczało mnie tak wiele sposobów, na które mogłem zginać, okazało się, że strach był dla mnie mniej ważny niż fakt, że człowiek, który zaszlachtował moją matkę, stał tuż przede mną. Znow odbiłem cios i zrobiłem wypad, tnąc tunikę Deana i zostawiając na kolczudze pod spodem jasną rysę.

– Jeśli mnie zabijesz, nie będziesz miał już czasu, by obrócić klucz w drugą stronę! – zawołałem. – A jeśli spróbujesz to zrobić, zanim mnie zabijesz, obetnę ci głowę.

Edris zamachnął się dziko i odskoczył ode mnie. Otarł usta, zakrwawione przez przygryziony język, i przyjrzał mi się, dysząc ciężko.

Przez fasetkę lustra wiszącą na ścianie między nami dojrzałem Babkę i

Milczącą Siostrę, obie na czworakach. Ich ramiona uginały się pod niedostrzegalnym ciężarem. Błękitna Dama triumfalnie podchodziła ku nim.

– Alica, przybyłyście uratować świat – wyszczała. – Ale zapomniałyście zabrać ze sobą kogoś, kto uratowałby was.

Milcząca Siostra zdołała unieść głowę. Jej ciemne oko było jak dziura prowadząca do północy, a ślepe jak dziura prowadząca w południowe słońce. Bogini Snorriego, Hel, miała takie oczy. Stara kobieta z trudem uniosła dłoń, wykrzywiając palce niczym szpony. Błękitna Dama zatrzymała się, ale tylko na chwilę. Głowa Siostry ponownie opadła, jej twarz zniknęła za szarymi kołtunami.

Edris obserwował całe zajście równie zafascynowany jak ja. Dłonie, które przez całe nasze życie przesuwwały nas po planszy, w końcu zwały się w ostatecznym starciu.

– Nie zabrały mnie. Sam przyszedłem. – W wejściu do komnaty Błękitnej Damy stała bladoszara postać pokryta kamiennym pyłem. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała jak człowiek: była zbyt pękata, zbyt wiele kończyn sterczało pod dziwnymi kątami.

Krok naprzód i nowo przybyła postać padła na ziemię, teraz nabierając sensu. Jeden mężczyzna niósł drugiego. Ten, który padł na kolana, był niski, krępy, ciemny pod pokrywającym go pyłem. Miał twarz bardziej jak urzędnik, nie jak bohater, mimo munduru i miecza przypasanego do biodra. Kapitan Renprow, adiutant marszałka Vermillionu, moja prawa ręka w organizowaniu obrony miasta.

– Nie! – Gdyby lustro naprawdę było oknem, rzuciłbym się przez nie. Mniejsza postać poleciała na podłogę i potoczyła się po odłamkach luster. Była powykręcana tak okrutnie, jak ofiara na stole Jaśka Obrzyna. Zdeformowany staruszek ledwo był w stanie się obrócić, a mimo to w chwili, w której podniósł swą zniekształconą głowę, miał w sobie więcej godności niż jakikolwiek człowiek siedzący na tronie.

– Pani Shival – zachrypiał Garyus. Podróż z Czerwonej Marchii musiała być dla niego trudna, droga od podnóża na szczyt wieży tym bardziej. – Nie jest pani w stanie zrozumieć, ile potomek Kendethów jest gotów poświęcić dla swojej siostry.

Wyciągnął powykręcaną dłoń i zacisnął stare palce z nabrzmiałymi knykiami wokół kostki Milczącej Siostry. Na jego twarzy zobaczyłem ból nawet po tak nieznacznym ruchu – zimno zawsze przysparzało cierpień jego stawom, a zima w Slov była ostra.

Milcząca Siostra napięła ramiona, potem wyprostowała ręce. Głowę wciąż miała opuszczoną. Powietrze wypełnił odgłos tłuczenia. Podniosła się na

kolana, biorąc drżący oddech.

– Na ziemię! – Błękitna Dama złączyła dłonie, jakby miażdżyła coś między nimi.

Milcząca Siostra podniosła się wolnym, wykalkulowanym ruchem, pośród odgłosów tłukącego się szkła, aż nie zostało już nic, co mogłoby pęknąć. Dwa ostatnie lusterka w dłoniach Błękitnej Damy roztrzaskały się, a ona sama z wrzaskiem rozczapierzyła palce, gdy ich odłamki z brzękiem spadły na podłogę wraz z kapiącą krwią. Dłonie Mory Shival były pocięte przez szkło.

Alica Kendeth, Czerwona Królowa, zerwała się na nogi z rykiem wściekłości i machnęła mieczem.

Błękitna Dama krzyknęła. Nie podjęła walki, lecz obróciła się na pięcie na tyle szybko, że miecz Babki tylko wyłobił bruzdę w jej ramieniu, po czym rzuciła się w stronę ostatniego lustra, w stronę Osheim i mnie. Przez ułamek sekundy jej obraz wypełnił fasetkę. Wpadła w ciągle nienaprawione pęknięcia, a one przeszły przez nią jak druty przez ser. Zniknęła. W lustrze nie zostało nic prócz szkarłatnej powodzi. Pokój za zwierciadłem był teraz zamglony przez posokę. Krew ściekała po obrazie Czerwonej Królowej z wyciągniętym mieczem, skierowanym czubkiem w lustro, przez które skoczyła jej przeciwniczka. Nie wątpiłem zbyt, że wizyta w sali z fraktalnym zwierciadłem daleko pod nami ujawniłaby mokrą kupę gładko pociętych części ciała – ostatnich szczątków kobiety, która poświęciłaby jeden świat, by stać się boginią w następnym.

Ostrze Edrisa drgnęło w moją stronę. Ledwie zdołałem je odbić przed moją klatką piersiową. Nieuwaga kosztowała mnie płytkie cięcie w ramię. Panele na przeciwległej ścianie zapłonęły teraz czerwienią i wydało mi się, że zobaczyłem za nimi poruszającą się postać, jakby były oknem wiodącym przez ścianę do jakiegoś innego pomieszczenia. Hałas nieco przycichł, teraz rozbrzmiewały tylko głębokie, metaliczne jęki i powolny dźwięk zapadki, gdy szczękał jeden ząb po drugim.

Edris zmylił mnie, krawędzie mieczy zazgrzytały w zwarciu.

– Nie mam czasu, by cię zabić – powiedział. – Ale na szczęście przyprowadziłem kogoś, kto ma. – Cofnął się, a z ciemnego sufitu, z cienia za filarami w pajęczym stylu rozwinął się nienarodzony. Opadł na ziemię w miejscu, jakie zrobił między nami Edris Dean, horror zbudowany ze świeżego mięsa oblepiającego kości ludzi, których Błękitna Dama wysłała z nekromantą. Tors na grubych nogach z pięcioma oskórowanymi, szczupłymi kończynami, wystającymi z jego otwartej klatki piersiowej. Każda sięgała na dwa jardy lub dalej, miała stawy w tuzinie miejsc i kończyła się ostrym odłamkiem kości.

Edris odwrócił się do mnie plecami i podszedł do ściany z kluczem.

– Z tym mieczem, który mi ukradłeś, może nawet zdołasz odesłać ją z

powrotem do piekła. Ale wciąż będzie złączona z liczkim. W każdym razie zapewni mi czas, którego potrzebuję, a z tobą policzę się później, jeśli będę musiał. – Złapał klucz i zachłysnął się, gdy spowiły go jego kłamstwa. – Chociaż nie będzie żadnego „później”. – Poruszył nadgarstkiem, zmuszając klucz do obrotu w drugą stronę. Wielkie silniki zawyły na nową nutę. – Tak kończy się świat. Żadnych wybuchów, żadnego biadolenia, po prostu obraca się koło.

W obliczu końca jest parę rzeczy, które są w stanie wycisnąć z człowieka w równej mierze głupotę i odwagę – o ile obie te rzeczy nie są w sumie jednym i tym samym. Mogą to zrobić rodzina oraz widok gorąco znienawidzonego człowieka, który właśnie ma zatriumfować.

– Nie masz pojęcia, co potomek Kendethów jest gotów poświęcić dla swojej siostry – wypowiedziałem te słowa bez cienia strachu.

To nie berserk przejął nade mną kontrolę. Myślę, że wściekłość, która opanowała mnie w dniu, w którym poderżnąłem gardło Maeresowi Allusowi, nigdy tak naprawdę mnie nie opuściła, nigdy nie zwinęła się z powrotem w kłębuszek w małym zapomnianym kącie, gdzie ją kiedyś trzymałem, ale zmieszała się z krwią, tak jak u innych ludzi. Czasem milczała, czasem wrzeszczała. Gniew, który sprawił, że podniosłem dłoń, był mój, posiadałem go, zapłaciłem za niego. Rzuciłem mieczem Edrisa. Zawirował w powietrzu, tak jak wcześniej klucz. I tak jak klucz trafił do celu. Błuzniercze ostrze nekromanty trafiło go między łopatki.

Nienarodzony stanął dęba między nami, zacisnął ramiona wokół mnie, tak jak zaciska się palce. Jakimś cudem Snorri dojrzał esencję swojego syna w nienarodzonym, który zaatakował nas w krypcie w Czarnej Warowni. Wtedy tego nie pojmowałem – jak mógł dojrzeć coś swojego w tej zdeprawowanej karykaturze ludzkiego ciała i szlochać, bo musiał ją zabić? Ja nie mogłem nic dostrzec, ale wiedziałem, że moja matka poznałaby swoją córkę, i to wystarczyło. Nie pchnąłem w odsłonięte serce nienarodzonego swojego noża, tylko kardynalską pieczęć z tamtej odległej drogi, biegnącej wzdłuż granicy między Attarem i Zagre. To nie moja wiara ich rozdzieliła, dziecko, które nigdy nie widziało świata, od potwora wykutego w piekle. Zrobiła to wiara ponad miliona osób pochylających głowy w kościołach, chowających się w łózkach przed niespokojnymi snami, przestraszonych znakami i zwiastunami, czepiających się swego boga, gdy zbliżał się koniec świata. Ta wiara, ta świadomość, to przekonanie, któremu moc nadało samo Koło, oddzieliło dziecko od potwora i posłało martwe ciało w kawałkach na ziemię.

Nie poczułem, jak przebijały mnie szpikulce. Nie poczułem bólu, dopóki nie poturlałem się po podłodze i nie spróbowałem wstać. Krew popłynęła z ran kłutych w moich ramionach i boku, spływając mi po plecach gorącymi

strugami. Osunąłem się na bok i leżałem, obserwując komnatę. Edris zwrócił się teraz twarzą w moją stronę, wykrzywiając ją wściekle. Czubek jego własnego miecza wystawał mu z piersi tuż pod żebrami.

Edris już mnie nie obchodził. Rozejrzałem się i zobaczyłem ich oboje, liczkina i moją bezimienną siostrę. Biały duch miał postać kobiety, którą przelotnie ujrzałem, gdy odciąłem ją od piekielnego drzewa. Przypominała zarówno Matkę, jak i Czerwoną Królową, była piękna, silna, niezrażona. Liczkin, nagi i biały jak nerw, chował się w ślepej plamce moich oczu. Wyciągnął łapę, by owinać się duchem mojej siostry. Ona dotknęła jego palców swoimi i zręcznie zwinęła całe jego ciało w kulę większą od głowy. Potem ścisnęła ją, a ta zmniejszała się coraz bardziej, miała teraz rozmiar pięści, gałki ocznej, ziarnka grochu... zniknęła.

Obraz mojej siostry zmarszczył się jak odbicie w wodzie, zmienił się, zbladł. Nikła w oczach, młodsza kobieta, dziewczynka...

– Nie odchodź. – Spróbowałem wyciągnąć do niej dłoń.

Edris wyłonił się zza jej pleców. Krew przesiąkała przez szarą koszulę na jego brzuchu.

– Nie odchodź – przedrzeźniał mnie. – Jestem pewien, że znajdę ci innego pana. – Poruszył palcami, wypisując w powietrzu runy, przedając nową sieć nekromancji, by ponownie złapać ją w sidła.

Moja siostra, teraz mała dziewczynka, posłała swojemu oprawcy gniewne spojrzenie, które widziałem na twarzy Czerwonej Królowej, gdy stała na murach Ameroth. Tupnęła nóżką, uderzyła piąstkami w dół i w jednej chwili cisnęła Edrisa na ziemię. Padł z jękiem obok mnie, w cuchnącą masę szczątków nienarodzonego. Jęk przeszedł w warknięcie, gdy podniósł się na kolana, patrząc na mgliste ślady, które zostały po mojej siostrze, zasłaniając je przede mną. Rękojeść mojego miecza, wciąż stercząca z jego pleców między łopatkami, kiwała się tuż poza moim zasięgiem.

Nie miałem siły, by się ruszyć. Ale miałem chęć, więc i tak to zrobiłem. Ostatnim zrywem energii wyszarpnąłem miecz z ciała Edrisa, zamachnąłem się dziko i odrąbałem mu głowę, mając przy tym więcej szczęścia niż dobrej oceny sytuacji.

Edris klęczał jeszcze przez chwilę, tryskając krwią, po czym padł na ziemię.

Po mojej siostrze nie było już śladu.

Całe wieki zajęło mi dotarcie do tylnej ściany. Czołgałem się cal po calu przez ohydę, a wszędzie wokół silniki Budowniczych wyły o koniec świata. W końcu zacisnąłem dłoń na końcówce klucza i przekręciłem go na środkową, neutralną pozycję.

Wtedy, po tym wszystkim, zawahałem się. Jeśli pozwolę kluczowi Lokiego

dokończyć dzieła, zagwarantuję sobie bezpieczne przejście do nowego świata, którego tak pragnęła Błękitna Dama. Będę bogiem. Status, którego zawsze pożądałem, a nawet wiele więcej, doręczony mi prosto do rąk własnych. Nie będę już zbędnym książątkiem żyjącym skromnie na obrzeżach dworu mojej babki. Jeśli obrócę klucz z powrotem w lewo i wielkie silniki się wyłączą, magia opuści to miejsce. Nic nie będzie już popychało Koła, które Budowniczości poruszyli, by zmienić równowagę między pragnieniami a rzeczywistą materią świata. Koło zwolni i w końcu się zatrzyma. Może nawet cofnie się i przywróci czasy, w jakich ludzie żyli przez długie lata, zanim jakiś dureń rozsiał nas po powierzchni Ziemi.

Jeśli się jednak posłucha mędrców, okaże się, że zobaczyli, iż koniec przesunie się w czasie, ale nie zniknie. Milcząca Siostra widziała, jak to samo Koło obraca się pod presją ludzkiego pragnienia władzy i wszystko niszczy, sprowadzając na nas, maluczkich śmiertelników, ogień i zagładę. Mógłbym teraz uratować siebie i skazać na śmierć niezliczone narody... albo skoczyć w ogień ze świadomością, że wszyscy ci ludzie spłoną za kilka krótkich lat. Pod moją dłońią klucz dymił, a wokół mnie silnik skowyczał i ryczał. Klucz wciąż walczył z mechanizmem o kontrolę, a silnik pozbawiony fraktalnego lustra, które sterowało jego energią, kompletnie oszalał.

Liczne ekrany po obu moich stronach zaczęły ukazywać odpowiednie fragmenty większego obrazu, jakby dziurawiły ścianę, odkrywając to, co działo się w umyśle schowanej za nią maszyny.

– Potrzebuję...

– Ludzie nie wiedzą, czego potrzebują. – Postać obróciła się, przerywając pierwszemu, niewidocznemu mówcy. – Rzadko nawet wiedzą, czego chcą. – Człowiek ten wyglądał na niskiego mężczyznę, ale nie było przy nim niczego, z czym można by porównać jego wzrost, a na ekranach był większy niż w rzeczywistości. Ani młody, ani stary, jego ciemna czupryna sterczała, jakby poraził go piorun. Miał na sobie wielokolorowy płaszcz, lecz gdy się obrócił, ten zmienił się w złotą kurtkę z naszytymi na nią niezliczonymi kieszeniami. W następnej chwili strój był już czarny, jak te, które nosili nowocześni we Florencji, kompletny wraz z trójpoziomowym kapeluszem. Cokolwiek by nosił, mężczyzna kogoś mi przypominał. – Ja? Ja jestem tylko błaznem na dworze, gdzie stworzono świat. Wyglupiam się, dowcipkuję, płąsam. Jestem nieważną figurą.

– Profesor... – Zobaczyłem tam twarz staruszka, jego rysy za pewnością siebie i sprytem Lokiego.

Bóg dalej przemawiał do swego niewidocznego rozmówcy.

– Wyobraź sobie jednak... a gdybym to *ja* pociągał za sznurki, a bogowie

tańczyli, jak im zagram. Co, jeśli u samego źródła, gdybyś kopał wystarczająco głęboko, odkryłbyś wszelką prawdę... Co, jeśli sercem wszystkiego... byłoby kłamstwo, jak robak drążący środek jabłka, zwinięty niczym Uroboros, jak sekret, który ludzie ukrywają w każdej swej części, niewidoczny, jak byś nie rozcinał?

Ścisnąłem mocno klucz, a on jak czarny lód ślizgał się w mej pięści. Ekran pociemniał.

– Czyż to nie byłby dobry żart? – Loki stał koło mnie.

– Cz-czego chcesz? – Próbowałem odsunąć się, nie puszczając klucza.

– Ja? – Loki wzruszył ramionami. – Jeśli zniszczysz mój klucz, ze mną koniec. A on się połamie, gdy wykona swoje zadanie. Obróć w lewo, obróć w prawo. Zdecyduj się, Jalandie.

– Ja... ja nie wiem. – Ociekałem potem, drżąca dłoń pobrała mi od utraty krwi. – Czy Błękitna Dama mówiła prawdę, gdy...

– Prawdę? – Loki wyrzucił w górę rękę, przebierając palcami. – Kłamstwa są naszym fundamentem. Każde z nas zaczyna od kłamstwa, a potem buduje życie w oparciu o nie. Kłamstwa są trwalsze od prawdy, łatwiej podlegają przeobrażeniom, są zdolne dostosować się do wymagań.

– Ja *potrzebuję* prawdy. Posłałeś mnie na drogę prawdy, kiedy pokazałeś mi śmierć mojej matki. Klucz nie wyrzucił mnie na pustyni przypadkiem... to wszystko było częścią planu. Spotkanie Jorga Ancratha, znalezienie odwagi, by zabić Maeresa Allusa. Przez cały ten czas tworzyłeś mnie do tego zadania, tak jak stworzyłeś klucz i posłałeś w świat, by nabrał mocy.

– Być może. – Loki wzruszył ramionami. – Fakty są najlepszymi przyjaciółmi kłamcy. W poszukiwaniu wiarygodnego kłamstwa odkrywa się tyle prawd. Dlaczego by ich nie użyć? – Odwrócił się, by objąć gestem komnatę, korytarz cudów zasłany śmiercią. – *Jak spletaną sieć snujemy, gdy po raz pierwszy kłamiemy!*¹ Napisał to Wielki Szkot w czasach, gdy księżyc był jeszcze młodszy. – Loki westchnął. Podczas gdy ciemność dymiła z klucza w moim uścisku, Loki zdawał się niknąć, starzeć, gasło jego wewnętrzne światło. – To była moja pierwsza praca i przyznam, owszem, jest zagmatwana. *Gdzie znalazłby się tchórz, który ośmieliłby się nie walczyć o taki kraj?*² Kolejny wers Wielkiego Szkota – i oto jesteś, mój tchórze. Ośmielisz się?

– Ale czy powinienem...

– Nie dbam o to! – huknął na mnie Loki, teraz wymizerowany i chory. – Wiedz tylko, że nie potrzebujesz prawdy. Prawda cię nie wyzwoliła. Tylko kłamstwo. Nie widziałeś śmierci swojej matki. Nie było cię w tamtej komnacie. Tamtego dnia nie byłeś nawet w Rzymskim Pawilonie.

– Co?

– Okłamałem cię.
– Co...
– Nienawiść, odwaga, strach... wszystko to kłamstwa. Nie szukaj powodów. Rób to, co uważasz. Nie to, co uważasz za słuszne – tylko to, co uważasz.
– Mam bliźnię... – Wolną ręką dotknąłem klatki piersiowej, gdzie tamtego dnia ukłuł mnie miecz Edrisa.
– Zarobiłeś ją, łażąc po płocie.
– Ty zakłamany dra...
– Tak, wiem. A teraz pospiesz się, hm? Ja się tu rozpadam.
Spojrzałem za fałszywego boga, twór, który stał się prawdziwy za sprawą ludzkich marzeń, i zobaczyłem w usmarowanym krwią oknie do drugiego pomieszczenia ciężką sylwetkę mojego przyjaciela. Tylko jego oczy widziałem wyraźnie w miejscu, gdzie wytarł do czysta szybę.
Obróciłem klucz.

[1](#) Sir Walter Scott, fragment poematu „Marmion”, Canto VI, stanza XVII (przyp. tłumacza).

[2](#) Sir Walter Scott, „Marmion”, Canto IV, stanza XXX (przyp.



Garyus został pochowany jako król w katedrze Matki Boskiej Vermillionńskiej. Pogrzebowa procesja przeszła od pałacowego placu Zwycięstwa przez całe miasto, wzdłuż Linii Corelli nad rzeką i dalej do Bramy Apijskiej. Spadł śnieg, pierwszy śnieg w Vermillionie od ośmiu lat, jakby miasto przystroiło się na tę okazję, zakryło swe blizny i brud choć na jeden dzień, by odprowadzić staruszkę w miejsce wiecznego spoczynku.

Niosłem trumnę wraz z moimi kuzynami. Kapitan Renprow dołączył do nas jako szósty. Czerwona Królowa uhonorowała go za to, że wniósł Garyusa na wieżę Błękitnej Damy przez czary, których nie przeżył żaden inny żołnierz, oraz za heroizm, który okazał, w ogóle dowożąc wujecznego dziadka do Blujen tydzień wcześniej, choć trzeba zaznaczyć, że Renprow usilnie próbował wyperswadować mu podróż.

– Za te zasługi, Marszałku Renprow, dziękujemy ci. Dziękujemy za to, że poniosłeś naszego brata.

– To on poniosł mnie, Wasza Wysokość. – Ukłonił się Renprow. – To był dla mnie zaszczyt.

– Niósł nas wszystkich. – Czerwona Królowa kiwnęła głową i pochyliła ją. – Przez wiele lat.

Złożyliśmy trumnę w katedrze, w grobowcu z białego marmuru, oplecioną magią, która zabezpieczała ją od wszelkiej nekromancji. Powiedziałem nad nią parę słów w miejscu spoczynku Garyusa. Myślę, że powiedziałem je wyraźnie i że były pełne znaczenia.

– Spoczywaj w pokoju, mój bracie. – Babka położyła rękę na zimnym kamieniu, a obok niej, widziana jedynie przeze mnie, Milcząca Siostra położyła swoją bladą dłoń w miejscu, w którym wygrawerowane było imię jej brata bliźniaka. Z jej ciemnego oka spadła jedna błyszcząca łza.

Poszedłem pożegnać Snorriego do rzeczno-portu. Kupiłem mu łódź. Mam nadzieję, że dobrą. Nazwałem ją *Martus*. Darin zostawił po sobie dziecko i żonę, która go kochała, *Martus* też czegoś potrzebował. Łódź, która poniesie jego imię

w świat, była najlepszą rzeczą, jaką mogłem mu ofiarować.

Snorri stał przy murze obok kamiennych stopni, po których kiedyś zbiegliśmy, uciekając przed zbirami Maeresa Allusa. Rana na twarzy mu się goiła, a złamaną rękę trzymał pod grubą peleryną z niedźwiedziego futra, spiętą złotą klamrą – podarunkiem od królowej.

– Mamy tu śnieg! Dlaczego wyjeżdżasz? – Rozłożyłem ramiona, by objąć nierzeczywistą biel Vermillionu. Robotnicy portowi trzęśli się wokół nas w swych zbyt cienkich płaszczach, ładując ostatnie zapasy wikinga na łódź.

– Północ mnie wzywa, przyjacielu. A to nie jest śnieg – to przymrozek. Na Północy...

– W takie dni tańczymy nago. Tak, wiem! Przecież widziałem. – Klepnąłem go w zdrowe ramię. – Pozwolę na to... ale wróć, słyszysz? Jak tylko nasycisz się ohydny jedzeniem i odmroziś sobie, ile trzeba, wróć tu, żeby znów się rozgrzać.

– Tak zrobię. – Szeroki uśmiech, białe zęby w zjeżonej czerni jego krótkiej brody.

– Naprawdę, dobrze? Życie będzie zbyt nudne bez tych twoich nonsensów. – Chciałem powiedzieć więcej, ale słowa opuściły mnie wraz z powietrzem z płuc, gdy Hennan pognał w górę po schodach i mnie uściskał. – Ała! Ostrożnie! Ściskasz rannego bohatera! – Objąłem go ramieniem i poczochrąłem mu rudą czuprynę w sposób, jaki bardzo mnie denerwował, kiedy robił mi to ojciec. – Kara! Ratuj!

Völva zeszła z łodzi spokojniejszym krokiem, z rozbawieniem patrząc na naszą trójkę.

– Łódź jest gotowa. Rzeka też – powiedziała.

– Opiekuj się dla mnie tymi idiotami – rzekłem. – Snorri zna w Trondzie tylko port i Trzy Topory, a Hennan jeszcze nigdy nie miał okazji, by docenić prawdziwy horror życia w mieście w Norseheim.

– Dopilnuję, żeby dotarli tam bezpiecznie – odparła. – Potem będę musiała się zająć paroma sprawami.

Wzruszyłem ramionami z uśmiechem. Nie znałem się zbyt wiele na łodziach, ale wiedziałem, że bardzo często ludzie, którzy schodzili z łajby po długiej podróży, nie byli tymi samymi ludźmi, którzy na nią wsiedli.

I na tym się skończyło. Snorri wycisnął ze mnie powietrze swoim jednorękiem uściskiem i Seleen zabrała ich na zachód w stronę morza.

W następnych tygodniach wznowiono odbudowę zewnętrznych dzielnic miasta – pracę, która zajmie obywatelom Czerwonej Marchii jeszcze wiele lat. Jeśli lata będą nam dane. Lecz kto wie, ile jeszcze mamy czasu? Zatrzymaliśmy silniki pchające nas ku zagładzie. Teraz Koło obracamy jedynie my sami.

Wolniej, owszem, ale wciąż zmierzamy do tego samego miejsca. Kupiliśmy trochę czasu, a czas jest wspaniałą rzeczą. Ja zamierzam go marnotrawić, ile wlezie, dopóki znów nie trzeba będzie wpaść w panikę. A nawet wtedy już ktoś inny będzie musiał rozwiązać problem. Moje awanturnicze dni dobiegły końca – teraz to zgrabna paczuszka wspomnień obwiązana wstążką i wepchnięta do ciemnego kąta jakiejś szafki, gdzie będzie się kurzyć i nigdy już nie ujrzy światła dnia.

Parę tygodni później pokojówka przyszła do mojego apartamentu z wypranymi ubraniami i przyniosła ze sobą soczewkę doktora Taproota w srebrnej oprawce, położoną ostrożnie na stercie odzienia.

– Dobrze, że ją znaleźli, Wasza Wysokość – powiedziała z rozpromienioną twarzą okoloną lokami. – Taka delikatna rzecz mogłaby się łatwo zniszczyć.

Kusiło mnie, żeby na miejscu zmielić soczewkę obcasem na proch. Niewyjaśnione wątki są gwarancją, że trzeba będzie kiedyś zrobić coś z ich powodu, zwłaszcza jeśli łączą się z osobami pokroju doktora Taproota. Koniec końców bałem się przywołać jakieś kłopoty, więc zapakowałem soczewkę i znalazłem dla niej dosłowną, nie metaforyczną, rzadko używaną szafkę z ciemnymi kątami, w których można chować rzeczy przed światem. Potem poszedłem do kuchni i zażądałem olbrzymiego lunchu i dużej ilości wina.

Babka zreorganizowała pałac. Hertet, który cudem przeżył horror tamtej nocy w Willi Mediolańskiej, został skazany na wygnanie w roli dożywotniego ambasadora do wschodnich carstw. Żeby zdławić dalsze knowania w kwestii przejęcia władzy, Babka oficjalnie wyznaczyła następcę tronu. Wezwała mnie nawet na prywatne posiedzenie na dworze, by przedyskutować tę sprawę. Poparłem jej wybór. Kuzynka Serah podczas oblężenia udowodniła, że krew Babki w jej żyłach się nie rozwodniła. Kiedy Czerwona Królowa w końcu odejdzie, ludzie zakrzykną: „Umarła Czerwona Królowa! Niech żyje Czerwona Królowa!

Zostałem więc jeszcze tylko ja, w gościnnym skrzydle Wewnętrznego Pałacu. Patrzyłem z wysokiego okna, jak Barras Jon kuśtyka, by wypełnić taki czy inny ze swych obowiązków. Znaleźli go żywego rankiem, gdy Martwy Król przerwał oblężenie. Leżał uwięziony w stercie połamanych trupów u podstawy miejskiego muru, gdzie razem walczyliśmy. Okazało się, że jego noga została do tego stopnia strzaskana, że nie dało się jej całkowicie wyleczyć, ale z pomocą laski Barras przemieszcza się i nadzoruje sprawy swego ojca w Vermillionie. W rzeczy samej ostatnimi czasy jego zobowiązania zmuszają go do podróży w tę i we w tę po całej Czerwonej Marchii. Mówi, że uratowałem go tamtego dnia i że jeśli kiedykolwiek będę od niego czegoś chciał, wystarczy, że poproszę. Więc w sumie moja jedyna zbrodnia polega na tym, że zapomniałem poprosić...

– Chodź do łóżka, Jal. Mówiłam, że nie wejdzie na górę. Odwróciłem się z powrotem ku mojej towarzyszce. Siedziała, nie mając na sobie nic oprócz satynowej pościeli i uśmiechu. Odwzajemniłem uśmiech i rozpiąłem swą aksamitną szatę. Opadła w purpurowy stosik na podłogę za moimi plecami. Podniosłem rękę ku głowie...

– Biret zostaw – powiedziała. – Podoba mi się... kardynale Jalenie.

– Och, moje dziecko – odparłem, ściągając lewy but. – Jesteś taką grzesznicą. – Pozbyłem się drugiego buta i zacząłem rozpinać guziki. – Czas nabożnie uklęknąć. Zajmiemy się ekumenizmem. – Wślizgnąłem się do łóżka koło niej. Uczyłem się księżowskiego języka, który desperacko próbowali mi wpoić biskupi. Przyciągnąłem do siebie Lisę DeVeer. – A może nawet eklezją. – Żadne z nas nie znało definicji tego słowa, ale oboje wiedzieliśmy, co oznaczało.

Ostatecznie nie liczą się kłamstwa ani prawdy.

Liczą się tylko uczucia.

Jestem kłamcą, oszustem i tchórzem, ale nigdy, przenigdy. .. rzadko kiedy zawiódłbym przyjaciela.

PODZIĘKOWANIA

Wielkie dzięki dobrym ludziom z HarperVoyager, dzięki którym wszystko się stało i którzy włożyli tę książkę w wasze ręce.

Szczególne podziękowania dla Jane Johnson, za nieustające wsparcie na wszystkich frontach i za nieocenioną redakcję.

Agnes Meszaros również służyła wielką pomocą w dostarczeniu tej książki fanom Jalana i Snorriego. Jestem jej wdzięczny za całą dobroć, w tym sprawdzanie tekstu, korektę, wino i czekoladę.

W końcu kolejna brawa dla mojego agenta, Iana Drury'ego i zespołu w Sheil Land za całą ich nienaganną pracę.

O AUTORZE

Mark Lawrence urodził się w Champagne-Urbana w stanie Illinois. Jego rodzice, Brytyjczycy, przeprowadzili się do Zjednoczonego Królestwa, gdy Mark miał rok. Mark wrócił do Stanów Zjednoczonych po doktoracie z matematyki w Imperial College, by wziąć udział w licznych projektach badawczych, w tym w programie obrony antyrakietowej „Star Wars”. Po powrocie do Zjednoczonego Królestwa pracował głównie nad przetwarzaniem obrazów i teorią decyzji/rozumowania. Twierdzi, że nigdy nie miał ambicji, by zostać pisarzem, więc bardzo się zdziwił, gdy jego próba znalezienia agenta w ciągu jednego dnia zmieniła się w światową umowę wydawniczą. Jego pierwsza trylogia, *Rozbite Imperium* została powszechnie uznana za przełomową pracę z dziedziny fantastyki. Mark jest żonaty, ma czwórkę dzieci i mieszka w Bristolu.

Śledź Marka:

Facebook: www.facebook.com/

Twitter: @mark lawrence

(proszę zwrócić uwagę, że w adresie są dwa podkreślniki).